



CHRISTY COHEN



CICHE SKANDALE

Tytuł oryginalny: Private Scandals

Dla Roberta,
który zawsze we mnie wierzył
Prolog

Stała nieruchoma jak posąg, ze spuszczonego wzrokiem. Jackson poczuł, że chwyta go w środku dławiący strach. Na pewno zmieniła zdanie i tym razem nie da mu już kolejnej szansy.

Kiedy pastor poprosił ją o powtórzenie słów przysięgi, podniosła głowę. Spojrzała na Jacksona, a on poczuł ciepłą falę ulgi. W jej jasnych i pięknych oczach było zdecydowanie, pewność i miłość. Stanowczo i z przekonaniem złożyła małżeńskie przyrzeczenie swoim aksamitnym głosem, który pokochał jak żaden inny. Kiedy pieczętowali małżeństwo pocałunkiem, jej usta były miękkie i ufne. Wyczuł drgający w ich kącikach uśmiech.

Podczas przyjmowania życzeń ona, jego żona, stała tuż obok, a rękaw jej atłasowej sukienki ocierał się o jego ramię. Witając gości z radosnym, pogodnym wyrazem twarzy. Objął ją w talii i po raz kolejny zaskoczyło go, że ich ciała pasują do siebie tak idealnie, że wypełniają nawzajem wszystkie swoje wklęsłości.

Goście przechodzili, zlewając się w smugę uśmiechniętych ust i ściskających ich dłonie ramion. Jacksona niewiele to obchodziło. Jak mogło być inaczej, skoro miał przy sobie kobietę swoich marzeń? Wniosła w jego świat tyle szczęścia, nadała każdemu aspektowi jego życia taki wymiar doskonałości, że często zapominał o przeszłości, pozostawiając ją za sobą jak dziecięcy kocyk bezpieczeństwa, który dorosłemu nie jest już potrzebny. Ta kobieta dała mu wszystko.

Rozmyślał o tym, rozmyślał o radości, która coraz częściej gościła w ich życiu, o czekającym na nich domu w New Hampshire, gdy nagle poczuł, że ona ściska jego rękę. Odwrócił się szybko i spostrzegł, że krew ucieka z jej twarzy. Pobiegł za jej strwożonym spojrzeniem i z trudem wyrwał się ze stanu oszołomienia, w który wpadł widząc, na kogo ona patrzy.

- Ona tu jest - powiedziała jego żona, choć nie było to konieczne. Brzmienie jej aksamitnego głosu było zmaćcone nietypowym drżeniem. - Nie mogę w to uwierzyć.

Przytulił ją do siebie i przybliżył wargi do jej ucha.

- Kocham cię.

Zamarła na chwilę w bezruchu, po czym przeistoczyła się na jego oczach. Z powrotem wyprostowała skulone ze strachu ramiona, a na jej ustach pojawił się znajomy uśmiech, który nie dawał spokojnie zasnąć

żadnemu mężczyźnie. Zwróciła na niego oczy. Dostrzegł w nich wzbierające łzy.

- A ja ciebie - powiedziała, muskając dłonią jego szyję. Ponownie skupił uwagę na gościach, obserwując kątem oka, jak tamta podchodzi. Nie mógł się oprzeć zdumieniu nad jej urodą. Nie widział jej od ponad trzech lat. Wydawała się teraz delikatniejsza, bardziej kobieca i krucha. Miała za chwilę składać im życzenia. Poczł powracające gwałtowną falą poczucie winy, dawno zepchniętej w wymazane z pamięci zakamarki duszy.

W końcu stanęła przed nimi z podniesioną głową i zaciśniętymi dłońmi. Kobieta, którą porzucił. Kobieta, która była swego czasu najlepszą przyjaciółką jego żony. Kobieta, która kochała go tak mocno, że nie miał czym oddychać. Stanęła przed nimi po latach pełnych goryczy milczenia i, wydawszy z siebie długie, głębokie westchnienie, odezwała się.

RS

Rozdział 1

Po ulewnym deszczu drewniane ogrodzenia biegnące wzdłuż krętych chodników Sausalito były śliskie jak lód. Nie wiedział o tym nikt oprócz dwóch dwunastolatek w butach o chropowatych podeszwach, obdarzonych zmysłem równowagi charakterystycznym dla dzieci i znakomicie wytrenowanych sportowców.

Dziewczynki wdrapały się na płot wzniesiony z listewek o szerokości dziesięciu centymetrów i rozłożyły na boki obładowane książkami ręce. Burza już przeszła, ale niebo wciąż miało stalowoszary kolor, a nad miastem nadal wisiała mokra mgła.

- Myślisz, że będziemy mieć zajęcia z WF-u? - zapytała Megan, zgarniając z czoła kilka zbłąkanych jasnych loków. Zatrzymała się na chwilę, żeby spojrzeć na niebo, ale poczuła, że traci równowagę i ponownie skoncentrowała się na ruchach ciała.

Alex wysunęła język i schwytała kilka mikroskopijnych kropelek wody.

- Nie. Boisko na pewno zamokło po nocy. Założę się, że nawet nie będziemy musiały się przebierać.

Dotarły do końca płotu. Miały teraz przed sobą otwartą przestrzeń łąki porośniętej sięgającym do pasa zielskiem. Za łąką był budynek szkoły. Zeskoczyły z płotu i roześmiały się, widząc roztaczające się przed nimi malownicze pasmo błotnistych bruzd ziemi i grząskich kałuż. Bez wahania puściły się przez pole, ze śmiechem skacząc w jaskrawoczerwonych kaloszach po kałużach czekoladowobrązowej wody. Nie dbały o plamy na płaszczach. Chlapały na siebie błotem, chichocząc, gdy bryzgi pstrzyły im twarze jak piegi.

Wreszcie jednak dotarły do skraju łąki i przerwały zabawę. Po drugiej stronie ulicy znajdowało się wejście do murowanego budynku szkoły. Wygładziły płaszcze i włosy, usiłując zetrzeć błoto, które już zasychało. Kończyły przecież szkołę podstawową. Nie można dać się przyłapać na dziecięcej zabawie. Nawet jeśli co najmniej kilkanaście fazy widziały inne siódmoklasistki równie wesoło dokazujące w błocie.

* * *

- Alexandra Holmes.

- Jestem.

Pani Carmichael, znana w większości swoich klas raczej jako pani Pierdzimichael, zmrużyła oczy i przebiegła wzrokiem po sali.

- Ale gdzie, Alexandra?

Alex wystawiła głowę, przerywając szeptaną naradę ze swą najlepszą przyjaciółką Megan, i podniosła rękę.

- Tutaj, pani Carmichael.

- Proponuję, żebyś na przyszłość zapamiętała nasze zasady, Alexandro. Kiedy odczytuję twoje nazwisko, powiedz „jestem”, podnosząc rękę. Zrozumiano?

- Tak, psze pani.

Alex odczekała, aż nauczycielka wróci do sprawdzania listy, po czym wykrzywiła twarz i wystawiła język, wywołując szmer chichotów w tylnym kącie klasy. Pani Carmichael natychmiast zamilkła i podeszła między ławkami do krzesła Alex.

- Może mi zdradzisz, co cię tak rozśmieszyło, panno Holmes.

Alex zacisnęła dłonie pod ławką, powstrzymując śmiech, chociaż Johnny Piedmont tak głośno chichotał w ławce przed nią, że tylko czekała, aż zsika się w majtki.

- Śmiało.

- Nic mnie nie rozśmieszyło, psze pani.

Pani Carmichael oparła ręce na biodrach, które zdaniem Alex wyglądały jak dwa nieprawidłowo umieszczone garby wielbłądzie.

- Mam nadzieję.

Ruszyła w kierunku tablicy, ale nagle postanowiła zmienić taktykę.

- Megan?

Megan Sanders, która siedziała obok Alex, rzuciła przyjaciółce gorączkowe spojrzenie i wyprostowała się na krześle.

- Słucham, pani Carmichael.

- Możesz mi powiedzieć, co takiego wydaje się twojej przyjaciółce bardziej zajmujące niż sprawdzanie listy?

Megan zerknęła na Alex kątem oka, ale zrozumiała, że nie ma co liczyć na pomoc z jej strony. Alex przybrała pozę wzorowej uczennicy - niesforne ciemne włosy zgarnęła za uszy, wyprostowała plecy, podniosła głowę, wypięła klatkę piersiową i złożyła ręce. Megan z trudem przełknęła ślinę.

- Nie, psze pani.

Pani Carmichael wydała z siebie głośne westchnienie, które Alex umiała doskonale naśladować, i wróciła przed tablicę. Bez nowych incydentów zakończyła sprawdzanie listy i przemówiła do klasy.

- Drogie dzieci - powiedziała, zacierając ręce i podchodząc do tablicy - mam dla was ważną nowinę. Jest dziś z nami w klasie nowa uczennica i chciałabym, żebyście wszyscy pomogli jej poczuć się dobrze wśród nas.

Pani Carmichael wzięła za rękę dziewczynę siedzącą z brzegu w pierwszym rzędzie, którego unikał na jej lekcjach każdy, kto miał choć trochę rozumu. Rząd ten był nazywany ławą skazańców. Pani Carmichael wyciągnęła dziewczynę na środek i ustawiła przed klasą, jakby była plastikowym szkieletem przyniesionym z pracowni biologicznej.

- Droga klaso, to jest Klementyna Montgomery. Jej rodzina właśnie przeprowadziła się do nas z Denver. Powiedzcie jej „dzień dobry” na przywitanie.

Po raz pierwszy od początku roku uczniom odebrało mowę. Dziewczynom wystarczyło raz spojrzeć na nowy nabytek w klasie, by prysły wszelkie nadzieje każdej z nich na tytuł najpiękniejszej siódmoklasistki. Chłopcy zaś siedzieli jak zahipnotyzowani. Utkwili spojrzenia w twarzy nowej dziewczyny z taką intensywnością, jakby była najnowszym modelem automatu do gry, wyposażonym w migające światełka, brzęczyki i pole wyświetlające zdobyte punkty. Klementyna wyglądała jak ożywiona lalka Barbie - była wysoka i szczupła, miała długie jasnobrązowe włosy i błyszczące zielone oczy. Alex tylko czekała, aż chłopcom pocieknie ślinka z ust. Nawet Johnny, pan Dziewczyny olewalski-Piedmont, rozdziawił buzię. Alex zazgrzytała zębami słysząc, jak ich piskliwe głosy, nie zmienione jeszcze przez mutację, przynajmniej raz nabrały niskiego, głębokiego brzmienia.

- Dzień dobry, Klementyno.

Alex pochyliła się ku Megan i wyszeptała: - Ale zarozumiała. Popatrz, jak zadziera nosa. Jeśli jej się wydaje, że zostanie moją przyjaciółką, to jest w błędzie.

- Będziemy ją po prostu traktować jak powietrze i tyle - powiedziała Megan. - Za jakiś czas, kiedy nowość spowszednieje, chłopcy nie będą już uważać, że jest taka wspaniała, i wtedy pożałuje, że nie była wobec nas bardziej miła.

Alex kiwnęła głową na znak zgody. Spostrzegła, że pani Carmichael zmierza w jej kierunku, więc szybko otworzyła zeszyt i wyjęła długopis, chcąc sprawić wrażenie osoby bardzo zajętej. Niestety, było za późno. Pani Carmichael i panna Idealna już nad nią stały.

- Alexandra - powiedziała nauczycielka - myślę, że ty i Megan najlepiej nadajecie się do tego, żeby oprowadzić Klementynę po szkole. Chyba zgodzicie się ze mną. Mieszkacie w Sausalito od urodzenia i znacie tę szkołę jak własną kieszeń. Może zabrałybyście ją ze sobą na obiad i opowiedziały o wszystkim?

Alex spojrzała na panią Carmichael z przerażeniem, ale udało się jej przybrać obojętny wyraz twarzy, zanim odwróciła wzrok w kierunku Klementyny. Dziewczyna ze stoickim spokojem patrzyła prosto na nią, bez mrugnięcia okiem. Alex takim samym spojrzeniem wpatrywała się w małe dzieci z młodszych klas, kiedy chciała wystraszyć je udając nieboszczyka. Przeszedł ją dreszcz.

- Oczywiście, pani Carmichael - powiedziała najbardziej słodkim głosem, na jaki było ją stać.

- Wspaniale.

Klementyna wróciła na miejsce nie skinąwszy nawet głową, bez słowa podziękowania. Alex poczekała, aż pani Carmichael się odwróci, i pochyliła się ku Megan.

- Może z nami połączyć, jeśli tak się jej podoba, ale to nie znaczy, że będę z nią rozmawiać.

Megan spojrzała ponad głowami uczniów i zobaczyła, jak nowa dziewczyna wyjmuje kartkę papieru. Może gdyby Klementyna była mniej pewna siebie, pomyślała Megan, byłoby łatwiej ją polubić. Może nawet zostałyby przyjaciółkami, gdyby nie stała na środku klasy taka wysoka i wyprostowana jak jakaś królowa. Wyglądało na to, że nowa dziewczyna spodziewała się takiej reakcji ze strony chłopców. Megan zadała sobie pytanie, jak by się czuła pierwszego dnia w nowej szkole, w nowym stanie, gdzie nikogo nie zna. Doszła do wniosku, że byłaby nieprzytomna ze strachu.

- Masz rację - odszepnęła. - Pani Pierdzimichael poprosiła nas tylko, żebyśmy ją oprowadziły. Nie wspomniała, że mamy być miłe.

* * *

Alex machnęła ręką od niechcienia, wskazując największy budynek szkolny.

- Sala gimnastyczna - rzuciła.

Dziewczyny z trudnością przebrnęły przez milczący obiad. Żadna siła nie mogła zmusić Alex do uprzejmego zachowania, tym bardziej, że Klementyna nie powiedziała nawet „cześć”, ani „miło mi cię poznać”, ani w ogóle nic, co powinna była powiedzieć. Zamiast tego siedziała na ławce w stołówce, jedząc swój głupi obiad w postaci połowy kanapki z tuńczykiem i jabłka, nie zwracając wcale uwagi na obecność Alex i Megan.

Od tego czasu zdążyły jej pokazać budynek administracyjny, sklep i pracownię biologiczną, a Klementyna wciąż nie powiedziała słowa. Szła

tylko dwa kroki za nimi, a Alex co jakiś czas odwracała się, żeby sprawdzić, czy jeszcze tam jest.

- Może ona nie potrafi mówić - szepnęła Megan do Alex po drodze do sali konferencyjnej.

- Potrafię - powiedziała Klementyna ku ich zdumieniu. Przystanęły i odwróciły się.

- To dlaczego do tej pory nic nie mówiłaś? - zapytała Alex.

- Nie miałam nic do powiedzenia.

Alex obróciła wzrok na Klementynę, gotowa stanąć z nią do pojedynku na spojrzenia, ale ta niewiele na to zważała. Obserwowała mijających jej uczniów, a zwłaszcza chłopców, którzy częstokroć zwalniali kroku, żeby na nią popatrzeć, a nawet się uśmiechnąć. Alex zazgrzytała zębami.

- Dlaczego przenieśliście się tutaj z Denver? - zapytała Megan.

Klementyna odpowiedziała powoli, jakby to był nie wiadomo jaki wysiłek.

- Mój ojczym dostał pracę w firmie prawniczej w San Francisco. Zawsze zapominam, jak ona się nazywa. I jak zwykle nikt nie raczył mnie zapytać, czy chcę się przeprowadzić. Tak się tu znalazłam.

- To znaczy, że twoi rodzice się rozwiedli? To przykre - powiedziała Megan.

- Czyś ty spadła z księżycy? - Klementyna odrzuciła włosy do tyłu. - Dziewczyno, mamy tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy rok. Rozwody to zwykła rzecz. Poza tym mój ojciec nigdy nie bywał dużo w domu. Nie widziałam go przez ostatnie dwa lata. Zapewniam cię, że nie będę po nim płakała.

Zanim Megan zdążyła odpowiedzieć, Alex odwróciła się i wskazała na salę konferencyjną.

- No, wycieczka zakończona. To jest sala konferencyjna. Jestem pewna, że teraz będziesz już potrafiła zorientować się w terenie.

Schwyciła Megan za ramię i zaczęła ciągnąć ją na następną lekcję, kiedy Klementyna odezwała się:

- Alexandra...

Alex wyprostowała się na dźwięk imienia, którego nienawidziła i którym tylko pani Carmichael śmiała się do niej zwracać. Nie obejrzała się do tyłu, a tylko przechyliła głowę dając do zrozumienia, że słucha.

- Dziękuję za oprowadzenie.

Megan i Alex odwróciły się błyskawicznie, ale Klementyny już nie było.

Klementyna Montgomery była na ustach wszystkich w Szkole Podstawowej imienia Graver? Clevelanda i wiedziała o tym. Oczywiście od samego początku zamierzała znaleźć się w centrum zainteresowania. Jednakże być najbardziej adorowaną siódmoklasistką w Szkole Neapolitańskiej w Denver to jedna sprawa, a utrzymać tę opinię w Kalifornii - całkiem inna. Każdy wie, że w Kalifornii jest zatrzęsienie ładnych dziewcząt. Zwykła uroda i miła osobowość tutaj nie wystarczą. Klementyna postawiła więc na tajemniczość - będzie małomówna, niewiele o sobie powie, a jeśli już, to skoryguje swój życiorys tak, by stworzyć odpowiedni wizerunek własnej osoby. Była to strategia, którą wyniosła z lektury pewnego romansu, skradzionego z nocnego stolika mamy. Ale nawet Klementyna była zaskoczona powodzeniem swego kalifornijskiego debiutu.

Zaledwie trzy dni po przeprowadzce jeden z ośmioklasistów poprosił ją o spotkanie. Roześmiała mu się w twarz, gdyby nie to, że sprawiał wrażenie poważnego i zdenerwowanego. Zapewniał, że namówi swoją mamę, by odwiozła ich do kina, a potem po nich przyjechała. Klementyna wysiliła się na życzliwy uśmiech i naplotła coś o tym, że jeszcze nie wolno jej umawiać się z chłopcami.

Po tym wydarzeniu zaroilo się od propozycji. Czasem dostawała tylko jedną w tygodniu, a czasem aż trzy dziennie. Pytali ją, czy pójdzie na lekcje tańca, do kina, do ich domu na obiad, do parku, na łódkę, a może gdzie indziej. Właśnie tego pragnęła - zainteresowania i chłopców czekających w kolejce tylko po to, żeby z nią porozmawiać. Ale im bardziej szukali jej towarzystwa, tym wyraźniej docierało do Klementyny, że ich nie potrzebuje. Bez wątpienia te zaloty pochlebiały jej, ale najczęściej sprawiały, że miała ochotę krzyczeć z rozpaczy. Czas płynął tak wolno. Niekiedy miała wrażenie, że minął aż tydzień, podczas gdy w rzeczywistości upłynęła zaledwie godzina nudnej matematyki, w czasie której trzech czy czterech chłopców przesłało jej bileciki z różnymi propozycjami.

Czyżby nie rozumieli, że nie ma w planach dziecięcych randek? Ze w ogóle nie bierze ich pod uwagę? Zamierzała trafić na sam szczyt bez zbaczania z drogi. Czasem zamykała się wieczorem w swoim pokoju i waliła pięściami w poduszkę, przygnieciona perspektywą pięciu kolejnych lat męczarni na dziecięcych potańcówkach, w towarzystwie niezdarnie obłapiających ją pryszczatych nastolatków, zanim wreszcie osiągnie wolność i będzie mogła zacząć żyć.

Wiedziała jednak, że musi się jeszcze wiele nauczyć. Na angielskim gramatyki i klarownego wypowiedziania się, na plastyce stymulowania swojej wyobraźni, na historii i biologii rozwijania inteligencji, a na wychowaniu fizycznym utrzymywania smukłej i wysportowanej sylwetki. Kiedy skończy szkołę podstawową, będzie w wyśmienitej formie, zarówno pod względem umysłowym, jak i fizycznym. A wtedy miejcie się wszyscy na baczności! Klementyna Montgomery, przyszła modelka i gwiazda filmowa, zakasuje was.

Tego dnia była najwspanialsza pogoda, jaką można sobie wymarzyć w rejonie zatoki. Zaczynała się wiosna i niebo miało fantastyczny błękitny kolor, jakby zbudziło się tego ranka w nadspodziewanie dobrym humorze i chciało wykrzyczeć swoją radość całemu światu. Wiał lekki wietrzyk. Powiew był jednak na tyle zdecydowany, że kołysał zacumowanymi łodziami i co pewien czas wzbudzana przezeń fala opryskiwała ku uciesze klientów ściany restauracji i sklepu z pamiątkami.

Megan odsłoniła białą, koronkową firankę i spostrzegła, że w kierunku mostu Golden Gate sunie jakaś żaglówka. Rodziców Megan skłonił do kupna tego domu widok na zatokę. Był fantastyczny, zwłaszcza w takie dni, jak ten. Megan wiedziała, że jej rodzice potrafią spędzać na balkonie całe godziny, sącząc herbatę albo wino i zajadając herbatniki lub ser, zapatrzeni bez słowa na most z podziwem i respektem. Ją samą ogarniała beznadziejna nuda już po dwóch czy trzech minutach wyglądania przez okno.

Jej zdaniem rodzice po prostu nie mieli nic lepszego do roboty. Niespecjalnie lubili wspólnie spędzać czas ani nawet rozmawiać ze sobą. Prowadzenie ogólnokrajowej sieci sklepów z odzieżą dla tęgich mężczyzn było zaś w pojęciu Megan dziecinną igraszką. Jej ojciec spędzał rano trzy godziny przy telefonie, po południu grał w tenisa albo w golfa i prawie zupełnie nie bywał w biurze. Raz w tygodniu leciał z mamą do jakiegoś innego miasta, żeby sprawdzić to czy owo i rozejrzeć się przez parę dni po okolicy, a potem oboje wracali do domu i znów zasiadali na balkonie.

Megan podeszła z powrotem do łóżka i wzięła do ręki pozostawiony na nim podręcznik do historii Stanów Zjednoczonych. Skoro już nie ma czym się zająć w ten weekend, to przynajmniej się pouczy. Alex znowu była poza domem z koleżankami z dziewczęcej drużyny siatkarskiej. Od trzech tygodni spędzała z nimi soboty i niedziele w Parku Grossmana, pływając w podgrzewanym basenie, zajadając lody kupione w tamtejszym kiosku oraz ćwicząc podania, serwy i metody obrony na boisku do siatkówki. Alex

zaprosiła Megan na dwa pierwsze spotkania, ale zaprzestała dalszych propozycji, kiedy ta wykręciła się głupimi wymówkami.

Megan usiłowała zgłębić fragment o wojnie secesyjnej, ale nie była w stanie skoncentrować się na niczym innym oprócz bólu klatki piersiowej i żołądka. W ubiegłą niedzielę pojechała rowerem do Parku Grossmana i zobaczyła roześmianą Alex w gronie koleżanek. Wcale nie pływały ani nie grały w siatkówkę. Siedziały na dużym kocu pod drzewem i o czymś szeptały. Zadała sobie pytanie, o czym. I skąd się wzięło to przekonanie, że Alex mówiła właśnie o niej? Pewnie opowiadała dziewczynom, że już ją nudzi Megan, jej dziecinne zabawy w błocie i ćwiczenie równowagi na płotach. Opowiadała im, że jest kobietą, podczas gdy Megan ciągle tylko dziewczynką.

Megan co sił w nogach popedałowała do domu. Płakała tak długo, że aż opadła z sił. Od tego czasu, bez względu na to, co się działo, dręczył ją tępy ból w klatce piersiowej i żołądka. Czuła się trochę jak podczas grypy i trochę jak wtedy, gdy Donald Alskers włożył jej do kanapki ostre papryczki, które paliły jej gardło i piersi przez kilka następnych godzin, chociaż piła mnóstwo wody.

Alex zawsze miała oprócz Megan także inne koleżanki. Z drużyny siatkarskiej, z kółka matematycznego, z dzielnicy. Dziewczyny lubiły ją, bo była inteligentna i zabawna. Chłopcy zaś dlatego, że świetnie broniła bramki w piłce nożnej, miała równie dobry rzut jak oni i - z tego, co Megan słyszała - całowała się najlepiej w całej szkole. Megan zawsze sprawiało przykrość, że Alex potrafi wszędzie śmiać się, bawić i być w dobrym humorze, nawet jeśli jej nie ma w pobliżu. Ta przyjaźń z ładnymi, lubianymi i towarzyskimi dziewczynami raniła jednak jej serce głębiej. Kiedy Alex była z nimi, Megan nie mogła po prostu podejść i poprosić, żeby poszła się z nią pobawić. Obawiała się, że Alex odmówi.

Megan też miała inne koleżanki, ale wokół niej nie tworzyły się grupki na przerwach. Nikt jej nie prosił o pracę domową, chociaż egzaminy i wypracowania pisała niemal równie dobrze jak Alex. A poza tym Megan w jednej chwili zostawiłaby swoje koleżanki dla towarzystwa Alex.

Wiedziała, że jej obawy są niemądre. Kiedy były razem, Alex zachowywała się tak samo przyjacielsko i radośnie jak zawsze. Nadal dzwoniła do niej co wieczór. Nadal były najlepszymi przyjaciółkami. Ale to się nie liczyło. Megan wiedziała, że Alex inaczej się do niej odnosi i próbuje tylko to ukryć. Ona dorastała, a Megan nie. Megan jeszcze nigdy w życiu nie czuła się taka nieszczęśliwa.

Rzuciła książkę na podłogę i wróciła do okna. Na niebie pojawiło się kilka chmur. Jedna wydała się jej podobna do ryby, a druga do dziwnego dinozaura. Zamknęła oczy i, odpędzając myśli o Alex, wyobraziła sobie Klementynę. Niewiele ze sobą rozmawiały od chwili, gdy pojawiła się w szkole. Od czasu do czasu zwykle „cześć” i „co słychać”. Ale Megan o niej nie zapomniała. Wielokrotnie łapała się na tym, że na nią patrzy, że pilnie się jej przygląda. Klementyna była zupełnym przeciwieństwem Alex - jedna pełna godności i spokoju, druga dzika i nieokiełznana. W obu jednak było coś niezwykłego, jakaś szczególna cecha, która przyciągała do nich ludzi i powodowała, że idąc korytarzem przystawali, by się za nimi obejrzeć. Jakiś niezwykły czar, którego Megan brakowało.

W przypadku Klementyny nie było to nic nadzwyczajnego ani rzucającego się w oczy. Same drobiazgi - wyprostowane plecy, spokojny, miły głos, skromne, ale zawsze gustowne ubranie, sposób, w jaki siedziała sama nad książką podczas przerwy obiadowej, na uboczu, nie podnosząc nawet oczu, żeby sprawdzić, czy ktoś nie żartuje z jej samotnictwa. Mówiąc krótko, Klementyna skupiała w sobie wszystkie cechy, o których Megan marzyła - była piękna, miała dobry gust i przekonanie o własnej wartości. Megan była pewna, że Klementyna w żadnej sytuacji nie poniżyłaby się do zazdrości o drużynę siatkarską swojej przyjaciółki. Nigdy nie wybierałaby się rowerem do parku, żeby sprawdzić, co tam robią. Nigdy by nie płakała.

Megan otworzyła oczy i zauważyła, że dinozaur przybiera postać starej, koślawej wiedźmy. Może gdyby postarała się zbliżyć do Klementyny, coś by jej to dało. Może Klementyna potrafiłaby nauczyć ją, jak mieć klasę i być lubianą, a wtedy Alex zostawiłaby drużynę siatkarską i wszystko byłoby po staremu. Gra warta świeczki. Megan była gotowa na wszystko, żeby odzyskać Alex.

* * *

Alex była na lekcjach wychowania fizycznego najlepsza w siatkówce, baseballu, piłce nożnej i tenisie. Pozostawała tylko gimnastyka i na tym polu palmę pierwszeństwa odebrała jej Klementyna.

Alex siedziała oparta plecami o ścianę sali gimnastycznej, patrząc spod spuszczonej powiek, jak Klementyna precyzyjnie wykonuje ćwiczenia na równoważni. Nie potrafiła dokładnie określić, czego tak bardzo w niej nie znosi. Z początku myślała, że urody jak z obrazka, ale teraz już wiedziała, że chodzi o coś innego. Megan miała rację. Kiedy nowość spowszedniała,

chłopców znudziły jej nieustanne odmowy i hormony w nich ucichły. Może pospolite, brązowe oczy Alex nie umywały się do niepowtarzalnych, przejrzystych oczu tamtej, a jej kędzierzawe, ciemne włosy wyglądały niepozornie w porównaniu ze lśniącymi, jasnobrązowymi lokami Klementyny, które zawsze były ułożone równo i starannie. Alex miała za to poczucie humoru i niemal zawsze przyjmowała zaproszenie do kina albo na wrotki. Ostatecznie odzyskała więc pozycję najbardziej lubianej dziewczyny w szkole.

Po zastanowieniu Alex doszła do wniosku, że w Klementynie najbardziej przeszkadza jej wyniosłość i świeża przyjaźń z Megan. Nie miała pojęcia, kiedy i w jakich okolicznościach rozwinęła się ta sympatia, ale od kilku tygodni rozkwitała na dobre. Z początku jej to nie przeszkadzało. Spędzała przecież więcej czasu z drużyną siatkarską i wiedziała, że Megan czuje się opuszczona. Mimo to były ciągle najlepszymi przyjaciółkami. Nadal razem chodziły do szkoły i razem wracały, a co dwa tygodnie w piątek nocowały u siebie.

Tylko że Megan zmieniła się. Alex skierowała wzrok na przyjaciółkę, która siedziała na podłodze dokładnie naprzeciwko równoważni. Zaczęło się od rozmów telefonicznych Megan i Klementyny, a teraz już spacerowały razem w przerwach między lekcjami. Klementyna miała nawet czelność przysiąść się do nich podczas obiadu. Alex nie mieściło się to w głowie. Najgorsze, że udawała uprzejmość wobec Alex, i do tego - w przekonaniu Alex - z kiepskim rezultatem. Klementyna dopuszczała ją do rozmowy, jakby była biedną, porzuconą przez przyjaciół dziewczynką, która potrzebuje litości. To wystarczało, by Alex nabierała ochoty kopnąć ją w ten jej wyzywający tyłeczek tak mocno, żeby nie mogła siedzieć.

Alex wstała i podeszła do Megan. Klementyna skończyła ćwiczenia i pokazywała teraz innym dziewczynom, jak wykonywać na równoważni fikołki i piruety. Alex zmusiła się, żeby nie splunąć. Podeszła do Megan i usiadła obok niej.

- Twoja przyjaciółka pierwszorzędnie umie się popisywać, co? - powiedziała.

Megan odwróciła się ku niej natychmiast.

- Ona się nie popisuje, Alex. Po prostu jest w tym dobra. Tak samo, jak ty jesteś dobra w innych dyscyplinach, w matematyce i w prawie wszystkich pozostałych przedmiotach.

- Aha - Alex spojrzała na Klementynę i zacisnęła zęby. - No, cóż, chyba wiesz, co mówisz. Spędzasz z nią przecież tyle czasu.

Megan wydłubała brud z paznokcia i poczuła żal, że nie spłynęła na nią jeszcze część równowagi Klementyny. Podeszła do Klementyny dwa tygodnie wcześniej i z niepokojem zapytała, czy nie zechce wpaść do niej po szkole. Klementyna zgodziła się. Spędziły całe popołudnie, robiąc sobie nawzajem masaż twarzy i przebierając się. Potem ich przyjaźń zaczęła się już rozwijać bez trudności. Tylko że Megan nic się nie zmieniła. Nudna, pospolita, nieładna Megan, która obgryza paznokcie i nie znosi, kiedy ktoś się na nią gniewa, tak jak teraz Alex.

- Widuję się z nią tylko wtedy, kiedy ty jesteś zajęta siatkówką.

Alex zabębniła palcami po podłodze. Burczało jej w brzuchu i czuła coraz większe napięcie w głębi gałek ocznych. Dobrze знаła to uczucie. Doznawała go za każdym razem, gdy czekały ją kłopoty, czy to ze strony nauczycieli, za to, że pobiła jakiegoś mięczaka, który wlaź jej w drogę, czy to ze strony rodziców, za to, że podłożyła swojemu młodszemu bratu, Joeyowi, pająki do łóżka, bo działał jej na nerwy.

- To nieprawda i dobrze o tym wiesz, Megan Sanders - powiedziała. - Z dziewczynami z drużyny spotykam się tylko w soboty i czasem w niedziele, a ostatnio w ogóle się nie widziałyśmy, bo padało. Próbujesz wzbudzić we mnie zazdrość, ale chcę ci powiedzieć, że już mi na tobie nie zależy. Możesz robić z panną Zarozumialską, co ci się podoba. Spotykaj się z nią, ile dusza zapagnie. Przekonasz się, że jest mi to obojętne.

Wstała i popędziła do szatni. Wpiszą jej uwagę za wcześniejsze wyjście z lekcji, ale gwizdże na to. W szatni szybko zmieniła szorty i podkoszulek na normalne ubranie. Niech ją diabli wezmą, jeśli pozwoli, żeby te dwie były górą. Nie potrzebuje Megan. Megan jest jeszcze dzieckiem. Ciągle lubi biegać po kałużach i bawić się w dziecięce gry, a przecież chodzą już prawie do ósmej klasy. Poza tym Alex jest najbardziej lubiana w szkole. I najinteligentniejsza. Dostaje najlepsze stopnie prawie z wszystkich testów, chociaż tyle się wygłupia. Chłopcy zapraszają ją na spotkania i ma tuzin przyjaciółek z drużyny siatkarskiej. A kto by potrzebował takiej Megan?

Alex skinęła głową na znak, że zgadza się z własnymi myślami, i z hukiem zatrzasnęła drzwiczki swojej szafki. Wyszła na zewnątrz, gdzie przywitała ją jedyna plamka słońca, której udało się przedrzeć przez chmury. Kiedy pięć minut później zadzwonił dzwonek i Megan wyszła z sali gimnastycznej w towarzystwie Klementyny, Alex rozplakała się.

Rozdział 2

Megan i Alex pogodziły się dopiero w połowie ósmej klasy. W ciągu ośmiu lat przyjaźni sztukę kłótni opanowały do perfekcji. Przez parę pierwszych tygodni wojny, kiedy obie były pewne swoich racji i przekonań, całkowicie unikały się nawzajem i siadywały w przeciwnych krańcach stołówki z obłudnymi uśmiezkami na twarzach. Drugi etap konfliktu rozpoczynał się, kiedy obie - jak małe dzieci - zaczynały tracić pewność co do tego, która zaczęła, co powiedziała i co miała na myśli. W tym stadium konfliktu spędzały samotnie niezliczone noce, wpatrując się w sufit i rozmyślając, czy nie zadzwonić do drugiej jak gdyby nigdy nic, lecz w ostatniej chwili odchodziły od telefonu, by potwierdzić chęć udziału w pojedynku na śmierć i życie.

Wreszcie jednak, gdy wraz z upływem czasu zapominały, jaki był powód kłótni lub przestawał on mieć znaczenie, rozpoczynała się prawdziwa wojna nerwów. Była to walka o honor i wytrwałość, która miała udowodnić, że żadna nie podda się jako pierwsza i nie okaże, iż choćby w najmniejszym stopniu przejmuje się stratą najlepszej przyjaciółki.

W tej walce ich bronią były listy, składane umiejętnie na szesnaścioro i wciskane w szparki szafek w szatni. Od chwili, kiedy się poznały w pierwszej klasie, napisały do siebie i otrzymały podczas wielu stoczonych bitew setki listów. Lata praktyki przemieniły je w zawodowe batalistki.

Alex, uzbrojona w swój słownik synonimów o „oślich uszach”, opanowała sztukę rzucania zjadliwych wyzwisk do perfekcji. Doskonaliła ją na chłopcach, kiedy zdarzało im się na boisku przywalić jej w głowę piłką nożną. Przez sześć lat z rzędu cieszyła się zasłużoną sławą posiadaczki najbardziej niewyparzonej buzi w szkole. Kilka ubliżających określeń nie wystarczało jednak, żeby dać do zrozumienia, co myśli o Megan. Formułowanie najbardziej złośliwego i poniżającego zdania zajmowało całe godziny i wymagało przywołania z pamięci najnowszych potknięć i słabości przeciwnika. Tym razem Alex rozpoczęła list w następujący sposób: „Droga Megan (czyli najbardziej podstępny, chytry, podły, brzydki i gruby potworze na świecie, który dostał najgorszy stopień w klasie z testu biologicznego, nosi kołtun na głowie, jeśli nie użyje suszarki, i zawsze myśli tylko o sobie)”.

Po takim wstępie niewiele pozostawało do dodania. Alex zakończyła więc list słowami „nienawidzę cię” i nabazgrała pod spodem swoje imię.

Megan z kolei, która podczas każdej kłótni żywiła przekonanie, że jest ofiarą cierpiącą całe życie katusze w rękach Alex, broniła swojej racji, posługując się jako bronią poczuciem winy. Przesiadwała do późna w nocy, zapisując pośpiesznie swoją najlepszą papeterię w taki sposób, by łyzy pozostawiały ślad na papierze. Zanim się obejrzała, krótki bilecik miał już siedem stron i zawierał wszystko, co tylko przyszło jej do głowy: że Alex nigdy na niej naprawdę nie zależało, że odrzucała ją, jak tylko znalazła nową przyjaciółkę, że w swym sadystycznym okrucieństwie zraniła ją tak głęboko, iż Megan nie wyobraża sobie, by zdołała kiedykolwiek wrócić do siebie po ciosie, który spustoszył ją emocjonalnie, i tak dalej.

Obie strony wysuwały dodatkowe argumenty. Alex miała w drużynie siatkarskiej i kółku matematycznym koleżanki, które za jej przykładem posyłały Megan znaczące spojrzenia i mijały ją łukiem na korytarzu, jakby cierpiała na jakąś przerażającą chorobę zakaźną. Megan zaś miała Klementynę, która w kółko powtarzała, że nie chce się w to mieszać, ale nie lubiła Alex za to, że ta nie lubi jej, i tak czy owak od niej stroniła. Kilka dziewczyn chodzących na lekcje razem z Megan, chcąc wykorzystać szansę i odegrać się na Alex za jej powodzenie i łatwość nawiązywania kontaktów z chłopcami, sprzymierzyło się z Megan. Ciskały Alex mordercze spojrzenia i co jakiś czas rzucały w nią z tylnych rzędów papierowymi bombowcami. Johnny Piedmont, który podobnie jak inni chłopcy uważał, że angażowanie się w głupie dziewczynskie kłótnie jest poniżej jego godności, mimo wszystko powiedział Alex, iż uważa tę wojnę za „cholernie dobrą rozgrywkę”.

Z czasem jednak listy - jak zwykle - zaczęły brzmieć drętwo, wymowne spojrzenia złagodniały, a determinacja osłabła. Kiedy wola kontynuowania trwających od sześciu miesięcy zmagania skruszała, a piątki, których wieczory nie łączyły się już ze wspólnymi chichotami, nocowaniem u siebie i zjadaniem pop-cornu, stały się dniami raczej budzącymi obawy niż radosne podniecenie, zaczęły myśleć o pojednaniu. Oczywiście nie chciały tego robić otwarcie, lecz w przemyślny, aluzyjny sposób, który pozwoliłby im zawrzeć pokój bez konieczności przyznania się do błędu - wszak żadna go nie popełniła.

Jak na ironię pomogła im w tym Klementyna.

- Słuchaj, Megan. Nie chcę się wtrącać, ale mam wrażenie, że twoja wojna z Alex trwa już wystarczająco długo. Nie chcesz chyba, żeby twoje zachowanie uznano za dziecinne? - powiedziała pewnego razu, gdy wracały razem ze szkoły. Miały taki zwyczaj, od kiedy Alex zaczęła

chodzić do domu inną drogą. Wiał im w twarz silny, zimny wiatr. Boże Narodzenie było za pasem.

Megan odwróciła głowę. Oczywiście, że nie chciała wydać się dziecinna. Tego obawiała się najbardziej. Przecież Alex zaprzyjaźniła się z dziewczętami z drużyny siatkarskiej właśnie po to, by móc pogawędzić z doroślejszymi dziewczynami. Megan czuła się „dziecinna” za każdym razem, gdy koleżanki na wychowaniu fizycznym chichotały, rozmawiając o francuskich pocałunkach, a ona miała wielką ochotę zapytać je, co to takiego. Tak samo czuła się w towarzystwie Klementyny, która nigdy nie podnosiła głosu, nie śmiała się zbyt donośnie i nie nosiła ubrań, które wyszły z mody. Klementyna nawet chód miała dorosły - trzymała głowę prosto, ramiona trzymała blisko tułowia i nigdy nie gestykulowała, nie pokazywała palcami ani nie upuszczała książek, jak Megan.

- Zawsze byliście najlepszymi przyjaciółkami - kontynuowała Klementyna - i byłoby głupio zaprzepaścić to z powodu jednej kłótni.

Megan zatrzymała się. Silny podmuch wiatru omal nie przewrócił jej na ziemię. Utrzymała się prosto z dużym wysiłkiem.

- Dlaczego o tym mówisz? - zapytała. Klementyna zatrzymała się kilka kroków przed nią i odwróciła. - Przecież nawet nie lubisz Alex. Dlaczego zależy ci na tym, żebyśmy znów się przyjaźniły?

Klementyna spuściła wzrok na swoje paznokcie, pomalowane błyszczącym różowym lakierem i nie skalane najmniejszym śladem odprysków. Megan zadała sobie pytanie, dlaczego nie znać na niej nawet muśnięcia wiatru. Jej włosy poruszały się lekko jak puch dmuchawca przy delikatnym powiewie, podczas gdy włosy Megan gwałtownie smagały ją po twarzy.

- Szczerze mówiąc - powiedziała Klementyna - z powodu pracy z techniki u pani Handleman. Wiesz, jak mi zależy na dobrych wynikach w nauce, a technika - nie czarujmy się - nie jest moim najsilniejszym przedmiotem. Zdaję sobie jednak sprawę, że mogłybyśmy dostać najlepszy stopień, gdyby Alex była w naszej grupie. Ona jest w tym świetna. A poza tym - kontynuowała, zakładając włosy za ucho i patrząc na grupę chłopców pchających pod górkę rowery - wcale nie mam nic przeciwko Alex. W gruncie rzeczy zupełnie jej nie znam.

Megan wsadziła lodowato zimne dłonie do kieszeni płaszcza i ruszyła przed siebie.

- A co ja mam, twoim zdaniem, zrobić? - zapytała, kiedy dotarły do miejsca, gdzie ich drogi się rozchodziły. Klementyna szła stąd dalej aż na

szczyt wzgórza, a Megan skręcała za rogiem w kierunku eleganckiej części dzielnicy. - Tak po prostu poprosić ją, żeby była w naszej grupie? Na pewno powiedziałyby mi do słuchu coś okropnego.

- O rany, Meg, jesteś czasem takim dzieckiem - odparła Klementyna, przekładając książki z jednej ręki do drugiej. - Zwyczajnie powiedz jej, że ci przykro, że chcesz się pogodzić, i wspomnij mimochodem, że może by przeszła do naszej grupy na technice. Pewnie jest jej tak samo przykro jak tobie z powodu tych swarów.

* * *

Megan stanęła przed jaskrawoczerwonymi drzwiami domu Alex i wzięła głęboki wdech. Ileż to razy bywała tu przedtem? Sto, dwieście, a może nawet tysiąc. Zawsze przepadała za tym domem, za jego pogodnym wyglądem, ale tego dnia patrzyła na pomalowane na czerwono okna i zarośnięty ogród jak na potwora o kaprawych oczach, który tylko czeka, żeby ją pożreć.

W końcu zapukała. Joey, młodszy brat Alex, otworzył drzwi niemal natychmiast.

- O, cześć, Megan. Alex jest u siebie na górze. Chodź.

Kiedy szła za Joeyem do środka, zauważyła, że jego platynowe włosy ocierają się o kołnierz bluzy, którą ma na sobie. Zawsze była zafascynowana Joeyem i tym, jak zdumiewająco różnił się od siostry. Sprawiał wrażenie, jakby przybył z innego świata, z innej epoki i bezceremonialnie wśliznął się do hałaśliwej, towarzyskiej, dynamicznej rodziny, do której nigdy nie należał.

Joey stanowił jedyny fragment rodzinnej układanki Holmesów, który nie pasował do całości. Był normalny. Wszyscy inni mieli tak niezwykle charakter, że mogliby przydać życia i barwy tysiącstronicowej powieści. Matka Alex, Jo, była kustoszem w muzeum sztuki. Nawet na chwilę nie przestawała ruszać się, śmiać albo mówić i miała więcej jedwabnych apaszek i butelek perfum niż jakakolwiek inna znana Megan osoba. Ojciec Alex, Paul, był człowiekiem o szerokich horyzontach i profesorem matematyki na Berkeley. Szczerze przywiązany do swoich zasad, miał zwyczaj zapraszać studentów do domu na barbecue. Pokazali go nawet raz w telewizji, jak rzucił się rybakowi przed harpun, na który miał zostać złowiony wieloryb.

Alex to osobny rozdział. Za każdym razem, kiedy Megan wchodziła do tego domu, uderzało ją, że każdy przedmiot, każdy mebel, każdy bibelot i dzieło sztuki, a nawet każdy kolor dokładnie odzwierciedla osobowość

Alex. W salonie tradycyjna kanapa została obita perkalem w czerwono-złote wzorki. Na wierzch rzucono poduszki w czarno-białe pasy, a z boku stała smukła lampa pokryta czarną emalią. Z przodu umieszczono pod odpowiednim kątem oksydowany trójkątny stół z mosiądzu, a z tyłu mahoniowe biurko. Ściany były upstrzone obrazami francuskich impresjonistów i malarzy abstrakcyjnych. Przy wejściu wznosiły się kręte schody z miedzianą balustradą. Środkiem drewnianych stopni biegł czerwony chodnik. Każdy przedmiot w tym domu zdawał się być przeniesiony z innego miejsca i epoki, a jednak zebrane wszystkie razem dziwnym sposobem harmonizowały ze sobą. Zupełnie jak cechy Alex. Mimo zwariowanego połączenia ciemnych, kędzierzawych włosów, gęstych brwi, pełnych, skorych do śmiechu i radości warg, jaskrawych ubrań i skandalicznego zachowania mało kto sprawiał wrażenie osoby równie pełnej ładu i równowagi.

Megan pobiegła wzrokiem za Joeyem, który podszedł do stojącego w rogu salonu fortepianu.

Gdyby tylko był cztery lata starszy, pomyślała.

Joey usiadł, wziął głęboki oddech, z czcią położył dłonie na klawiaturze i zaczął grać utwór klasyczny, który rozpoznawała jak przez mgłę. Zważywszy, że lekcje fortepianu brał dopiero od roku, zrobił znakomite postępy. Kiedy zamykał się w świecie muzyki, zapominał o wszystkim innym.

Miał drobne i niezgrabne palce, nie potrafił dłonią objąć oktawy ani wziąć wielu akordów, ale grał zachwycająco pięknie. Stała w wejściu, słuchając jak urzeczona, a obawa przed spotkaniem z Alex na moment prysła.

Wpatrywał się intensywnie w nuty, a ona studiowała jego twarz. Uroda jego miękkich rysów różniła się bardzo od szlachetnej ostrości rysów twarzy Alex. Przypominał marmurowy posąg, mistrzowskim dłutem pozbawiony wszelkich kantów. Widywała go przeważnie wtedy, gdy grał na fortepianie albo czytał powieści sensacyjne - falujące włosy opadały mu wówczas na czoło i policzki. Był nieśmiały i małomówny, potrzebował namysłu, żeby powiedzieć słowo albo zrobić krok, jakby nie był pewien, co go otacza, i musiał nieustannie sprawdzać, czy na drodze przed nim nie czai się jakaś przeszkoda. Miał jednak dopiero dziewięć lat, a Megan trzynaście i ta różnica wydawała się tak przepastna, jakby dzieliło ich sto lat.

- Pójdę na górę - powiedziała, choć miała świadomość, że kiedy Joey zamyka się przed światem w swej muzycznej izolatce, nic do niego nie dociera.

Wchodząc po schodach, które trzykrotnie zakręcały dookoła, patrzyła do góry. Zawsze tak robiła, by nie dostać zawrotów głowy. Wreszcie dotarła do szczytu schodów, gdzie ogłuszyły ją wrzaskliwe dźwięki gramofonu Alex. Zdążyła już zapomnieć, że Alex słucha głośnej muzyki. Pewnego razu powiedziała Megan, że natężenie dźwięku odpowiada jej gustom dopiero wtedy, kiedy wstają jej włoski na szyi i czuje wibracje w kościach.

Megan wzięła jeszcze jeden głęboki wdech i zbliżyła się do pokoju Alex. Kiedy próby zwrócenia uwagi na siebie pukaniem zawiodły, weszła do środka.

Alex ubrana była w swój ulubiony strój - długi biały podkoszulek i jaskrawożółtą spódnicę z dzianiny. Ten zaskakujący zestaw wyglądał na niej doskonale. Od czasu, gdy Megan była tu po raz ostatni, na ścianach przybyło plakatów. Obok kasku Alex z napisem „Oakland Raiders” wisiała fotografia małych foczek, zdjęcie Jamesa Deana i proporczyk drużyny San Francisco Giants. Alex siedziała przy oknie, wpatrzona w kołyszące się tuż przy domu drzewo magnolii, ale kiedy Megan weszła, odwróciła głowę.

Megan miała wrażenie, jakby patrzyły już na siebie od paru godzin. Alex nie okazała na jej widok najmniejszego zdziwienia. Spojrzała tylko Megan prosto w oczy, co - jak zawsze - zmusiło ją do odwrócenia twarzy.

Alex wstała i podeszła do przeciwległej ściany, gdzie znajdował się jej gramofon stereo, trzy półki pełne płyt i rząd matematycznych oraz technicznych książek, przyniesionych przez ojca z uniwersytetu. Wyłączyła gramofon i wróciła do okna.

- No, więc? - zapytała.

- No, ja... - Tekst, który Megan przygotowała i który powtórzyła po drodze co najmniej dwadzieścia razy, ugrzązł jej w gardle. W oczach stanęły jej łzy i chociaż obiecała sobie, że do tego nie dopuści, rozplakała się. Zakryła rękami twarz i łkała, aż Alex podeszła do niej, objęła ramieniem i podprowadziła do łóżka. Usiadły obok siebie.

W końcu potok łez wyczerpał się i Megan spojrzała na Alex. Ze zdziwieniem zauważyła, że ona też ma czerwone oczy.

- Przepraszam - powiedziała Megan.

Alex wstała błyskawicznie i bez słowa poszła do łazienki. Wróciła z nożyczkami do paznokci.

- Daj mi palec - powiedziała.

Megan podniosła wskazujący palec i zacisnęła powieki, a Alex przebiła ostrzem jej skórę. To samo zrobiła z własnym palcem, a potem połączyła oba w miejscu skaleczeń.

- No. Teraz jesteśmy związane braterstwem krwi - oznajmiła. - To znaczy, że będziemy przyjaciółkami na wieki wieków.

- Jesteś pewna? - zapytała Megan.

- Oczywiście. I wiesz co, Megan? Nie kłóćmy się więcej, dobrze?

- Umowa stoi - Megan skinęła głową i trzymając się za ręce poszły do łazienki umyć dłonie.

* * *

Trzy miesiące później Klementyna pomachała Megan i Alex na pożegnanie, po czym ruszyła dalej do domu w górę stromego wzgórza. Co jakiś czas zerkała z uśmiechem na trzymany w ręce dyplom.

Kiedy dotarła do swojego domu, ostatniego domu przy ulicy, zatrzymała się. Przystanąła za grubym, sękatym pniem dębu na skraju ogrodu, gdzie nie mogła jej dostrzec matka. Przyłgnęła policzkiem do chropowatej kory i spojrzała na dom.

Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego matka i ojczym go wybrali. Był najbrzydszy z tych, które widziała w Sausalito. Deski pokrywające ściany z zewnątrz były tak zniszczone, że nic im nie mogło pomóc. Farba, a raczej jej pozostałość, miała ciemnoszary kolor. Podobny odcień przybierało niebo w dni, kiedy była mgła, przez co dom zlewał się z otoczeniem i nikł. Twarda, skalista ziemia sprzyjała tylko wegetacji chwastów.

Ale ojczymowi Klementyny, Johnowi, ten dom spodobał się.

- Ma swój charakter - powiedział. - To będzie przyjemność doprowadzać go we trójkę do porządku.

Klementyna wzdrygnęła się. Gdyby potraktowała jego słowa poważnie, z miejsca powiedziałaby mu, że nie ma ochoty wspólnie z nim pracować. Wiedziała jednak, że jego słowa niewiele znaczą. Gdyby rzeczywiście umiał postawić na swoim, dopadłby ojca Klementyny, Duke'a, i mu ją podrzucił. Nie miał czasu ani cierpliwości, żeby zajmować się nastolatką. Klementyna poznawała to po tym, że pogłębiały mu się zmarszczki przy kącikach ust, jak tylko coś do niego mówiła, a jego głos stawał się donośny i nieprzyjemny, jeśli matki nie było w pokoju. Mówił jej miłe, normalne rzeczy i szczyrzył zęby w uśmiechu tylko wtedy, kiedy chciał ją podejść. Tak samo podchodził oskarżonych, kiedy chciał, żeby przyznali się do winy: twierdził, że ma dowody, które w rzeczywistości nie istniały. Wyśmiewał się z jej skrupułów, utrzymując, że robi to w imię

sprawiedliwości. Klementyna wiedziała jednak, że ojczym we wszystkim kieruje się jedynie egoistycznymi pobudkami, tylko i wyłącznie własnym interesem.

Weszła do domu.

- Clemmie, czy to ty? - zapytała matka. - Jestem w bibliotece.

Klementyna ugryzła się w język. Od kiedy pokój, w którym znajdują się trzy nigdy nie czytane powieści Hemingwaya i słownik z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku, nazywa się biblioteką? Odłożyła torbę i weszła do pokoju.

- Cześć, mamó. Co słychać?

Angel Montgomery gorliwie ścierała kurz ze stolika do kawy. Za każdym razem, kiedy Klementyna wracała ze szkoły, jej matka coś czyściła. Klementyna nie widziała jeszcze w domu odrobiny kurzu.

- Wszystko w porządku, skarbie - odparła matka. - Byłam w sklepie i kupiłam jagnięcą nogę. Pamiętasz, jak John wspomniał parę dni temu, że na jakiejś konferencji bardzo mu smakowała? Znalazłam przepis w „Gospodyni Doskonałej” i postanowiłam go dziś wypróbować. Szczerze mówiąc, trochę się obawiam...

Klementyna podeszła do okna, z którego było widać domy u stóp wzgórza. Z kilku kominów unosiły się ciemne smugi dymu, nadając niebu w to chłodne, marcowe popołudnie jeszcze bardziej pochmurny wygląd. Za jej plecami rozlegał się monotony głos matki, opowiadającej o sosie cytrynowym i o tym, jakie warzywa najlepiej podać. Klementyna zaczęła, aż zrobi przerwę na oddech, i weszła jej w słowo.

- Wiesz, mamó, Megan, Alex i ja zdobyliśmy dziś pierwszą nagrodę za pracę z techniki. Spójrz, jaki dostałam dyplom.

Angel ścierała na klęczkach drewniane nogi stołu. Z głębokim westchnieniem powoli odłożyła ścierkę i wstała. Klementyna podała jej dyplom.

- Och, jak to wspaniale.

- Zobacz, tu jest napisane, że nasz labirynt dla szczurów wygrał ze względu na oryginalność i użyteczność. Niektórzy chłopcy w klasie zbudowali radia i podobne rzeczy, ale co roku ktoś to robi. Tym razem po raz pierwszy powstał labirynt dla szczurów.

- Jestem z ciebie dumna, skarbie. Wierz mi. Chciałabym mieć więcej czasu, żeby o tym pomówić, ale naprawdę muszę się już zabrać za tę nogę. I chcę sprzątnąć sypialnię na błysk przed przyjściem Johna. Wiesz, jak on lubi czystość w domu. Jeszcze raz gratuluję, skarbie.

Angel pocałowała Klementynę w czoło i udała się do kuchni, zabierając ze sobą ścierkę i pastę do mebli. Dyplom za pierwsze miejsce ciążył Klementynie w dłoni, jakby trzymała go od wielu godzin w nadziei, że zwróci wreszcie czyjąś uwagę. Wezbrała w niej ochota, by podrzeć go na drobne kawałki. Kiedy impuls minął, wyprostowała plecy i podniosła głowę. Przypnie dyplom do tablicy w swoim pokoju, obok zaświadczenia o ukończeniu kursu baletowego w Denver. Kto wie, w jakich jeszcze konkursach weźmie udział i ile razy zwycięży? Powinna na wszelki wypadek zostawić miejsce na tablicy.

Usiadła na kanapie i spojrzała na swoje odbicie w świeżo odkurzonej stoliku do kawy. Labirynt dla szczurów był pomysłem Alex. Jak tylko przeszła do ich grupy po wielu dniach błagań ze strony Megan, zaczęła sypać pomysłami. Klementynie nie sprawiło większych trudności poskromienie osobistej niechęci do Alex, bo zdawała sobie sprawę, że ona i Megan potrzebują jej, by wygrać. Schowała dumę do kieszeni i zostawiła Alex pole do popisu. Alex nie była w gruncie rzeczy taka zła, a poza tym liczyło się zwycięstwo.

Klementyna powróciła w pamięci do wydarzeń sprzed roku, kiedy przeniosła się do Sausalito. Jak tylko zobaczyła

Alex żartującą z koleżankami w ostatnim rzędzie na lekcji pani Carmichael, w jednej minucie zrozumiała, że rywalizacja będzie ostra. Nie uszło jej uwagi, że dziewczyny patrzą na Alex z zachwytem i podziwem. A kiedy Alex biegała jak szalona po boisku piłkarskim albo schylała głowę nad testem z matematyki, błyskawicznie wpisując odpowiedzi, w oczach chłopców widać było szacunek. Mimo wrażenia, jakie wywarło pojawienie się Klementyny, mimo zalewu propozycji, była przez pierwsze dni wściekle zazdrosna.

Nie знаła wcześniej tego uczucia. Co gorsza, wiedziała, że jej zazdrość jest nieuzasadniona. Wszystko poszło przecież zgodnie z planem. A Alex nie dorównywała jej nawet urodą. Szczerze mówiąc, gdy Klementyna popatrzyła na nią naprawdę krytycznym okiem, musiała przyznać, że w ogóle nie wydała się jej ładna. Miała za duży nos, zbyt pełne usta, zanadto wyraziste brwi, a jej niemal czarne włosy były zbyt kędzierzawe. Mimo to, jeśli Alex znajdowała się w grupie innych osób, a tak przeważnie było, i w centrum zainteresowania, co również zwykle miało miejsce, w Klementynę wstępował szatan. Kiedy Alex rozprawiała o czymś z roziskrzonym wzrokiem i żywą gestykulacją, jej cechy zespalały się w najbardziej oryginalną i urzekającą urodę, jaką Klementynie zdarzyło się

oglądać. W takich razach miała właściwie pewność, że nigdy nie widziała osoby równie atrakcyjnej. To było w Alex intrygujące. Zmieniała się nieustannie jak kameleon. Miała w sobie tyle życia, entuzjazmu i energii, że Klementyna czuła się przy niej jak przekłuty balonik.

Klementyna wiedziała, że zdoła opanować swoją zazdrość dla dobra pracy z techniki. Ku jej zdumieniu, jak tylko zabrały się do dzieła i wspólne pragnienie zwycięstwa skłoniło je do współpracy, zawiść osłabła. Aż pewnego dnia Klementyna roześmiała się głośno z jakiegoś dowcipu Alex i zrozumiała, że zazdrość zupełnie wygasła. Ma się rozumieć z początku były wobec siebie nieufne i każda chciała być górą. W gruncie rzeczy Klementyna była przekonana, że gdyby nie Megan, która odgrywała rolę rozjemcy, nigdy by się im nie powiodło.

Już po kilku dniach wspólnej pracy Klementyna zrozumiała, ile zaangażowania jest w Alex. Cokolwiek robiła, dawała z siebie wszystko. Klementyna sądziła przedtem, że Alex zawdzięcza dobre stopnie nadzwyczajnemu szczęściu, ale jak zobaczyła ją w akcji, zmieniła zdanie. Alex lubiła żartować, często mówiła różne rzeczy bez ogródek i zachowywała się skandalicznie, ale kiedy miała coś do zrobienia, skupiała się na tym całkowicie i nie dawała za wygraną, dopóki nie dopracowała najdrobniejszego szczegółu. Widząc, jak bez najmniejszych wahań i wątpliwości pracuje, myśli, porusza się i śmieje, Klementyna odkryła wreszcie powód swej zazdrości: Alex nie bała się. Choć wiele osób powiedziałoby to samo o niej, Klementyna wiedziała, że nie mają racji. Obawiała się wielu rzeczy. Tyle że nie chciała tego okazywać.

Po tygodniu pracy nad labiryntem zaczęły w trójkę wracać ze szkoły. Inicjatywa wyszła od Megan, która rzuciła zdawkową uwagę, że dzięki temu lepiej by się poznały i oszczędziły jej trudu podejmowania decyzji, komu towarzyszyć w drodze ze szkoły. Jako że ani Klementyna, ani Alex nie chciały przyznać się do obaw i skrępowania, wyraziły zgodę. Początkowo szły w dużej odległości od siebie, jakby oddzielał je niewidzialny mur nie do pokonania. Powoli jednak dystans między nimi zmniejszał się, a teraz wręcz wpadały na siebie ze śmiechem.

Klementyna miała z początku wrażenie, jakby ona i Alex były dwoma nie pasującymi do siebie sznurami paciorków, zwisającymi po dwóch stronach Megan, ale z czasem zaczęły się do siebie dostosowywać - tryskająca energią Alex, ambitna Klementyna i Megan, która chciała tylko spokojnie i miło spędzać czas. Trudno było uwierzyć, że tak różnym osobom w ogóle udaje się znaleźć wspólny język. Niewyjaśnionym

sposobem wyzwalaly w sobie nawzajem najlepsze cechy, jak dopełniające się kolory tęczy. Co najbardziej zdumiewające, Klementyna darzyła obie coraz większą sympatią. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, co to znaczy mieć przyjaciół.

Powróciła w pamięci do porannej uroczystości wręczenia nagród za prace z techniki. Cała szkoła zebrała się w sali konferencyjnej podczas tej ceremonii, a kiedy już było po wszystkim, wybiegły na zewnątrz i wyściskały się tak mocno, że rozboleły je ramiona.

- Udało się - powiedziała Alex. - Byłam tego pewna. Oczywiście to był mój pomysł.

Megan i Klementyna roześmiały się.

- Niech będzie, panno Doskonała - odparła Megan. - Ale to Klementyna przeprowadziła większość doświadczeń, a ja wpadłam na pomysł, żeby sprawdzić, czy szczury pamiętają, gdzie jest jedzenie. Napracowałyśmy się wszystkie tak samo.

- Wiem, wiem. Byłyście wspaniałe.

Klementyna zapragnęła nagle powiedzieć im, jak bardzo jest im wdzięczna. Nigdy wcześniej nikomu tego nie mówiła. Właściwie szczyła się tym, że potrafi być sama. Ale pojawiły się one, zaczęły ją przytulać, powierzać jej swoje sekrety, prosić o wspólne powroty do domu. Czowała się przy nich tak komfortowo, jakby ktoś owinął ją w ciepły, puszysty koc chroniący przed zimnem.

Rozmyślała o tym wszystkim, wracając ze szkoły. Alex i Megan śmiały się i rozmawiały prawie przez całą drogę, gdy ona tymczasem łamała sobie głowę, jak znaleźć słowa, które oddałyby, co ma w sercu, a jednocześnie nie brzmiały idiotycznie. Nigdy wcześniej nie musiała wyrażać swoich uczuć. Nikt o to nie dbał. Ojciec nie raczył powiadomić jej, gdzie mieszka, matki nie interesowało, co czuje, o ile nie komplikowało to jej współżycia z Johnem, a uczucia dla Johna Klementyna wołała zachować dla siebie.

Dotarły do miejsca, w którym Megan i Alex miały skrócić do siebie, a ona pójść dalej na szczyt wzgórza. Jeszcze raz spróbowała znaleźć odpowiednie słowa, lecz w końcu poddała się z rezygnacją.

- No, to do poniedziałku - odezwała się.

Już ruszyła w swoją stronę, gdy usłyszała głos Alex.

- Klementyno. Odwróciła się.

- Dzięki, że byłaś w naszej grupie. Bez ciebie pewnie by się nam nie udało.

Uśmiechnęła się do Alex i Megan, a one do niej. Było jasne, że wiedzą, co czuje. Obyło się bez słów. Klementynie zrobiło się ciepło w środku na to wspomnienie. Wstała i poszła do swojego pokoju na piętrze. Wygospodarowanie miejsca dla przyjaciółek w jej przyszłych planach nie będzie wymagało wielkiego zachodu. Była pewna, że uda się upchnąć je gdzieś pomiędzy zdobywaniem międzynarodowej sławy i robieniem krociowej fortuny.

* * *

Nikt nie wątpił, że Alex skończy dziewiątą klasę, czyli ostatni rok szkoły podstawowej, jako najlepsza uczennica. Powstawało tylko pytanie, jak blisko niej zdoła się uplasować Klementyna.

Megan lubiła pocieszać się myślą, że pomaga im obu. W końcu zdarzało się, choć trzeba przyznać - rzadko, że Alex za późno wróciła z kina albo lodowiska, nie zdążyła skończyć pracy domowej i Megan dawała jej do przepisania swoją. I chociaż Klementyna zachowywała się, jakby nigdy w życiu nie potrzebowała niczyjej pomocy, czasami prosiła Megan o radę, o czym najlepiej napisać pracę domową u tego lub innego nauczyciela.

Ostatecznie cenzurka Alex była wypełniona od góry do dołu piątkami, Klementyna musiała zadowolić się prawie samymi piątkami z dodatkiem kilku czwórek, a Megan, choć nieźle się pociała, dostała tylko czwórki i trójki. Była przeciętną uczennicą. Nauczyciele o tym wiedzieli. Na cenzurce wpisali jej w rubryce uwag zdania typu: „średnia na tle klasy” albo „nie wybijająca się, ale dobra”. Rodzice Megan zdawali sobie z tego sprawę i nigdy jej nie nękali wymaganiami. Przede wszystkim jednak zdawała sobie z tego sprawę sama Megan.

Tego czerwcowego popołudnia, ostatniego dnia szkoły, Megan wyszła na balkon rodziców i usiadła na miękkiej leżance. Tak dużo rozmawiały z Alex i Klementyną o tym dniu i o rozpoczęciu we wrześniu nauki w Liceum imienia Lincolna, że zaczęły traktować te wydarzenia jak piękne marzenie, którego ziszczenie wydaje się nieprawdopodobne. Tego dnia jednak sen stał się wreszcie rzeczywistością, a Alex i Klementyna nie mogły opanować się z radości. Szczypały się w ramiona i wybuchały śmiechem na myśl, co je czeka. Kiedy odwracały głowy ku Megan, ona pilnowała, by mieć na twarzy taki sam głupkowaty uśmiech. Jeśli długoletnia przyjaźń z Alex i nieco świeższa z Klementyną czegoś ją nauczyły, to chyba tego, że już wiedziała, iż żadna z nich nie rozumie jej lęków, niepokojów i trosk o przyszłość. Przechodziło ich pojęcie, że pogodne fantazje na temat dorastania, przystojnych licealistów i ciekawych

lekcji mogą przemienić się w koszmar. Wyobraźnia Megan podsuwała jej bowiem tylko obraz nieznanego budynku, nieznanymi nauczycieli i setek uczniów, których wcześniej nie widziała. W ich mniemaniu czekała je droga znaczona rozkwitem urody, obfitująca w wyzwania i ekscytujące przeżycia. Sama myśl o przyszłości budziła w nich pragnienie, by ją podbić. Megan owinęła sweter ściślej wokół ramion i spojrzała na morze.

Rodzice wyjechali na weekend do babci w Monterey, zostawiając ją samą z piątą już gosposią, jaką zatrudnili w ciągu ostatnich trzech lat. Przeprosili, że będą nieobecni w dniu rozdawania świadectw, ale to przecież dopiero szkoła podstawowa, a Megan musi zrozumieć, że babcia jest stara i bóle głowy, na które się skarży, mogą zapowiadać udar mózgu. Przecież nie mogą z czystym sumieniem zostawić babci samej, żeby pójść na uroczystość zakończenia szkoły, prawda?

Oczywiście, że nie, odparła Megan. Ona to rozumie. Zawsze rozumiała. Wszyscy to w niej uwielbiają. Mogą powiedzieć, co dusza zapragnie, a ona zawsze uśmiechnie się i zapewni, że wszystko w porządku. Rodzice nie przyszli na jej występy po kursie tańca, na sztukę, w której grała w piątej klasie, a teraz na zakończenie szkoły, i rozumie to. Na lekcjach tańca chłopcy mijali ją pośpiesznie, kierując się ku Alex lub jakiejś pięknej przewodniczącej szkolnej ekipy dopingującej, i też to rozumiała. Właściwie Megan była przekonana, że nawet gdyby ktoś powiedział jej, iż jest morderczynią-psychopatką, uśmiechnęłaby się i odparła: „Jakie to miłe”. Za bardzo bała się powiedzieć coś nieuprzejmego albo złośliwego, albo choćby wyobrazić sobie, że mówi, co naprawdę czuje. Czasami zastanawiała się, czy w ogóle są w niej jakieś uczucia.

Wstała i podeszła do balustrady. Znów była mgła. Każdy mieszkaniec Sausalito lub innej miejscowości w okolicach zatoki dochodził w końcu do takiego stanu, że nie dziwiły go gęste, upiorne chmury, zwisające nad wybrzeżem przez większą część roku. Megan jednak ciągle ich nienawidziła. Chciała mieszkać w słonecznym miejscu. Takim, gdzie jasne, ciepłe, żółte słońce świeci trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Chciała opalać się na złotobrazowy kolor, a nie - jak zawsze - spiekać się na czerwono i obsypywać wstrętnymi piegami. Chciała przez cały rok nosić szorty i koszulki bez rękawów.

Mieszkała jednakże w zasnutym mgłą Sausalito, a jej najlepszymi przyjaciółkami były piękna Klementyna i fascynująca Alex. Nie miała wątpliwości, że podejmą wyzwanie, jakim jest szkoła średnia, z godnością i zdecydowaniem, ona zaś - jak zawsze - będzie się ich czepiać jak rzep

psiego ogona. Nieśmiała, nudna, przeciętna Megan. Dojdzie do tego, że ją zostawią, a ona zacznie się zastanawiać, dlaczego w ogóle zawracały sobie nią głowę.

RS

Rozdział 3

Szkoła średnia zmienia wszystko w życiu dziewcząt. Torebki śniadaniowe z podobizną Snoopy'ego i czerwono-niebieskie plastikowe płaszcze przeciwdeszczowe idą w ką, a ich miejsca zajmują najmodniejsze ciuchy. Na wewnętrznej stronie drzwi szarych szafek w szatni, gdzie na stertach grubych książek pojawiają się lusterka, szczotki do włosów i tusze do rzęs, zamiast plakatów przedstawiających szczeniaczki o wielkich oczach przyklejane są podobizny gwiazd rocka albo własnych chłopaków na lśniących fotografiach o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Chłopcy przekształcają się z niezdarnych, zasmarkanych szczeniaków, wybuchających płaczem jak dzieci, gdy jakaś zwariowana dziewczyna przywali im w żołądek, w obce, niedostępne, niezrozumiałe istoty, skropione wodą kolońską, ubrane w skórę i dżinsy. Życie, które było dotąd uporządkowane, kojąco bezpieczne, pełne zapachu ciastek, lemoniady i zabaw z mamą, przeistacza się w szybkobieżny pociąg, pędzący przez nie zbadane obszary, gdzie miłość, nienawiść i codzienne problemy urastają do dwudziestokrotnych rozmiarów.

Powietrze w szkole średniej jest inne - gęstsze, uboższe w tlen, zaprawione wonią perfum, papierosów i potu. Decyzje, które jeszcze rok czy dwa lata wcześniej wydawały się takie proste - w co się ubrać, z kim spotkać, co robić i dokąd iść - teraz przysparzają obaw i niosą ze sobą komplikacje. Nagle świat przestaje być widziany przez różowe okulary, pełen cukierków i słońca.

Wśród licealistek łatwe przyjaźnie zastępuje zawily system współzawodnictwa. Dziewczyna musi mieć dobre stopnie, żeby dostać się na studia, pełnić funkcję przewodniczącej szkolnej ekipy dopingującej, żeby być lubianą, i prowadzić jakieś kółko, żeby cieszyć się szacunkiem. Niektórym zależy na opinii najpiękniejszej, innym - najbardziej eleganckiej, jeszcze innym - najsympatyczniejszej. Część zarzeka się, że nic jej nie obchodzi żadne szkolne rywalizacje, choć o tytuł największej luzaczki toczy się prawdopodobnie najostrzejszy bój. Istnieje wreszcie konkurencja, która cieszy się największym zainteresowaniem, budzi najgorętsze emocje i niszczy najwięcej przyjaźni - współzawodnictwo o chłopców.

Mimo że na listach w klasach licealnych figuruje wielu chłopców, każda dziewczyna wie, że istnieje tylko niewielka grupa takich, którzy wchodzi w grę jako potencjalni amanci. Należą oni do drużyn piłkarskich lub

baseballowych albo chodzą na warsztaty stolarskie. Czasem nawet można ich poznać na lekcjach z przedmiotów obowiązkowych, o ile nie są to zajęcia z dzieł Szekspira albo zaawansowanego rachunku różniczkowego i całkowego. Jeśli któryś jest za pryszczaty - odpada. Ma iloraz inteligencji powyżej osiemdziesięciu - odpada. Ciągłe nie wyrósł z tego niewdzięcznego wieku między dzieciństwem a dorosłością, kiedy nogi i ręce dyndają jak u marionetki - odpada. Nie mogą też być zbyt mili. To budzi nieufność dziewcząt.

Cóż z tego, że sympatyczni, pryszczaci, inteligentni chłopcy wyrosną na lekarzy, prawników i biznesmenów, z którymi dziewczyny będą później chciały spotykać się i zakładać rodziny? W liceum uchodzą za ostatnich palantów i nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, żeby z nimi chodzić.

Klementyna, Alex i Megan w drugim miesiącu dziesiątej klasy przesiedziały pewnego dnia do późna wieczorem w pokoju Klementyny, dyskutując na ten temat.

- Chyba ci się nie podoba ten niedojda z lekcji biologii, Meg? - zapytała Klementyna. - Przecież to taki wymoczek.

Klementyna wzięła paczkę papierosów i wyjęła jednego. Otworzyła okno obok toaletki, przy której siedziała, i zapaliła, wydmuchując dym na zewnątrz. Megan przyglądała się jej uważnie, usiłując zapamiętać, w jaki sposób oddycha bez kaszlnięcia - po tygodniu praktyki była już profesjonalną palaczką. Takie spostrzeżenia mogą się przydać, jeśli kiedyś sama sięgnie po papierosa.

- Nie, oczywiście, że nie - skłamała. Zanim siadła na łóżku, wygładziła kremową satynową narzutę. W rzeczywistości Billy Weinstein dużo z nią ostatnio rozmawiał i zastanawiała się, czy nie zdoła go poderwać. To prawda, że nie należał do najatrakcyjniejszych chłopców w szkole. Nosił grube, szylkretowe okulary i za krótkie spodnie, ale za to był miły. I rozmawiał z nią. Nikt inny nie wykazywał najmniejszego zainteresowania jej osobą.

- To dobrze - odezwała się Alex, siedząca na łóżku po turecku. Alex skupiała na sobie uwagę, gdziekolwiek się zjawiała, ale w pokoju Klementyny przyciągała wzrok ze szczególną siłą - jak nie sposób przeoczyć zapalenia światła po wielu godzinach ciemności. Dominowały tu odcienie kremu - piaskowe ściany, dywan i narzuta w kolorze kości słoniowej, cieliste zasłony i marmurowobiała toaletka. Na tle tych barw - Alex w różowo-fioletowych szortach i apaszce, ze zmierzwionymi włosami

na poduszce, o którą opierała głowę. Podmuch lodowato zimnego powietrza rozproszył zaduch panujący w pokoju.

- Tobie by się przydał - kontynuowała Alex - barczysty piłkarz o posągowym ciele, który zgniótlby cię w ramionach i obsypał tysiącem wilgotnych, gorących, namiętnych pocałunków.

Megan opadła plecami na łóżko i roześmiała się. Tylko Alex miała jakieś pojęcie o wilgotnych, gorących, namiętnych pocałunkach. Minęły raptem dwa tygodnie, a już miała największe powodzenie w szkole. Byli nią zainteresowani prawie wszyscy chłopcy. Megan nie mogła wyjść z podziwu, że Alex potrafi obrócić na swoją korzyść każdą nową sytuację.

Czasem podchodził do Megan jakiś wspaniały jasnowłosy byczek, a jej natychmiast serce podchodziło do gardła. Nareszcie, myślała. Zobaczył ją na korytarzu i zakochał się od pierwszego wejrzenia. Musiał ją zdobyć. Ale prawda wyglądała oczywiście tak, że chodziło mu o Alex, w której towarzystwie ją zauważył. Chciał się dowiedzieć, czy chodzi z kimś na stałe i jaki jest jej numer telefonu, by na zakończenie rzucić: „Rany, wielkie dzięki”.

Klementyna zaciągnęła się głęboko papierosem. Kiedy obłok wydychanego dymu zasłonił na chwilę jej twarz, szeroki uśmiech przygaśł na jej ustach. Uwielbiała, kiedy się spotykały we trzy, ale dlaczego one muszą cały czas rozmawiać o chłopakach. Można by pomyśleć, że nie mają innych zainteresowań.

A poza tym, jakie to ma znaczenie? Niech się Alex umawia ze wszystkimi debilnymi piłkarzami w szkole. Niedolegi, które chodzą z Megan na lekcje biologii i matematyki, w końcu wyrosną ze swej niezdarności i ona też znajdzie sobie kogoś, z kim będzie żyła długo i szczęśliwie. A jeśli chodzi o nią samą... Klementyna zaciągnęła się resztką papierosa i zdusiła go. W jej planach nie ma miejsca na chłopców. Nigdy go nie było. Znajdzie jakiś sposób, żeby zostać modelką, a potem ubóstwianą aktorką, a wtedy wszyscy chłopcy, którzy przeszli obok niej, wybierając Alex, będą sobie pluć w brodę, że pozwolili jej odejść.

Zirytowana ciszą, która zapadła w pokoju, Alex schwyciła numer „Siedemnastolatki” z nocnego stolika Klementyny i udała, że go czyta. Czują, że od kiedy trafiły do liceum, dystans między nimi zaczął się powiększać. Narzucało się jej porównanie z lekką, jeszcze niezauważalną warstwą kurzu, która pewnego dnia przemienia się w widoczną, zalegającą wszędzie cienką powłokę denerwującego brudu. Skrępowanie pojawiło się tak nagle i niespodziewanie, że nie była w stanie mu zapobiec. Teraz nie

wiedziała już, jak sobie z tym poradzić. Kiedy wstąpiły w progi tej szkoły, wszystko się zmieniło. Tutaj wszyscy zaciekle walczą między sobą o pierwszeństwo, o dobre stopnie, o miejsca w radzie uczniowskiej, o najlepszego chłopaka. Choć broniły się zawzięcie, ona, Megan i Klementyna zostały wciągnięte w tę rywalizację.

Co może poradzić na to, że chłopcy ją lubią? Gdyby Megan otworzyła się trochę, ją też by lubili. Megan jest od niej dużo ładniejsza. Właściwie typ jej urody dokładnie odpowiada upodobaniom większości licealistów - nieduża, słodka blondynka. A gdyby Klementyna zeszła ze swego cokołu, w ciągu sekundy też byłaby oblegana.

To takie niesprawiedliwe. Alex wiedziała, że są na nią złe. Nie okazują tego otwarcie, ale widzi, jak przestają słuchać, gdy tylko zaczyna mówić o Jerrym, Bobie albo Timie. Musiałaby być ślepa, żeby nie zauważyć, jak przestępują z nogi na nogę albo zakładają ręce, gdy ona wymiguje się od wspólnego kina, żeby pójść na randkę. Nigdy przedtem chłopcy nie stawali między nimi. W szkole podstawowej umawiała się równie często, ale wtedy rozumiały to i akceptowały. Może ma dla ich przyjemności postarać się, żeby przestali ją lubić?

Dobrze chociaż, pomyślała, że jeśli już zdradzają zainteresowanie randkami, to przynajmniej z zupełnie innymi chłopakami niż ona. Megan zależy na inteligencji, a Klementyna - gdy się do tego przyznaje - ma skłonność do samotników. Jeśli którakolwiek z nich zdecyduje się kiedyś na chłopaka, nie będą rywalizować między sobą o jego względy.

- Macie ochotę na trochę lodów? - zapytała nagle, zamykając energicznie pismo i wstając.

Klementyna i Megan uśmiechnęły się.

- Świetny pomysł - odparły obie naraz. Zeszły po schodach do kuchni, a lody waniliowe, syrop czekoladowy, bita śmietana i słodkie czerwone wiśnie roztopczyły na chwilę swój słodki czar, spychając w zapomnienie wszelkie myśli o chłopcach.

Tony pocałował Alex w usta tak mocno, że była pewna, iż następnego dnia rano będzie mieć czarnoniebieskie wargi. Mimo to nie protestowała. Podtrzymując jej plecy jedną ręką, położył Alex na skrzypiącym, obitym winylem przednim siedzeniu samochodu jego rodziców. Drugą ręką gładził jej bok w dół aż do biodra. Alex zamknęła oczy i doszła do wniosku, że tak wygląda raj. Zmysłowe wargi i ciepłe dłonie. Mmmm.

Pozwoliła, by wsunął rękę pod jej sweter i dotknął stanika. Kiedy jednak sięgnął do zapięcia z tyłu, odepchnęła go.

- Wystarczy, Tony - powiedziała, podnosząc się. Obciągnęła sweter i poprawiła włosy. - Dlaczego musimy przez to przechodzić na każdym spotkaniu? Powiedziałam ci, że nic z siebie nie zdejmę i nie żartowałam.

Tony Maclivio, któremu zmierzwiłone ciemne włosy spadały na czoło i do oczu, oddychał ciężko. Oparł się o drzwi z twarzą ukrytą w ciemnościach.

- Do diabła, Alex. Spotykamy się już szósty raz. To nieuczciwe. Jesteś taka uparta.

Roześmiała się i wyjęła z torebki szminkę. Wyciągnęła szyję, żeby dostrzec swoje odbicie w bocznym lusterku, i z wprawą pomalowała usta.

- Nieprawda. Powiedziałam, na co ci pozwolę, i dotrzymuję słowa. To twoja wina, jeśli się podniecasz bez powodu.

Tony zapalił silnik i wyjechał z pustego parkingu na najwyższym wzniesieniu Sausalito. W dole jarzyły się białe i żółte światła okien. Wolno jechał w kierunku jej domu. Alex nie odwracała się do niego, wyglądając przez boczną szybę po swojej stronie.

- Wiesz, co - powiedział, kiedy byli już prawie na miejscu. - Nie jesteś jedyną dziewczyną w naszej szkole. Mogę mieć każdą na zawołanie. Jak się postaram, będą mnie błagać, żebym je zechciał. W ogóle nie rozumiem, po co się z tobą zadawałem.

Zdażyła się przyzwyczaić do jęków Tony'ego na koniec każdego spotkania, ale tym razem zwróciła uwagę na ostrą nutę w jego głosie. Wyprostowała plecy i odwróciła się do niego.

- Słuchaj, Tony, przecież nic się nie stało. Poszliśmy do kina, całowaliśmy się trochę, a teraz wracam do domu. Dlaczego musisz zachowywać się jak dzieciak?

Zahamował gwałtownie, wprowadzając samochód w poślizg. Zatrzymali się dopiero na krawężniku. Wyłączył silnik i schwycił ją za ramię.

- Ty mała dziwko. Nie zaczynaj ze mną. Rozumiesz?

Spostrzegła, że jego oczy, które zwykle były brązowe, teraz stały się zupełnie czarne. Kiedy po raz pierwszy zwróciła na niego uwagę parę miesięcy wcześniej w gęstym tłumie palących marihuanę uczniów, którzy snuli się przy szkolnym parkingu, jego tygrysie oczy zaintrygowały ją, chociaż wcześniej nie dostrzegała go na wspólnych lekcjach. Podeszła do niego pewnego popołudnia, używając jako pretekstu prośby o podwiezienie do domu, a potem poszło już szybko.

Tony przechodził od razu do sedna sprawy bez najmniejszych oporów, nie dbając o gierki, którym nastolatki powinny oddawać się na randkach.

Pocałował ją namiętnie, jak tylko znaleźli się w samochodzie, chociaż oficjalnie poznali się nie więcej niż dziesięć minut wcześniej, a ona nie wykonała najmniejszego ruchu, żeby mu przeszkodzić. Robiła na niej wrażenie jego szczerość, otwartość, niechęć do trwonienia czasu. Z nikim wcześniej nie czuła się taka seksowna i pociągająca. Od tamtej pory zabrał ją kilka razy do kina i na obiad, ale wiedziała, że chciał mieć tę część wieczoru jak najszybciej za sobą, żeby się do niej dostać. Z początku jej to pochlebiało. Ale tego wieczora, kiedy poczuła, jak wbija palce w skórę jej ramienia, i - zagryzając wargi z bólu - powstrzymała się przed krzykiem, zaczęła zmieniać zdanie.

- Tak, Tony - odpowiedziała bez zająknięcia, modląc się, by nie usłyszał, jak wali jej serce. - A teraz odwieź mnie do domu.

Jeszcze przez minutę mierzył ją wzrokiem, a żar jego oczu parzył jej serce jak pokrzywa. Wreszcie zwolnił uścisk i zapalił samochód. Pięć minut później był już pod jej domem.

Alex trzymała rękę na klamce, chcąc wyskoczyć, zanim samochód zupełnie się zatrzyma, ale schwycił ją za włosy i jednym szarpnięciem przyciągnął do siebie. Próbowwała się opanować, ale wyrwał się jej z ust jęk bólu.

- Zapamiętaj, co powiedziałem, dziwko - wyszeptał. - Mogę mieć każdą na zawołanie. Każdą. Jeszcze się przekonasz.

Odepchnął ją. Wygramoliła się z samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Szła równym krokiem, aż samochód zniknął jej z oczu. Wtedy ruszyła pędem do domu i wbiegła na górę do swojego pokoju.

* * *

Tydzień później Megan wpadła do sypialni Alex w godzinę po lekcjach, ciężko dysząc po wyczerpującym biegu na szczyt wzgórza.

- Nie uwierzysz, co mi się właśnie przytrafiło - wysapała.

Alex odłożyła kartkę z pracą domową i podręcznik do matematyki. Podeszła do łóżka, na którym siedziała zdyszana Megan.

- To mi powiedz.

- Wyobraź sobie, że właśnie wychodziłam z szóstej lekcji, kiedy ktoś dotknął mojego ramienia. Nigdy nie zgadniesz, kto to był.

Zawiesiła wyczekująco głos. Alex roześmiała się.

- Engelbert Humperdinck. - Nie.

- Elvis Presley.

- Nie wygłupiaj się, Alex.

- Dobrze, poddaję się. Kto taki?

Megan uśmiechnęła się, przeciągając jak najdłużej chwilę niepewności.

- Tony Maclivio - wydała z siebie głębokie westchnienie. - Czy możesz w to uwierzyć? Powiedział, że od dawna chciał ze mną porozmawiać, ale brakowało mu odwagi. Zupełnie mnie zamurowało. On ze mną chodzi na hiszpański - to znaczy, o ile raczy przyjść - ale nigdy bym nie pomyślała, że mnie zauważył. Myślałam, że padnę.

Alex poczuła, że blednie. Megan wciąż mówiła, ale ona prawie jej nie słyszała. Zadźwięczały jej głośno w uszach słowa Tony'ego: „Jak się postaram, będą mnie błagać, żebym je zechciał. Mogę mieć każdą na zawołanie”. Tak powiedział. Gdyby zdobył Megan, byłby to niewątpliwy dowód, że tak jest rzeczywiście. Przypomniała sobie uścisk jego palców, który pozostawił jej następnego dnia siniaki na ramieniu. Przypomniała sobie miażdżącą brutalność jego warg. Spojrzała na Megan, która nigdy w życiu z chłopakiem się nie całowała, wyobraziła sobie ciemną postać pochylającą się nad twarzą przyjaciółki i odwróciła głowę.

- Megan, muszę ci coś powiedzieć - przerwała jej.

- Zaraz, daj mi skończyć.

Alex skinęła głową i dała szczupaka w kierunku wezgłowia łóżka. Oparła się o nie, kurczowo przytulając do piersi poduszkę.

- No, więc - kontynuowała Megan - Tony zapytał, czy może odprowadzić mnie do domu. To dlatego nie spotkałam się z tobą i Klementyną. Poszedł ze mną do samej furtki. Niósł nawet moje książki, uwierzyłabyś? Wydał mi się bardzo staroświecki. Wypytywał mnie o lekcje i o rodzinę, a kiedy zobaczył mój dom, był zaskoczony. Nigdy mnie nie cieszyło, że rodzice mają pieniądze, ale teraz jestem z tego zadowolona. Zaprosiłam go do środka, ale odmówił. I wiesz, co zrobił?

Alex spojrzała za okno.

- Nie wiem, Megan. Co zrobił?

- Pocałował mnie w rękę. Dasz wiarę? Omal nie zemdlałam. Aż mnie przeszedł dreszcz. A potem zapytał, czy się z nim spotkam w piątek wieczorem i oczywiście zgodziłam się. Jak tylko sobie poszedł, przybiegłam do ciebie. Nie cieszysz się?

Alex skierowała spojrzenie na Megan. Widok, który miała przed sobą, zdumiał ją. Megan przeistoczyła się. Jej błyszczące, żywe spojrzenie nie przypominało dawnych, rzucanych spod oka spojrzeń przestraszonego zajęcia. Ani śladu zgarbionych pleców. Siedziała wyprostowana, a Alex nigdy przedtem nie widziała tak szerokiego uśmiechu na jej ustach ani wyrazu tak całkowitego szczęścia na twarzy.

Minął tydzień od czasu, gdy Tony odwiózł ją do domu po ostatniej randce. Może zapomniał o swojej groźbie. Może tylko żartował. Mówił wtedy takim tonem, jakby usłyszał te kwestie w jakimś starym filmie z Jamesem Deanem i przeciwiczył je przed lustrem. Może naprawdę lubił Megan. W końcu nie łączyło go z Alex nic szczególnego. Kilka spotkań, kilka pocałunków, kilka kłótni na zakończenie wieczoru. Spróbowała wyobrazić sobie Tony'ego i Megan razem. Tony o drapieżnym spojrzeniu i stalowym uścisku, ubrany w swoją skórzaną kurtkę, i Megan, pogrążona w lekturze romansów i pełna szczytnych ideałów. Alex wstała.

- Słuchaj, Megan, ja...

W tym momencie do pokoju wpadła Klementyna.

- Widziałam, jak szłaś z Tonym Maclivio - powiedziała. - Nie do wiary. Złowiłaś największego twardziela w szkole. Opowiedz mi zaraz tę straszną historię z najdrobniejszymi szczegółami. Chcę wiedzieć wszystko.

Megan roześmiała się i pociągnęła ją na łóżko. Po raz drugi zrelacjonowała całe wydarzenie, a potem, nagabywana z entuzjazmem przez Klementynę, opowiedziała, w co ubierze się w piątek, co zamierza robić i mówić. W końcu przypomniała sobie, że Alex chciała jej coś powiedzieć, ale kiedy zapytała, o co chodzi, ta zatrzymała swoje obawy dla siebie. Doszła do wniosku, że jej podejrzenia pachną melodramatem. Tony po prostu zobaczył Megan, spodobała mu się i ma wobec niej jak najlepsze zamiary. Na pewno nie postąpi z Megan tak brutalnie jak z nią. Jest wystarczająco inteligentny, żeby zdać sobie sprawę, że ona by tego nie zniosła. A jeśli nie, to niech uważa, bo Alex połamie mu wszystkie kości.

* * *

Megan i Tony spotykali się w każdy piątek. Ona chętnie widywałaby go także we wszystkie soboty, ale rodzice jej zabronili. „Raz w tygodniu w zupełności wystarczy” - orzekł ojciec. Megan zdziwiła się, że wykazał jakiegokolwiek zainteresowanie jej sprawami. Po raz pierwszy zdarzyło się, że rodzice narzucili jej swoje warunki, i chociaż Tony beształ ją, że zachowuje się jak dziecko, nie chcąc złamać umowy przynajmniej raz na jakiś czas, Megan nigdy się na to nie zdecydowała. Dzięki temu czuła się prawie jak w normalnej rodzinie.

Tony był wspaniały. W jego obecności reszta świata przestawała istnieć. Dzwonił do drzwi i eskortował ją do samochodu, a kiedy już byli w środku, ściany i szyby zamykały ich w innych wymiarach, w których istniało tylko ich dwoje. Istniał tylko Tony, jego dłoń trzymająca jej rękę, jego niski, głęboki głos, w którym było mnóstwo radości przeznaczonej tylko dla niej.

Jego falujące włosy opadające niesfornie na czoło aż się prosiły, żeby ich dotknąć.

Z początku chodzili do kina i czasem na hamburgery, a jego staroświeckie pomysły robiły na Megan coraz większe wrażenie. Trzymał ją za rękę, otwierał przed nią drzwi, a kiedy żegnali się wieczorem, całował w policzek. Dokładnie tak, jak we wszystkich czytanych przez nią romansach. Tony ją szanował i nie chciał jej ponaglać.

Po kilku tygodniach zaczęła już marzyć, żeby dotknął wargami jej ust. Miał najbardziej zmysłowe usta, jakie kiedykolwiek widziała, były pełne i pięknie wykrojone. Kiedy pewnego razu pochylił się ku niej, żeby coś szepnąć do ucha, omal nie odwróciła głowy i nie przyciągnęła go do siebie.

- To tylko kwestia czasu - powiedziała jej Klementyna. - Nie śpieszy się, żeby cię nie wystraszyć. Powinnaś być zachwycona.

Tym niemniej Megan nie mogła się doczekać, kiedy Tony zrobi kolejny krok.

Wreszcie po miesiącu, kiedy mówił jej dobranoc, położył dłoń na jej szyi. Miał chłodne palce i przeszedł ją dreszcz. Odniosła wrażenie, że stoi tak od wielu godzin, zastygła jak rzeźba z lodu, aż w końcu podniosła wzrok. Burczało jej w brzuchu tak głośno, że musiał to słyszeć.

- Od tak dawna chciałem cię pocałować - powiedział ochryplym głosem.
- Pocałować tak naprawdę.

- Och, Tony.

Ich wargi spotkały się i Megan poczuła, że pryskają ostatnie więzy łączące ją z rzeczywistością. Otworzył usta, a ona poszła za jego przykładem. Wkrótce dotknął językiem jej języka, najpierw żartobliwie, a potem zdecydowanie. Zarzuciła mu ramiona na szyję i objęła z całej siły.

Od tego czasu, kiedy Tony prosił, żeby wykradła się z domu w sobotę wieczorem, jak rodzice będą pewni, że już śpi, spełniała jego życzenie bez chwili wahania. W tygodniu mówiła im, że nocuje u Klementyny albo u Alex, gdy w rzeczywistości pędziła w ramiona Tony'ego. Utrata ich zaufania nie była wysoką ceną za chwilę w jego towarzystwie.

Przestała interesować się nauką, jedzeniem i spaniem - wszystkim, z wyjątkiem tego, w co się ubrać na następne spotkanie z Tonym, co będą robić i dokąd pójść. Było jej trudno skoncentrować się na rozmowie, o ile nie dotyczyła Tony'ego. Klementyna i Alex zostały zepchnięte na dalszy plan i zaczynały się liczyć dopiero w krótkich chwilach wolnego czasu pomiędzy randkami, wyprawami do sklepu po nowe ubranie i rozmowami telefonicznymi z Tonym, po których zasypiała ściskając w rękę słuchawkę.

Klementyna ostrzegała ją, że popadnie w uzależnienie. Alex wręcz jej poradziła, żeby rozluźniła związek z Tonym i zostawiła sobie trochę miejsca na oddech. Nawet matka napomknęła pewnego razu, że Megan trochę zbyt poważnie traktuje „tego chłopca”. Megan słuchała ich jednym uchem i odrzucała wszelkie rady.

Zdawała sobie sprawę, że przestaje dbać o te dziedziny swego życia, które nie mają bezpośredniego związku z Tonym. Nie zależało jej na nich tak czy owak. Nie uświadamiała sobie wcześniej, jak żalosną wiodła egzystencję, dopóki Tony jej nie uszczęśliwił. Była gotowa kłamać, kraść i oszukiwać, byle z nią został. Wtargnął w jej życie, podbił i wywrócił cały jej świat do góry nogami. Szczerze mówiąc, nie miała ochoty stawiać go z powrotem nogami w dół.

- Mam kłopot - powiedziała Alex do Klementyny pewnego wieczoru, kiedy Megan znów miała spotkanie z Tonym.

- Ty? Nie uwierzę - roześmiała się Klementyna i podeszła do lustra toaletki w swojej sypialni. Właśnie przeczytała w „Vogue” artykuł o tym, że sypialnia dokładnie odzwierciedla charakter osoby, która w niej mieszka. Kiedy rozejrzała się dokoła, zrozumiała, że to prawda. Sypialnia każdej z nich miała jakiś specyficzny rys. U Megan były to koronki i romanse, u Alex głośna muzyka i sport, a u Klementyny skromna elegancja. Jakie to szczęście, że miała styl. Usiadła na taborecie, czesząc włosy.

- Mówię poważnie - oznajmiła Alex. - Chodzi o Megan i Tony'ego.

Klementyna przestała szczotkować włosy i odwróciła ku niej twarz.

- Opowiadaj.

- Myślę, że ją tylko wykorzystuje. Klementyna rzuciła szczotkę na podłogę i wstała.

- Nie mieści mi się w głowie - powiedziała, podchodząc do Alex na odległość cala. - Możesz zdobyć każdego faceta, którego zapragniesz, ale kiedy Megan w końcu też sobie jakiegoś znajduje i akurat tak się składa, że jest to najprzystojniejszy chłopak w szkole, nie masz nawet na tyle przyzwoitości, żeby cieszyć się razem z nią. Co z ciebie za przyjaciółka?

Alex też wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

- Nie rozumiesz. Ja się z nim spotykałam. On...

- Aha, już widzę. Nie możesz znieść, że podoba mu się ktoś inny. To nie do wiary, Alex. Ty...

- Mogłabyś przestać mówić i dać mi skończyć! - krzyknęła Alex.

Klementyna założyła ręce i usiadła na łóżku.

- Proszę bardzo.

- Dziękuję.

Alex zdała dokładną relację ze swojego ostatniego spotkania z Tonym, obserwując reakcję przyjaciółki. Kiedy skończyła, Klementyna podeszła z powrotem do toaletki i wzięła szczotkę do włosów.

- W porządku, niesprawiedliwie cię osądziłam. Przepraszam. Mimo to myślę, że bardzo się mylisz. Gdyby Tony rzeczywiście chciał się na tobie odegrać, już by to zrobił. Megan szaleje z miłości do niego od tygodni. Miał dość czasu, żeby ci udowodnić, że potrafi kogoś zranić równie mocno jak ty. Przestań się martwić i ciesz się z ich szczęścia. Tony zmienił się pod wpływem miłości.

- Mój Boże, mam nadzieję, że masz rację. - Alex podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz, chociaż miała przed oczami tylko twory własnej fantazji. Wyobraziła sobie palce Tony'ego wbijające się w skórę Megan i przeszedł ją dreszcz. - Obyś się nie myliła.

* * *

Tony rozłożył koc na skalistej ziemi, a kiedy już usiedli, przykrył ich drugim. Megan zawsze ciekawiło, jak wygląda to miejsce. Żeby do niego dotrzeć, musieli przejść od drogi piechotą prawie pół kilometra. Alex nazywała je „Skałą Kochanków”. W przekonaniu Megan musiała coś wiedzieć na ten temat, bo bywała tu dość często. Tony przeprosił Megan, że zabrał ją w to miejsce. Zapewnił, że nie myśli o niej w ten sposób, ale nigdzie indziej nie mogliby być sami. Nie chciało jej się wierzyć, że jest taki dobry.

Była druga rano, wokół zalegała mgła i siąpiła delikatna mżawka. Drzewa zwieszające gałęzie nad polaną wyglądały jak zasłonięci płaszczami zbójcy w czarnych maskach. Wydawały na wietrze dźwięk przypominający chichot. Megan zadrzała. Nawet ramiona Tony'ego nie były w stanie odpędzić chłodu.

- Odpreż się - jego matowy głos brzmiał kojąco. Przytuliła twarz do piersi Tony'ego. Kiedy poczuła jego zapach, stanowiący mieszaninę woni potu, papierosów i wody kolońskiej, zbójcy oddalili się. Nie miała wątpliwości, że Tony obroni ją przed każdym niebezpieczeństwem.

- Kocham cię, Tony - szepnęła. Wciąż ćwiczyła wymawianie tych słów, wypowiadając je tylko po to, by usłyszeć, jak wspaniale brzmią.

- Ja też cię kocham, maleńka.

Położył się na wznak na kocu, przyciągając ją do siebie. Oparła się na łokciach, odliczając w duchu godziny, które im jeszcze zostały, zanim

będzie musiała wkraść się z powrotem do sypialni. Trzy godziny - sto osiemdziesiąt minut i z każdą chwilą mniej. Zadała sobie pytanie, czy ludzie żonaci uświadamiają sobie, jakie mają szczęście, że są bez przerwy razem, na zawsze, że nic nie ogranicza ich w czasie, że nikt nie kradnie im wspólnych chwil.

Tony zanurzył palce w jej włosach.

- Jesteś taka piękna, wiesz? Jak jakaś modelka. Nigdy nie myślałaś o tym, żeby zostać modelką?

Zarumieniła się i pocałowała go. Jak to możliwe, że spotyka ją takie szczęście? Dlaczego nie pokochał Alex albo Klementyny? Dlaczego właśnie ją?

- Nigdy nie przypuszczałem, że taka dziewczyna jak ty może mnie polubić. Jesteś taka inteligentna. I ładna. Twoje włosy wyglądają, jakby przeświecało przez nie słońce. I masz taką miękką skórę, Meg.

Przebiegł palcami w dół jej ramienia. Wypreżyła się, czując, jak drażnią jej skórę setki łaskoczących igielek.

- Myślałem, że będziesz wołała jakiegoś mózgowca - powiedział.

- Ależ nie, Tony. Ty mi się podobasz. Kocham cię. Nie umiałabym pokochać nikogo innego.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście, że tak.

Pocałował ją. Z takim zachwytem przyjmowała ruch dłoni Tony'ego na swoich plecach, że nie zauważyła, iż jego wargi przylegają do jej ust z coraz większą siłą. Przekreślił się, unieruchamiając ją pod sobą.

- Tak bardzo cię pragnę, Meg.

Tylko przez chwilę poczuła lęk na wspomnienie lekcji wychowania seksualnego, ostrzegających przed chorobami i ciążą. Obawy zniknęły na widok oczu Tony'ego, wpatrzonych w nią błagalnie. Jak może mu odmówić? Powinni być razem. Przecież się kochają. To niepodobieństwo wymagać od nich, żeby czekali.

- Ja też cię pragnę - powiedziała, ściągając sweter przez głowę.

Tony uśmiechnął się w ciemności.

* * *

Zanim skończyły dziesiątą klasę, Alex zdążyła już zapomnieć o swoich obawach związanych z Tonym. W dalszym ciągu spotykał się z Megan i byli wciąż tak samo szczęśliwi. Pewnego razu spotkali się nawet we czwórkę z chłopakiem, którego Alex poderwała na zajęciach ze stolarstwa. Nie pamiętała już jego imienia. W każdym razie poszli grać w mini-golfa.

Nie zauważyła wtedy u Tony'ego śladów dawnego zachowania. Był miły, czarujący i słowem nie wspomniał o ostatnim wieczorze z Alex. Kręcił się koło Megan jakby była kosztowną porcelanową lalką, która może się w każdej chwili stłuc. Było oczywiste, że ją kocha. Alex odetchnęła z ulgą.

W dwa tygodnie po rozpoczęciu wakacji zamierzała z Megan i Klementyną spędzić dzień na żaglówce. Prawie wcale się nie widywały w trójkę, bo Megan bujała w swym romansowym świecie. Zdziwiające więc, że pomysł wyszedł właśnie od niej. Chciała, jak to się mówi, podzielić się z nimi swoją radością i chociaż Alex przerażała perspektywa słuchania od rana do wieczora o tym, jak Tony zrobił to czy tamto, nie zamierzała przepuścić okazji spędzenia całego dnia na ośmiometrowej żaglówce rodziców Megan.

Alex i Klementyna zapakowały suchy prowiant na obiad i oczekiwały Megan na przystani. Prawie zawsze przychodziła punktualnie, więc kiedy nie zjawiała się o umówionej porze ani przez następne pół godziny, zaczęły się niepokoić. Wreszcie czterdzieści pięć minut po czasie przyszła Megan. Miała zaczerwienione oczy i włosy w nieładzie. Alex poczuła w środku skurcz paniki. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak kości Tony'ego pękają pod jej rękami.

- Nic ci nie jest? - zapytała.

Megan potrząsnęła głową i z jej oczu popłynęło kilka łez.

- Wypłynmy najpierw na wodę. Muszę stąd uciec. Skierowały się w stronę Mostu Golden Gate. Wiał słaby wiatr i płynęły powoli. Alex obsługiwała żagle, popatrując przez ramię na Megan, która siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, unosząc się i opadając na falach jak boja. Klementyna zabroniła jej odzywać się do Megan.

Kiedy dopłynęły do mostu, zrzuciły żagiel i usiadły w rufowej części żaglówki. Megan wytarła oczy i podniosła wzrok.

- Jestem w ciąży.

Klementyna schwyciła dłoń Alex i mocno ją ścisnęła. Wyciągnęła drugą rękę i objęła Megan za ramiona.

- Kiedy się dowiedziałas?

- Dziś rano. Tuż przed przyjściem do was.

- Tony o tym wie?

Megan otworzyła szeroko oczy. Znow napłynęły do nich łzy i pociekły obfitą strugą jak woda z kapiącego kranu, który nie daje się naprawić.

- Nie. O, Boże. Nie wiem, co zrobić.

Alex otworzyła usta, ale Klementyna nie dała jej dojść do słowa.

- Powiem ci coś. Zawrócimy tę łódź i pójdziesz prosto do Tony'ego. Oznajmisz mu, że jesteś w ciąży, a on, jeśli cię chociaż trochę kocha, pomoże ci. Jeśli nie, ja ci pomogę. Tak czy inaczej obiecuję, że wszystko będzie dobrze.

Megan zagryzła wargi i skinęła głową. Popłynęły z powrotem w stronę przystani. Zanim przybiły do brzegu, Alex usiadła obok Megan.

- Klementyna potrafi być czasem taka twarda - powiedziała. - Ciekawe, czy zdarza się jej tracić głowę.

- Wątpię - wymamrotała Megan, ściskając brzuch, jakby ucisk mógł zmusić dziecko do opuszczenia jej wnętrza.

- Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć, prawda? Megan oparła głowę o głowę Alex.

- Oczywiście. To moja wina, Alex. Zdaję sobie z tego sprawę. Tylko że kiedy jestem z nim, przestaję myśleć. Zupełnie. A zwłaszcza o antykoncepcji i innych przyziemnych sprawach. Liczą się tylko uczucia. Wiem, że to strasznie brzmi, ale w rzeczywistości jest wspaniałe. To najcudowniejsza rzecz na świecie. A wiesz, co jest jeszcze bardziej zdumiewające?

- Co?

Megan roześmiała się. Słyszając w jej śmiechu nutę gorzkości, Alex objęła ją mocniej.

- Kiedy lekarz powiedział mi, że jestem w ciąży, poczułam tylko, że jestem bardzo szczęśliwa. Wyobrażasz sobie coś równie absurdalnego? Piętnaście lat, w ciąży i jeszcze szczęśliwa z tego powodu. Ale, wiesz, cały czas myślę o tym, że to nie jest byle jakie dziecko. Ono jest Tony'ego. Ono nas zwiąże na zawsze. Wiem, że to zmieni całe moje życie, ale gwizdę na to. Tony i ja pobierzemy się i będziemy je mieć.

Alex przełknęła ślinę i pomogła Klementynie wprowadzić żagłówkę do przystani.

* * *

Kiedy Megan dotarła do domu Tony'ego, był w garażu. Pochylał swą ciemną głowę nad motocyklem, który naprawiał od tygodni. Obserwowała go przez chwilę, wciąż onieśmiewiona faktem, że ją kocha, choć minęło wiele miesięcy, od kiedy powiedział jej o tym po raz pierwszy. Wzięła głęboki oddech, podeszła do niego od tyłu i pocałowała w szyję.

- Co jest, do diabła? - błyskawicznie odwrócił się, a ona odskoczyła ze strachem.

- Ach, to ty, Megan. O, Boże, ale mnie wystraszyłaś.

- Przepraszam.

Odłożył narzędzia i podszedł do niej.

- No, już, wszystko w porządku. Po prostu nie spodziewałem się, że jeszcze cię dziś zobaczę.

- Wiem. Ale musimy porozmawiać. Spojrzał na nią badawczo i wziął za rękę.

- Chodź. Wejźmy do środka. Nikogo nie ma.

Weszli do domu i usiedli na kanapie w salonie. Megan była przedtem u niego tylko dwukrotnie, za każdym razem, kiedy rodzice dokądś wyjechali.

Rzuciła okiem na pomieszczenie i domyśliła się, że Tony wstydzi się uboższego wyposażenia - podniszczonej pomarańczowo-brązowej wykładziny, pęknięć na brązowej winylowej sofie, gazet porozrzucanych na podłodze, jakby oddalony o pięć kroków kosz na śmieci w kuchni był o pięć kroków za daleko. Miał już dość czasu, żeby zrozumieć, że ona nie zwraca na takie rzeczy uwagi. Mógłby mieszkać na ulicy, a i tak nie miałyby to dla niej znaczenia.

- No, co się dzieje?

Wzięła go za rękę i mocno ją ścisnęła. Powtórzyła te słowa po drodze chyba ze sto razy. To nic trudnego. Po prostu mu powie. Będzie zdziwiony, może nawet trochę zmartwiony, ale w końcu się ucieszy. Będzie chciał się z nią ożenić.

- Tony, jestem w ciąży.

Nie odważyła się spojrzeć na niego od razu. Skupiła wzrok na pomiętej gazecie na podłodze, usiłując odczytać tekst mimo zgnieceń. Czas mijał, a cisza stawała się coraz głębsza. Kiedy poczuła, że jej ciężar ją przygniata i nie znieśie dłużej niepewności, podniosła głowę.

Tony patrzył na nią i uśmiechał się. Nie takiego uśmiechu jednak oczekiwała. Ten był dziwny i jakby przyklejony do jego twarzy, przypominał uśmiechy wymalowane na twarzach manekinów w domu towarowym. Jego pełne wargi zwężyły się i zbieleły. Były ściśnięte i bezkrwiste. Wyraz oczu zaś zupełnie nie pasował do uśmiechu. Źrenice miał rozszerzone do tego stopnia, że tęczówki wydawały się zupełnie czarne.

- Jestem w ciąży - powtórzyła.

W końcu uśmiech znikł z jego twarzy jak sprzed oczu widza znika scena, którą zasłoniła kurtyna. Pojawiły się na niej ponownie czułość i delikatność, które znała.

- Co powinniśmy zrobić twoim zdaniem? - zapytał.

Wzięła głęboki oddech. Zmienił się na chwilę pod wpływem szoku, ale teraz był znów Tonym - mężczyzną, który ją kocha. Podniosła dłoń i dotknęła jego policzka.

- No cóż, nie wydaje mi się, żebyśmy mieli jakiś wybór. Jeśli pobierzemy się tego lata, nie wypadnie jeszcze tak źle. Będziesz miał skończoną szkołę, więc dostaniesz pracę. Ja wrócę do liceum, jak dziecko trochę podrośnie.

Przysunął się do niej tak blisko, że czuła na policzkach jego gorący oddech. Czekwała na oświadczenia. Wiedziała, że będzie chciał się oświadczyć jak należy, romantycznie, może nawet uklęknie na kolano.

- Jak bardzo chcesz za mnie wyjść, Meg? - wyszeptał.

Potrząsnęła głową, zastanawiając się, czy dobrze słyszy. Jego głos brzmiał dziwnie, ostrzej niż zwykle i było w nim napięcie. Chciała się odsunąć, żeby spojrzeć mu głębiej w oczy, ale przytrzymał ją od tyłu za głowę.

- Przecież wiesz - odparła niepewnym głosem.

- Ale mi powiedz.

Poczuła w żołądku mdłości. Podeszły jej do gardła, pozostawiając w ustach smak żółci.

- Najbardziej na świecie. Wiesz o tym.

- Będziesz musiała mnie błagać, żebym cię zechciał. Powinnaś wiedzieć, że nie jest mnie łatwo zdobyć. Poproś mnie, żebym się z tobą ożenił, Meg, to zobaczymy.

Odwróciła głowę i próbowała bezskutecznie uwolnić się z jego chwytu.

- Dlaczego zachowujesz się w taki sposób? Nie rozumiem...

- To całkiem proste. Jeśli chcesz być ze mną, musisz mnie poprosić.

Wczepił palce we włosy Megan i odchylił jej głowę do tyłu.

Spojrzała w jego czarne oczy. Wiedziała, co powinna zrobić, co zrobiłyby Alex czy Klementyna. Klementyna wymyśliłaby jakąś niezapomnianą, płomienną kwestię końcową, a Alex naplułaby mu w twarz. Ale Megan kochała go i zawsze uważała, że miłość powinna stać na pierwszym miejscu. Przed dumą i honorem. Przed wszystkim.

- Proszę cię, Tony, ożeń się ze mną - powiedziała, a po policzkach pociekły jej łzy. - Błagam cię.

Przytrzymał ją za włosy jeszcze chwilę, a potem puścił. Upadła na kanapę, a on wstał. Złapał ją pod brodę i zmusił do podniesienia głowy tak wysoko, że w końcu na niego spojrzała.

- Twoją przyjaciółkę Alex zaciekawi, że to powiedziałaś. Cofnął rękę, podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je.
- A teraz wynoś się do diabła z mojego domu.

RS

Rozdział 4

Klementyna zatrzymała dym w płucach tak długo, aż zaczęło jej brakować powietrza, a żar zapiekł w gardle. Alex ostrzegła ją przed chorobami płuc, rakiem i śmiercią za młodu. Jakby Klementynie zależało na tym, żeby się zestarzeć, sflaczeć i dostać zmarszczek. Matka i ojczym narzekali, że smrodzi w mieszkaniu i brudzi popielniczki. Poza tym była ich zdaniem za młoda, żeby palić. Według nich zwisający jej z ust papieros nie wyglądał dobrze. Jakby ją obchodziło, co myślą.

Palenie było częścią jej artystycznego wizerunku. Z długim, cienkim papierosem w palcach wyglądała bardziej fascynująco, bardziej hollywoodzko. W dodatku monotonia palenia, wdychanie i wydychanie powietrza, obserwowanie srebrnego popiołu i dymu płynącego bezustannie do góry odprężało ją. A nigdy nie potrzebowała uspokojenia bardziej niż w tej chwili.

Odwróciła twarz od zmokniętych szyb. Megan wreszcie zasnęła. Jej piersi unosiły się i opadały jednostajnie. Miała bladą twarz i wyraźne, ciemne kręgi pod oczami, które jednak z czasem znikną. To było jedyne pocieszenie, jakie Klementyna mogła jej ofiarować. Czas uśmierzy w końcu nawet najbardziej dotkliwy ból.

Zdusiła papieros i podeszła do łóżka. Megan wstrząsnął dreszcz, więc Klementyna naciągnęła jej koc pod szyję. Ogarnęło ją dziwne uczucie. Po raz pierwszy w życiu zapragnęła wziąć na siebie część czyjegoś bólu. Wiedziałyby, co zrobić na jej miejscu. Wskoczyłyby z łóżka, zabrała pistolet, zastukała do drzwi Tony'ego i zestrzeliła mu obłudny uśmiech z tej jego wstrętnej twarzy. Ale Megan, której jedyny błąd polegał na tym, że kochała za mocno niewłaściwego mężczyznę, była pogrążona w cierpieniu i Klementyna nic nie mogła na to poradzić. Po cichu opuściła pokój i zeszła po schodach na dół. Alex siedziała na samym brzeжку kanapy w salonie.

- Jeszcze kawałek i spadniesz.

Alex podniosła wzrok i bezskutecznie spróbowała się uśmiechnąć.

- Jak ona się czuje?

- Śpi. Moim zdaniem naprawdę nie powinna wracać dziś na noc do domu. Rodzice zorientują się, że coś jest nie tak. Lepiej znajdziemy jakiś pretekst.

- Już o tym myślałam. Powiem im, że szykuję dziś z zaskoczenia nocną prywatkę na jej urodziny i zapomniałam ich wcześniej uprzedzić. Uważają, że jestem postrzelona, więc to powinno pasować. Jej urodziny są dopiero w

następnym miesiącu, ale taki wykręt musi wystarczyć. Przypuszczalnie i tak oleją sprawę. Z reguły podchodzą w ten sposób do wszystkiego, co dotyczy Megan.

Klementyna skinęła głową i usiadła. Zastanawiała się, gdzie jest jej matka. Musiała być do niedawna w domu. Blask świeżo odkurzonych stolików przyćmiewał nawet jasności niebieskie. Angel była prawdopodobnie na zakupach i znowu załatwiała jakieś sprawy dla Johna. Może wiek którejś z jego koszul przekroczył już trzy miesiące? Angel nigdy nie dopuszczała, by koszula miała ponad trzy miesiące. Ojciec Klementyny, Duke, przywiązywał do tego wagę. Nie znosił starych ubrań. I nieświeżego jedzenia. Skoro już o tym mowa, nie znosił też tych samych, starych twarzy.

Klementyna wzdrygnęła się i ponownie wstała. O swoim ojcu myślała tylko wtedy, gdy działo się coś złego. Kiedy ktoś został skrzywdzony albo umarł, albo kiedy matka była zbyt zajęta Johnem, żeby poświęcać jej dość uwagi, przed oczyma Klementyny pojawiała się oblicze Duke'a, stanowiące niemal lustrzane odbicie jej własnej twarzy, tyle że nieco bardziej kanciaste i z brązowym zarostem. Paliło jej oczy, aż pojawiały się w nich łzy. To nie znaczy, że jeszcze cierpiała z jego powodu. Potrafiła bez niego żyć. Robiła to już od lat. Dawno temu nauczyła się też tolerować przywiązanie matki do ojczyzna. Angel nie zamierzała stracić także Johna. Go to, to nie. Klementyna często słyszała, że odkurzając mamrocze bez ustanku: „Nie stracę Johna. Nie stracę Johna”, jak zdarta płyta.

- A jak ty się czujesz? - zapytała Alex, odpędzając obraz Duke'a sprzed oczu Klementyny.

Odwróciła głowę i uśmiechnęła się.

- W porządku. Jestem chyba zmęczona. Megan wyglądała przez chwilę tak blado. Przestraszyłam się, że... No, wiesz, miałam po prostu wrażenie, że coś poszło nie tak. Ale teraz ma już najgorsze za sobą.

Alex potarła czoło.

- Mam ochotę go zabić. Chyba bym mu wydrapała oczy, gdybym go zobaczyła. Ja go...

- Alex, przestań - Klementyna usiadła obok niej. - Wiem, co czujesz. Wierz mi. Ale nauczyłam się jednego: nie wolno się zniżać do czyjegóż poziomu. Tony w końcu dostanie za swoje. Poczekaj, jeszcze się przekonasz. Sprawimy mu największy ból, całkowicie go ignorując. Zachowując się tak, jakby to, co zrobił Megan, nie miało żadnego znaczenia. To zrani go najbardziej.

- Sama nie wiem.

- A ja wiem. Zastanów się - każdemu zależy na wywołaniu jakiejś reakcji. To dlatego Tony posunął się tak daleko. Chciał, żebyś zareagowała na jego okrucieństwo. Jeśli tego nie zrobisz, dostanie szału. A tymczasem Megan nas potrzebuje.

- O, mój Boże, Megan. Klementyna oparła głowę o głowę Alex.

- Chciała tego dziecka - powiedziała Alex. - Licho wie dlaczego, ale chciała.

- Wiem. Omal się nie wycofała. Może bym i wołała, żeby tak się skończyło. To wszystko przeze mnie. Ja wybrałam lekarza, choć nie jestem teraz pewna, czy zasługuje na to określenie.

- Nie miałaś specjalnego wyboru. Trzeba to było załatwić szybko. Zrobiłaś, co mogłaś.

- Wiem, ale czuję się odpowiedzialna. Mogłam przynajmniej poczekać jeszcze jeden dzień i sprawdzić tego faceta dokładnie. Pozwalałabym go, gdyby Megan zgodziła się na rozprawę. To rzeźnik. Straciła dużo krwi.

Oparły się o kanapę, słuchając tykania zegara. Było miarowe i niezmienne, choć tyle rzeczy działo się dookoła. Nagle w pokoju rozległ się rozzwierający krzyk. Alex i Klementyna skoczyły na nogi i popędziły na górę.

- Tony! - wołała Megan. - Tonyyyyyyyyyyyyyyyyyyy!

Klementyna nie powiedziała nikomu, że w Saks Fifth Avenue w San Francisco odbywa się nabór młodych modelek. Jeśli wygra, to co innego. Gdyby się jednak nie powiodło, nikt nie może o tym wiedzieć. Nikomu nie mówiła o swoich marzeniach. Nawet Alex i Megan. Czasami rozmawiały we trójkę o tym, do jakich uczelni chcą pójść i jakie studia skończyć, ale Klementynie zawsze udawało się wykręcić ogólnikami i brakiem zdecydowania. Nigdy nie udzielała precyzyjnych odpowiedzi.

Nie zrozumiałyby jej. Była tego pewna. No, może Alex, do pewnego stopnia. Ona miała ambicje. Chciała iść na Berkeley i zostać geniuszem finansów czy kimś równie nudnym. Mimo wszystko to nie to samo, co marzyć o karierze gwiazdy. Klementyna nie zniosłaby, gdyby Alex wyśmiała ją za to, że stawia na jedną kartę własną dumę i całą przyszłość, obierając tak ryzykowną i niewdzięczną profesję.

Szyderstwa Alex to jednak nic w porównaniu z tym, co miałyby do powiedzenia o jej planach Megan. Ostatnio słyszała, że Megan chce być nauczycielką. Czy może pielęgniarką? Klementyna nie była pewna. W każdym razie chodziło o zawód związany z pomaganiem ludziom. Dobry

Boże! Próbowwała uświadomić Megan, że z tego nie ma pieniędzy, ale jej to nie wzruszyło. Megan powiedziała, że nie w tym rzecz! Akurat! Pieniądze oznaczają władzę i szacunek. Dzięki nim nikogo się nie potrzebuje. Jak już ich zarobi wystarczająco dużo, powie „papa” ojczymowi, wspomnieniom o ojcu, a nawet życzliwym radom matki. Zacznie własne życie, własne od początku do końca. Jak jej się spodoba palić, mieszkać w Nowym Jorku albo wyruszyć w samotną podróż dookoła świata, zrobi to, do cholery! Klementyna uśmiechnęła się na samą myśl o tym.

Żeby wziąć udział w konkursie, musiała wypełnić dwustronicowy formularz, napisać wypracowanie o tym, dlaczego chce zostać modelką, i wysłać dwie swoje fotografie na błyszczącym papierze o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć, jedną portretową, a drugą przedstawiającą ją na stojąco. Na szczęście odłożyła sporo kieszonkowego z ostatniego roku i miała teraz dość pieniędzy, by pokryć koszty jednorazowej sesji u zawodowego fotografa. Była umówiona na pierwszą po południu. Wyjdzie ze szkoły wcześniej, symulując ból żołądka i wreszcie ruszy własną drogą. Najpierw Saks Fifth Avenue, a potem kto wie? Niewykluczone, że w przyszłym roku o tej porze będzie już na okładce „Vogue”.

* * *

Chociaż ani Alex, ani Megan nie przyznałyby się do tego otwarcie, w ciągu ostatnich kilku miesięcy pojawiło się między nimi jakieś nienaturalne napięcie. Nie opuszczało ich ani na chwilę, jak trupi odór, który wypełnia pokój i utrzymuje się, emanując ze wszystkich przedmiotów, chociaż jego źródło dawno zniknęło.

Gdyby Megan musiała stawić czoło samej aborcji, potrafiłaby się z tym uporać, przebolełaby stratę i zajęła innymi sprawami. Ale co wieczór przesuwał się jej przed oczami ten sam film. Ostatnie słowa Tony'ego i jego okrucieństwo powracały w jej wspomnieniach jak przewijana i puszczana od nowa taśma, aż otwierała z przerażenia oczy i zapalała światło w nadziei, że to odstraszy makabryczne obrazy. Wiedziała, że u źródeł tego, co zaszło między nią a Tonym, leży coś więcej niż fakt, że mu się znudziła, że znienawidził ją za to, iż zaszła w ciążę, albo że przestał kochać. Zauważyła w jego oczach jakiś złowrogi błysk. Błysk, który świadczył, że przez cały czas coś ukrywał, udając tylko, że ją kocha. To coś miało związek z Alex.

Najbardziej nurtowały ją jego ostatnie słowa o Alex. Co ona miała z tym wszystkim wspólnego? Megan wiedziała, że Alex spotkała się kilka razy z

Tonym, ale z całą pewnością była to sprawa skończona i zapomniana. Alex jest jej przyjaciółką. Najlepszą przyjaciółką. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo Megan kocha Tony'ego. Jedyne raz w życiu Megan miała kogoś wyłącznie dla siebie, kogoś, komu zależało właśnie na niej. Tak przynajmniej sądziła. Po raz pierwszy czuła się piękna, inteligentna i dobra. Kiedy jednak przypominała sobie słowa Tony'ego, przeszywało ją ostrze niepewności, które otwierało wszystkie rany i stawiało między nią i Alex barierę pytań bez odpowiedzi.

Alex czuła się tak, jakby brała udział w biegu z przeszkodami podczas wiejskiego jarmarku i o centymetry omijała wszystkie czyhające na trasie niebezpieczeństwa. Rozpaczliwie pragnęła być tą przyjaciółką, którą Megan chciała w niej mieć. Minęło już sześć miesięcy od chwili, gdy przyniosły ją z Klementyną do domu z gabinetu lekarskiego, a Megan ciągle nie wracała do siebie. Cały czas znać po niej było zmęczenie, nawet gdy biegła po bieżni na lekcjach gimnastyki. Ramiona miała zgarbione, a brzuch i klatkę piersiową zapadnięte. Sprawiała wrażenie, jakby nawet trzymanie podniesionej głowy było dla niej wysiłkiem. Rzadko się odzywała, chyba że ktoś ją o coś zapytał, ale i wtedy dawała krótkie, monosylabiczne odpowiedzi bez śladu emocji. W ogóle się nie śmiała. Alex najbardziej przerażało jednak to, że również nigdy nie płakała.

Pewnego razu, gdy Megan leżała w łóżku Klementyny po aborcji, Alex ścisnęła dłoń przyjaciółki najmocniej, jak potrafiła, i przysięgła, że nigdy jej nie zawiedzie. Że zdobędzie wszystko, czego Megan zapragnie. Wiedziała jednak, że nie dotrzymuje obietnicy. Megan traktowała ją z rezerwą, na co Alex nieświadomie odpowiadała tym samym. Zachowywała dla siebie swoje uczucia i milczała z obawy, by nie powiedzieć czegoś niewłaściwego, nie wywołać przykrych wspomnień lub nie pogorszyć sytuacji, uświadamiając Megan, jak podle Tony od początku ją oszukiwał. A może ona wiedziała? Może Tony opowiedział jej o ostatniej randce z Alex? Może Megan uważała, że Alex jest winna?

Byłoby im łatwiej, gdyby się kłóciły. Powiedziałyby przynajmniej, co myślą, pokrzyczałyby, powrzeszczały, popłakały trochę, napisały kilka złośliwych listów, wezwały posiłki, i w końcu się pogodziły. Nieszczera życzliwość była dużo gorsza. Nadal wracały ze sobą do domu i razem jadały obiady. Spotykały się po szkole tak samo jak przedtem. W ich ruchach była jednak jakaś sztywność, a w mowie powściągliwość. Przypominały dwóch ostrożnych dyplomatów, którzy ściskają sobie dłonie

i uśmiechają się przed kamerą, choć przed chwilą zakończyli zagorzałą godziną kłótnię w cztery oczy.

Alex brakowało Klementyny. Gdyby częściej z nimi przebywała, pomogłaby im przełamać lody i się pojednać. Ale Klementyna stawała się coraz bardziej tajemnicza - wychodziła wcześniej ze szkoły, a na pytania, gdzie spędza popołudnia i weekendy, odpowiadała wymijająco. Dystans między Megan i Alex rósł więc, jak gdyby siedziały w dwóch samochodach i usiłowały się dojrzeć mimo odblasku południowego słońca na szybach, nie tracąc jednocześnie z oczu szosy.

* * *

Finał konkursu na modelki miał się odbyć w ostatnim tygodniu maja. Klementyna startowała w nim z dziewięcioma innymi dziewczynami. Osiągnęła to, na czym jej zależało. Dotarła aż do ostatniego etapu, czego nie mogło powiedzieć około stu innych dziewczyn, które stanęły wraz z nią do konkursu osiem miesięcy wcześniej. A jednak wszystko wyglądało inaczej, niż oczekiwała.

Miała być piękna (była), pozować do kilku zdjęć (pozowała), zostać odkryta (jeszcze do tego nie doszło) i wreszcie zdobyć fortunę (ha, ha, ha!). Jak dotąd wydała na ubrania i makijaż wszystkie swoje oszczędności co do grosza, odbyła jedenaście wyczerpujących sesji zdjęciowych u napastliwych fotografów, którzy albo chcieli się z nią przespać albo też stworzyć taki jej wizerunek, jakiego nigdy nie byłaby w stanie zaakceptować, oraz w skrajnym wyczerpaniu przebrnęła przez eliminacje ćwierćfinałowe i półfinałowe. Ciągnęły się całymi godzinami, podczas gdy ona i pozostałe dziewczyny, pocąc się w gorącym świetle, chodziły tam i z powrotem po wybiegu, żeby sędziowie jeszcze raz je sobie pooglądali.

Mimo wszystko udało się. Finał miał się odbyć za dwa tygodnie, a Klementyna jeszcze nigdy nie była równie pewna swego zwycięstwa. Parę miesięcy wcześniej, kiedy rachunki za ubrania osiągnęły taką wysokość, że nie mogła sobie pozwolić na ich zapłacenie z pięciodolarowej tygodniówki, była zmuszona powiedzieć o wszystkim matce. Przypuszczała, że ta zareaguje złością i wymieni litanię powodów, dla których bycie modelką jest okropnym zawodem, oraz przypomni jej, że jest zbyt młoda i niedoświadczona i powinna skoncentrować się na nauce w szkole średniej.

Tymczasem matka wzięła ją za rękę i zaprowadziła do salonu na kanapę.

- Wiesz, że to ciężki kawałek chleba - powiedziała.

- Wiem, mamó, ale zawsze o tym marzyłam.

Angel odwróciła wzrok, lecz Klementyna dostrzegła, że po jej ustach przebiegł melancholijny uśmiech.

- Byłam przez kilka lat modelką, zanim spotkałam twojego ojca. Głównie na pokazach mody. Pozowałam też do paru katalogów.

- Ty?

- Nie patrz z takim zdumieniem, Clemmie. Byłam kiedyś młoda. I niebrzydka. Przynajmniej tak uważał twój ojciec.

Klementyna spojrzała na Angel i warstwa po warstwie usunęła zmarszczki i przedwcześnie posiwiałe włosy. Dostrzegła w matce młodą, energiczną kobietę o jasnych włosach, błyszczących, niebieskich oczach i zachwycającym uśmiechu. To dziwne, że do tej pory myślała o swojej matce tylko jako o starej, zameężnej kobiecie. W najśmielszych wyobrażeniach nie przypuszczała, że ona też miała własne życie zawodowe i prywatne.

- Jestem po prostu zdziwiona, mammo. Nie wiedziałam, że pracowałaś.

Angel wstała i podeszła do stolika. Podniosła leżącą na podłodze ściereczkę do kurzu i uklękła, żeby wyczyścić nogi mebla.

- W twoim wieku byłam nawet dość niezależna, zupełnie jak ty. Pragnęłam wówczas tylu rzeczy. Ale pewnego razu poznałam Duke'a i, cóż...

- I co? - zapytała Klementyna, pochylając się do przodu. Stawał jej jak żywy przed oczami na sam dźwięk jego imienia. Niemal czuła dotyk jego ramion, unoszących ją wysoko i podrzucających w górę ku wierzchołkom drzew. Przez moment bała się, że jest sama w powietrzu i za szybko spadnie, ale po chwili lądowała znów w ramionach Duke'a. Przytulał ją do piersi i wtedy najsilniej czuła jego zapach - pot, mocną wodę kolońską i nie wywietrzała woń piwa, które wylało mu się na ubranie.

Angel przestała polerować nogi stołu i usiadła na klęczkach.

- Sama nie wiem, co się stało. Duke miał taką silną, przytłaczającą osobowość. Jak tylko mnie dotykał, zapominałam o bożym świecie, byleby z nim być.

Jej głos brzmiał spokojnie, ale Klementyna zastanawiała się, czy Angel nie żałuje teraz choć trochę, że wypuściła z ręki wszystko, co należało wyłącznie do niej. I dla jakiej sprawy? Duke rzucił ją kilka lat później, kiedy Klementyna miała cztery lata. Powiedział, że potrzebuje bardziej niezależnej kobiety, kogoś, kto wniósłby więcej we wspólny związek. Klementyna wstała i podeszła do matki. Schyliła się i pocałowała ją w głowę.

- Ja nie pozwolę, żeby ktoś za mnie decydował o moim życiu. Dawno temu postanowiłam, że zostanę gwiazdą i nie dam za wygraną, dopóki tego nie osiągnę. Jeśli nie zwyciężę w tym konkursie, zgłoszę się do następnego, a potem jeszcze następnego, aż wreszcie zrobię karierę. Nikt mi w tym nie przeszkodzi.

Angel podniosła się i spojrzała w zaciętą twarz córki. - I nie będzie w twoim życiu miejsca dla mężczyzny, nawet gdybyś jakiegoś pokochała?

- Ależ, mamu. Nie przypuszczam, żebym się kiedykolwiek zakochała. W każdym razie nie na serio. Po prostu nie jestem dość romantyczna. Miłość to zachody słońca, motyle i pokryte rosą kwiaty. Po co mi to wszystko?

Angel westchnęła i objęła ją.

- Dobrze, Clemmie. Rozumiem. Pomogę ci w tym konkursie. Pamiętaj tylko, że życie jest też pełne innych wspaniałych rzeczy. Może ja popadłam w jedną skrajność, jeśli chodzi o twojego ojca i Johna, ale nie wykluczone, że ty zmierzasz w kierunku drugiej skrajności. Umiar, skarbie. Umiar to rzecz najważniejsza.

* * *

- Patrzcie no, kogo my tu widzimy - powiedziała Alex, podnosząc wzrok znad stolika w kącie sypialni Megan, przy którym piłowała jej paznokcie. - Panna Montgomery. Uczennica jedenastej klasy liceum imienia Lincolna, która mniej więcej raz w tygodniu pryska z lekcji i rozplywa się w powietrzu, nie mówiąc słowa swoim przyjaciółkom.

Klementyna usiadła na łóżku Megan, które wciąż było przykryte liliową narzutą z koronkowym obszyciem, chociaż mówiła Megan niezliczoną ilość razy, że to wygląda zdecydowanie zbyt dziecinnie. Bała się tu przyjść, bo zdawała sobie sprawę, że nie była ostatnio tak dobrą przyjaciółką, jaką powinna być. Megan ciągle cierpiała, a Alex chodziła rozdrażniona. Dystans między nimi był tak widoczny, jakby dzielił je mur. Mimo to Klementyna miała własne sprawy do załatwienia. Dorastała i jeśli chciała odnieść sukces, musiała działać od razu. Modelki zaczynają karierę młodo. Miała tak mało czasu, że nie mogła sobie pozwolić na to, by problemy innych ludzi utrudniały jej osiągnięcie celu, nawet jeśli były to problemy jej najlepszych przyjaciółek.

Rozsądek mówił Klementynie, że wszystkie te argumenty są słuszne, ale kiedy zobaczyła ostentacyjną obojętność w zachowaniu Alex i Megan, zapragnęła zrzucić z siebie dręczące poczucie winy.

- Przepraszam - powiedziała łagodnie. Położyła się i pogłaskała staroświecką koronkę, którą obszyte były brzegi narzuty.

W pokoju zapadła cisza, którą mącił tylko odgłos piłowania paznokci Megan. Klementyna zamknęła oczy.

- Zgłosiłam się do konkursu na modelkę w Saks Fifth Avenue - powiedziała. - Finał jest w przyszłym tygodniu. Byłoby mi miło, gdybyście przyszli.

Alex zatrzasnęła przybornik do paznokci i wstała. Zamaszystym krokiem podeszła do łóżka i stanęła nad Klementyną, nie spuszczając z niej wzroku, aż ta otworzyła oczy.

- Posłuchaj, Clemmie. Mam cię już dosyć. Powinnaś była uwierzyć w to, co podszeptał mi instynkt, kiedy się spotkałyśmy po raz pierwszy. Jesteś tylko samolubnym, egoistycznym zarozumialcem, wiesz? Troszczysz się wyłącznie o własną osobę. Lekceważyłaś nas praktycznie przez cały rok szkolny i to z jakiego powodu? Konkursu na modelkę? Czyżby był ważniejszy niż przyjaźń? Czyżby był ważniejszy niż to, co przytrafiło się Megan? Potrzebowała cię. Na miłość boską, miała skrobanekę. Gdzie ty wtedy byłaś?

- To ja zawiozłam ją do lekarza - wrzasnęła w odpowiedzi

Klementyna, podnosząc się. Stały twarzą w twarz z zaciśniętymi szczękami i dłońmi zwiniętymi w pięści. Klementyna była wyższa od Alex o ponad głowę, ale ta nadrabiała siłą wyrazu: wychyliła się do przodu, przez co Klementyna musiała zrobić kilka kroków do tyłu, żeby dobrze ją widzieć.

- To ja trzymałam ją za rękę - kontynuowała Klementyna, nie zniżając głosu. - Ty się, cholera, czułaś taka winna, że nie umiałaś jej nawet spojrzeć w oczy. To nie ja podpuściłam Tony'ego, a ty. To nie ja jestem winna temu, co się stało. Może gdybyś na początku bez ogródek powiedziała Megan, co zaszło między tobą i Tonym, nie zdarzyłoby się to wszystko. Jak śmiesz robić mi wymówki takim wyniosłym tonem?

- Poczekajcie chwilę...

Megan otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz. Bogu dzięki, rodzice byli na dole w jadalni. Nie ma mowy, żeby coś usłyszeli. Schwyciła mocno dębową poręcz i zeszła po schodach, kurczowo przytrzymując się balustrady. Gdy zaczynało jej wirować w głowie, przystawała na chwilę. Jeszcze trzy metry i znajdzie się na dworze. Będzie mogła znów odetchnąć. Trzy metry. Dwa. Jeden.

Noc była ciepła i parna. Bezwietrzna. Nie poruszał się ani jeden liść. Wzięła głęboki oddech i napełniła powietrzem płuca, aż poczuła, że za chwilę jej pękną. Jeszcze raz i jeszcze raz. Łykała powietrze haustami jak gumowa tratwa, która dopiero po nadmuchaniu staje się zdatna do użytku.

Poczekala chwilę, aż odzyska równowagę i poczuje się pewnie na nogach, a następnie ruszyła, omijając łukiem dom, ku altance na szczycie wzgórza. Kiedy dotarła na miejsce, weszła do środka i oparła się o balustradę. Widać było stąd zatokę, która wydawała się teraz, pod czarnym, bezksiężycowym niebem, bezbarwna. Przy brzegu skrzyły się tylko światła motorówek i łodzi żaglowych.

Megan jeszcze raz wzięła głęboki oddech. Z przyjemnością poczuła, jak rośnie jej w płucach ciśnienie. Od tak dawna nie oddychała pełną piersią. Prawie przez cały rok. Niewiele pamiętała z tego okresu. Wiodła swoją egzystencję jak robot, który potrafi wykonywać pewne czynności, ale pod wieczór jest wyłączany i odstawiany do kąta. Wcale nie czuła, że żyje. Rzadko wiedziała, jaki jest dzień miesiąca i tygodnia albo która jest godzina.

Tylko raz wpuściła życie do środka. Niedługo po tamtych wydarzeniach spacerowała z Alex po przystani. Młode małżeństwo, śmiejąc się, namawiało swoje dziecko, by zrobiło kilka kroków od jednego rodzica do drugiego. Alex próbowała poprowadzić ją w inną stronę, ale Megan, którą oczarował uśmiech dziecka, ciągnęło do niego. Miała ochotę podbiec i wyrwać im dziecko z rąk. Jej małżeństwo wyglądałoby tak samo. Miałoby ciemne włosy Tony'ego i jasne oczy Megan. Szła w kierunku dziecka jak zaczarowana, gdy nagle Alex zatrzymała ją i potrząsnęła.

- Ono nie jest twoje - powiedziała. - Nie jest twoje.

Megan pobiegła do domu i przesiedziała zamknięta w swoim pokoju aż do następnego rana. Właśnie wtedy nauczyła się izolować od otoczenia w samoobronie.

Uklękła w altance na posadzce z wiśniowego drzewa i oparła brodę o balustradę. Pomyślała o Alex, najlepszej przyjaciółce, którą tak kochała mimo tego, co łączyło ją z Tonym. Przez jakiś czas bardzo chciała wykluczyć ją ze swego życia, zranić obojętnością. Kilka razy miała ochotę zapytać Alex, co naprawdę wydarzyło się między nią i Tonym, ale z początku bała się prawdy, a potem, kiedy narosła w niej tępa pustka, przestało to mieć znaczenie. Teraz wiedziała, że Tony wykorzystał ją po to, żeby odegrać się na Alex. Nawet gdyby poznała wszystkie szczegóły, nie

zraniłoby jej to bardziej niż strata dziecka i świadomość, że Tony nigdy jej nie kochał.

Zwróciła też myśli ku Klementynie. Silnej, odważnej i spokojnej Klementynie. Nie opuściła jej. Trzymała ją za rękę, kiedy lekarz wsadził jej do środka ten zimny, metalowy przyrząd. Znieczulenie nie zadziało całkowicie, więc czuła, jak w niej szarpie i wyciąga ze środka w potokach krwi żywą istotę. Od tego czasu za każdym razem, kiedy spoglądała na Klementynę, przypominało jej się to wydarzenie, choć mocno z tym walczyła.

Pomyślała o rodzicach, którzy byli tak zauroczeni swym zamożnym środowiskiem, że ledwo zauważali jej obecność. Nieraz pytali, co jej jest, dlaczego przestała jeść, rozmawiać albo śmiać się. Zadała sobie pytanie, co by się stało, gdyby umarła na stole lekarskim.

No, i o Tonym, który nauczył ją kochać, bać się miłości i nienawidzić. Wreszcie objęła rękami brzuch i pomyślała o swoim dziecku. Lekarz powiedział, że to miał być chłopiec.

Usłyszała na ziemi za plecami kroki i odwróciła się. Za nią stały, trzymając się za ręce, Alex i Klementyna. Zbliżyły się powoli, a ona wyciągnęła ręce. Nie pragnęła w tej chwili niczego więcej, jak odzyskać najlepsze przyjaciółki. Uklęły przed nią i mocno objęły, a Megan nareszcie się rozplakała.

* * *

Klementyna stała jako trzecia w rzędzie na wybiegu. Stała z podniesioną głową, ramionami wygiętymi do tyłu, wypiętą piersią, wciągniętym brzuchem, prawą nogą wysuniętą do przodu, szeroko otwartymi oczami, promiennym uśmiechem i rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia. Ćwiczyła to już tyle razy, że ta poza stała się jej drugą skórą. Nie porzucała jej nigdy, bez względu na to, czy znajdowała się na wybiegu, w szkole czy też jadła obiad.

Rzuciła okiem na czwarty rząd widowni, gdzie siedzieli jej matka, ojczym, Megan i Alex. W przypiływie nedorzecznej fantazji wysłała list z zaproszeniem do swego ojca. Tak często prznosił się z miasta do miasta, że nie była pewna, czy go otrzymał. Ostatnio słyszała, że po Denver mieszkał w Seattle, Cleveland, Miami i wreszcie w Atlancie. Najprawdopodobniej dostał list, tylko po prostu zlekceważył jej zaproszenie. Tak jak lekceważył ją. Po co w ogóle próbowała? Zamrugła oczami i odwróciła wzrok. Lepiej nie myśleć o nim ani o nikim innym. To by ją tylko rozproszyło.

Wywołano dziewczynę, która stała przed nią. Przeszła wzdłuż wybiegu i z powrotem. Niepewnie stąpa, doszła do wniosku Klementyna. Jej nogi lekko się chyboczą. Wygląda niezdarnie na dziesięciocentymetrowych obcasach. Żadna modelka nie ma szans, jeśli nie pozostawia publiczności w przekonaniu, że bierze prysznic na obcasach. Klementyna przeprowadziła raz próbę i doszła do wniosku, że to nie takie trudne, o ile się nauczy odpowiednio stawiać nogi. Nosiły buty na obcasach bez przerwy. Miała parę szpilek w każdym kolorze.

- Klementyna Montgomery. Sausalito. Kalifornia.

Klementyna podniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko. Zanim ruszyła, w duchu błyskawicznie sprawdziła każdy szczegół swojego wyglądu. Jasnobrązowe włosy miała zaczesane do tyłu. Na czoło i policzki spadało jej tylko kilka kosmyków. Jasnozielone oczy Klementyny pomalował perfekcyjnie specjalista od makijażu, który z zachwytu poświęcił jej dwukrotnie więcej czasu niż innym dziewczynom. Jej szafirowa, jedwabna suknia z obszytym srebrnymi cekinami dekoltem w karo sięgała aż do ziemi. Szafirowe pantofelki ukazywały się spod niej tylko, kiedy szła. Odśloniła zęby w uśmiechu. Wyglądała wspaniale.

Podczas wielotygodniowych zajęć z ćwiczenia wyobraźni Klementyna przygotowała się na koszmar, jakim będzie widok setek nieznanych, wpatrzonych w nią krytycznie oczu. Przyzwyczała się do gorących świateł parzących jej szyję, do podstawianych pod usta mikrofonów, do uporczywego mrowienia w żołądku. Ale kiedy zrobiła pierwszy krok, zrozumiała, że intensywne treningi na nic się zdały.

Spojrzała na widownię i poczuła, że wstępuje w nią niewiarygodna siła. Wszystkie oczy były w nią wpatrzone. Wszystkie uśmiechy były dla niej, z jej powodu. Podeszła do końca wybiegu, lekko kołysząc biodrami, z pewnością siebie, która właśnie w nią wstąpiła. Nie czuła się niezręcznie. To było jej miejsce. Miała w sobie to „coś”. Ten gen. To niedefiniowalne znamię gwiazdy, o którym zawsze mówią producenci i odkrywcy modelek. Była opanowana, piękna i zdecydowana. Nic jej nie groziło. Publiczność widziała tylko jej maskę, nic więcej.

Wróciła na początek wybiegu i obróciła się dokoła, wywołując burzę grzmiących oklasków. Z trudem powstrzymała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem z radości. Podeszła do swojego miejsca w rogu sceny, ale publiczność nadal klaskała. Złożyła dworski ukłon, wprawiając widownię w zachwyt. Jurorzy zachichotali.

Czas pozostały do zakończenia pierwszej połowy konkursu spędziła jak w transie. Wywołano następnych siedem dziewcząt. Niektóre były ładne, niektóre pewne siebie, ale żadnej publiczność nie przyjęła tak jak Klementyny. Zaryzykowała rzut oka na przyjaciółki i spostrzegła, że uśmiechają się do niej. One też przeczuwały jej zwycięstwo.

Drugą część konkursu stanowiły wywiady. Prowadzący pytał każdą dziewczynę, co chciałyby robić w życiu. Większość dawała szablonowe odpowiedzi: że marzą o zawodzie pielęgniarstwa albo weterynarza. Ze chęcią pomagać biednym, karmić głodujących, działać na rzecz pokoju i tak dalej. Klementyna długo i intensywnie zastanawiała się, co odpowiedzieć. Oczywiście mogła nakłamać, że pragnie wstąpić do Korpusu Pokoju albo zostać nauczycielką. Uznała to jednak za nie najlepsze wyjście. Klementyna Montgomery jest inna i jeśli zamierza być gwiazdą ze swoich marzeń, musi być o tym wiadomo od samego początku.

Ken Strickland, główny koordynator konkursu i jego prowadzący, wyczytał jej nazwisko i ze znudzonym uśmiechem na twarzy zapytał, jakie ma plany na przyszłość. Klementyna rzuciła mu ledwie jedno spojrzenie i skierowała wzrok na widownię. Wszyscy pochylili się do przodu wyczekująco.

- Panie Strickland, chcę być zupełnie szczerą. Inne obecne tu dziewczyny mają tyle wspaniałych, szczytnych celów, że jest mi prawie wstyd za siebie. Widzi pan, ja zawsze miałam ambicje. Nie mogę się pogodzić z tym, że mogłabym prowadzić zwykłe życie. Marzę o powodzeniu.

Badawczym spojrzeniem obrzuciła twarze sędziów, sprawdzając ich reakcję, i zauważyła, że większość z nich odłożyła ołówki. Całkowicie przykuła ich uwagę.

- Mogę panu wyjaśnić, dlaczego tak jest - ciągnęła. - Kobiety zbyt często rezygnują ze swoich pragnień. Oczywiście mamy własne marzenia, kiedy jesteśmy młode i niezamężne, ale wkrótce spotykamy mężczyznę, poślubiamy go i przez resztę życia pomagamy mu w robieniu kariery, a dzieciom - w dorastaniu. Myślmy o wszystkich, tylko nie o sobie samych. Otóż ja chciałabym to zmienić.

Po widowni przebiegły oklaski. Klementyna uśmiechnęła się.

- Cóż w tym złego, że kobieta chce żyć i osiągać sukcesy tylko na własny rachunek? Czyżbyśmy były mniej inteligentne, mniej kompetentne, mniej zdolne wnieść własny wkład w życie społeczne? Nie sądzę. Przez całe wieki połowie ludności tej planety uniemożliwiano odegranie

znaczniejszej roli w decydowaniu o losach świata. Pomyśleć tylko, ile geniuszu i inteligencji, ile nowatorskich idei zmarnowało się z tego powodu.

Przebiegła wzrokiem po widowni. Kiedy upewniła się, że nikt nie okazuje wobec niej wrogości, wróciła do przemówienia.

- Jeśli zostanę znaną modelką, będę uczyć inne kobiety bronić własnych interesów. Prowadzić samodzielne życie, niezależne od narzeczonych, mężów i rodziny. Będę jeździć po kraju i wygłaszać przemówienia o wierze w siebie i o tym, jak robić w życiu to, co się chce, a nie to, co narzuca kobietom społeczeństwo. Mamy do wyboru wiele możliwości. Nie tylko zawód pielęgniarstwa albo nauczycielki, choć są to wspaniałe profesje. Czy powinnymy wykluczać karierę naukowca albo polityka tylko dlatego, że jesteśmy kobietami? Oczywiście, że nie.

Ken Strickland cofnął się krok do tyłu, zostawiając ją samą na środku sceny. Wykorzystała to i spojrzała w dół na jurorów, zaglądając każdemu w oczy.

- Chcę powiedzieć, że cały świat stoi dla kobiet otworem. Nie musimy zaprzeczyc otwierających się przed nami szans tylko dlatego, że kogoś pokochałyśmy. Życie jest więcej warte i bardziej satysfakcjonujące, gdy decydujemy się przeżyć je niezależnie i korzystać z niego w całej pełni, czerpiąc pożytek ze wszystkich naszych talentów i zdolności. Jeśli zostanę słynną modelką, panie Strickland, zrobię coś, żeby zmienić świat.

Na chwilę w sali zapanowała cisza jak makiem zasiał. Klementyna poczuła, że kulą się jej ramiona i plecy zaczynają garbić. Posunęła się za daleko. Zaraz jednak spostrzegła, że Megan i Alex skaczą na nogi i zaczynają klaskać, a wkrótce potem idą w ich ślady jej rodzice i pozostała część widowni. Zabrzmiały ogłuszające brawa. Klementyna wyprostowała się i schyliła głowę z podziękowaniem. Zobaczyła, że kobiety uśmiechają się z aprobatą, podobnie jak mężczyźni, na których zrobił wrażenie jej zapal. Przede wszystkim jednak zobaczyła, że sędziowie pochylają się nad swoimi tabelami wyników, pisząc coś zawzięcie.

Kiedy oklaski ucichły, ostatnie dwie dziewczyny wyznały, że chcą zostać pielęgniarkami - nieco mniej pewnie niż ich poprzedniczki, ale z tą samą pretensjonalną nieszczerością, która już Klementynę nużyła. Wreszcie wywiady dobiegły końca i pan Strickland odebrał od jurorów karty z wynikami. Stał na wprost widowni i poczekał, aż sala się uciszy.

Klementyna przycisnęła ręce do tułowia i poczuła, że od uśmiechania się zaczynają ją boleć szczęki. Strickland rozpoczął odczytywanie wyników od

zdobywczyni trzeciego miejsca. Klementyna modliła się w duchu, żeby to nie była ona. Musi mieć pierwsze miejsce albo żadne.

Trący Benito. Bogu dzięki. Na drugim miejscu Louise Shumaker i Linda Ellsley. Zostało już tylko podium zwyciężczyni.

- A teraz, panie i panowie, przedstawiam wam zwyciężczynię konkursu na debiutującą modelkę Saks Fifth Avenue. Jest nią... Klementyna Montgomery.

Poczuła przez moment wątpliwości, czy nie przekroczyła granicy, zza której nie ma powrotu. To była jednak tylko chwila. Natychmiast porwały ją oklaski i świadomość, że spełniły się jej marzenia. Wątpliwości pierzchły bezpowrotnie. Klementyna Montgomery stanęła na środku sceny - nowa twarz, która podbije świat modelek. Wiedziała w głębi serca, że jej życie nigdy już nie będzie takie, jak było dotychczas.

RS

Rozdział 5

Alex siedziała w sekretariacie dziekana z dłońmi złożonymi na podolku. Sukienka, którą miała na sobie, została kupiona raptem dwa dni wcześniej, a już miała ochotę podrzeć ją na strzępy. Gumka wrzynała się jej w talię, a metka z tyłu kołnierzyka obcierała szyję przy każdym ruchu. Po raz ostatni ubrała się w sukienkę na zakończenie szkoły podstawowej. Nienawidziła każdej sekundy, którą spędziła paradując w koronkach i falbankach. Od tego czasu swój niesmak do falbanek wykorzystywała w walce o prawa kobiet. Nie ma wątpliwości, że kobietom powinno być wolno nosić spodnie tak często jak mężczyznom, bez względu na sytuację. Namówiła nawet Klementynę, by wsparła ją w bitwie, i przez ostatni rok obie nosiły wyłącznie niebieskie džinsy - podarte na kolanach na co dzień, a grube i obcisłe na wieczorne wypadki.

Ten dzień był jednak nietypowy. Z pomocą Klementyny, która miała dobry gust, Alex wybrała białą, bawełnianą sukienkę. Oglądała się rano w lustrze przez czterdzieści pięć minut i mimo oporów musiała przyznać, że świetnie do niej pasuje. Biały materiał korzystnie kontrastował z jej oliwkową cerą i ciemnymi włosami. Wyglądała kobieco, lecz zdecydowanie, co - jak przypuszczała - powinno odpowiadać dziekanowi.

Co on tam robił tak długo? Pewnie kochał się na biurku ze swoją sekretarką. Zachichotała, lecz natychmiast się opanowała, ponownie zakładając nogę na nogę i wygładzając sukienkę. Przyszła tylko pięć minut przed czasem, czyli dokładnie zgodnie z instrukcjami wyczytanymi w książce o tym, jak z powodzeniem przejść przez rozmowę wstępną. Czekala już chyba z pół godziny. Przytupywała ze zniecierpliwienia nogami. Były tak ciasno wbite w białe pantofelki, do których kupienia zmusiła ją Klementyna, że nie miała wątpliwości, iż ustało jej w palcach krążenie i nic ich nie uratuje. Spojrzała na zegarek. To niewiarygodne, ale wskazywał godzinę pierwszą. Przyszła równo pięć minut temu.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna o zdumiewająco młodym wyglądzie. Miał jasnobrażowe włosy z lekkimi pasemkami siwizny nad uszami, a ubranie leżało na nim dokładnie tak jak powinno - wszystkie szwy były na swoim miejscu, a granatowa wełna układała się jak gorąca, karmelowa polewa na lodach. Alex przełknęła ślinę. Nie mogła sobie darować, że nie użyła podwójnej dawki płynu do płukania ust. Wstała.

- Panna Holmes, jak mniemam? - zapytał głębokim głosem, typowym dla mężczyzn, którzy skończyli szkołę jako najlepsi uczniowie w klasie i wylądowali na intratnych posadkach.

- Tak, proszę pana.

- Miło mi panią poznać. Jestem Wendell Thornby. Wyciągnął rękę, a Alex w duchu przeklęła swe spocone

dłonie. Uścisnął jej rękę mocno i zdecydowanie. Uśmiechnął się. Weszła za nim do gabinetu.

Drzwi wyglądały dokładnie tak, jak się spodziewała. Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley jest, być może, najbardziej liberalną uczelnią w kraju, ale pracownicy administracji nadal gustują w tradycyjnych, inteligenckich pomieszczeniach biurowych. Ściany w ciemnej boazerii, mahoniowe półki wypchane książkami, które można znaleźć tylko w antykwariatach i uczelnianych magazynach, a do tego wielkie biurka zawałone papierami. Zorganizowany bałagan. Alex wymarzyła sobie, że tu trafi pewnego dnia. Czowała unoszący się w powietrzu zapach powodzenia, szacunku i władzy.

Pan Thornby usiadł i przetrząsnął biurko w poszukiwaniu jej podania. Wreszcie je znalazł, wyjął z kieszeni marynarki dwuogniskowe okulary, odchylił się do tyłu i dokładnie przestudiował formularz. Alex rytmicznie zaciskała i rozluźniała pięści, czerpiąc dziwną przyjemność z tego, że paznokcie wbijają się jej w ciało. Dlaczego nie skutkują te relaksacyjne czary-mary, te ćwiczenia wyobraźni, którymi zanudzała ją Klementyna?

- Holmes - odezwał się pan Thornby. - Czy nie jest pani przypadkiem spokrewniona z Paulem Holmesem, naszym profesorem matematyki?

- To mój ojciec.

Pan Thornby odłożył podanie i ponownie jej się przyjrzał. Miała wrażenie, że przenika ją wzrokiem na wskroś do tego stopnia, iż widzi drzwi za jej plecami, co stwarzało nieprzyjemną, duszną atmosferę. Na czoło wystąpiły jej kropelki potu. Siłą woli powstrzymała się, żeby nie osunąć się na oparcie krzesła.

- Rzeczywiście, teraz widzę podobieństwo. Ciekawe, dlaczego mi nie wspomniał, że ma pani przyjść na rozmowę.

- Sama go o to poprosiłam, proszę pana.

Pan Thornby zatrzymał na niej wzrok jeszcze przez chwilę, a potem uśmiechnął się. Ponownie wziął do ręki podanie.

- Znakomicie, pani Alexandro. Świetnie się pani uczyła. Ma się rozumieć, pani oceny są bez zastrzeżeń. Chciałbym jednak zapytać,

dlaczego jest pani zainteresowana studiami na wydziale zarządzania. Co zamierza pani robić, jak uzyska pani u nas tytuł magistra. Jakie ma pani plany na - powiedzmy - najbliższe pięć czy dziesięć lat.

Alex jak komputerowa przeglądarka przetrząsnęła swój umysł w poszukiwaniu wyuczonych odpowiedzi, które przećwiczyła w ciągu ostatnich kilku tygodni niezliczoną ilość razy. Wpadając w panikę, zdała sobie sprawę, że pliki są puste, że wymiotło jej wszystko pamięci. Dlaczego tak się denerwuje? Na Boga, nigdy w życiu nie denerwowała się z żadnego powodu, a teraz, kiedy to takie ważne, nie jest w stanie się skupić. Jeśli zaraz czegoś nie powie, rozniesie ten pokój. Patrzył na nią badawczo. Obserwował, taksował wzrokiem. Na pewno widzi, że nie jest w stanie myśleć. Zachowujesz się jak głupkowata licealistka. Zastanów się, Alex. Pomyśl trochę.

- Panno Holmes - odezwał się, przerywając jej wewnętrzny monolog. - Widzę, że jest pani zdenerwowana. To zupełnie zrozumiałe. Ale proszę się uspokoić. Pani oceny i pozalekcyjne osiągnięcia w oczywisty sposób mówią same za siebie. Chcę tylko dowiedzieć się, jakie motywy panią kierują. Jesteśmy tu w Berkeley trochę idealistami, o czym z pewnością wie już pani od ojca. Nie satysfakcjonuje nas zwykle wydawanie dyplomów. Nie jesteśmy fabryką. Pragniemy uczyć studentów, którzy dzielają naszą miłość do nauki i - podobnie jak my - dążą do jakiegoś ideału. Chcę po prostu zorientować się, czy pani do nich należy.

Alex oparła się na krześle. Przypomniała sobie wszystkie noce, które przesiedziała w łóżku nie mogąc zasnąć, bo myśli o przyszłości tłukły jej się po głowie jak nie kontrolowane pociski. Zaczęła marzyć, kiedy była mała, jeszcze w szkole podstawowej. Jej fantazje były wtedy inne, rodziły je nocne pocałunki, gorące dłonie, namiętne słowa szeptane w pośpiechu, jakby świat miał się za chwilę skończyć. Po każdej randce, zanim poszła spać, wyobrażała sobie przyszłość: ognistego, bogatego mężczyznę, który wtargnie w jej życie, schwyci ją w ramiona i porwie na daleką wyspę tropikalną będącą jego własnością.

Kiedy trafiła do szkoły średniej, ten obraz szybko się zmienił. Stało się jasne jak słońce, że wszyscy chłopcy są tacy sami. Niektórzy zabawni, inni przystojni, jeszcze inni silni, ale wszyscy to tylko ludzie, mniej inteligentni od niej, nie tak zdecydowani i energiczni, a przede wszystkim gorzej przygotowani do tego, żeby ją schwytać w ramiona niż ona była gotowa schwytać któregoś z nich. Próbowwała znaleźć kogoś wyjątkowego, kto dorósłby do jej wyobrażeń, ale żaden chłopak nawet w przybliżeniu nie

spełniał wymagań, które stawiała sama sobie. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, przestała ją pociągać myśl, że mężczyzna mógłby sprawować kontrolę nad jej życiem. Potrafiła rozumować i pracować lepiej niż każdy z nich, a opowiadać dowcipy, marzyć i planować przyszłość - lepiej niż oni wszyscy razem wzięci.

Tak więc jej nocne rozmyślania zaczęły obracać się wokół innych spraw - najpierw ogólnie wokół sukcesu i bogactwa, a potem bardziej konkretnie - wokół dziedziny, która zawsze ją interesowała, czyli zarządzania. Zarządzanie ją fascynowało. Liczby, kalkulacje, robienie pieniędzy z pieniędzy, papiery wartościowe, obligacje i władza.

Szczególnie chętnie powracała w wyobraźni do jednego obrazu. Jest ubrana w czarny, elegancki kostium, a włosy ma związane z tyłu tak mocno, że napina jej się skóra na czole. Stoi we własnym biurze na ostatnim piętrze wieżowca, skąd okna wychodzą na zatokę. Ściany ozdabia kilka nowoczesnych obrazów, a złoty przycisk do papieru przygnięta sprawozdanie z przejęcia najnowszej spółki akcyjnej, które udało się jej przeprowadzić - było to przełomowe wydarzenie w świecie biznesu. Patrzy na swoje królestwo, posłuszne jej woli San Francisco, z pełną świadomością, że dopięła swego. Została prezesem poważnej korporacji finansowej, a jej nazwisko jest często wspominane w odpowiednich kręgach. Budzi szacunek i postrach. Jej profesjonalizm ma wpływ na kształt światowej gospodarki.

Alex uśmiechnęła się i wygładziła spódnice. Niech ją cholera, jeśli nie dąży do ideału. Zamierza osiągnąć najwyższy ideał w dziejach tej uczelni.

- Prawdę powiedziawszy, panie Thornby - odparła w końcu, czując, że zdenerwowanie minęło, a jej dłonie wyschły - jestem przekonana, że Berkeley szuka dokładnie takich studentów jak ja.

Wstała i naląła sobie filiżankę kawy. Z powrotem usiadła na krześle i spojrzała dziekanowi w oczy.

- Zarządzanie to nie tylko przedmiot studiów albo sposób zarabiania na życie - powiedziała. - Przynajmniej dla mnie.

W moim mniemaniu to podwaliny przyszłości. Ameryka musi opierać się na bazie solidnego planowania finansowego. Oczywiście, jesteśmy teraz pierwsi na świecie, ale kto wie, co przyniesie przyszłość. Depcze nam po piętach Japonia ze swą pracą zespołową i ludzkim poświęceniem. Europa Zachodnia zawsze była dla nas poważnym konkurentem gospodarczym. Musimy ruszyć do przodu już dziś, jeśli chcemy utrzymać

prowadzenie. Wykorzystać technologię, bogactwa naturalne i swój najcenniejszy majątek - nasze umysły.

Pociągnęła łyk kawy i poczuła, że słowa pulsują jej w piersi, wyrывая się na zewnątrz. Zniknął pan Thornby, jego gabinet i piękny dziedziniec Berkeley przed oknem. Pozostała sama na samą ze swymi marzeniami.

- Moim zdaniem ludzie kierujący gospodarką decydują o kondycji naszego kraju w każdej dziedzinie. Rządzą naszym życiem, choć nawet o tym nie wiemy. Bo zważmy tylko: rozstrzygają, jak wysoki poziom może osiągnąć inflacja bez podnoszenia stopy procentowej i tym sposobem przesądzają o poziomie naszego życia. Do pewnego stopnia sterują popytą towarów poprzez obniżanie lub podwyższanie popytu, a wraz z nim cen. Decydują, kogo stać na kupno domu, jak znacznie mogą wzrosnąć ceny usług i koszty utrzymania, jak długo będzie się utrzymywać recesja, zanim dojdzie do ich ingerencji, i ile są warte przedsiębiorstwa. Zakres ich władzy jest niewiarygodny i wciąż stosunkowo mało znany. Chcę mieć w niej swój udział. Jestem inteligentna, pełna zapału i pragnę dać z siebie wszystko tej szkole, a potem własnej profesji.

Alex wróciła na ziemię, do gabinetu i do dziekana, który siedział w bezruchu, patrząc na nią. Odstawiła filiżankę i złożyła ręce na podolku. Cicho, lecz ciągle z wewnętrznym ogniem powiedziała:

- Panie Thornby, będę najcenniejszym nabytkiem, jaki kiedykolwiek trafił się katedrze zarządzania Berkeley.

Wendell Thornby siedział oparty na krześle, a Alex odniosła wrażenie, że przez jego twarz przebiegł uśmiech.

- Widzę, że odziedziczyła pani po ojcu żywiołowość. Proszę powiedzieć mi o sobie coś więcej, pani Alexandre.

Alex spełniła jego prośbę i rozmawiali jeszcze przez półtorej godziny.

* * *

Megan opanowała do perfekcji sztukę odwracania głowy na tyle, by Alex i Klementyna sądziły, że jeszcze ich słucha, ale nie widziały jej oczu. To łagodziło w niej napięcie. Dzięki temu nie musiała udawać, że patrzy równie roziskrzonym, pełnym podniecenia wzrokiem jak one, i mogła swobodnie obserwować uczniów idących w stronę stołówki albo na lekcje.

Przy akompaniamencie szmeru ich wysokich i podekscytowanych głosów, charakterystycznych dla rozmów, jakie prowadzą dziewczyny o chłopcach, którzy zaledwie puścili do nich oko, Megan błędziła myślami gdzie indziej. Nigdy jednak zbyt daleko. Ostatni rok szkoły dobiegał końca, do rozdania świadectw zostały tylko cztery miesiące, a Alex i Klementyna

każdą sekundę dzielącą je od tej chwili pragnęły mieć już za sobą. Alex została przyjęta do Berkeley. Zawiadomienie przyszło w dwa tygodnie po rozmowie wstępnej. Klementyna natomiast zamierzała na dobre poświęcić się karierze modelki, jako że współpraca z Saks Fifth Avenue układała się znakomicie. Myślała nawet o podpisaniu umowy z jedną z agencji na wschodnim wybrzeżu. Skoro miały takie plany, po cóż im była szkoła średnia?

Za to Megan potrzebowała liceum. Całą dziesiątą klasę miała zmarnowaną z powodu Tony'ego. Jedenastą przeżyła w stanie beznamiętnego, bezmyślnego otepienia. Teraz, w ostatniej klasie, wreszcie zbudziła się z letargu i znów mogła cieszyć się okresem, który miał być najlepszy w jej życiu. Tymczasem dwie najbliższe przyjaciółki robiły wszystko, żeby dni mijały jej jak najszybciej.

Rozmawiały wyłącznie o uczelni, o przyszłej pracy i o tym, jak będzie wyglądać ich życie za dziesięć lat. Cisnęło się jej na usta pytanie: gdzie w tym wszystkim miejsce na chwilę obecną, na sekundę, która właśnie mija? Co z tańcami, z balami absolwentów, meczami futbolowymi i szkolną kroniką? Alex miała już randek powyżej uszu. Nawet nie podejmowała nowych prób. Kiedy Megan poruszała temat, odpowiadała: „A kto by potrzebował chłopaka?” Całą energię pochłaniały jej przygotowania do studiów i podboju świata biznesu. A o Klementynie, przyszłej modelce, która przyrzekła zmienić świat, mówiło się w całym mieście. Zrobiła już zdjęcia do kilku lokalnych katalogów i wzięła udział w paru pokazach mody. Tym sposobem Megan - jako jedyna - chciała wieść normalne, szczęśliwe życie. Pragnęła prostych przyjemności: mieć dom, męża, rodzinę, spędzać letnie wakacje z dziećmi na kempingu. Czy prosiła o zbyt wiele? A może jej się to nie należało?

Ma się rozumieć, nie miały pojęcia o jej stanie ducha, a ona uparcie zachowywała swoje uczucia dla siebie. Gdyby Alex doszła jak Megan do wniosku, że coś ją w życiu ominęło, przystanąłaby w miejscu, zmieniła kurs i wycisnęła z każdej sekundy tyle przyjemności, ile się da. A Klementyna... No, cóż, Megan nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, żeby Klementyna mogła entuzjasmować się eleganckimi stanikami i randkami - uznałaby to za zbyt dziecinne, a gdyby nawet miała takie zainteresowania, okazałaby to równie otwarcie jak Alex i nie dopuściła, by cokolwiek stanęło jej na drodze.

Megan oparła brodę na ramieniu i westchnęła. Patrzyła właśnie na kilku przechodzących obok drugoklasistów. Można ich było zawsze rozpoznać

wśród uczniów starszych klas choćby po kroku. Starsi wywijali trzymanymi w rękę podartymi podręcznikami, teczki mieli byle jak wypchane notatkami i kroczyli niczym monarchowie przez swoje królestwo. Drugoklasiści, nowi i jeszcze wystraszeni, z przykrością akceptowali swój niższy status, notesy nosili przyciśnięte do piersi, wybierali ścieżki na uboczu, nie chcąc nikomu wejść w drogę, a na ich twarzach malowało się błaganie, by pozwolono im wrócić w jakieś lepiej znane i spokojniejsze miejsce.

Megan przestała bujać w obłokach w samą porę, by usłyszeć, jak Klementyna mówi:

- Wysłałam swoje zdjęcia do Eileen Ford, Johna Robertsa i jednej mniejszej agencji „Międzynarodowe Uśmiechy”. To było tydzień temu. Nie sądzisz, że powinnam już dostać jakąś odpowiedź?

Alex odgryzła kawałek batonika.

- Nie przypuszczam, Ciem. Mogły nawet nie dotrzeć na miejsce. Wiesz, jak działa poczta. Niewykluczone, że zanim trafią do 'Nowego Jorku, minie tydzień.

- Tak, chyba masz rację. O, Boże, ależ się denerwuję. Co będzie, jak obejrzą i mnie wyśmieją? Może mój typ im nie odpowiada. Może potrzebują złocistych blondynek albo egzotycznych brunetek? Ja jestem dokładnie pośrodku. Chociaż zauważyłam w swoich włosach kilka rudych i jasnych pasemek. Widzisz? A co będzie...?

Megan zamknęła oczy czując, że w skroniach zaczyna pulsować jej ostry ból, rytmiczny jak ciosy bokserskiej pięści. Bach, bach, bach, bach. W ciągu ostatnich kilku miesięcy pojawiał się i ustępował. Przeważnie jednak to pierwsze. Przyłożyła opuszki palców do skroni i rozmasowała sobie czoło.

Fakt, że z głosu Klementyny wyparowała pewność siebie, wydał się Megan najbardziej absurdalną rzeczą na świecie. To przecież pewne, że ją przyjmą. Prezes dowolnej agencji modelek musiałby mieć nie po kolei w głowie, żeby jej nie zatrudnić. W San Francisco była rozchwytywana. Występowała we wszystkich pokazach mody w Saks Fifth Avenue. Pracowała też dla kilku innych dużych domów towarowych i miejscowych projektantów mody. W tutejszym środowisku modelki jej zdecydowanie i ambicja obrosły już legendą.

Alex zaś stała się znana w Berkeley, jeszcze zanim zaczęła tam studiować. Dostała już propozycje wstąpienia do pięciu żeńskich

organizacji studenckich i codziennie otrzymywała nową broszurę reklamującą klub, który chciał ją mieć wśród swoich członków.

- Megan, słyszałaś?

Opuściła dłonie, którymi zasłaniała twarz, i ponownie odwróciła się do przyjaciółek.

- Co takiego?

Klementyna roześmiała się.

- Zapytałam, czy zamierzasz mieszkać na terenie stanowego uniwersytetu San Francisco, czy też dojeżdżać taki potworny kawał drogi. Uważam, że powinnaś przeprowadzić się do akademika. Jako magister socjologii nie spotkasz żadnych interesujących mężczyzn. Wiesz, Meg, praca socjologa to naprawdę nie jest opłacalne zajęcie, ani finansowo, ani pod względem facetów. Czytałam artykuł, w którym było napisane, że na zajęciach socjologii na trzydzieści kobiet przypada tylko około trzech mężczyzn. Będziesz musiała wziąć jakiś trudny przedmiot techniczny, jeśli chcesz, żeby szczęście się do ciebie uśmiechnęło.

- Słuchaj - odezwała się Alex - a może twoi rodzice szarpnęliby się i wynajęli ci jakieś mieszkanie? To byłoby świetne. Mogłabyś organizować prywatki i potańcówki. Szaleć do rana.

Megan uśmiechnęła się słabo.

- Nie wiem. Najprawdopodobniej zostanę w domu. Tak będzie prościej.

- Nie chcesz spotykać ludzi? - zapytała Alex. - Ja stanowczo wolę mieszkać w akademiku, przynajmniej przez pierwszy rok. Jest koedukacyjny. Zdaje się, że tylko poszczególne piętra są zarezerwowane dla jednej płci. W ten sposób szybciej przyzwyczaję się do uczelni. Dla ciebie to idealne rozwiązanie.

Alex i Klementyna zaczęły debatować nad innymi idealnymi rozwiązaniami dla Megan, zastanawiały się na przykład, jakie przedmioty powinna studiować, do których klubów wstąpić, które żeńskie organizacje wypróbować i tak dalej. Megan znów odwróciła głowę, nie zważając na ból pulsujący jej w skroni do rytmu słów przyjaciółek i dostrzegła, że jakiś drugoklasista pędzi jak szalony w kierunku wolnej ścieżki, opuszczonej przez uczniów ostatniej klasy.

* * *

Patrzył na nią już od dziesięciu minut. Klementyna była tego pewna. Poczwała na sobie jego wzrok spod powiek, jak tylko wyszła na otoczony drzewami dziedziniec dwunasto-klasistów. Odważyła się na szybkie spojrzenie w jego kierunku. Nie było wątpliwości, że wlepią w nią wzrok.

Stał w odległości zaledwie sześciu metrów, oparty o murowaną ścianę sali konferencyjnej. Niebieskie džinsy miał podarte na kolanach, ale jego podkoszulek był śnieżnobiały. Korzystnie uwydatniał okazałe bicepsy.

Klementyna nigdy wcześniej go nie widziała. Zwróciłby jej uwagę. Wyglądał jak Duke, jej ojciec. Przynajmniej tak go pamiętała. Silny, wyróżniający się w tłumie, przystojny, że zapierało dech w piersiach. Jej ojciec miał ciemniejsze włosy i jaśniejsze oczy, ale ten sam wzrost. Rozluźniony, a jednocześnie czujny. Pogardliwy, a jednocześnie rozbawiony. I emanujący seksem jak nagrzaný kot. Poczwała mrówki na plecach i oderwała od niego wzrok.

Rozejrzała się po dziedzińcu za Alex i Megan. Gdzie one się podziewały, kiedy ich potrzebowała? Nie miała ochoty sterczeć jak idiotka w oczekiwaniu na przyjaciółki, które nigdy się nie pojawiają. Przecież miały się spotkać na obiedzie, prawda? A może dziś jest spotkanie redakcji rocznika szkoły? Skąd w niej to zmieszanie? Dlaczego on nie odwraca wzroku? Może dzieje się z nim to samo, co z nią? Na pewno nie. Ale może...

Przenosiła ciężar z nogi na nogę. Czwała się w tenisówkach mniej zgrabnie i ciężej niż na dziesięciocentymetrowych obcasach. Przez całe lata dokładnie dostrajała pozę i elegancki wygląd do kąta nachylenia głowy, a teraz nie wiedziała nawet, gdzie podziać ręce. Wyglądały tak głupio, kiedy zwisały jej z obu stron. Pewnie się z niej śmieje. Oby tylko zjawiły się Alex i Megan. Oby tylko...

- Cześć.

Stał przy niej. Nie zauważyła nawet, jak podchodził. A teraz był tu, obok niej. Miał potężniejsze ramiona niż z daleka się wydawało. Krótkie rękawy koszulki opinały mu się na bicepsach. Długie rzęsy brązowych oczu łagodziły pochurność rzucanego spod powiek spojrzenia. Z bliska jego proste jak druty włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze, miały w sobie pasma o odcieniu przechodzącym od bieli do żółci. Pachniał czystością jak mydło. O, Boże, ależ był przystojny.

- Cześć - odpowiedziała. Uśmiechnął się, patrząc na nią z zainteresowaniem, jakby była nowoczesnym obrazem, do którego trzeba znaleźć klucz. Klementyna poskromiła w sobie chęć ucieczki.

- Jestem Connor Douglas - przedstawił się wreszcie.

- Klementyna Montgomery.

- Klementyna - przeciągał sylaby, jakby po raz pierwszy w życiu wymawiał jakieś przyjemnie brzmiące francuskie słowo. Klementyna zadrżała. - To niespotykane imię. Ale ładne.

Klementyna była kompletnie zbita z tropu. Szukała w myślach zdań, które mówi się do nowo poznanych osób, uwag o pogodzie, pytań o miejsce zamieszkania i o wspólnych znajomych, ale żadne nie wydawało jej się odpowiednie. Nie wiedziała, czego od niej chce, ani jak powinna się zachować. Po raz pierwszy w życiu nie panowała nad sobą.

- Dzięki. Ja też je lubię - odparła w końcu.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Klementyna wzdrygnęła się. Co go tak rozśmieszyło? Co takiego powiedziała? Jak to zrobić, żeby uciec stąd do diabła i odzyskać kontrolę nad hormonami?

- Słuchaj - powiedziała. - Mam spotkanie z przyjaciółkami. Muszę...

- Przepraszam - powoli udało mu się opanować wesołość, choć od czasu do czasu nadal wrywał mu się z gardła zduszony śmiech. Kiedy mówił, w jego oczach tliły się iskierki rozbawienia. - Nie wiem, co mi się stało. Obserwowałem cię i wydałaś mi się jakaś inna. Widzę, że miałem rację. Jesteś nieprzeciętna, Klementyno Montgomery. Chyba dlatego tak mi wesoło.

Przestała uciekać wzrokiem i odważyła się po raz drugi spojrzeć prosto na niego. Już się nie śmiał, choć w jego oczach wciąż widać było rozbawienie. Zastanawiała się, czy nie stroi sobie z niej żartów.

- Naprawdę muszę iść.

- Zgoda, w porządku. Ale może zjadłabyś ze mną kolację wieczorem? Jestem tu nowy. Właśnie przeprowadziłem się z matką z Oregonu. Pomyślałem, że może pokazałabyś mi okolicę.

- Z przyjemnością - słowa same wymknęły się jej z ust, zanim zdążyła temu zapobiec. Dlaczego niby z przyjemnością? Jej mistrzowski plan nadal nie przewidywał żadnych randek. Praca modelki zajmowała jej każdą wolną chwilę. Nie miała czasu na takie rzeczy.

- Wspaniale. Co powiesz na siódmą?

- Dobrze - zapisała swój adres i podała mu kartkę.

- No, to do zobaczenia - odszedł śmiejąc się i kręcąc głową. Ciekawe, co go, do cholery, tak rozśmieszyło. Odwróciła się i poszła na następną lekcję, zapominając o Alex i Megan. Przyszło jej do głowy, że będzie musiała odwołać wieczorne spotkanie z miejscowym projektantem mody, a pracę domową odrobić rano. Nawet nie zauważyła, że cały czas się uśmiecha.

* * *

- Stary zostawił nas, kiedy miałem dwa lata - powiedział Connor. Prawa strona jego twarzy była ukryta w cieniu. Drugi policzek oświetlała mu tylko stojąca na stole świeca. Miał na sobie biały, bawełniany podkoszulek i tweedową marynarkę, a do tego parę nowych džinsów. W ciągu tego wieczora Klementyna szybko zdążyła się zorientować, że jeśli chce koncentrować się na tym, co on mówi, nie może patrzeć prosto na niego. Kiedy wbijał w nią wzrok, a jego twarz i reszta sylwetki znajdowały się w odległości metra, mógł mówić jak do ściany, bo reagowało tylko jej ciało. Zdecydowanie zbyt gwałtownie, jak na gust Klementyny.

- To przykre - powiedziała.

- Nie bardzo. Nie był idealnym materiałem na ojca. To się zdarza, jak pewnie wiesz.

Rozejrzała się po małej hinduskiej restauracji. Nie zauważyła wcześniej, że była aż tak pełna. Właściwie w ogóle niewiele zauważyła, od kiedy weszli tu dwie godziny temu.

- Tak, wiem.

Przed nimi stały dwa talerze z ledwie tkniętą lasagną. Klementyna nie miała ochoty na deser. Jedyne, czego autentycznie chciała, to słuchać bez końca głębokiego głosu Connora. Brzmiał tak znajomo i ciepło, jakby już go kiedyś słyszała w szczęśliwszym okresie dzieciństwa. Głos tego rodzaju każe się ludziom zatrzymać w miejscu i zasłuchać. I uśmiechnąć.

- Zająłem się potem domem właściwie sam - ciągnął. - Mama próbowała wziąć to na siebie, ale chyba brakowało jej energii. Zacząłem pracować, kiedy miałem trzynaście lat - jako roznosiciel gazet, goniec w agencji reklamowej. Podejmowałem tego typu zajęcia. Mama była za bardzo zajęta swoimi przyjaciółmi, żeby zarabiać. Właśnie dlatego przenieśliśmy się tutaj. Przyjechała za jakimś pechowcem, ale oczywiście nie został z nią długo. Stara śpiewka. Czasem niektórzy pomagają jej przez jakiś czas, ale zwykle po prostu robią ją w trąbę i spieprzają.

Klementyna zeszywniała. Poglaskał ją po dłoni. Poczowała jego dotyk w każdym kawałku swego ciała.

- Oj, przepraszam. Nie powinienem używać takiego słownictwa przy damie.

Odprężyła się i zjadła kęs potrawy.

- Nie ma sprawy. Czasem sama tak się wyrażam.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, przysłuchując się rozmowom innych gości, śmiechom, negocjacjom handlowym i kłótni pary małżonków, którzy głośno w rogu sali domagali się od siebie nawzajem obniżenia tonu.

- Nigdy nie widziałem równie ślicznej dziewczyny - powiedział nagle Connor.

Klementyna uniosła szklankę z wodą i szybko ją wypila. Była zdziwiona, że te słowa sprawiły jej przyjemność.

- Nie jestem szczególnie ładna.

- Nie żartuj. Jesteś i dobrze o tym wiesz. Od razu to w tobie zauważyłem. Nie wyglądasz na osobę, wobec której można grać komedię. Nie znoszę tych kretyńskich umizgów. Jak się coś czuje, trzeba to mówić. Jak się czegoś chce, trzeba to brać.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Dobra. Jestem nieprzeciętna. Na tyle nieprzeciętna, że stanę się kiedyś sławna. Pobędę tu jeszcze kilka miesięcy, a potem znajdę swojego impresaria i zawędruję jako modelka na sam szczyt. A stamtąd, kto wie?

- Właśnie to chciałem usłyszeć. - Podniósł szklankę, przez którą jego oczy wydawały się rzucać tęczowe błyski. - Za szczerość. I za cholernie dużo sukcesów. Dla nas obojga.

Stuknęła się z nim szklanką i wypila łyk wody. Poczula nagle chęć, żeby wyjść i uciec. Żeby skończyć z tym od razu, dopóki jest jeszcze Klementyną, dopóki ma swój cel i tylko o nim myśli. Ale on nie dawał jej odejść, przykuwał ją do miejsca swoją energią, tym, że obudził nową, nie zbadaną jeszcze część jej osobowości.

- A teraz powiedz mi - odezwała się, chcąc ukryć swoje uczucia - jakie są twoje plany. To znaczy, co zamierzasz robić, jak skończysz liceum.

Wyprostował się na krześle i zupełnie zmienił wyraz twarzy. Już nie uwodził. Wzrok mu zapłonął, a jego słowom towarzyszyła żywa gestykulacja.

- Jak ci wcześniej mówiłem, chcę zostać aktorem. Mam jutro próbę do roli Tony'ego w „West Side Story” w Teatrze Za Kulisami we Frisco. Byłem już na dwóch przesłuchaniach, a oni ciągle mnie do siebie ściągają. Chyba zostałem przyjęty.

- Wspaniale, Connorze.

- Tak. To byłaby moja pierwsza większa rola. Grałem kilkanaście razy w scenach zbiorowych, byłem statystą i niezliczoną ilość razy dublerem. Potrzebuję już zmiany. No, i stąd może uda mi się przebić do Los Angeles albo Nowego Jorku. To byłoby wspaniałe pracować na Broadway'u, ale - szczerze mówiąc - moim celem jest Hollywood. Chcę czuć na sobie światła jupiterów, spojrzenia wielbicieli i oglądać swoją twarz na ekranie.

Rozejrzał się po sali i ponownie skierował wzrok na nią.

- Wiesz, nigdy nie byłem dla nikogo ważny - powiedział, ścisząc głos.
 - No, może dla matki. Ale dla niej ważniejsze jest, żeby się z kimś przespać, niż to, jakie problemy ma jej nastoletni syn. Więc jeśli uda mi się osiągnąć cel, to będzie trochę tak, jakbym miał cały świat dla siebie, prawda?

Klementyna skinęła głową. Nie sądziła dotąd, że to możliwe, by dwoje ludzi, którzy tak długo żyli, nie znając się nawzajem, wymarzyło sobie taki sam cel. Widziała niemal, jak zżera go determinacja.

- Zanim się obejrzysz, moja panno, będę już gwiazdorem. Wyciągnęła rękę i mocno schwyciła jego dłoń.

- Doskonale wiem, co czujesz.

Dotyk sparzył im skórę. Bez zastanowienia spojrzała Connorowi prosto w oczy. Momentalnie straciła głowę, obezwładniona jego urokiem. W rozszerzonych źrenicach Connora nie widać było najmniejszego śladu rozbawienia. Zapłacił rachunek i wstał. Chwycił ją ponownie za rękę i szybko zaprowadził do samochodu.

* * *

Do ostatniej chwili Klementyna nie wierzyła, że znajdzie się tu, gdzie jest, i będzie chciała robić to, co ona i Connor właśnie zamierzali zrobić. Znała go od niecałych dwunastu godzin. Miała jednak wrażenie, że minęły już wieki, a on wie o niej wszystko, zna każde jej uczucie, zgaduje każdą myśl i każde dręczące ją pragnienie.

Pokoje były wynajmowane na godziny. Podobnie jak większość innych gości, wpisali się do książki hotelowej - jako pan i pani Smith. Słyszała o osobach, które tak postępują, i zawsze uważała, że są to ludzie nie na poziomie, żądni taniej rozkoszy. Ale może, a nuż, wszyscy inni państwo Smith byli tacy jak ona i Connor - za młodzi, żeby mieć własne mieszkanie, a przy tym tak sobą zafascynowani, tak mocno siebie spragnieni, że gdyby nie przyłgnęli do swoich ciał skóra przy skórze, straciliby kawałek siebie.

Pokój znajdował się na drugim piętrze, bezpośrednio za neonowym napisem „Hotel przy Szóstej Ulicy”, którego odbłask padał przez zasłony na łóżko. Dywan miał pomarańczowy kolor. Pstrzyły go gdzieniegdzie brązowe ciapki. Narzuta też była pomarańczowo-brązowa i brudna, a telewizor miał wyrwane wszystkie gałki, jakby żaden kanał nie nadawał się do oglądania.

Connor zamknął drzwi, minął ją i podszedł do łóżka. Usiadł i zdjął buty. Kiedy miał już ściągnięte także skarpetki, podniósł na nią wzrok. Stała w drzwiach znieruchomiała.

- Nie musimy tego robić - powiedział. - Zaczekam, aż będziesz gotowa.

Do oczu napłynęły jej łzy. Była jednocześnie podniecona i przerażona, zdecydowana i niepewna siebie. Przed chwilą wbiła wzrok w dywan, żeby nawet kątem oka nie widzieć Connora, teraz jednak spojrzała na niego. Miał w oczach łagodność i cierpliwość, ale i pożądanie. Zawsze myślała o swojej urodzie jako o środku do zdobycia sławy i niczym więcej. Świadomość, że on jej pragnie, po raz pierwszy w życiu pozwoliła jej jednak naprawdę poczuć się piękną. Jego magnetyczne spojrzenie pomogło jej odzyskać równowagę i dodało siły. Wyciągnął rękę, a ona podeszła do łóżka, podała mu swoją i usiadła obok.

- Może nie uwierzysz - powiedziała - ale nigdy jeszcze nie byłam z mężczyzną.

Wstał i podszedł do okna. Poprzez światła neonu widać było ruchliwy parking i pary, które przyjeżdżały i odjeżdżały, rzucając sobie wymowne spojrzenia.

- Oczywiście, że ci wierzę - odparł, nie odwracając głowy. - Znam cię, Klementyno. Zachowujesz się zdecydowanie i dumnie, jakby świat nie miał przed tobą tajemnic, ale w środku jesteś tak samo przestraszona jak wszyscy inni ludzie.

Zacisnęła ręce na podołku i spojrzała na swoje paznokcie, idealnie opiłowane i polakierowane, jak zawsze, zresztą. Skąd on tyle wie? Jak to możliwe, że ktoś tak doskonale do niej pasuje? To przypomina jedną z bajkowych fantazji, które zawsze snuła Megan, a jednak się urzeczywistnia.

- Chcesz być ze mną? - zapytał, nadal stojąc do niej tyłem. Lekko zadrżał mu głos. Było to jedyne pęknięcie w stalowym pancerzu, który nosił. Nagle zrozumiała, że potrzebuje Connora. Że chyba nigdy w życiu niczego i nikogo tak bardzo nie potrzebowała. Stała za nim i przytuliła policzek do jego pleców.

- Pragnę cię, Connorze.

Odwrócił się szybko i przyciągnął ją do siebie. Drżąc objęli się z takim uniesieniem, jakby najłżejsze osłabienie uścisku mogło ich rozdzielić na zawsze. Mocno otoczył Klementynę ramieniem i poprowadził ją do łóżka. Usiedli w czerwonych refleksach rzucanych przez neon. Connor wziął ją pod brodę, zmuszając do podniesienia głowy.

- Nie pomyślałabyś, że to głupie, gdybym powiedział, że chyba cię kocham? - wyszeptał.

Pocałowała go delikatnie w usta, jak motyl, który po raz pierwszy muska skrzydłami kwiat, chcąc sprawdzić jakość pyłku i dochodzi do wniosku, że słodko pachnie, jest obfity i pyszny. Czuła, że fortyfikacja, którą się otoczyła, maska siły i odwagi opada z niej jak zbędna skóra. Przy Connorze mogła być po prostu Klementyną, nikim więcej i nikim mniej.

- Pomyślałabym, że to niedorzeczne - odparła - gdybyś powiedział, że mnie nie kochasz.

Pocałowali się znowu, a palce Connora ześliznęły się po jej szyi na piersi. Delikatnie ściągnął jej z ramion luźny sweter i mocno je nacisnął. Wydała westchnienie rozkoszy i przyciągnęła go do siebie na łóżko. Jeszcze nigdy nie była tak pewna, czego chce.

* * *

Klementyna czekała na wynik próbnego przesłuchania Connora w towarzystwie jego matki w ubogim, dwupokojowym domku, który wynajmowali we wschodniej części Sausalito. Po południu miała się spotkać z konsultantem rewii mody Saksa, żeby omówić premierowy pokaz jesiennej kolekcji, ale ze zdenerwowania nie mogła się skoncentrować i odłożyła rozmowę do następnego rana.

Wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia, że upłynął dopiero jeden dzień od chwili, gdy spotkała Connora. Odnosiła wrażenie, że zna go od lat, całe życie. Miała pewność, że wie o nim wszystko. Jego marzenia były jej marzeniami. Ciało Connora tak idealnie pasowało do jej ciała, że nie wiedziała, gdzie kończy się i zaczyna ona sama. Nie śpieszył się. Zajmował się tylko jednym kawałkiem jej skóry - po kolei delikatnie dotykał, całował i ssał tak długo, aż miała wrażenie, że za chwilę oszaleje z rozkoszy. Kiedy wreszcie wszedł w Klementynę i ją wypełnił, kiedy przywarł do niej z zamkniętymi oczami, szepcząc jej imię do ucha, poczuła się spełniona. Stracili tyle czasu przez te lata, kiedy się nie znali.

Był już na przesłuchaniu od trzech godzin. Co, u diabła, zatrzymało go tak długo? Albo im się spodobał, albo nie. Musiał się spodobać. Jak mogło być inaczej? Jest przystojny. Umie śpiewać. Udowodnił to w samochodzie, kiedy wracali poprzedniej nocy do domu. Wykonał wówczas „Marię”. Czego więcej chcieli?

Rzuciła okiem na panią Douglas, która była całkowicie pochłonięta lekturą ostatniego numeru „Cosmopolitan”. Klementyna zadzwoniła rano

do jej drzwi, przedstawiła się jako ta dziewczyna, w której towarzystwie Connor był poza domem do drugiej w nocy, i wyciągnęła rękę. Pani Douglas ścisnęła dłoń Klementyny, co zajęło jej dwie sekundy, wymamrotała coś na przywitanie i wróciła na kanapę do lektury swego pisma. Od tamtej pory nie ruszyła się z miejsca, wstając tylko dwa razy po piwo. Nie zaproponowała Klementynie nic do picia, a ta się nie dopominała. Chciała zrobić dobre wrażenie, ale pani Douglas najwyraźniej była nieobecna duchem, nie miała więc na kim wywrzeć wrażenia. Wyciągnęła wobec tego z torebki książkę o pozytywnym myśleniu i czytała ją przez trzy godziny, nie próbując nawet zagaić rozmowy. Jeśli matce Connora było to niepotrzebne, to jej także.

Nie mogła się powstrzymać i co jakiś czas spoglądała ukradkiem na panią Douglas, podziwiając moc natury, która dała tak niedoskonałej matce tak doskonale dziecko. Przyszło jej do głowy, że w genach musi być coś w rodzaju sita, które zatrzymuje dobre cechy, a przepuszcza złe. Connor pod żadnym względem nie przypominał matki. Ona była otyła, on znakomicie umięśniony. Ona miała ciemne włosy, on bardzo jasne. Jej twarz była szeroka i bez wyrazu, Connor zaś miał rysy ostre i wyraziste. Nasuwało się jedyne wyjaśnienie: musiał mieć zachwycająco przystojnego ojca, który - jak w przypadku Klementyny - przekazał mu dominujące geny, określające wygląd zewnętrzny. Bogu dzięki.

Connor wpadł do mieszkania piętnaście minut później. Ciężko oddychał i miał zaczerwienione oczy. Stała czekając, aż odezwie się pierwszy. Trwało to dość długo. Wreszcie powiedział:

- Nie spodziewałem się, że tu przyjdiesz.
- Chciałam dowiedzieć się, jak ci poszło.

Connor odwrócił się w kierunku matki, która zerknęła na niego znad pisma.

- Właśnie. Jak poszło? - zapytała. Miała chropowaty głos, jakby wymyła struny głosowe piaskiem i niedokładnie je wyplukała.

Wbił wzrok w sufit, a potem podszedł do Klementyny. Chwycił ją za rękę.

- Podbicie Hollywood może mi zająć trochę więcej czasu niż przypuszczałem - głos mu się załamał i chociaż udawał człowieka twardego i nieczulego, dostrzegła wilgoć w jego oczach. - Poczekasz na mnie? - zapytał.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Usłyszała świst pisma, rzuconego przez matkę Connora na kanapę, i tupot jej nóg znikających w głębi korytarza.

- Tak, Connorze, poczekam.

RS

Rozdział 6

Megan, pełna zachwytu, okręciła się na pięcie przed dużym lustrem w przymierzalni. Sukienka była prześliczna. Uszyta z szyfonu w białoróżowe paski, z dekoltem w karo i pięcioma falbanami, które spadały od kolan do stóp jak marmurowe stopnie.

- Alex, chodź i zobacz.

Alex weszła do małego pomieszczenia i uśmiechnęła się.

- Nareszcie - powiedziała. - I pomyśleć, że musiałyśmy przeszukać dwanaście sklepów i przymierzyć dwadzieścia sukienek, żeby znaleźć tę właściwą.

- Szczerze mówiąc, to dość szybko, jak na mnie.

- Wiesz, chciałabym dostać jedną z takich kart kredytowych bez ograniczeń, jakie mają twoi rodzice. Nie rozumiem, jak udaje ci się opanować, żeby nie wykupić całego centrum handlowego i nie kazać sobie zapakować wszystkiego w pudełka na prezenty.

Megan wybuchnęła śmiechem, obracając się przed lustrem, żeby sprawdzić swój wygląd ze wszystkich stron. Właśnie na tym polega rozkosz życia! Jeśli Alex chce zmienić front o sto osiemdziesiąt stopni i dać kosza wszystkim chłopakom, którzy zapraszają ją na bal absolwentów, to jej sprawa. Rozmowa z nią przypomina ostatnio słuchanie nudnej opery w obcym języku, z którego nikt nie rozumie ani słowa - sceny dłużą się bez końca, aria biegnie za arią, a publiczność omdlewa w gorącym, dusznym powietrzu sali koncertowej. Z ust Alex wydobywają się teraz wyłącznie informacje o uczelni, kursach zniżkowych i stopie inflacji. Megan opanowuje się resztką sił woli, żeby nie zmusić jej do przymknięcia buzi.

A skoro Klementyna woli zapomnieć o bożym świecie, byle tylko robić do Connora maślane oczy i szczebiotać po dziecinnemu, że aż się słabo robi, to trudno, jej sprawa. Megan zamierza dobrze się bawić. Pójdzie na bal z Billym Weinsteinem nie zważając na to, co o nim mówią Alex i Klementyna. Przynajmniej raz się nie da. Poza tym Billy wydoroślał od chwili, gdy go zobaczyła po raz pierwszy w dziesiątej klasie. Szybkretowe okulary zamienił na szkła kontaktowe, a jego tyczkowane ciało nabierało kształtów. Zawsze był wysoki i chudy, ale teraz przynajmniej nie miała wrażenia, że chodzi pod rękę ze szkieletem.

Najważniejszym powodem, dla którego chciała pójść na ten bal z Billym, było jednak to, że przy nim nie czuła się skrępowana. Billy przypominał stary, zużyty chodnik o znanym, stęchłym zapachu i plamach,

których nie daje się wywabić. Megan wiedziała, że w jego towarzystwie jest bezpieczna. Przy nim nie groziło jej, że zostanie zraniona, że usłyszy przepojone nienawiścią słowa, że drżenie serca odbierze jej zdecydowanie, własną wolę i pewność siebie. Za każdym razem, gdy spostrzegła ciemne, potargane włosy albo kogoś o prawie czarnych oczach, utwierdzała się w przekonaniu, że poczucie bezpieczeństwa jest jedyną emocją, jaką pragnie odczuwać.

Alex odnosiła się do tego balu tak, jakby to były zawody w truciu spalinami. Co prawda, poszła wobec Megan na ustępstwo, towarzysząc jej przy zakupie sukienki i ucząc ją kroków tanecznych, ale sama absolutnie nie chciała wziąć w nim udziału. W przeciwieństwie do Megan, nie traktowała go jako symbolicznego przejścia w dorosłe życie, jako sposobu uczczenia tego faktu. Megan przekonywała Alex, że to jest niepowtarzalne przeżycie, doświadczenie, o którym będzie mogła opowiadać swoim dzieciom. Billy miał wynająć limuzynę, którą pojedą do Hotelu Fairmont, gdzie będą jeść, tańczyć i śmiać się przez całą noc. Był to jedyny wieczór, kiedy państwo Sanders zezwolili córce na taki przywilej.

Megan oderwała od siebie wzrok i odwróciła się ku Alex.

- Jesteś pewna, że nie przyjdiesz? Może byś zmieniła zdanie? Dobrze wiesz, że każdy chłopak zgodzi się z tobą pójść. Od kiedy przestałaś umawiać się na randki, nie wiedzą, co jest grane. No, i bez ciebie to nie będzie to samo.

Alex usiadła na schodku w przebieralni. Zagubiony lok wysunął się ze ściśniętego koczka i zwisał jej nad lewym okiem, psując cały efekt. Zawinęła go zdecydowanym ruchem za ucho.

- Nie sądzę, Megan. Wiem, ile znaczy dla ciebie ten bal, i nie widzę w tym nic złego. Klementyna z kolei używa go oczywiście jako pretekstu, żeby całą noc spędzić z Connorem. Ale w moim przypadku to bez sensu. Zależy mi tylko na tym, żeby opuścić szkołę i rozpocząć życie na własny rachunek. Nie mogę się tego doczekać. Chciałabym już być na uczelni, wśród studentów, którzy uczą się dlatego, że chcą, a nie dlatego, że muszą. Nie mam ochoty marnować czasu z bandą wystrojonych szczeniaków, którzy bawią się w dorosłych. Chcę żyć naprawdę.

Rozpięła suwak z tyłu sukienki Megan.

- Ale to przecież jest raz na całe życie. No, i...

- Wiem, wiem - odparła Alex. - To twoje ostateczne pożegnanie ze szkołą, okazja, żeby się umówić na randkę, miło spędzić czas i chociaż

przez jedną noc wyglądać jak dorosła. Trele-morele. Joey suszy mi o to głowę od tygodni.

- Joey? - Megan drgnęła, jakby przez jej ciało przebiegł prąd, który wywołał wewnątrz trzaski, iskrzenie i poruszenie.

- No. Mój wszytkowiedzący braciszek. Ma raptem czternaście lat, a już się na wszystkim zna. Prawda zaś wygląda tak, że chodzi ze Stacy Melhoff, wobec czego wydaje mu się, że świat jest pełen romansów. Nie spocznie, dopóki wszyscy nie będą tak głęboko zakochani jak on.

Megan wzięła szybki oddech i przeklęła ból w klatce piersiowej. To absurd, a jednak bolesne uczucie zdrady wypełniło jej płuca, wypierając z nich powietrze.

- Jak długo to już trwa?

- Co takiego? Aha, chodzi o Joeya i Stacy? Nie wiem, chyba jakieś parę tygodni. To zabawne. Wiesz, Joey jest strasznie staroświecki. Taki... taki stary. Doprowadza mnie do wściekłości ten jego przemądrzały wyraz twarzy, jakby znał odpowiedź na każde pytanie. Licho wie, skąd mu się to wzięło. Tak czy inaczej, prawie nie dotyka tej biedaczki, a jeśli już, to wygląda tak, jakby miał paść trupem z zażenowania. Mama, tata i ja zawsze dajemy im szansę pobycia sam na sam, ale to chyba tylko pogarsza sytuację.

Megan zrobiło się nagle żal Joeya, który był taki inny, przez wszystkich popychany i popędzany jak rozgwiazda w zbiorniku ze sztucznymi falami w zoo. Wyobraziła sobie, jak siedzi obok Stacy. Jak - jej - tam, usiłuje zachowywać się jak dżentelmen, robić wszystko jak należy, podczas gdy rodzice i Alex, którzy nie znają takiego słowa jak „cierpliwość”, wystawiają głowy zza rogu i go ponaglają.

Megan wciągnęła z powrotem dżinsy i sweter. Życie w jednym mieszkaniu z Alex i jej niepowtarzalnymi rodzicami musi przypominać jej własną przyjaźń z Alex i Klementyną. Zawsze pozostawała w ich cieniu. Wszystko, co dodawało jej otuchy, było przez nie odrzucane jako nudne. Na każdy zrobiony przez nią krok one robiły dwadzieścia większych. Oboje byli skazani na niewolę w cieniu gwiazd.

* * *

Kiedy Klementyna dotarła na szczyt wzgórza, samochód Johna znajdował się na podjeździe. Cholera, pomyślała. Wolą być sama przy otwieraniu korespondencji, na wypadek, gdyby przyszła odpowiedź z którejś agencji. Ze wszystkich ludzi, którzy mogliby oglądać jej reakcję, John zajmował miejsce na szarym końcu.

Minęły już dwa miesiące, od kiedy wysłała swoje zdjęcia. Eileen Ford poprosiła ją o następne. To było trzy tygodnie temu. Od tego czasu - martwa cisza. Spodziewała się jeszcze odpowiedzi od Johna Robertsa i Międzynarodowych Uśmiechów. A nuż dzisiaj będzie inaczej. A nuż dziś jej życie się odmieni.

Marząc wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, że John zapomniał o poczcie, podeszła do skrzynki i ją otworzyła. Była pusta. Zatrzasnęła drzwiczki. Z grymasem zawodu na twarzy spojrzała na ponury dom. Będzie musiała jakoś dać sobie radę. Jeśli dostanie odpowiedź, zachowa spokój i opanowanie. Weźmie list do ręki, zabierze do swojego pokoju i powoli otworzy. Może później powie Johnowi, co w nim było, jeśli będzie miała ochotę. Gdyby się okazało, że ona musi zamieszkać w Nowym Jorku, pewnie skakałby z radości. Miałby Angel, swojego własnego, posłusznego szczeniaczka, tylko dla siebie. Czekalaby na niego dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Klementyna weszła przez frontowe drzwi i skierowała się do kuchni. John, ubrany w szary garnitur, siedział przy stole tyłem do niej. Siwawe włosy miał jak zawsze dokładnie wysmarowane obleśną brylantyną. Stłumiła w sobie pojawiającą się znowu chęć, by zatopić w nich palce i rozsmarować mu ten kłajster po całej twarzy.

- Cześć, Johnie. Nie wiedziałam, że będziesz w domu po południu.

Spojrzał na nią i po twarzy przebiegł mu cień uśmiechu. Lepiej się starał, kiedy Angel była w pobliżu, ale kiedy miał do czynienia z samą Klementyną, rzadko się wysiłał.

- Nic się nie działo w biurze, więc postanowiłem zrobić niespodziankę twojej matce. Niestety, wygląda na to, że to ona mnie zaskoczyła. Nie wiesz, gdzie jest?

- Pewnie w spożywczym - odpowiedziała Klementyna, otwierając lodówkę i wyjmując wodę mineralną. - Robi tam zakupy codziennie po południu.

- Naprawdę? Nie wiedziałem.

Klementyna zazgrzytała zębami. Oczywiście, że nie wiedział. Nie miał pojęcia o niczym, co nie dotyczyło jego głupiej kancelarii adwokackiej, porannej gry w golfa w każdy wtorek i metod przyrządzania martini z wódki. Nie miał za grosz pojęcia o Angel, o jej życiu i o tym, jak wiele codziennie dla niego robi. A już z całą pewnością nie wiedział nic o Klementynie. Nie zamierzała tego zmieniać.

- Wyjąłeś pocztę? - zapytała niedbałym tonem, przesuwając palcem po szyjce buletki z wodą mineralną.

- A, właśnie. Przypomniałaś mi. - Odwrócił się i chwycił otwartą kopertę. - To przyszło z agencji Johna Robertsa. Przykro mi, ale wygląda na to, że potrzebują w tej chwili modelek o innym typie urody. Odpowiedzieli w zasadzie dość uprzejmie, ale...

- Otworzyłeś mój list?!

- No, cóż. Wiem, jak bardzo czekałaś na odpowiedź, więc pomyślałem, że będziesz chciała wiedzieć od razu.

Rąbnęła butelką o blat kuchenny. To zdumiewające, jak szybko jej ciało reagowało na zmiany sytuacji. Minutę wcześniej było opanowane, stwarzało pozory niefrasobliwości, po czym trach! nagle krew zaczęła w niej pędzić z szybkością morskich bałwanów, wysadzając wszystkie bezpieczniki, drażniąc zakończenia nerwów i budząc w jej rękach chęć bicia i drapania. Podeszła do stołu i wyrwała mu z ręki kopertę.

- Jak śmiesz naruszać w ten sposób moją prywatność? Ty... ty wścibska świnió! Straciłeś już wszystkie skrupuły? To jest, psiakrew, moja poczta. I moje życie. Nie masz do tego prawa!

- Trochę się zagalopowałaś, Klementyno. Mam pełne prawo wiedzieć, co się dzieje w twoim życiu. Ten dom należy do mnie. Ja łożę na twoje ubranie i na jedzenie, które mamy na stole. Na dobrą sprawę to ja zapłaciłem większość rachunków za konkurs, w którym wzięłaś udział. I to ja pokryłem koszty wszystkich sesji zdjęciowych, które miałaś od tamtej pory.

Poczuła, że z żołądka podchodzi jej do gardła fala żółci. Twarz ją paliła, a w uszach rozlegały się głośnie grzmoty.

- Nie masz prawa do niczego, co dotyczy mojego życia - powiedziała. - Wyobrażasz sobie, że kim niby jesteś?

Podniósł się. Przy wzroście metr dziewięćdziesiąt trzy przewyższał ją o głowę. Nozdrza Klementyny rozszerzyły się, czując odstręczającą, wstrętą woń jego wody kolońskiej, tak różną od zapachu jej ojca.

- Jestem twoim ojczymem. Codziennie tu przebywam. Opiekuję się tobą, jakbyś była moją córką, czego nie można powiedzieć o twoim prawdziwym ojcu. Duke nie pisze ci nawet, gdzie mieszka, co dowodzi, jak mało mu na tobie zależy. Dałbym głowę, że guzik go obchodzi, czy jeszcze żyjesz.

Klementyna była zbyt wściekła, by poczuć się zraniona. Przeszła z nogi na nogę ze świadomością, że nie może mu wyrządzić fizycznej

krzywdy. Jest dwa razy silniejszy i gdyby rzuciła się na niego z pięściami, nie zastanawiałby się długo, czy ją uderzyć.

- Nienawidzę cię - prychnęła, przelękając ślinę, którą miała ochotę pluć mu w twarz. - Zawsze cię nienawidziłam. Nie jesteś wart mojej matki.

Wykręciła się na pięcie i skierowała ku schodom. Postawiła nogę na pierwszym stopniu i jeszcze raz się odwróciła.

- Idę na górę spakować swoje rzeczy. Jeszcze dziś wyprowadzam się z twojego domu.

Pobiegła na piętro, przeskakując po dwa stopnie. Kiedy już znalazła się w swojej sypialni, zatrzasnęła drzwi. Panująca w pokoju głęboka cisza wyгнаła grzmoty z jej uszu. Słyszała tylko w środku piskliwy gwizd i czuła dławiący strach. Oparła się o drzwi i wygładziła ściskany w garści list.

Droga panno Montgomery!

Jesteśmy wdzięczni, że zechciała nam Pani zaprezentować swoje zdjęcia. Niestety, poszukujemy obecnie osób o nieco innym typie urody. Bardziej egzotycznych i ognistych, o ciemniejszych włosach. Gdyby zgłosiła się pani rok lub dwa lata temu, spełniałaby pani idealnie nasze oczekiwania. W tej chwili jednak prezentujemy aż nadto blondynek o jasnej karnacji. Życzymy powodzenia w innych firmach.

Z wyrazami szacunku John Roberts

Spróbowała wyprostować plecy, ale ten wysiłek był z góry skazany na niepowodzenie. Osunęła się na podłogę, objęła ramionami kolana i rozplakała się. Każdego, kto słyszał szloch Klementyny, który rozlegał się raz na sto lat, musiały przejść lodowate ciarki, nawet jej ojczyma. Brzmiał jak kwilenie porzuconego dziecka, które jest głodne i przerażone.

* * *

Klementyna spakowała tylko te ubrania, które do niej należały, zanim zaczęła pracować jako modelka. Nie zdawała sobie sprawy, jak dużo pieniędzy Johna wydała od momentu, gdy na dobre poświęciła się swojej karierze. Decyzja o pozostawieniu w domu ubrań była jedną z najtrudniejszych, jakie przyszło jej w życiu podjąć. Przesunęła opuszkami palców po śliskiej satynie i delikatnych wstawkach z koronki i szybko zamknęła drzwi garderoby. Nie chciała od niego nic.

Miała tylko jedną własną walizkę, więc książki, parę bibelotów i pluszowego misia, którego Connor wygrał dla niej na jarmarku dwa tygodnie wcześniej, zapakowała do dwóch brązowych, papierowych toreb. Rozejrzała się jeszcze raz po pokoju, przebiegając spojrzeniem od okna,

przez białą toaletkę, przy której siedziała tysiące razy, po miękkie łóżko. Z rozkoszą położyłaby się na nim teraz. Lekko drząc, przekręciła gałkę drzwi i wyszła.

- Nie możesz do tego dopuścić, Johnie. - Klementyna zastygła w bezruchu na szczycie schodów, nasłuchując dobiegającego z kuchni błagalnego głosu matki. - To moja córka. Dokąd ona pójdzie?

- Skąd mam, do cholery, wiedzieć? - wrzasnął John swym prawniczym tonem. W jego głosie brzmiała obraza i oburzenie, że ktoś śmie mu robić wyrzuty. - Pewnie do tego jej aktora. Posłuchaj, Angel, ja jej nie wyrzuciłem. Sama chce odejść. Poza tym za kilka tygodni skończy osiemnaście lat. Może przydałoby się jej trochę niezależności.

Klementyna chwyciła za poręcz, oczekując gwałtownych protestów matki, żądań, by została. Miała nadzieję, że weźmie w niej górę wojowniczy instynkt macierzyński. Ale dom wypełnił się szeptami. Podniosła walizkę i papierowe torby, po czym zeszła ze schodów. Złożyła swoje rzeczy przy frontowych drzwiach i wróciła do kuchni.

- Wychodzę... - Pomyślała, że kiedy Angel zobaczy strach w jej oczach, może odnajdzie w sobie siłę i zacznie namawiać ją do pozostania. Angel pokręciła jednak głową. John mocno ścisnął jej rękę. Należała teraz do niego. Dawno temu postanowiła oddać mu swoje życie na świeżo wypolerowanej srebrnej tacy i nie cofnęła tej decyzji. Córka się nie Uczyła.

- Będę u Connora, gdybyś mnie szukała. Znasz telefon. Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

- Clemmie - odezwała się matka. Klementyna zastygła w oczekiwaniu. - Uważaj na siebie, skarbie.

Pokonała słabość w ramionach i wyprostowała się.

- Nie martw się, mamo. - Schwyciła swoje rzeczy i wyszła.

* * *

- Myślę, że popełniasz wielki błąd.

- O, Boże, dasz mi wreszcie spokój, Joey? - Alex opadła na secesyjne krzesło z oparciem w kształcie skrzydeł i zaczęła przeglądać jakieś czasopismo. - Powiedziałam ci, że mnie to nie interesuje.

Joey wzruszył ramionami i wstał z kanapy. Przełożył jedną z pasiastych poduszek na inne miejsce, a potem na jeszcze inne, chcąc znaleźć dla niej właściwe położenie, ale ostatecznie poddał się z rezygnacją. Kto to słyszał łączyć paski ze wzorem kwiatowym? W jego opinii wszystko, co znajdowało się w tym domu, miało swoje miejsce gdzie indziej - poduszki, meble, wreszcie on sam. Podszedł do fortepianu i usiadł.

Alex szarpnęła głową ze wstrętem, kiedy jego palce energicznie uderzyły w klawisze. Rozległa się jakaś głośna pokrętna muzyka klasyczna, której nigdy nie rozumiała ani nie lubiła. Melodia była jakby znajoma, ale jej to nie zaskoczyło. Uważała, że wszystkie te głupie kawałki brzmią tak samo. Są za głośne, zbyt monotonne, bez tak potrzebnego podkładu perkusyjnego, no i dużo, dużo za długie.

- Błagam, nie zaczynaj.

Joey grał dalej. To była jego jedyna broń. Zdał sobie sprawę, jaką władzę ma nad Alex, już po pierwszej lekcji fortepianu przed pięciu laty. Wystarczyło kilka minut muzyki klasycznej, a Alex na kolanach przysięgała, że zrobi wszystko, byle tylko przestał, lub wychodziła z domu. W obu przypadkach sytuacja Joeya wydatnie się poprawiała.

Z uśmiechem walił w klawisze, czując pod palcami chłodną kość słoniową. Beethoven przeobrażał go najbardziej ze wszystkich kompozytorów. Jego utwory były kunsztowne, poruszające, pełne energii i siły. Palce Joeya działały jak przewodnik, dzięki któremu jego umysł ogarniał nowe obszary, jego ciało wzmacniało się, a on sam czuł, że żyje i jest wolny. Kątem oka dostrzegł, jak Alex bębni palcami po blacie stolika. W końcu wstała.

- No, dobrze. W porządku. Czego chcesz? Przestał grać i uśmiechnął się do niej.

- Chcę, żebyś poszła na dzisiejszy bal.

- Dlaczego ci na tym zależy? Możesz pójść na własny bal za cztery lata, jeśli tak tego pragniesz.

- Alex, mówię poważnie.

Podszedł do niej, objął w tali i zaprowadził na kanapę. Alex przeklinała los, który sprawił, że Joey już teraz ją przerastał. To nie było sprawiedliwe. Wyżsi ludzie mają większą władzę. Jest to fakt udokumentowany. Niektórzy mają nawet czelność nazywać ją kruszynką i jeszcze spodziewają się, że im to ujdzie na sucho. Chryste Panie.

Usiedli obok siebie. Joey odgarnął znad oka kosmyk jasnych włosów.

- Nie chcę, żebyś tego żałowała - powiedział, patrząc na ścianę za plecami Alex zamiast w jej twarz. To typowe - pomyślała. Przypominał jej pod tym względem Megan. - Zachowujesz się, jakby interesowała cię tylko nauka, książki i przygotowania do studiów, ale ja wiem, że zależy ci na czymś więcej. Dlaczego tak uporczywie udajesz, że nie potrzebujesz swoich przyjaciółek ani niczego, co dawniej kochałaś?

Alex wyprostowała się.

- Bo to prawda. Jestem już dorosła.

- Ale pewnego dnia znowu zaczniesz tego potrzebować. Kiedyś zestarzejesz się, posiwiejesz, utyjesz, zostaniesz sama z całą zarobioną przez siebie fortuną, a wszystkie twoje przyjaciółki wyjdą za mąż i będą szczęśliwe, że gania wokół nich gromadka wnuków.

- Wnuki, ale - Alex odwróciła głowę. Oczywiście myli się co do niej. Po co jej małżeństwo i domek z ogródkiem? Nigdy nie będzie samotna. Jest tego pewna.

- Zostanę Aleksandrą Wielką - powiedziała. - Kulturalnym, wykształconym geniuszem. Przestań gadać jak stary. Nie znoszę tego. Tobie wszystko wydaje się bardziej skomplikowane niż jest w rzeczywistości. Po prostu dorosłeję. Co w tym złego?

- Nic, jeśli jesteś z tego zadowolona.

- Oczywiście, że jestem.

- Naprawdę?

- Tak - odparła zbyt pośpiesznie. Spuściła wzrok i wyjęła spod paznokcia kciuka cienki kłaczek brudu.

- W porządku - powiedziała po zastanowieniu. - Rzeczywiście nie chodzę już na randki, ale po co mi to? - Zamknęła oczy i przypomniała sobie pocałunki, mocne uściski i namiętne szepty, które porzuciła dla zimnych nocy spędzanych na czytaniu notowań giełdowych. Kiedy z powrotem otworzyła oczy, spostrzegła, że Joey na nią patrzy.

- No, dobrze - powiedziała. - Może trochę mi tego brakuje.

Roześmieli się oboje i Alex wstała.

- Tak czy owak dzisiaj nic z tego. Kto by ze mną poszedł? Joey też wstał i skłonił się z gracją.

- Joseph Holmes, wyborowa eskorta do pani usług. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Cóż, chyba wyglądasz na starszego niż jesteś w rzeczywistości, prawie na osiemnaście lat, ale... Nie, Joey, to niemożliwe. Ja nie mam sukienki, a ty smokingu, a poza tym...

- Alex, nie wygłupiaj się. Od kiedy jesteś taka stereotypowa? Masz w garderobie miliony szalonych, pięknych strojów. Wybierz coś, a jestem pewien, że będzie to przebój balu. Ja z kolei mogę założyć ten czarny garnitur. Nie umywa się, co prawda, do smokingu, ale mogę go trochę podrasować. No, proszę. Chcę tam iść. I ty w głębi serca też chcesz.

Zerknęła na niego z ukosa.

- Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że robisz to bardziej dla siebie niż dla mnie. Już cię znudziła Stacy? Chcesz poznać jakieś podniecające starsze kobiety?

Joey wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście, że nie. Po prostu nie chcę, żeby to cię ominęło.

Zakręciła na palcu kosmyk włosów, zastanawiając się. Właściwie czemu nie? Może mimo wszystko miło spędzi czas. Na pewno jej pojawienie się zaskoczy Megan i Klementynę. A Joey idealnie nadaje się na straż przyboczną. Jest przystojny i uważny - z całą pewnością nie będzie musiała martwić się, jak odstraszyć nie chcianych adoratorów. A niech to, pójdzie.

- Dobrze - powiedziała. - Niech tak będzie. Idę na górę w coś się ubrać. Jeśli się pośpieszymy, spóźnimy się tylko godzinę.

- Świetnie. Powiem rodzicom i spotkamy się tutaj za dwa kwadransy. Aha, Alex... - dorzucił, kiedy już biegła po schodach.

- Co takiego?

- Przykro mi, ale ty będziesz musiała prowadzić. Roześmiała się i popędziła do swojego pokoju.

* * *

Na ścianach tańczyły cienie. Nad głowami olbrzymie żyrandole rzucały przyćmione światło świec, jak odległe gwiazdy migoczące blaskiem sprzed milionów lat. Sala bankietowa była nieduża, ale ostatnia klasa Liceum imienia Lincolna nie liczyła wielu uczniów. Te sto osób mieściło się bez problemu.

Siedząca na krześle Megan odchyliła się do tyłu poza zasięg światła świec i, mrugając rzęsami, odpędziła z oczu łzy. Chociaż na świecie było tyle sukienek do wyboru, dziesięć spośród pięćdziesięciu obecnych dziewcząt upatrzyło sobie takie same jak ona. Zaczynała wierzyć, że prześladowuje ją pech. W końcu miała nadzieję, że wyróżni się w tłumie i zwróci na siebie uwagę, a tymczasem przechodząc słyszała za sobą tylko szmer chichotów i widziała wstrętne koniuszki palców, zwrócone w jej kierunku przez ludzi, którzy pokazywali sobie jej banalny strój.

Obecność Billy'ego nic jej nie dawała. To prawda, że przyszła z nim, bo pozwalał jej czuć się bezpiecznie. To nie musiało znaczyć, że będzie przy tym nudny i żenujący. Zatańczył z nią raz. Dosłownie raz. Na ponad dwanaście piosenek. Weszli na parkiet, przyciągnął ją do siebie i w minutę później już się zwijał z bólu. Skręcił sobie kostkę w wolnym tańcu. To było nawet „Przyślijcie nam klaunów”. Niewiarygodne. Tym sposobem siedział teraz w hotelu, ktoś mu opatrywał nogę, a ona była pośmiewiskiem balu.

Nie pozostawało jej nic innego, jak obserwować Klementynę i Connora, którzy tańczyli wszystkie piosenki, wolne i szybkie, w takim uścisku, jakby za chwilę świat miał się skończyć.

Megan nie mogła odżałować, że Alex nie przyszła. Przynajmniej trochę by się pośmiały. Alex wpadłaby na pomysł, żeby przejść się po hotelu, obejrzeć pokoje, przejechać się windą w górę i w dół - zrobić coś, a nie tylko siedzieć tu samej i znosić spojrzenia dziesięciu tak samo ubranych dziewczyn, jakby to była jej wina, że wszystkie wybrały tę samą głupią sukienkę.

Megan odgarnęła włosy do tyłu i wstała. Dość tego. Skoro Alex nie ma, musi wziąć sprawy w swoje ręce. Nie ma przepisu, który zabraniałby samotnych spacerów po hotelu. Podniosła głowę i ruszyła w kierunku wyjścia z sali bankietowej .

Zatrzymała się nagle, gdyż do środka wkroczyła najbardziej zadziwiająca para, jaką kiedykolwiek widziała. Dziewczyna miała ciemne włosy upięte w kok na czubku głowy. Wpleciona w nie turkusowa szarfa spływała jej na ramiona. Wąska, biała spódnica z przejrzystego materiału sięgała jej z lewej strony do kostki, a z prawej do kolana. Błyszczącą, czarną bluzkę, za dużych rozmiarów, miała zebraną w talii białym paskiem. Przypominający księcia blondyn był ubrany w czarny garnitur przewiązany w pasie srebrną szarfą. Wyglądali razem jak królewska para z Bliskiego Wschodu. Megan przesunęła się, żeby ich przepuścić.

- Megan? Megan, nie słyszysz, że do ciebie mówię? Po raz pierwszy spojrzała prosto w twarz dziewczyny.

- Alex? O, mój Boże, Alex, to ty?

Alex roześmiała się i złożyła głęboki ukłon.

- Alex Holmes, do usług. Niech mi będzie wolno przedstawić pani mego przystojnego i męznego towarzysza na dzisiejszy wieczór, pana Josepha Holmesa.

Megan powoli przeniosła wzrok na Joeya. Ku swemu zaskoczeniu tak bardzo ucieszyła się na jego widok, że zrobiła, zmieszana, krok do tyłu. Joey śmiał się, składał jej ukłony i na krótką chwilę pozwoliła sobie uwierzyć, że żyje na kartach powieści, w zamierzchłej epoce. Jest na balu u króla, gdzie najzuchwalszy kapitan statku korsarskiego w całej Anglii kłania się przed nią, ujmuje jej dłoń i całuje w palce. Po chwili Alex dotknęła jej ramienia i czar prysnął.

- Gdzie jest Billy? - zapytała.

Megan oderwała wzrok od twarzy Joeya. Zachwycił ją sposób, w jaki przyćmione światła łagodziły jego i tak miękkie rysy. Wyglądał na Anglika. Była pewna, że w poprzednim życiu musiał być brytyjskim arystokratą. Pasował jak ulał do wiejskiej posiadłości w hrabstwie Berkshire, pełnej ogarów, koni i świetnie utrzymanych ogrodów. Na konne przejażdżki na pewno zakładałby dżokejkę. Poza tym...

- Megan, czy ty mnie słuchasz? Zapytałam, gdzie jest Billy.

- Och, przepraszam. Ten niezdara skręcił sobie kostkę. Zakładają mu bandaż.

Alex na sekundę osłupiała. Próbowała się opanować, ale wzbierające w niej rozbawienie wzięło górę i wybuchnęła śmiechem, odrzucając do tyłu głowę. Joey też zachichotał, ale przynajmniej starał się to ukryć.

- Przykro mi, Megan - powiedział. Ona jednak na przekór wszystkiemu też się uśmiechała.

- Chodź, mała - odezwała się Alex, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Masz teraz mnie i Joeya. Usiądźmy gdzieś.

Joey podszedł do Megan z drugiej strony i objął ją w talii. Spod opuszczonych rzęs spojrzała na dotykające ją palce, długie, wypielęgnowane i czyste. Kiedy podeszli do stolika, wysunął przed nią krzesło.

- Chcę, żebyś wiedziała - wyszeptał jej do ucha, gdy siadała - że wszystko jedno, ile dziewczyn ma na sobie taką samą sukienkę. Ty wyglądasz w niej lepiej niż one wszystkie razem wzięte.

Megan uśmiechnęła się promiennie. Nawet nie zauważyła, jak do ich stolika przykuśtykał Billy.

* * *

- Przytul mnie mocniej, Connorze - wyszeptała Klementyna. Przetańczyli na parkiecie pięć piosenek z rzędu, złączeni w uścisku, nie zwracając uwagi na tempo.

Connor przycisnął ją do siebie i wtulił twarz w jej włosy. O, Boże, jak ona wspaniale pachnie. To nie jest zwykły aromat róż ani perfum ze sklepu, lecz jej własny, niepowtarzalny zapach, stanowiący mieszaninę woni morza, słonecznych, wiosennych dni i seksu.

- Tak lepiej? - zapytał.

- Tak, dużo lepiej.

Czasem, a właściwie prawie ciągle, Klementyna marzyła, by pozostać w objęciach Connora na zawsze. To było sprzeczne ze wszystkim, w co wierzyła, i ze wszystkim, co chciała w życiu osiągnąć, ale miała to w nosie.

Kiedy opuszczała dom matki, wiedziała, że może do niego pójść i zostanie przyjęta bez żadnych pytań. Był jej przystanią. Kochał ją bez zastrzeżeń. Nie mógłby jej porzucić. Klementynie to właściwie wystarczało.

Mimo to miała oczywiście nadal swoje wcześniejsze marzenia. Przygasły nieco, kiedy poznała Connora, ale tylko na jakiś czas. Zanim przywykła do jego obecności, dotyki i pocałunki Connora sprawiały, że zapominała o światłach jupiterów i okładkach czasopism. Teraz, gdy stał się bliższy i miał bardziej ludzki wymiar, miewał rano nieświeży oddech i robił kwaśne miny, jeśli brała udział w pokazie mody zamiast z nim zostać, wróciło jej z nową mocą dawne zdecydowanie. Kochała go. Chciała z nim być. Dawał jej siłę do dalszej pracy, gdy przeżywała chwile wahania. Mimo to zamierzała zostać gwiazdą.

Przez pierwsze miesiące znajomości dzieliła z nim każdą myśl, każde pragnienie. Tak samo było z nim. Z czasem zauważyła jednak nieznaczną różnicę. Wystarczyło, że dłużej rozmawiali o jej karierze, a już musiał biec coś załatwić. Trochę więcej dyskusji o impresariach modelek i nocnym życiu Nowego Jorku, a kładł się wcześniej spać. Mógł opowiadać całymi godzinami o swoim aktorstwie, otwierających się przed nim nowych możliwościach, przesłuchaniach, do których się przygotowuje, i o Hollywood, ale jak tylko poruszała inny temat, blask w jego oczach przygasał.

Ich spotkanie, jak zderzenie meteorów w kosmosie, nastąpiło tak szybko, że dopiero teraz zaczynała wczuwać się w jego sytuację. Chciał być na pierwszym miejscu. Musiał na nim być. Ojciec go porzucił. Matki nie obchodziło jego życie. Nadeszła pora, żeby stał się dla kogoś najważniejszy. Z początku uważała, że idealnie się składa, iż mają za sobą takie same przejścia i odczuwają takie same potrzeby. Teraz zaczynała jednak jasno widzieć, że próba utrzymania związku dwóch osób, z których obie wymagają całkowitej uwagi, oddania i domagają się dla siebie ról tytułowych, przypomina jazdę ku zderzeniu czołowemu.

Próbowała go zrozumieć. Wiedziała, że los nie uśmiecha się do niego tak, jak by tego pragnął. Dostał kilka epizodycznych ról, a nawet parę mówionych, ale żadnej głównej, która wyniosłaby go do Hollywood. Ona też uczyła się znosić niepowodzenia. Nie dostała odpowiedzi od Eileen Ford ani Międzynarodowych Uśmiechów. Connor podpierał ją na duchu, kiedy była załamana, a ona jemu pomagała przetrwać chwile słabości. Oczywiście, kiedyś oboje dojdą na sam szczyt. Klementyna zastanawiała

się jednak, kto dokona tego pierwszy. A jeśli to będzie ona, czy zostanie cień szansy na przetrwanie ich związku?

Na razie spędzała z nim przynajmniej wszystkie noce. Po kilku dniach wzajemnego dostrajania się z matką Connora, Beverly, Klementyna całkiem dobrze przystosowała się do nowych warunków. Beverly nalegała, by zajmowali osobne sypialnie, co Klementyna uznała za zabawne, zważywszy, że matka Connora tak otwarcie przeskakiwała z łóżka jednego mężczyzny do drugiego. Dopóki jednak Beverly chodziła spać na tyle wcześnie, że mieli czas dla siebie, sytuacja była znośna. Klementyna czekała, aż zniknie smuga światła w szparze pod drzwiami Beverly, po czym wślizgiwała się do łóżka Connora. Kiedy leżała u jego boku, ich cele i marzenia, kariera modelki i aktorstwo, ulatywały jak kurz z otwartego okna. Znikała cała rzeczywistość. Istniały tylko jego dłonie, wargi i dotyk, który czuła na swojej skórze.

Nie mieli konkretnych planów na życie po skończeniu szkoły. Connor chciał nadal chodzić na przesłuchania, a ona czekać na odpowiedzi z Nowego Jorku. Póki byli razem i obejmowali się wystarczająco mocno, wszystko inne dawało się ułożyć.

* * *

- Mogę cię prosić?

Megan pół nocy czekała, aż Joey zada to pytanie. Zatańczył raz z Alex, a potem wrócił do stolika, gdzie razem z Megan obserwował swoją siostrę, znajdującą się - jak zwykle - w centrum zainteresowania. Skoro już zdecydowała się odstawić tego wieczora w kąć swoje plany naukowe, wkładała w zabawę całe serce. I to by było wszystko z jej strony, jeśli chodzi o niedojrzałych chłopców, z którymi nie chce mieć do czynienia, pomyślała Megan. Alex zdążyła już zatańczyć chyba ze dwadzieścia razy z każdym z nich.

- Oczywiście - odpowiedziała Joeyowi.

Wyciągnął rękę. Podała mu swoją, a on zaprowadził ją na parkiet. Miał ciepłą i suchą dłoń. Z całą pewnością nie czuje tego, co ja, pomyślała. Boże, co się z nią dzieje? Cały wieczór snuje fantazje na temat tego... tego chłopaka. Nie może się powstrzymać, żeby na niego nie patrzeć, nie zastanawiać się, jak by wyglądał, gdyby szedł obok niej po plaży, gdyby ich wargi się spotkały w pocałunku, gdyby jej mówił, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział. Ma dopiero czternaście lat. Chodzi z dziewczyną. Jest małym braciszkiem jej najlepszej przyjaciółki. Chyba kompletnie zwariowała.

Uśmiechnął się i objął ją w talii. No, jak na czternaście lat, jest bez wątplenia wysoki, pomyślała. Megan sięga mu tylko do brody. Chociaż właściwie milczał przez prawie cały wieczór i nie rozmawiał z nikim oprócz niej i Alex, nie wydaje się wyobcowany. Po prostu siedzi na uboczu i przygląda się. Megan często próbowała osiągnąć taki efekt - sprawiać wrażenie, że znajduje się na swoim miejscu, nawet jeśli jest sama - ale zdawała sobie sprawę, że i tak zawsze wygląda na osobę zagubioną.

- Dobrze się bawisz? - zapytał Joey.

- Jasne.

Odchylił głowę i spojrzał jej w oczy.

- Pewnie spodziewałaś się, że to będzie inaczej wyglądać, prawda?

Uśmiechnęła się i uciekła spojrzeniem.

- Prawda. To mój stały problem. Puszczam wodze fantazji do tego stopnia, że choćby rzeczywistość była najwspanialsza, nie spełnia moich oczekiwań.

- Czytasz za dużo powieści - stwierdził. Odsunęła się raptownie.

- Skąd wiesz?

Roześmiał się i z powrotem przyciągnął ją do siebie.

- Nie denerwuj się. Po prostu tak samo jest ze mną. Czytam powieści sensacyjne i nabieram przekonania, że życie jest fascynujące i skomplikowane, pełne ekscentryków, intryg i ekscytacji. Potem spoglądam wokół siebie i czuję się jakiś oszukany, przygnębiony, kiedy widzę, że po świecie chodzą normalni ludzie, którzy mają normalną pracę i wracają z niej do normalnego domu. Codziennie walczą, żeby związać koniec z końcem. Powiedz sama, kiedy mają czas na intrygi.

Megan oparła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy.

- Czytam dużo romansów i nabieram przekonania, że mężczyźni są rycerscy i przystojni, a kiedy spotykają odpowiednią kobietę, zrobią dla niej wszystko. W rzeczywistości mój wybranek skręca sobie kostkę i przez resztę wieczoru stroi fochy znad swego deseru. Przydałoby się trochę romansu.

Joey zachichotał.

- Jestem pewien, że na świecie zdarzają się romanse. Tak samo jak intrygi. Po prostu nam się jeszcze nie przytrafiły. Ale nie trać nadziei. Nigdy nie trać nadziei.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Czy w towarzystwie Stacy odnajdujesz w sobie coś z tej ekscytacji? Alex mówi, że już ze sobą chodzicie.

Słowa przeszły jej przez gardło tak gładko, jakby recytowała alfabet. Ani śladu drżenia w głosie, pogratulowała sobie. A muzyka zagłuszyła szaleńcze walenie jej serca.

Joey odwrócił wzrok.

- Nie wiem. Stacy jest miła. Ładna i inteligentna. Bardzo ją lubię, ale nie mamy planów małżeńskich, jeśli o to ci chodzi.

Megan uśmiechnęła się szeroko. Choć spróbowała ukryć to, zanim Joey znów na nią spojrzy, zauważył wyraz jej twarzy i roześmiał się.

- O rany, Meg, mogłabyś nie okazywać, że tak cię to cieszy.

Zarumieniła się i przytuliła policzek do jego piersi.

- Przepraszam. Nie chciałam.

Mimo wszystko poczuła napływającą falę zadowolenia, aż przeszły jej ciarki po skórze. Wiedziała, że nie powinna tak się cieszyć. To przecież nic nie znaczy. Między nią i Joeyem nigdy do niczego nie dojdzie. Zawsze będzie cztery lata młodszy. Kiedy ona zacznie studiować, on przejdzie dopiero do dziewiątej klasy. Mimo to uśmiechała się.

Joey jeszcze raz się roześmiał, a kiedy muzyka ucichła, nie wypuścił jej z objęć. Zostali na parkiecie, aż zespół zaczął grać następną melodię.

- Jesteś nadzwyczajna, Megan Sanders, chyba o tym wiesz?

Przetańczyli jeden po drugim trzy utwory i dopóki ramiona Joeya mocno ją obejmowały, wierzyła, że powiedział prawdę.

Rozdział 7

Latem, po zakończeniu szkoły średniej, Klementyna zauważyła, że różni się wewnątrznie od pozostałych ludzi. Dla niej czas biegł w innym tempie. Okres, który Alex i Megan traktowały jak dwa miesiące, w jej odczuciu włókł się, jakby to były dwa lata. Nie potrafiła niczym się cieszyć - ani ciepłymi letnimi nocami, ani prażoną kukurydzą z masłem, ani zachodami słońca, ani dobrym wyciskaczem łez w kinie. Była cały czas nieobecna, nie istniała dla niej terażniejszość, nie czuła jej. Nieustannie bujała myślami gdzieś daleko, snując marzenia o świecie gwiazd filmowych i o kochankach-milionerach. Każdą chwilę na jawie poświęcała rozmyślaniom nad przyszłością i nie wahała się poświęcić dla niej chwili obecnej.

Tego lata zauważyła też po raz pierwszy, że nie jest naprawdę szczęśliwa. Nie poruszały jej zwykle sprawy. Nic jej nie obchodziły studia, ani to, kto wygra mistrzostwa Stanów Zjednoczonych w golfie, ani co sama robi w sobotnie wieczory. Interesowało ją tylko jej życie za rok i za dwa lata. Poza tym zdała sobie sprawę, że się starzeje. Jej wiek, upływający czas i coraz częstsze rozczarowania sprawiały, że myślała o rzeczach, które nigdy wcześniej nie przychodziły jej do głowy. Mijający czas powodował, że skupiała się bardziej na własnym wnętrzu, choć nie bardzo tego pragnęła.

Wszędzie wysyłała swoje zdjęcia i opisy dotychczasowych osiągnięć. Nie była już tak ambitna, by brać pod uwagę wyłącznie duże agencje. Chciała tylko zostać zauważona przez kogoś, byle kogo. W San Francisco jej czas już minął. Saks przeprowadził nowy konkurs na debiutantki, a zwyciężczyni zagarnęła lwią część kontraktów. Klementyna nadal mogła brać udział w pokazach mody domów towarowych, ale kto nie mógł? Nie czuła się już niepowtarzalna.

Dnie dłużyły się jak tygodnie, a tygodnie jak miesiące. Nikt nie powiedział jej tego wprost, ale wiedziała, że przyjaciółki i krewni już w nią zwątpili. Postawiła wszystko na jedną kartę, kiedy zapowiedziała, że zostanie gwiazdą i zmieni świat. Postawiła na siebie i przegrała. Nikt jej nie potrzebował.

Otrzymała wreszcie od Eileen Ford uprzejmą, lecz mimo wszystko druzgocącą odmowę. Po trzech markotnych dniach w łóżku przejrzała listę agencji, wysłała swoją ofertę do kolejnej, dostała ją z powrotem, rozplakała się, znów poszukała schronienia w łóżku, by w końcu jakimś sposobem znaleźć jeszcze w sercu iskierkę nadziei i zacząć od początku.

Connora też spotykały same niepowodzenia. Często przychodziło jej do głowy, że stanowią parę osób, które lgną do siebie w nocy, ale nie mają dość wiary, by przekonać się nawzajem, że wszystko będzie w porządku. Pewnego dnia Klementyna po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że może jej się nie udać. Te słowa zmroziły ją i przeraziły. Jeśli nie zostanie modelką, to kim? Nie miała inteligencji Alex ani ciepła Megan. Nie miała nic oprócz urody.

Pocztę wciąż dostawała na adres matki, więc codziennie po południu odwiedzała ją, żeby sprawdzić, czy coś nie przyszło. Sama nie wiedziała, dlaczego to robi, dlaczego codziennie zachowuje się jak masochistka i rozpieczętowanie listy, które mówią, że nie jest dość dobra. Pewnego sierpniowego popołudnia, kiedy zabrała z blatu kuchennego stertę kopert, zauważyła jedną z Agencji Waltera Budgesa w Filadelfii. Zniżyła się nawet do tego, by szukać impresaria spoza stanu Nowy Jork. Otworzyła list bez cienia nadziei. Początek jej nie zdziwił, przestał już nawet ranić.

„Droga panno Montgomery! Z żalem panią informujemy...”

Nie czytając dalszego ciągu, wcisnęła list do młynka na resztki jedzenia w zlewie i włączyła urządzenie. Okropne dźwięki, jakie towarzyszyły mieleniu odpadków bez wody, zagłuszyły odgłos telefonu. Klementyna wyłączyła młynek i podniosła słuchawkę chyba dopiero przy piątym czy szóstym dzwonku.

- Mówi Artur Dennison z Międzynarodowych Uśmiechów - odezwał się męski głos w słuchawce. - Czy rozmawiam z panią Klementyną Montgomery?

W pierwszej chwili pomyślała, że to dowcip. Już miała odpowiedzieć coś niemiłego, kiedy zatlił się w niej ostatni promyczek nadziei. Zaciśnęła dłoń na słuchawce z taką siłą, że zbielały jej kostki dłoni. Głowę i żołądek trawił jej pożar. Bogu dzięki, matka robiła właśnie codzienne zakupy, dzięki czemu nie gapiła się teraz na nią, jak to miała w zwyczaju, gdy Klementyna odbierała telefon - jakby prawo do życia osobistego nie dotyczyło córek.

Przestąpiła z nogi na nogę, bojąc się odezwać, bojąc się spłoszyć trwającą jeszcze chwilę złudzenia, podczas której wszystko mogło się zdarzyć. Wiedziała, że rozmówca czeka, ale zanim odpowiedziała, zawinęła sznur telefonu wokół palca, a potem jeszcze okręciła go trzykrotnie wokół kucharskiej książki matki. Poczowała nagłą potrzebę pójścia do łazienki.

- Tak, tu Klementyna Montgomery.

- Cieszę się, że w końcu panią zastałem. Przede wszystkim chciałbym przeprosić, że tak długo nie odpowiadałem na pani ofertę. Przeprowadzaliśmy reorganizację i zmiany personalne. Z przykrością muszę wyznać, że większość ofert przysyłanych nam przez kandydatki na modelki po prostu trafiła na sam spód niezliczonych stert papierów.

- Nic nie szkodzi, panie Dennison - odpowiedziała ze spokojem, wyraźnie wymawiając wszystkie słowa, jak podczas codziennych ćwiczeń dykcji. Była zdumiona, z jaką łatwością udało się jej odciąć od swoich emocji. Zaczęła trenować tę sztukę, kiedy odszedł ojciec, a matka zobojętniała, ale do tej pory nie zdawała sobie sprawy ze swojej perfekcji w tej dziedzinie.

- Doceniam pani wyrozumiałość. Przejdźmy jednak do rzeczy. Pani oferta zrobiła na mnie ogromne wrażenie, panno Montgomery. Naprawdę ogromne. Chciałbym się z panią spotkać i umówić na sesję zdjęciową. Jestem niemal pewien, że szukamy właśnie kogoś takiego jak pani. Ma pani za sobą pewne doświadczenie w pracy we własnym mieście, co jest plusem, a poza tym zależy nam na nowej, wyjątkowej twarzy, nie przypominającej tych setek niebieskookich, jasnowłosych dziewczyn z sąsiedztwa, które widać na każdym kroku. Oczywiście pokryjemy wszystkie koszty. Czy możemy przygotować pani wizytę na przyszły tydzień?

To zabawne, pomyślała, że marzenie, którym żyła przez tyle lat, spełnia się wreszcie w taki właśnie sposób. Gdzie są sztuczne ognie, gdzie parady? Dlaczego nie dzieje się nic specjalnego, jeśli nie liczyć tego, że w żyłach pulsuje jej krew i czuje uniesienie, które ją niemal porywa? Rozejrzała się po kuchni. Wygląda tak samo jak zawsze. Na oparciu krzesła jest narzucony rozpinany sweter matki. Na blacie rozmraża się funt mielonej wołowiny. W opiekaczu do grzanek dostrzegła swoje odbicie i ze zdumieniem odkryła, że sama też się nie zmieniła. A jednak stało się. Będzie modelką. Te słowa huczały jej w głowie z takim natężeniem, że omal nie straciła równowagi, ale radość pozostawała zatrzaśnięta w środku. Gdyby jej się udało przemienić wewnętrzną energię w promienie świetlne, rozjaśniłaby cały świat.

- Oczywiście, panie Dennison. Bardzo chętnie - powiedziała to tak gładko. Ależ z niej aktorka. Lepsza, niż sądziła. Teraz już niedaleka droga do filmu. Tylko czekać, aż dowie się o niej Hollywood.

- Znakomicie - odparł. - Zarezerwuję hotel i zawiadomię panią. A propos, nie jest pani mężatką, prawda?

- Nie - odrzekła, a jej wspólna przyszłość z Connorem pierzchła równie błyskawicznie jak uczniowie w ostatnim dniu szkoły.

- To dobrze. Chcemy, żeby nasze modelki były wolne. Żadnych łamanych zobowiązań, żadnych utarczek z zazdrosnymi mężami. No, dobrze, odezwę się do pani jutro. Kiedy najlepiej zadzwonić?

Odpowiedziała, że po południu, i po ustaleniu kilku ostatnich szczegółów odłożyła słuchawkę. Stała w bezruchu. Tylko jej oczy poruszyły się, kiedy ogarnęła wzrokiem pokój. Coś się zmieniło. To nie było widoczne na pierwszy rzut oka, ale światło pojaśniało. Słońce znajdowało się w tym samym miejscu i nie grzało mocniej, a mimo to było cieplej. Wreszcie osiągnie to, czego chciała. Pragnęła, marzyła, płakała, wrzeszczała, pracowała i w pocie czoła dążyła do swego celu, a teraz, kiedy staje się realny, kiedy ma go w zasięgu ręki, wie, że jego osiągnięcie zupełnie od niej nie zależało. Przeznaczenie rządzi się własnymi zasadami i ma własny harmonogram. Los chciał, że musiała najpierw dojść do kresu wytrzymałości, poddać się i zaakceptować porażkę, żeby jej się powiodło.

Podeszła do stołu i usiadła. Jeszcze się nie uśmiechała. To miało przyjść później, podobnie jak telefony do przyjaciółek i rozsadzająca piersi duma. Na razie, czując tylko ulgę, że już nie musi się przed sobą usprawiedliwiać, Klementyna oparła ręce o stół, położyła głowę na ramionach i rozplakała się.

* * *

Oczywiście ucieszyły się z jej sukcesu. Pakując walizkę, Klementyna przypominała sobie reakcje Alex i Megan, ich: „Gratulacje!” i „To cudowne!” Wyraz ich twarzy nie potwierdzał jednak znaczenia tych słów.

Alex była prawie szczerą. W końcu mogła sukces Klementyny porównać z własnym. Usłyszawszy nowinę, chwyciła ją w ramiona i powiedziała, że jest dumna i szczęśliwa. Machnęła jednak ręką na wszystkie szczegóły i zmieniła temat, powracając do własnych spraw - do tego, w którym akademiku zamieszka na pierwszym roku. Klementyna wiedziała, że w myślach porównuje ich ewentualne przyszłe wynagrodzenia i zastanawia się, czy zdoła zarobić na giełdzie i nieruchomościach tyle samo, co ona jako modelka i aktorka. Mimo to Klementyna była przekonana, że Alex nie żywi do niej w głębi serca prawdziwej urazy. Jej powodzenia mogły tylko zmobilizować Alex do większego wysiłku.

Z Megan było inaczej. Kiedy Klementyna opowiedziała jej o telefonie przy kolacji tydzień wcześniej, Megan zareagowała jak wypadało.

Uśmiechnęła się i objęła ją, ale nie była w stanie całkowicie ukryć rozgoryczenia, które było widoczne w jej wzroku. Wyglądało na to, że zadaje sobie pytania: „Dlaczego nie ja?“, „Dlaczego to zawsze ty masz szczęście?“ Przez cały wieczór Klementyna usiłowała okazywać jej zrozumienie i wszystko bagatelizować. Mówiła Megan, że to jeszcze nic pewnego i że równie dobrze może wrócić do domu bez impresaria. Obie jednak wiedziały, że to nieprawda. Klementyna za nic w świecie nie spartaczy sprawy, skoro już zaszła tak daleko.

Wtedy jeszcze było jej żal Megan, ale teraz czuła w sobie złość. Nie da się zaprzeczyć, że Megan przeszła ciężkie chwile, ale to nie znaczy, że powinna źle życzyć Klementynie. Im częściej Klementyna o tym myślała, w tym większą wpadała wściekłość. Dlaczego ma udawać, że nie jest wniebowzięta? Dlaczego jej sukces musi być mierzony osiągnięciami przyjaciółek i nie może być ani zbyt duży, ani zbyt mały, by nie budzić animozji? Dlaczego wszystkie trzy nie potrafią pomagać sobie nawzajem z potrzeby serca? Przecież się kochają. W głębi duszy każda prowadzi jednak rejestr zwycięstw i porażek, sumując zdobyte punkty. Klementyna zatrzasnęła walizkę i podliczyła wyniki. Było oczywiste, że w ostatecznym rozrachunku je wyprzedza. Nie chciała tego okazywać nawet sama przed sobą, ale się uśmiechnęła.

Connor odwiózł ją na lotnisko. Przez całą drogę milczał i dopiero stojąc w kolejce do kontroli biletów zaprzestała prób nakłonienia go do wyjścia ze skorupki.

Nie była pewna, jak zareaguje, gdy usłyszy wielką nowinę. Od wielu tygodni miewał chwiejne nastroje. Potrafił w jednej chwili być jej najbardziej niezłomnym sprzymierzeńcem, by już w następnej wpadać we wściekłość, że bardziej ją interesuje własna kariera niż jego problemy. Klementyna nie miała już jednak czasu ani ochoty, by koić jego zranione uczucia. Nie zauważyła, kiedy i w jakim stopniu osłabła jej namiętna miłość. Ciągle go kochała. Ale nie zamierzała pozwolić, by pokrzyżował jej plany. Jeśli cieszy się z jej sukcesu, to świetnie. Jeśli zaś jest zatwardziałym męskim szowinistą, to cóż, jego problem. Kiedy powiedziała mu o wszystkim - leżąc w łóżku, tego samego dnia, gdy zadzwonił Artur Dennison, jego sztuczny uśmiech i wymuszony pocałunek w szyję nie były dla niej zaskoczeniem. Nie pobiegła go szukać, kiedy schwycił kurtkę i wyszedł na dwugodzinny spacer.

W następnym tygodniu był zamknięty w sobie i markotny. Kiedy zapytała go wprost, czy cieszy się z jej sukcesu, odparł, że tak. Kiedy

jednak chciała się dowiedzieć, co mu dolega, odpowiedział, że nic, że po prostu jest potwornie zmęczony. W końcu dała mu spokój. Nie pozwoli, żeby jego podły nastrój osłabił jej entuzjazm. Leciąca do Nowego Jorku - miasta ludzi bogatych, wpływowych i fascynujących.

Klementyna miała tylko jedną walizkę. Kiedy oddała ją na bagaż, skierowała się do sali odlotów. Trwała już wcześniejsza odprawa dzieci.

- Nie mogę w to uwierzyć, Connorze - powiedziała. Nie potrafiła dłużej panować nad podnieceniem tylko przez wzgląd na niego. - Mam wrażenie, że śnię.

Odwrócił twarz i spojrzał na zewnątrz przez szybę lotniska.

- Ani trochę nie cieszy cię moje szczęście? - zapytała.

Skierował wzrok na Klementynę. Wstrząsnął nią ból w jego oczach. Poczwała, że miłość do Connora wzbiera w niej ponownie z taką samą siłą i mocą, jak w pierwszych dniach ich znajomości.

- Dlaczego jesteś taki przygnębiony? Powiedz mi.

Objął ją ramieniem i mocno przytulił.

- Chcę się z tobą ożenić, Ciem - wyszeptał jej do ucha.

W pierwszej chwili myślała, że żartuje. Wybuchnęła śmiechem, który jednak szybko zamarł jej na ustach, gdy zobaczyła powagę w jego oczach. Rozbawienie przerodziło się w niepohamowany lęk, który w niczym nie przypominał uczucia, którego spodziewała się doznać po oświadczeniach. Małżeństwo oznaczałoby dla niej koniec wszystkiego.

- Nie rozumiem - powiedziała.

- A co tu jest do rozumienia? - W jego głosie brzmiała obca, piskliwa nuta. Przypominała jej ton głosu matki, gdy ta przepraszała Johna za coś, o co miał do niej pretensję. Klementyna cofnęła się.

- Myślałem o tym przez cały tydzień - powiedział Connor. - Kocham cię i chcę się z tobą ożenić. Sądziłem, że ty też tego pragniesz.

Rzuciła okiem w stronę wyjścia, którym pasażerowie kierowali się już do samolotu. Dlaczego miała wrażenie, że ta scena jest nie na miejscu, jakby wycięto ją z jednego filmu i wklejono do zupełnie innego?

- Connorze, to chyba nie jest odpowiednia chwila. Wydaje mi się...

- Chcę się z tobą ożenić - powtórzył głośniejszym głosem, ściągając na siebie spojrzenia znajdujących się w pobliżu pasażerów. - Dlaczego nie odpowiadasz „tak”? Dlaczego nie jesteś wzruszona? Powinnaś być wzruszona. Myślałem, że mnie kochasz.

Ponownie zerknęła w kierunku wyjścia do samolotu. Niczego bardziej nie pragnęła, niż znaleźć się już po drugiej stronie, z dala od niego.

Nienawidziła siebie z tego powodu, ale nic nie mogła na to poradzić. Każda komórka ciała mówiła jej, żeby stąd uciec. Nie miało znaczenia, że go kocha. On próbował ją uwięzić, odebrać jej marzenia. Nie mogła na to pozwolić.

- Posłuchaj, Connorze, to nie takie proste. Zaczekajmy, aż wrócę, i wtedy o tym porozmawiamy.

Pocałowała go w policzek i ruszyła w kierunku wyjścia. Dogonił ją w chwili, gdy miała je minąć, schwycił za nadgarstek i odwrócił jednym szarpnięciem.

- Muszę znać twoją decyzję. Nie możesz odlecieć, zanim nie odpowiesz.

Skierowała na niego wzrok, usiłując dojrzeć pod maską błagającego dziecka mężczyznę, którego kocha. Położyła mu dłoń na policzku i jak tylko go dotknęła, jego spojrzenie złagodniało.

- Kocham cię - powiedziała. - Czy to ci nie wystarcza? Wrócę do domu za cztery dni i wtedy porozmawiamy.

Wyrwał się i zacisnął szczęki.

- Świetnie. Leć do Nowego Jorku. To jest oczywiście ważniejsze niż ja.

Rozłożyła bezradnie ręce, nie wiedząc, jak go przekonać. Nie rozumiał jej. Sukces jest miarą człowieka w oczach świata. Sława zapewni jej nieśmiertelność. Musi ją zdobyć. Nawet gdyby miała poświęcić to, co ich łączy. Gdzie się podział mężczyzna, który to rozumiał, który opowiadał o kupnie domów na obu wybrzeżach, o rezydencji w Hollywood w pobliżu studiów filmowych, w których będzie pracował, i o domu dla niej na dachu nowojorskiego wieżowca? Dlaczego zachowywał się jak taki... taki samiec, chociaż myślała, że jest zupełnie inny? Zerknęła na pracowników lotniska, którzy właśnie szykowali się do zamknięcia rękawa łączącego halę odlotów z samolotem.

- Obiecuję ci, Connorze, że za cztery dni poważnie omówimy całą sprawę. Wiesz przecież, że jesteś dla mnie najważniejszy na świecie. Ale muszę wsiąść do tego samolotu.

Usiłowała pocałować go w usta, ale gwałtownie odwrócił głowę i musnęła tylko wargami jego policzek. Westchnęła, odwróciła się i szybkim krokiem minęła wyjście dla pasażerów. Kiedy wreszcie uwolniła się od niego, poczuła taką ulgę, jakby zdjęto jej z ramion wielki ciężar.

W samolocie odnalazła swoje miejsce przy oknie, prześliznęła się obok drzemiącej już starszej kobiety i usiadła.

Wyjrzała przez okno i spostrzegła, że Connor wciąż stoi w hali odlotów z twarzą przyciśniętą do szyby, a jego oczy ciągle jej wypatrują.

Sądziła, że pragnie jej sukcesu równie mocno jak ona. Klementyna byłaby zachwycona, gdyby udało mu się dostać rolę w filmie. Widziała jednak wyraźnie, że Connor zaczyna się zachowywać jak wszyscy inni mężczyźni. Owszem, udaje człowieka liberalnego i pozbawionego przesądów, ale kiedy przychodzi co do czego, sam musi zrobić karierę lub przynajmniej dokonać tego jako pierwszy. W jego życiu Connor Douglas zawsze będzie zajmować pierwsze miejsce, a Klementyna Montgomery drugie. Jeśli w ogóle jakieś.

Zabębniła palcami po poręczy fotela jak nauczycielka chcąca przywołać klasę do porządku. Dosyć tego, powiedziała sobie w duchu, odpędzając wszelkie myśli o zazdrosnych chłopakach i zawistnych przyjaciółkach. Oddała się marzeniom o pracy modelki, o tym, co ją czeka, o światłach, fotografach i makijażu. Niech Connor dąsa się jak dzieciak, a Megan i Alex nienawidzą jej za to, że osiąga większe niż one sukcesy. Leci do Nowego Jorku i niech ją diabli, jeśli nie będzie się z tego cieszyć.

Artur Dennison zapowiedział, że wyjdzie po nią na lotnisko osobiście. Wysiadła z samolotu i przebiegła wzrokiem po twarzach osób zgromadzonych przy wejściu. Dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że przecież nie wie, kogo wypatruje. Słuchając jego głosu, wyobraziła go sobie jako starszego mężczyznę w wieku jakichś pięćdziesięciu albo sześćdziesięciu lat, siwego i eleganckiego.

Tymczasem z tłumu wyłonił się mężczyzna około trzydziestki, ubrany w sztruksowe spodnie, adidasy i niebieską, bawełnianą koszulkę z krótkimi rękawami. Kosmyk rudawo-blond włosów spadał mu na oczy o podobnym, brązowym odcieniu. Klementynie serce zamarło.

- Poznałbym panią wszędzie, panno Montgomery. Jestem

Artur Dennison. - Wyciągnął ku niej dłoń, którą Klementyna uściśnęła z przygnębieniem.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że padła ofiarą jednej wielkiej mistyfikacji. Przede wszystkim nie rozumiała, jak mogła uwierzyć, że coś takiego spotyka ją naprawdę. Nie doznała przecież w życiu niczego dobrego. Tego człowieka nie sposób traktować poważnie. Nie przychodzi się na spotkania z przyszłymi klientami w takim stroju, jakby się miało za chwilę wyruszyć na wycieczkę z plecakiem. Podawał pewnie adres swego obleśnego mieszkania jako adres agencji, używając obietnic sławy jako przynęty, by ściągnąć młode, naiwne modelki do łóżka. Cóż, jeśli choć przez chwilę sądził, że Klementyna jest jedną z takich idiotek, to się pomylił.

- Pewnie jest pani zmęczona - powiedział. - Chodźmy odebrać pani bagaż.

Przeszli do punktu odbioru bagażu. Artur mówił bez przerwy o swoich planach wobec niej, o agencji, o innych modelkach. Klementyna prawie go nie słyszała. Po prostu nie wsiądzie z nim do samochodu i już, powiedziała sobie w duchu. Sukcesu nie warto okupować pornografią lub, co gorsza, gwałtem. Sama zapłaci za bilet powrotny, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Dostrzegła swoją walizkę i Artur ją podniósł.

- Ma pani tylko to? - zapytał. - Bogu dzięki. Szkoda, że pani nie widziała, ile bagaży przywożą ze sobą inne modelki.

Klementyna wątpiła, czy znał wiele innych prawdziwych modelek, ale udała, że bierze jego opowieści za dobrą monetę. Będzie mu puszczać słodką gadkę, aż dojadą do samochodu, a wtedy chwyci swoją walizkę i ucieknie. Jest nawet skłonna ją zostawić, jeśli będzie musiała. Pieniądze ma w torebce. Niczego więcej nie potrzebuje.

Żwawym krokiem podążył w kierunku najbliższego wyjścia i chociaż Klementyna miała długie nogi, musiała niemal biec, żeby za nim nadążyć. Pewnie zaczął sobie wyobrażać, jak się do niej zabiera tymi obleśnymi łapami, i mu stanął, pomyślała. Możliwe, że nawet nie ma fotografa. Będzie udawać, że sam jej robi zdjęcia, i ma się rozumieć zażąda, żeby bardziej odśloniła dekolt, nogi i tak dalej...

- Jesteśmy na miejscu - powiedział, zatrzymując się przy czarnej limuzynie zaparkowanej przed wejściem.

Klementynie nie udało się ukryć zdumienia, a on się roześmiał.

- Lato w Nowym Jorku to ciężka pora roku, panno Montgomery - powiedział. - Dlatego ubieram się lekko. Lubię wygodę. Nie znaczy to jednak, że nie jestem profesjonalistą. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebym jeździł komfortowym wozem.

Klementyna przypomniła sobie, dlaczego w pierwszej kolejności właśnie jemu wysłała swoje zdjęcia: czytała entuzjastyczne artykuły o jego agencji w „San Francisco Chronicle”. Powinno było jej to przyjść do głowy, zanim zaczęła go podejrzewać, ale wszystko wyglądało zbyt nierealnie. Nabrała przekonania, że zaszła jakaś pomyłka - albo zawiadomili nie tę dziewczynę, albo Artur po mistrzowsku robi ją w trąbę. Nie mogła uwierzyć, że to nie nowy cios losu, który chce jej wszystko odebrać.

Zarumieniła się ze wstydu za swoje myśli na jego temat, a on jeszcze raz się roześmiał.

- Widzę, że miałem co do pani absolutną rację. Co za twarz! Wspaniale się pani rumieni.

Kiedy zdała sobie sprawę, że z niej żartuje, zakłopotanie zniknęło w mgnieniu oka. Wyprostowała się.

- Jedziemy? - zapytała lodowatym tonem. Otworzył przed nią drzwi samochodu.

- Jak najbardziej, panno Montgomery. Jak najbardziej!

* * *

- Proszę się zwrócić troszeczkę bardziej w kierunku światła. Wystarczy. Niech się pani nie rusza. Proszę bardziej odsłonić zęby, pani Klementyno. O, tak. Znakomicie. Troszeczkę bliżej mnie. Stop. Głowa do tyłu. Tak. Wspaniale.

Klementyna była równie zmęczona tylko raz w życiu, po dwugodzinnych zajęciach aerobiku. W jej uśmiechu nic się jednak nie zmieniło. Ma się rozumieć, dobrze maskowała zmęczenie. Pierre nawet nie zauważył, że z wyczerpania słania się na nogach.

- Idealnie - powiedział Pierre Martineau, odchodząc od aparatu fotograficznego. - Jeszcze ze dwie rolki i chyba już wystarczy.

Klementyna nie przestawała się uśmiechać, ale jak tylko wyszedł z pokoju po film, opadła na krzesło. Ten człowiek jest niestrudzony. Z drugiej strony - musi tylko wydawać polecenia i naciskać guzik. To ona naprawdę pracuje.

Wyciągnęła nogi przed siebie. Światła po obu stronach dekoracji parzyły przez skórę, grzejąc ją od środka. Uwielbiała uczucie gorąca na ciele, choć wolałaby, aby podobnego zdania były też jej gruczoły potowe, wydzielające pod pachami morze płynu.

Mogłoby się wydawać, że czterogodzinna sesja zdjęciowa to niedużo, ale przez cały ten czas Klementyna była w ruchu, tańczyła, uśmiechała się, śmiała, wirowała i robiła wszystko, czego Pierre sobie zażyczył. Był dobry. Wyczuła to od razu. Widziała się niemal oczami kamery: w jednej chwili była seksowna, w innej niewinna. Pierre fotografował najlepsze modelki. Brendę Halsley, Karyn Samstead, super-modelkę Jill Isaacs. Zrobił nieprawdopodobną serię zdjęć Barbarze Streisand. Pracował jako wolny strzelec. Artur odszukał go specjalnie do tej sesji. Klementyna miała ochotę uszczypnąć się, żeby sprawdzić, czy nie śni, ale bała się przebudzenia.

Pierre wrócił, a Klementyna skoczyła na nogi. Spychając myśl o zmęczeniu w najdalszy zakamarek umysłu, przyrzekła sobie, że każdą sekundę z Pierrem wykorzysta do maksimum. Mógł ją wiele nauczyć.

- A teraz, na koniec, pani Klementyno, najlepsza część programu. Zdjęcia romantyczne. Do niektórych będzie pani nawet mogła usiąść.

Roześmiała się, czując wdzięczność, że rozumie jej sytuację. Zmienił tło z olśniewającej bieli na karton spryskany farbą w pastelowym kolorze i kazał jej usiąść z przodu na dużej kremowej poduszce. Włączył wentylator i wrócił do aparatu.

- Chciałbym, moja droga, żeby pomyślała pani o czymś delikatnym. Może przywoła pani jakieś przyjemne i czułe wspomnienie, które wprawia panią w tęskny i melancholijny nastrój?

Podmuch wentylatora odwiewał jej włosy do tyłu. Oparła brodę na rękach i, poddając się sugestii Pierra, pomyślała o swoim ojcu. Nie widziała go od tak dawna. Minęło już co najmniej siedem albo osiem lat, od kiedy - bawiąc przejazdem w mieście - raczył wpaść, żeby ją zobaczyć, zresztą tylko na jeden dzień. Przejazdźka do zoo w Denver, kolacja u Howarda Johnsona, całus w policzek na dobranoc, i już go nie było. Jak tornado szerzył zamęt we wspomnieniach Klementyny, jednym spojrzeniem, jednym dotykiem burząc jej uporządkowane życie, po czym znikał w chmurach. Jedyнным śladem jego obecności był pozostały, jak po przejściu wichury, rozgardiasz. Z tego, co ostatnio słyszała, mieszka w Seattle.

Duke był bohaterem jej najwcześniejszych wspomnień. Przypominała sobie majaczącą nad nią zarośniętą twarz. Spoglądała w oczy, które miały taki sam kolor jak jej własne - najjaśniejszy odcień zieleni. Oczy wesoło mrugały - mężczyzna uśmiechał się do niej. Pamiętała sposób, w jaki ją podnosił. Jego ramiona ścisnęły ją tak mocno, że nie bała się upadku ani skaleczenia, dopóki on był przy niej. Wtulała głowę w zagłębienie przy szyi Duke'a i chłonęła jego zapach, pragnąc zatrzymać tę chwilę na zawsze. Potem nucił „Niesłychany wdzięk”. Pamięta to doskonale. Brzmienie jego barytonu, unoszenie się i opadanie klatki piersiowej, brodę drapiącą jej głowę, gdy robił przerwę na oddech, miłość w jego głosie, jego ręce, jego śmiech.

Później jej wspomnienia stają się mgliste. Pamięta tylko, że w jego obecności ogarniało ją uczucie szczęścia, niezłomnej wiary w istnienie dobra na świecie. Kiedy zaś oddalał się, trawił ją przejmujący ból. Przynosił ze sobą słońce, a z jego odejściem zapadała ciemność.

Z początku Pierre proponował jej różne pozy, ale wkrótce jego słowa przycichły. Przez pierwszych kilka zdjęć Klementyna była świadoma

trzasków aparatu fotograficznego, niebawem jednak jej uwagę całkowicie zaprzętnęły własne myśli.

Miała przed sobą twarz Duke'a. Jego uśmiech był jej uśmiechem. Jego oczy jej oczami. Na dobrą sprawę odziedziczyła prawie wyłącznie jego geny. Uśmiechnęła się na myśl, że dostała w spadku jego poczucie humoru, jego silną osobowość, jego zapierającą dech w piersiach urodę. Równie dobrze mogła jednak dziedziczyć po nim bezwzględność i egoizm. Odchodząc, nie powiedział nawet „do widzenia”. Pocałował ją w czoło, wskoczył do swojego pikapu i skręcając po raz ostatni za rogiem, pomachał tylko ręką, jakby jechał kupić mleko na śniadanie. W jego jasnym, wesołym spojrzeniu nie było cienia żalu. Wiedziała, że zapomni o niej, jak tylko straci ją z oczu.

Zaczęła płakać, nie próbując nawet zatrzymać nie wylewanych od lat łez. Nie zwracała już uwagi na obecność Pierre'a.

W studiu znajdował się też Artur, który wszedł nie zauważony. Dostrzegł łyzy błyszczące na policzkach Klementyny, Pierre'a, który trzaska jak szalony zdjęcie za zdjęciem, i zrozumiał, że przecucie go nie zawiodło. Klementyna zostanie gwiazdą, większą niż sama przypuszcza. Jej twarz, całe ciało w najdrobniejszych nawet ruchach wyrażało tak głębokie i prawdziwe uczucia, że niemal zmusiło go to do odwrócenia głowy. Uroda Klementyny była zniewalająca. Patrząc na linie jej twarzy, pięknie zarysowane, delikatne i łagodne, odnosiło się wrażenie, że to twarz anioła. Potrafiła wzbudzić dla siebie współczucie: jej smutek rozdzierał serce, a radość była zaraźliwa.

Obserwował Klementynę przez kwadrans, do końca sesji zdjęciowej, a potem podszedł do niej. Siedziała nieruchoma na poduszkach, jak w transie. Pocałował ją w policzek.

- Daleko zajdziesz - szepnął jej do ucha, po czym wyszedł z Pierre'em.

Klementyna siedziała samotnie w studio jeszcze długo po ich wyjściu. Zauważyła, że obaj mają pewność co do jej przyszłości. Wierzyła im. Nigdy już nie będzie musiała w siebie zwątpić. Zaskoczyło ją jednak, że jeden obraz, jedno wspomnienie wyrazistej twarzy i figlarnych oczu potrafiło odebrać znaczenie wszystkim innym sprawom, nawet jej marzeniom. Wystarczyło, że pomyślała o ojcu, by nagle stała się znów dzieckiem, które z wyciągniętymi rączkami czeka, aż zostanie podniesione i przytulone. Nie liczyło się nic oprócz zdobycia jego miłości.

* * *

Następne cztery dni minęły jak w amoku. Artur pokazywał jej miasto, przedstawiał tyłu wydawcom i projektantom mody, że nie była w stanie ich zapamiętać, i godzinami omawiał z nią jej wizerunek artystyczny, jaki chciał stworzyć. Główną atrakcją pobytu w Nowym Jorku były jednak dwa przyjęcia, na które ją zabrał. Przywiodły jej na myśl sceny z pikantnej powieści. Wszystkie kobiety były wystrojone w błyszczące i obszyte cekinami suknie, a mężczyźni mieli na sobie fraki i białe krawaty. Na tacach, roznoszonych przez elegancko ubranych kelnerów, znajdowały się ostrygi, kawior i szampan.

Klementyna została przedstawiona przedsiębiorcom naftowym i potentatom z finansowych wyższych sfer. Jednego wieczora wydało jej się nawet, że spostrzegła Elizabeth Taylor, rozmawiającą w kącie sali z arystokratycznie wyglądającym mężczyzną, ale nie miała pewności. Przyjęciom tym nadawała smaczku i klasy obecność przystojnych, młodych aktorów, gwiazd Broadwayu i pięknych modelek. Klementyna nie mogła uwierzyć, że jest w ich gronie. Dobiegały ją strzępy rozmów o planowanych sztukach, o mających się ukazać książkach, o najświeższych nowinkach z Hollywood. To tu się ustala reguły gry, pomyślała. To właśnie goście tych przyjęć przyciskają guziki, wykładają duże pieniądze i decydują o tym, kto zostanie wielką gwiazdą, a kto nie.

Ostatniego wieczora w Nowym Jorku Artur zabrał ją do rosyjskiej herbaciarni. Zaprowadzono ich do mało atrakcyjnego stolika z tyłu sali. Przechodząc, minęli Henry'ego Fondę i genialnego młodego producenta Jamesa Nolana. Obaj zajmowali stoliki na środku. Klementyna zerknęła na szefa sali, ale Artur zbagatelizował sprawę.

- Nie martw się - powiedział, kiedy tamten odszedł. - Nadejdzie taki dzień, że jak tylko tu wejdziemy, będą ludzi spychać z krzeseł, żeby dać nam najlepsze miejsca.

Klementyna uśmiechnęła się, zadając sobie pytanie, czy jako gwiazda będzie miała czas wyrównywać stare rachunki. Z pełnymi lekceważenia kelnerami i szefami sal, protekcjonalnymi mężczyznami, wszystkimi, którzy kiedyś stanęli na jej drodze. Było ich dużo więcej, niż się spodziewała.

Kiedy pojawił się kelner, Artur zamówił dwa kieliszki chardonnay i dwie cesarskie sałatki.

- Jak ci się podobał hotel? - zapytał.

Zarezerwował dla Klementyny pokój w hotelu Waldorf Astoria. Był to dla niej drugi niezbity dowód na to, że mimo swobodnego sposobu

ubierania się Artur Dennison jest prawdziwym profesjonalistą. Pobyt w Waldorfie przypominał życie w bajce pełnej bogactw i luksusów. Jakże mógł jej się nie podobać?

- Było cudownie, Arturze.

- To świetnie. Dobrze cię traktowali? Mam nadzieję, że przekazywali ci wszystkie wiadomości od narzeczonych, których porzuciłaś, łamiąc im serca?

Żartował, ale trafił bliżej celu, niż przypuszczał. W ciągu czterech dni Connor dzwonił do niej dwanaście razy. Jedenaście razy jej nie zastał, a jedyna rozmowa, która doszła do skutku, była koszmarem. Zatelefonował tylko po to, żeby się poskarżyć, że jest samotny, po czym - błyskawicznie zmieniając ton - wyrzeszczył, że wciąż ma do niej żal, iż odjechała, nie odpowiadając na jego oświadczenia. Kiedy mu powiedziała, że jest zbyt zmęczona, żeby wysłuchiwać awantur albo podejmować poważne decyzje, wybuchł ostatecznie. Zagroził, że więcej nie zadzwoni - myśl ta wydała się Klementynie raczej pociągająca - i nie wiadomo, czy wyjdzie po nią na lotnisko.

- Świetnie, nawet nie chcę cię tam widzieć - wrzasnęła w odpowiedzi. - Zadzwonię do Megan albo Alex. One przynajmniej zainteresują się, jak mi poszło.

Trzasnęła z wściekłością słuchawką i chociaż czuła potem straszliwe wyrzuty sumienia, nie zatelefonowała do niego. Miała za dużo spraw do przemyślenia, na przykład harmonogram pracy, który Artur usiłował dla niej ułożyć. Może rozłąka wyszłaby im na dobre, pomyślała. Tak dużo przebywali razem, że jedno stało się niemal częścią drugiego, jak w symbiozie. Zdała sobie sprawę, że się przez to dusi. Teraz, kiedy odetchnęła pełną piersią, poznała smak niezależności i zaczęła się zastanawiać, jak wytrzymała tyle czasu w zaborczym uścisku Connora.

- Przejdźmy do sedna - powiedział Artur, rozkładając serwetkę. - Wspaniale sobie poradziłaś, moja droga. Po prostu wspaniale. Na przyjęciu u Steinemsów wszyscy byli tobą oczarowani. Szczerze mówiąc, odebrałem dzisiaj cztery telefony z pytaniami o moje plany, o zamiary w związku z tobą i tak dalej. To dość oszałamiające tempo, prawda?

Klementyna skinęła głową i skwapliwie pociągnęła łyk przyniesionego wina. Wszystko działo się tak szybko. Jednego dnia siedziała naprzeciwko Connora w swym obszarpanym szlafroku, rozwiązując krzyżówkę, a już następnego była ubrana w pożyczoną ze studia Artura suknię za tysiąc dolarów i na nowojorskim przyjęciu roku rozmawiała o najnowszej książce

siedzącego obok Normana Mailera. Spełniły się wszystkie jej marzenia, a nawet więcej, ale... czuła się przez to niepewnie, jak człowiek, który wstał zbyt szybko i stracił równowagę.

- Mój plan jest taki - ciągnął Artur. - Wracasz do domu, jak najszybciej się pakujesz i dajesz mi znać, na kiedy zarezerwować bilet. Tymczasem ja wynajmę ci mieszkanie, jakieś skromne, ale przyjemne, i zacznę załatwiać pracę. Umówiłem się już z Nową Modą na przyszły miesiąc. Pamiętasz Ronalda Percy'ego z przyjęcia? Takiego niskiego, łysiejącego faceta? Otóż...

Klementyna oparła głowę o wykwintne, czerwone obicie fotela. Artur przyjrzał się jej i po raz pierwszy zauważył, że ma ciemne kręgi pod oczami i bladą twarz. Sięgnął przez stół i chwycił ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz kochanie - powiedział miękko Artur.

Klementyna wzdrygnęła się, czując jego dotyk. Miał mniejszą dłoń niż Connor, czystsza, bardziej elegancka, z lepiej wypielegnowanymi paznokciami. Mimo to była męska i ciepła.

- Jestem tego pewna - odezwała się po chwili. - Po prostu za dużo rzeczy dzieje się na raz, to wszystko.

Uścisnął jej dłoń, a potem ją puścił. Zaskoczyło ją, że wierzch ręki wydał się jej teraz zimny i pusty. Położyła ją na kolanach.

- Posłuchaj - powiedział. - Jeśli potrzebujesz trochę czasu, nie mam nic przeciwko temu. Jedź do domu, odpręż się, powoli wszystko przygotuj. Możemy poczekać z miesiąc albo dwa.

Widząc jego pełen zrozumienia uśmiech, poczuła się taka, jaką ją widział: przejęta, przestraszona i słaba. Zwróciła uwagę na swoją pozycję - siedziała nachylona do przodu, ze skrzyżowanymi nogami, ramionami przyciśniętymi do boków i zaciśniętymi pięściami. Pomyślała o swoim życiu, o ciężkiej pracy, o determinacji, którą wykazywała przez tyle lat, i pod wpływem tych wspomnień wstąpiły w nią siły. Dość tego. Jeśli w jej życiu kiedykolwiek była pora na okazanie zdecydowania, na zepchnięcie wątpliwości w najdalsze zakamarki umysłu i ich zatrześnięcie, to właśnie teraz.

Usiadła prosto, przeistaczając się fizycznie w kobietę, którą chciała, którą musiała być. Kobietę z charakterem, opanowaną i silną, nawet gdy w środku dygocze z przerażenia. Cóż wielkiego się stanie, jeśli będzie musiała opuścić dom, przyjaciółki i Connora? Żeby zdobyć sławę, zawsze trzeba coś poświęcić. Alex i Megan to rozumieją. A Connor uświadomi

sobie, że Klementyna nie może za niego wyjść teraz, kiedy ma przed sobą wielką szansę, przypominającą słodki cukierek, który tylko czeka, żeby go schwycić i zjeść. Nawet na odległość mogą być razem. Będą utrzymywać kontakt przez telefon, a ona zarobi dość pieniędzy, żeby go odwiedzić w Kalifornii.

Uśmiechnęła się i pociągnęła łyk wina. Dlaczego tak się bała? Przecież ma wszystko, czego w życiu pragnęła. Podbije to miasto. Ten, kto powiedział, że w Nowym Jorku trudno zrobić karierę, nie znał Klementyny Montgomery.

- Spakuję się i będę z powrotem za tydzień - powiedziała. - Czy to nie za późno?

Artur zachichotał. Zauważył, że nastąpiła w niej zmiana i podziwiał jej odwagę.

- A może za dwa? Daj mi trochę czasu na wynajęcie ci mieszkania, dobrze?

- Świetnie - podniosła kieliszek. - Za sukces.

- Za sukces, do cholery. I to taki, o jakim żadnemu z nas się nie śniło.

Rozdział 8

Jackson Hollywell miał w sobie zmysłowość, której hipnotyczny czar odczuwało się już z odległości dziesięciu metrów. Gdyby jednak ustawić go w jednej linii obok innych męskich ideałów w Berkeley - od sportowców poprzez adeptów fizyki po przewodniczących organizacji studenckich - nigdy nie zostałby uznany za najbardziej atrakcyjnego. Miał zbyt ostre rysy twarzy, za szerokie usta i zanadto potargane włosy. Ubrał się w typowy dla studentów, niedbały sposób i nie był szczególnie wysoki - miał tylko metr osiemdziesiąt wzrostu. W jego masywnym ciele wyczuwało się coś zwierzęcego. Jackson Hollywell był zwyczajnym mężczyzną - miał ambicje, by zostać architektem i artystą, duże poczucie humoru, nie miał zobowiązań i stałych przyjaciółek. Przed laty zostawił w Ohio matkę, ojczyma i zagadkową postać swego ojca.

Mimo to żadna kobieta w Berkeley nie uważała go za człowieka banalnego. Wystarczył jeden jego uśmiech, lekkie klepnięcie po ramieniu czy puszczenie oka, a miękkie pod nimi nogi, myśli ogarniał chaos. Jackson zawsze miał to do siebie - nie znalazła się dotychczas kobieta, która potrafiłaby oprzeć się jego urokowi.

Oczywiście kobiety na uniwersytecie zachowywały się inaczej niż dziewczyny, które znał ze szkoły. Zniknęły zwariowane, rozchichotane szefowe szkolnych drużyn dopingujących, które pytały przez swoje przyjaciółki, czy mu się podobają. Tu miał do czynienia z dorosłymi, niezależnymi, światowymi kobietami.

Niektóre były napastliwe, uparte i zdecydowane dowieść, że należą im się od Boga takie same prawa jak mężczyznom. Śmiało proponowały mu spotkania i nigdy nie miały dość dyskusji o równouprawnieniu i seksie.

Inne uprawiały coś, co było w ich mniemaniu sztuką finezji. Na zajęciach z architektury lawirowały w taki sposób, żeby usiąść obok niego. Zepchnąwszy nonszalancko i brutalnie z krzeseł biednych studentów z wymiany zagranicznej, wkładały cały swój talent w udawanie zdziwienia, kiedy niby niechcący otarły się o klatkę piersiową Jacksona puszystym swetrem z wełny angorskiej, schylając się, by podnieść notatnik przypadkiem upuszczony pod jego nogi.

Jeszcze inne kusiły go otwarcie, napomykając o tajemniczych przygodach w ciemnych siedliskach rozkoszy, przepojonych zapachem włoskich potraw i wina. Te kobiety Jackson rozumiał. W przeciwieństwie do wielu innych nie zależało im na małżeństwie. Interesował je seks.

Chciały przyjemnie spędzić czas. Chciały być młode. Dokładnie tak samo jak on.

Pośród tych kobiet znajdowała się Alex Holmes. Piękna, inteligentna, niedostępna jak wschodnia księżniczka. Poznał ją tylko dzięki zbiegowi okoliczności. On był na trzecim roku, a ona na pierwszym. Ona studiowała zarządzanie, on architekturę. Tylko fuks, zwariowane nieuchronne zrządzenie losu sprawiło, że zapisali się na ten sam kurs biologii - przedmiot, którego nie udało mu się wcisnąć do programu zajęć na pierwszym i drugim roku. Alex była pierwszą osobą, którą zauważył po wejściu do sali, i jedyną kobietą, jaką od tego czasu dostrzegał. Siedziała w pierwszym rzędzie, bez makijażu, uczesana w koński ogon, w sterczących na nosie okularach w czarnej oprawie i uczyła się jakiegoś innego przedmiotu. Jackson raz na nią spojrział i stał się innym człowiekiem.

Poprosił profesora, żeby przydzielił ich razem do pracy w laboratorium. Kiedy wykładowca wyczytał ich nazwiska, spojrzała na Jacksona zza swoich okularów bez cienia uśmiechu. Błyskawicznie otaksowała go wzrokiem, oceniając poziom inteligencji i umiejętność wnioskowania. W jej spojrzeniu nie było nawet isierki zainteresowania urokiem zmysłowości Jacksona. Minęły od tego czasu już cztery tygodnie, a on wciąż znał tylko jej nazwisko, specjalizację i wkurzający zwyczaj dostawania najlepszych stopni na wszystkich egzaminach. Nie wiedział tego, na czym mu najbardziej zależało - kto jest jej ulubionym piosenkarzem, dokąd chadza wieczorami, jakie rzeczy ją najbardziej cieszą i czy go chociaż trochę lubi.

Alex nie flirtowała. Nie upuszczała notatników. Nie zapraszała go bezczelnie na randki. Nie stosowała żadnych metod, do których uciekały się inne dziewczyny. Za to codziennie przychodziła na zajęcia sumiennie przygotowana, z notatkami, pismami i książkami, wyszukanyymi z własnej inicjatywy. Siadała na swoim miejscu, wkładała okulary i koncentrowała uwagę na wykładzie profesora, jakby od tego zależało jej życie. Upierała się, żeby większość doświadczeń przeprowadzać samodzielnie, a z jego rad korzystała tylko w ostateczności. Nigdy nie widywano jej z chłopakami. Przyjmowała czasem od nauczycieli propozycje udziału w sesjach naukowych.

Mimo powagi i zaangażowania w studia Alex miała w sobie ciepło. Śmiała się z całego serca, kiedy opowiadał jej zasłyszane u kolegów dowcipy tylko po to, żeby ją rozbawić. Pomagała mu w nauce, jeśli tylko tego potrzebował. I usuwała się z drogi, gdy podchodziły kobiety o

rozkochanym spojrzeniu. Było jasne, że jest świadoma jego bujnego życia towarzyskiego, lecz nie chce brać w nim udziału. Z uwagą wysłuchiwała strzępów życiorysu Jacksona - o dzieciństwie w Chicago, o matce, o ojczymie, o przyrodnich braciach i siostrach w Ohio, o zainteresowaniach architekturą i malarstwem, o pracy kreślarskiej na pół etatu u Barona i Jakonovicha, o dwupokojowym mieszkaniu w centrum.

Niewiele mu ofiarowywała w zamian. Sporadyczne wzmianki o dwóch najlepszych przyjaciółkach, bracie i rodzicach.

Była dla niego zagadką i Jackson odkrywał, że z dnia na dzień jest nią coraz bardziej zainteresowany, zafascynowany jej psychiczną równowagą i siłą charakteru. Chciał ją poznać, wiedzieć o niej wszystko. Chciał zostać... jej przyjacielem.

To właśnie zdumiewało go najbardziej. Nigdy nie przyjaźnił się z żadną dziewczyną. Nie widział w tym sensu. Od przyjaźni miał mężczyzn, a kobiety od seksu - sam banał. Alex łamała jednak wszelkie stereotypy. Znajdował w niej inspirację. Miała cechy, które sam pragnąłby mieć - zaangażowanie, ciepło i poczucie humoru. Była nieprzeciętnie inteligentna. Na zajęciach zawsze stawiała takie pytania, jakie on chciałby zadać. Co więcej, w jej towarzystwie nie czuł się skrepowany. Kiedy myślał o Alex, przypominała mu się jego młodzieżowa drużyna baseballowa. Gorące, letnie dni, przyjaźnie, współzawodnictwo, śmiechy na ławce rezerwowych, komitywa, która sprawiała, że najbardziej rażący błąd ulatywał wszystkim z pamięci przy następnym zagraniu. Jackson rzucał piłkę, a Alex ją chwyciła. Świetnie odczytywali swoje intencje, byli idealnie zgrani, a po meczu rzucali kije w kąt i śmiali się ze wszystkiego nad porcją hot-dogów. Budowali na pokrytym kurzem diamencie przyjaźń, która trwa całe życie.

Kiedy profesor skończył wykład, Alex upchnęła książki w plecaku i ponownie wsadziła na nos okulary. Od kiedy zaczęła studiować w Berkeley, zaczęło ją niewielu mężczyzn. Jeśli do tego doszło, wtykała nos w książkę jeszcze głębiej i mamrotała monosylabiczne odpowiedzi, aż sobie poszli.

Przemiana z najaktywniejszej towarzyszko licealistki w największego mola książkowego w Berkeley dobrze jej służyła. Nie męczyło jej ssanie w żołądku, gdy w sobotnie wieczory docierał do jej pokoju w akademiku brzmiały jak egzotyczna muzyka śmiech kobiet i mężczyzn. Liczyła się z pewnymi wyrzeczeniami. W głębi duszy wiedziała, że podąża we właściwym kierunku. **NAPRZÓD BEZ BŁĄDZENIA PO MANOWCACH I BOCZNYCH DROGACH.** Napisała to zdanie jaskra-woczerwonymi,

drukowanymi literami na ogromnym arkuszu papieru i powiesiła nad łóżkiem.

Chwyliła plecak i już miała wyjść z sali, gdy zauważyła Jacksona, który wciąż garbił się w ławce nad książką. Jackson Hollywell. Nazwisko, którego żadna kobieta w miasteczku studenckim nie potrafiła wymówić bez żalostnego westchnienia. Myśli, że nie zauważyła jego spojrzeń, ale to nieprawda. Kiedy Bóg postanowił stworzyć mężczyznę, na którego widok kobietom momentalnie zapierałoby dech w piersiach, wymyślił Jacksona. Mimo że usilnie próbowała nad sobą zapanować, wciąż łapała się na tym, że na niego patrzy zamiast czytać. Wcale go nie pragnę, mówiła sobie, ale jest niepowtarzalny i frapujący, jak dobra fotografia albo szlachetne wino, którym należy delektować się powoli.

Kiedy profesor przydzielił ich do wspólnej pracy w laboratorium, była pewna, że wpadła. Z takim wyglądem nie można przecież myśleć. Przeżyła jednak zaskoczenie. Choć biologia nie należała do jego najmocniejszych przedmiotów, dobrze sobie radził, wnosząc uczciwy udział w ich wspólną pracę. W dodatku był miłym chłopakiem. Jackson Hollywell przypominał przewiazaną wstążkami paczuszkę, która wyglądała zbyt pięknie, by była prawdziwa. Obserwowała go bacznie, przeczuwając mimowolnie jakiś podstęp.

To wrażenie pojawiło się dość szybko. Ich przyjaźń miała w sobie niepokojący, podskórny nurt. Rodzaj napięcia rozwijającego się w stosunkach między kobietą i mężczyzną, którzy nie ustalili jeszcze planu gry. Przyjaciele, kochankowie, a może znajomi? Nie wiedziała, czego on od niej chce. Szczerze mówiąc, nie była też pewna, czego sama chce od niego.

- Hej, kujonie - powiedziała. Podniósł wzrok, kierując jej prosto w twarz spojrzenie swych jasnozielonych oczu w kolorze świeżo rozwiniętych liści.
- Zamierzasz tu sterczeć cały dzień?

Jackson wstał i przeciągnął się. Miał najdoskonalsze linie ciała, jakie zdarzyło jej się widzieć, jakby sam Michał Anioł wygładził dłonią wszystkie niedoskonałości. Wcale mu się specjalnie nie przyglądała, ale kiedy podpatrywała rano, jak biegnie po bieżni, nie mogła przecież nie zauważyć masywnych bicepsów, na których opinają się rękawy jego koszuli, i zgrabnych, silnych nóg. Był w typie mężczyzn, których widuje się na reklamach siłowni, jak podrzucają pięćdziesięciokilogramowe ciężary, efektownie się pocąc. Alex poczuła krótkie ukłucie zazdrości, gdy wyobraziła sobie, jak wyglądałby u boku Klementyny - oboje tacy

niezwykli: Jackson o ciemnej skórze i niesfornych włosach i urodziwa Klementyna o kształtach modelki. I ten niewiarygodny kolor oczu. Zazdrość nie trwała jednak dłużej niż sekundę. Natychmiast o niej zapomniała.

- Próbuję trochę się pouczyć do jutrzejszego egzaminu semestralnego z architektury - odparł. - Muszę dostać co najmniej czwórkę. To w końcu mój przedmiot kierunkowy.

- Jestem pewna, że dobrze ci pójdzie.

- Chciałbym mieć twoją pewność.

- Słuchaj, Jacksonie, po prostu musisz... - przerwała, wybuchając śmiechem. - Znów to samo. Bez ustanku mówię ludziom, co kto musi. Przyjaciółki ciosały mi z tego powodu kołki na głowie.

- Chętnie usłyszę, co masz do powiedzenia. Zarzuciła plecak na ramię.

- Dobrze. Ale pamiętaj, że sam tego chciałeś. Najpierw przydałaby ci się filiżanka kawy i kawałek szarlotki u Millie. Ja funduję. Później powiem ci, jak zapewnić sobie sukces.

Wziął książkę i wskazał ręką na drzwi.

- Załatwione. Prowadź.

* * *

- Jak ci się żyło w Chicago jako dziecku? - zapytała Alex. Gałka lodów waniliowych, którą Millie położyła na wierzch szarlotki, rozpuszczała się, spływała po chrupiącym cieście i wsiąkała w nie. Alex najbardziej smakowała podgrzana szarlotka, która przemieniała się w zimną, lodową papkę. Pociągnęła łyk kawy i spojrzała na Jacksona, który siedział naprzeciwko niej na pomarańczowym, winylowym krześle.

- Chyba tak samo, jak gdzie indziej. Może z wyjątkiem Tulvaris w Ohio, gdzie przeprowadziliśmy się z mamą i ojczymem, kiedy mój ojciec został zabity. To było niepowtarzalne miejsce.

- Nie wiedziałam, że twój ojciec został zabity - powiedziała łagodnym tonem. - Przykro mi.

Spojrzał na nią szybko wzrokiem pełnym bólu i rozgoryczenia, szukając w jej twarzy współczucia. W chwilę później, jak gdyby nigdy nic, wzrok mu się rozpromienił, a na twarzy pojawił się uśmiech.

- Nic się nie stało - powiedział. - To zabrzmiało bezdusznie, ale chyba sobie na to zasłużył. Nie znam dokładnie całej historii, ale z tego, co dosłyszałem przez ścianę z sypialni mamy i ojczyma, domyśliłem się, że ten facet był podrzędnym gangsterem. Nie wiedział wiele, ale i tak za dużo. Nie było

szans, żeby pozwolili mu paradować po mieście, kiedy zdecydował, że ma dość mafii. Został postrzelony w głowę tuż przed drzwiami frontowymi.

- To potworne.

- Dla niego tak. Ale mama uwolniła się dzięki temu od małżeństwa, w którym nie brakowało przemocy. Wyszła za Stanleya, mojego ojczyma, którego - nie wiedzieć czemu - naprawdę kocha. Urodziło im się troje dzieci, których właściwie nigdy dobrze nie poznałem, bo są dużo młodsze ode mnie. I tak trafiłem do Tulvaris w Ohio, które ma całych dwudziestu mieszkańców, jeśli wliczyć krowy.

Alex zachichotała i głębiej wgniotła lody w ciasto.

- Czy zdarzało ci się bać, kiedy byłeś mały? Przecież cały czas mieliście mafię na karku.

- Nie, chyba nie. Nawet nie wiedziałem, że ojciec to gangster. Myślałem, że jest bankierem.

Wybuchnęła głośno śmiechem, który okazał się tak zaraźliwy, że po restauracji przebiegła fala śmiechów i chichotów.

- Poza tym - ciągnął Jackson, zjadając ostatni kawałek szarlotki i odsuwając talerz na bok - Chicago jest fajne. Dzieciaki z przedmieść zawsze obawiają się śródmieścia, bo myślą, że nie ma tam miejsca do zabawy, ale to nieprawda. Jak się jest małym, w zaułkach i w budynkach do rozbiórki można się fantastycznie bawić w chowanego, kubły na śmieci stanowią wyśmienitą bazę do gry w baseballa, a przemoc, no cóż, przemoc robi z człowieka twardziela.

- Z tobą też tak było?

- Jasne. Byłem najpaskudniejszym siedmioletnim gnojkiem, jaki nękał Chicago od czasu Ala Capone.

Znów się roześmiała. Jackson odchylił się do tyłu, oparł o winylowe oparcie fotela i spojrzał na nią.

- A ty? Poczekaj, nie mów. - Zamknął oczy i uśmiechnął się. - Widzę ciemnowłosą dziewczynkę, która nosi ogrodniczki, a nigdy nie da się ubrać w sukienkę, i ma najbardziej niewyparzoną buzię w całym przedszkolu. Zawsze dyrygowałaś innymi dziećmi, byłaś kapitanem drużyn we wszystkich sportach, asystentką nauczycieli, szefową zespołów roboczych i starościnią klasy.

- Aż tak łatwo mnie przejrzeć?

Roześmiał się. Alex zdziwiło, że jego śmiech sprawia jej taką przyjemność. Zaprosiła go do Millie pod wpływem chwilowego impulsu i sama się tego przestraszyła, ale teraz rozumiała już powód. Jackson

wprawiał ją w dobry humor. Nie odnosiła wrażenia, że przerasta go, jak to miało miejsce w przypadku tylu innych niedojrzałych chłopaków udających, że są studentami. Nie czuła się też gorsza, co zdarzało jej się w towarzystwie znakomitych profesorów Berkeley. Jackson był z nią na równym poziomie.

- Po prostu nie wyobrażam sobie, że mogłabyś usuwać się w czyjś cień - powiedział. - Widzę słodką dziewczynkę o kędzierzawych włosach, które nigdy nie dają się porządnie zapleść w warkocz. Dziewczynkę, która nie opuszcza ręki, chociaż już odpowiedziała na pytanie nauczyciela, bo wie, że będzie znać odpowiedź także na następne. Dziewczynkę, której wszyscy zazdroszczą, a jednocześnie toczą długie i zażarte boje o jej przyjaźń, bo ma w ich mniemaniu jakąś magiczną moc. Byłaś dobra w sporcie, dobra z matematyki i biologii, może nie tak bardzo z angielskiego, ale to tylko cię mobilizowało do starań o to, żeby w tym też być najlepszą. Nigdy nie wiedziałaś, co to znaczy być ostatnią albo gorszą albo w ogóle wypaść z konkurencji.

Alex przestała jeść i odłożyła widelczyk na talerz. Oparła brodę na rękę.

- Skąd tyle o mnie wiesz? Uśmiechnął się.

- Skąd? To całkiem proste. Bo byłem jednym z tych, którzy cię nienawidzili. Chłopakiem, który codziennie pakował się w ostre tarapaty, terroryzował inne dzieci, łapał dziewczyny za staniki i smarował ci kieszenie płaszcza masłem orzechowym. Siadywał w ostatnim rzędzie i puszczał papierowe samolociki prosto w twoją śliczną główkę w pierwszej ławce.

Wróciła do szarlotki.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłeś być taki.

- Taki byłem. Możesz mi wierzyć. Dopiero w liceum zrozumiałem, że szkolne lata naprawdę zaważą na reszcie mojego życia, dokładnie tak, jak mówiła mama, wszyscy nauczyciele i psychologowie. Zdałem sobie sprawę, że muszę się zmienić, jeśli chcę osiągnąć to, o czym marzę.

- Zawsze chciałeś być architektem?

- Hmm. Nie, chyba nie. Moją pasją jest malarstwo. Umiałem rysować, jeszcze zanim zacząłem chodzić. Malowałem na wszystkim. Na papierze, na ścianach, na sprzęcie domowym. Matka musiała mnie nienawidzić. Nie mogłem się jednak powstrzymać. Mam to w genach, nie mogę bez tego żyć. To dziwne, ale bez pędzla w dłoni nie jestem sobą.

- To wcale nie jest dziwne - odparła Alex i pomyślała o własnej miłości do zarządzania, liczb i pieniędzy, o tym, że jest żywa i pełna energii tylko wtedy, gdy się tym zajmuje.

- Cóż, ludzie tak uważają - powiedział Jackson, naciskając palcem ząbki leżącego widelczyka. - Malarstwo jest dla ekscentrycznych homoseksualistów, którym nie przeszkadza, że przez długie lata przymierają głodem, byleby tylko zostali odkryci po śmierci. Rodzina i przyjaciele wciąż mi powtarzają: więcej realizmu, realizmu i jeszcze raz realizmu. Opowiadają o rachunkach, czynszu i jedzeniu. „Artyści są biedni i głodują”, „Nigdy nie zarobisz na życie jako malarz” i tak dalej. Więc zdecydowałem się na architekturę, żeby jakoś wiązać koniec z końcem, dopóki im nie udowodnię, że nie mają racji.

Alex sięgnęła przez stół i dotknęła jego ręki.

- Może i mówią prawdę, Jacksonie, ale życie nie jest nic warte, jeśli brak w nim marzenia, do którego spełnienia się dąży. Co ci da, że będziesz zarabiającym miliony architektem, jeśli pozostaniesz nieszczęśliwy? Nie mogą robić tego, co ci sprawia radość, uschniesz i zginiesz.

Scisnął jej rękę.

- Nie zamierzam usychać, ślicznotko. Co to, to nie. Codziennie maluję. Moja sypialnia wygląda jak pracownia. Mam rozstawione cztery sztalugi naraz, bo nigdy nie wiem, w jakim będę nastroju. Nadmuchiwany materac kładę na podłogę, gdy idę spać, i wtedy zwykle jestem wepchnięty jak śledź między płótna i farby. Mój współlokator tego nie znosi.

Zaproponowała mu resztę swojej szarlotki, którą przyjął z ochotą, wypuszczając jej rękę. Podciągnęła nogi na siedzenie i zaczęła mu się przyglądać, aż poczuł się nieswojo pod jej spojrzeniem.

- Czy coś nie w porządku? - zapytał. Potrząsnęła głową.

- Nie. Nic takiego. Widzisz, po prostu nie wyglądasz na malarza. Jesteś zbyt... zbyt normalny. Za twardy. Skupiasz wzrok na tym, co masz przed oczami, a nie na abstrakcyjnych wizjach i różnych koszulkach-opalkach.

- Tak. Wiem. Gdyby dzieciaki z Chicago się dowiedziały, zostałbym sprany na kwaśne jabłko. Ale taka poza mi odpowiada. Dzięki temu udaje mi się zmylić ich czujność. Jestem, jaki jestem, i kropka. Mój wygląd nie ma znaczenia. Nie rozumiem, dlaczego artysta musi przypominać ciepłe kluchy. Nie widzę nic złego w łączeniu sztuki ze sprawnością fizyczną. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, jak malarz może żyć bez odrobiny ruchu. Tworząc, przebywa się tak długo w świecie własnego umysłu, że to wyczerpuje psychicznie i osłabia fizycznie. Co wieczór, jak kończę

malować, muszę sobie pobiegać, popodrzucać jakieś ciężary albo inaczej poćwiczyć.

- Nigdy nie byłam twórcza - powiedziała Alex. - Mój brat Joey gra na fortepianie. Zdaje się, pięknie, ale mnie te jego klasyczne brzdęki doprowadzają do białej gorączki. Matka, z kolei, jest kuratorem sztuki. Ja natomiast wdałam się w tatę. Dzięki jego genom lubię szkołę i matematykę. Trwałe, namacalne rzeczy.

Skończył szarlotkę, wyprostował się i spojrzał jej w oczy.

- Martwi cię to? Chciałabyś mieć artystyczną duszę?

- Szczerze? Nie. Mam praktyczny umysł. Taka jestem i już.

Pokiwał głową.

- To świetnie. A teraz, skoro już omijaliśmy ten temat przez godzinę, może byś mi zdradziła swój sekret?

Podniosła brwi ze zdziwieniem.

- Nie pamiętasz? - zapytał. - Miałś mi powiedzieć, co trzeba robić, żeby zapewnić sobie sukces.

- Ach, o ten sekret ci chodzi - wzięła do ręki rachunek, podeszła do kasy i zapłaciła. Jackson otworzył przed nią drzwi kawiarni. Na zewnątrz świeciło jasne, popołudniowe słońce.

- Nie jestem taka pewna, czy moje sposoby będą skuteczne w twoim przypadku - powiedziała. Ulica była wysadzana topolami, które rzucały cień na chodnik, osłabiając siłę promieni słonecznych. Szli wolno, noga za nogą, jakby nie musieli się nigdzie śpieszyć jeszcze przez parę godzin.

- Chodzi o to, że pragniemy bardzo różnych rzeczy - ciągnęła. - Ja na pewno zrobię karierę w zarządzaniu. Wiem o tym. Nie mam innego wyjścia. Nie łudzę się, że to będzie łatwe. Zdaję sobie sprawę, że aby dopiąć celu, będę musiała się wspinać szczebel po szczeblu, a pewnie także zrezygnować z małżeństwa i życia towarzyskiego, ale myślę, że warto. Tymczasem opracowałam metodę przedzierania się przez bagno, dopóki nie dotrę do pewnego lądu.

- To znaczy?

- Każdą odrobinę energii poświęcam na czytanie i naukę. Tak intensywnie wyteżam umysł, że czasem fizycznie czuję, jak mi się mózg napina. Wstaję o piątej rano i kładę się spać o północy. Przez cały ten czas uczę się, oczywiście, o ile nie umawiam się z przystojnymi mężczyznami na szarlotki.

Roześmiał się, a ona bez zastanowienia wsunęła mu dłoń pod ramię. Ukrył jej rękę w swojej. Szli przed siebie, mijając dwupiętrowe domy zamożnych mieszczuchów, a pod stopami szeleściły im opadłe liście.

- Nauczyłam się podchodzić do życia w nowoczesny sposób - kontynuowała. — Powywieszałam w swoim pokoju w akademiku hasła skłaniające do pozytywnego myślenia o sobie i nigdy nie pozwalałam, żeby do mojego umysłu zakradła się negatywna, tchórzliwa idea. Myślę, że sedno tkwi w tym, iż uczę się zachowywać tak, jak chciałabym postępować w przyszłości. Kiedy więc pewnego dnia dotrę na sam szczyt, będę już przyzwyczajona do myśli o sukcesie, całkowicie pewna siebie i opanowana.

- Nie wydaje mi się, żeby ci to sprawiło jakieś trudności - powiedział Jackson. Miał nadzieję, że będzie w pobliżu, kiedy Alex dopnie swego, i że uda mu się zobaczyć, jak świat reaguje na tę nieprawdopodobną, nieustrudzoną kobietę.

Ciągle szli przed siebie, to milcząc, to znów rozmawiając o studiach, o marzeniach, o malarstwie, o zarządzaniu, o miłości i o radości. Trzymali się mocno za ręce, kroczyli noga w nogę i w tych samych momentach wybuchali śmiechem. W głębi duszy oboje myśleli o tym, jakie to wspaniałe, ciepłe i słodkie uczucie znaleźć nowego przyjaciela.

* * *

Alex i Jackson jadali razem kolację trzy razy w tygodniu. Alex próbowała przyzwyczaić podniebienie do nijakiego w smaku, tuczącego jedzenia w stołówce akademika, ale kiedy Jackson zaproponował swoją specjalność w postaci zapiekanki ze wszystkiego, co znajdzie w lodówce, zgodziła się bez wahania.

Gawędzili do późna w nocy. Nawet z Megan Alex nigdy nie czuła się tak swobodnie. Może fakt, że Jackson był kimś nowym w jej życiu, a może autentyczne zaangażowanie, z jakim jej słuchał, sprawiały, że rozmowy z nim miały wyjątkowy charakter. Patrzył na wszystko ze szczególnej, męskiej perspektywy, która ją fascynowała.

- Mam przeczucie, że nigdy nie wyjdę za mąż - powiedziała pewnego wieczora.

Za kilka tygodni wypadały Święta Bożego Narodzenia i okna w mieszkaniu Jacksona były pokryte białym mrozem. Dokładnie tak, jak mówił, sztalugi zajmowały prawie całą jego sypialnię, a nawet szykowały zamach na salon. Kiedy Alex po raz pierwszy zobaczyła jego prace, dosłownie oszłupiała. Płótna oszalały feerią barw, faktur i pomysłów.

Wiedza zdobyta od matki pozwalała jej stwierdzić, że Jackson ma talent. Surowy, nie wyszkolony, nie utemperowany, ale świeży i urzekający.

- Oczywiście, że wyjdiesz - odparł. Malował w kącie pokoju farbami akrylowymi, usiłując sportretować Alex. Co jakiś czas beształ ją, że się rusza. - Wszyscy kiedyś się pobierają.

- Ja nie jestem wszyscy - powiedziała, znów zmieniając pozycję. Tym razem położyła się na materacu, który na poły leżał, na poły stał oparty o drzwi garderoby.

- Wygodnie ci teraz? - zapytał.

- Chyba tak.

- Spróbuj się nie ruszać, dobrze?

Przyglądał się jej jakiś czas, aż wreszcie zdecydował się na konkretne ujęcie i wrócił do farb.

Alex nigdy w życiu nie pozostawała w bezruchu dłużej niż pięć minut. Ten wieczór nie był pod tym względem wyjątkiem. Usiadła, a Jackson jęknął, odsuwając farby.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie szkodzi. Kiedyś i tak skończę. - Usiadł na parapecie. - Chciałbym usłyszeć, dlaczego uważasz, że trudno cię pokochać.

- To nie tak. Po prostu, kiedy próbuję sobie wyobrazić swoje życie w wieku pięćdziesięciu lat, nie dostrzegam nikogo przy moim boku. Jak zamykam oczy, widzę siebie w swoim domu, zaczytaną przy kominku, z psem u stóp. Rozglądam się po pokoju, ale nie ma tam męża, żaden mężczyzna nie czyta obok mnie, ani nie ogląda telewizji. Myślisz, że to przecucie?

- Może. Czy to cię niepokoi? Spojrzała za okno.

- Tylko w nocy, kiedy oczy bolą mnie tak bardzo, że już nie mogę czytać, a zegar tyka z siłą bomby zegarowej. W ciemności wszystko wydaje się inne. Boleśniejsze. Trudniejsze. Kiedy indziej o tym nie myślę, o ile jestem zajęta.

- Wobec tego bądź zajęta. Pracuj jak szatan. Po co komu introspekcja? Ja też mogę się nigdy nie ożenić i dobrze. Na świecie jest mnóstwo innych rzeczy oprócz miłości. Ludzie ją idealizują.

- Tak, ale ty się umawiasz. Masz kontakt z kobietami. A ja, nie wiedzieć czemu, nie potrafię pójść na kompromis. Jeśli się zakocham, to na całego. A myśl, że mogłabym rozplynać się w ten sposób, przeraża mnie.

- Przykro mi cię rozczarować, kochanie, ale mylisz poezję z rzeczywistością. Spójrz na wszystkie małżeństwa dokoła. Większość z nich żyje jak pies z kotem. Miłość to nie raj.

Oczywiście miał rację. W każdym związku, jaki znała, były jakieś problemy. Miłość nikogo nie uszczęśliwia, a przynajmniej nie na długo. Będzie dla niej lepiej, jeśli pozostanie sama i znajdzie własną receptę na szczęście.

Spojrzała na akwarelę Jacksona przedstawiającą zmierzch nad dachami San Francisco. Była śliczna, urzekająca. Ten obraz lubiła najbardziej.

- Mówiłam ci o Megan - powiedziała. - Ona zawsze tak walczyła o miłość. Nawet teraz, na studiach, uniwersytet jest dla niej tylko czymś w rodzaju objazdu, zanim ruszy wreszcie drogą do mężczyzny swego życia. Czasem myślę, że ma kota, ale kiedy indziej zadaję sobie pytanie, czy ona nie wie o czymś, co mi umknęło. No i Klementyna. Ona mówi, że chociaż mieszka w Nowym Jorku, gdzie jest cały czas skoncentrowana na popychaniu do przodu swojej kariery modelki, Connor wciąż do niej wydzwania z pretensjami, że go zaniedbuje. Kiedy o tym słyszę, dziękuję Bogu, że w moje życie nikt się nie wtrąca. Nie mam czasu na podobne bzdury.

Jackson podszedł do Alex, wziął ją za rękę i zmusił do wstania. Schwycił swój płaszcz i zaprowadził ją do drzwi wejściowych.

- Słuchaj, dajmy sobie spokój z tymi bredniami o miłości i małżeństwie - powiedział. - Bądźmy po prostu przyjaciółmi, dobrze się bawmy, skończmy szkołę i podbijmy świat.

Pchnął drzwi i już wychodził, kiedy Alex wciągnęła go z powrotem do środka. Trzymała Jacksona za przegub dłoni, czując pod palcami jego równomierny puls. Stała na palcach i pocałowała go w policzek.

- Dzięki, stary - powiedziała. Objął ją i wyszli. Była już noc.

* * *

Nie było w tym nic dziwnego, że zamieszkali razem. Współlokator Jacksona miał w końcu dosyć jego sztalug, płócien i farb i przeprowadził się do samodzielnego mieszkania w centrum. Po roku życia w akademiku Alex też chciała mieć kawałek własnego domu.

Oczywiście wszyscy byli pewni, że są parą, i pod wieloma względami rzeczywiście tak było. Alex kochała go i wiedziała, że on też ją kocha. Pomagali sobie i opiekowali się sobą nawzajem. Kiedy był przeziębiony, gotowała mu swój kiepski rosół, on zaś do późna w nocy przepyttywał ją przed testami. W ich związku spełniły się już wszystkie warunki

decydujące o tym, że dwoje ludzi jest parą, z wyjątkiem jednego - pierwszego pocałunku, tej pierwszej oznaki romantyzmu, która na zawsze kruszy barierę intymności. Alex zwlekała. Jackson zwlekał. Dotychczas nie nadszedł jednak odpowiedni moment, a poza tym istniało ciągle ryzyko, że jeśli zostaną kochankami, przestaną być przyjaciółmi. Tego ryzyka żadne z nich nie chciało podjąć.

Mimo to często, zwłaszcza w pierwszych tygodniach po przeniesieniu do mieszkania Jacksona swego łóżka, budujących haseł i gramofonu, Alex zastanawiała się, dlaczego do tego nie doszło. Nie przeszkadzało jej, że ją obejmuje, gdy jest zimno. Czasem kiedy mówił, przyglądała się jego wargom, zadając sobie pytanie, jak smakują. Nigdy jednak nie zebrała się na odwagę, żeby to sprawdzić. Przychodziły jej do głowy miliony następstw takiego zbliżenia. Po pierwsze, spędzaliby więcej czasu razem, a może nawet urywaliby się z zajęć, żeby wspólnie pójść na plażę. Od razu zaczęliby dostawać gorsze stopnie i musiałyby zadowolić się tytułem technika zamiast magistra, a w rezultacie wykonywać papierkową robotę zamiast kierować przedsiębiorstwem. Jednym pocałunkiem wyrzekłaby się wszystkiego, jak Megan dla Tony'ego, a przez pewien czas także Klementyna dla Connora. Alex była za mądra lub też - patrząc z innego punktu widzenia - za głupia, żeby do tego dopuścić.

Wahała się więc, on szedł jej śladem, i w końcu zostali tylko przyjaciółmi. Oboje pragnęli sukcesu i oboje mieli dość siły, żeby zapłacić za to wysoką cenę.

* * *

Zdjęcia Klementyny zaczęły pojawiać się w kobiecych pismach mniej więcej w rok po tym, jak przeprowadziła się do Nowego Jorku. Jak pisała w listach do Alex, Artur chciał działać powoli. Miał własny plan: zwrócić na nią uwagę całego kraju skrawkami informacji. Jakaś fotografia z profilu w jednym piśmie, w innym enigmatyczny zarys sylwetki. Istniało zapotrzebowanie na skromne modelki i Klementyna miała takie zapotrzebowanie przez jakiś czas zaspokajać. Stworzyć wokół siebie atmosferę tajemniczości, nigdy nie pozwolić, żeby wiadano o niej wszystko. Artur nauczył ją sztuki przemilczania, ukrywania części informacji o sobie. Przynajmniej do czasu, gdy tygodniki i pisma reklamowe zaczęły błagać o więcej.

Nie trzeba było na to długo czekać. Po kilku miesiącach sporadyczne początkowo oferty telefoniczne od paru fotografów i agentów reklamowych zaczęły płynąć rwącym strumieniem. Artur mimo to grał na

zwłokę. Nie chciał zrobić z Klementyny zwykłej modelki. Miała zostać gwiazdą. Miała być osobą, która przychodzi wszystkim na myśl, gdy słyszą pytanie o najpiękniejszą kobietę na świecie. Miała wykorzystać karierę modelki jako odskocznnię do świata filmu. Zapisał ją już do nowojorskiej klasy aktorskiej Johna Daniela. Kiedy zaś skończy kręcić filmy, rozpocznie ogólnokrajowe cykle wykładów, mające pomóc kobietom osiągnąć niezależność. Klementyna wciąż była zdecydowana zmienić świat.

Alex siedziała na łóżku i czytała ostatni list od Klementyny, która miała już podpisaną umowę z Amour Perfume. Kampania reklamowa z jej udziałem rozpocznie się w październiku zdjęciami w „Cosmopolitan” i „Vogue”.

„Te zdjęcia są bardzo odważne - pisała Klementyna. - Na tym, które ukaże się w „Cosmopolitan”, leżę na wznak na skałach. Zrobiliśmy je w Nantucket. Było potwornie zimno, a reklama miała sugerować lato. W każdym razie jestem ubrana w złoty kostium kąpielowy. Z dużym dekoltem i wysoko wycięty na biodrach. Plecy mam wygięte w łuk i zamknięte oczy. Wygląda to naprawdę bajecznie. Kuszaco, że się tak wyrażę. Mam przeczucie, że ta fotografia zrobi furorę. Artur też jest tego zdania”.

W każdym liście jest jakaś wzmianka o Arturze, pomyślała Alex. Artur powiedział to, Artur chce, żebym zrobiła tamto. O Connorze Klementyna pisała rzadko albo wcale. Ach, ta miłość. Beznadziejna sprawa.

Za każdym razem, gdy Alex czytała list od Klementyny, znajdowała jej reklamę w piśmie albo oglądała przysłany przez nią cytat w rodzaju „obiecująca młoda gwiazda”, musiała walczyć z zazdrością. Klementynie przyszło to wszystko bez żadnego wysiłku. Po prostu poleciała do Nowego Jorku i od razu wstąpiła na drogę sławy. A tymczasem w Berkeley Alex tylko uczy się i uczy, z mozołem pokonując każdy kolejny rok z szczęciem, które dzieli ją od zakończenia studiów.

Zanim zdążyła pograć się głębiej w żalu nad swoim losem, zadzwonił telefon. Pobiegnęła do salonu i podniosła słuchawkę.

- W co się dzisiaj ubierasz?

Alex roześmiała się i usiadła na kanapie.

- O rany, Meg. Nawet nie powiesz „cześć” albo „co słychać”.

- Przepraszam. Po prostu nigdy nie wiem, co założyć. Zawsze wyglądam jak wystrojona pawica albo tak, jakby moje ciuchy były psu z gardła wyciągnięte.

- Nie przejmuj się. Idziemy raptem do Salizara. To zupełnie niezobowiązujące miejsce. A poza tym, Megan, nie idziesz na spotkanie z

królową angielską, tylko z Jacksonem. Możesz mi wierzyć, że on wcale nie jest taki nadzwyczajny.

Jackson, który właśnie wszedł do mieszkania, spojrzał na Alex. Pokazała mu w odpowiedzi język.

- Powiedz mi jeszcze raz, o której się spotykamy?

- O siódmej trzydzieści. Do zobaczenia, Megan. Jackson podkradł się od tyłu i jak tylko Alex odłożyła słuchawkę, zaczął ją łaskotać pod pachami. Przewrócili się ze śmiechem na podłogę i zaczęli się mocować. Jackson był silny, Alex za to szybka, lecz mimo to parę razy nieźle oberwała w pachwinę.

Kopała go w kolana, aż rozluźnił uchwyt, po czym wydostała się na wierzch, przygniatając mu ramiona.

- No, panie Hollywell, sam się pan o to prosił.

Zanim zdążył ją powstrzymać, uniosła jego koszulę i przebiegła palcami w górę żeber. Łaskotała, aż po policzkach zaczęły spływać mu łzy.

* * *

Megan przyszła do restauracji jako pierwsza. Zawsze tak było. Nie potrafiła nigdzie się spóźnić, bez względu na to, czy chodziło o kolację, randkę, czy o wizytę u dentysty. Kelner zaprowadził ją do stolika, gdzie samotnie usiadła.

Wiedząc, że w rozumieniu Alex „niezobowiązujący” może oznaczać wszystko, od szortów i bluzki bez rękawów po wieczorową suknię, wybrała coś pośredniego - bladożółtą wełnianą sukienkę przewiazaną w talii białą szarfą i pojedynczy sznur pereł na szyi.

Była zdenerwowana. W końcu to tylko kolacja z Alex. I jej współlokatorem Jacksonem. Człowiekiem, o którym słyszała już tak wiele, że praktycznie go знаła. Mimo to pociły jej się dłonie, a serce waliło jak oszałałe. Zawsze tak było, kiedy miała poznać nowych ludzi. Za bardzo jej zależało na tym, żeby zrobić za pierwszym razem dobre wrażenie, bo przecież pierwsze wrażenie wywiera się tylko raz.

Usłyszała Alex, jeszcze zanim ją dostrzegła. A dokładniej - usłyszała jej śmiech. Donośny, niepohamowany, zaraźliwy. Megan odwróciła głowę w kierunku wejścia, podobnie jak reszta gości. Alex i Jackson szli w jej kierunku.

- A niech mnie! Ślicznie wyglądasz - powiedziała Alex, całując ją w policzek. Przesunęła się i Megan po raz pierwszy dokładnie zobaczyła Jacksona.

- Moja najlepsza przyjaciółka - Megan - oznajmiła Alex.

- A to mój drugi najlepszy przyjaciel - Jackson.

- Bardzo się cieszę, że w końcu mogę cię poznać - powiedział Jackson, ściskając jej dłoń. - Tyle o tobie słyszałem.

Megan zastanawiała się, czy zauważył, że cała drży. Była przekonana, że zadrgały jej wszystkie mięśnie twarzy, ale chyba tak nie było, bo Alex coś by powiedziała. Mogła się spodziewać, że Jackson jest przystojny. Nawet więcej, przystojniejszy niż wszyscy mężczyźni, których dotąd widziała. Alex nie zamieszkałaby przecież z byle kim. Z drugiej strony, Alex powiedziała jej, że są tylko przyjaciółmi i nie chce się z nim wiązać. Megan nie mieściło się głowie, jak mogła z nim mieszkać i tego nie chcieć.

Jackson usiadł obok Megan, zaś Alex zajęła krzesło naprzeciwko niej. Jacksona intrygowało, dlaczego Alex nie wspomniała, jaka Megan jest śliczna. I delikatna. Na podstawie relacji Alex zupełnie inaczej ją sobie wyobrażał. Spodziewał się pulchnej dziewczyny o szorstkiej skórze, ale w żadnym wypadku nie piękności, którą była w rzeczywistości. Wiedział, że Alex jest do przyjaciółki głęboko przywiązana, a jednak w jej opowieściach Megan jawiła się jako osoba małostkowa i niezbyt licząca się, jakby fakt, że milcząco pogodziła się z życiem, odbierał jej wartość w oczach świata.

Kiedy Alex i Megan zaczęły rozmawiać, skorzystał z okazji, żeby przyjrzeć się nowej znajomej. Nawet w przyćmionym świetle widać było, że ma złote włosy. Udało mu się tylko kilka razy zobaczyć w przelocie jej niebieskie oczy, bo unikała jego wzroku. To zastanawiające, pomyślał, że chociaż poznał ją dopiero przed chwilą, już go zmieniła, już czuł się wyższy i silniejszy, jak wielki bohater w ostatniej scenie filmu. Był zaskoczony, że to takie przyjemne uczucie, i nie mógł uwierzyć, że nigdy mu go nie brakowało.

- Mają tu naprawdę dobre ryby - usłyszał głos Alex. - Zwłaszcza halibuta. Może byśmy też wzięli butelkę wina?

On i Megan zgodzili się i złożyli zamówienie. Kiedy wino zostało przyniesione, Jackson napełnił kieliszki i wzniosł toast.

- Za starych i nowych przyjaciół.

Megan zdecydowała się spojrzeć mu prosto w twarz i natychmiast utonęła w jego oczach. Podniosła kieliszek do ust i pociągnęła łyk. Wino spływało jej do gardła, a ona wciąż nie mogła oderwać od niego wzroku.

Jackson wpatrywał się w nią, rewidując i porządkując w myśli dane, by odpowiedzieć sobie na pytanie, czy przypadkiem niektóre przesłanki, na których opiera się jego teoria o unikaniu związków, nie są błędne.

Wyobraził sobie Megan, stojącą w jednej z jego starych koszul z rozpuszczonymi włosami okalającymi jej twarz i wyciągającą rękę, spragnioną jego miłości. Poczul nagle gorącą chęć, by stać się jej potrzebnym.

Alex spojrzała na Jacksona i Megan, po czym westchnęła. Wiedziała, że się dogadają. Choć Jackson upierał się, że świetnie da sobie radę bez kobiety, w głębi serca przeczuwała, że potrzebuje czyjejś miłości. A Bóg świadkiem, że Megan też chciała kogoś kochać.

Alex przyjrzała się Megan i dostrzegła płasające w jej oczach wizje wydarzeń, które mogą się spełnić. Wiedziała, że nie ma nic bardziej ekscytującego niż chwile, kiedy jeszcze do niczego nie doszło, ale ciągle wszystko może się wydarzyć. Pojawił się nowy mężczyzna i nagle świat wokół Megan pojaśniał, jakby ktoś zmył z okien kurz, sprawiając, że znów błyszczą. Zastanawia się teraz, czy on zadzwoni, co mu odpowie, kiedy się po raz pierwszy dotkną i jakie to będzie uczucie. Krótko mówiąc, Alex tak mocno zapragnęła znaleźć się na miejscu Megan, że zapało jej dech w piersiach. Chciała poczuć, jak wali jej serce, chciała być na tyle otwarta, by móc poświęcić dla miłości własną duszę.

Na szczęście to uczucie wkrótce minęło i ponownie stała się silną, pewną siebie, samotną Alex. Odpędziła wszystkie niepożądane myśli, jakby jej emocje leżały posortowane w osobnych szufladkach i mogła pozamykać te, którymi akurat się znużyła.

Obserwowała, jak na siebie patrzą i zastanawiała się, co jej w tym obrazku przeszkadza. Chciała, żeby byli razem. To dlatego zaaranżowała tę kolację. Coś było jednak nie w porządku, brakowało czegoś. Nie potrafiła tego jeszcze zidentyfikować. Było jasne, że są sobą zainteresowani, lecz mimo to czuła niepokój. Megan już tyle przeszła. Alex nie chciała, żeby ktoś znów ją zranił. Nie mogła już jednak nic zrobić. Kości zostały rzucone. Megan i Jackson byli sobą urzeczeni. Alex odstawiła kieliszek i chrząknęła. - Zamówimy coś?

Rozdział 9

Do tego wieczora, kiedy poznała Jacksona, Megan prowadziła monotony tryb życia, trwoniła czas i czuła znużenie otoczeniem. Życie studenckie na uniwersytecie stanowym w San Francisco było codziennie takie samo - na okrągło robienie notatek, nauka, testy i wykłady. Alex poradziła jej, żeby uzbroiła się w cierpliwość. Przekonywała, że wkrótce Megan poczuje się jak u siebie w domu. Jak tylko złapie naukowego bakcyła, każdy dzień, kiedy dowie się czegoś nowego i przybliży do celu swej drogi zawodowej, będzie podniecający i inspirujący.

Jednak jedynym uczuciem, które zbudziło się w Megan, była niestosowna chęć jak najszybszego powrotu do domu, dręcząca ją przez całe liceum. Różnica polegała wyłącznie na tym, że teraz zamiast szefowych szkolnych ekip dopingujących i kapitanów drużyn otaczali ją przyszli chirurdzy czaszki i działacze polityczni, z których każdy miał poczucie celu i nadzieję na sukces. Wśród tych ludzi znajdowała się ona, która wciąż wiodła takie życie, jakie - zdaniem wszystkich innych - powinna. Dla przyjemności rodziców udawała, że jej z tym dobrze, zastanawiając się przy tym, jaki jest jej ideał szczęścia i czy kiedykolwiek je znajdzie.

Dostawała przeciętne stopnie, ale nie odczuwała potrzeby ich poprawienia. Po prostu nie miała motywacji do nauki. Podobała jej się myśl, że zostanie pracownikiem opieki społecznej i będzie pomagać ludziom, ale perspektywa czekającej ją męczarni - czteroletniej harówki koniecznej do uzyskania tytułu technika, a potem kolejnego roku, by zdobyć tytuł magistra opieki społecznej, wydawała jej się równie straszna, co nastolatce myśl o wakacjach z rodzicami - potwornie nudnych i dłużących się w nieskończoność.

Alex doradziła jej, żeby wyobraziła sobie swoje życie za dziesięć lat. Miała ujrzeć siebie podczas pracy z nie przystosowanymi nastolatkami albo dziećmi maltretowanymi, we własnym biurze, w którym wiszą na ścianach dyplomy w czarnych ramach. Następnie miała sobie wyobrazić, jak wraca wieczorem do domu z poczuciem satysfakcji, że dzięki niej coś się zmieniło. Megan zawsze zadawała w tym momencie pytania: Po co idę do domu? Czy ktoś na mnie czeka po tamtej stronie drzwi? Mieszkam na wsi, w domu przypominającym ranczo i ogrodzonym białym płotem, gdzie przez większą część dnia świeci słońce, czy też ciągle mieszkam w Sausalito i wracam samochodem przez zamglone ulice do rodziców? Alex -

co zdarzało jej się niezwykle rzadko - nie potrafiła znaleźć na nie odpowiedzi.

Alex i Klementyna namawiały ją, żeby wyprowadziła się od rodziców i wynajęła samodzielnie jakieś mieszkanie albo przynajmniej przeniosła się do akademika przy stanowym uniwersytecie w San Francisco. Megan nie widziała w tym sensu. Nie chciała mieszkać sama, a nie poznała na studiach nikogo na tyle dobrze, żeby żyć z nim pod jednym dachem. Jeśli zaś chodzi o akademik, nienawidziła szkoły nawet z daleka. Nie zamierzała spadać z deszczu pod rynną, przeprowadzając się na teren szkoły, nawet jeśli to był tylko akademik.

Mordowała się więc, brnąc pod wiatr ze spuszczoną głową. Chodziła na zajęcia, uczyła się, czasem wychodziła gdzieś z Alex, od czasu do czasu piła z koleżankami kawę i starając się opanować wrogość, odpowiadała Klementynie na listy. „Jestem zachwycona, że w twoim życiu dzieje się tyle niewiarygodnie cudownych rzeczy”, pisała, ciskając pióro na stół po każdym zdaniu. Wynosiła napisany list jak najszybciej z domu i wyrzucała go z pamięci. Kochała swoją przyjaciółkę i nie rozumiała, dlaczego powodzenia Klementyny są dla niej taką gorzką pigułką do przełknięcia. Może po prostu pokazywały jej czarno na białym, że kobiety nie są równe i nie podzielono między nie szczęścia jednakowo.

Jadła niewiele, oglądała telewizję, czytała siedem romansów tygodniowo i spała. Miała dopiero dziewiętnaście lat. Czuła, że należy jej się więcej od życia. Powinna więcej czuć, więcej rzeczy robić. Życie nie polega na tym, żeby wegetować, bez nadziei, bez żadnego celu, bez jaśniejszych perspektyw na horyzoncie. Musi przecież być coś, co ją zafascynuje, co obudzi w niej energię, pragnienia i stanie się celem. Kiedy spotkała Jacksona Hollywella, odkryła, co to takiego.

* * *

Jackson nie zwlekał z zaproszeniem Megan na randkę. Wziął jej numer telefonu od Alex i zadzwonił już następnego dnia po wieczorze u Millie. Zaproponował jej spotkanie w następną sobotę przed muzeum w Parku Golden Gate. Megan miała nadzieję, że zadzwoni, pragnęła tego telefonu każdą komórką swego ciała. Kiedy jednak do tego doszło, była tak roztrzęsiona, że z ledwością starczyło jej odwagi, żeby podnieść słuchawkę. Głos Jacksona miał tak ciepły ton, że odniosła wrażenie, iż przez słuchawkę tchnie w jej ucho oddechem, łaskocze ją po korzonki włosów. Wzięła głęboki oddech, opanowała się i oczywiście wyraziła zgodę.

Przyszła do parku przed czasem. Jak zwykle. Większą część przedpołudnia poświęciła na przygotowania. Musiała mieć odpowiedni makijaż. Nie za mocny, na wypadek gdyby mieli spędzić cały dzień na powietrzu, ale też nie za lekki, gdyby mieli chodzić po muzeum, gdzie było przyćmione światło.

Poza tym należało wybrać właściwy strój. Wrześniowe wieczory bywają chłodne, chociaż gdy wyjrzała rano za okno, słońce świeciło jasno i mocno. Postanowiła założyć beżowe, plisowane spodnie i ciemnozielony sweterek z krótkimi rękawami. Przed wyjściem obejrzała się w lustrze. Chociaż tyle wysiłku włożyła w makijaż, to nie róż i cienie do powiek sprawiały, że wyglądała atrakcyjnie, lecz blask w jej oczach. To zdumiewające, pomyślała, jak odrobina podniecenia potrafi się przysłużyć cerze.

Siedziała na ławce przed muzeum i czekała. W parku roiło się od ludzi. Rodzice z zaciętym wyrazem twarzy kierowali się wraz ze swymi nadpobudliwymi dziećmi do planetarium. Po wysadzanych drzewami alejkach spacerowały, trzymając się za ręce i cicho rozmawiając, pary mężczyzn lub mężczyzn i kobiet. Długowłosi, odporni na upływ czasu, hipisi okupowali trawniki, grając na gitarach. Staruszkowie rozmyślali nad szachownicami, niepomni na ucieczkę chwil, które poświęcali na obmyślanie kolejnych ruchów.

Megan zamknęła oczy, odgradzając się od reszty świata, i odwróciła twarz do słońca. Jego magiczne ciepło wnikało w jej skórę i napełniało taką radością, jaka towarzyszy tylko rodzącej się miłości - kiedy czuć mrowienie w żołądku, kolory stają się żywsze, emocje pełne świeżości, a świat odsłania przed człowiekiem nieskończone możliwości. Nie otwierając oczu, uśmiechnęła się.

Jackson stał oparty o mur muzeum i obserwował ją. Jakie to niewiarygodne, że jeszcze tydzień wcześniej nie znał jej, nigdy wcześniej jej nie widział i nie doznawał tylu gwałtownych uczuć. Musieli się już kiedyś spotkać, gdzieś w poprzednim życiu. Byli ze sobą połączeni, potrafili czytać swoje myśli bez słów. Kiedy tamtego wieczora przy kolacji zwrócił ku niej wzrok, ona już na niego patrzyła. Kiedy ona roześmiała się, tak go to ucieszyło, że sam się uśmiechnął. Kiedy wyszła, poczuł się martwy i pusty, jakby wraz z nią utracił część siebie.

Ze słów Alex i z jego własnych wrażeń po tamtej kolacji wynikało, że są zupełnie różni. Megan jest nieśmiała, płochliwa, niepewna siebie. On natomiast otwarty, lubiący ryzyko, przekonany o swojej wartości. Kiedy jednak zobaczył, jak wystawia twarz do słońca, a jego promienie skrzą się

w jej włosach i na skórze złotymi iskrami, cała reszta straciła znaczenie. Megan sprawiła, że ożył. Poczul się silny i pewien siebie, jak prawdziwy mężczyzna. Wobec tego faktu przestawało się liczyć wszystko inne: różne marzenia, dzieje życia i pasje. Podszedł do niej.

- Cześć - powiedział. Błyskawicznie otworzyła oczy i wstała speszona, jakby przejrzał jej myśli i złapał ją na snuciu romantycznych fantazji.

- Hej.

Uśmiechnął się, a z jej oczu natychmiast znikło spojrzenie zaszczutego zwierzęcia. Rozluźniła ramiona.

- Pomyślałem, że sobie trochę pospacerujemy - powiedział. - I porozmawiamy.

Skinęła głową na znak zgody i wsunęła dłoń pod ramię, które jej podał. Zeszli po schodkach na jedną z wysadzanych drzewami ścieżek.

- Cieszę się, że mogłaś przyjść - powiedział łagodnym tonem, kiedy ucichły odgłosy rozmów, dźwięki gitar, płacz dzieci i znaleźli się sam na sam z wiatrem i śpiewem ptaków.

- Ja też.

Spojrzał na nią, po czy znów skierował wzrok przed siebie.

- To może zabrzmie dziwnie, Megan, ale mam wrażenie, jakbym znał cię od zawsze. Jakbym bez słów zgadywał twoje myśli, a ty moje. Czy to nie głupie?

Kiedy wypowiedział jej imię, Megan przeszedł dreszcz. Zapragnęła, by wymawiał je codziennie - kiedy wraca do domu z pracy i całuje ją w usta, kiedy leżą spleceni w łóżku, w którym przed chwilą się kochali, i kiedy budzi się rano u jego boku. Było jej z nim tak dobrze. Jak mogło jej się kiedykolwiek wydawać, że to, co czuła do Tony'ego, było prawdziwym uczuciem? Oni tylko bawili się jak dzieci w udawaną miłość, pozbawioną głębi i treści. Teraz widzi, co to słowo znaczy naprawdę. Jackson jest miły, ciepły i szczery. Nie byłby w stanie jej zranić.

- Nie, nie uważam, że to głupie - odpowiedziała w końcu, wdychając świeży zapach drzew, z których deszcz zmył poprzedniego wieczora kurz. - Ja czuję to samo.

Jackson uśmiechnął się z radością i przycisnął jej rękę do swego boku.

- Wobec tego chcę z tobą spędzić cały dzień. Do samego wieczora. Najpierw zjemy obiad, a potem zajmiemy się czymś, na co masz ochotę. Pospacerujemy po nabrzeżu, pójdziemy do chińskiej dzielnicy albo na zakupy, dokąd chcesz. Najważniejsze, żeby sprawiało ci to przyjemność.

Nie mieściło jej się w głowie, że mówi poważnie, że chce być właśnie z nią, chociaż może robić tyle innych rzeczy i spotykać tylu innych ludzi. W jego jasnozielonych oczach była jednak powaga. Patrząc na nią, nie uciekał wzrokiem w bok, jakby chciał sprawdzić, co traci. Skierowali się w stronę ulicy, gdzie stał zaparkowany jego samochód. Megan była przekonana, że wszyscy na nich patrzą i nie mogą się nadziwić szczęściu, które z pewnością bije z jej twarzy. Nie mogła się opanować, żeby nie obdarzać uśmiechem wszystkich spotykanych po drodze nieznanym osobom, tak bardzo chciała podzielić się z kimś swoją radością. A niech całemu światu się wydaje, że mam lekkiego kota, pomyślała. W jej sercu budziła się miłość. To wszystko wyjaśniało.

* * *

Wspólny wieczór dobiegał końca. Siedzieli w przytulnym wnętrzu samochodu Jacksona milcząc. Minęło ich kilku amatorów joggingu, konny policjant skręcił za róg i zniknął z oczu, a księżyc skrył się za chmury. Samochód Megan stał zaparkowany parę metrów dalej.

Jackson przysunął się i ujął jej drobną dłoń. Trzymał ją za rękę już wcześniej, kiedy biegli do kolejki linowej, ale to było co innego. Tym razem jego gest nie miał pretekstu.

Nadal się nie odzywali. Mówiła i śmiała się prawie przez cały dzień, reagując na kwiaty, które jej kupił, i na wspólne jedzenie lodów takim samym zachwytem, z jakim dziecko przyjmuje niespodziankę - cukierek znaleziony w czekoladowym jajku wielkanocnym. W wagoniku wychylała się na zewnątrz, ściskając poręcz i ze śmiechem wystawiała twarz na powiew wiatru. Był zdumiony, kiedy mu powiedziała, że chociaż całe życie mieszka w pobliżu zatoki, nigdy wcześniej nie jechała kolejką linową. Na tym między innymi polegał urok Megan. Żyła, a jednocześnie nie żyła, była częścią świata, a mimo to z jakichś powodów nigdy nie zakosztowała jego smaku. Czuł się jak nauczyciel, który tłumaczy jej, na czym polega radość życia, jak się nim cieszyć, jak czerpać z niego najwięcej przyjemności i jak witać nadchodzące chwile bez lęku.

Podczas obiadu, na który zjedli hamburgery, opowiedziała mu o swoich rodzicach, o ich najdroższym domu na najdroższym wzniesieniu Sausalito. Kiedy spacerowali wzdłuż nabrzeża, mówiła o uczelni, o swoim braku entuzjazmu do nauki, o nudnym życiu, które wlokło się bez żadnych oznak zmian na lepsze, dopóki go nie spotkała. Dokładnie tak powiedziała: dopóki cię nie spotkałam. Począł, aż znikną światła przejeżdżającego samochodu, i ścisnął jej dłoń.

- Miło spędziłaś dzień? - zapytał.
- Och, tak - odpowiedziała, zwracając ku niemu twarz.
- To dobrze.

Zapadła niezręczna cisza. Oboje patrzyli przed siebie, skupiając wzrok na samochodach, nastolatkach kryjących się wśród drzew, na wszystkim, byle nie na sobie nawzajem. Megan zagryzła wargę, zadając sobie pytanie, gdzie podziała się ta swoboda, która towarzyszyła im przez cały dzień. Dlaczego nie mogą po prostu przeskoczyć tego paraliżującego etapu skrępowania i niepewności i przejść od razu do spokojnego, przyjacielskiego związku, jaki łączy pary w książkach i komediach? Westchnęła.

- Chcesz wracać do domu? - zapytał.

Wzdrygnęła się i wyjęła dłoń z jego ręki, rzucając się ku drzwiom samochodu.

- Dobrze. Muszę tylko znaleźć klucze - schyliła się, by podnieść z podłogi torebkę, lecz zanim jej dotknęła, Jackson schwycił jej drżące dłonie.

- Spójrz na mnie, Meg - powiedział miękko. Nadal unikała jego wzroku, więc puścił jedną z jej rąk i opuszkami palców odwrócił ku sobie jej twarz.

Patrzył na Megan bez słowa, aż dostrzegł, że jej oczy zwilgotniały.

- Nie idź jeszcze - powiedział.

Jej zdecydowanie w dostrzegalny sposób osłabło i zniknęła maska strachu zastygła na jej twarzy.

- Przecież wiesz, że możesz mi zaufać.

Megan skinęła głową. Nie chciała się odezwać z obawy, że na najlżejszy ruch albo dźwięk obraz Jacksona rozwieje się niczym ostatnie strzępy pamiętanego jak przez mgłę snu. Zbliżył się do niej. Dotknął delikatnie wargami jej policzka, jakby bał się zrobić jej krzywdę. Zamknęła oczy, a on scałował wilgoć z kącików jej oczu.

- Och, Megan - powiedział. Zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno objęła. - Nigdy nie czułem czegoś podobnego. Jestem z tobą taki szczęśliwy.

Ukryła twarz w ramionach Jacksona, wdychając zapach jego skóry i trawy i przytulając policzek do jego kołnierzyka.

- Nie pozwól mi iść, proszę cię - wyszeptała. Przygarnął ją do siebie i mocno przytulił.

- Nigdy, Megan. Przenigdy.

* * *

Megan jechała do domu powoli. Choć nie wypła kropli alkoholu, czuła się jak pijana i musiała cały czas mocno ścisnąć kierownicę. Uśmiechała się do mijających ją kierowców, chociaż nie mogli jej widzieć w ciemności.

Megan Hollywell. Powtarzała w myślach to nazwisko, rozkoszując się każdą sylabą. Pani Megan Hollywell. Oczywiście będzie ubrana na białe. Kilka miesięcy temu widziała taką suknię, jaką chciałyby mieć, na okładce magazynu ze strojami ślubnymi. Kołnierzyk miała obszyty koronką, a dwanaście rzędów falbanek spływało na sztywnej halce spódnicy aż do ziemi. Widok twarzy Jacksona wysoko ponad jej głową sprawia jej przyjemność, więc założyła pantofelki z białej satyny na płaskim obcasie. I ma się rozumieć, zasłoniła twarz welonem, żeby Jackson mógł go wolniutko podnosić, zanim ją pocałuje na potwierdzenie wypowiedzianych przysięg.

Wjechała na most Golden Bridge i roześmiała się. Światła w zatoce wyglądały fantastycznie, jakby ktoś specjalnie dla niej zapalił tysiące świeczek. Klementyna ostrzegłaby ją przed podejmowaniem pochopnej decyzji. Poradziłaby jej, żeby się zastanowiła, zorientowała w sytuacji i uzbroiła w cierpliwość do czasu, gdy już będzie pewna, czego ona i Jackson chcą. Cóż, to wszystko ładnie i pięknie w przypadku panny Montgomery, królowej modelek, która może zdobyć każdego mężczyznę, jakiego zapragnie... Ale komuś takiemu jak Megan chłopak w rodzaju Jacksona Hollywella trafia się najwyżej raz w życiu. Jeśli go przy sobie nie zatrzyma, druga szansa już się nie zdarzy. Po prostu nie jest na tyle interesująca, żeby mężczyzna taki jak on zwrócił na nią uwagę dwa razy.

Poza tym nie może uzbroić się w cierpliwość, kiedy on jest w pobliżu. Mieści się pod jego ramieniem tak idealnie, jak brakujący element układanki. On ma dość siły dla nich obojga. Przy jego boku już nigdy nie będzie musiała niczego się bać. Co najbardziej zdumiewające, on wydaje się żywić do niej równie silne uczucia. Zanim się pożegnali, chwycił ją w ramiona tak mocno, że straciła dech w piersiach. Z braku powietrza zakreśliło jej się w głowie, a mimo to chciała, by tulił ją bez końca. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że będzie z tego związek, i do tego długotrwały. A jednak... A jednak wrócił do domu, do Alex.

Zjechała z mostu i skierowała się wietrznymi ulicami Sausalito do domu. Kochała Alex całym sercem. Ale czy Megan nie może, do diabła, mieć kogoś tylko i wyłącznie dla siebie? Tony najpierw chodził z Alex. Mimo burzliwych początków Alex zaprzyjaźniła się z Klementyną, bynajmniej nie zostawiając jej Megan. A teraz Jackson. Megan zabębniła

palcami po kierownicy, zbliżając się do domu rodziców na szczycie wzgórza. Zgoda, nigdy nie poznałaby Jacksona, gdyby nie Alex. Ale czy on musi z nią mieszkać? Czy opowie jej o spotkaniu z Megan? A Alex uzna, że to był zły pomysł czy dobry? Może wystarczy jedno jej spojrzenie, żeby zadał sobie pytanie, po kiego diabła zadaje się z Megan?

Megan zaparkowała na podjeździe i walnęła pięścią w kierownicę. Dość tego, dość, dość, dość. Musi wreszcie w siebie uwierzyć. Musi nabrać pewności siebie i wykazać takie zdecydowanie, jak Alex i Klementyna.

- Jestem wystarczająco interesująca, żeby go przy sobie zatrzymać - powiedziała do siebie, wysiadając z samochodu i zatrzasnąc drzwi. Skierowała się w stronę domu i weszła, ignorując dręczące ją wątpliwości, dające o sobie znać mrowieniem w żołądku.

* * *

Kiedy Jackson wszedł, Alex siedziała na kanapie w salonie, czytając podręcznik do ekonomii. Spojrzał na zegarek leżący obok niej na stole: wskazywał pierwszą czterdzieści pięć w nocy. Zdjął płaszcz.

- Bawisz się w mamusię?

Zamknęła książkę i mocniej zawiązała pasek szlafroka.

- Jeśli cię to interesuje, mam jutro trudny test u Hansena.

- Aha, już ci wierzę - Jackson poszedł do kuchni i wyjął z lodówki puszkę wody mineralnej. Otworzył ją i usiadł obok Alex na kanapie.

- Naprawdę? - zapytał.

- Nie. Jestem po prostu ciekawa. Co na to poradzę? Roześmiał się i rzucił buty z nóg.

- Tak już lepiej. Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko, ty idioto. Czy się dogadaliście? Czy poszło tak, jak się spodziewałeś? Czy się umówiliście na następne spotkanie? Czy jej zawróciłeś w głowie?

Pociągnął długi łyk wody mineralnej i odstawił puszkę na stół. Odwrócił się do niej i położył ramię na oparciu kanapy, wspierając na nim brodę.

- Ona sprawia, że czuję się jak mężczyzna, Alex. Nie śmieć się. Wiem, że to banalne, ale to prawda. Megan jest taka delikatna i krucha. Mam ochotę tulić ją w ramionach i bronić przed wszystkimi, którzy mogliby ją zranić.

Alex podniosła rękę i rozpuściła włosy.

- A jak to wygląda od jej strony?

- Myślę, że tak samo. Ma w oczach tę samą niecierpliwość co ja.

- O, Boże, przecież to dopiero wasza pierwsza randka - wstała i zaczęła krążyć po pokoju. - Dlaczego traktujesz całą sprawę tak, jakby to musiało się stać teraz albo nigdy?

- To nieprawda. Dużo się śmieliśmy. Łaziliśmy po mieście jak turyści. Przejechaliśmy się kolejką linową, byliśmy w chińskiej dzielnicy i innych ciekawych miejscach. Zachowywaliśmy się jak dzieci. Nie czułem przy niej żadnego skrępowania. Byliśmy jak stare małżeństwo, które tak dobrze się zna, że nie potrzebuje już słów. Ona czyta w moich myślach.

Alex zatrzymała się i odkręciła na pięcie, żeby na niego spojrzeć. Otworzyła usta, ale natychmiast je zamknęła.

- O co chodzi? - zapytał.

- Nic takiego.

- Chciałaś coś powiedzieć, Alex.

- Wolałbyś tego nie usłyszeć.

- Może jednak sprawdzisz.

Wróciła na kanapę i usiadła, ujmując rękę Jacksona.

- Po prostu żałuję, że nie mam magnetofonu. Kiedy w końcu wyjdiesz z tego stanu nieprzytomnego zakochania, mogłabym ci puścić twoje dzisiejsze wypowiedzi. Sam byś nie uwierzył.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo to, co opowiadasz, jest do ciebie niepodobne. „Byliśmy jak stare małżeństwo”. Chryste Panie. A gdzie nowe małżeństwo? A gdzie podniecenie, miłość i namiętność? Można by pomyśleć, że Megan siedzi już w bujanym fotelu, a ty w wózku inwalidzkim. Naprawdę do tego tęsknisz? Od kiedy chcesz zostać wygodnickim starym prykiem?

- Zaraz, zaraz, to moje życie.

- Oczywiście, że twoje. Tylko go przypadkiem nie spieprz. Nie zapędzaj się w coś, co absolutnie do ciebie nie pasuje.

Jackson wyjął rękę z jej dłoni i wstał. Podszedł do drzwi swojej sypialni i odwrócił się.

- Sądziłem, że chociaż ty ucieszysz się z mojego szczęścia. Mój Boże, myślałem, że chcesz, żebyśmy byli razem.

- Gównu mnie obchodzi, czy będziecie razem - odparła Alex, również wstając. - Jeśli jesteś z nią szczęśliwy, to świetnie. Ale masz błędne wyobrażenie o tej sytuacji. To prawda, że Megan jest krucha. Powinna zamieszkać na wsi z jakimś odludkiem i czwórką dzieciaków. Ja jej nie krytykuję. Uważam tylko, że nie jesteś tym mężczyzną, którego jej potrzeba. Kochasz inaczej niż ona.

- A co ty, do cholery, wiesz o miłości? Nawet jej do siebie nie dopuszczasz ze strachu. Boisz się, że cię zaskoczy i staniesz się tak samo słaba i ludzka, jak wszyscy inni.

Alex zacisnęła dłoń.

- Wiem swoje, Jacku. Zdaję sobie sprawę, że taki tryb życia może pociągać. Możesz mi wierzyć lub nie, ale nawet mnie czasem wydaje się przyjemny i relaksujący. Szukałeś sensu w życiu i sądzisz, że znalazłeś go w Megan. Ale powiedz mi, co stanie się za kilka lat, kiedy Megan będzie szczęśliwie wychowywać dzieci i pielęgnować ogród, a ty z ciekącą ślinką będziesz obchodzić swoje sztalugi, wepchnięte w kąt piwnicy, i zadawać sobie pytanie, gdzie się podziały twoje marzenia.

Jackson spojrział na nią z rosnącą złością, która jednak opadła równie szybko, jak się pojawiła. Podszedł i dotknął wierzchem dłoni jej policzka.

- Nie chcę się kłócić.

Wzięła głęboki oddech i przykryła jego dłoń swoją.

- Wiem.

- To dopiero pierwszy dzień.

Skinęła głową. Ruszyła w kierunku swojej sypialni, zabierając po drodze z kanapy książkę do ekonomii.

- Alex?

- Tak? - powiedziała, nie odwracając się.

- Jesteśmy ciągle przyjaciółmi?

Podniosła jego but z podłogi, błyskawicznie odwróciła się i rzuciła nim w Jacksona, trafiając go mocno w żołądek.

- Jasne, do cholery - odparła i zamknęła drzwi do swojej sypialni.

* * *

Właściwie w ogóle ze sobą nie chodzili, a przynajmniej Alex tego nie zauważyła. Jackson i Megan spotkali się, zakochali w sobie i zaręczyli. Wszystko to stało się w niecałe dwa miesiące.

Nauczyła się trzymać język za zębami. Po tamtej, jedynej zresztą, rozmowie z Jacksonem nigdy więcej nie zwierzyła mu się ze swoich obaw. Wystarczyła krótka rozmowa z Megan, by przekonać się, że ona jest równie odporna na głos rozsądku.

- Moim zdaniem za bardzo się śpieszysz - powiedziała Alex w dwa tygodnie po tym, jak Megan i Jackson się poznali. Tak samo jak tyle razy przedtem siedziały na łóżku Megan i rozmawiały na ten sam temat: o chłopcach, którzy tymczasem wydorosleli i stali się mężczyznami.

- Dlaczego? - zapytała Megan, nie słuchając jej uważnie. Wstała i zaczęła przetrząsać garderobę w poszukiwaniu idealnego stroju na wieczorną kolację z Jacksonem.

- Bo chociaż prawie go nie znasz, już mówisz o małżeństwie. Megan, czy nie powinnaś trochę poczekać i sprawdzić, czy naprawdę do siebie pasujecie?

- Nie, nie sędzę - Megan rzuciła na łóżko dwie sukienki, zerknęła na nie, potrząsnęła głową i wróciła do garderoby.

- Posłuchaj mnie, do cholery - powiedziała Alex, podrywając się na nogi i idąc za nią. Zamknęła drzwi garderoby i zaciągnęła Megan na łóżko. - Siadaj.

- O co ci chodzi?

- O ciebie i Jacksona. Posłuchaj mnie. Myślę, że popełniasz błąd.

Megan odwróciła głowę w drugą stronę.

- Jesteś po prostu zazdrosna - szepnęła tak cicho, że Alex nie dosłyszała.

- Co mówisz?

- Że jesteś zazdrosna.

- Nie bądź śmieszna. Jackson jest moim przyjacielem i nikim więcej; Przecież to ja was sobie przedstawiłam, do diabła.

- Zgoda. Może nie jesteś zazdrosna o mnie, ale o to, że się zakochałam.

Alex wzięła głęboki oddech i usiadła.

- Nie jestem zazdrosna, Meg. Naprawdę. Jeśli rzeczywiście się zakochałaś, to tylko mnie to cieszy.

Megan zwróciła ku niej twarz.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Megan objęła ją.

- Tak się cieszę. Chcę mieć w tobie powierniczkę. Teraz, kiedy Klementyna jest tak daleko, dużo bardziej cię potrzebuję.

- Możesz na mnie liczyć. Ale wiesz, że zawsze mówię, co myślę. Nie potrafię udawać, że wszystko jest świetnie, jeśli tak nie uważam.

Megan skinęła głową i wygładziła ręką jedną z odrzuconych sukienek, zmieniając decyzję.

- Dobrze. Śmiało, mów, w czym rzecz.

Alex pokiwała głową, widząc, że uwagę Megan ponownie zaprzętają ubrania i makijaż. Mimo wszystko wypowiedziała swoje zdanie.

- Chodzi o to, że pędzisz przed siebie na oślep i nawet nie spojrzysz, dokąd. Pomyślałaś o przyszłości? Czy rozmawialiście we dwojkę o swoich planach, o tym, jak chcielibyście żyć za dziesięć, dwadzieścia lat? Czy

rozumiesz jego pasję malarstwa i czy on zdaje sobie sprawę, jaka z ciebie staroświecka domatorka? Jesteś pewna, że wasze poglądy są zbieżne?

Megan zbyła przemówienie Alex machnięciem ręki. Ponownie podeszła do garderoby, otworzyła ją i zaczęła przekopywać ubrania.

- Ojej, Alex. Jeśli ty jesteś taka przewidująca, to jeszcze nie znaczy, że wszyscy inni też muszą planować swoje życie w najdrobniejszych szczegółach. Sprawa jest prosta. Kocham go, a on kocha mnie. To wystarczy.

Ta rozmowa odbyła się trzy tygodnie wcześniej. Po piętnastu dniach Jackson poprosił Megan o rękę. Przyjęła oświadczyły bez zastanowienia, bez cienia wątpliwości czy obaw. Bankiet zaręczynowy wyznaczyli na następny tydzień, a wesele na kwiecień. Alex nie pozostało nic innego, jak dzielić ich radość.

Włożyła płaszcz i wsiadła do samochodu, żeby pojechać na lotnisko po Klementynę, która uparła się, że musi być na przyjęciu. Powiedziała, że nie może się doczekać, kiedy pozna tego Jacksona, który zdobył serca obu jej przyjaciółek. Na następny wieczór Jackson zarezerwował dla nich czworga - dla siebie, Megan, Alex i Klementyny - obiad u Clancy'ego. Stamtąd mieli pojechać do rodziców Megan na bankiet zaręczynowy.

Alex kierowała się ku drodze szybkiego ruchu, pocieszając się myślą, że kiedy przyjedzie Klementyna, będzie mogła porozmawiać z jakąś bezstronną osobą. Z kimś, komu nie stępią ostrości widzenia fantazje o mających niby przetrwać całe życie drewnianych płotach i ślepej miłości. Klementyna ją zrozumie.

* * *

- Myślę, że to urocze - powiedziała Klementyna, kiedy Alex opowiedziała jej wszystko ze szczegółami. Jechały samochodem Alex do domu. - Naprawdę, nie martw się tak strasznie, Alex. Ludzie się zmieniają. Jeśli Jackson czuje, że chce mieć żonę i dzieci, to może tak jest. To jego życie.

- Ale to do niego niepodobne - zaproponowała Alex, manewrując między samochodami, żeby mimo godziny szczytu jak najszybciej wrócić do miasta. Spojrzała na nastolatka, który wcisnął się przed nią. - Znam Jacka od ponad roku. On ma swoje marzenia. Chce zostać malarzem. Nigdy nie zadowolili się takim życiem.

- Posłuchaj, niektórzy ludzie się zmieniają. Zakochują się i zaczynają patrzeć na świat z innej perspektywy.

- Mnie i tobie to się jakoś nie przytrafiło.

- Bo jesteśmy inne. Nie dopuścilibyśmy do tego. Nawet kiedy umawiałaś się ze wszystkimi chłopakami, jacy znaleźli się w zasięgu wzroku, szkołę zawsze stawiałaś na pierwszym miejscu. Twoje życie jest dla ciebie najważniejsze. To samo ze mną. Na krótko zoczyłam na manowce z powodu Connora, ale - Bogu dzięki - jestem znów na właściwym kursie.

Alex rzuciła ukradkowe spojrzenie na przyjaciółkę i dostrzegła w zarysie jej ust siłę i zdecydowanie. Miała przed sobą nową Klementynę. Przynajmniej zewnątrz. Omal nie roześmiała się na głos, kiedy zobaczyła ją wysiadającą z samolotu. Miała czerwone wargi, powieki profesjonalnie pokryte koralowymi cieniami, a policzki idealnie zaakcentowane brzoskwiniowym różem. Kiedy spostrzegła, że znajdujący się obok ludzie patrzą na Klementynę w taki sposób, jakby była zesłaną z niebios boginią, zrozumiała, jak piękna jest jej przyjaciółka. W jej sięgających do ramion włosach Alex zauważyła kilka kasztanowych pasemek, których przedtem nie było. Miała na sobie granatowy kostium - obcisłą spódnicę, białą bluzkę, nisko wycięty granatowy blezer i biały kapelusz. Wyglądała jak królowa brytyjska, z tą różnicą, że jej seksowność zapierała dech w piersiach.

Alex stała jak wryta. Nie miała pojęcia, jak się odezwać do tak niezwyklej i nieprzystępnej osoby. Nagle Klementyna dostrzegła ją, uśmiechnęła się i była z powrotem tylko Klementyną.

- A jak tam Connor? - zapytała Alex.

Klementyna wzdrygnęła się i spojrzała przez szybę na samochody, które otaczały je ze wszystkich stron, trąbiąc co jakiś czas, jakby hałas mógł rozpedzić korek.

- Proszę cię, nie przypominaj mi o nim. Wiesz, jak to trudno rozstać się z kimś, kto ciągle cię kocha? Nie mogę się zdobyć na zupełne zerwanie kontaktów. Był u mnie parę razy. Pierwsza wizyta przebiegła dobrze. Może dlatego, że czułam się samotna i traktowałam go jak prezent z domu. Ale potem za każdym razem było coraz gorzej. Zaczął się zachowywać bardzo zaborczo. Starał się o rolę w Hollywood w jakiejś romantycznej komedii filmowej i po trzecim przesłuchaniu został odrzucony. Ciężko to przeżył, zrobił sobie trzytygodniową libację i oczekiwał, że go potem utulę.

- Czy on ciągle chce się z tobą ożenić?

- Właściwie ostatnio rzadko o tym wspomina. To zabawne, ale jakby mi brakowało jego oświadczeń - pokręciła głową i zmieniła temat. - O, Boże, ależ się stęskniłam za tym miastem - powiedziała, spoglądając na

niepowtarzalny zarys budynków na tle nieba i zatoki. - Nowy Jork jest wspaniały, ale nie ma takiego charakteru. Tam po prostu ktoś zgrupował budynki w jednym miejscu, porozrzucił tu i ówdzie śmiecie i bezdomnych, po czym oświadczył: „Proszę bardzo. Oto Nowy Jork”.

Alex roześmiała się i poklepała jej dłoń.

- Jak to dobrze znów cię widzieć. Chociaż na krótko. Klementyna uśmiechnęła się.

- Dzięki. I naprawdę, Alex, nie przejmuj się Megan. Jestem pewna, że słusznie postępuje. Przekonasz się.

* * *

Megan i Jackson dotarli do restauracji Clancy'ego pół godziny przed Alex i Klementyną.

- Klementyna zawsze musiała w nieskończoność dopracowywać makijaż i fryzurę - powiedziała Megan. - Aż się boję myśleć, ile to trwa teraz, kiedy już od roku jest modelką. Na pewno dwa razy dłużej.

Jackson pocałował ją w policzek i usiadł głębiej na krześle. Nigdy nie przypuszczał, że będzie kiedyś tak szczęśliwy. Ma obok siebie piękną kobietę, która do niego należy i która za kilka niedługich miesięcy zostanie jego żoną. Megan zaczęła czesać włosy do góry i przewiązywać je z tyłu wstążką, co mu się podobało. Dzięki temu widział dokładnie jej twarz, zarys policzków, jej niebieskie oczy. Była szczęśliwa. Świadczyła o tym poza jej ciałą, promienny uśmiech i łatwość, z jaką wybuchała śmiechem.

- Tęskniłaś za nią, prawda? Megan skinęła głową.

- Tak. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo, dopóki nie zgodziła się przyjechać na ten bankiet. To naprawdę przemiłe z jej strony. Na pewno zrobiła się z niej światowa kobieta. Jej reklama perfum ukazała się w tym miesiącu w „Cosmopolitan”. Nieraz słyszałam, jak ludzie o tym rozmawiali, zastanawiając się, kim ona jest. Jeden facet, z którym chodzę na psychologię, mówi, że przykleił sobie jej zdjęcie nad łóżkiem. Wszystko idzie po jej myśli.

- Po twojej też - powiedział Jackson, pochylając się i całując ją w nos. - A może już zmieniłaś zdanie co do mnie?

Uśmiechnęła się.

- Nigdy w życiu.

Kiedy weszły Alex i Klementyna, całowali się.

- Przepraszam - powiedziała Alex, odchrząknawszy. - Pobieracie się, czy nie, proszę bez umizgów przy stole.

Megan roześmiała się i wstała. Wyminęła Alex i podeszła do Klementyny, która wyglądała na osobę bardziej dostojną i opanowaną niż Megan zapamiętała, i uścisnęła ją.

- Wyglądasz ślicznie - powiedziała Megan. Była to prawda. Klementyna zdecydowała się założyć spodnium ze srebrnego jedwabiu, którego odcień harmonizował z barwą jej oczu, przez co wydawały się jeszcze bardziej przejrzyste niż zwykle. Włosy miała zaczesane do tyłu i spięte srebrnym grzebieniem. Kiedy Megan weszła do restauracji, kilku mężczyzn odwróciło wzrok w jej kierunku, ale od chwili, gdy pojawiła się Alex, a przede wszystkim Klementyna, nie spuszczali wzroku z ich stolika. Megan starała się tego nie zauważać.

- Pozwól, że ci przedstawię mojego narzeczonego - powiedziała. - Jackson Hollywell, a to jest Klementyna Montgomery, moja druga przyjaciółka.

Jackson wstał i wyciągnął rękę. Klementyna, której lekcje aktorskie dały więcej, niż przypuszczała, miała na twarzy wciąż ten sam uśmiech. Ujęła jego dłoń. Była ciepła i silna. Potrząsnęła nią raz i cofnęła własną rękę.

- Miło cię poznać. Moje najserdeczniejsze gratulacje. Żenisz się z fantastyczną kobietą.

Usiedli, a Jackson przysunął swoje krzesło bliżej Megan.

- Tak, wiem - odparł.

- Możecie mi powtórzyć, kiedy jest ślub? - zapytała Klementyna. Postanowiła w duchu po prostu podtrzymać rozmowę, żeby nie mieć czasu na żadne zwariowane myśli ani drżenia serca.

- Dziewiętnastego kwietnia. Już za sześć miesięcy.

- Pewnie masz w związku z tym dużo pracy.

- O, Boże, i to jak - odparła Megan. - Sukienka, kościół, potrawy, kwiaty, licho wie, co jeszcze. Ale znasz moją matkę. Ona musi mieć wszystko zapięte na ostatni guzik. Czasem wydaje mi się, że jest bardziej przejęta niż ja.

Jackson zamówił butelkę szampana i wykpił się obowiązkiem nalewania do kieliszków, podczas gdy Megan opowiadała o liście gości i o planach na miodowy miesiąc. Dopiero, kiedy upewnił się, że panie są całkowicie pochłonięte rozmową o ślubie, rzucił ukradkowe spojrzenie na Klementynę. On też widział reklamę w „Cosmopolitan”. Alex machnęła mu nią tylko przed nosem, ale przyjrzał się zdjęciu dokładniej, kiedy został sam. Było niewiarygodnie ponętne, nie mógł odeń oderwać wzroku. Skóra Klementyny miała na nim złoty kolor i była pokryta migoczącymi

kropelkami wody, a jej jasne włosy spływały po wypukłej skale, na której leżała. W reklamie nie było w ogóle mowy o perfumach, ale słyszał, że sprzedaż produktów Amour gwałtownie podskoczyła po jej opublikowaniu.

Nienawidził się za to, ale pierwsza myśl, pierwsze pytanie, które mu przyszło do głowy po zobaczeniu tego zdjęcia, brzmiało: jak Megan udało się zaprzyjaźnić z taką osobą? Megan też była cudowna, ale o ile ją można by porównać do miodu, to Klementynę do gęstego syropu. Megan przypominała gotowe do zjedzenia cząstki obranej pomarańczy, Klementyna zaś dojrzałą, nabrzmiałą sokiem brzoskwinie, która nie może się doczekać, aż spadnie z drzewa.

Im wnikliwiej studiował fotografię, tym wyraźniej zdawał sobie jednak sprawę, że przedstawia ona tylko iluzję. Ludzie nigdy nie wyglądają w rzeczywistości tak korzystnie jak na reklamach, do których artyści godzinami pacykują im twarze, zanim nie osiągną idealnego rezultatu. Jak to dobrze, że miał obok siebie kogoś rzeczywistego w osobie Megan.

Tylko jedno nie pasowało do tej teorii: Klementyna siedziała właśnie naprzeciwko, rzeczywista, żywa, z krwi i kości, i wyglądała lepiej niż na reklamie. Myśli znów wyrwały mu się spod kontroli i zaczął marzyć, jak by to było przyjemnie siedzieć przy jej boku, trzymać jej smukłą dłoń w swojej i słuchać rozmów całego towarzystwa o ich ślubie. Brzydził się sobą, ale nic nie mógł na to poradzić. Wszystkie ścięgna miał napięte jak struny i aż go świerbiło, żeby dotknąć Klementyny i sprawdzić, czy jej skóra jest rzeczywiście tak gładka, jak wygląda.

Tyle o niej słyszał od Alex i Megan - że przez całe życie marzyła o zostaniu modelką i całą energię poświęcała na realizację swoich marzeń. Jej zdecydowanie w dążeniu do celu przywodziło Jacksonowi na myśl jego samego. Próbował wyjaśnić Megan swoją pasję sztuki, ale gdy spostrzegł, że odwraca głowę sądząc, że on nie zauważy, iż jej wzrok błądzi w poszukiwaniu jakiegoś interesującego punktu zaczepienia, pojął, że ją to nie obchodzi. Po kilku próbach zaprzestał dalszych wysiłków.

Poczuł nagłą i nieodpartą potrzebę porozmawiania z Klementyną o swojej miłości, o swoich marzeniach i o swoim postanowieniu, że je zrealizuje bez względu na wszystko. Coś mu w środku mówiło, że ją to zainteresuje. Że go zrozumie i tak samo jak on zapragnie, żeby osiągnął sukces wyłącznie jako malarz, a nikt inny. Że nigdy mu nie powie, iż może po prostu zostać architektem, gdyby się nie udało, w przeciwieństwie do Megan, która zachowywała się, jakby dyskutowali o prognozie pogody w gazecie, a nie o jego wnętrzu i o jego życiu.

Zaczął zupełnie otwarcie obserwować Klementynę, która rozmawiała właśnie z Megan o muzycznym tle uroczystości ślubnej. Siedziała prosto, tak jak życzyłyby sobie wszystkie mamy swoich dzieci. Nie garbiła się. Kiedy kelner podszedł odebrać zamówienie, spojrzała mu prosto w oczy.

Jackson oderwał wreszcie od niej wzrok i zwrócił oczy ku Megan. Przy swoich dwóch najlepszych przyjaciółkach wydawała się jeszcze delikatniejsza. Promieniała szczęściem. Była taka zakochana i przejęta perspektywą ich małżeństwa, że pozbył się wszelkich wątpliwości. Pochylił się i pocałował ją w policzek. Klementyna jest dla mężczyzn, którzy mają władzę i prestiż. Którzy chcą żyć na wysokiej stopie, zdobywać każdy szczyt, jaki pojawi się na horyzoncie, i obracać się wśród możliwych tego świata. Jackson natomiast pragnie po prostu być szczęśliwy. Wieść swobodny żywot. Trochę pracować, trochę malować i bardzo kochać. Megan schwyciła jego rękę pod stołem i mocno ją ucisnęła. Obrączka diamentowego pierścionka zaręczynowego, który jej podarował, naciskała na jego palec, budząc w nim uczucie trwałości i pewności.

- Chcemy was obie o coś poprosić - powiedziała Megan do Alex i Klementyny, kiedy skończyli jeść. - Może ten pomysł zabrzmiał nieco dziwnie, ale uważam, że jest znakomity.

Przysunęła się do nich z uśmiechem.

- Dobrze wiecie, że kochamy was obie. Pomyśleliśmy więc, że może Klementyna zgodziłaby się wystąpić jako moja drużna, a ty, Alex, jesteś tak bliska nam obojgu, że chętnie zobaczylibyśmy cię w roli drużby pana młodego, czy jak to nazwać.

Alex roześmiała się.

- Podoba mi się ten pomysł. Myślę, że do mnie pasuje. Oczywiście zgadzam się. A ty, Klementyno?

Klementyna z trudem oderwała wzrok od mężczyzny, który siedział naprzeciwko niej. Kiedy Megan zaczęła mówić, odważyła się spojrzeć mu prosto w oczy i natychmiast tego pożałowała. Nigdy nie spotkała podobnego człowieka. Wystarczyło jedno jego spojrzenie i już wirowało jej w głowie. Zrozumiała teraz, o czym mówiła Alex, pojęła jej wątpliwości co do małżeństwa Megan. W oczach Jacksona płonął tak jasny płomień, że jego zgaszenie byłoby niewiarygodnym okrucieństwem. Niemniej sam tego chciał. Rzucało się w oczy, że kocha Megan. Powinna cieszyć się ich szczęściem, pomyślała Klementyna, uśmiechając się do Megan.

- Ma się rozumieć, że zostanę twoją druhną. Może nawet uda mi się przylecieć parę dni wcześniej, żeby ci pomóc.

- To byłoby wspaniale - powiedziała Megan. Klementyna dostrzegła iskry szczęścia w jej oczach. Wyciągnęła rękę, którą Megan uścisnęła.

- Jestem bardzo przejęta, Meg. Nie przesadzam.

- Wiem - odparła Megan, spoglądając na swego przyszłego małżonka. - Jestem chyba najszczęśliwszą kobietą na świecie.

RS

Rozdział 10

Klementyna oglądała miejsca, o jakich jej się w życiu nie śniło. Mosty od dołu, rozkopane tory kolejowe, wiejskie stodoły, luksusowe apartamenty na dachach budynków, czy Piątą Aleję o trzeciej nad ranem - była to jedyna pora, o której policja nowojorska zgodziła się zamknąć ulicę dla ruchu i zezwolić na robienie zdjęć półnagich kobiet ubranych w najmodniejsze kreacje nadchodzącego letniego sezonu. Jeździła tam, gdzie jej polecono, nosiła kostiumy kąpielowe mimo mrozu i futra mimo prażącego słońca, uśmiechała się aż do bólu zębów i zadawała sobie pytanie, dlaczego, u licha, tak bardzo chciała być modelką.

Nie było w tym żadnego uroku. Obracając się, siadając i wybuchając śmiechem na żądanie, czuła się jak tresowany pudel. Fotografowie klęli ją za to, że ma za długi nos albo za szerokie biodra. Eksperci od reklamy twierdzili, że źle nosi ubrania, że nie dość przekonująco zachęca do ich kupna. Kamerzyści, specjaliści od makijażu, fryzjerzy i całe mnóstwo innych ludzi krytykowali ją lub w najlepszym wypadku nie zwracali na nią uwagi. Traktowali ją jak powietrze, skupiając się na ilości sprzedanych produktów do pielęgnacji włosów. Nie była nawet towarem. Czuła się jak zero, jak puste płótno, które jest bez wartości i nie budzi zainteresowania, dopóki nie zostanie pomalowane, przerobione na poszukiwany produkt.

Nie trzeba dodawać, że nie tego oczekiwała. Z początku ekscytował ją widok własnych lśniących zdjęć w tygodnikach. Był to w końcu sukces. Może niepełny, nie taki, który rzuca świat na kolana, ale był to na pewno jakiś początek. Jej fotografie znalazły się w „Cosmopolitan” i „Vogue”. Telefony do Artura się urywały. Jak nie zdjęcia na okładkę, to reklamy dzinsów z dziewięcioma innymi dziewczynami. Początkowe podniecenie szybko jednak opadło. Wszystkie sesje zdjęciowe były takie same: długie, wyczerpujące i nudne. W dodatku nie różniła się niczym od pozostałych modelek w pismach. Niczym się nie odznaczała w tłumie.

Daleko jej było do tego, żeby zostać panią własnego losu. Ciągle jadła pasztet zamiast grubych, kruchych steków. Oczywiście, w listach do domu, do Alex i Megan, dawała do zrozumienia, że osiągnęła już wszystko, o czym marzyła. Było to jednak tylko obliczone na efekt. Dawno temu przekonała się, że jeśli nie ma czegoś wyjątkowego do powiedzenia, nikt jej nie słucha. A teraz chciała zostać wysłuchana tak bardzo, że drobne przejawskrawienia nie wydawały się jej przestępstwem.

Przynajmniej Artur dodawał jej otuchy.

- Cierpliwości - powtarzał niemal codziennie. Cierpliwość. Jakby jej twarz miała pozostać gładka na zawsze. Jakby niczym były te noce, które spędza wymiotując w łazience czekoladowym ciastkiem, bo inaczej jego ślad byłby widoczny rano na brzuchu. Jakby ludzie byli skłonni bez końca czekać, aż spełni obietnicę i zostanie sławna, i jakby mogli się powstrzymać przed znaczącymi uśmieszkami i uwagami w rodzaju: „No, i proszę, zawsze wiedziałam, że z niej nic nie będzie”.

- Uda ci się - powtarzał Artur z takim spokojem i przekonaniem, że miała ochotę nagrać go na magnetofon. Wierzyła mu, bo nie miała innego wyjścia, bo zrezygnowała ze sposobu życia, do którego przywykła, z domu, z najlepszych przyjaciółek, a nawet z miłości. Dwa tygodnie wcześniej ostatecznie zerwała z Connorem. Kiedy oznajmił, że znów zamierza przylecieć, doszła do wniosku, że najwyższy czas powiedzieć mu, co czuje.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - odparła.

- Dlaczego?

Zwinęła się w kłębek wokół słuchawki w swojej sypialni i wzięła głęboki oddech.

- Myślę, że powinniśmy się rozstać, Connorze. Między nami już od dawna wszystko skończone. Przestańmy się oszukiwać.

Milczał przez dłuższą chwilę, a ją zdumiało, że odczuwa takie same fizyczne sensacje na koniec ich znajomości, jak na początku, jakby to były dwie strony tej samej monety. Serce jej mocno waliło, a dłonie zwilgotniały. Obawa przed zranieniem go wprawiała ją w takie samo zdenerwowanie, jak dawniej ich spotkania. Wreszcie odezwał się.

- Czy byłoby inaczej - zapytał miękko - gdybym został gwiazdorem?

- Ależ nie, Connorze. Kochałam cię dla ciebie samego. Po prostu byłoby nam teraz trudno utrzymać nasz związek. Jesteśmy za bardzo od siebie oddaleni.

W słuchawce znów zapadła cisza i wreszcie, po minucie, usłyszała delikatny szcęk odkładanej słuchawki. Uroniła tylko jedną łzę i wymazała Connora ze świadomości. Tak będzie lepiej. Musi być.

Sława albo nic. Zrobi wszystko, żeby ją zdobyć: wyrzeknie się miłości, bez słowa skargi będzie do jednego zdjęcia pozować na stojąco przez pięć godzin, zmieni kolor włosów, wprowadzi do krwiobiegu substancje odchudzające i zmusi się do wymiotów.

To oznaczało, że musi także bywać w takich ruderach jak ta. Klementyna spojrzała na zniszczony szary budynek w niezbyt przyjemnej

części miasta, a potem jeszcze raz sprawdziła trzymaną w ręku adres. Zgadzał się.

- Chodzi o serię zdjęć dla Sportowej Odzieży Spielmana - powiedział Arthur.

- Jeszcze jeden katalog? - jęknęła. Miała już na sobie tyle ubrań, których sama za nic w świecie by nie nosiła, że chyba jej wystarczy do końca życia.

- Owszem, jeszcze jeden.

Oczywiście przyszła. To Artur rządził. Był dobrym agentem. Prawie codziennie miała jakąś pracę. Znalazł jej w zamożnej dzielnicy miłe mieszkanie, na które mogła sobie pozwolić i które było dużo lepsze niż ta nora w Brooklynie, gdzie mieszkała przez półtora roku po przyjeździe do Nowego Jorku. Nawet jako przyjaciel stawał na wysokości zadania. To on trzymał ją za rękę, kiedy wpadała w przygnębienie na wspomnienie o pozostawionych w Kalifornii przyjaciółkach lub na wieść o tym, że innym modelkom się poszczęściło.

Na jej usta niezmiennie wracał uśmiech, jak tylko sobie przypominała, że wzięła go za zбочeńca. W pewnym sensie rzeczywiście był perwersyjny. Nigdy jej nawet nie pocałował. Wiedziała, że ma ochotę. Od dawna umiała czytać w męskich spojrzeniach. Nigdy jednak nie przeszedł do czynu. Byli dobrymi przyjaciółmi, którzy znakomicie się bawią w swoim towarzystwie i fantastycznie dogadują w pracy, więc może bał się to zepsuć. Czasem była mu za to wdzięczna. Potrzebowała po Connorze chwili oddechu. Bywały jednak momenty, kiedy wydawało się jej, że tylko dotyk jego ust mógłby przywrócić sens tej cholernej szarpaninie.

Weszła do budynku i rozejrzała się. Było ciemno. Wnętrze oświetlało tylko mętne, żółtawe światło na szczycie schodów i sączący się przez szparę w drzwiach anemiczny odbłask promieni słonecznych. Ogarnęło ją dziwne uczucie, że nie powinna tu wchodzić.

- Panno Montgomery, czy to pani?

Podniosła wzrok i zobaczyła na szczycie schodów kobietę i mężczyznę, których rozpoznała jako właścicieli Sportowej Odzieży Spielmana. Kobieta uśmiechnęła się do niej.

- Wiem, że nie jest pani przyzwyczajona do takich widoków, ale dopiero się rozkręcamy i to jest najlepsze miejsce, jakie się nam udało znaleźć. Wykorzystujemy jako studia dwa przylegające do siebie pokoje na piętrze. Klementyna przełknęła resztki dumy i odwzajemniła uśmiech.

- Nic nie szkodzi - odparła, wchodząc po schodach. Taką ma pracę i tylko ona się liczy. Nie mają znaczenia ani biegające po podłodze

karaluchy, ani lodowaty przeciąg, ani protekcjonalne spojrzenia pana Spielmana, który najwyraźniej daje do zrozumienia, że robi jej wielką łaskę pozwalając, by się poprzebierała w jego ubrania na tym zadupiu. Tylko praca się liczy.

Spędziła siedem godzin w jego klitce, pozując we wszystkim - od sukien wieczorowych po bieliznę. Ubrania nie były takie okropne, ale też nie miały nic wspólnego z najnowszą modą. Spielmanowie wydadzą kolejny tandetny katalog pocztowy, który dziewięćdziesiąt dziewięć procent Amerykanów natychmiast wyrzuci do śmieci.

Klementyna siedziała, klęczała, uśmiechała się i udawała, że rzuca piłkę na tle kleistych, pomalowanych sprayem plansz, które nikogo nie zwiódą. Płacili jej - a raczej Arturowi, który rozliczał się z nią, zachowując dla siebie piętnasto-procentową prowizję - czterdzieści dolarów za godzinę. Dwieście osiemdziesiąt dolarów. Dla niej dwieście trzydzieści osiem, obliczyła błyskawicznie w pamięci, jak kobieta, dla której pieniądze znaczą wszystko. O północy, kiedy wreszcie skończyli, przebrała się z powrotem we własne ubranie. Miała zeszywniałe kości, żołądek zwijał jej się z głodu, a dusza tęskniła do innych słów niż „proszę się odwrócić”, „proszę się uśmiechnąć”, „nie, nie tak”. Te pieniądze w żadnym stopniu tego nie rekompensowały.

Spielmanowie i ich fotograf zaprosili ją na kawę, ale odmówiła. Marzyła już tylko o tym, żeby wrócić taksówką do swojego nowego mieszkania w północnej części West Side, zrobić sobie gigantyczną kanapkę z indykiem i pomoczyć się parę godzin w wannie.

- Zatrzaśnie pani drzwi, prawda? - zapytała pani Spielman.

- Tak, oczywiście.

Wyszli, a Klementyna pozbierała swoje rzeczy. Wychodząc, zatrzasnęła drzwi studia na cztery zamki i zeszła po schodach. Była już prawie przy drzwiach, kiedy usłyszała skrzypienie podłogi za plecami.

Odwróciła się powoli, a przynajmniej zawsze tak jej się potem wydawało. Minęło wiele dni i lat, zanim zdołała sobie dokładnie przypomnieć wydarzenia następnych dwóch godzin. Stał tuż za nią. Ciemne włosy wpadały mu do oczu, wąsy zakrywały usta, a w brudnej dłoni lśnił nóż.

- Czego... czego pan chce?

Kiedy się zbliżył, poczuła, że śmierdzi rynsztokiem. Rzuciła okiem na piętro, potem za jego plecy, wreszcie w obie strony. Przesunęła stopę w kierunku drzwi, aż na nie trafiła. Zrobiła błyskawiczny zwrot do tyłu i

rzuciła się w ich kierunku, ale dopadł ją, zanim zdążyła przekreślić gałkę. Pchnął ją na ścianę i przystawił ostrze do gardła.

- Wydaje ci się, że jesteś taka sprytna, co? - powiedział. Tylko nie płacz, powiedziała do siebie Klementyna. Cokolwiek się z tobą stanie, niech nie widzi twoich łez.

Uśmiechnął się do niej, odsłaniając żółte zęby. Jednego na przodzie brakowało.

- Widziałem, jak wchodziłaś. Modelka jesteś, nie?

Nic się nie odzywając, skupiła wzrok na ścianie za jego plecami, na plamce rozmazanej krwi albo kału.

- Odpowiadaj! - wrzasnął, potrząsając nią. - Tak.

Znów się uśmiechnął. Cofnął się, w dalszym ciągu trzymając nóż przed sobą, i obrzucił ją wzrokiem.

- Niezła jesteś. Do Marylin Monroe to ci daleko, ale jesteś niezła.

- Czego pan chce? - zapytała. - Nie mam dużo pieniędzy, ale mogę je panu dać. Niech pan bierze i sobie idzie.

Wziął do ręki jej torebkę i wyjął z portmonetki kilka banknotów. Wyciągnął karty kredytowe i je także zabrał.

Następnie znów się zbliżył do Klementyny i przesunął jej po policzku tępą stroną noża. Poczuła jego lodowaty chłód i zamknęła oczy.

- Jeszcze nigdy nie miałem modelki.

Przygniótł jej nogę kolanem. Natychmiast otworzyła oczy. Miała wrażenie, że łożą po niej tysiące mrówek. Zaczęła drzeć, a w uszach usłyszała dziwny dźwięk, który przypominał piskliwy gwizd.

- Jak się nazywasz? - zapytał.

Gwizd stał się głośniejszy, a dreszcze się wzmogły. Chciała podnieść ręce i bronić się, robić coś zamiast stać jak słup soli i pozwalać mu, żeby przyciskał do niej tę swoją obrzydliwą nogę, ale - jeśli nie liczyć drżenia - była sparaliżowana.

- Dalej, do cholery. Jak się nazywasz?

Otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zamachnął się nożem i pchnął ją w ramię. Poczuła rozdzierający ból, który strzelił jej w dół ręki aż do opuszków palców. Z rany trysnęła krew i zaczęła kapać na podłogę. Krzyknęła, ale zatkał jej usta ręką.

- Jak się, kurwa, nazywasz?

Po policzkach popłynęły jej łzy. Dostała zawrotów głowy i przemknęło jej przez myśl, że leci za dużo krwi jak na jedną ranę.

- Jane - powiedziała. - Jane Doe.

Spojrzał jej w oczy, a potem schwycił za skaleczone ramię w miejscu, gdzie była rana, wyciskając krew, i pociągnął Klementynę za sobą na tyły budynku. Otworzył drzwi i wypchnął ją na uliczkę. Pod ścianą naprzeciwko siedział jakiś moczymorda, ale kiedy prześladowca Klementyny spojrzał na niego, wziął nogi za pas. Krzyknęła za nim o pomoc, na co prowadzący ją mężczyzna tylko się roześmiał.

- To nie kino - powiedział. - Żaden pijaczyna cię nie uratuje.

Pchnął ją na twardą murowaną ścianę. Zawirowało jej w głowie. Pomyślała o jutrzejszych zdjęciach, o tym, jak się na nie ubrać, i czy ją wezmą z takim krwawiącym ramieniem. Nagle zdała sobie sprawę, że to absurd myśleć o czymś takim w podobnej sytuacji, i roześmiała się. Śmiech wydobywał się z samego środka jej wnętrza. Brzmiał obco i nienaturalnie, jakby nie należał do niej. Mężczyzna znów się zbliżył.

- Podoba ci się, co? Jak cię trochę poszturchać, od razu się rozkręcasz?

Zamierzył się nożem w jej klatkę piersiową. Musiał ruszać się w zwolnionym tempie, bo przez te kilka sekund, zanim ostrze dotarło do celu, zdążyła pomyśleć o Duke'u, o matce, i o tym, jak mocno ich oboje kocha, choć tak ją krzywdzą. O Connorze, o ich miłości, która zrodziła się, eksplodowała i zginęła jak gwiazda supernowa, i o tym, jak trudno było się z nim pożegnać. O Arturze, o jego dobroci i o tym, że chociaż jest taki przystojny, czuje do niego tylko sympatię. O swojej karierze, która teraz, gdy wszystko inne zostało powiększone do gigantycznych rozmiarów, znaczyła tak niewiele. O Megan i Jacksonie, i o tym, że życzy im szczęścia. O Alex, która byłaby zawiedziona, gdyby się dowiedziała, że Klementyna nie potrafiła się bronić, że - jak wszystkie kobiety - za bardzo się bała, żeby kopać, krzyczeć i szukać ratunku. „Wcale nie była wyjątkową osobą”, powiedziałyby Alex. I miałyby rację.

Patrzyła na spadający nóż, ze spokojem czekając na ostatnie ukłucie bólu, niemal godząc się na nie. Nie nastąpiło. Poczowała tylko, jak pęka jej górny guzik od bluzki, a nóż rozcina materiał.

- Nie - jęknęła. - Tylko nie to.

Nie słuchał. Przeciął jej bluzkę od góry do dołu i spojrzał na piersi, które wydawały się w ciemnościach mlecznobiałe. Mimowolnie pobiegła wzrokiem w kierunku jego spodni, w kierunku wypukłości przy rozporoku.

- Chcesz tego, co? - zapytał.

Klementyna skoczyła do niego z pięściami, jakby w nią demon wstąpił. Nie zwracała uwagi na nóż. Raczej umrze, niż pozwoli się zgwałcić. Nawet nie poczuła, jak ostrze drasnęło ją w brzuch. Miała ochotę odgryźć mu

język, żeby już nigdy nie mógł nic powiedzieć, wyrwać penisa, pogryźć go na kawałki i wypluć mu prosto w twarz. Klementynie udzieliła się jego brutalność i te potworne wizje wcale nie były w jej odczuciu okrutne ani odrażające, a wyrażały tylko, co musi zrobić, żeby przeżyć.

Wbiła paznokcie w jego twarz i rozorała mu skórę do krwi. Kopała go w krocze i młóciła pięściami po żebrach. Krzyknął tylko raz, po czym rzucił się na nią z równie dziką furją. Był jednak silniejszy. Kiedy walnął ją parę razy w żołądek, zupełnie straciła dech. Upadła na ziemię, a on natychmiast znalazł się na wierzchu i przygniótł ją swoim ciałem. Przytrzymał jej ręce, dopóki całkiem nie opadła z sił i mogła stawiać mu opór jedynie w duchu.

Rozpiął suwak sobie, a potem jej. Brutalnie zdarł z Klementyny spodnie. Uderzyła pośladkami o zimny, błotnisty chodnik. Wcisnął kolano między jej nogi i z uśmiechem na twarzy wbił się w nią.

Klementyna wrywała się przez chwilę, ale wkrótce pojęła, że nie da mu rady. Czowała, że coś szarpie jej wnętrzności, rozrywa je na kawałki. Krew z niej uciekała. Krzyczała, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Wbijał się w nią i spuszczał z takim zapamiętaniem, że nie zauważył, iż jej głowa uderza raz po raz o beton. Na szczęście w końcu zemdląca.

Klementyna siedziała w wannie i czekała, aż gorąca, krwista woda ochłodzi się. Nie wstając, trzykrotnie opróżniła zawartość wanny, by ponownie napełnić ją nową porcją parzącej wody. Szorowała się mocno i wytrwale, ale wciąż czuła jego zapach. Chyba nigdy nie przestanie go czuć.

Dwa razy wyrwał ją z odrętwienia telefon. Człowiek po drugiej stronie drutu dawał w końcu za wygraną po siedmiu dzwonek. Pomyślała, że to ON, ale oczywiście było to niemożliwe. To tylko jej wyobraźnia.

Głowa i brzuch już jej nie krwawiły, ale ramię ciągle tak. Przyłożyła do rany ściereczkę, niewiele to jednak pomagało. Krew, która się z niej sączyła, miała teraz ciemną barwę, jakby zabrakło już lżejszej, powierzchniowej krwi i zużywała się ta z wewnętrznych arterii.

Przez półtorej godziny, kiedy ją gwałcił, odzyskała przytomność pięć razy. Za każdym razem otwierała oczy, dostrzegała jego dziką twarz, która będzie ją prześladować przez resztę życia, czuła, jak rozłupują ją na pół uderzenia jego grubego penisa, i znów mdlała. Kiedy ocknęła się za szóstym razem, już go nie było.

Dźwignęła się na kolana i poczuła, jak wycieka z niej jego nasienie. Zdjęła podartą bluzkę i starła je z siebie, czując obrzydzenie na myśl, że może mieć w środku jakąś jego żywą część. Wstała powoli, znalazła spodnie i włożyła je, a potem poszła z powrotem w stronę budynku. Bała

się, że on tam ciągle będzie i znów się na nią rzuci, ale go nie było. W torbie znalazła sweter, który włożyła. W wewnętrznej kieszeni jej budrysówki, do której nie chciało mu się zajrzeć, znajdowało się dziesięć dolarów. Na taksówkę do domu wystarczy.

Taksiarz nie powiedział słowa na temat jej wyglądu. Była druga rano i nic go nie obchodziło, oby tylko Klementyna zapłaciła. Z trudem weszła do swego wieżowca. Całym ciałem oparła się o drzwi windy, która zawiozła ją dwanaście pięter wyżej. Wysiadła, otworzyła drzwi swojego mieszkania, zamknęła je za sobą i osunęła się na podłogę.

Ocknęła się godzinę później obok plamy krwi na szarej wykładzinie i zaczęła się do łazienki. Nie wiedziała, od jak dawna siedzi w wannie, ale sądząc po świetle słonecznym, sączącym się z salonu przez szparę w drzwiach, musiało być koło południa, czyli minęło dwanaście godzin od... NIEGO. Wiedziała, że odtąd wszystkie wydarzenia w swoim życiu będzie pamiętać jako te „sprzed” i „po” i tych pierwszych nie da się mierzyć tą samą miarą, co drugich.

Ktoś załomotał w drzwi. Klementyna podskoczyła. O, Boże, na kartach kredytowych było jej nazwisko i znalazł adres w książce telefonicznej! Przyłgnęła skulona do brzegu wanny. Raczej utopi się, niż pozwoli mu znowu siebie dotknąć. Raczej umrze, niż pozwoli, żeby dotknął jej ktokolwiek.

- Klementyno, otwórz. To ja, Artur. Nic ci nie jest? Wzięła jeszcze jeden oddech i zanurzyła głowę pod wodą, żeby go nie słyszeć, wystawiając na powierzchnię tylko usta i nosi. Chciał, żeby pracowała, a ona przecież już nigdy nie wróci do pracy. Nigdy nie wyjdzie z tej wanny.

Leżała pod wodą, słuchając niemal absolutnej ciszy, poruszając wodę rękami. Zrozumiała, dlaczego dzieci nie chcą opuścić macicy. Były tam bezpieczne, odizolowane od świata. Docierały do nich tylko przytłumione, dalekie dźwięki. Nikt nie mógł się wdrzeć do środka i zrobić im krzywdy.

Kiedy właśnie zamykała oczy, drzwi rozwarły się nagle. Klementyna poderwała się na nogi. Do łazienki wpadł Artur, który ruszył ku niej. W swojej wyobraźni nie widziała jednak Artura. To był znowu ON. Uśmiechał się i mówił jej, że tego chce. Z wrzaskiem chlusnęła na niego wodą. Sięgnęła po swoją golarkę, ale w porę złapał jej rękę. Chwycił Klementynę w ramiona, krępując jej ruchy, i nie próbował uciszyć. Nadal krzyczała. Nie mogła się powstrzymać.

* * *

Godzinę później Artur wyjął Klementynę z wanny. Była już spokojna, jak przerażone dziecko. Zabandażował jej ramię, ale było jasne, że w przypadku tej rany nie wystarczy amatorska pierwsza pomoc w jego wykonaniu. Owinął ją w szlafrok, wziął na ręce i zaniósł na kanapę.

Jej wzrok zatrzymał się na zasuwie zamka w drzwiach, która wciąż była zamknięta. Odpowiedział na jej nieme pytanie.

- Kiedy nie odpowiadałaś na telefon i nie otwierałaś drzwi, wdrapałem się po drabince przeciwpożarowej i wyważyłem okno twojej sypialni. Wiedziałem, że coś się stało. Inaczej nie opuściłabyś sesji zdjęciowej.

A owszem, i to jeszcze jak się stało, pomyślała Klementyna, ale nie powiedziała tego na głos. Kiedy przestała krzyczeć, odebrało jej mowę. Nagle i zupełnie nad tym nie panując, wpadam z jednej skrajności w drugą, pomyślała. Od bezwładu do szału, od wrzasku do milczenia. W ciągu jednej nocy zupełnie straciła nad sobą kontrolę. Wystarczyła jedna noc, żeby ją odmienić na zawsze.

Artur usiadł obok niej. Wziął ją za rękę, ale ją wyrwała. Miała ochotę powiedzieć: „Nie dotykaj mnie”, ale jej wargi nie chciały się poruszyć.

- Kto ci to zrobił? - zapytał.

Nie zadawał jej żadnych pytań, kiedy siedziała w wannie. Teraz wpatrywał się w nią uważnie, jakby chciał znaleźć odpowiedź w jej twarzy. Wiedziała, że myśli o sprawiedliwości, o policji i obławie, ale to nie rozwiązałoby niczego. Czułaby się bez przerwy gwałcona - przesłuchania, badania medyczne, wyciąganie zeznań, śledztwo. Nigdy by go nie znaleźli. On jest z tych, co zapadają się pod ziemię, co chodzą po ulicach nie zauważeni, bez twarzy.

Nic nie powiedziała, spojrzała tylko przez drzwi na okno sypialni. Przede wszystkim wstawi kraty. I założy alarm.

I kupi sobie... pistolet. O, tak, koniecznie pistolet. Na takie naboje, żeby mogła z mężczyzn wypruwać flaki.

- Muszę cię zawieźć do szpitala - mówił Artur. - Ramię ciągle ci krwawi.

Nadal milczała. Co tu pomogą słowa? Artur podniósł się i stanął przed nią.

- Pozwól sobie pomóc - powiedział. - Nie mogę patrzeć, jak jesteś w takim stanie. Kocham cię. Boże drogi, nawet nie wiesz, jak bardzo. Zabiję tego skurwysyna, który ci to zrobił. Przysięgam. Klementyno... Klementyno?

Z oczu pociekły jej łzy. Nie była w stanie ich zatrzymać. Otwierała i zamykała usta, ale w tej pantomimie mowy wydobywał się z niej tylko bełkot. Dźwięczały jej w uszach jego słowa: „Kocham cię, kocham cię”. Chciała mu powiedzieć: „Nie kochaj mnie. Jestem brudna”. Nie była w stanie.

W końcu objął ją znowu, a ona wybuchnęła szlochem na jego ramieniu.

- Jesteś już bezpieczna - powiedział, ona jednak wiedziała, że to nieprawda. Nigdy nie będzie bezpieczna. Ten człowiek zabrał jej poczucie bezpieczeństwa. Sprawił, że stała się mała i bezbronna, że zawsze będzie się bać cienia, ciemności i mężczyzn.

- Zawiozę cię do szpitala - powiedział Artur.

Skinęła głową i wstała. Pozostały już tylko cielesne ślady tego, co się stało. Lekarze założą szwy i to wszystko. Powiedzą, że jest już zdrowa. Jakby nigdy do niczego nie doszło.

* * *

Artur został z nią przez pięć dni. Gotował, sprzątał, wpychał jej jedzenie do gardła i odwoływał sesje zdjęciowe. Spał na kanapie i wbiegał do sypialni, kiedy zaczynała krzyczeć. Nauczył się, że zamiast jej dotykać, należy siedzieć obok i mówić łagodnym głosem.

Klementyna leżała w łóżku całe dnie z poczuciem, że tak wygląda piekło: wspomnienia przesuwają się przed jej oczami, jakby były rzeczywistością, bez przerwy, to wolniej, to szybciej, to chronologicznie, to w odwrotnej kolejności. Zawsze jednak z tym samym zakończeniem. Zgwałcił ją. Zgwałcił. Zgwałcił.

To była kara, nie ma co do tego wątpliwości. Za każdą chwilę kołysania biodrami, noszenia obcisłych dżinsów, flirtowania czy puszczania oka. Bóg jej w ten sposób powiedział: „Hej, dziwko. Widzisz, co cię spotkało? To cię nauczy rozumu”.

Słyszała, jak Artur rozmawia w pokoju obok przez telefon. Był wspaniały, ale jego bliskość krępowała ją. Objęła rękami brzuch i przypomniała sobie Alex i Megan, dnie, które spędzały na plotkach i zabawie. Miały wtedy pewność, że życie zawsze będzie piękne i czyste. Niczego nie pragnęła tak gorąco, jak przywrócić te chwile.

- Arturze? - zawołała, kiedy odłożył słuchawkę. Natychmiast wszedł do pokoju. Tak bardzo chciał jej pomóc, iż poczuła żal, że nie może się zmienić, że nie potrafi być dla niego miłsza i dać mu do zrozumienia, że docenia jego wysiłki.

- Tak?

- Chcę jechać do domu.

Usiadł na drugim końcu łóżka, nie chcąc jej dotknąć.

- Wydawało mi się, że teraz to jest twój dom - powiedział.

- Już nie. Chcę wrócić do Kalifornii. Chcę spotkać się z przyjaciółkami.

Odwrócił głowę. Wiedziała, że myśli o straconych dochodach, o zmarnowanych sesjach zdjęciowych.

- Wiesz, kto przed chwilą dzwonił? - zapytał. Potrząsnęła głową. Gwizdała na to. Zależało jej tylko na jednym - żeby stąd wyjechać.

- Dyrektor działu reklamy Amour Perfume. Wreszcie się zdecydował. Chce, żebyś z kilkoma innymi dziewczynami wystąpiła w reklamie telewizyjnej.

Spojrzał na nią wzrokiem pełnym triumfu, spodziewając się, że okaże wzruszenie i wdzięczność. Jej jednak przyszło tylko do głowy, że ON pewnie też ma telewizor. Zobaczy ją i znów zacznie prześladować. Zadrżały jej ręce, więc ukryła je pod przykryciem.

- To szansa jedna na milion - ciągnął Artur. - Nie mówiłabyś, co prawda, żadnego tekstu, ale pomyśl tylko, ile osób by cię zobaczyło. Zaczną, zdaje się, w kanałach lokalnych, ale później chcą wejść do programów ogólnokrajowych. Postawili na modelki zamiast aktorek pewnie dlatego, że bardziej zależy im na formie niż na treści.

Roześmiał się, ale Klementyna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jak tylko pochylił się ku niej, odsunęła się. Wziął głęboki oddech.

- Na taką szansę czekaliśmy. Nie możesz teraz jechać do domu, kochanie.

- Nie mów do mnie „kochanie”. Wstał i podszedł do okna.

- Nie wiem, co ci się przydarzyło. Wiem tylko, że coś złego. Chciałbym, żebyś pozwoliła sobie pomóc. Gdybyś mi zaufała, to może...

Tylko nie płacz, pomyślała Klementyna. Była to jedyna czynność, nad którą potrafiła teraz panować. Przy dużym wysiłku mogła zatrzymać łzy w środku i udać, że wszystko w porządku, a ludzie sądzili, że jest wciąż tą samą Klementyną Montgomery.

Artur usiadł na krześle obok łóżka. Wyciągnął dłoń, chcąc ją wziąć za rękę, ale rzuciła się do tyłu.

- Jestem dobrym człowiekiem - powiedział. - Naprawdę. Inny agent zatrzasnąłby ci drzwi przed nosem, gdybyś przez tydzień chowała się w sypialni.

- O nic cię nie prosiłam. Ukrył dłonie we włosach.

- Wiem. Chciałem ci pomóc. Ciągłe chcę. Musisz jednak pomyśleć o swojej przyszłości. O swojej karierze. Taka szansa nie trafi ci się drugi raz.

Naciągnęła przykrycie aż pod samą brodę.

- Nie mogę - wyszeptała. - Przynajmniej nie teraz. Nie będę w stanie pracować, dopóki nie zobaczę się z przyjaciółkami.

Ruszył w kierunku drzwi. Kiedy znów się do niej odwrócił, dostrzegła w jego oczach dezorientację. Był człowiekiem interesu, bezpośrednim i rzeczowym. Każdy problem, przed którym stawał, musiał mieć swoje rozwiązanie. Do dziś.

- Muszę iść na trochę do biura - powiedział.

Skinęła głową. Spodziewała się, że wyjdzie, ale on stanął w miejscu.

- Chciałbym, żebyś zrozumiała, że ta praca to dla ciebie najlepsze lekarstwo - powiedział.

Próbował Klementynie pomóc, ale zupełnie nie mógł jej zrozumieć. Żałowała, że nie potrafi mu wszystkiego wyjaśnić, ale nie znajdowała w swoim języku odpowiednich słów.

- Pomyśl tylko, jak świetnie się poczujesz - powiedział - kiedy osiągniesz sukces, na który czekałaś całe życie. Zastanów się nad tym, dobrze?

Nic mu nie odpowiedziała, więc odwrócił się i opuścił pokój. Usłyszała, że szuka czegoś w salonie, po czym otwiera i zamyka drzwi wejściowe. Wreszcie wyszedł. Mieszkanie było ciche i wymarłe. Towarzystwa dotrzymywał jej tylko szum samochodów. Klementyna naciągnęła przykrycie na głowę i w ciemności zwinęła się w kłębek.

* * *

Siedziały we trójkę na trawniku przed domem rodziców Megan, patrząc na zatokę. Była piękna pogoda: chłodno, lekki wiaterek, a na niebie kłaczki obłoków. Megan paplała o swoich planach małżeńskich. Klementynie przyszło do głowy, że jej głos pięknie brzmi, jest idealnie kobiecy, słodki i niewinny.

Przyleciała dzień wcześniej. Kiedy zobaczyła Megan i Alex, machające do niej rękami w hali przylotów, szczęśliwe z jej przyjazdu i dokładnie takie, jak je zapamiętała, zapragnęła tylko jednej rzeczy: przytulić się do nich jak najmocniej. Kiedy padły sobie w ramiona, płacząc i ściskając się, wszystkie trzy wyglądały jak rozbeczane wariatki, ale dla Klementyny nie miało to znaczenia. Znów była bezpieczna, znów była w domu.

Chciały dowiedzieć się wszystkiego: o mieszkaniu, o pracy, o reklamach, o których wspominała.

- Nie wiem, czy mi się uda - powiedziała im po drodze do Megan.

- Chyba zwariowałaś - odparła Alex. - Musi się udać. Tyle czasu na to czekałaś.

Niewątpliwie miała rację. Kiedy jednak usiadły na trawie jak dziewczynki sprzed lat, z tą różnicą, że nie były już tak naiwne i pogodne, Klementyna zapragnęła nie mieć już nic wspólnego ze swoim nowojorskim życiem. Zapragnęła przenieść się w czasie do tamtych lat, kiedy wszystko było proste, łatwe i niewinne. Zapragnęła...

- Jak tam Artur? - zapytała Alex.

Klementyna ocknęła się z zadumy i wzruszyła ramionami.

- Och, znakomicie. Jest wściekły, że tu przyleciałam zamiast się do niego wdzięczyc za to, że załatwił mi tę reklamę.

Megan pochyliła się i wzięła ją za rękę.

- A dlaczego przyleciałaś, Ciem?

Przy Arturze tak łatwo było powstrzymać łzy. Teraz, w obecności dwóch osób, które znały ją jak nikt, poczuła, że nie ma się gdzie ukryć. Potrafiły niemal czytać w jej myślach. Od chwili gdy wysiadła z samolotu, nie odstępowały Klementyny, dziwnie na nią popatrując, jakby wiedziały, co jej jest.

Wymyśliła całą listę wyjaśnień. Czuła się samotna. Potrzebowała odpoczynku. Matka chorowała. Miała je na końcu języka, kiedy Megan uścisnęła jej rękę. Zrozumiała wtedy, że nie potrafi im skłamać.

- Coś mi się przytrafiło - powiedziała cicho. Alex przysunęła się bliżej i usiadły w kręgu. Klementyna mówiła ze wzrokiem wbitym w trawę. - Tydzień temu pewien mężczyzna... zgwałcił mnie.

Zapadła zupełna cisza. Słychać było tylko odległy dźwięk syreny okrętowej. Klementyna czekała. Miała wrażenie, że to trwa już od wielu godzin, chociaż zdawała sobie sprawę, że minęło dopiero kilka minut. Po chwili zarzuciły jej ramiona na szyję i nie wiedziała już, czyje łzy są czyje. Przywarła do nich, dziękując Bogu, że dał jej te dwie kobiety, które potrafiły dzielić z nią ból i pomagać go znosić.

Jakiś czas później, kiedy opowiedziała już wszystko ze szczegółami i większość łez została wylana, usiadły w kuchni przy kawie, a wyczerpana Klementyna podparła brodę rękami.

- Wyobrażam sobie, jak trudno będzie ci dojść po tym do siebie - powiedziała Megan.

Klementyna spojrzała na nią.

- Wątpię, czy kiedykolwiek mi się to uda. Kiedy zamykam oczy, widzę go tak wyraźnie, że to mnie przeraża.

Alex krążyła rozzłoszczona po pokoju. Przechodząc kopła mijane szafki.

- Najbardziej mnie wkurza, że temu... temu sukinsynowi ujdzie to na sucho. Na pewno nie chcesz iść na policję?

- Na pewno. Nie złapią go, a poza tym nie chcę rozgłosu.

- O, Boże, niedobrze mi się robi na samą myśl - powiedziała Alex. - Dałabym wszystko, żeby go dopaść w jakiejś ciemnej uliczce i strzelić w...

- Alex! - krzyknęła Megan.

- Och, daj spokój. Wolno nam rozmawiać o tym, co facet może zrobić z kobietą, ale odwrotnie to już nie? Chciałabym po prostu, żeby poczuł to na własnej skórze.

Patrząc na przyjaciółkę, Klementyna zrozumiała, że Alex nie przytrafiłoby się to, co jej. Ona dałaby sobie radę, walczyłaby do utraty sił i w końcu uratowała skórę. Mój Boże, chciałaby nią być, a przynajmniej mieć jej charakter, jej odwagę.

- Jak ty to robisz? - zapytała ją Klementyna. - Jakim cudem się nie boisz?

Alex usiadła i zaczęła się zastanawiać. W końcu powiedziała:

- To nie jest tak, że się nie boję. Kiedy muszę sama wracać w nocy albo kiedy słyszę za sobą w mroku czyjeś kroki, jestem tak samo przestraszona, jak każdy inny człowiek. Ale jeśli tego chcę, zawsze mi się udaje ignorować pewne uczucia i koncentrować na innych. W ciemności myślę o świetle, sile i mocy. Idę przed siebie gwiżdżąc, jak gdyby nigdy nic, jakbym nie miała żadnych zmartwień na świecie.

- To co powinnam zrobić twoim zdaniem? - zapytała Klementyna.

- Powiem ci coś - odparła Alex. - Wracaj do Nowego Jorku i zrób tę reklamę. Nie pozwól, żeby jakiś cham nad tobą zatriumfował. Wystarczy, że zmienisz się wewnątrz. Że stwardniejesz. Idź i kup sobie pistolet i pod żadnym pozorem nie okazuj strachu. Lęk przyciąga zbrodniarzy jak magnes. Mijaj tych kretynów z podniesioną głową i pamiętaj, że jak tylko któryś się ruszy, możesz mu rozwalić jego świński łeb.

Dzięki Alex znów poczuła się silna. Prawie jak dawniej. Klementyna wzięła ją za rękę, a potem uścisnęła także dłoń Megan.

- Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

- Och, Klementyno - powiedziała Megan. - Tak ci współczuję.

Klementyna pokiwała głową.

- Wiem. Ja sobie też.

* * *

Klementyna stała na plaży w Virginia Beach. Każdy centymetr jej ciała, podobnie jak pozostałych modelek, pokrywał piasek. Doszła do wniosku, że ta reklama będzie stanowić najdziwaczniejsze trzydzieści sekund w historii telewizji.

Kiedy skończą - o ile do tego kiedykolwiek dojdzie - na filmie będzie widać, jak Klementyna i trzy inne dziewczyny biegną po plaży w za małych o dwa numery kostiumach kąpielowych i zabierają plażowe piłki czterem najprzystojniejszym mężczyznom, jacy kiedykolwiek chodzili po tej planecie. Mężczyźni zaganiają je do wody i przewracają na piasek. W tym momencie głos zza kamery mówi: „Perfumy Amour dla kobiet, które kochają mężczyzn. Woda kolońska Amour dla mężczyzn, którzy odwzajemniają ich miłość”.

Zdaniem Klementyny było to największe gównno, jakie zafundowano amerykańskim odbiorcom od czasu Watergate. Co ciekawe, gapie na plaży byli zachwyceni. Dyrektor dystrybucji firmy Amour, który w garniturze i krawacie wyglądał między plażowiczami jak idiota, oświadczył, że wszyscy nie mogą się doczekać, żeby wyjść i kupić perfumy Amour. Jedno z dwojga: albo próbował być miły, albo słońce prażyło za mocno.

Mimo wszystko Klementyna brała w tym udział. Za pięćset dolarów dziennie minus piętnaście procent, co dawało czterysta dwadzieścia pięć dolarów, musiała stawiać czoło lodowatemu oceanowi. Mało tego, firma Amour wstępnie zaplanowała trzy wersje tej samej bzdurnej historyjki i w ich kręceniu miały brać udział te same modelki. Najważniejsze jednak, że Klementyna znów pracowała i normalnie się zachowywała, nie dając po sobie poznać lęku.

Powrót do Nowego Jorku był najtrudniejszą rzeczą, na jaką musiała się w życiu zdobyć, ale Alex popychała ją do przodu i dodawała otuchy.

- Głowa do góry - powiedziała na lotnisku. - Nie daj się tym palantom.

Przywoływany w pamięci obraz skrzyżowanych palców Alex i jej twarzy, na której nie malował się nawet cień lęku, sprawiał, że Klementyna kroczyła ze spokojem i z podniesioną głową wszędzie, gdzie musiała iść sama. Natomiast wspomnienie łez Megan nie pozwalało jej dać za wygraną. To, czy dojdzie do siebie, nie było jej sprawą osobistą. Robiła to dla nich wszystkich.

Pierwszego dnia, natychmiast po telefonie do Artura, który dosłownie podskoczył z radości na wieść, że Klementyna jednak wystąpi w tej

reklamie, poszła do znajdującego się w odległości dwunastu przecznic sklepu z bronią.

- Poproszę o najlepszy pistolet ręczny, jaki państwo mają - powiedziała - i naboje, które wypruwają z człowieka flaki.

Sprzedawca nie zadawał jej żadnych pytań i po otrzymaniu pozwolenia na broń pomaszzerowała do domu z podniesioną głową, z dłonią wsuniętą w torebkę i zaciśniętą na Magnum 357. Spoglądała mijanym mężczyznom w oczy, niemal prowokując ich, by zmusili ją do użycia pistoletu. Nie miała wątpliwości, że z łatwością potrafiłaby z niego wystrzelić.

Czuła, że dochodzi do siebie. Za pierwszym razem, kiedy John - model, który się z nią mocował - przewrócił ją na piasek, zamarła. Po raz kolejny rozegrała się jej przed oczami cała potworna scena. Na próżno walczyła. Zbliżał się i wdzierał w jej ciało. Usłyszała z daleka głos Artura, który pytał, czy coś się stało, a potem zbiegli się wszyscy. Artur ukląkł przy niej.

- Odezwij się do mnie, Ciem - powiedział.

Podniosła twarz, po której spływały te cholerne łzy, a on osłonił ją przed resztą ekipy.

- To tylko reklama - powiedział łagodnym tonem. - Wszystko jest na niby.

Podniosła się powoli, zamrugła oczami, żeby odegnąć łzy, i rozejrzała się po otaczających ją przestraszonych twarzach. Przecież nie mogę dać plamy, pomyślała, skoro już zaszłam tak daleko. Przemogła się i przywołała na wargi uśmiech.

- Nic mi nie jest - powiedziała. - Po prostu zapało mi dech w piersiach.

Roześmieli się i wrócili na swoje miejsca. John z zakłopotaniem ją przeprosił.

- Tak mi przykro. Następnym razem będę delikatniejszy.

Teraz, kiedy miała już za sobą osiemnaście wciąż niedoskonałych ujęć, dotyk Johna w najmniejszym stopniu jej nie płoszył. „To na niby” - powiedział Artur. Nic, co tu się dzieje, nie jest prawdziwe. Wiedziała już z całą pewnością, że zostanie aktorką, że dostanie się do tego świata, w którym nic nie może jej zranić, w którym wszystko jest fikcją. Scena i kamera będą jej ucieczką.

Zaczynała ją to bawić. Czasem nawet się śmiała. Miała teraz trzy najlepsze przyjaciółki: Alex, Megan i kamerę. Alex i Megan postawiły ją na nogi, ale gdyby nie ta reklama, pewnie by się nie udało. Popadłaby w obłęd. Nigdy w życiu nie pozwoliłaby się dotknąć mężczyźnie. Fikcja uratowała jej życie.

Artur podszedł do niej i uśmiechnął się.

- Dobrze się bawisz? - zapytał.

- Zarabiam na życie - odparła, uśmiechając się, bo oboje wiedzieli, że w rzeczywistości dawało jej to dużo więcej.

- Świetnie dajesz sobie radę, wiesz?

W jego oczach dostrzegła, że ma na myśli nie tylko zdjęcia. Zadała sobie pytanie, co wie, czego się domyślił. Żałowała, że nie może mu o wszystkim opowiedzieć, ale mimo że się przyjaźnią, był mężczyzną i to zmieniało postać rzeczy.

- Wiem - odparła.

- Moim zdaniem to znakomita odskocznia od innych reklam.

- Wspaniale. Ale i tak musimy zrobić sobie przerwę na wyjazd do Kalifornii. Muszę być na ślubie Megan i bardzo bym chciała, żebyś właśnie ty mi towarzyszył.

Uśmiechnął się.

- Nic się nie martw. Pojedziemy. Dla mojej gwiazdy wszystko.

Odszedł pogwizdując, a Klementyna poczuła żal, że nie zostali kochankami jeszcze „przed”. Teraz rozwiały się jakiegokolwiek szanse na romans. Może gdyby przekroczyli tę granicę przy pierwszym spotkaniu, potrafiłaby teraz zmusić się do pocałunku albo choćby do potrzymania go za rękę. Widzi przecież, że błaga ją o to wzrokiem.

- Klementyno, spróbujmy jeszcze raz - zawołał reżyser. Weszła do wody i zmyła piasek. Wyglądała wspaniale, przynajmniej przed kamerą. Żadnych widocznych urazów ani blizn. Szwy na jej ramieniu maskował makijaż. Była kobietą, jakiej mężczyźni pragną, ale nie mogą zdobyć. Idealny układ.

Rozdział 11

Klementyna przyleciała do Kalifornii w poniedziałek przed ślubem. Artur miał się zjawić w następny piątek. Megan i Alex także tym razem obie wyszły po nią na lotnisko. Uśmiechały się, obejmowały i wszystkie czuły się przez chwilę, jakby miały zamiast dwudziestu lat trzynaście, a już na pewno nie dorastały wiekiem do małżeństwa. Zaplanowały babski dzień. Miały w programie ostateczną przymiarzkę sukni, obiad i „męską” rozmowę.

- Będę przy tobie wyglądała głupio - powiedziała Alex do Klementyny, kiedy stanęły przed lustrem w przymierzalni sklepu z sukniami. Odbicie przedstawiało dwie różowe suknie z tafty, które, choć były jednakowe, leżały na ich niepodobnych figurach zupełnie różnie.

- To nieprawda - zaoponowała Klementyna.

- Owszem, prawda. Szyją te suknie dla kobiet o idealnych wymiarach, wysokich, takich jak ty. Ja wyglądam w niej jak gruba karlica.

Megan zachichotała i ułożyła kokardę na turniurze Alex.

- Wcale nie. Poza tym Klementyna będzie stała obok mnie, a ty obok Jacksona. Nic się nie martw.

Alex obracała się z boku na bok, zastanawiając się, jak kobieta o zdrowych zmysłach mogła wybrać tę sukienkę. Nawet Megan, mimo swoich staroświeckich upodobań, nie widziała chyba nic ładnego w tym zalatującym szkółką paskudztwie. Alex zauważyła wchodząc fantastyczną srebrną sukienkę w stylu lat dwudziestych. Gdyby jeszcze założyła do tego kapelusze i rękawiczki, to dopiero by się za nią oglądali. Ale to jest ślub Megan, więc choćby miała paść trupem, założy tę cholerną sukienkę z różowej tafty i będzie wyglądać jak wystrojony piesek.

- A w jakim kolorze wystąpi Jackson? - zapytała Klementyna Megan, która właśnie rozpiniała jej sukienkę.

- W białym. Chciałam być jedyną osobą na biało, ale on uparł się, jak jakiś wariat, że to również jego ślub.

- Wcale mu się nie dziwię - powiedziała Alex. - Zawsze był trochę za wysoki i za potężny, jak na mój gust.

- A co z miesiācem miodowym? - zapytała Klementyna.

- Spędzimy parę nocy w Mendocino. Jackson musi przecież skończyć szkołę. Nie może opuścić zbyt wielu zajęć. A potem zaczyna na pełnym etacie pracę w firmie architektonicznej.

Alex założyła spodnie i sweter. Wiedziała, że powinna trzymać język za zębami. Jak zwykle jednak tego nie potrafiła.

- A sztuka? Kiedy będzie malować?

Klementyna odeszła w kąt pomieszczenia, usuwając się z linii strzału. Przyszło jej do głowy zupełnie to samo, ale doszła do wniosku, że to sprawa Megan i Jacksona.

- Może wieczorami - odparła Megan nonszalancko. - Ważniejsze, żeby zrobił dobre wrażenie w firmie. Zacznę, co prawda, po ślubie dostawać pieniądze ze swojego majątku powierniczego, ale musimy stanąć na własnych nogach. Malarstwem nie zarobi na życie.

Alex już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Klementyna zgarnęła ich sukienki i otworzyła drzwi przebieralni.

- Chodźcie, dziewczyny - powiedziała. - Umieram z głodu. Zjedzmy jakiś obiad.

Megan objęła obie przyjaciółki i mocno się do nich przytuliła.

- Jak to dobrze mieć was przy sobie. Moje dwie najlepsze psiapsiółki.

Klementyna spojrzała na Alex. Wyszły ze sklepu - stare przyjaciółki, które znów są razem i między którymi wszystko jest jak dawniej.

- Słuchaj, czy ty już z nim spałaś? - zapytała Alex. Megan, która właśnie przełknęła łyżkę zupy z małż, omal się nie zakrztusiła.

- Chryste, co za pytanie.

- A co? Nie owijajmy sprawy w bawełnę. Chodzi o seks. No, wiesz, es-ka-es. Ciało i pot. Podstawowy temat rozmów wszystkich żyjących istot z wyjątkiem mnie.

Megan zaczerwieniła się aż po kołnierzyk bluzki. Alex wybuchnęła śmiechem.

- No więc?

- Nie - wyszeptała Megan do zupy. - Chcę poczekać do ślubu. Myślę, że to ważne.

Alex już otworzyła usta, żeby przypomnieć Megan jej przejścia z Tonym, ale Klementyna kopnęła ją pod stołem.

- Ała!

Klementyna zgromiła ją wzrokiem i uśmiechnęła się do Megan.

- Czemu nie. Chociaż jestem przekonana, że Jackson nie jest z tego powodu bardzo szczęśliwy.

- Wyobraź sobie, że jemu też to odpowiada. On mnie rozumie.

Klementyna przypomniwała sobie bankiet zaręczynowy i Jacksona, z którego podczas obiadu i na przyjęciu w domu państwa Sanders wręcz emanował seks. Ściągnął na siebie uwagę całego towarzystwa. Podbił serca rodziców Megan i ich przyjaciół żywiołowością i poczuciem humoru. Klementyna zauważyła, że ma coś magnetycznego w spojrzeniu i jakąś zalotność w wyrazie ust, bez względu na to, czy rozmawia z osiemdziesięcioletnią babcią Megan, czy z kobietą, która mogłaby z racji swej budowy znaleźć się w drużynie Oakland Raiders. To niewiarygodne, że nie śpieszyło mu się do seksu.

- Jackson zrobił się taki nudny - powiedziała Alex. - Wraca do domu, odrabia lekcje i idzie spać. To nie ten sam chłopak, którego poznałam dwa lata temu.

- Moim zdaniem to wspaniałe, że tak się stara - odparła Klementyna. - Niektórym mężczyznom wydaje się, że mogą po ślubie hulać tak samo, jak przedtem. Jackson przynajmniej rozumiał, że musi się trochę zmienić.

- Powiedział mi, że pragnie stanąć na wysokości zadania pod każdym względem - oświadczyła Megan, spoglądając na swój pierścionek. - Kiedy go uprzedziłam, że chcę poczekać z kochaniem się, uszanował moją wolę. I naprawdę ciężko pracuje na studiach, znacznie więcej niż wcześniej. Wiem, że z równym zaangażowaniem podejdziesz do spraw zawodowych, a tymczasem mam dość pieniędzy z majątku powierniczego, żeby utrzymać nas oboje. Przestrzega wszystkich zasad, zwraca uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Dzień i noc dwoi się i troi, żeby nasze małżeństwo wyglądało tak, jak je sobie wymarzyłam.

Alex odłożyła łyżkę i pochyliła się do przodu.

- Powiem, co mam do powiedzenia, i nie waż się mnie kopać pod stołem, Clemmie.

- Świetnie, proszę bardzo. Ale życie Megan to jej prywatna sprawa.

Megan przerzucała wzrok z jednej na drugą.

- O co chodzi? Czy coś jest nie tak?

- Po prostu Alex znowu nam wierci dziurę w brzuchu - odparła Klementyna. - Jest zadowolona dopiero, jak jej się uda wetknąć nos w cudze sprawy.

- Życie Megan to także moja sprawa - zauważyła Alex. - Jest moją przyjaciółką. A Jackson moim przyjacielem. Chcę tylko, żeby byli szczęśliwi.

- Ale ona jest też moją przyjaciółką.

- Tak, tylko że...

- Mogłybyście przestać zachowywać się tak, jakby mnie tu nie było? - zapytała Megan. - Może mi powiecie, o co chodzi?

Klementyna odwróciła głowę. Alex zaś wzruszyła ramionami i odezwała się:

- Po prostu czegoś tu nie rozumiem. Małżeństwo i miłość to coś spontanicznego. Nie twierdzą, że mają być ciągłym obsypywaniem się różami i sączeniem wina, ale nie powinny stanowić czegoś, nad czym trzeba pracować sekunda po sekundzie. Miłość to coś, co wypływa samo z siebie. Jest zlepkiem snów, pragnień i przyzwyczajęń, dzięki którym każdy dzień przypomina wakacje, a nie ciężką harówkę w znienawidzonej pracy.

Zapadła cisza. Klementyna nie podnosiła oczu, obawiając się reakcji Megan. Umierała jednak z ciekawości, więc w końcu na nią spojrzała. Zobaczyła, że Megan wpatruje się w swoje dłonie, obracając na palcu pierścionelek.

- A co ty wiesz o miłości? - zapytała Megan. - Skoro sama postanowiłaś zostać zimną intelektualistką, której nie interesuje nic poza wynikami testów, to jeszcze nie znaczy, że inni ludzie nie mają uczuć.

No, świetnie, pomyślała Klementyna.

- Jak możesz mówić coś takiego - odparła Alex. - Przecież to nieprawda. Po prostu co innego stawiam na pierwszym miejscu. Nie chcę spisywać swojego życia na straty z powodu mężczyzny, który może za dziesięć lat nie będzie mnie już kochał. Co ci zostanie, jeśli do tego dojdzie?

Megan utkwiała wzrok w przeciwległym kącie restauracji.

- Uważasz, że nie jestem go warta, tak?

- O, Boże, Meg, miałam na myśli zupełnie co innego - Alex przystawiła krzesło bliżej Megan. - Wierz mi. To mało powiedziane, że jesteś go warta.

- To dlaczego nie chcesz, żebyśmy nad miłością pracowali? Cały czas tak się zachowujesz, jakby w tym, że ze sobą jesteśmy, było coś złego, chociaż wiesz, że się kochamy. Dlaczego tego nie zauważasz?

Alex spojrzała na Klementynę, szukając w niej oparcia, ale ta tylko przytaknęła.

- No, właśnie. Dlaczego, Alex?

- Ojej, ty siedź cicho - odwróciła się z powrotem do Megan i spostrzegła, że jej oczy zwilgotniały. Podała jej chusteczkę.

- Posłuchaj, nie w tym rzecz, że nie chcę, żebyście nad sobą pracowali. Naprawdę. Po prostu, ojej, sama nie wiem. Obawiam się o was, to wszystko. Coś mi tu nie pasuje. Mam wewnętrzne poczucie, że coś jest nie

tak, ale nie wiem co, ani jak to naprawić. Zdaję sobie sprawę, że teraz wszystko wygląda idealnie, ale boję się, co będzie potem.

Megan wytarła oczy i podniosła głowę.

- Przecież to nie twoja sprawa, prawda?

Alex odskoczyła do tyłu, jakby oberwała po twarzy. Życie każdej z nich zawsze było sprawą pozostałych. Aż do tej chwili. Odsunęła krzesło.

- Chyba nie - odpowiedziała cicho.

Kelner zabrał ich miseczki i przyniósł drugie danie. Klementyna spoglądała to na jedną, to na drugą. Wreszcie zaczęła bębnić palcami po stole.

- Przestańcie. Już prawie się nie widzimy. Niech ten wieczór będzie dla nas przyjemnością. Wszystkie przeszliśmy kilka cholernie trudnych miesięcy. Mamy za sobą rzeczy straszne i rzeczy wspaniałe. Jak często się zdarza, że któraś z nas wychodzi za mąż?

Alex pomyślała o swoim życiu, które miało same ciemne strony, z wyjątkiem jednej - małego, mającego gdzieś z przodu jasnego punkciku, który był jej karierą zawodową. Spróbowała sobie wyobrazić siebie na miejscu Megan, z głową zaprzątniętą listą gości i kompozycjami kwiatowymi, ale nie potrafiła. Nie dlatego, że nie miałyby ochoty go zająć albo że nie chciałyby zostać obsypana prezentami i porozpieszczana. Widziała w tym coś przyjemnego, normalnego i rodzinnego. Po prostu nie mogła uwierzyć, że kiedykolwiek mogłoby to spotkać właśnie ją.

Klementyna zadrżała na wspomnienie JEGO rąk. Ze względu na Megan chciała wzbudzić w sobie pozytywne odczucia w związku z małżeństwem, ale truchlała na sam dźwięk tego słowa. Dotyk mężczyzny równał się dla niej truciznie, a małżeństwo, wiążące się z obowiązkiem uprawiania seksu noc w noc, wyrokowi śmierci.

Tylko Megan uśmiechnęła się z zadowoleniem. Małżeństwo to przecież w życiu wszystko. Będzie z mężczyzną, którego kocha, dopóki ich śmierć nie rozłączy. Może nie jest tak inteligentna jak Alex ani tak czarująca jak Klementyna, ale tylko ona ma dość rozumu, żeby zdać sobie sprawę, że liczy się tylko miłość.

* * *

Jackson stał w oknie swego mieszkania nieruchomo jak posąg. Jego gorący oddech w regularnych odstępach czasu zabarwiał szybę na białą. Nie dawał innych oznak życia. Chociaż próbował się przełamać, ten dzień oznaczał dla niego tylko i wyłącznie koniec. Koniec wolności, koniec radości, koniec śmiałych marzeń, w których realizację pozwalał młodym

ludziom wierzyć tylko ich niepokonana nadzieja, i - ma się rozumieć - koniec wspólnego mieszkania z Alex. Na dworze padał zimny, ulewny deszcz. Był to dzień jego ślubu.

Alex kręciła się po swojej sypialni jak opętana - trzaskała drzwiami, mruzczała pod nosem i przeklinała elektryczną lokówkę, która nigdy nie układała włosów zgodnie z jej życzeniem. Jakoś nie nabyła umiejętności ubierania się po cichu. Jackson uśmiechnął się. Mimo że miał nogi jak z ołowiu, serce tłukło mu się w piersiach i dręczyły go takie wątpliwości, że nie rozumiał, jak mógł się uznać za człowieka gotowego do małżeństwa, Alex ciągle potrafiła go rozbawić.

Odszedł od okna i usiadł na kanapie. Był ubrany i gotowy do wyjścia już od czterdziestu pięciu minut, chociaż miał wyjść z Alex do kościoła dopiero za dwie godziny. Matka zadzwoniła wcześniej rano z hotelu i go zbudziła. Nie zauważyła mapki na zaproszeniu i chciała się dowiedzieć, jak dojechać do kościoła, a potem na przyjęcie do domu rodziców

Megan. Cała ona. Nigdy za dużo przezorności. Ale to miłe, że przyjechała. Zwłaszcza że zostawiła w domu męża Stanleya, swego agenta ubezpieczeniowego.

- Cholera - dobiegł pomruk Alex z sypialni.

- Coś nie w porządku?

- Ta pieprzona sukienka jest nie w porządku. Próbowałam trochę ściągnąć rękawy z ramion, żeby wyglądała lekko nieprzyzwoicie, i to paskudztwo się oberwało. Do diabła, do diabła, do diabła!

- Chodź no tutaj.

Wyszła z sypialni. Włosy miała upięte w koczek, a na policzki spadało jej po obu stronach kilka kręconych kosmyków. Różowa sukienka szeleściła i - zgodnie z jej słowami - była pęknięta przy lewym ramieniu.

Przyjrzał się jej. Falbanki i kobiece koronki tak do niej nie pasowały, że się roześmiał.

- No, jasne - powiedziała. - Dobrze ci się śmiać. Ty wyglądasz jak Humprey Bogart, za to ja przypominam wyśniony przez Barbie koszmar senny.

- Przepraszam, Alex. Słowo daję. Po prostu nie przypuszczałem, że zobaczę cię w czymś tak do ciebie nie pasującym. Szczerze mówiąc, to miła zmiana.

- Zamknij się. Spójrz lepiej na to pęknięcie i poradź mi, co mam zrobić.

Wstał i zbadał palcami porwany materiał na jej ramieniu.

- Zdejmij to i przynieś mi. Nie wiem, czy wiesz, że w szkole podstawowej miałem piątkę z szycia.

- Uczyłeś się szyć?

- Oczywiście. Przecież wiesz, że jestem orędownikiem równouprawnienia.

Podniosła brwi.

- No, niech ci będzie. Wylali mnie z zajęć ze stolarstwa, bo kradłem piły.

- Wcale im się nie dziwię - ściągnęła sukienkę przez głowę, odsłaniając sięgającą przed kolana halkę, i podała mu.

- Przybory do szycia są w garderobie w przedpokoju - powiedział.

- Nie wiedziałam, że w ogóle jakieś mamy.

- Wyobraź sobie, że kiedy ty zakuwasz u siebie, ja zakradam się tam, żeby trochę pohaftować albo porobić na drutach. Mam poważne obawy, że jestem garderobianym krawcem-maniakiem.

- O, Boże, jaki z ciebie dziwak - znalazła pudełko i mu podała.

Uśmiechnął się i z powrotem usiadł na kanapie. Nawłókł igłę i wywrócił sukienkę na lewą stronę. Alex przycupnęła obok.

- Jesteś zdenerwowany, prawda? - zapytała cicho.

- Zdenerwowany? Nie, niespecjalnie.

- To o co chodzi?

Wygladził sukienkę i zabrał się ostrożnie do zszywania pęknięcia, sprawdzając w miarę pracy, czy wszystkie szwy są równe i niewidoczne.

- Nie wiem, Alex. Chyba po prostu nie czuję się tak jak powinienem. Bo powinienem być szczęśliwy, prawda? Zachwycony, że zaczynam nowe życie.

- Myślę, że to nieprawda. Przypuszczam, że większość ludzi umiera ze strachu w dzień swojego ślubu. To jest ciężkie przeżycie, nawet jeśli się kogoś bardzo kocha.

- Tak, ale..

Dotknęła jego policzka.

- Ale nie jesteś całkiem pewien, prawda? Kochasz Megan. Jest cudowna, miła, wrażliwa i delikatna, ale zastanawiasz się, czy naprawdę tego chcesz. Wszystko poszło tak szybko. Spotykaliście się trochę i raptem bach! poprosiłeś ją o rękę. Może ci się wydaje, że nie do końca to przemyślałeś?

Odłożył sukienkę na stolik i spojrzał na nią.

- Kiedy ją spotkałem, opanowało mnie takie wspaniałe uczucie, wiesz? Bałem się, że jeśli nie zacznę działać, stracę ją, przegapię właściwy

moment albo zniknie ta satysfakcja z udanego związku i poczucie siły, które mam dzięki niej. Rozpaczliwie chciałem to zatrzymać. Rozumiesz?

- Chyba tak - odparła łagodnym głosem Alex. - Megan była pierwszą kobietą, z którą chciałeś być na zawsze. Była twoją pierwszą miłością. To dlatego postępujesz pochopnie i impulsywnie, a nawet trochę po wariacku.

- Czasem wydaje mi się, że potrafisz czytać moje myśli. Uśmiechnęła się.

- Jesteś moim przyjacielem. Chwilami nawet najlepszym. Znam cię.

Chwycił ją mocno za rękę.

- Tak bardzo chciałbym, żeby coś z tego wyszło. Musi się udać. Małżeństwo z Megan da mi wszystko, co w życiu najważniejsze. Oddaną żonę, dzieci, dom na przedmieściu.

- A kto powiedział, że to najważniejsze?

- Wszyscy tak mówią.

- Nie wygłupiaj się.

- No, zgoda. Ja. I moja matka. Po śmierci ojca chciała wszystko zmienić. Za wszelką cenę prowadzić normalne życie. Udało się. Poznała Stanleya, zmieniła nazwisko sobie i mnie, urodziła mu dzieci i przeprowadziła się do Dullsville w stanie Ohio, gdzie teraz gnije. Przez całe życie wbijała mi do głowy swoje poglądy. Mawiała, że rutyna jest podstawą szczęścia. Jeśli będziesz wieść normalne życie, bez stresów i w poczuciu bezpieczeństwa, to w ostatecznym rozrachunku z zadowoleniem spojrzysz wstecz na minione lata. Nie będziesz niczego żałować. Buntowałem się przeciwko temu przez całe życie, dopóki nie spotkałem Megan. Wtedy wszystkie słowa, wypowiedziane kiedykolwiek przez moją matkę, nabrały nagle sensu. Nie chciałem niczego żałować.

Alex wstała i podeszła do okna. Jackson powiódł za nią wzrokiem. Szare, anemiczne światło przeświecało przez kremową halkę, ukazując zarys jej talii i bioder. Nie po raz pierwszy od chwili, gdy się poznali i gdy mogli jeszcze zostać kochankami zamiast przyjaciółmi, zauważył, jakie ma piękne kształty. Odwrócił wzrok.

- Powiem to tylko raz - odezwała się, stojąc tyłem do niego. - Obiecuję. Potem schowam język za zębami.

- Śmiało.

Odwróciła się, a jego olśnił jej widok. Smugi mglistego światła okalały jej twarz, zacinając oczy, usta i policzki. Wyrzył sobie ten obraz w pamięci. Wiedział, że pewnego dnia tak właśnie ją namaluje. To będzie jego prezent ha pożegnanie. Podziękowanie za przyjaźń. Nie potrzebował

modelki. Pamiętał rysy Alex tak dokładnie, że w dowolnej chwili mógł przywołać jej twarz w pamięci.

Ciągle się zastanawiała, dobierała słowa, mógł więc przyjrzeć się jej jeszcze przez chwilę. Miała śliczną figurę. Skąd to wrażenie, że każda kobieta z wyjątkiem Megan wyda mu się dziś piękna?

- Moim zdaniem będziesz żałować, że się z nią ożeniłeś - powiedziała w końcu Alex. - Wiem, że to fatalnie brzmi, ale jestem tego pewna tak bardzo, jak swojej miłości do was obojga.

Opuścił wzrok na jej sukienkę i zaczął bawić się wykonanym przez siebie ścięciem.

- Rozumiem, na czym to polega - ciągnęła. - Wiem, że ją kochasz. Wcale w to nie wątpię. I Bóg mi świadkiem, że ona ciebie też. Megan nie mogłaby nikogo darzyć letnim uczuciem. Ale żadne z was nie ma ochoty zejść na chwilę z obłoków i spojrzeć w oczy rzeczywistości, pomyśleć, jak będzie wyglądało wasze wspólne życie. Myślę, że oboje się ze mną w głębi serca zgadzacie, ale umieracie ze strachu na myśl o tym, co moglibyście zobaczyć, gdybyście choć na sekundę wytknęli głowy z piasku.

Spojrzała na niego uważnie.

- Ty jej nie znasz, Jacksonie. Uwierz mi. Nic o niej nie wiesz.

Raptem wstał i podszedł do niej. Stał tak blisko, że musiała odwrócić głowę, żeby go zobaczyć. Patrzył na jej twarz mocnym, zaciętym wzrokiem, w którym przebijała desperacja. Położył Alex dłoń na ramieniu i przesunął na kark.

Kiedy pochylił nad nią głowę, nie odwróciła twarzy. Pocałował ją tak, jak zapamiętała pocałunki z czasów, kiedy była młodsza i kiedy nowe, podniecające języki, wargi i smaki stanowiły jedyne ujście namiętności. Oplotła mu ręce na szyi i przyłgnęła do niego, po raz pierwszy i ostatni czując, że kocha Jacksona jako kobieta. Miał ciepłe wargi i szybki, wprawny język. Całował ją w policzki, czoło, nos, szyję i każdy kawałek twarzy, wdychając jej zapach. Po chwili ich usta znów się spotkały, zachłannie, z poczuciem straconego czasu i złaknienia czegoś, co nigdy się nie spełni. W pierwszej chwili ich języki zataczały szybkie kręgi, wkrótce jednak namiętność osłabła, bo uprzytomnili sobie, że jest dzień, że słońce właśnie przedziera się przez chmury za oknem, a w zakrystii kościoła w Sausalito stoi kobieta przejęta czekającym ją dziś ślubem. Przerwali pocałunek jednocześnie, ale nadal się obejmowali.

- Przynajmniej - powiedział Jackson - tego nigdy nie będę żałować.

Alex uśmiechnęła się.

- Zawsze chciałam, żeby do tego doszło. Tylko raz. Wiesz, ja wcale nie jestem taka zimna. Też potrzebuję miłości.

- Wiem o tym, Alex. Wzięła głęboki oddech.

- Wiesz, że cię kocham, prawda?

- Tak. Zdajesz sobie sprawę, że zawsze będziesz moją przyjaciółką, bez względu na to, co stanie się ze mną i Megan?

- Tak,

Zamilkli na dłuższą chwilę, patrząc na siebie. W końcu Alex zdjęła ramiona z jego szyi i odsunęła się.

- Bądź z nią szczęśliwy - wyszeptała, po czym popędziła do swojej sypialni i zamknęła drzwi.

Jackson skinął głową i wrócił na kanapę, żeby skończyć szycie sukienki. Wydawało mu się, choć wcale nie był tego pewien, że słyszy jej płacz.

* * *

Przygotowania do ślubu okazały się żywiołem matki Megan. Chociaż córka nigdy jej szczególnie nie interesowała, szykowanie planu rozmieszczenia gości, kompozycji kwiatowych i jadłospisu stanowiło bez wątpienia wyzwanie, które pobudziło jej wyobraźnię. Megan jeszcze nigdy nie widziała jej tak ożywionej, tak tryskającej energią, tak przejętej. W gruncie rzeczy było to zrozumiałe. Ginny Sanders miała wreszcie okazję popisać się dobrym smakiem, bogactwem i opanowaniem przed kilkuset najbliższymi przyjaciółmi.

Teraz jednak, kiedy wreszcie nadszedł ten wielki dzień, każde niedociągnięcie wprawiało ją w popłoch. Przed dziesięcioma minutami narobiła hałasu w kościele, wyrzucając kwiaciarkom, że szesnaście kompozycji z róż i orchidei z całą pewnością ma inny odcień różu niż zamówiony. Czyż nie widzą, że kwiaty są koralowe? Koralowe, a nie różowe. Klementyna szła z tyłu, małpując jej gestykulację i nasrożone miny, toteż sześć kwiaciarek zaśmiewało się do rozpuku, aż oburzona Ginny wyszła z kościoła.

Ginny dziesiątki razy wpadała i wypadała z zakrystii, gdzie szykowały się Megan i Klementyna, by poprosić tę ostatnią o sprawdzenie czegoś albo zlecenie komuś jakiegoś zadania, całkowicie ignorując przy tym fakt, że wszystkie sprawy zostały już załatwione. Kwiaty były urocze, mniejsza o to, koralowe czy różowe, aprowizator przyjechał już do domu i przygotowywał przyjęcie, organista dotarł do kościoła, Megan wyglądała ślicznie, Alex zadzwoniła, żeby zawiadomić, że są z Jacksonem w drodze, i nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać na wyznaczoną godzinę.

Klementyna stroiła sobie z Ginny żarty, salutując jej za każdym razem, gdy ta odchodziła wydawać dalsze rozkazy.

Megan siedziała na taborecie przed lustrem i wpatrywała się w swoje odbicie. Miała na welonie dwa sznury pereł, zwisające z obu stron na policzki. Poprawiała je ręką, gdyż była przekonana, że są niezupełnie równe i wszyscy to zauważą. Sztywna halka, którą koniecznie chciała mieć na sobie, utrudniała siedzenie. Na domiar złego poczuła nagłą potrzebę skorzystania z toalety - wyczyn niemal niewykonalny w krynolinie, halce, podwiązkiach, pończochach i wszelkich dodatkach, okrywających każdy centymetr jej ciała.

- Jack i Alex właśnie przyjechali - oznajmiła Klementyna, wracając do przebieralni po wykonaniu dwunastu zadań, które zleciła jej Ginny. - Twoja mama przywitała ich w wejściu i wręczyła napisane na maszynie listy obowiązków. Alex omal jej nie odepchnęła, ale Jackson ją powstrzymał.

- A co zrobił?

- Oczywiście wybuchnął śmiechem. Twoja matka jak zwykle w takiej sytuacji oddaliła się.

Megan zachichotała i jeszcze raz spojrzała na swoje odbicie. Przemieściła kilka wsuwek podtrzymujących welon w taki sposób, że sznury pereł wyrównały się. Klementyna przysunęła drugi stołek i usiadła obok niej.

- Jesteś modelką - powiedziała Megan. - Powiedz mi szczerze, jak wyglądam?

Klementyna obejrzała ją uważnie.

- Wstań - poleciła. Megan posłuchała i Klementyna zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

- Prawdę mówiąc, Meg, nie zdecydowałabym się sama na sukienkę w takim stylu, ale na tobie wygląda idealnie. Ciemny makijaż stanowi przeciwwagę dla jej bieli. Włosy wyglądają wspaniale z welonem, loki znakomicie układają się pod perłami, a krynolina sprawia, że spódnica wydaje się dłuższa i szersza. Jesteś doskonałą panną młodą.

Megan ucisnęła ją.

- Ty zawsze wiesz, co powiedzieć. Alex zbyłaby mnie, że wyglądam dobrze i żebym przestała robić z tego sprawę.

Roześmiały się.

- Tak, szczerze Alex ma chyba jakiś urok.

Klementyna rozsunęła zasłony w oknie i wyjrzała na parking. Przybywali pierwsi goście, podjeżdżając w mercedesach i jaguarach i posyłali ręką całusy Ginny oraz Richardowi Sandersowi.

- Będą jakieś twoje koleżanki? - zapytała Klementyna.

- Kilka. Z uczelni i ogólniaka. Jackson też zaprosił jakichś swoich przyjaciół ze szkoły i z firmy. Cała reszta to znajomi moich rodziców. Mama powiedziała, żebym się nie przejmowała, że ich nie znam. „Pomyśl tylko, ile dostaniesz prezentów”, poradziła.

Klementyna pokręciła głową i zauważyła, że przybyła grupa młodych, przystojnych i muskularnych mężczyzn, oczywiście przyjaciół Jacksona.

- Dla mnie ważne jest tylko to, że wychodzę za Jacksona - ciągnęła Megan. - Wcale nie to, czy kościół będzie pełny, co moja matka najwyraźniej uznaje za klucz do udanego małżeństwa.

Do środka wpadła Alex. Lewy rękaw sukienki był zszyty w sposób nienaganny. Z zamachem zatrzasnęła drzwi, usiadła na taborecie i wyrzuciła z siebie bez przerwy na oddech:

- Jackson doprowadza mnie do szału. Nie wiem, dlaczego ty chcesz za niego wyjść, Meg. To największy palant, jakiego znam. Ostatni raz zostałam czyimkolwiek družbą. Mężczyźni są kapryśni jak pogoda.

- Chyba się nie rozmyślił?

Megan zbladła, a Klementyna podbiegła i objęła ją.

- Oczywiście, że nie - odezwała się. - Prawda, Alex? Alex spojrzała na Megan, która zeszywniała wstrzymując dech w piersiach. Wstała.

- O rany, coś ty. Chce tylko mieć to jak najszybciej za sobą, żeby móc wreszcie zacząć wspólne życie z najwspanialszą kobietą na świecie.

Megan wydała głębokie westchnienie ulgi, a Klementyna ruszyła do drzwi.

- Odszukam twoją mamę i powiem jej dla żartu, że przysłali z piekarni złe ciasto.

Alex odprowadziła wzrokiem wychodzącą Klementynę. Wcale nie była pewna, czy słusznie postępuje trzymając język za zębami, ale postanowiła dochować danego Jacksonowi przyrzeczenia. Podeszła do Megan.

- Jesteś szczęśliwa? - zapytała.

- Tak bardzo, że aż nie mogę uwierzyć.

- Cieszę się.

- Już nie uważasz, że źle robię? Alex wyjrzała za okno.

- Po prostu chcę dla was obojga jak najlepiej.

- To jest najlepsza rzecz, jaka mogła nas spotkać, Alex. Wiem to. Czuję to. Jackson daje mi wszystko.

Alex odwróciła ku niej twarz, objęła Megan w talii i mocno do siebie przycisnęła.

- Pamiętasz, jak byliśmy w drugiej klasie? Tobie spodobał się taki chłopak, którego poznałaś w czasie wyjazdu z rodzicami na Florydę, a mnie Bill ze ślizgawki.

Megan roześmiała się.

- Oczywiście, że pamiętam. Jason... Jason... To nie do wiary, ale nie pamiętam jego nazwiska. Uważałam, że jest najwspanialszym chłopakiem na ziemi i łączy nas romans stulecia. To, że potrzyliśmy się na plaży za ręce przez dwie minuty, uchodziło wtedy za wielkie halo. Po powrocie z wakacji byłam w depresji przez kilka tygodni.

- Pamiętasz, ile nocy spędziłyśmy paplając na ich temat? - zapytała Alex. - Byłaś pewna, że nigdy nie będziesz kochać nikogo oprócz Jasona, a mnie doprowadzało do rozpacz, że Bill nie przyszedł więcej na ślizgawkę. Co noc siadywałyśmy w altanie przylegającej do domu twoich rodziców, zwrócone twarzami w kierunku, gdzie - jak sądziłyśmy - mieszkali chłopcy i chichotałyśmy, plotkowałyśmy i próbowałyśmy porozumieć się z nimi telepatycznie.

- Tak. A kiedy dzwonił telefon, pędziłyśmy do domu przekonane, że nas usłyszeli i dzwonią, żeby odpowiedzieć.

Umilkły. Każda rozpamiętywała niezliczone chwile - grę w Monopol i w klasy, podkochywanie się w aktorach i dziecięce przedstawienia - które szybko wypadają z pamięci, lecz zebrane razem, tworzą ich przyjaźń. Megan zamknęła oczy i powstrzymała łzy.

- Zawsze sobie pomagałyśmy - powiedziała. - Okazało się, że można na tobie polegać bardziej niż na jakimkolwiek chłopaku.

Alex wbiła wzrok w podłogę.

- Teraz będziesz miała męża.

- Ależ, Alex - odparła Megan. - Przecież mnie nie tracisz.

Alex odwróciła się do niej błyskawicznie. Już miała zaprzeczyć, że chodzą jej po głowie podobne myśli, ale zamiast tego mocniej uścisnęła Megan.

- Obiecujesz? - zapytała.

- Obiecuję. Jesteśmy przecież związane braterstwem krwi, pamiętasz? Na zawsze zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami.

Do pokoju wpadła Ginny i zaklaskała w dłonie.

- Chodźcie już, skarby. Nie możemy zwlekać bez końca z rozpoczęciem ceremonii. Alex, ty powinnaś czekać z Jacksonem w zakrystii, a Megan ma ostatnią chwilę, żeby sprawdzić makijaż. Szybciej, szybciej. Czas ucieka.

Alex podeszła do drzwi i spojrzała za siebie, odkrywając, że Megan wciąż na nią patrzy. Uśmiechnęły się do siebie - przyjaciółki z dzieciństwa, związane wspomnieniami całego życia i więzią silniejszą niż stracona miłość, splót nieporozumień, a czasem nawet mężowie.

* * *

W tamtej chwili nie zwróciła na to uwagi. Jednak wiele lat później, kiedy w pamięci zatarła się muzyka, zapach ślubnej wiązanki i szepty gości, prowadzące ją przez środek kościoła, jedynym żywym wspomnieniem, które Megan zachowała z ceremonii ślubnej, był obraz trzęsących się rąk Jacksona, który wsuwał jej na palec obrączkę. Nie mogła od nich oderwać wzroku. Palce, które zwykle były pewne i spokojne jak u chirurga, drżały bez opamiętania, kiedy Alex podawała mu obrączkę. Megan położyła nawet rękę na dłoni Jacksona, żeby go uspokoić.

Przyjęła, że to z nerwów i więcej o tym nie myślała. Obserwowało ich tyle osób, trzeba było przeprowadzić tyle zmian na raz. Kilka lat później, leżąc obok śpiącego męża i patrząc na jego twarz, pozbawioną bruzd napięcia, które za dnia stanowiły jego drugą skórę, zadała sobie pytanie, czy przypadkiem nie wiedział od samego początku, że ich małżeństwo będzie wyglądać tak, jak wygląda.

Przyjęcie odbyło się w rozległym ogrodzie Sandersów. Nie padało już od rana, ale trawa wciąż była mokra i ślady stóp gości, krążących między altanką, parkietem i domem, odciskały się na ziemi. Alex rzuciła nawet pomysł, żeby Megan zrezygnowała z księgi pamiątkowej i wyrwała fragmenty murawy, uwieczniając zamiast podpisów gości ich odciski stóp.

Przez całe życie Megan czekała na chwilę, kiedy nowo poślubiony mąż weźmie ją za rękę, zaprowadzi na parkiet, obejmie tak, żeby cały świat mógł to zobaczyć, i zatańczą. Kiedy zespół muzyczny zaczął tamtego wieczora grać, Jackson pojawił się u jej boku dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała. Wsunęła mu rękę pod ramię i udali się na sam środek wypożyczonego drewnianego parkietu.

Drżenie rąk z kościoła ustąpiło. Przyciągnął Megan do siebie i obejmował ją w talii mocno i zdecydowanie. Nie widziała oczu Jacksona, ale wystarczało jej, że czuje jego ciało, może go teraz dotykać, tulić je i kochać. Słyszała, jak wokół mówią: „Uroczą parą” albo „Czyż nie

wyglądają cudownie?" Tym ludziom, którzy wciąż szukali własnej miłości, wydawało się niemożliwe, że jej szczęście może być tak pełne.

- Kocham cię - powiedziała, odchylając się do tyłu i podnosząc wzrok na swego męża. Jej mąż. Uśmiechała się na samo brzmienie tych słów.

Jackson spojrział Megan w oczy. Nie zrobił tego dotąd, bo bał się, co w nich zobaczy. Miał nadzieję, że dostrzeże w nich choć cień wątpliwości, niepewności co do słuszności podjętej decyzji. Potrzebował dowodu, że nie jest jedyną osobą na świecie, która w dzień swego ślubu ma ochotę uciec jak najszybciej i jak najdalej. Zgodnie jednak z jego przewidywaniami, Megan nie odczuwała nic podobnego.

W jej roziskrzonym wzroku malowała się absolutna ufność w niego, w ich małżeństwo i w przyszłe szczęście. Utkwił spojrzenie w przestrzeni za jej ramieniem i wyszeptał:

- Ja też cię kocham.

- Jestem taka szczęśliwa. Nie wydaje ci się nieprawdopodobne, że ten dzień wreszcie nadszedł? Mam wrażenie, że czekałam na niego przez całe życie. Och, Jacksonie, dzięki tobie wysniony przeze mnie sen stał się rzeczywistością.

Nie ufając swoim strunom głosowym, przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

- Wiem - wyszeptała, wsuwając palce w jego włosy. - To jeszcze nas trochę obezwładnia. Ale jesteśmy ze sobą i tylko to się liczy.

Podniósł wzrok ponad jej głową i jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Alex. Łzy w jej oczach były bliźniaczym odbiciem jego łez. Odwróciła się i odeszła.

* * *

Klementyna przyjęła założenie, że uda jej się znaleźć wiarygodną wymówkę, żeby nie tańczyć na weselu. Od miesięcy unikała rozmyślań o czymkolwiek, co wiązało się z dotykiem mężczyzny. Jeśli mimo wszystko do jej świadomości przedzierała się wizja ściskających ją grubych, owłosionych ramion, zamierał jej dech w piersiach. Przeżywała wszystko od początku i ogarniał ją taki sam bezwład jak w tamtej chwili.

Tymczasem Artur stał właśnie naprzeciwko niej, wyciągał rękę i uśmiechał się jak każdy normalny mężczyzna, który prosi kobietę do tańca. Uśmiech zastygł na wargach Klementyny. Po skórze znów przebiegły jej ciarki, jakby oblaży ją mrówki. Artur przestąpił z nogi na nogę i opuścił rękę.

- To przecież tylko taniec - powiedział łagodnym tonem.

Pokręciła głową. Nie chodziło tylko o taniec. Przeszkadzała jej sama myśl o dotykaniu, o objęciach mężczyzny, który narusza jej intymność i pozbawia ją siły. Wiedziała, że to Artur, który nigdy jej nie skrzywdzi. Ale raniły ją wspomnienia, a on wyzwał ją, jak każdy inny samiec. Kiedy pracowały kamery, potrafiła udawać, że nie przeszkadza jej męski dotyk, ale jak tylko czerwone światło gasło, znów stawała się bezradna.

Odwróciła głowę i zacisnęła powieki, dławiąc wzbierające łzy. Zdawała sobie sprawę, że wcale nie wraca do zdrowia - o ile oczywiście dopuszczała do siebie myśli na ten temat. Próbowwała nie okazywać lęku, zachowywać się normalnie, ale wciąż omijała mężczyzn na ulicy szerokim łukiem. Nie mogła nawet patrzeć na całujących się w parku zakochanych. Ich uściski budziły w niej odrazę, dosłownie ją mdliło na ich widok. Dzisiaj, kiedy Jackson pochylił się, żeby pocałować Megan po złożeniu przysięgi małżeńskiej, musiała odwrócić wzrok.

Najgorsze, że nie widziała końca tego tunelu. Z każdym dniem jej strach i zahamowanie rosły. Miała wrażenie, że ugruntowują się, wznosząc w jej wnętrzu fortyfikacje z żelaza i betonu. Zaczęła się bać samego lęku, zaczęła się bać wszystkiego.

Artur z powrotem usiadł na swoim miejscu obok niej.

- Nie powinienem był prosić cię o to - odezwał się. - Przepraszam.

Jeszcze raz potrząsnęła głową.

- Oczywiście, że powinienem był. To zupełnie normalne, że mężczyzna prosi kobietę do tańca. To ja jestem kopnięta.

Zrobił ruch dłonią, jakby chciał ją pocieszyć, ale w porę się zorientował i cofnął rękę. Za plecami Klementyny wirowali tancerze, a przed nią znajdowały się stoliki, przy których siedziały uśmiechnięte pary, trzymając się za ręce. Ludzie nie mają pojęcia, co zostało im dane, pomyślała, nie wiedzą, ile znaczy zwykły dotyk, który nie powoduje mdłości.

- Nie jesteś kopnięta - powiedział Artur. - Dochodzisz do siebie.

Spojrzała na niego.

- Wiesz, że to nieprawda. Mogę udawać przed kamerą, ale nie w prawdziwym życiu, nie z tobą.

- Nikt nie chce, żebyś cokolwiek udawała. Kiedy przyjdzie na to czas, kiedy wspomnienia zatrą się w pamięci, znów poczujesz się dobrze. Musisz cierpliwie poczekać.

- Poczekać - powtórzyła cicho. Nie, wiedziała, że przez całe życie nie dojdzie do siebie na tyle, żeby dopuścić do siebie jakiegoś mężczyznę, żeby pozwolić mu się dotknąć.

Znów umilkli. Klementyna rozejrzała się dokoła. Megan otoczył tłum składających życzenia gości. Jej twarz była upstrzona szminkami w kolorze pomarańczowym, różowym i czerwonym - znakami firmowymi kobiet, których nawet nie znała. Klementyna usiłowała znaleźć w tłumie Jacksona. W ogóle go nie widziała od chwili, gdy po raz pierwszy zatańczył z Megan. Zlustrowała wzrokiem ogród i wreszcie wypatrzyła białą plamkę na przeciwległym krańcu trawnika. Szedł sam, ze spuszczoną głową, po drugiej stronie różanego ogrodu naprzeciwko zatoki.

Artur pobiegł za jej spojrzeniem i westchnął.

- Nie znam się na tym, ale mam wrażenie, że ten człowiek niezupełnie był gotów do małżeństwa.

Klementyna poczuła ulgę, że rozmowa przestała krążyć wokół niej.

- Tak uważasz?

- Nie zauważyłaś, jaki był zdenerwowany podczas uroczystości? Wyglądał, jakby wolał być wszędzie, byle nie u boku Megan.

- Porozmawiam z nim.

- Już mnie porzucasz dla innego mężczyzny? Wiedziałem, że długo to nie potrwa.

Klementyna podniosła się. Miała ochotę powiedzieć Arturowi tyle rzeczy. Na przykład podziękować, że nie pytał, co się stało, i że tak bardzo jej pomógł, ale nie potrafiła znaleźć słów. Jakby to było dobrze, gdyby mogła pochylić się i go pocałować. Wystarczyło jednak, że do niego podchodziła, by oczy Artura zmieniały się w JEGO oczy, a uśmiech stawał się szyderczy i złośliwy. Odsunęła się i zacisnęła pięści.

- Nie ma innych mężczyzn - wyszeptała.

Artur powiódł wzrokiem za oddalającą się Klementyną.

- Na razie - powiedział. - Na razie.

* * *

- Halo, panie młody! - powiedziała, kiedy dotarła do Jacksona. Stał tyłem do niej i natychmiast się odwrócił.

- O, cześć, Klementyno - uśmiechnął się, ale widać było, że oczy ma jeszcze wilgotne.

- Przepraszam - powiedziała prędko. - Zdaje się, że wolałbyś być sam.

Odwróciła się na pięcie i już miała odejść, gdy schwycił ją za rękę. Przez moment, kiedy palce Jacksona podrażniły nerwy jej skóry i aż po kark przebiegł ją dreszcz, w ogóle o NIM nie myślała. Po chwili jednak czar prysnął, Jackson stał się z powrotem tylko człowiekiem, mężczyzną, i wróciło przerażenie. Wyrwała rękę.

- Przepraszam - powiedział, widząc jej twarz. Oczywiście nie miał pojęcia, co jej się przydarzyło, ale najwyraźniej coś wyczuł i odsunął się. - Zostań, proszę cię.

Klementyna skoncentrowała się na oddechu. Wdech - wydech, wdech - wydech. Uspokój się, już wszystko dobrze. Kiedy trzymał się z daleka, potrafiła rozsądnie myśleć. Jeśli jednak podchodził za blisko, czuła, że walczą w niej dwa sprzeczne uczucia. Jedno sprawiało, że stawały jej przed oczami poranki wigilijne przed kominkiem i szepty do świtu, drugie zaś nie pozwalało nigdy zapomnieć o gorącym, odpychającym, twardym kawałku ciała, który rozrywa jej wnętrze na strzępy.

- Wszystko w porządku? - zapytała, odpędzając od siebie złe myśli.

- Tak. Jasne - spojrzał na wodę, której ruchliwa powierzchnia odbijała światło słoneczne jak rozbite lustro. Klementyna przyjrzała się jego profilowi i zauważyła, że Jackson ma długie, zawinięte rzęsy, stanowiące wyraźną oprawę jego oczu.

- A właściwie nie - poprawił się, zwracając ku niej twarz ze smutnym uśmiechem. - Ale to na pewno ślubna trema.

Przytaknęła.

- Jak pojedziecie w podróż poślubną, od razu lepiej się poczujesz. W Mendocino jest zawsze ślicznie. Sekwoje i ocean. I bardzo romantycznie.

- Tak. Pewnie wiesz, że Megan pokrywa koszty. Chciałem to wziąć na siebie, ale pracuję tylko na pół etatu jako kreślarz w nienadzwyczajnej firmie architektonicznej, a jej rodzice mają to wszystko - wskazał ręką przestrzeń wkoło siebie. - Weźmiemy po prostu pieniądze z jej majątku powierniczego.

Klementyna spojrzała za siebie na bawiących się gości i dostrzegła Megan i Alex, które z czegoś się śmieją. Rozmowa z Jacksonem jest rzeczą zupełnie niewinną, pomyślała w duchu. Nie ma w tym ani krzty zdrady. Mimo to usunęła się za ostatni krzak róż, gdzie Megan nie mogła jej zauważyć. Zlekceważyła skurcze żołądka spowodowane poczuciem winy i przekonała samą siebie, że chce tylko zrozumieć Jacksona, sprawić, by poczuł się swobodniej u Megan, na obcym terenie, gdzie otaczają go głównie jej krewni i przyjaciele. Nic o nim nie wiedziała. On nie wiedział nic o niej. On ożenił się z Megan. Ona nigdy nie wyjdzie za męża. A jednak jak tylko go zobaczyła, poczuła, że chociaż nie łączy ich nic oprócz powietrza, którym wspólnie oddychają, utworzyła się między nimi nierozzerwalna więź. Kiedy była u jego boku, miała ochotę pozostać tam na zawsze. Czuła się przy nim jak człowiek, który właśnie wrócił do domu.

- Mam nadzieję, że mimo to przyjemnie spędzisz czas - powiedziała, mobilizując w sobie poczucie lojalności wobec Megan. - Twoja żona bez wątpienia wygląda na osobę szczęśliwą.

- Tak, myślę, że istotnie jest szczęśliwa - odparł Jackson. Wyczuł nagłe skrępowanie Klementyny i postanowił rozładować atmosferę. - A ty dobrze się bawisz? Nie widziałem, żebyś tańczyła ze swoim partnerem.

Uśmiechnęła się.

- Nie za dobrze tańczę. Poza tym Artur jest znany z tego, że lubi się wygłupiać na parkiecie. Nie chciałam brać w tym udziału.

- Artur jest twoim agentem?

- Tak. I przyjacielem.

Jackson poczuł nieprzewartą ochotę, żeby zapytać, kim jeszcze. O, Boże, ależ było ciężko rozmawiać z tą kobietą, nie dotykając jej, nie przesuając wyciągniętym ramieniem po jej skórze. Każda komórka jej ciała emanowała seksem, a ona jakby tego nie zauważała. Wiedział, że powinien jej unikać, natychmiast zakończyć tę rozmowę, a w przyszłości uważać, żeby nie znaleźć się z nią sam na sam. Nie potrafił jednak oprzeć się pokusie, by z nią jeszcze zostać.

- Jak posuwa się praca nad reklamą? - zapytał.

- Dobrze. Dużo przy tym zabawy. Ale i ciężkiej pracy. W każdym razie ten filmik powinien mi pomóc w zrobieniu kariery.

- Jestem tego pewien. Spróbuję na niego trafić, jak się pojawi w telewizji.

Klementyna skinęła głową i znów oboje zamilkli. Zeskubała z sukienki kilka wyimaginowanych pyłków. Czas iść, pomyślała. Nie mają sobie nic do powiedzenia. Czują się potwornie niezręcznie w swoim towarzystwie. Nie mogła się jednak ruszyć z miejsca. Zaczynała nabierać przekonania, że Jackson ma w sobie jakąś magnetyczną siłę, która ją obezwładnia i nie pozwala odejść.

- Cóż - odezwała się. - Chciałam ci tylko złożyć gratulacje. Bardzo się cieszę.

Skierował na nią wzrok. Ich spojrzenia jeszcze raz się spotkały. Oczy obojga dostrzegły więcej, niż potrafiliby wyrazić słowami.

- Naprawdę?

Klementyna znała prawdziwą odpowiedź, ale to słowo nie mogło jej przejść przez gardło. Szum rozmów ucichł i w jej świadomości pozostało już tylko ich dwoje. Zrobił krok do przodu. Chociaż dzieliła ich zaledwie półmetrowa odległość, wcale się nie bała.

- Jacksonie, ja...

- Tu jesteście - rozległ się nagle głos Megan. Szelest jej sukni nie ustępował natężeniem szumowi fal oceanu. Zanim okrążyła różany ogród, Klementyna zrobiła szybko krok do tyłu, jakby z obawy, że narusza przestrzeń wokół mężczyzny, w którą wolno wstępować tylko jego żonie. - Wszędzie was szukałam.

Objęła Jacksona w pasie i pocałowała go w policzek.

- Matka mówi, że powinniśmy już pokroić tort. Chciałabym, żebyś ty, Ciem, stała razem z Alex naprzeciwko mnie, kiedy będę podrzucać bukiet.

Klementyna potrząsnęła głową.

- Igrasz z losem, wybierając dwie stare panny - odwróciła się ponownie ku Jacksonowi i zauważyła, że ten nadal wpatruje się w nią żarliwym, rozplómiętym wzrokiem. Zadała sobie pytanie, czy Megan coś zauważyła.

- Miło się z tobą rozmawiało, Jacksonie.

- Nawzajem.

Klementyna skierowała się ku pozostałym gościom. Czowała w piersiach dziwną pustkę. Co by mu powiedziała, gdyby Megan im nie przeszkodziła? Nie, Jacksonie, wołałabym, żebyś się z nią nie ożenił. Żałuję, że nie poznaliśmy się wcześniej. Żałuję, że...

Odpędziła od siebie te myśli. Bzdury, pomyślała w duchu. Zachowuję się jak niepoważna licealistka, która zazdrości Megan szczęścia. Nie będzie się więcej nad sobą użalać. Ma przecież Nowy Jork. Ma przed sobą wielką karierę. Megan ma tylko Jacksona. Skąd więc to wrażenie, że przyjaciółce bardziej się poszczęściło?

* * *

Bukiet schwyciła Alex. Nigdy nie potrafiła wycofać się z rywalizacji, bez względu na to, o co toczyła się walka. Właściwie rzuciła się po niego, odpychając trzy młode dziewczyny, które stały jej na drodze, i wylądowała twarzą na ziemi. Dopiero kiedy zamachała bukietem wysoko nad głową jak jakimś trofeum, dotarły do niej konsekwencje tego czynu i kwiaty zaciążyły jej w dłoni. Stare żony mogą sobie opowiadać różne bajeczki, a ona i tak nie wyjdzie za mąż jako następna. Przeanalizowała i odrzuciła już kandydatury większości mężczyzn z miasteczka studenckiego w Berkeley. Żaden z nich nie pobudza jej wyobraźni, nie rzuca wyzwania ani nie intryguje. Nic nie może poradzić na to, że jest jaka jest, że rodzice jej wpoili, by nigdy nie poprzestawała na tym, co przeciętne, by zawsze

zabiegała o coś lepszego. Po prostu nie jest stworzona do miłości i to nigdy się nie zmieni.

Spojrzała na trzymane w dłoni orchidee. Stanowiły tylko zbędną ozdobę, nie były jej do niczego potrzebne. Podeszła do jednej z dziewcząt, które odepchnęła, i podała jej bukiet.

Megan i Jackson przebrali się w codzienne ubrania i pożegnali gości na trawniku przed domem. Dzięki uprzejmości rodziców Megan na podjeździe czekała wyładowana szampanem i kawiozem biała limuzyna, która miała ich zawieźć drogą wzdłuż wybrzeża aż do Mendocino. Kiedy goście ruszyli już z powrotem w kierunku parkietu i stołów z jedzeniem, Jackson wsiadł do limuzyny, pozostawiając Megan w towarzystwie Alex i Klementyny.

- Zrób dużo zdjęć - odezwała się Alex.

- Tak. I nie zapomnij wyszukać dla mnie jakiegoś obrazu marynistycznego - powiedziała Klementyna. - Miejscowi artyści w Mendocino są wspaniali. Zwrócę ci pieniądze.

- Oczywiście, oczywiście.

- Już my się postaramy, żeby wasze mieszkanie lśniło czystością, kiedy wrócicie - dodała Alex.

- Mówiłem, żebyście się za to nie brały - zaproponował Jackson, wystawiając głowę z otworu w dachu samochodu. Właśnie odkorkowywał szampana.

- Kiedy my chcemy.

Objęły się mocno wszystkie trzy. Mniejsza o pompatyczny, odświeżony nastrój i uśmieшки ludzi. Liczyły się tylko one trzy - najlepsze przyjaciółki, które zamykają pewien rozdział swojej historii, porzucając jedyny tryb życia, jaki był im znany. Wydarzenia tego dnia, choć tak radosne, były zaprawione szczyptą smutku. Ich przyjaźń nigdy już nie będzie taka sama. Jackson zajmie najważniejsze miejsce w życiu Megan. Nie będzie potrzebowała pociechy i pomocy przyjaciółek, bo dostanie je od Jacksona. Wyglądało na to, że z chwilą, gdy Megan przekroczy most łączący ją ze światem, do którego Alex i Klementyna nie mają dostępu, skończy się najbogatszy, najprzyjemniejszy etap ich przyjaźni.

- Kocham was obie - wyszeptała Megan. - Wasza obecność na ślubie dużo dla mnie znaczyła.

- Po prostu bądź szczęśliwa - powiedziała Alex, wybuchając śmiechem, by pokryć drżenie głosu. - Wyciśnij z niego siódme poty. Nie daj mu oglądać za dużo futbolu i pamiętaj, żeby mieć migrenę przynajmniej raz na tydzień. To mu da do myślenia.

- No, no - odezwał się Jackson.

- Bądź cicho. To babska rozmowa - zgasiła go Alex.

Rzuciły się sobie w ramiona, odpychając myśli o rozstaniu i dorosłości, wkrótce usłyszały jednak klaszczącą w dłonie Ginny.

- Szybciej, Megan. Czeka was trzygodzinna podróż, a nie chcesz chyba dojechać na miejsce wyczerpana. Pośpiesz się.

Megan zasalutowała, a one wybuchnęły śmiechem. Wsiadła do samochodu i przytuliła się do męża, machając im po raz ostatni ręką. W chwilę potem szofer zamknął drzwi. Megan i Jackson pocałowali się. Limuzyna ruszyła z podjazdu i zniknęła za rogiem.

Alex wydała długie westchnienie, otarła jedną jedyną łzę i schwyciła rękę Klementyny.

- Nienawidzę być tą, która zostaje - powiedziała. Klementyna przytaknęła.

- Upijmy się.

- Nalewaj, dziewczyno.

RS

Rozdział 12

Alex podniosła koc i wysunęła się z łóżka. Chwyciła szlafrok i na palcach podszła do drzwi, zerkając przez ramię do tyłu, żeby sprawdzić, czy on wciąż śpi. Jego pierś opadała i wznosiła się, jakby śnił o przyptywach i odpływach. Uśmiechnęła się. Ben był cudowny, kiedy spał. Niewinny, spokojny, ciepły. Szkoda, że musiał się budzić. Alex zamknęła drzwi sypialni i poszła do salonu.

Włączyła telewizor, ściszyła głos i sprawdziła godzinę. Dziewięta trzydzieści. Sześć miesięcy temu Klementyna skończyła zdjęcia do ostatniej reklamy Amour Parfume, która miała się po raz pierwszy pojawić w telewizji na Zachodnim Wybrzeżu dziś o dziewiętej trzydzieści. Alex założyła szlafrok i zasiadła na kanapie, opierając nogi na stoliku.

przypomniała sobie trzy poprzednie reklamy Klementyny t od pierwszej, zrobionej dla Amour Parfume przed dwoma laty, tej z modelkami na plaży, poprzez drugą, w której ta sama grupa osób wpada na siebie podczas jazdy na nartach, po ostatnią, gdzie wszyscy siedzą przytuleni przy kominku w góralskiej chacie i wyglądają zbyt idealnie jak na istoty ludzkie.

Klementyna mogłaby pewnie zarabiać na życie niezbyt ambitnymi reklamami, gdyby miała ochotę, ale Alex wątpiła, czy się na to zdecyduje. Kiedy rozmawiały przez telefon, słyszała w głosie Klementyny jakieś niezaspokojenie, zniecierpliwienie, że wszystko idzie tak wolno, że wbrew rachubom nie wywindowała się dzięki reklamom na sam szczyt hierarchii modelek. Radziła sobie dobrze, jej twarz stosunkowo łatwo rozpoznawano i nieźle zarabiała, ale Alex zdawała sobie sprawę, że kiedy stawia się wyłącznie na karierę zawodową, musi ona być błyskotliwa, bo inaczej nie znaczy nic.

Ze względu na niższe taryfy często rozmawiały ze sobą przez telefon późnym wieczorem, gdy nie mogły zasnąć. Alex była zaskoczona, że jest teraz z Klementyną tak blisko, bliżej nawet niż z Megan, która od ślubu przed dwoma laty tak głęboko zapadła w małżeński błogostan, że Alex nie rozpoznawała w niej dawnej Meg. Alex niczego bardziej nie pragnęła niż odzyskać swą pierwszą przyjaciółkę, rozmawiać z nią i wspólnie się śmiać, ale bezgraniczna miłość do Jacksona najwyraźniej niemal zupełnie wyparła przywiązanie Megan do przyjaciółek.

Alex nie chciała czuć się urażona i próbowała ją jakoś wytłumaczyć. Małżeństwo z Jacksonem stanowiło w końcu spełnienie marzeń Megan. Nie byłaby sobą, gdyby nie zaangażowała się w ten związek bez reszty.

Coś tu jednak nie pasowało. Małżeństwo i przyjaźń to dwie osobne sprawy. Jedno nie powinno mieć z drugim nic wspólnego. A już na pewno miłość nie powinna gasić przyjaźni, karmić się nią jak małża, po której zostaje tylko skorupa. Nastąpiło jednak właśnie dokładnie coś takiego.

Alex była więc wdzięczna Klementynie. Ona przynajmniej się nie odsunęła. Nadal chciała jej słuchać. Gdy Alex opowiedziała, jak obudziła się sześć miesięcy temu, czując nagłą potrzebę obecności mężczyzny, dowolnego mężczyzny, który do końca życia odpędzałby od niej widmo ni jakości, Klementyna ją zrozumiała. Wiedziała, co to jest samotność, walka o sukces i zżerająca człowieka ambicja.

- Rezygnuję z tylu rzeczy - poskarżyła się jej Alex kilka tygodni wcześniej. - Nie tylko z miłości, ale także z rozrywki. Pomysł, żeby zgarniać napalonych studentów na jedną noc nieźle brzmi, ale do czasu. Jak już u mnie są, marzę tylko o tym, żeby sobie poszli.

- Myślisz, że tak już z nami będzie zawsze? - zapytała Klementyna. - Czy nigdy sobie nie planowałaś, że pewnego dnia wyjdiesz za mąż, jak wszystkie inne dziewczyny?

- Nie. Zawsze czułam się inna. Nawet kiedy byłam mała, zdawałam sobie sprawę, że jest mi pisana samotność.

- Coś ty, Alex.

I tak to wyglądało. Wspierały się nawzajem, cieszyły ze swoich sukcesów, a głęboką nocą zadawały sobie pytanie, dlaczego nie są szczęśliwe. Dlaczego, kiedy rozmawiają z Megan, ona sprawia wrażenie osoby, która osiągnęła stan doskonałości i dla której nie ma już w życiu rzeczy niejasnych, podczas gdy one - postępując zgodnie z zaleceniami wszystkich artykułów i książek o samorealizacji - wciąż brną przed siebie po omacku.

- Chcę udowodnić Megan - powiedziała Alex Klementynie tydzień wcześniej - że słusznie postępuję.

- A co Megan ma z tym wspólnego?

- Nie możesz zaprzeczyć, że nasza trójka zawsze ze sobą rywalizowała. Megan wydaje się być zupełnie pewna, że wyjście za mąż i założenie rodziny to jedyna właściwa droga, podczas gdy ja w głębi serca wiem, że tak nie jest. Może nasz sposób na życie nie jest łatwy, ale to nie znaczy, że musi być błędny.

- Megan jest po prostu sobą - odparła łagodnym tonem Klementyna. - Moim zdaniem, ona równie mocno jak my, stara się wykazać, że ma rację.

Każdej z nas wydaje się, że chce przekonać pozostałe o słuszności swojego wyboru. Prawda jest natomiast taka, że wściekle sobie zazdrościmy.

- Wiem - powiedziała Alex. - Brak mi jej.

Słowa same wyszły jej z ust, zanim zdążyła je powstrzymać. Wyrażały coś, do czego nie chciała się przyznać. Nawet doznając tego uczucia, miała wrażenie, że jest śmieszna. Większość kobiet dorasta i wychodzi za mąż, a ich przyjaciółki to akceptują. Dlaczego więc tak trudno jej dać za wygraną, pogodzić się z faktem, że ich przyjaźń musi teraz wyglądać inaczej? Nie może być bez końca najważniejszą postacią w życiu Megan. Najbardziej bolało ją, że nie wie nawet, czy znajduje się jeszcze na liście jej przyjaciół.

- Mnie też - odparła Klementyna. - Ale chcę, żeby była szczęśliwa. Musimy jej pozwolić na osiągnięcie szczęścia własnym sposobem.

* * *

Zegar wskazał godzinę dziewiątą trzydzieści, więc Alex usiadła na podłodze przed telewizorem. Klementyna powiedziała, że najnowsza reklama jest inna niż poprzednie, ale na tym poprzestała. Kiedy pojawiły się pierwsze obrazy, Alex głośniej nastawiła telewizor.

Znów widać było plażę - wyraźne przypomnienie pierwszej reklamy, która odniosła taki sukces. Klementyna grała we frisbee z długowłosym, niezwykle przystojnym mężczyzną. Oboje mieli na sobie sprane džinsy, przylegające do ciała jak rajstopy. Roześmiana Klementyna skoczyła po frisbee i odrzuciła je mężczyźnie z wprawą zawodowca. Ten puścił je ponad jej głową w kierunku wody, lecz schwytała przedmiot, wychylając się do tyłu. Uśmiechnęła się uwodzicielsko, po czym rozpięła suwak w džinsach i guziki bluzki. Wolno zsunęła z siebie ubranie, odsłaniając skąpe, białe bikini. Posłała mężczyźnie jeszcze jeden uśmiech i wbiegła do oceanu. Ostatnie ujęcie pokazywało, jak znika pod falami, a następnie wystawia z wody rękę i rzuca kostium kąpielowy w kierunku brzegu. Kamera wróciła do mężczyzny, który siedział na plaży uśmiechając się. Głos zza ekranu powiedział: „Amour Parfume - dla kobiet takich jak Klementyna i mężczyzn, którzy zrobiliby wszystko, by ją zdobyć”.

Alex roześmiała się i wyłączyła telewizor. Slogan Amour został zmodyfikowany w nieznacznym, ale czarującym sposób. Popędziła do telefonu i wybrała numer Klementyny.

- Wystąpiłaś sama i masz wreszcie nazwisko - powiedziała, kiedy Klementyna podniosła słuchawkę.

- Wiedziałaś, że to ty, Alex. Tak, nareszcie. To był pomysł Amour. Inne dziewczyny też zrobiły samodzielne reklamy. Wszystkie jesteście takie przejęte. Czujemy się znowu jak ludzie.

- Bardzo mi się to spodobało - Alex zniżyła głos i udała lektora z reklamy. - Dla kobiet takich jak Klementyna i mężczyzn, którzy zrobiliby wszystko, by ją zdobyć.

Klementyna roześmiała się.

; - To świetnie. Ale powiedz mi szczerze, czy nie sądzisz, że mnie zaszufładowano?

- Jako boginię seksu? Boże drogi, co bym dała, żeby mi przypięto taką etykietkę!

- Wiesz przecież, o co mi chodzi. Nie uważasz, że może mi to na zawsze uniemożliwić otrzymanie poważnej roli?

- Myślisz o występowaniu w filmach?

- Zawsze chciałam grać. Siedzenie i pozowanie od rana do wieczora jest takie nudne. Mówiłam ci, że nadal chodzę do szkoły aktorskiej. Robię spore postępy. I chcę już wyjechać z Nowego Jorku.

- Wiem, Ciem.

- Już się tak bardzo nie boję. Mogę nawet chodzić sama po ulicy wieczorami, pod warunkiem, że trzymam w torebce dłoń na pistolecie. Tylko że niczego tu już nie osiągnę. Z całą pewnością nigdy nie zostanę Jennifer O'Neill, Tracy Lloyd ani żadną inną supermodelką. Zresztą chyba nawet bym nie chciała,

- Cóż, w końcu sama decydujesz, kiedy zrobić sobie wolne. Jak weźmiesz urlop, zbierz dupę w troki i pojedź do Hollywood szlifować chodniki.

Klementyna wybuchnęła śmiechem.

- Wyrażasz się w denny sposób, ale masz rację. Nie zrozum mnie źle. Uwielbiam reklamy. Są zabawne, ale raczej niezbyt rozwijające.

- Jestem pewna, że kiedyś wzniesiesz się na wyższy poziom.

- Tak. A swoją drogą, jak tam... yyy Henry. Chyba tak ma na imię, prawda?

- Henry? - powtórzyła Alex. To imię było jej skądś znane, ale nie potrafiła go dopasować do osoby. Wreszcie przypomniała sobie. - Ach, tak, Henry Schwartz. To dawne dzieje. Po nim byli Mike i Steve, a teraz jest Ben. Ben to fajny facet.

- Widzę, że u ciebie znów po staremu, Alex.

Alex owinęła sznur telefonu wokół palca. To zabawne, że ludzie patrzą na nią w taki sposób, jakby była dwoma wykluczającymi się nawzajem osobami - młodą, beztroską Alex, która zabawia się z chłopakami, i starą, stetryczalą Alex, która stawia pracę na pierwszym miejscu. Tymczasem bardzo by chciała być obiema. Dręczyło ją to co noc, kiedy leżała u boku jakiegoś mężczyzny, na którym zupełnie jej nie zależało. Dlaczego jej się nie udaje połączyć jednego z drugim? Dlaczego jej serce nie chce mocniej zabić, gdy pracują szare komórki? Dlaczego wszyscy mężczyźni dotykają tylko jej ciała, a nigdy duszy?

- Poznałam Bena na praktykach u Goodmana i Spółki. Jest od niedawna przysięgłym rewidentem księgowym. Zdaje się, że ma w planach podbój całego świata czy coś równie ambitnego.

- Wygląda na to, że to ktoś wprost wymarzony dla ciebie.

- Wątpię. Ale jest zabawny. Przynajmniej w łóżku. I nie ma żadnych wymagań.

- Och, Alex.

- Tylko bez „Och, Alex”.

- Po prostu martwię się o ciebie. Wiem, że zależy ci tylko na koleżeńskim związku, ale przeskakiwanie od mężczyzny do mężczyzny może być męczące. Potrzebujesz jakiejś stałości.

- Stałość mam zapewnioną na uczelni i w pracy. To dużo lepsze niż twoje życie w wyimaginowanym klasztorze, w ciągłym lęku przed najniewinniejszym pocałunkiem.

Klementyna zamilkła, a Alex poczuła natychmiastowe wyrzuty sumienia. Dlaczego muszą tak wobec siebie postępować? Mówić rzeczy, co do których nie mają wątpliwości, że zranią? Czasem przypominają pod tym względem starych kochanków, którzy osiągnęli etap, kiedy nie zważają już na słowa, jakby wspólnie przeżyty czas upoważniał ich do złośliwości.

- O Boże, przepraszam - odezwała się Alex. - Nie chciałam. Po prostu jestem rozczarowana własnym życiem, a mogę się wyładować tylko na tobie. To, jak układasz swoje życie intymne, jest wyłącznie twoją sprawą.

- Jestem zwyczajnie zapracowana - powiedziała Klementyna tak pogodnym tonem, że Alex od razu zwietrzyła kłamstwo. Choć przyjaźniły się już tak długo, Klementyna ciągle otaczała się jakąś barierą. Gdy tylko Alex poruszała bolesny temat, przyjmowała postawę obronną. Niewykluczone, pomyślała Alex, że każda z nich ma swoje bariery. Nawet w najgłębszej przyjaźni można odsłonić się tylko do pewnego stopnia, a

resztę trzeba zachować dla siebie - trzeba zachować w sercu i umyśle mały kącik, zostawiając sobie zawsze przynajmniej jedną tajemnicę.

- Oczywiście - odparła. - My, pracujące dziewczyny, nie mamy czasu na romanse stulecia, tak jak Megan i Jackson.

- Czy nadal są tacy odrażająco układni? - zapytała Klementyna. W jej głosie słycać było ulgę, że rozmowa przeszła na inny temat.

- Z tego, co opowiada Megan, wynika, że tak - odpowiedziała Alex. - Jackson jest zajęty pracą architekta, której - jak wnoszę z jego słów - nienawidzi. Zdaniem Megan wszystko wygląda jednak idealnie. Kupili dom w Concord, ona ma wreszcie swój ogród i na wszystkie możliwe sposoby próbuje zajść w ciążę: sprawdzanie terminu owulacji, na stojąco, na siedząco, do góry nogami, do wyboru do koloru. Takie to drobnomieszczańskie, że mną wstrząsa.

- Cóż, jest szczęśliwa.

- Tak - zamilkła na chwilę. - Jeszcze raz moje gratulacje. Odzywaj się.

Alex odłożyła słuchawkę i usiadła z powrotem na kanapie. Nie miała ochoty wracać do Bena... Bena... i jak dalej?

O Boże, nie pamięta nawet jego nazwiska. Czy na pewno o to jej chodziło?

Wynajdywała jakichś mężczyzn i usiłowała się zmusić do tego, żeby któregoś z nich pokochać. Za każdym razem czuła w żołądku skurcze nieprzepartej odrazy. Każdy miał w sobie za dużo z samca, byli zbyt puści, za poważni. Zanadto ludzcy.

Mimo ciągłych porażek Alex nie poddawała się. Odkryła przynajmniej ponownie uroki seksu. Przez krótką chwilę największej rozkoszy mężczyzna, z którym była, stawał się ideałem, a ona go kochała. Przez krótką chwilę czuła, czego jej brakuje, i wracała po więcej, jak zakrwawiony walczący bokser, któremu duma nie pozwala przegrać przez nokaut.

Alex wstała i poszła do sypialni. Może jednak obudzi Bena. W końcu przynajmniej w jednej rzeczy był dobry.

* * *

Tej samej nocy Megan leżała z otwartymi oczami w łóżku, wpatrując się w sufit. Odblask światła z salonu wpadał przez szparę w drzwiach sypialni przy podłodze, drażniąc jej ciekawość. Co noc Jackson siedział w salonie sam do drugiej albo trzeciej, malując i rysując bez niej. Co jakiś czas dobiegał jej uszu odgłos ślizgającej się po papierze kredki węglowej.

Czytała gdzieś, że po dwóch latach w życiu małżeństwa następuje cezura. Dochodzi wtedy do brutalnego przebudzenia po etapie wypełnionych miłością miesięcy miodowych i dwoje ludzi przemienia się w zwykłą parę, która dużo się kłóci, a resztę czasu spędza ignorując się nawzajem.

Jedyny szkopał polegał na tym, że - według Megan - ona i Jackson nie rozpoczęli od etapu miesięcy miodowych. Trzy dni w Mendocino były bez wątpienia przyjemne. Chodzili na obiady do wiejskich zajazdów, gdzie siedzieli przy kominku, w którym trzaskał ogień, sączyli wino i delektowali się pysznymi potrawami z kaczki. Wybrali się na piknik nad skaliste wybrzeże, zrobili sobie wycieczkę do lasu sekwoj owego i przetrząsnęli sklepy w mieście, gdzie Jackson znalazł fantastyczny obraz marynistyczny dla Klementyny, a Megan poprosiła jakichś turystów, żeby pstryknęli im parę zdjęć.

Przywołując tamten okres w pamięci, Megan usiłowała koncentrować się na momentach romantycznych, a pomijać te godziny podróży poślubnej, które Jackson poświęcał na malowanie. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy rozpakowując walizkę wyjął ze środka trzy płótna oraz zestaw pędzli i farb. Bez słowa urządził sobie miejsce do pracy w kącie pokoju hotelowego i zabrał się do malowania z pamięci najpiękniejszego i najbardziej intrygującego portretu Alex, jaki można sobie wyobrazić. Powiedział, że chce jej go dać, jak tylko wrócą do domu.

Bez wątpienia był to miły gest, ale czy musiał poświęcić na malowanie tego cholerstwa ponad połowę czasu ich trzydniowej podróży poślubnej? Nie mógł zaczekać parę dni, aż wrócą do domu? Kiedy w końcu zrobił sobie przerwę i zaczęli się kochać tak, jak Megan zawsze marzyła - jako para związanych ze sobą na zawsze małżonków - tak śmierdział terpentyną, że rozboleła ją głowa.

W sumie był to jednak niezapomniany wyjazd. Megan tolerowałaby nawet bez zastrzeżeń jego fabry i zapachy, gdyby tylko mogli tam zostać, kojeni szumem oceanu i zachwycającym lasem, z dala od świata. Musieli jednak oczywiście wrócić do domu.

Alex i Klementyna dotrzymały słowa i wypucowały ich nowe mieszkanie na błysk. Wypolerowały ciemne, orzechowe meble, które Megan dostała od rodziców, wywietrzyły pościel, nawet postawiły na stołach wazony pełne kwiatów, a na poduszkach ułożyły dwie czerwone róże o długich łodygach. Megan była zachwycona.

Nie mogła uwierzyć, że to jej dom. Sama go wybrała, ustawiła meble i powiesiła obrazy. Ona podejmowała decyzję, gdzie umieścić naczynia, przygotowywała wybrane przez siebie posiłki i oglądała w telewizji programy, na które sama miała ochotę. Różne przejawy braku pewności siebie, których istnienia nie była nawet świadoma, rozplynęły się w chwili, gdy przekroczyła próg dorosłości, gdy stała się równa pozostałym ludziom, gdy przeistoczyła się w kompetentną, podejmującą własne decyzje osobę. Osobę, której matka i ojciec nie narzucają żadnych zasad ani nie mówią, co ma robić.

Gdyby Jackson czuł podobnie, wszystko byłoby idealnie. Kiedy jednak po raz pierwszy weszli do swojego mieszkania, wydawał się zupełnie nie zainteresowany faktem, że właśnie tu rozpoczną wspólne życie. Zostawił walizki w przedpokoju, przemaszerował przez salon, wrzucił czerwone róże do kosza na śmieci, położył się na łóżku i niemal natychmiast zasnął.

Kiedy później jedli swoją pierwszą kolację we własnym domu, odłożył nagle widelec i spojrzał na nią.

- Mam wrażenie - powiedział - jakby ten powrót do domu oznaczał zderzenie z koszmarnym światem rzeczywistym. Od tej chwili będę musiał codziennie pracować bez względu na to, czy mam ochotę, czy też nie, przynosić do domu wypłatę i pokrywać wszystkie rachunki. Już nigdy nie będę mógł poleniuchować, odprężyć się albo po prostu pobyć znów sobą.

Megan przestała jeść i wzięła go za rękę.

- Dla mnie rzeczywistość polega raczej na codziennym byciu z tobą. Właśnie tego pragnęłam.

- A co z pieniędzmi?

- Nie musisz się tym martwić, Jacku. W krytycznych sytuacjach zawsze możemy korzystać z mojego majątku powierniczego.

Wyrwał rękę i wstał.

- Nie powiedziałem, że nie dam rady. Jestem w końcu twoim mężem. Nie potrzebuję od ciebie jałmużny. Potrafię utrzymać nas oboje - złapał swoje płótna i zniknął na cztery godziny, zostawiając Megan, która wyplakała się przed snem. Kiedy obudziła się nazajutrz, Jackson już wyszedł do pracy. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było zainwestowanie własnego funduszu powierniczego o wartości ćwierć miliona dolarów w akcje i trusty inwestycyjne o nieograniczonej wielkości emisji. Do tej pory zdołała już powiększyć oszczędności do blisko trzystu tysięcy dolarów.

Od chwili, gdy po raz pierwszy przekroczyli próg tego mieszkania, minęły już ponad dwa lata. W przekonaniu Megan mogli przez ten czas z

łatwością pokonać granicę dzielącą rozczarowanie od szczęścia, gdyby tylko spróbowali. Nic im nie stało na drodze. Jackson skończył studia w Berkeley z wyróżnieniem i dostał stanowisko architekta u Barona i Jakonovicha. Rok później kupili dwupokojowy domek w Concord, do którego od frontu przylegał teren o wymiarach trzy na trzy metry, a z tyłu rosły trzy drzewa owocowe. Megan gotowała Jacksonowi jego ulubione dania, używała perfum, które uwielbiał, i chociaż rzadko widywała kogokolwiek poza nim, codzienny makijaż był bez zarzutu. Robiła, do cholery, wszystko, a on mimo to do drugiej nad ranem rysował i malował swoje idiotyczne obrazki, zamiast leżeć obok i obejmować ją tak, jak powinien zadowolony mąż.

Czasem Megan miała wrażenie, że Jackson jej nienawidzi. Choć myśl ta była bolesna i idiotyczna, w głębi serca tak się właśnie czuła. Nigdy nie uczynił nic, by jej to dać do zrozumienia. A już z całą pewnością nigdy tego nie powiedział. Całował ją, kiedy wychodził rano do pracy i kiedy wracał wieczorami. Chwalił jej kuchnię. Kochał się z nią w mechaniczny, beznamiętny sposób, ale nie wyczuwała w tym niechęci lub złości. Poznawała to tylko po oczach. Kiedy robiąc na drutach jakąś rzecz dla dziecka, które im się urodzi pewnego dnia - zajęcie to podjęła w nadziei, że podświadomość przeniknie jej ciało i pomoże zająć w ciążę - podnosiła wzrok, odkrywała, że przeszywa ją morderczym wzrokiem. Odwracał szybko oczy, ale to wystarczało, by oblewał ją zimny pot.

Co takiego mu zrobiła? Czytała artykuły o tym, jak stworzyć udane małżeństwo, jak się kochać, jak być dobrą żoną. Robiła wszystko, co w jej mocy, by go uszczęśliwić. Czasami, kiedy stawiał malowanie albo papierkową robotę ponad nią,

Megan ogarniała ślepa furia, tak silna, przerażająca i obca, że była pewna, iż zostanie przez nią strawiona żywcem.

Jeśli wokół niej znajdowało się coś złego, brzydkiego albo bolesnego, często po prostu zamykała oczy, nie przyjmując do wiadomości istnienia tej rzeczy i skupiając myśli na karuzelach, roześmianych dzieciach i lodach. Jednak tego wieczora, kiedy oglądali razem reklamę, nie była w stanie zignorować faktu, że Jackson dosłownie wlepił wzrok w Klementynę. Wpatrywał się w nią z taką intensywnością, że Megan była pewna, iż gdyby zdjęła z siebie ubranie, nawet by tego nie zauważył. Czyżby na tym mu zależało? Na kobiecie, której nie obchodzi, czy ma piasek w spodniach? No, cóż, Megan to obchodziło. Nic nie mogła na to poradzić.

Usłyszała, że Jackson się zbiera. Dobiegł ją trzask pędzli wkładanych z powrotem do puszek obok sztalug. Próbowwała okazać wyrozumiałość dla jego sztuki. Choć potrzeba twórczego realizowania się była jej obca, nie odmawiała mu tego prawa. Pozwalała mu trzymać sztalugi w salonie, nawet jeśli mieli goście, którzy musieli obchodzić je dookoła, by dotrzeć do kanapy. Nie mówiła słowa, gdy wydawał na pędzle, płótna i różne przybory dodatkowe zarobki, które mogliby umieścić na koncie oszczędnościowym. Zaproponowała nawet, by wykorzystał na kupno potrzebnych mu rzeczy część jej pieniędzy, ale doprowadziło to tylko do następnej kłótni.

Wielokrotnie, gdy miała mu za złe brak zrozumienia i niewłaściwe traktowanie, niewiele brakowało, a byłaby powiedziała, co naprawdę myśli - że przez całe życie nie sprzedał ani jednej sztuki tego cholerstwa, że na świecie żyje milion artystów, ale mniej niż jeden procent utrzymuje się ze sztuki i że jego nocny tryb życia nie jest normalny. Nie byli podobni do swoich sąsiadów Crosswellów, którzy mają dwójkę dzieci, ani do Ruth i Wayne'a z naprzeciwka, którzy oglądają wiadomości o jedenastej, a potem idą razem do łóżka. Czyżby nie widział, jak trudno okłamywać Alex i Klementynę, że ich życie jest „fantastyczne”? Nie mogła przyznać się przed Alex, że to ona miała rację, gdy mówiła, że Megan i Jackson zupełnie do siebie nie pasują. Ach, dlaczego on nie może być jak inni? Dlaczego nie jest mężczyzną, którym miał być?

Światło w salonie wreszcie zgasło. Megan położyła się szybko, zanim Jackson otworzył drzwi. Obserwowała, jak przechodzi przez ciemną sypialnię. Jego postać miała - jak zawsze - idealny kształt. Szerokie ramiona, twarda jak skała klatka piersiowa, muskularne nogi. Zdjął koszulę i spodnie, po czym wsunął się, jak zwykle, nago do łóżka. Leżała, nie odwracając głowy.

- Meg, nie śpisz? - wyszeptał.

Nie odezwała się. Westchnął głęboko i położył się na boku tyłem do niej. Upewniwszy się po wyrównanym oddechu, że już zasnął, przytuliła się do jego pleców. Kiedy spał, należał do niej. Przynajmniej przez tych kilka godzin Jackson był wyłącznie jej własnością.

* * *

Klementyna położyła się na piasku i zamknęła oczy. Owinęła się szczelniej kocem dla osłony przed listopadowym chłodem, który nadszedł do Martha's Vineyard niespodziewanie. Jeszcze godzinę wcześniej na niebie były porzrucane nie więcej niż trzy chmurki. Teraz słońce skryło

się za powłoką mętnych kłębow, a powietrze miało stęchły zapach jak po długotrwałym deszczu.

Wrzaski mew budziły w niej smutek. Miała wrażenie, że one też czują paniczny lęk i rozczarowanie i wykrzykują bogom swe rozgoryczenie. Ich piski sprawiły, że zapragnęła usłyszeć beztroski głos Artura i jego niewymuszony śmiech. Podniosła się. Dostrzegła go jakieś czterysta metrów dalej, jak szedł wzdłuż plaży z podwiniętymi nogawkami sztruksów, a woda ochlapwała mu nogi. Nawet z daleka widziała, że na jego wargach nie błądzi uśmiech i nie w głowie mu dowcipy ani figle. Wpatrywał się w wodę, lecz w pewnym momencie poczuł na sobie wzrok Klementyny i odwrócił ku niej głowę. Kiedy się zbliżył, naciągnęła koc pod brodę.

- Chcesz wrócić do chaty? - zapytał. - Robi się strasznie zimno.

- Jest mi jeszcze ciepło.

Skinął głową i usiadł obok niej ze skrzyżowanymi nogami. Nabrał w garść piasku i zaczął przesiewać ziarenka między palcami.

- Dlaczego nie chcesz się przyznać, Arturze - odezwała się - że jesteś zły.

- Nieprawda.

- Ależ tak. Zapowiedziałam, że wyjeżdżam, a ciebie to rozzłościło.

Odwrócił się ku niej z uśmiechem, zamierzając rzucić jakiś dowcip albo ironiczną ripostę, ale tym razem rękaw był pusty. Uśmiech zgasł mu na twarzy i - podobnie jak ona - owinął się kocem.

- Masz rację. Nie chcę, żebyś wyjechała. Mam uczucie, że dopiero zaczynamy, zarówno pod względem zawodowym, jak i osobistym.

Odwróciła wzrok.

- Jestem w Nowym Jorku od czterech lat. Wydarzyło się przez ten czas aż za wiele. A jednocześnie za mało. Powiedzmy to sobie szczerze. Nigdy nie zostanę supermodelką. Reklamy były wspaniałe, ale to nie wystarczy. Muszę spróbować szczęścia w Hollywood. Teraz. Zanim minie właściwy moment.

Artur rysował na piasku.

- A my? - zapytał. - Czy dla nas też nie ma nadziei? Położyła mu dłoń na ramieniu.

- To nie twoja wina. Gdybym mogła związać się z kimkolwiek, byłbyś to ty.

- Wypchaj się takimi tekstami - powiedział wstając. Wzmagał się wiatr przed zbliżającą się lada moment burzą i zapiaszczone włosy smagały go

po oczach. - Myślisz, że podobne wyjaśnienia coś pomogą? Codziennie usiłuję wymyśleć nowy sposób, żebyś mnie pokochała, żeby zniknęło z twoich oczu przerażenie, ale nic nie pomaga. Przyjąłem za pewnik, że skoro zgodziłaś się przyjechać do Martha's Vineyard, to coś się zmieni. A tu ciągle nic.

Klementyna wstała, upuszczając koc. Serce jej pękało, że nie mogą być razem, ale to nie mogło zmienić jej decyzji. Przyjechała do Martha's Vineyard z nadzieją, że świeże powietrze i piaszczyste plaże ułatwią im rozstanie, lecz tak się nie stało.

- Arturze, ja...

Ruszył pędem w kierunku morza. Biegł z wysiłkiem, dopóki do niego nie dotarł. Zanurzył się w fale, a lodowato zimna woda zmoczyła mu spodnie aż po kolana.

- Niech cię cholera! - krzyknął. Jego głos tracił siłę na wietrze, przeradzając się w swe dalekie echo. Kopał nogami wodę, posyłając w powietrze półtorametrowe rozbryzgi srebrzystych pereł.

- Sądziś, że nie wiem, co się stało? - wrzasnął w jej kierunku.- Sądziś, że się nie domyśliłem?

Rozejrzała się po plaży z żołądkiem ściśniętym z przerażenia. Nie mógł nic wiedzieć. Wiedziały tylko Alex i Megan. To była ich potworna, plugawa tajemnica. Podeszła do niego pełna obawy.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła.

- Na miłość boską, dlaczego mi nie ufasz? Myślisz, że wszyscy mężczyźni są tacy jak tamten drań? Uważasz, że ja też taki jestem? Wydaje ci się, że wszyscy patrzymy na ciebie, zastanawiając się, jak to zrobić, jak...

Zatkała uszy rękoma.

- Przestań! Natychmiast przestań! - wrzasnęła.

- Nie, nie przestanę - złapał ją za ręce i nie zwalniał uścisku. - Powiem prawdę, bo któreś z nas musi to zrobić. Zorientowałem się od razu pierwszego dnia, Klementyno. Domyślałem się mniej więcej, co się stało, ale tamtej nocy mówiłaś przez sen. Właściwie krzyczałaś. Nigdy nic nie powiedziałem, bo chciałem, żebyś to ty zbliżyła się do mnie. Chciałem, żebyś mi zaufała. Ale do tego nie doszło.

- Przestań - powiedziała, a po policzkach pociekły jej łzy.

- Nie mogę o tym rozmawiać. Nie z tobą. Ani z żadnym innym mężczyzną.

- Możesz. Przecież nic nie zrobiłaś. To on cię zgwałcił. Ty jesteś tylko ofiarą. Ty...

Wyrwała się.

- Nie broniłam się dość zdecydowanie - wrzasnęła. Zaszlochała, czując bolesne pulsowanie w każdym włóknie nerwowym. - Pozwoliłam mu na to. Nie jestem ofiarą. Jestem współniczką. Nie rozumiesz tego? Zaczęłam się bronić, kiedy było już za późno.

Pobiegła w kierunku stojącej wśród drzew chaty. Nie zwróciła nawet uwagi, że już padało. Pędziła ile sił, myśląc tylko o jednym - że on wie, że zawsze wiedział, że patrząc na nią mówił sobie w duchu: „To jest Klementyna. Ofiara gwałtu”. Tak ją zaszufładował.

Wkradł się do jej zaufania, żeby poczuła się w jego obecności bezpiecznie. Przyjechała z nim nawet na weekend do tej chaty jako jego przyjaciółka. O, Boże, ależ była głupia.

Nasłuchiwała z tyłu jego kroków, ale nie usłyszała ich. Zamknęła się na klucz w sypialni. Czowała mdłości, miała wrażenie, że jest wciąż na nowo gwałcona. Megan i Alex to co innego, one są jej przyjaciółkami i kobietami. Dostawała dreszczy na samą myśl, że Artur patrzy na nią i wszystko wie. Jego wiedza zdarła jej z twarzy zasłonę i malowany uśmiech. Stała się naga i bezbronna i nigdy więcej taka nie będzie.

Kiedy Artur nie wracał do chaty przez godzinę, w Klementynie opadła złość. Było jej tylko przykro, że to musiało skończyć się w ten sposób. Postanowiła wyjechać od razu, chociaż umówiła się z Arturem, że zostanie cały miesiąc. Nie potrafiła przebywać w jego towarzystwie ze świadomością, że on wszystko wie, ze zgruchotaną maską. Za każdym razem, gdy spojrzałaby mu w oczy, odżywałoby w jej pamięci tamto wspomnienie.

Artur wszedł do chaty i zapukał do drzwi sypialni. Otarła oczy i otworzyła. Patrzyli na siebie przez chwilę, po czym Klementyna odwróciła się i z powrotem podeszła do łóżka.

- Znam jednego agenta w Los Angeles - powiedział. - Nazywa się Will Holoman. Jest bardzo dobry. Znakomity profesjonalista. Wyjątkowo przedsiębiorczy gość. Zadzwoń do niego jutro.

Skinęła głową, a Artur oparł się o drzwi.

- Przepraszam, jeśli cię wytrąciłem z równowagi - powiedział. - Nie miałem takiego zamiaru. Chciałem cię tylko przekonać, że to nie ma znaczenia, że...

- Nie ma znaczenia? - powtórzyła, podnosząc na niego wzrok. - Nie ma znaczenia? To, że zostałam zgwałcona, nie ma znaczenia?

- Nie to miałem na myśli.

- Owszem, właśnie to. Dlatego nie mogłam z tobą o tym mówić. Bo podchodzisz do tego dokładnie tak samo jak wszyscy pozostali mężczyźni. Twoim zdaniem wystarczy poklepać mnie po głowie i powiedzieć, że przecież minęły już trzy lata, więc dlaczego jeszcze mi nie przeszło. Do cholery, myślisz sobie, przecież to tylko seks. Ludzie robią to codziennie. Co za problem?

- Klementyno...

- Wcale nie chodzi o seks - ciągnęła, podnosząc głos. - To nie ma z seksem nic wspólnego. Chodzi o władzę. Jak wsadził mi swój penis, miał świadomość, że mnie posiadał. Jesteś mężczyzną, Arturze. Nie możesz zrozumieć, jakie to uczucie, gdy wbija się w ciebie obca, niechciana i brudna rzecz.

Zamknął oczy.

- Przestań - poprosił.

- A niby dlaczego? Oczekujesz ode mnie, że dam sobie z tym radę, ale sam nie potrafisz znieść tych słów?

Ponownie na nią spojrzał.

- Dobrze, mów.

- Powiem - w jej głosie słychać było złość i determinację. - Chcesz wiedzieć, jak dużego miał kutasa? Chcesz wiedzieć, czy bardzo bolało? Zgoda, powiem ci - zacisnęła pięści, zmuszając się do patrzenia mu w oczy. - Był olbrzymi. Tak cholernie wielki, że krwawiłam potem przez wiele godzin. Bolało jak diabli. Kiedy mi to robił, głową waliłam o bruk i przy każdym uderzeniu modliłam się, żeby umrzeć.

Artur podszedł szybko do łóżka i chwycił jej rękę.

- Dobrze - powiedział. - Wystarczy. Zostałaś zgwałcona. To było wstrętne i obrzydliwe, ale nie mogę na to nic poradzić. Jestem ci tylko w stanie ofiarować swoją miłość, której nie chcesz. Nie wolno ci jednak dopuścić, żeby to zawładnęło twoim życiem. Kiedyś będziesz musiała się pozbierać.

Odwróciła głowę.

- Teraz już wiesz - powiedziała cicho. - A mimo to nie rozumiesz.

- Nie, nie rozumiem. Ale cię kocham i nie chcę, żebyś wyjechała.

Westchnęła.

- Muszę. Nie tylko po to, żeby spróbować szczęścia w aktorstwie, ale także, żeby zapomnieć. To moja jedyna nadzieja.

Wstał i wziął głęboki oddech.

- Wobec tego dobrze. Nie potrafię pokonać twoich wspomnień.

Wyszedł, zostawiając ją samą.

- Ja też nie - wyszeptała.

* * *

Will Holoman był niski, gruby jak klucha i łysiał. Dwójka dzieci uzupełniała obraz jego udanego małżeństwa. Klementyna była zachwycona. Nie budził żadnych wspomnień. Tym razem połączą ich wyłącznie sprawy zawodowe. Hollywood, stanowiące na razie w jej życiu białą kartę, ujrzy nową, lepszą Klementynę Montgomery. Bez bolesnych doświadczeń, bez zobowiązań, bez przeszłości.

Z miejsca znalazła z Willem wspólny język. Opisał jej w dwóch zdaniach swoje życie. Ma żonę o imieniu Larie, dwie córki, Jessikę i Janet, jeden wrzód i kłopoty z sercem. Mimo to nie zwalnia tempa.

- Praca to moje życie - powiedział, wioząc ją z lotniska słonecznymi południowokalifornijskimi ulicami w kierunku doliny San Francisco, gdzie wyszukał jej mieszkanie, którego cena mieściła się w podanych przez nią granicach. Dopóki Will nie upoluje dla niej jakiejś pracy, będzie musiała żyć z oszczędności.

- Wolę mieć problemy zdrowotne i pracować - ciągnął - niż być w świetnej kondycji fizycznej i wylegiwać się w domu jak zdechła mucha. Chyba bym oszalał.

Klementyna zgadzała się z nim z całego serca. Wdychając zadymione powietrze i patrząc na kosztowne samochody sunące obok nich po drodze szybkiego ruchu, po raz pierwszy od wieków poczuła się wolna. Ze zbyt wielkim uporem i determinacją chciała zaistnieć w środowisku modelek, by jak najwcześniej wyjechać z Nowego Jorku, chociaż wiedziała, że ją to zabija. Nie chodziło tylko o wspomnienia, lecz także o rosnącą przestępczość, o okrucieństwo i o oddalenie od przyjaciółek. Los Angeles nie był oczywiście oazą bezpieczeństwa, ale spodobała się jej tutejsza otwarta przestrzeń. Kupi samochód, będzie jeździć na długie przejażdżki wzdłuż wybrzeża, opali się. Zacznie od podstaw. Stworzy nową Klementynę.

- A żona i dzieci? - zapytała Willa. Przejeżdżali właśnie przez Przełęcz Mulholland, stanowiącą wlot do doliny, mijając po obu stronach zielone, faliste wzgórza. - Nie jest trudno pogodzić życie rodzinne z karierą zawodową?

- Nie, jeśli wszyscy rozumieją, że praca zajmuje bezwzględnie pierwsze miejsce.

Przytaknęła i oparła się o miękkie, obite skórą siedzenie mercedesa Willa. Tak, dogada się z nim bez problemów. Przez resztę drogi do niedużego mieszkania w Studio City opowiadał, jakie ma wobec niej plany. Chciał na początek załatwić jej parę przesłuchań reklamowych. Ma doświadczenie. Niektórzy kierownicy obsady mogą nawet pamiętać jej twarz z reklam Amour.

- Możemy spróbować debiutu w horrorach - dodał. - To nie takie proste, ale w sumie jednak dość łatwo się tam zaczepić.

- Nie, nie ma mowy. Wolę umrzeć z głodu. Roześmiał się.

- Może się tym skończyć. Nie chcę rozwiewać twoich nowojorskich złudzeń, ale tego miasta łatwo nie da się podbić. Tutaj każdy robił jakieś reklamy, więc obawiam się, że nie masz żadnych nadzwyczajnych atutów. Będziesz musiała zapłacić za sukces własną krwawicą, tak samo jak inni.

Już zapłaciłam swoją część, pomyślała Klementyna w duchu, skinąwszy tylko głową.

- Artur powiedział, że jesteś dobra - odezwał się Will - więc lepiej mi nie spraw zawodu. Reprezentuję tylko poważnych aktorów, takich, którzy za rolę statysty wyprują z siebie flaki. Jeśli to twój przypadek, bez trudności znajdziemy wspólny język. Jeśli nie...

- To jest mój przypadek, możesz mi wierzyć - odparła. - Zrobię wszystko, co będzie trzeba. Nie interesuje mnie nic prócz pracy.

Spojrzał na nią i po chwili zatrzymał się przed pięciosegmentowym budynkiem, pokrytym różowym tynkiem imitującym cegłę.

- To tu - powiedział. - Nareszcie w domu. Dam ci dzisiaj czas na rozpakowanie się, ale od jutra zaczynamy dobijać się do drzwi kariery. Reklamy, role statysty, ogony i tak dalej. Czujesz się na siłach?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Niech żyje Hollywood!

* * *

Najpierw wybrała numer Alex. Potrafiła z nią gadać godzinami o życiu, o marzeniach, o swoich celach i o zdradzieckich mężczyznach, podczas gdy Megan miała ochotę rozmawiać wyłącznie o Jacksonie i negatywnych testach ciąży. Klementyna mogła robić wszystko, żeby wykrzesać z siebie zainteresowanie tymi tematami, ale i tak starczało jej cierpliwości najwyżej na pięć minut.

Alex nie podnosiła jednak słuchawki, więc Klementyna poddała się i zadzwoniła do Megan. Musiała opowiedzieć komuś o swoim mieszkaniu, o planach i o podnieceniu. Megan odebrała po trzecim sygnale.

- Rozmawiasz z przyszłą królową wielkiego ekranu - odezwała się Klementyna.

- Kto mówi?

- Bardzo śmieszne. Trafiło mi się niewiarygodne mieszkanie, Meg. Jest takie urocze. Ma wielkie poddasze, które będzie wyglądać fantastycznie, jak dokupię kozetkę i półkę na książki metrowej wysokości.

- To wspaniale.

- No pewnie. Jestem zachwycona. I do tego, jak tu ciepło. Pomyśleć, że jeszcze dwa tygodnie temu czekałam na taksówkę w środku burzy gradowej. Było ze cztery stopnie, a w zimnych porywach wiatru nawet z minus jeden. A teraz otworzyłam wszystkie okna i mimo to jest co najmniej dwadzieścia stopni. Listopad w Los Angeles. Coś fantastycznego.

Usłyszała odgłos pociągania nosem z drugiej strony słuchawki i usiadła na podłodze.

- Meg, nic ci nie jest?

- Mnie? Nie, skąd. Jestem tylko trochę przeziębiona.

- Na pewno?

Tak. Cieszę się, że tak ci świetnie idzie, Ciem. Naprawdę. Ale czy nie brakuje ci Artura? Myślałam, że kiedyś będzie z was para.

Klementyna westchnęła. Można było się spodziewać, że Megan nawiąże do jedynej dziedziny życia, w której Klementyna poniosła kompletną klęskę.

- Przecież wiesz, co się stało. Nie potrafię związać się z żadnym mężczyzną. Nawet z Arturem.

- Minęły trzy lata. Sądziłam, że już się z tym uporałaś.

Klementyna spojrzała za okno. Uporać się. Jakby pamięć była tylko płotkiem na bieżni, który wystarczy przeskoczyć.

- Im więcej czasu mija, tym jest gorzej - powiedziała. - Lęk zabarykadował się już we mnie. Mam wrażenie, że w moim umyśle wspomnienie staje się potworniejsze niż rzeczywistość. Zdaje się, że to życie wcale nie jest proste.

- Tak, wiem.

W głosie Megan zabrzmiała jakaś smutna, dziwna nuta. Klementyna powtórnie zadała jej pytanie, czy wszystko w porządku.

- Możesz ze mną porozmawiać, przecież wiesz - dodała. - Chcę, żebyś ze mną rozmawiała. Chodzi o Jacksona?

Megan rozejrzała się po salonie i wzięła głęboki wdech, usiłując zachować równowagę. Płótna Jacksona, kilkadziesiąt sztuk, były pocięte w

paski i porozrzucane po podłodze - jego praca z ostatniego roku legła w gruzach. Chlapnięte na ściany farby ściekały, wsiąkając w wykładzinę i tworząc psychodeliczny obraz. Wciąż ścisnęła w rękę nóż i czuła, że szczypie ją chropowata skóra na dłoniach. Nie mogła powstrzymać dygotu.

- Wszystko w porządku, Ciem - odparła. - Właśnie jestem w trakcie robienia obiadu i to wszystko. Mogłabyś zadzwonić do mnie jutro?

- Oczywiście. Trzymaj się.

Megan odłożyła słuchawkę. Wyrwała sobie nóż z zaciśniętej dłoni i odłożyła go na blat kuchenny. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że płacze. Osunęła się po ścianie na podłogę i przyciągnęła nogi do tułowia. Bardzo miękko, jak dziecko, zanuciła kołysankę.

RS

Rozdział 13

Jackson wyszedł jako pierwszy z narady poświęconej rozbudowie hotelu. Miał nadzieję, że jego szef Gary Pulacman, który pocił się i irytował, nawet jeśli przemieszczał swój brzuch o rozmiarze czterdzieści osiem tylko do lodówki po kolejne piwo, nie zdoła go dogonić. Wiedział, że Gary chce go przydybać. Co tydzień zadaje te same pytania. Gdzie się podział entuzjazm Jacksona? Co się stało z jego twórczymi pomysłami? Co mu jest?

Jackson pędem ominął fontannę, przeskoczył przez dwa kartony dostawcze i skierował się do kreślarni. Problem tkwi w tym, że nienawidzi tej cholernej pracy, tych jej cholernych norm i monotonii. Jak można, do diabła, podchodzić z entuzjazmem do pracy, która polega na codziennym sporządzaniu takiego samego planu czworokątnego magazynu albo budynku?

Dotarł do swojego biurka, czyli deski kreślarskiej, oddzielonej od pozostałych dwunastu desek kreślarskich jedną z sięgających do ramion białych ścianek gipsowych, i usiadł. Gary, a właściwie najpierw jego brzuch, pojawił się wcześniej, niż Jackson przypuszczał.

- Musimy porozmawiać, Jacksonie - powiedział, śliniąc się tak samo jak wtedy, gdy przez godzinę albo dwie lizał tyłki zadowolonych z siebie klientów, przywłaszczając sobie pomysły Jacksona.

- O czym, Gar? - zapytał.

- Daj spokój, Jacku, jesteś dobrym architektem. Jednym z najlepszych. Dlaczego tak się zachowujesz? Założę się, że gdybyś zechciał, mógłbyś pewnego dnia zająć moje stanowisko i pewnie nawet wejść w spółkę z Jakonovichem.

- A jeśli mi na tym nie zależy?

Zgodnie z jego przewidywaniami Gary zbaraniał. Jacksona bawiło, że on i wszyscy pozostali pracownicy firmy Baron i Jakonovich są przekonani, iż świat kręci się wokół architektury. Nigdy nie próbowali robić nic innego. Nawet im to nie przyszło do głowy. Ich wszechświat składał się z desek kreślarskich, planów i schematów sieci wodno-kanalizacyjnej. Mieli tylko jeden cel, którym było dotarcie na najwyższy szczebel w przedsiębiorstwie kosztem wszystkich pozostałych spraw. Jackson natomiast nie znosił tego biura. Nienawidził swojej pracy. Jego najważniejszym doraźnym celem było dotrzeć do piątku i wrócić do domu, do swoich obrazów.

- Posłuchaj, nie wiem, co się z tobą dzieje - powiedział Gary, prostując się do takiej wysokości, na jaką pozwalał jego stuśdziesięciosiedmiocentymetrowy szkielet. - Wiem tylko, że nie podoba mi się twoja postawa. Przedstawiłeś swoje pomysły dotyczące Hotelu Cudów jak robot. Twoje protekcyjne zachowanie wobec pana Hendricksa było praktycznie obraźliwe, a przecież dobrze wiesz, do cholery, że jest jednym z naszych najlepszych klientów i lubi odnosić wrażenie, że to on pociąga za sznurki. Łazisz po biurze z miną rozpieszczonego smarkacza i mam już tego po dziurki w nosie. Słyszysz?

Jackson zatrzasnął teczkę, czując, że odcina się jednocześnie od swoich emocji, jakby był automatyczną polewaczką, która wyłącza się po dniu pracy. Obrzucił wzrokiem pomieszczenie, klitki, gdzie jednakowi ludzie wykonywali od lat jednakowe czynności i pokręcił głową. Wszystko stało się jasne. Miał dwie możliwości, jak zawsze. Żyć dniem dzisiejszym i być szczęśliwym albo dniem jutrzejszym i cierpieć. Pewnie, że czasem trzeba poświęcić teraźniejszość dla przyszłości, ale jest pewna granica, kiedy należy sobie powiedzieć, że co za dużo - to niezdrowo, i zacząć żyć, ponosząc konsekwencje ubóstwa albo społecznego potępienia, ale i używając wszelkich dostępnych przyjemności. Jackson nigdy nie wyznaczył sobie ostatecznego terminu odejścia z tej dziadowskiej firmy, ale miał świadomość, że jego czas upłynął. Chwycił teczkę i skierował się ku drzwiom.

- Nie wychodź, dopóki nie skończę! - krzyknął Gary. - Dokąd ty się wybierasz?

- Na dwór. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

- Jeśli pan minie te drzwi, panie Hollywell, nie gwarantuję panu pracy po powrocie.

Jackson zatrzymał się w drzwiach i odwrócił. Wszyscy architekci obserwowali tę scenę, wystawiając głowy zza swoich przepierzeń jak żyrafy w zoo. Jackson potrząsnął głową i roześmiał się.

- Całe szczęście - odparł.

Dla Jacksona nie było nic wspanialszego jak spacerować w środowe popołudnie, gdy tymczasem wszyscy inni piszą na maszynie, trą bolące głowy, nalewają sobie siódmą filiżankę kawy albo prowadzą konferencyjną rozmowę przez telefon. Miał dla siebie całe miasto. Zostawił samochód na parkingu i wskoczył do autobusu jadącego w stronę Rybackiego Nabrzeża. W listopadowy dzień roboczy nie będzie tam wielu turystów.

Wysiadł przy placu Ghirardellogo i skierował się ku pokrytym deskami chodnikom nabrzeża. Kilku przechodniów obrzuciło go takim spojrzeniem, jakby widok niosącego teczkę mężczyzny w garniturze był bardziej szokujący niż długowłosych hipisów i wytatuowanych kobiet, którzy upatrzili sobie park Golden Gate na swój dom. Spojrzał na własne odbicie w szybie wystawowej sklepu z podkoszulkami i zadał sobie pytanie, jak widzą go inni ludzie.

Z drugiej strony patrzył na niego wzorowy biznesmen - starannie uczesany, dokładnie ogolony, w ciemnognatowym garniturze, białej, wykrochmalonej koszuli i czerwonym krawacie. Gdyby mężczyzna w szybie nie był jego odbiciem, a namalowanym portretem, czy rozpoznałby w nim siebie? Gdzie się podział pełen nadziei i naiwności blask jego oczu? Co się stało z niebieskimi džinsami, z którymi przysiągł w liceum nie rozstawać się bez względu na przyszły zawód? Albo flanelowe koszule, które nosił przez tyle lat mimo niemodnego fasonu? Ostatni raz wpadły mu w oko, kiedy Megan wpychała je na spód dolnej szuflady w komodzie.

Stał się kimś zupełnie innym, niż chciał. Kiedy miał osiemnaście lat, był zdecydowany podbić świat na swój własny sposób. Żadne jego marzenia nie przetrwały w nienaruszonym stanie, choć ma dopiero dwadzieścia cztery lata. Niektóre jeszcze błagają o życie, ale pozostałe umarły powolną śmiercią lub pierzchły momentalnie w zderzeniu z rzeczywistością. Jackson przyglądał się długo i dokładnie sobie i swojemu życiu, zdając sobie sprawę, że nieświadomie dopuścił, by przepadło w nim to, co najlepsze, a rozwinęło się to, co najgorsze. Z wolnego człowieka stał się dorobkiewiczem-konformistą. Z artysty imitatorem. Zamiast pasji ma w sobie tylko apatię.

Zaczął mocować się z krawatem, który wreszcie zwisał mu luźno wokół szyi. Otworzył teczkę i wyrzucił swoje plany i rysunki do najbliższego pojemnika na śmieci. Kilka metrów obok jakiś mężczyzna grał na harmonijce. Przed nim stała puszką po kawie, w którą zbierał pieniądze. Jackson podał mu teczkę.

- Skórzana - powiedział. - Zapłaciłem za nią dwieście dolarów u Saksa. Bez trudu sprzeda ją pan za siedemdziesiąt pięć.

- Dzięki, stary.

Jackson skinął głową i poszedł przed siebie. Już od wielu lat nie czuł się taki lekki i młody. Wieczorem odszuka flanelowe koszule i założy swoje džinsy. I będzie malować. Wszystko i wszystkich. Pójdzie do domu i rozstawi cztery sztalugi - tak dużo, żeby utrwalić wszystkie obrazy, które

ma w głowie. Nie mógł przecież zupełnie zagubić tego, czego bronił, w co wierzył i czego pragnął. Wciąż ma w sobie życie. Ukrył je pod trzyczęściowymi garniturami i warstwą konformizmu, ale znów je odnajdzie. Będzie musiał. Jeśli chce, żeby reszta jego życia była coś warta, będzie musiał.

Zerknął na zegarek. Trzecia trzydzieści pięć. Megan spodziewa się go w domu za trzy godziny. Trzy godziny. Kiedy ostatni raz wydawało mu się, że trzy godziny to krótko? Jak malował, ale tylko wtedy. Minuta w biurze dłużyła mu się niczym godzina. W nocy, z Megan, która przeskakiwała z tematu petunii na temat cotygodniowych, skandalicznie drogich wizyt u specjalisty od płodności, minuty ciągnęły się jak dni. Wciąż czekał, że coś się zmieni na lepsze. Bez skutku. Codziennie rano miał wrażenie, że rozciąga się przed nim aż po horyzont rozpalona pustynia. Codziennie musiał ją pokonywać.

Teraz jest już jednak wolny. Wolny. Gównu go obchodzi praca. Właściwie to zaskakujące, że wytrzymał aż tak długo. Gdyby nie Megan... Cóż, gdyby nie Megan, wiele rzeczy wyglądałoby inaczej. Tak czy owak, ma już powyżej uszu unoszenia się dumą. Jedno z dwojga - albo znajdzie pracę, która będzie mu sprawiać przyjemność, i jednocześnie będzie mógł doskonalić swą technikę malarską, albo - pal to sześć - skorzysta z propozycji Megan i użyje jej majątku powierniczego. Zrobi sobie urlop. Tak, urlop. Tego właśnie mu potrzeba. Mogą polecieć z Megan do Aspen, trochę pojeździć na nartach, naładować akumulatory. Powie jej, jak się czuł. Dlaczego nie wpadło mu to wcześniej do głowy? Z takim zapamiętaniem usiłował być odpowiedzialnym, zasługującym na zaufanie mężem, jakiego - jak sądził - chciała mieć, że nie starczało mu czasu, by jej powiedzieć, że jest nieszczęśliwy. A przecież by go zrozumiała.

Jego uwagę zwrócił sklep z bielizną na rogu. Pozbawiony twarzy manekin miał na sobie jedwabną koszulę nocną, którą z przyjemnością zobaczyłby na swojej żonie zamiast bawełnianych piżam i bluz, które zwykle nosiła. Wyglądałaby w niej cudownie.

Pewnie przypuszcza, że Jackson nie wie, jak bardzo ona zwraca uwagę na swój wygląd. Tymczasem kiedy po ośmiu godzinach znienawidzonej pracy i godzinnej jeździe wracał do dzielnicy identycznych domków, pokrytych tynkiem imitującym cegłę, których nie mógł polubić, choć bardzo się starał, nie miał już dość energii, by jej powiedzieć, że idealnie dobrała kolor szminki i lakieru do paznokci. A kiedy zaczynała mu truć, że przypadkiem upuścił na wykładzinę trochę czerwonej farby akrylowej, że

zostawił w zlewie pędzle albo że sama planuje wydać kolację dla tych kretyńskich sąsiadów, którzy nie mają lepszego tematu do rozmowy jak nawozy do trawnika i wysokie koszty przedszkola, przestawał ją widzieć, przestawał słuchać, przestawał właściwie być jej mężem.

Wszedł do sklepu i dokładnie obejrzał koszulę. Miała delikatny malinoworóżowy kolor, rękawy zakończone staroświecką koronką i sięgający do ziemi satynowy dół. Megan wyglądałaby w niej naprawdę uroczo. Kolor pasował do niej idealnie. Uwielbiał ją w różach, kremach, w pastelowych barwach, które uwydatniały jej kruchość. Uwielbiał, gdy jasne włosy opadały jej podczas snu na policzki jak jedwabne nitki. Chryste, ależ ją kochał.

Jackson zamknął oczy. Czyżby naprawdę byli już małżeństwem od trzech lat? Kiedy się kłócili, miał wrażenie, że są razem całe wieki. W innych chwilach, kiedy uświadamiał sobie, jak łatwo ją zranić i jak niewiele w gruncie rzeczy wiedzą o sobie nawzajem, wydawało mu się, że minęło raptem kilka godzin. Nie ma pojęcia, kim jest jego żona, czego chce, czego od niego potrzebuje, co myśli, co czuje. Wie tylko, że ona zmierza w jedną stronę, a on w drugą, i przez trzy lata małżeństwa podróżowali w przyspieszonym tempie w przeciwnych kierunkach.

- Czym mogę panu służyć? - zapytała sprzedawczyni w średnim wieku.

Jackson otworzył oczy i jeszcze raz przebiegł palcami po koszuli.

- Proszę ją zapakować - powiedział. - To będzie prezent dla mojej żony.

Uderzył go widok połamanych petunii w ogrodzie. Ujadający pudel sąsiadów codziennie tratował ogród Megan, niszcząc część rabaty. Do wieczora Megan udawało się jednak posadzić nowe rośliny lub przynajmniej wykopać stare. Tego dnia, kiedy Jackson szedł betonową ścieżką do drzwi frontowych, zdeptane petunie przypominały mu zapiaszczone jagodzianki.

Spróbował otworzyć frontowe drzwi, ale były zamknięte - oto druga niespodzianka. Trzecią przeżył, gdy podszedł do okna, żeby zajrzeć do środka i zawołać Megan. Odkrył, że zasłony są szczelnie zasunięte, chociaż Megan nigdy tego nie robiła. Mówiła, że jej kwiatki potrzebują jak najwięcej słońca. I nie znosiła uczucia zamknięcia. Później Jackson ułoży wszystko w jedną całość i będzie żałować, że nie przygotował się jakoś na to, co miało nastąpić. W tamtej chwili przeszukał tylko kieszenie i znalazł klucze.

Wszedł do środka i zapało mu dech w piersiach w taki sam sposób, jak w szkole podstawowej, kiedy ktoś z całej siły kopnął futbolową piłkę

prosto w jego żołądek. Pięknie zawinięta paczka wypadła mu spod pachy. Oparł się o ścianę i uderzył w nią głową, raz, drugi, trzeci.

W salonie wybuchła bomba. To było jedyne wytłumaczenie. Jego obrazy olejne, akwarele, szkice, wszystko zostało zniszczone. Kilka starych, bardziej amatorskich prac wciąż leżało chyba bezpiecznie w głębi garderoby, ale te... te były treścią jego sztuki.

Ostatni rok okazał się dla niego najlepszy pod względem artystycznym. Wszystkie udręki wyrzucał z siebie poprzez malowanie, przemieniając je w energię twórczą, która sprawiała, że gorączkowo pracował aż do wczesnego rana. Nadal malował pejzaże, choć rozpoczął też serię prac bardziej abstrakcyjnych, wydobytych z podświadomości, z samej głębi serca. Nie powiedział o tym Megan, ale zamierzał namówić jakąś galerię do pokazania jego nowych obrazów. Po raz pierwszy miał pewność, że stworzył coś wspaniałego.

Wciąż walił głową o ścianę. Sprawiały mu ulgę tępe ukłucia bólu przeszywające jego mózg. Odrzucał głowę do tyłu z coraz większą siłą. Miał już w oczach białe gwiazdy i migoczące błyski. Nie zauważył, kiedy Megan do niego podeszła. Poczuł tylko, jak jej palce wbijają się w jego ramię i odciągają go.

- Przestań! Przestań, Jacksonie! - krzyknęła. Potrząsnął głową, odpędzając błyski i spojrzał na nią.

Płakała. Miała podkrążone oczy. Tusz do rzęs spłynął jej na policzki i brodę.

- Co... co się stało? - zapytał.

Cofnęła rękę. Wtedy popatrzył na jej dłonie i na farbę pod paznokciami. W żołądek uderzyła go kolejna piłka, dużo mocniej niż pierwsza. Zgiął się w pół.

- To ty zrobiłaś - wyszeptał. Czekał, że zaprzeczy, gotów uwierzyć w każde, nawet najbardziej niewiarygodne wyjaśnienie, byle tylko móc znów na nią spojrzeć bez nienawiści.

Skinęła głową, a Jackson zaczął rozpaczliwie łykać powietrze. Zdziwiło go, że jedyne, co czuje, to brak tlenu. Oczekiwał wściekłości, spodziewał się, że będzie musiał siłą hamować własne pięści, ale tylko ciężko oddychał i miał dziwne zawroty głowy.

Przeszedł przez pokój, sprawdzając, czy nie da się czegoś uratować. Nic takiego nie znalazł. Podniósł róg czegoś, co było kiedyś jego ulubionym obrazem marynistycznym, który namalował kilka miesięcy wcześniej podczas jednodniowego wyjazdu do Carmel. Przedstawiał na pierwszym

planie cyprys, zaś w tle niezwykle spokojne morze. Jackson zostawił płótno na parapecie jako źródło inspiracji, gdyż obraz napełniał go spokojem, którego brakowało mu w życiu. Megan pocięła go na drobne kawałki, posiekała jak morderca-psychopata cierpiący na manię prześladowczą.

Jego farby były poprzewracane, tworzyły na wykładzinie plamy przypominające kolorowe lizaczki. Przez tyle lat małżeństwa Megan nigdy nie zostawiała mieszkania na dłużej niż trzy dni bez gruntownego sprzątnięcia od sufitu do podłogi. A teraz sama zrobiła coś takiego. Przypomniał sobie portret Alex, który namalował podczas podróży poślubnej. Wciąż było to jedno z jego najlepszych płócien. Bogu dzięki, znajdował się u Alex. Niewielkie to pocieszenie, ale jednak. Potarł czoło i obejrzał się przez ramię na Megan.

Płakała bezgłośnie, wciąż stojąc przy drzwiach.

- Dlaczego? Potrząsnęła głową.

- Dlaczego, do cholery? - wrzasnął, kopiąc leżące dookoła szczątki.

- Nie wiem - wyszeptała.

Pokręcił głową i roześmiał się gorzko. Miał wrażenie, że grają we dwójkę scenę z jakiejś opery mydlanej, przejaskrawioną, śmieszoną i zbyt dramatyczną.

- Nie wiesz - powtórzył. - To paradne - zaczął znów deptać i kopać skrawki obrazów.

- Zniszczyłaś moją pracę - powiedział głośnie. - Cholera jasna, Megan, zniszczyłaś moje życie. To było wszystko, co miałem, jedyna rzecz, która mnie uszczęśliwiała. Wiedziałaś, ile to dla mnie znaczy, a jednak mi to odebrałaś.

- Wiem tylko, że to znaczy dla ciebie więcej niż ja - powiedziała Megan. Odnalazła w sobie siłę. Przestała płakać. Podeszła do niego, wdeptując farby jeszcze głębiej w wykładzinę. - Przechodzę tortury, kiedy mnie tak ignorujesz, kiedy patrzysz, jakbyś mnie nienawidził. Gdy widzę twoje malarstwo, mam przed oczami coś, co kochasz bardziej ode mnie. Myślałam, że oszaleję!

Obeszła pokój, a chrzęst płócien pod jej stopami brzmiał jak odgłos paznokci rysujących po tablicy.

- Kiedy życie ci za bardzo ciąży, malujesz. A co mam zrobić ja, gdy moje za bardzo mi ciąży? Nic nie mam. Muszę z zaciśniętym zębami kłamać Alex i Klementynie. Alex miałaby używanie, gdyby dowiedziała

się prawdy. Powiedziałyby: „A nie mówiłam?” Tak, ona to przewidziała. Przewidziała, że nigdy nie będziesz szczęśliwy z nudną Megan.

- Meg - wyciągnął do niej rękę, ale odskoczyła.

- Psiakrew, to nieuczciwe - potrząsnęła gwałtownie głową. - Kiedy potrzebuję twoich objęć, ignorujesz mnie i chwytasz ten swój cholerny pędzel. Prawie cię nie widuję, a nawet jeśli mam to szczęście, interesuję cię tyle co zeszłoroczny śnieg. Wiem tylko, że ożeniłeś się ze mną z powodów, których nie rozumiesz, a teraz sam się zastanawiasz, dlaczego to zrobiłeś, i marzysz o tym, żeby prysnąć jak najdalej.

- To nieprawda.

Stała naprzeciwko niego.

- Akurat! - nie zdawała sobie sprawy ze swojej siły, dopóki nie rozejrzała się po pokoju i nie zobaczyła swego dzieła. - Robię dla ciebie wszystko. Gotuję. Sprzątam. Pozwalam ci malować. Ułatwiam ci pracę zawodową.

- Nienawidzę swojej pracy. Odwróciła głowę.

- Nienawidzę jej, Meg. Wiem, że potrzebujesz idealnego męża, który będzie pracował od dziewiątej do piątej, ale ja cierpię w takim układzie. Potrzebuję sztuki. Ona jest we mnie. Wszystko wokół ciebie... - Jackson zamknął oczy i poczuł bolesny skurcz na myśl, co stracił. - Wszystko w tym domu było mi bliskie. Zniszczyłaś mnie.

Odwróciła się błyskawicznie i spojrzała mu w oczy. Przynajmniej raz Jackson odwrócił wzrok jako pierwszy.

- Chciałam tylko być szczęśliwa - powiedziała. - Mieć męża, dom, dzieci. Dlaczego jest ci tak trudno mi to dać?

- Nie jestem nakręcaną zabawką, którą możesz manipulować, jak ci się podoba. Jestem człowiekiem. Mam własne marzenia i pomysły. Czy to, czego ja chcę, zupełnie się dla ciebie nie liczy?

- Nie jesteś uczciwy - powiedziała, znów wybuchając płaczem.

- Ja nieuczciwy? Ja?! - chwycił ramię Megan, wbijając jej palce w skórę. Spróbowała się wyrwać, ale nie zwolnił uścisku.

- Zachowujesz się jak szalona. Tniesz na kawałki dzieło mojego życia, jedyną rzecz, która przynosi mi ukojenie, tylko dlatego, że przeszkadza ci jej widok, i jeszcze masz czelność mówić, że jestem nieuczciwy. Chyba się trochę zagalopowałaś, nie sądzisz?!

- Może i tak! - wrzasnęła. - Ale ciebie nigdy przy mnie nie było, żeby mi wyjaśnić, że się myłę.

Puścił jej ramię i skierował się ku drzwiom. Paczka wciąż tam leżała. Podniósł ją.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Wychodzę.

- Ale dokąd, Jacksonie? Nie możesz wyjść w środku rozmowy. Mówimy o naszym małżeństwie. Proszę cię, musimy ze sobą porozmawiać.

Odwrócił się.

- W tej chwili wydaje mi się, że jedyną rzeczą, którą musimy, jest przeprowadzenie rozvodu. Przejdę się i spróbuję zmienić zdanie.

Trzasnęła drzwiami. W Megan wezbrała ochota, żeby rzucić się na ziemię i utonąć we łzach albo zacząć z całej siły walić pięściami w ścianę, ale nie zrobiła tego. Wyjęła tylko z szafki kuchennej torbę na śmieci i wróciła do salonu. Ze zdumiewającą łatwością przestawała myśleć podczas sprzątanego. Stosowała ten sposób przez ostatnie trzy lata. Wykonywała automatyczne czynności, wystrzegając się myśli o swym lipnym małżeństwie i koncentrując uwagę na tym, który środek najlepiej wywabi jakąś plamę.

Pochyliła się i otworzyła torbę. Kawalek po kawałku zebrała wszystkie strzępy obrazów.

* * *

Alex z zapalem wbiła zęby w szarlotkę Milly. Rzadko miewała teraz okazję, żeby jeść. Pisanie pracy magisterskiej zajmowało jej pięć dni w tygodniu od ósmej rano do co najmniej jedenastej wieczorem, a pozostałe dwa dni spędzała u Goodmana i Spółki, ślęcząc nad księgami rachunkowymi. Żadnemu z mężczyzn, którzy przewijali się przez jej życiorys, nie przyszło do głowy, żeby ją nakarmić, a i tak, szczerze mówiąc, nie miałyby o czym z nimi rozmawiać w ciągu dwugodzinnej kolacji.

Wobec tego wypijała tylko co jakiś czas napój gazowany albo zjadała batonik. Pełna dieta. Przez ostatnie trzy miesiące zrzuciła pięć kilo bez najmniejszego wysiłku. Po co miała się przejmować składnikami odżywczymi, skoro wyglądała szczupło i ślicznie?

Roześmiała się na głos, zwracając w końcu na siebie uwagę towarzysza. Od dziesięciu minut gapił się w okno, zaniedbując swoje ciastko jagodowe.

- Co cię tak śmieszy? - zapytał Jackson.

- Właśnie pomyślałam, jaka ze mnie śliczna i seksowna kobieta.

- I do tego skromna - dodał, uśmiechając się. Pociągnęła łyk kawy, spoglądając na niego znad brzojka

swojej filiżanki. Miał bladą i pokrytą bruzdami twarz. Ciemne włosy, zwykle w atrakcyjnym nieładzie, były teraz zanadto zaniedbane, nawet jak na niego. Flanelowa koszula wyglądała na nieświeżą i wymiętą, jakby zapomniał ją z siebie zdjąć na noc.

- Za to ty - odparła - wyglądasz podle.

Oparł się ponownie o winylowe obicie kawiarnianej kanapy i potarł dłonią po zarośniętej brodzie.

- Dzięki.

- Mówię poważnie, Jacku. Minęły już cztery miesiące, od kiedy zgłosiliście się z Megan na terapię małżeńską. Miało ci to pomóc, pamiętasz?

- Pomóc. Ha, ha, ha! - wziął do ręki widelec, po czym go odłożył, odsuwając ciastko.

- Mogę zjeść?

- To zdumiewające, że nie tyjesz. Megan nie mogła zjeść kawałka ciasta, żeby...

- Żeby co?

- Zauważyłaś, że dopiero teraz wypowiedziałem jej imię podczas swobodnej rozmowy? Można by pomyśleć, że naprawdę była moją żoną.

Alex wzięła do ręki rachunek i wstała.

- Mniejsza o ciastko. Płacę i idziemy na spacer. Wróciła od kasy, ściągnęła Jacksona z krzesła i objęła go

w pasie. Wyszli na zewnątrz. Był ciepły, późnowiosenny dzień.

- Kochasz ją? - zapytała znienacka Alex.

- O, Boże, nie mogłabyś zacząć od jakiegoś lżejszego tematu?

Zatrzymała się i obróciła Jacksona w swoją stronę.

- To powinno być łatwe, Jacku. Dla człowieka żonatego takie pytanie powinno być najprostsze na świecie.

- Jakim cudem jesteś taka pryncypialna? Nie masz przecież zielonego pojęcia o miłości i o małżeństwie.

Alex odwróciła się gwałtownie i ruszyła pędem w dół wzgórza.

- Alex, poczekaj!

Przyśpieszyła i skręciła za róg, kierując się z powrotem ku miasteczku studenckiemu Berkeley. Jackson pobiegł za nią. W końcu dogonił ją i schwycił za rękę.

- Przepraszam cię, Alex.

- Wszyscy mi mówią podobne rzeczy, a potem przepraszają, jakbym była workiem treningowym, który i tak zawsze wraca do pozycji pionowej.

- Nie jesteś żadnym workiem treningowym. Naprawdę mi przykro. Mówię poważnie. To było wredne. Świnia ze mnie. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Proszę, przebacz mi.

Wytarł jej włosy i tak potargane włosy i uśmiechnęła się.

- Dobra. Przebaczam. Ale to ostatni raz. A teraz chodźmy. Musimy wrócić na uczelnię.

Półtorakilometrowy marsz do Berkeley szybko im upłynął. Rozmawiali o dawnych studenckich czasach, o swoim mieszkaniu, o wszystkim z wyjątkiem terażniejszości. Jacksonowi było dużo łatwiej uciec w przeszłość, niż stanąć oko w oko z rzeczywistością, do czego zmuszała go w każdy poniedziałek i środę wieczorem terapia małżeńska. Cztery miesiące wcześniej zdał sobie sprawę, że mają z Megan tylko dwie możliwości - terapię albo rozwód. Choć tak wiele ich już dzieliło, nie chciał się przyznać do klęski i zupełnie stracić Megan.

Ale Bóg mu świadkiem, że nie cierpiał tych seansów. Nie znosił pełnych premedytacji pytań terapeuty, w których zawsze kryło się oskarżenie pod jego adresem. Nienawidził łez Megan, które niezawodnie tryskały jej z oczu pięć minut po ich przyjściu, tak że według nich można było regulować sobie zegarek. Nienawidził też siebie za obłudę. Za to, że chce być znów wolny, a nawet, co gorsza, zapomnieć, że Megan kiedykolwiek stanowiła część jego życia. Na godzinę przed każdym seansem musiał mobilizować całą swoją energię, żeby pójść, żeby coś z siebie dać, żeby udawać, że to małżeństwo jest dla niego najważniejsze na świecie, tak samo jak dla Megan.

Dotarli z Alex na trawnik w południowej części miasteczka studenckiego i usiedli w słońcu. Jackson położył się na wznak i spojrzał na cienkie smugi obłoków, które sunęły po niebie jak dym z komina fabrycznego.

- Kocham ją - powiedział miękko. Alex pokiwała głową i objęła skulone nogi ramionami. - Kocham ją, bo jest moją żoną. Bo ponad trzy lata temu stanęliśmy razem przed ołtarzem wierząc, że uda nam się wspólnie żyć.

- A uda się?

- Raczej na to nie wygląda, prawda? - usiadł raptownie. - Terapia ma nam pomóc, ale tylko pogarsza sprawę. Doktor Chadwick każe nam mówić o swoich uczuciach, wyrzucać je z siebie, ale w ten sposób dowiadujemy się tylko, jak niewiele naprawdę wiemy o sobie. Megan opowiada rzeczy, które nie mieszczą mi się w głowie.

- Na przykład?

- Na przykład, że powinienem pójść do przyzwoitej pracy. Nie może znieść, że próbuję zarobić na życie jako artysta. Chce, żebym wrócił na kolanach do Jakonovicha jak jakiś mięczak bez charakteru i błagał o ponowne przyjęcie. Ma swoją wizję tego, jaki powinienem być, i gównem ją obchodzi, jaki jestem naprawdę, byleby tylko zdołała wcisnąć mnie w ten schemat.

Wsunął rękę we włosy i wzdrygnął się, czując tłuszcz, który zdążył się na nich zebrać. Kiedy ostatni raz brał prysznic? Kilka dni temu? A może kilka tygodni?

- To dla niej bez znaczenia, że ma tyle pieniędzy w banku - ciągnął. - Pieniądzy, które kiedyś sama mi zaproponowała. Nie, teraz mówi, że to są wyłącznie środki na inwestycje, a ja tymczasem powinienem ją utrzymywać.

- To do niej zupełnie niepodobne.

Urwał i spojrzął na Alex. Miała zamknięte oczy, a twarz zwróconą do słońca. Ciemne, kręcone włosy sięgały jej do połowy pleców - nie obcinała ich od trzech lat. Wyglądała tak niepokornie i krnąbrnie, jak tylko ona potrafi.

- No, taki jest sens tego, co mówi. Ona się zmieniła, Alex. Jest bardziej zdecydowana. Coś w nią wstąpiło tego dnia, kiedy mi pocięła wszystkie obrazy.

Zacisnął pięści. Wstał, podbiegł do potężnego drzewa, stojącego kilką metrów za ich plecami, i zawisł na najniższej gałęzi.

- Ciągle jesteś na nią o to wściekły? - zapytała Alex.

- Tak. Nie. Nie wiem. Jak pomyślę, co straciłem, mam ochotę ją zabić. Ale zaraz przychodzą mi do głowy prace, które ostatnio namalowałem, próbując sobie to zrekompensować, i zdaję sobie sprawę, że w pewnym sensie wyszło mi to na dobre. Pobudziło mnie do cięższej, intensywniejszej pracy.

- Chodź no tu - powiedziała Alex, odwracając głowę i spostrzegając, że huśta się na jednej ręce jak małpa. - Chodź tu, idioto, chcę przez chwilę poważnie z tobą porozmawiać.

Podszedł i usiadł obok niej.

- Nie jesteś wobec niej uczciwy, wiesz? - powiedziała.

- Jak możesz tak mówić? To ona załatwiła moje obrazy. Moim zdaniem przedstawiam to wydarzenie w sposób niezwykle uczciwy.

- Nie mówię o obrazach. Mówię o uczuciach.

Alex zerwała kilka źdźbeł trawy i ułożyła je na dłoni według wielkości.

- Powinieneś usłyszeć Megan, kiedy do mnie dzwoni. Bredzi o twoich postępach na terapii. O tym, że wasze małżeństwo wychodzi z kryzysu. Jest pewna, że usuniecie różnice zdań między wami i wszystko będzie dobrze. A dziesięć minut później ty dzwonis z budki telefonicznej, żeby - jęcząc i wrzeszcząc - opowiedzieć mi, jaki jesteś nieszczęśliwy. Żyjecie na dwóch różnych planetach.

- A co ja mam zrobić? Rozwiąć Megan złudzenia, żeby zawalił się jej cały świat?

Upuściła żdźbła trawy i spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, do cholery. Żyje w świecie, którego nie ma, i pewnego dnia, jutro albo za pięć lat, wreszcie to odkryje. Wyobraź sobie tylko, jaki to będzie dla niej cios. Ty masz malarstwo i swoje marzenia. Megan ma tylko ciebie. Bądź z nią szczery, Jacku. Powiedz jej, że twoim zdaniem nic z tego nie będzie. Powiedz, że się boisz. Przynajmniej raz powiedz jej prawdę.

Jackson odwrócił wzrok. Kilka studentek wyszło na dwór i rozłożyło się na trawie, żeby złapać trochę słońca między zajęciami.

- Megan nie zależy na szczerości, Alex. Marzy o obrazie Normana Rockwella, o kartce wyrwanej żywcom z książki o udanym małżeństwie autorstwa jakiegoś psychologa. Za każdym razem, kiedy próbuję wpuścić trochę rzeczywistości do jej twierdzy, zatrzaskuje drzwi.

Alex podniosła się i otrzepała ubranie z trawy. Podała Jacksonowi rękę i pomogła mu wstać.

- No, cóż, nie pozostaje ci chyba nic innego, jak te drzwi wyważyć, prawda?

* * *

Klementyna spojrzała na swoje odbicie w wysokim lustrze sypialni. Ocierająca się o jej nogi satyna przypominała w dotyku skórę dziecka. Przebiegła dłońmi wzdłuż bioder i obejrzała się z obu stron. Malinowa koszula pasowała na nią idealnie.

Mało brakowało, a byłaby ją odesłała sześć miesięcy wcześniej. Na bileciku było napisane: „Dla Klementyny. Myślę o Tobie. Ucałowania. Jackson”. Miała jeszcze w pamięci uczucie, jakie wzbudziły w niej te słowa. Takie samo przejmujące zimno ogarnęło ją w wieku pięciu lat, kiedy pewien kuzyn wrzucił jej za kołnierz kostki lodu. Były lodowate i śliskie. Dostała od nich dreszczy i poczuła napięcie w całym ciele. Na sekundę z łatwością wymazała z pamięci Megan, jej małżeństwo i kilometry, które dzieliły ją samą od Jacksona. Wyobraziła sobie, że o niej myśli, że marzy o tym, co mogłoby się wydarzyć pewnego dnia, gdyby ich

losy potoczyły się inaczej. Był jedynym mężczyzną, przy którym poczuła się niezręcznie i nieswojo, a jednak zupełnie bezpiecznie.

W chwilę potem zobaczyła swoją twarz w lustrze - zamglone jak od dymu oczy, zaczerwienione policzki - i zeszywniała. Własne serce było jej niewierne. Nie zdawało sobie sprawy, jak dalece ona wciąż unika fizycznego kontaktu z mężczyzną. Nie wiedziało, że kiedy dostawca ze sklepu dzwoni do drzwi z zakupami, każe mu położyć resztę na blacie kuchennym, zamiast wziąć z jego ręki. Że kiedy czeka w kolejce w banku, nigdy nie przysuwa się do stojącego przed nią mężczyzny bliżej niż na metr.

Cokolwiek czuje do Jacksona, odepchnie to od siebie wraz z resztą swoich emocji. Tylko w ten sposób może się bronić przed wspomnieniami: zamykając w sobie strach, złość, miłość i nienawiść. Nie zna innej metody, żeby przetrwać.

Poza tym jest związana sprawami zawodowymi. Will załatwił jej przesłuchania do filmów telewizyjnych i dostała niewielką rolę - z całymi czterema linijkami tekstu - w niedzielnej serii filmowej ABC. Wszystko szło jednak powoli i dużo trudniej, niż się spodziewała. Żeby jakoś związać koniec z końcem, musiała się poratować, wykorzystując umiejętności modelki, i zapozować do kilku całostronicowych zdjęć w katalogach. Mimo wszystko nie zrażała się. Jeśli będzie zmuszona cofnąć się o krok, żeby potem pójść do przodu, to trudno. Żaden Jackson Hollywood nie nakłoni jej do zmiany planów. Po prostu wymaże go z pamięci.

Była początkowo zbyt zajęta, żeby pójść na pocztę i odesłać paczkę, zostawiła ją więc nie rozpakowaną na stoliku. Patrzyła na nią codziennie rano i wieczorem, aż wreszcie po tygodniu, nie mogąc poskromić ciekawości, otworzyła. Zastanawiała się, co jest w środku. Może jakiś album, o którym napomknęła, albo książka. Kiedy jednak odwinęła z papieru pastelową koszulę, serce w niej zamarło. Wyjęła ją z pudełka i przytuliła do twarzy.

W tym momencie łzy same popłynęły. Właściwie nie była smutna. Poczula tylko ból w klatce piersiowej i w głowie i wezbrało w niej uczucie braku czegoś, czego nigdy nie doświadczyła i chyba już nie doświadczy. Gdyby życie ułożyło się inaczej, pomyślała, gdybym była kimś innym.

Megan wspominała dawniej o nieporozumieniach z Jacksonem, Klementyna nie brała ich jednak zbyt poważnie. Teraz Megan dzwoniła co tydzień, żeby zdać relację z seansów terapeutycznych. Opowiadała, jak ich do siebie zbliżają i jakie to cudowne uczucie być wobec siebie absolutnie

szczerem. Klementyna odbierała te telefony, stojąc przy ścianie i przywierając do niej plecami tak mocno, jakby przygniatał ją wiejący prosto w twarz huragan. Ranił ją czuły szczebiot Megan, szczegółowe opowieści o tym, jak Jackson jej dotyka, jak jej pragnie, jak ją kocha. To śmieszne. Ledwo go zna, prawie go nie widziała, prawie nie przebywała w jego towarzystwie, a jednak niekiedy nawiedza ją myśl, że dałaby wszystko, aby chociaż na jeden dzień znaleźć się w skórze Megan. Być dotykana przez takiego mężczyznę jak on, bez lęku i bez cisnących się wspomnień. Rozciągnąć pod nim swoje ciało, pocierać łydką o jego nogę, poczuć go w sobie i nie krzyknąć. Przez jeden dzień stać się normalną kobietą, być kochaną.

To się nigdy nie stanie. Megan i Jackson rozwiążą swoje problemy i będą nadal żyć razem w małżeństwie, pełni wzajemnego oddania. A Klementynie zostanie... jej kariera. Tak, zawsze zostanie jej kariera.

Mało brakowało, a natychmiast odniosłaby prezent na pocztę. Mogłaby zrozumieć, gdyby to był jakiś album, papeteria, łapka do garnków, nawet apaszka, ale koszula nocna? Włożyła ją z powrotem do pudełka, napisała na wierzchu: „Zwrot do adresata” i już wychodziła, gdy coś ją powstrzymało. A co będzie, jeśli Megan to otworzy? Klementyna nie wyobrażała sobie, żeby Megan mogła coś wiedzieć o tym prezencie. Choć był taki niewinny, poczułaby się dotknięta i zazdrosna. Klementyna odwróciła się na pięcie i wsunęła paczkę pod łóżko, postanawiając, że odda ją Jacksonowi osobiście, kiedy ona znajdzie się w okolicach Zatoki albo on przyjedzie do Los Angeles.

Nigdy do tego nie doszło. A teraz, sześć miesięcy później, założyła ją na siebie po raz pierwszy. Kiedy paczka leżała pod łóżkiem, nie była w stanie przestać myśleć o Jacksonie. Nocą wyciągała koszulę z pudełka, przesuwała palcami po kokardkach, dotykała satynowego materiału i zastanawiała się, co go opętało, żeby jej przysłać taki prezent, i do jakiego stopnia on domyśla się jej uczuć. Kiedy spojrzała w lustro, znalazła odpowiedź na wszystkie te pytania.

Jackson przysłał jej koszulę, bo czuje to samo co ona - niewątpliwe zauroczenie, nieodpartą potrzebę utrzymania kontaktu. Czowała niemal, jak jego dłonie muskają materiał, jak go gładzą. Teraz mógł dotykaniem pokonać dzielące ich mile, mógł ją pieścić. Dłonie Jacksona nie były takie brudne i brutalne jak JEGO, lecz gładkie i delikatne. Miał dłonie artysty. Malował nimi portrety na skórze Klementyny, wzniecając w niej pożar zmysłów.

Dziwnym sposobem, mimo niedługiego czasu, jaki ze sobą spędzili, i dzielącej ich odległości, Jackson dokładnie znał jej uczucia. Wiedział, że kiedy pozwalała sobie na myśli o mężczyźnie, o kochaniu mężczyzny, to myśli właśnie o nim. Wiedział, że chociaż Klementyna kocha Megan, w myślach zdradza przyjaciółkę. Jej umysł wyrwał się spod kontroli i zaczął szaleć jak umysł barbarzyńcy. Zapragnęła, by ich małżeństwo skończyło się porażką, by przeprowadzili separację, a może nawet rozwód. To było straszne, ale nie potrafiła tego przezwyciężyć.

Nieważne było to, że gdyby znalazł się obok, wciąż bałaby się zbliżenia z mężczyzną. Że chodzi po ścianach, jak tylko jakiś jest w pobliżu. Nieważne, że nic o nim nie wie, z wyjątkiem tego, co usłyszała od Megan i Alex. Wiedziała tylko, że jej uczucia do niego są zupełnie irracjonalne i czas ich wcale nie stępił.

Kiedy spojrzała na swoje odbicie w lustrze i przebiegła palcami po przylegającym do jej talii i bioder satynowym materiale, wyobrażając sobie, że widzi jego dłoń i jego twarz, zdała sobie sprawę, że jej fantazje stają się z każdym dniem coraz żywsze, coraz bliższe rzeczywistości. Mimo swoich postanowień, mimo lęków, oddałaby mu się, gdyby tego zapragnął. Powstawało tylko pytanie, czy kiedykolwiek do tego dojdzie.

Rozdział 14

Alex dostała narożny gabinet. Zgoda, pokój rzeczywiście był bardzo niewielki, nawet nie większy od garderoby, przy wejściu nie siedziała sekretarka, a jedynymi meblami były rozklekotane biurko i krzesło, ale za to znajdował się na dwudziestym trzecim piętrze wieżowca Bank of America w finansowej dzielnicy, a z okien rozpościerała się fantastyczna panorama miasta na most łączący San Francisco z Zatoką Oakland. I należał do niej, tylko do niej.

Fakt, że skończyła dwa dodatkowe lata studiów i uzyskała tytuł magistra zarządzania, miał kolosalne znaczenie dla jej kariery zawodowej. Nie nalewała już kawy i nie wykonywała niezwykle pasjonującej pracy polegającej na porządkowaniu ksiąg rachunkowych u Goodmana i Spółki. Była asystentką doradcy inwestycyjnego w towarzystwie inwestycyjnym Rock Solid z niezłą pensją w wysokości trzydziestu tysięcy dolarów rocznie na początek.

Od razu wiedziała, że ma odpowiednie kwalifikacje na to stanowisko. Jeden z profesorów szepnął nawet słówko w jej sprawie. Trudność polegała na przekonaniu Brenta Gibbonsa, szefa Rock Solid, że jest wystarczająco dobra. Alex słyszała o nim dużo wcześniej, zanim zaczęła się ubiegać o tę pracę. Na obiadach u wpływowych osób jego nazwisko szeptano z czcią i był często cytowany w „Wall Street Journal”. To on najbardziej nalegał na złożenie oferty przejęcia Metro Enterprises, a krążyły plotki, że maczał też palce w wykupieniu Walshmana. Jednocześnie szybko i bez rozgłosu nabył towarzystwo inwestycyjne Rock Solid i rozwinął je z drugorzędnego przedsiębiorstwa, zatrudniającego pięciu pracowników, w jedną z czołowych firm maklerskich papierów wartościowych na Zachodnim Wybrzeżu.

Alex przeprowadziła rekonesans, z którego wynikało, że firma Rock Solid wynajmuje trzy piętra w budynku Bank of America, zatrudnia ponad dwustu pracowników i jest ulubionym towarzystwem inwestycyjnym elity San Francisco i Los Angeles. Ma od sześciu miesięcy filię w Nowym Jorku, a przygotowania do otwarcia biura londyńskiego są w ostatnim stadium. Rock Solid działa na rynku usług finansowych we wszystkich branżach, lecz specjalizuje się w inwestycjach uznawanych przez wielu za wysokodochodowe, choć ryzykowne - w akcjach zmiennych i spółkach lokacyjnych. Mimo to stopa zysku, którą zapewnia Brent Gibbons swoim klientom, jest niezwykle wysoka. Klienci opowiadają o tym przyjaciołom,

ci swoim agentom, wspólnikom, mężom i żonom, i tak interes rozwija się, przechodząc nawet oczekiwania pracowników firmy.

Alex nie spodziewała się, że pozna Brenta Gibbonsa osobiście. Szefowie zajmują się marketingiem i zarządzaniem, a nie rozmowami kwalifikacyjnymi. Mogła się od Gibbonsa wiele nauczyć, jeśli chodzi o prowadzenie zyskownego przedsiębiorstwa. Kiedy dotarła do biura spółki na spotkanie, sekretarka poinformowała ją, że pan Gibbons wszystkie rozmowy kwalifikacyjne przeprowadza sam. Alex połknęła gumę, którą żuła, i usiadła prosto. Dam sobie radę, powiedziała do siebie. On jest tylko człowiekiem, tak samo jak ja. Ma taką samą krew, takie same kości. Kiedy sekretarka oznajmiła, że Gibbons czeka, Alex zebrała się w sobie, pokonała zawroty głowy i mrowienie w żołądku, po czym wstała i weszła do gabinetu.

Pomieszczenie było ciemne jak sala przedszkolna podczas poobiedniej drzemki dzieci i przeładowane, pełne bujnych roślin oraz ekspresjonistycznych obrazów. Półki stojące przy ścianach były wypełnione schludnymi szeregami encyklopedii, słowników i książek ekonomicznych słynnych autorów. Przeciwległa ściana, oszklona od sufitu do podłogi, ukazywała panoramę przez most na zatoce aż po Oakland.

Brent Gibbons rozmawiał przez telefon. Był odwrócony, więc Alex dostrzegła tylko czubek jego greckiego nosa i popielate włosy. Podeszła do biurka i czekała, w wyobraźni przyklejając sobie stopy do podłogi, żeby się nerwowo nie kręcić. Teraz widziała go lepiej. Tak jak się spodziewała, miała przed sobą typową postać cwane maklera walorów. Ciemny garnitur, czerwony krawat grubej ryby i dłonie bez obrączki. Albo był żonaty i nie chciał się z tym afiszować albo żona nie mieściła się w jego scenariuszu. Słyszając, jak podnosi głos w zaaferowaniu transakcją i wobec szansy zbitcia fortuny, Alex nie miała wątpliwości, że jest oddany interesom bez reszty. Głębia jego barytonu i respekt, jaki budził, osłabiły chwilowo jej zdenerwowanie. Chciała być dokładnie taka jak on.

Wreszcie skończył rozmowę i wstał. Był wysoki, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Krępowała ją świadomość, że tak nisko przy nim wygląda. Miał silny uścisk ręki, a Alex zdążyła wcześniej wytrzeć o spódnicę spocone dłonie.

- Proszę usiąść - powiedział. Sam też zajął miejsce i wziął do ręki jej podanie. Przeglądał je przez dobre trzy minuty, kiwając głową i robiąc notatki na marginesach. Alex nigdy w życiu nie była niczego bardziej ciekawa jak tego, co tam wypisuje.

- Bardzo ładnie, panno Holmes - odezwał się. - Bo jest pani panną, prawda?

- Tak.

- Dobrze. Znakomita średnia ocen. Cztery przecinek osiem. Naprawdę imponujące. Tylko trochę za małe doświadczenie zawodowe. Zwykle zatrudniamy osoby, które już pracowały bezpośrednio w dziedzinie inwestycji. Szczerze mówiąc, mamy na dzisiaj zaplanowane dwie rozmowy kwalifikacyjne z młodymi kandydatami, którzy ostatnie pięć lat przepracowali na Wall Street.

Czując na sobie jego przenikliwy wzrok, Alex zdała sobie sprawę, że została już niesprawiedliwie zakwalifikowana. Jak tylko Brent Gibbons na nią spojrział, zdecydował, że jest za młoda, zbyt niedoświadczona, za bardzo... kobieca. Niech cholera weźmie tę spódnicę i bluzkę. Powinna była założyć spodnium. Odwróciła głowę zła i zawiedziona. Była głupia, jeśli myślała, że dostanie tę pracę. Ma dopiero dwadzieścia cztery lata i właśnie skończyła studia. No i jest kobietą. Bez względu na to, co się mówi o równouprawnieniu, mężczyźni na kierowniczych stanowiskach, Brentowie Gibbonsi, panowie tego świata, ciągle są przekonani, że kobieta nie poradzi sobie w świecie interesów. Usta mają pełne frazesów, lecz są to tylko słowa. Jak się zbierze na osobności paczka facetów, od razu widać, że wciąż uważają kobiety za lalki o kurzym mózdzku, które nadają się tylko do jednego i które w czasach jaskiniowych wlokło się wszędzie za włosy.

Niestety było prawdą, że u Goodmana przekładała tylko papiery w księgowości. Poza tym widziała w foyer jednego z pozostałych kandydatów, który z całą pewnością był kompetentny. Nudny, ale kompetentny. Trzeba szybko ruszyć mózgownicą i coś powiedzieć. Zacisnęła ręce na kolanach.

- Panie Gibbons, zdaję sobie sprawę, że nie mam doświadczenia dokładnie w branży inwestycyjnej, ale moim zdaniem nie powinno mnie to dyskwalifikować. Na czym polega w istocie praca doradcy inwestycyjnego? Po pierwsze, musi on zdobyć zaufanie klientów, by nie obawiali się powierzyć nam swoich pieniędzy. A powiedzmy sobie szczerze: kobieta zwykle szybciej budzi zaufanie niż mężczyzna i ma większą łatwość nawiązywania kontaktu z ludźmi. Po drugie, pracowałabym z pańskimi maklerami, od których dowiedziałabym się wszystkiego, co trzeba, o akcjach, o tendencjach, kiedy doradzać inwestycję, kiedy iść za trendem, a kiedy zasięgnąć czyjejś opinii. Bo przecież nie chciałby pan, żeby jakiś cwaniak z Wall Street, który myśli, że

zjadł wszystkie rozumy, popełniał błędy kosztujące pańskich klientów wiele milionów dolarów, prawda?

Gibbons patrzył na jej ręce, które podniosła z kolan, żywo gestykułując.

- Moim zdaniem - ciągnęła - doradca inwestycyjny powinien być miły, ale zdecydowany, mieć wszechstronny zmysł robienia pieniędzy, a jednocześnie umiejętność kojenia cudzych rozstrojonych nerwów. Powinien być elokwentny i na tyle inteligentny i ujmujący, by nakłonić niezdecydowanego inwestora do podjęcia stanowczej decyzji.

- A pani, jak wnoszę, ma wszystkie te cechy?

Uśmiechnął się protekcyjnie, lecz Alex nie miała innego wyjścia, jak brnąć dalej. Tylko w ten sposób lata spędzone na studiach mogły stać się coś warte.

- Tak - odparła. - Jestem człowiekiem biznesu, panie Gibbons. Kiedy myślę, jem, śpię i marzę, towarzyszą mi akcje, obligacje, spółki lokacyjne, rachunki zysków i przejmowanie przedsiębiorstw. Przez sześć lat poznawałam zasady i strategię gry oraz wszystkie aspekty prowadzenia firmy i chociaż wiem, że to nie to samo, co praktyczne doświadczenie, daje mi to przewagę, bo mam całościowy obraz sposobu kierowania gospodarką.

Oparł się na krześle.

- Ładnie pani opowiada, panno Holmes, ale mnie nie zależy na ładnych słówkach. Zależy mi na uporze. I na inteligencji.

Alex mocno zacisnęła dłonie w pięści. Tak lekceważona nie była od czasu, gdy poznała Klementynę. Wiedziała, że postawił na niej krzyżyk, ale jeszcze nie potrafiła się poddać. To była jedyna praca, na której jej naprawdę zależało. Rodzice wpoili jej, że właśnie o takie stanowiska warto walczyć.

- Jestem uparta - odpowiedziała. - Prawdę mówiąc, wszystko poświęciłam dla interesów. Niczego w życiu nie robiłam na pół gwizdka i to nie jest wyjątek. Jeśli pan mnie zatrudni, zdobędzie pan nie tylko pracownicę na pełnym etacie. Zdobędzie pan osobę, dla której praca to całe życie. Ile osób może panu tyle dać?

Gibbons wstał i podszedł do okna.

- Przypomina mi pani młodego człowieka, którego kiedyś znałem - powiedział miękko. - Miał w sobie taki sam zapał jak pani i taką samą idealistyczną wizję przyszłości.

- Co się z nim stało?

- Wydoroślał. Ożenił się. Oklapł.

Odwrócił się i spojrzał na Alex, a ona poczuła, że twarz jej płonie. Chociaż miała na sobie niemal „bezpłciowy” ubiór - wąską szarą spódnicę i zakiet, białą bluzkę i czarne pantofelki, ten mężczyzna dziwnym sposobem sprawił, że poczuła się bardziej kobieca.

- Mówi pan o sobie? - zapytała.

- To nie ma znaczenia. Rzecz w tym, że to brutalna robota. Pracuje pani z ludźmi, którzy udają, że są przyjaciółmi, ale jak tylko się pani odwróci, wbijają pani nóż w plecy. Klienci są nerwowi, drażliwi. Wyzywają się na pani.

- Wiem to wszystko.

- Większość pracowników nie prowadzi życia towarzyskiego. Nie ma na to czasu. Tu się pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Alex nawet nie mrugnęła.

- Wiem.

- I mimo to uważa pani, że temu podoba? Pochyliła się ku niemu.

- Wiem, że tak.

Brent Gibbons ponownie usiadł i zajął się swoim kalendarzem. Alex wstrzymała oddech.

- Czy pasuje pani następny piątek o ósmej? - zapytał.

- Słucham?

- Może pani teraz pójść do działu personalnego na końcu korytarza, gdzie panią poinformują, jak ubezpieczamy pracowników i jakie przysługują im przywileje. Zacznie pani jutro o ósmej, a w przyszły piątek, jeśli będzie pani wolna, pójdziemy na kolację. Zawsze zapraszam gdzieś nowych pracowników. Nie jesteśmy jeszcze aż tak dużą firmą, żebym nie mógł sobie pozwolić na akcent prywatności. To sposób na uczczenie dobrych początków i cholernie korzystny odpis od podatków.

Uśmiech zupełnie go zmienił. Spojrzenie stalowoszarych oczu pojaśniało, rysy twarzy złagodniały - miała wrażenie, że skądś go zna, jakby był starym przyjacielem z sąsiedztwa. Wystarczyło przyjrzeć mu się dokładniej, odjąć trochę bogactwa i lat, żeby znaleźć niezręcznego, żyjącego w świecie marzeń smarkacza, który mieszka parę domów dalej na tej samej ulicy.

Kiedy w końcu do Alex dotarło, co powiedział, wypełniło ją uczucie zaskoczenia i jednocześnie radości. Uśmiechnęła się i pośpieszyła w kierunku drzwi.

- Nie będzie pan tego żałować, panie Gibbons. Spojrzał na nią badawczo.

- Tak. Myślę, że nie będę.

Szła korytarzem do działu personalnego z pulsującą w żyłach krwią, wybiegając myślami w przyszłość, gdy nagle zderzyła się z kobietą, która właśnie wyszła zza rogu z trzydziestocentymetrową stertą teczek w rękach. Papiery rozsypały się po korytarzu jak liście.

- Przepraszam - powiedziała Alex i natychmiast schyliła się, żeby je zebrać.

Kobieta pokręciła głową i uklękła. Pierwszą rzeczą, którą Alex zauważyła, był jaskrawoczerwony lakier na jej spiczastych, trójkątnych paznokciach. Kiedy spojrzała kobiecie w twarz, prawie ją odrzuciło na widok krzykliwego, teatralnego makijażu nałożonego na bladą skórę. Spryskane lakierem proste, czarne włosy tworzyły lepłą szopę. Sekretarka, pomyślała Alex.

- Przykro mi - powtórzyła. - Właśnie dostałam pracę i byłam taka przejęta, że chyba nie patrzyłam przed siebie. Nazywam się Alex Holmes - wyciągnęła do tamtej rękę.

Kobieta kucnęła na obcasach i anemicznie, jakby wymagało to od niej całej energii, potrząsnęła dłoń Alex.

- Maxine Waterdell. Ciekawe, na jakie stanowisko panią przyjęli. Mam nadzieję, że nie roznosicielki kawy.

Alex nie zareagowała na jej sarkazm i wstała, prostując się, jakby chciała być wyższa niż jest.

- Szczerze mówiąc, zostałam doradcą inwestycyjnym. A pani?

W oczach Maxine pojawiły się na moment czerwone błyski wściekłości, lecz zaraz opanowała się i też wstała. Odebrała od Alex resztę papierów.

- Jestem sekretarką pana Beersona - powiedziała. - Ale nie na długo. Mam ambitne plany.

Alex domyślała się, że Maxine chce wyrzucić na niej wrażenie, ale miała wątpliwości, czy sekretarkom rzeczywiście udaje się porzucić swe dyktafony i zawędrować na sam szczyt zawodowej hierarchii, jak to się dzieje w filmach o współczesnych kopciuszkach.

- To wspaniale. Muszę już iść. Miło było panią poznać. Maxine skinęła głową i oddaliła się. Nie drgnął jej nawet

jeden kosmyk czarnych włosów. Alex pokręciła głową. Nie zaczęła jeszcze pracować, a już czuła, że ma wroga. Ale mniejsza o to. Nie ma czasu przejmować się zachowaniem jakiejś skwaszonej sekretarki. Jej celem jest teraz zostać doradcą inwestycyjnym stulecia.

Nazajutrz rano Brent Gibbons pokazał Alex gabinet i szczegółowo wyjaśnił, jakie obowiązki wiążą się z jej stanowiskiem. Kiedy skończył po trzech godzinach, Alex zasiadła w swoim fotelu, zadając sobie pytanie, w co się wpakowała. Przed nią leżało pięć stert teczek z informacjami o klientach, każda o wysokości piętnastu centymetrów, trzy analizy kursów akcji, dwanaście list potencjalnych inwestycji i raportów z dokonanych transakcji - do wyuczenia się na pamięć i cztery notatniki poświęcone sprawom personalnym. W marzeniach o pracy swego życia zawsze widziała siebie jako osobę zajętą, ale fantazje nigdy nie przewidywały takich ilości papierkowej roboty.

Siedząc przy biurku, zamknęła oczy i pomyślała, ile czeka ją wyrzeczeń. Musi zupełnie zmienić tryb życia. Koniec z dniami słodkiego nieróbstwa. Nie będzie mogła urwać się z pracy, jak to miało miejsce w przypadku niektórych zajęć na uczelni, od których zdecydowanie bardziej pociągała ją plaża albo przejażdżka samochodem wzdłuż wybrzeża. Będzie musiała codziennie wstawać najpóźniej o szóstej trzydzieści, kończyć prysznic przed siódmą i zjawiać się w biurze przed siódmą trzydzieści.

Poza tym koniecznie musi uzupełnić garderobę. Turkusowe jedwabne spodnie, apaszki i wyszywane cekinami sukienki pasują do niezależnego życia i nocnych klubów, a nie tutaj. Będzie potrzebowała co najmniej trzech garsonek, czterech wąskich spódnic i dużo bluzek. Musi też ostrzyć włosy. Dwie minuty po zaczesaniu ich do tyłu, na policzki i czoło ponownie wymykają się kosmyki. No, i żadnych wygłupów z byle kim. Musi teraz dbać o swoje nazwisko i karierę zawodową. Będzie szykowna, zaangażowana i skupiona wyłącznie na jednej rzeczy - towarzystwie inwestycyjnym Rock Solid.

A jednak... Mimo tego postanowienia, kładąc się spać poprzedniej nocy, nie myślała o premiach i awansach, lecz o siwym, wytwornym mężczyźnie.

- Ożenił się - powiedział mężczyzna, oddalając się.

- To pan? - zawołała za nim. - To pan się ożenił? Uśmiechnął się i zniknął.

Przez cały tydzień czytając akta i dane dotyczące klientów, Alex usiłowała wypatrzyć na korytarzu Brenta Gibbonsa, ale jej się nie udało. Przebywała teraz wśród tłumu sekretarek i nowych pracowników najniższego szczebla, z dala od jego gabinetu. Pewnie już o niej zapomniał, jeśli nie liczyć daty wspólnej kolacji, którą miał zapisaną w kalendarzu.

* * *

Poszli do Molity w Zachodniej Alei, niedaleko Market Street. Obowiązywały tam stroje oficjalne, panowie musieli mieć na sobie marynarki. Alex była zadowolona, że zdecydowała się na białą sukienkę do kolan, skromną, lecz elegancką. To kolejna luka w garderobie, którą musi wypełnić - gustowna elegancja. Czasem nienawidziła dorosłego życia.

Kiedy usiedli, zsunęła żakiet, odsłaniając marszczony owalny dekolt i takie samo wycięcie na plecach.

- Ślicznie wyglądasz, Alex - powiedział Brent, po czym zamówił butelkę szampana.

Gustowna elegancja, pomyślała Alex, ma swoje dobre strony.

- Dziękuję panu - odparła.

Roześmiał się i z kieszeni marynarki wyjął papierośnicę.

- Przynajmniej dziś wieczorem mogłabyś mi mówić Brent. Zgoda?

- Zgoda.

Alex rozejrzała się. Sala była ciemna, zbyt ciemna. Pojedyncze świecek ustawione na stolikach dawały za mało światła do jedzenia. Może nie chcieli, żeby goście dokładnie widzieli potrawy. Obserwowała kelnerów wchodzących i wychodzących z zaplecza. To cud, że nie potykali się o krzesła.

- Coś cię martwi, Alex? Wróciła myślami na ziemię.

- Nie. Przepraszam. Mam taki okropny zwyczaj, że wszędzie, dokąd idę, wyobrażam sobie same najgorsze rzeczy.

Uśmiechnął się, odsłaniając żółtawe, lecz duże i proste zęby.

- A co wyobraziłaś sobie tutaj? - zapytał. Kelner napełniał tymczasem musującym płynem ich szlifowane kieliszki.

- Och, po prostu pomyślałam, że nie oświetlają tej sali, bo nie chcą, żebyśmy widzieli, co nam łązi po talerzach.

- Proszę pani - obruszył się kelner. - Mogę panią zapewnić, że nic tu nie łązi.

- Ona tylko żartowała - powiedział Brent. - Proszę mi wierzyć. Niech pan się nie czuje urażony.

Kelner spojrział na Alex podejrzliwie, skinął głową i oddalił się.

- Przykro mi - odezwała się Alex. - Jakoś nie mogę się nauczyć, żeby trzymać język za zębami. Ludzie nie potrafią żartować, wiesz? Na świecie przydałoby się trochę więcej poczucia humoru. Nie dalej jak wczoraj...

- Jesteś zdenerwowana, Alex? - zapytał miękko.

- Nie, oczywiście, że nie. Nigdy się nie denerwuję. Zapalił papierosa, nie spuszczając z niej wzroku.

- No, dobrze - odparła. - Troszeczkę.
- Dlaczego? Wzruszyła ramionami.
- Bo nie wiem, po co tu jestem.
- Przecież ci powiedziałem.
- Ale nie znam prawdziwego powodu.

Puścił obłoczek dymu ponad jej głową, po czym uniósł swój kieliszek i stuknął o jej. Wypiła, czując, że kręci ją w nosie od bąbelków.

- Nie uwierzyłaś mi, kiedy powiedziałem, że zawsze zapraszam pracowników na obiad, żeby uczcić podpisanie umowy? - zapytał.

- Nie.

Brent odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Jego śmiech brzmiał młodo. Miał młodą twarz. Młode ciało. Tylko kolor włosów świadczył o wieku.

- Jesteś cudowna, Alex. Naprawdę. Chyba nigdy nie spotkałem takiej kobiety.

- Jesteś żonaty? - wyrwało jej się pytanie, zanim zdążyła temu zapobiec. Nie potrafiła uprawiać takich gier jak Megan - flirtować i udawać greka, licząc, że przed końcem wieczoru padnie informacja, na której jej zależy. Alex brakowało do tego cierpliwości albo też nie mogła sobie pozwolić na trwonienie nadziei w przegranej sprawie.

- Tak - odparł.

Wzięła głęboki wdech i odwróciła wzrok. Już po wszystkim. Może przynajmniej od razu położyć kres tym nedorzecznym fantazjom, zanim zadomowią się w jej głowie na dobre. To było oczywiste, że okaże się żonaty. Jest zbyt doskonały, by mogło być inaczej.

- Ma na imię Carlotta - powiedział. - Poznaliśmy się piętnaście lat temu, kiedy pojechałem na delegację do Hiszpanii.

- Macie dzieci?

- Tak. Trzynastoletniego syna Petera.

Alex pociągnęła łyk szampana. Nie miała prawa czuć rozczarowania. Po prostu po raz pierwszy od wielu lat jakiś mężczyzna wyzwolił jej fantazję, skłonił do marzeń. A jeśli mnie pocałuje? Jakie to będzie uczucie? Jak wyglądają jego nogi albo mięśnie na plecach? Jak ciepła jest jego skóra? Czy kiedyś się tego dowiem?

Nie dowie się.

- A ty? - zapytał. - Masz męża? - Nie.

- A chciałabyś mieć?

- Nie - wypowiedziała to słowo za głośno, zabrzmiało zanadto rozpaczliwie. Czasem zdradzał ją własny głos. - Nie. To się kłóci z moim trybem życia. Przynajmniej na razie.

Pokiwał głową i strącił do popielniczki zwisający z papierosa popiół.

- Myślę, że to mądra decyzja - powiedział. - Nie dlatego, że małżeństwo to coś złego, ale ponieważ nie udałoby ci się wszystkiego pogodzić. Mężczyznom jest łatwiej, bo od nich się nie oczekuje, że będą wychowywać dzieci, ale kobiety mają cholernie ciężkie życie.

- To samo mówię przyjaciółom i rodzinie, ale oni są przekonani, że to tylko wymówki. Zadają mi pytania w rodzaju: „A dlaczego nie możesz wyjść za mąż, urodzić dzieci i pracować na pół etatu?” Jakby praca mogła być dla mnie tylko czymś marginalnym.

Przytaknął.

- Moją żonę całkowicie uszczęśliwia fakt, że jest gospodynią i matką, a ja szanuję ją za to. Gdyby jednak nagle postanowiła zostać chirurgiem czaszki, miałbym poważny problem. Doba nie ma tylu godzin, żeby spełniać wszystkie własne pragnienia i jeszcze zaspokajać potrzeby swego dziecka.

- A ty? - zapytała Alex. - Z czego ty musiałeś zrezygnować?

- Z czasu spędzanego z Peterem - odparł miękko - Jest już nastolatkiem, ale niech mnie diabli, jeśli pamiętam dzień, w którym przestał nosić pieluszki albo po raz pierwszy wsiadł na rower. Ma już niższy głos, ale nie wiem, kiedy mu się zmienił. Ściany powyklejał plakatami gwiazd rocka, a ja za nic w świecie nie mogę sobie przypomnieć, kiedy pozdejmował obrazki z kłownami.

- To źle.

- Gorzej niż źle. To głupota. Gdzieś po drodze pokręciła mi się hierarchia wartości i teraz już za późno, żeby coś zmienić. Postanowiłem zostać biznesmenem, a Carlotta dostosowała się do mnie, ale z Peterem to nie takie proste. On tego nie rozumie.

- Ale masz firmę - zauważyła Alex, usiłując rozpogodzić nastrój. - Zrobiłeś z niej najlepiej prosperujące przedsiębiorstwo na Zachodnim Wybrzeżu.

Brent spojrzał na nią.

- Myślisz, że to wystarczająca rekompensata?

- Dla mnie tak. Pokręcił głową.

- Może jesteś inna, ale nie sędzę. W twoim wieku uważałem podobnie. Zamierzałem podbić świat, zostać człowiekiem niezależnym, bez żadnych

zobowiązań. Potem poznałem Carlotę i, cóż, straciłem głowę. Kiedy urodził się Peter, spokorniałem. Codziennie odkrywam, że sprawy, które mnie dawniej pochłaniały, transakcje, stres związany ze zmianami na rynku akcji, pęd do robienia wielkich pieniędzy, nie znaczą już dla mnie tak wiele. Za to kiedy wracam do domu i widzę syna, słyszę jego śmiech... - uśmiechnął się. - Nie potrafię wyrazić słowami, jakie to dla mnie ważne. Perspektywa zmienia się chyba wraz z wiekiem.

Rozmawiali jeszcze o wielu innych sprawach, o teatrze, o malarstwie i o literaturze. Alex piła szampana, rozkoszując się wytrawnym, subtelnym smakiem najdroższego gatunku w restauracji. Brent miał rację. Była zdenerwowana. Jednak im dłużej rozmawiali i śmiali się, tym wyraźniej niepokój zniknął, jej ramiona rozluźniały się, a gruczoły potowe zwalniały pracę. Od czasu, gdy Jackson zrezygnował z ich cotygodniowych wspólnych obiadów i oddał się bez reszty rozpaczliwym próbom uratowania swego małżeństwa, z nikim nie rozmawiała z taką łatwością, z żadnym mężczyzną nie czuła się tak swobodnie i tak partnersko.

Wreszcie Brent podniósł rękę. Alex była zaskoczona, że mimo jej impertynencji kelner tak szybko się pojawił.

- Pozwolisz, że zamówię za ciebie? - zapytał Brent. - Wiem, że jesteś kobietą światową, ale mogę się uważać za specjalistę, jeśli chodzi o ten konkretny jadłospis.

Uśmiechnęła się.

- Myślę, że przeżyję ten jeden raz.

- Na początek poprosimy nadziewane pieczarki, a potem dwie porcje homarów Florentyny - odezwał się Brent do kelnera. - Dwie sałatki szpinakowe i koszyk ciepłego kwaszonego pieczywa. Proszę dopilnować, żeby tym razem rzeczywiście było ciepłe, panie Randolphie. Po co nam powtórka z rozrywki.

- Dobrze, panie Gibbons.

Kiedy kelner uciekł, Alex uśmiechnęła się do Brenta.

- Często przychodzisz terroryzować tego biedaka? Brent zgasił niedopałek papierosa i napełnił kieliszki szampanem.

- Od czasu do czasu. Poza tym to ty go sterroryzowałaś, a nie ja.

Przywarła wargami do kieliszka i przyjrzała się Brentowi. Niektórzy mężczyźni tracą z wiekiem. Na pierwszy rzut oka wydają się przystojni. Po chwili dostrzega się jednak blizny po wietrznej ospie, nierówno ogoloną skórę i włosy wystające z uszu. Inni wyglądają z początku nieszczególnie. Im dłużej im się jednak przygląda, tym wyraźniejszy staje się zarys

szczęki, tym żywszy wzrok, a oni sami bardziej intrygujący, czarujący i przystojni. Aż trudno uwierzyć, że nie zauważyło się od razu, jak są oszałamiająco atrakcyjni. Brent był takim właśnie mężczyzną.

- Naprawdę zapraszasz nowych pracowników na kolację? - zapytała. - Gzy może ja jestem kimś szczególnym?

Uśmiechnął się.

- Jesteś kimś bardzo szczególnym, Alex. I nie, nie zawsze zapraszam pracowników na kolację. Tylko, jeśli coś mnie w nich zaintryguje.

- Czy Carlocie to nie przeszkadza? - serce waliło jej jak młotem, gdy zadawała to pytanie.

- Carlotta jest... bardzo wyrozumiałą kobietą. Przez piętnaście lat naszego małżeństwa zdarzyło się wiele rzeczy. Trudno wymagać, żeby człowiek na zawsze zachował namiętność do tej samej kobiety. Ona ma teraz własne życie, własnych przyjaciół, i ja też.

- A twoje życie to także romantyczne kolacje w damskim towarzystwie?

- A ta jest romantyczna? Nie zauważyłem.

Alex z zakłopotaniem wbiła wzrok w kieliszek. Boże drogi, nie jest już dobra w te klocki. Bycie kokietką w liceum to nie to samo. Wymienianie aluzji seksualnych z obytym, żonatym mężczyzną tak dalece nie przystaje do umiejętności z jej ligi, że powinna chyba po prostu wstać i wyjść. Jej ciało lgnęło jednak ku niemu pchane własnymi pragnieniami, choć rozum ciągle krzyczał: On jest żonaty, idiotko! Co ty wyprawiasz, do cholery?!

- Przepraszam - powiedział Brent, delikatnie, uwodzicielsko dotykając kostek jej dłoni. - To było nieuprzejme z mojej strony. Rzecz w tym, że bardzo lubię kobiety. Zawsze je lubiłem i moja żona o tym wie. Cóż jest złego w niewinnym flircie?

Uśmiechnął się ponownie, ale serce mówiło Alex, że to nie jest niewinne, przynajmniej dla niej. Na miejscu Carlotty nie chciałyby, żeby jej mąż umawiał się z inną kobietą i gładził ją po dłoni.

Brent cofnął rękę, kiedy Randolph wrócił z pieczarkami.

- Widzi pani? - powiedział kelner, spoglądając na Alex. - Nic nie łązi.

Roześmiała się. Napięcie chwilowo zostało rozładowane.

- Tak, widzę. Na pewno jest pyszne.

Uśmiechnął się i z zadowoloną miną odszedł. Alex znów skupiła uwagę na Brencie.

- Opowiedz mi o swoim synu - zażądała w nadziei, że to bezpieczny temat.

- Peter jest wspaniały. Należy teraz do drużyny futbolowej. Mógłby się lepiej uczyć, ale pamiętam, jaki sam byłem w jego wieku. Za dużo jest ciekawych rzeczy do robienia i oglądania, żeby przez cały dzień siedzieć nad książkami. Bogu dzięki, odziedziczył po matce urodę. Ma czarne włosy i brązowe oczy. Za parę lat rzuci na kolana wszystkie dziewczyny.

Alex wsunęła do ust pieczarkę i zamknęła na moment oczy, żeby podelektować się cząbrowo-czosnkowym smakiem. Niecodziennie fundowano jej kolację za sto dolarów z hakiem. Ponownie otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- To chyba jakiś ideał.

- Idealny nie jest. Ale za to mój.

Miała zamiar omówić sprawę przejranych przez siebie teczek, ale Brent był taki fascynujący i rozmowny, że interesy uciekły jej z głowy. Pałaszowali fantastyczny obiad i deser, a on opowiadał o swoich domach na Rosyjskim Wzgórzu i w Palm Beach, o swojej smykałce do szachów i tenisa oraz o studenckich czasach na Harvardzie. Ona z kolei mówiła o swoim życiu, marzeniach, przyjaźni z Megan i Jacksonem i cotygodniowych telefonach do Los Angeles, do Klementyny.

- I nie waż się mówić, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką widziałeś - odezwała się do niego trzy godziny później, kiedy odwoził ją do domu. - Bez przerwy to słyszę, od kiedy wszyscy ją zobaczyli w tych głupich reklamach. Nikt nie chce uwierzyć nawet w to, że ją znam, a co dopiero, że jest moją najlepszą przyjaciółką. Myślałby kto, że to bogini, która nie może obcować z nami, zwyczajnymi ludźmi.

Zajechali właśnie przed wiktoriańską kamienicę, gdzie na trzecim piętrze znajdowało się jej nowe mieszkanie. Kiedy Brent przysunął się, żeby ją pocałować w policzek, woń jego wody kolońskiej zatańczyła wokół niej jak płomień. Zapach był bardzo przyjemny.

- To ty, droga Alex, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, że bym chociaż raz miał okazję oglądać reklamę z twoją przyjaciółką.

Alex otworzyła drzwi i wysiadła. Po chwili odwróciła się i pochyliła przez szybę.

- Jeśli będzie pan mówić podobne rzeczy, panie Gibbons, nie ręczę za swoje czyny. Nas, samotne dziewczyny, łatwo nabrać na czułe słówka.

- Zaryzykuję.

Zamknęła drzwi i powiodła wzrokiem za odjeżdżającym samochodem. Kiedy skręcił za róg, pędem pognęła po schodach do swego mieszkania.

Schwyciła słuchawkę i uśmiechając się opadła plecami na kanapę. Zony i potencjalna niewierność nie miały dla niej teraz znaczenia. Była zbyt szczęśliwa. Musiała zadzwonić do Klementyny.

* * *

Megan się ubrała i weszła do gabinetu lekarskiego. Marzyła, żeby zajść w ciążę od chwili, gdy poślubiła Jacksona pięć lat temu. Drogę od sali badań do gabinetu przeszła już dziesiątki razy. Zawsze z tym samym wynikiem - ciąży nie ina.

Usiadła na obitym skórą krześle w chłodnym gabinecie i odchyliła głowę do tyłu. Gdyby. Niczego więcej nie pragnie. Gdyby tylko udało jej się zajść w ciążę, wszystko byłoby dobrze. Jest o tym zupełnie przekonana. Jackson chce mieć dziecko tak samo jak ona. Nigdy nie powiedział tego wprost, ale ona wie, że tak jest. Byłby z niego wspaniały ojciec. A dziecko, ich dziecko, złączyłoby ich na zawsze. Jeśli nie potrafi kochać jej za nic innego, kochałby za to, że dała mu dziecko. Opiekowałby się nią przez dziewięć miesięcy, trzymał za rękę podczas porodu, a potem wybieraliby się w trójkę na spacer do parku, na wycieczki statkiem po zatoce, do muzeum dla dzieci. Ich miłość stałaby się rzeczywista.

Nie wymuszona, naciągana i pełna skrępowania, jak to ma miejsce od roku, czyli od chwili, gdy zaczęli terapię.

Nie w tym rzecz, że Jack się nie stara. Wiedziała, że robi, co w jego mocy. Wiedziała, że nigdy w życiu nie wkładał w nic tyle wysiłku. Nie zarabia tak dużo jak w firmie architektonicznej, ale praca asystenta matki Alex, Jo, w Muzeum Sztuki w San Francisco, sprawia mu wyraźnie więcej zadowolenia. Poza tym maluje raptem kilka godzin w weekendy, i to tylko wtedy, gdy ona pracuje w ogrodzie albo robi zakupy. Kocha się z nią w każdy piątek i sobotę wieczorem, o jedenastej trzydzieści, po wiadomościach. Zajmuje mu to dokładnie dwie i pół minuty. Nic dziwnego, że Megan nie może zajść w ciążę. Żadne dziecko przy zdrowych zmysłach nie chciałoby zostać poczęte w takich warunkach.

Mimo że się starał, że mówił jej o miłości, że chwalił ją za gotowanie, sprzątanie i pracę w ogródku, w ich wspólnym życiu było coś nieprawdziwego. Jego dotyk był drętwy. Jego słowa brzmiały pusto, jakby wydzierał je sobie z gardła nadludzkim wysiłkiem. Chwile szczerości następowały wyłącznie, gdy kończyli się kochać. On odwracał się od Megan bez pocałunku, nie przytuliwszy jej nawet na chwilę, ona zaś, zostawiona sama sobie, płakała. Czuła w takich chwilach, że nikogo tak mocno nie kochała i choć bardzo się stara, a Jackson wkłada mnóstwo

wysiłku w uratowanie ich małżeństwa, nigdy nie odwzajemni jej uczucia z równą siłą.

Do gabinetu wszedł doktor Harding, siwy mężczyzna w okularach, koło pięćdziesiątki. Zamknął za sobą drzwi, a Megan poczuła kamień na żołądku. Doktor obszedł biurko i usiadł. Oparł brodę na rękach i spojrzał na nią.

- Dlaczego nie powiedziała mi pani o aborcji, pani Megan?

Zabrakło jej tchu w piersiach. Musiała odetchnąć kilka razy, zanim powietrze ponownie wypełniło jej płuca.

- Straciliśmy tyle czasu - ciągnął doktor. - Lekarstwa hormonalne i badania spermy niewiele pomogą, jeśli plemnikowi zagradza drogę zablizniona tkanka.

Odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. Powiedział to z taką łatwością: aborcja - jakby mówił cukier albo łakoć. Nieświadomie chwyciła się za brzuch.

- Próbuję o tym zapomnieć - powiedziała, otwierając oczy.

Doktor Harding pokiwał głową i odwrócił wzrok. Czowała, że jest w stanie wyczytać z jej twarzy wszystko, obejrzeć scena po scenie, jak film. Tony'ego, Alex, tamten zimny gabinet i lekarza, który uśmiechnął się chwilę przedtem, zanim wypruł z niej dziecko.

- Aborcja może być bardzo bolesnym przeżyciem - powiedział doktor Harding, zaglądając do jej karty. - Ale pani nie wolno wmawiać sobie, że jej nie było. Czy nigdy nie przyszło pani do głowy, że bezpłodność u pani może mieć związek z aborcją? Albo że ja zorientuję się, co zaszło, podczas badania?

Potrząsnęła głową. Nie pomyślała o tym. Nie chciała pomyśleć. Woliała udawać, że to się nigdy nie stało, udawać, że nie było nikogo poza Jacksonem, nią, ich domem i ich miłością. Gdyby potrafiła wznieść wokół nich wystarczająco mocny mur, zniknęłaby przeszłość i jej koszmary.

Doktor poczekał, aż wytrze oczy.

- No, dobrze, nie mówmy już o tym - powiedział. - Decydujące znaczenie może mieć w tej sytuacji operacja. Będzie pani musiała poddać się operacji usunięcia zabliznionej tkanki, jeśli chce pani spróbować zajść w ciążę. Zagradza plemnikowi drogę do jajeczka, a jajeczku drogę do macicy.

- Dobrze - odparła natychmiast.

- Cieszę się. Niestety nie będę mógł przeprowadzić tej operacji osobiście.

- Jak to? Dlaczego?

- Nie wiem, czy pani pamięta, że wyjeżdżam jutro do Francji. Na coś w rodzaju sześciomiesięcznej wymiany lekarzy i informacji. Na moje miejsce przyjeżdża kolega z Francji.

- Nie chcę, żeby on mnie operował.

- Pani Megan, to dobry lekarz.

- Może nawet mieć Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny - powiedziała, podnosząc się. - To moje ciało. Idzie o moje przyszłe dziecko. Chcę, żeby to był ktoś, komu mogę zaufać. Ktoś z naszego kraju, kogo pan dobrze zna i może mi polecić bez żadnych zastrzeżeń.

Doktor Harding wziął do ręki ołówek i napisał na kartce papieru jakieś nazwisko.

- Wobec tego, dobrze. Radzę pani zgłosić się do doktora Lawrence'a Mendelsohna. To jeden z czołowych chirurgów - ginekologów na Zachodnim Wybrzeżu. Niestety pracuje w Los Angeles.

- To nie szkodzi.

- Będzie pani musiała tam pojechać na operację. Megan pomyślała o Klementynie. Było zrozumiałe, że drzwi jej domu stoją otworem dla Megan i Alex, podobnie jak ich drzwi dla niej. Nic tak jej nie dodawało otuchy, jak świadomość, że zawsze ma dokąd pójść.

- Nie szkodzi - powtórzyła, ściskając kartkę w dłoni. - Nie rozumie pan, że pojadę wszędzie, aby tylko mieć dziecko? Muszę ponownie zajść w ciążę, doktorze Harding. Muszę.

* * *

Kiedy Megan wróciła do domu, Jackson siedział na kanapie w salonie, czytając gazetę. Uśmiechnął się do niej, gdy weszła. Gdyby nie ten uśmiech, potrafiłaby traktować Jacksona z dystansem, mniej go kochać. Może wtedy nie bolałaby jej tak bardzo łatwość, z jaką odsuwa się od niej, skwapliwość, z jaką odkłada słuchawkę, gdy ona dzwoni, pocałunki, które zawsze przerywa jako pierwszy. Ale codziennie się uśmiechał. Codziennie miała nadzieję, że tym razem się w niej zakocha.

- Jak było u lekarza? - zapytał, odkładając gazetę i kierując na nią wzrok.

Rzuciła torebkę na stół i usiadła obok niego.

- Będę musiała polecieć w przyszłym tygodniu do Los Angeles.

- Co takiego?

- Doktor Harding odkrył powód, dla którego nie mogę zajść w ciążę. Zabliźniona tkanka całkowicie zagraża drogę spermie. Ponieważ sam

wylatuje jutro do Francji, poradził mi, żeby operację przeprowadził pewien lekarz z Los Angeles. Zatrzymam się u Klementyny. Na pewno wszystko dobrze pójdzie.

- Zaraz, zaraz. Zabliźniona tkanka? A skąd się wzięła?

Źrenice Megan rozszerzyły się z przerażenia. Jackson złapał ją za ramiona, przekonany, że za chwilę zemdleje. Na jej twarzy malował się blady strach.

- Powiedz mi, Meg. Możesz mi wszystko powiedzieć bez obawy.

Megan wbiła wzrok w jego spodnie, beżowe, bawełniane spodnie z zakładkami przy pasku. Każda fałda została skrupulatnie wyprasowana. Jackson był pedantem. Co wieczór stał przy desce do prasowania, przyciskając żelazko, z którego leciały obłoki pary.

- Megan - powtórzył, potrząsając nią. - O co chodzi? Przecież mam prawo wiedzieć, prawda?

Spojrzała na otwarte okno, na koronkowe firanki wydymane późnopołudniowym podmuchem wiatru. W promieniach słońca widziała unoszący się w pokoju kurz. Tyle kurzu. Nigdy nie zdoła go pokonać.

Wstała i podeszła do okna. To wspomnienie wciąż jej nie opuszczało. Nie potrafiła całkowicie go ukryć pod powłoką normalności. Jaka była głupia! Nigdy nie powiedziała o aborcji lekarzowi ani rodzicom, z wyjątkiem Alex i Klementyny. A zwłaszcza Jacksonowi. Po co? Byłby to kolejny punkt przeciwko niej. Jeszcze jedna skaza, którą mógłby dopisać do i tak już długiej listy powodów, dla których nie kocha żony. Jak mogła być tak nieostrożna? Powinna była powiedzieć mu, że to cysta albo niezłośliwy nowotwór, cokolwiek, byle nie zabliźniona tkanka.

- Meg - wyszeptał. Stał za nią, opierając brodę o jej ramię. Czują jego oddech na swoim policzku. Teraz nie może się już wycofać. Nie może nic odwołać. Nie może skłamać. Powie mu, on ją znienawidzi i taki będzie koniec. Odchyliła głowę do tyłu i oparła się o niego.

- Był ktoś przed tobą w moim życiu, kiedy miałam piętnaście lat. On się nazywał Tony. Byłam wtedy głupia. Nie używałam żadnych środków antykoncepcyjnych, a kiedy powiedziałam mu, że jestem w ciąży, dał mi do zrozumienia, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Miałam aborcję.

Kiedy wymawiała te słowa, poczuła, że przeżywa to od nowa. Poczuła na sobie ręce lekarza, który w niej dłubie. Znieczulenie nie odrętwiło jej zupełnie i czuła, jak gorąca krew tryska jej między nogami i wsiąka w ręczniki, stając się lodowato zimna. Wrzeszczała, błagała, żeby przestał, a jej paznokcie wbijały się w ramiona Klementyny. Miała nad sobą

zapłakaną twarz przyjaciółki. Nigdy wcześniej nie widziała jej płaczącej. Klementyna kręciła głową, jakby chciała powiedzieć, że nic nie może zrobić, a jej łzy spadały na Megan. Potem Megan zemdląła, pogrążając się na przemian w marzeniach o Tony i ich dziecku i w koszmarach o nożach, wycinających z niej życie.

Nie zauważyła, że krzyczy, dopóki nie poczuła, że męskie ramiona chwytają ją i ściągają ze sobą na ziemię. Zaczęła okładać pięściami klatkę piersiową tego człowieka, sądząc najpierw, że to Tony, potem że lekarz, a wreszcie Klementyna, która pozwoliła, żeby jej to zrobił, żeby ją zranił, żeby jej odebrał jedyną rzecz należącą naprawdę do niej.

- To było moje dziecko - wrzasnęła. Jej obolałe i zmęczone pięści opadły wreszcie na kolana. Jackson przytaknął ruchem głowy i objął ją mocniej. Jego łzy wsiąkały w koszulę Megan, mocząc jej ramię. - Widziałam je. To było moje dziecko.

Wtuliła się w ramiona męża i nie zaprotestowała, gdy zaczął ją kołysać. Przestała płakać dużo wcześniej niż on.

- Kocham cię, Megan - wyszeptał. Przytuliła się do niego mocniej. - Kocham cię.

Rozdział 15

Klementyna stała przy wejściu do baru. Jej ubranie i włosy przesiąkały dymem, a mężczyźni z uśmiechem przechodzili obok, bliżej niż by wypadało. Zacisnęła dłonie, odpędziła od siebie obraz JEGO twarzy i opanowała ogarniającą ją panikę, która zawsze temu obrazowi towarzyszyła. Podniosła wysoko głowę, przypomniawszy sobie, po co tu przysłała. Ma spotkać się z ojcem. Dla niego mogłaby tak stać do końca życia.

Ostatni raz widziała go czternaście lat temu, kiedy była dziesięcioletnią dziewczynką. Czternaście lat! Serce jej pękało na myśl, ile mogliby dla siebie znaczyć w tym czasie i co mogliby wspólnie zrobić. Ich wzajemne oddalenie zawsze jej ciążyło, ale od chwili, gdy przeprowadziła się do Los Angeles dwa i pół roku temu, w próby jego odnalezienia wkładała więcej wysiłku niż kiedykolwiek. Obdzwoiła starych znajomych, poszła do biblioteki i przejrzała książki telefoniczne wszystkich miast w poszukiwaniu nazwiska Duke'a. Nie potrafiła się powstrzymać. Umiała nad sobą zapanować na próbach, a na zaczepki mężczyzn reagować chłodno i ze stoickim spokojem. Kiedy jednak przypominał się jej Duke, opadały wszystkie maski. We wczesnej młodości, kiedy on był bosko przystojnym mężczyzną, a ona nie miała jeszcze kobiecych kształtów, połączyły ich więzy, których nie potrafiła teraz zerwać.

Zawsze miała wrażenie, że był kluczową postacią w jej życiu, że dzięki niemu jest tym, kim jest. W miarę upływu czasu, gdy sukcesy przychodziły rzadko, jeśli w ogóle, a wspomnienie o gwałcie pozostawało zbyt żywe w jej pamięci, coraz częściej przypominała sobie Duke'a, aż wreszcie całkowicie opanował jej myśli. Gdyby tylko mogła go zobaczyć, wszystko by się ułożyło. Odrodziłaby się jej wiara w miłość. Wierzyła w to z całego serca.

Wyglądało na to, że odnalezienie go jest sprawą beznadziejną, dopóki jego dawny sąsiad z Denver nie napomknął, że słyszał od znajomego, iż Duke jest w Las Vegas. Klementyna wpadła do biblioteki, złapała najnowszą książkę telefoniczną i jakimś cudem znalazła jego nazwisko. Teraz musiała go tylko przekonać, by przyjechał się z nią zobaczyć.

Za pierwszym razem, gdy do niego zadzwoniła, podszedł fio jej propozycji z wahaniem i ostrożnie, jakby nie była jego córką, tylko jakąś telefoniczną akwizytorką.

- Duke'u, to ja, Klementyna - powiedziała, a on w odpowiedzi nie potrafił z siebie wydusić słowa. - Tęskniłam za tobą - ciągnęła drżącym głosem. - Dowiedziałam się, że jesteś w Las Vegas i...

- Chcesz czego ode mnie? - zapytał. - Nie mogę ci dać żadnej forsy.

Zabrakło jej w płucach powietrza. Z trudem zdławiła napływające łzy. Dlaczego zawsze tak się dzieje? Dlaczego zawsze, gdy pokocha kogoś całą duszą, nie znajduje żadnej wzajemności? Dlaczego zależy na niej ludziom, bez których może się obyć? Dlaczego ludzie nigdy nie Kochają we właściwym momencie właściwej osoby?

- Chcę się tylko z tobą zobaczyć - odparła. - Mieszkam teraz w Los Angeles. Pomyślałam, że może miałbyś ochotę mnie odwiedzić.

Wykręcił się jakąś wymówką, której teraz już nawet nie pamiętała. Weszła do baru i zamówiła kieliszek białego wina. Zapaliła papierosa - jednego z kilku, po jakie sięgnęła od czasów licealnych. Kiedy wrzucała zapalną do popielniczki, drżała jej ręka.

W ciągu trzech tygodni zadzwoniła do Duke'a cztery razy. Miała wrażenie, że straciła kontrolę nad tym, co robi. Chciała być taka silna, na jaką wyglądała w towarzystwie innych ludzi, ale zaraz przychodziło jej do głowy: to mój ojciec. To wystarczało, by stawała się znów dzieckiem, by aż do bólu pragnęła mieć go przy sobie.

Przy czwartym telefonie sprawiał wrażenie człowieka wyczerpanego i skłonnego do wszelkich ustępstw, byle się jej pozbyć. W końcu zgodził się przyjechać do Los Angeles i z nią spotkać. Puściła w niepamięć jego wahanie i poświęciła się fantazjom na temat ich spotkania. Będą siedzieć i pić, potem pójdą na kolację, a ona mu opowie całe swoje życie. Dzięki niemu wszystko się obróci na lepsze. Ojcowie mają tę właściwość.

Czekała już pół godziny, zdążyła wypalić trzy papierosy i wypić dwa kieliszki wina, kiedy wreszcie się zjawił. Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że przyszedł. Poczowała, że wypatruje jej na sali, i zaswędziały ją włoski na karku. Wyprostowała ramiona i obejrzała się za siebie. Na jego widok, jak dawniej, zaparło jej dech w piersiach. Był wysoki i wściekle przystojny. Miał na sobie dzinsy i jasny sweter. Ich oczy spotkały się. Wstała, chcąc do niego podejść. Pragnęła tylko jednego - podbiec i paść mu w objęcia, ale prześliznął się po niej wzrokiem i wyszczerzył zęby w uśmiechu do kogoś zupełnie innego.

Klementyna odwróciła się i zobaczyła, że z krzesła wstaje młoda, piękna, ciemnowłosa kobieta i rzuca się w jego objęcia. Cmoknął ją głośno, zwracając na siebie uwagę większości klientów. Klementyna z

zaskoczeniem i zakłopotaniem dostrzegła, że ojciec przesuwając ręką po siedzeniu kobiety.

- Świetnie wyglądasz, Glorio - odezwał się zbyt głośno.

Klementyna na wpół stała na wpół siedziała, nie wiedząc, co począć. Czekala w nadziei, że odsunie kobietę i popędzi do niej, ale najwyraźniej sprawiało mu przyjemność obmacywanie tamtej po całym ciele mimo kierowanych nań zewsząd spojrzeń. W końcu, kiedy Klementyna doszła do wniosku, że tego dłużej nie znieś, podeszli do niej oboje.

- Cześć, Klementyno - powiedział. Zamiast objąć ją albo pocałować, stanął obok niezręcznie, mocno obejmując kobietę. - To jest Gloria.

Kobieta uśmiechnęła się promiennie, a Klementyna poczuła szczypiące ją w oczach łzy. Zamrugala, żeby je odpędzić, i zapaliła kolejnego papierosa.

- Miło cię poznać - odezwała się Gloria, przerywając ciszę. - Duke mówił mi, że zamierza się z tobą zobaczyć przy okazji wizyty u mnie w Los Angeles. Moim zdaniem to wspaniale, że chcecie utrzymywać kontakt.

Klementyna spojrzała na Duke'a, błagając go wzrokiem, by coś powiedział, by zaprzeczył, ale nie chciał spojrzeć jej w oczy. Przesuwał dłonią po tułowiu Glorii, muskając z boku jej piersi.

- On zamieszka u pani? - zapytała Klementyna. Myślała, że przenocuje u niej, to się rozumiało samo przez się. Widziała w wyobraźni, jak Duke śpi u niej na poddaszu na kanapie, jak wspólnie piją rano kawę, opowiadając sobie o wszystkim.

- Oczywiście - odparła Gloria. - Nie uprzedziłeś jej, Duke'u?

Duke zamówił u barmana czystą szkocką i w końcu spojrzał na Klementynę. Nie była pewna, co dostrzegła w jego oczach: lęk, chęć ucieczki, poczucie winy czy złość. Wiedziała tylko, że nie to chciała zobaczyć, nie tego od ojca potrzebowała, i w niczym nie przypominało to uczuć, które on dojrzał w jej oczach.

- Pewnie zapomniałem - powiedział. - Pomyślałem, że będzie prościej, jeśli zamieszka u Glorii. U niej jest więcej miejsca. A poza tym jestem pewien, że prowadzisz życie wolnej kobiety. Nie chcę ci przeszkadzać.

Klementyna skinęła głową. Co innego jej pozostało? Pili we trójkę alkohol, gdy tymczasem Gloria paplała o swojej pracy stewardessy, o tym, jak się z Dukiem poznali podczas lotu do Dallas, i o różnych zwariowanych rzeczach, jakie wyprawiali w łóżku tej samej nocy. Gdyby to nie było takie smutne, Klementyna zapewne uznałaby za zabawne, że ojciec chęłpi się przed nią swym życiem seksualnym, szturchając ją w żebra, jakby była

jego kumplem od pokera. Obserwowała go. Przyglądała się jego włosom, które lekko siwiały, i jego blademu uśmiechowi. Wyglądał jak mężczyzna z jej wspomnień. Miał taki sam głos. Ale poza tym nic się nie zgadzało. Nie mogła wyciągnąć ręki i go dotknąć. Na koniec wieczoru nie weźmie jej w ramiona i nie osuszy jej łez. Nie zanuci jej do ucha. Zabierze Glorię do domu, będzie z nią wyprawiał zwariowane harce i prawdopodobnie nigdy już nie pomyśli o Klementynie.

- Mielibyście ochotę wybrać się ze mną na kolację? - zapytała, usiłując uratować godność i przynajmniej część wieczora. - Moglibyśmy pójść gdzieś do Hollywood, ja funduję.

Gloria spojrzała na Duke'a, niedwuznacznie dając mu wzrokiem do zrozumienia, że kolacja z jego córką nie jest tym, na co ma ochotę. Klementyna wyprostowała się i podniosła głowę, mając nadzieję, że przynajmniej ten jeden raz ojciec weźmie jej stronę. Duke tylko mocniej uściśnął Glorię.

- Przykro mi, złotko - powiedział. - Jużeśmy się z Glorią umówili. Ale miło cię było zobaczyć. Powinniśmy zrobić to wcześniej.

Gloria powiedziała Klementynie, że cieszy się z jej poznania, i oboje odwrócili się, żeby odejść. Po chwili Duke zawrócił. Klementyna wstrzymała dech w piersiach. Pochylił się, rozsiewając wokół niej zapach swojej wody kolońskiej i pocałował ją w policzek. Nie przestraszył jej dotyk jego ust: były miękkie, niewinne, ojcowskie.

- Chyba już nie będę miał okazji, żeby się z tobą spotkać w ten weekend - powiedział. - Gloria chce iść na plażę i może do Disneylandu. Sama rozumiesz. Nie widziałem jej przez parę ładnych lat.

Klementyna skinęła głową i nawet nie spojrzała na wychodzącego Duke'a. Zamówiła u barmana jeszcze jedno wino, a potem następne. Palila papierosy, przyglądając się, jak opada z nich popiół. Myślała, że nie ma silniejszego uczucia niż miłość ojca i matki do dziecka. Tak twierdziły wszystkie osoby prowadzące talk-show w telewizji. Pocieszała się myślą, że kłamią, w głębi duszy wiedziała jednak, że to tylko jej rodzice są inni. Pewnie zrobiła coś, co sprawiło, że przestali się o nią troszczyć. Przez całe życie czuła się tak, jakby dla nich tańczyła bez jednej przerwy na oddech, jakby wirowała aż do mdłości i zawrotów głowy. Oni tego jednak nie zauważali, nie byli z niej dumni. A może myślą, że ona nie potrzebuje ich pochwał? Może to dlatego nie pomaga jej w życiu nikt oprócz przyjaciółek, że udaje osobę, u której pod każdym względem wszystko gra i która całkowicie panuje nad swoim życiem?

Zdusiła papierosa i wstała. Sala zachybotła jej w oczach, więc uchwyciła się krawędzi kontuaru. Poszukała wzrokiem barmana.

- Zamówić pani taksówkę? - zapytał.

Skinęła głową.

- I wizytę u psychiatry - powiedziała, wybuchając śmiechem.

Klementyna przełożyła ostatnią kartkę scenariusza i oparła się o pień dębu. Siedziała na trawie w niewielkim osiedlowym parku dwie przecznice od swego mieszkania. Często przychodziła tu czytać, zwłaszcza przez ostatnich kilka tygodni, od kiedy Megan przeszła operację. Uciekała od ciągłego hałasu telewizora, którego Megan nie wyłączała od dziewiątej rano do trzeciej po południu. Przez cały dzień dobiegały odgłosy rozbrzęczanych, przegadanych teleturniejów i tasiemcowych seriali o naciąganej fabule.

Przesunęła dłonią po oprawionych stronicach, powtarzając sobie w duchu, że to się dzieje naprawdę, że ma szansę na tę rolę - co prawda bardzo nikłą, ale jednak. Willowi udało się jakimś sposobem zdobyć dla niej egzemplarz sygnałny.

- Chodzą słuchy, że wytwórnia filmowa może pójść na nieznaną twarz - powiedział do niej. - Wprawdzie głośno wymieniają duże nazwiska, ale to tylko fanfaronada. Chcą utrzymać niskie koszty.

Scenariusz został napisany przez Tylera Holbrooka, młodego dramaturga, który zabłysnął rok wcześniej super-przebojem „Daremma miłość”. Najpierw dostał Nagrodę Pulitzera, potem Oscara, a wreszcie zaszył się w swoim domu na hollywoodzkim wzgórzu, gdzie wyprodukował dwa kolejne scenariusze. Klementynie nie chciało się wierzyć, że trzyma jeden z nich w ręku.

„Wyrok skazujący”. Po wielu latach czytania bezwartościowych scenariuszy, pełnych debilnych dziwek i morderców-psychopatów, zabijających z wprawą rzeźnika, ten wydał się jej darem z nieba. Przyszła rano do parku z myślą, że poczyta godzinę lub najwyżej dwie. Tymczasem scenariusz tak ją urzekł, że pochłonęła go w całości. Skończyła dopiero o trzeciej trzydzieści, po sześciu i pół godzinach.

„Wyrok skazujący”. Historia zwykłej kobiety - żony i matki - bezwstydnie zdradzanej przez męża z dziewiętnastoletnią studentką, a następnie niesłusznie oskarżonej o jej zamordowanie. W czasie całego wyczerpującego procesu, który kończy się wyrokiem skazującym bohaterkę na karę trzydziestu lat więzienia, Melissa Marlow (tak nazywa się bohaterka) utrzymuje, że jest niewinna. Po odbyciu pięciu lat więzienia

dowodzi słuszności swojej sprawy przy pomocy życzliwego prawnika, w którym się zakochuje.

Film poruszałby wszystkie problemy, przed którymi staje bohaterka - upokorzenia doznawane w więzieniu, uporczywe wysiłki, by utrzymać kontakt z dziećmi, rozwód i walkę o powrót do normalnego życia po obaleniu wyroku i wyjściu na wolność.

Klementyna podkuliła nogi i oparła brodę na kolanach. To był trudny film, surowy, a w scenach gwałtu w więzieniu nawet brutalny. W tym przypadku mogła chociaż przywołać własne emocje. Była to bardzo aktorska rola. Melissa miała w sobie głębię, wewnętrzny ogień, siłę, lęk i pragnienia - wszystko. Tyler Holbrook jest geniuszem. Stworzył złożoną, prawdziwą postać. Przedstawił ją w trzech pełnych i różnorodnych wymiarach, które sprawiały, że była bardziej ludzka niż wiele osób znanych Klementynie w autentycznym życiu. Boże drogi, jak bardzo chciała dostać tę rolę.

Will zapowiedział, że będzie musiała zrobić próbne zdjęcia co najmniej dwa razy, a jeśli przejdzie przez wstępne eliminacje, to nawet trzy. Dzięki komitywie z kierownikiem obsady w Lancelme Studios, gdzie film miał zostać wyprodukowany, mógł wystarać się dla niej przynajmniej o pierwsze czytanie roli. Reszta będzie już zależała od niej. Wzięła dotąd udział jedynie w próbnym zdjęciu do mało znaczącej roli w serii filmowej ABC, ale to było nic w porównaniu z tym, co ją teraz czeka. Tu będzie dla kierownika obsady jedną więcej twarzą w tłumie. Będzie musiała czymś się wyróżnić. Taka rola otworzyłaby jej drogę do kariery. Tym filmem mogłaby zaistnieć na ekranie. Nie potrafiła sobie wyobrazić swojej przyszłości, jeśli nie dostanie tego angażu.

Wstała i otrzępała się z trawy. Musi natychmiast wziąć się do roboty. Pójdzie wieczorem do Willa i powie mu, że scenariusz ją zachwycił i jest gotowa iść na czytanie roli wszędzie i o każdej porze. A do tego czasu będzie pracować jak wariatka. Nauczy się i przećwiczy rolę, zdobędzie jakieś informacje o środowisku więziennym i procesach o morderstwo. Zrobi wszystko, żeby dostać tę rolę. Megan będzie musiała obyc się przez tydzień czy dwa bez Boba Barkera i zastąpić Klementynie publiczność. Na horyzoncie wstaje nowa gwiazda.

* * *

„Wszystkie moje dzieci” były ulubionym serialem Megan. Nikt nie potrafił przebić Eriki Kane. Ta bezlitosna i władcza kobieta zmieniała mężczyzn częściej niż Alex. Megan traktowała serial jako źródło

natchnienia. Oglądała go, prostowała ramiona i dzwoniła do muzeum, do Jacksona. Dźwięk jego głosu działał na nią jednak jak stara piosenka przywołująca gorzkie wspomnienia. Gubiła maskę twardej osoby i stawała się tylko Megan - kochającą, oddaną i potwornie samotną żoną.

Owinęła się szczelniej kocem i zwiększyła w telewizorze siłę głosu. Klementyna wyszła czytać ładnych parę godzin temu, podczas „Piramidy za dziesięć tysięcy”. Chodziło, zdaje się, o jakiś scenariusz. Od czasu operacji, która odbyła się przed dwoma tygodniami, Klementyna często zostawiała ją samą, za co Megan była jej wdzięczna. Nie w tym rzecz, że nie lubiła jej towarzystwa. W końcu to mieszkanie Klementyny, a nocowanie u dawnej przyjaciółki przypominało powrót w bezpieczne, chroniące przed złem objęcia matki, w których wszystkie zapachy i dźwięki wydają się znajome.

Klementyna była dla niej cudowna. Po operacji, kiedy lekarz polecił jej przez parę tygodni nic nie robić i odpoczywać, Klementyna wręczyła jej pilota, numery telefonu do chińskich restauracji i pizzerii prowadzących dostawę do domu klienta i stertę powieścideł, które znalazła w garderobie. Mimo to za każdym razem, gdy przyjaciółka była w pobliżu, coś w jej wzroku sprawiało, że Megan czuła się skrepowana. Miała wrażenie, że Klementyna nie akceptuje jej recepty na powrót do zdrowia - mikstury z cukierków, chipsów ziemniaczanych i Eriki Kane.

Megan spała na kanapie, jadła posiłki na kanapie, na kanapie czytała, oglądała telewizję oraz rozmawiała z Jacksonem. Zastanawiała się, czy nie ma szans na pobicie jakiegoś rekordu „Księgi Guinnessa”. Na przykład w ciągłym leżeniu na kanapie, nie licząc wyjść do łazienki. A nuż okazałoby się, że jednak jest w czymś dobra.

Usłyszała dźwięk przekręcanego w zamku klucza i po chwili do środka weszła Klementyna. Megan zauważyła, że na jej twarzy pojawił się na moment wyraz wstrętu na widok przyjaciółki i otaczającego ją bałaganu. Megan usiadła prosto.

- Zdaje się, że masz już trochę dość tego, że cały czas się wyleguję, prawda? - zapytała.

- Ależ skąd, Meg - zaprzeczyła Klementyna, kładąc scenariusz na stole kuchennym. Wzięła ze stolika trzy szklanki wypełnione do połowy wodą oraz talerzyk z okruszkami i zaniósła je do zlewu.

Megan zrzuciła z siebie przykrycie i podniosła się.

- Przestań. Proszę cię, Ciem. Przecież ja to mogę zrobić. Do czegoś się w końcu jeszcze nadaję.

Klementyna spojrzała na Megan, która ciągle miała na sobie nocną koszulę. Nosiła ją bez przerwy od operacji. Jasne włosy miała zmierzwione, jakby je potargał wiatr. Wzięła Megan pod ramię i zaprowadziła ją z powrotem do kanapy.

- To takie łatwe, prawda? - zapytała.

- Co takiego?

- Nic nie robić. O niczym nie myśleć. Oglądać rozwrzeszczanych uczestników teleturnieju, upadłe kobiety i niewiernych mężczyzn. To prostsze niż stanąć oko w oko z rzeczywistością.

- Jaką rzeczywistością? Przyjechałam tu na operację. Już mam ją za sobą i niedługo wrócę do domu.

- Jak prędko możesz znów spróbować zajść w ciążę? Megan wygładziła włosy.

- Doktor Mendelsohn powiedział, że za jakieś sześć tygodni do trzech miesięcy, w zależności od tego, jak szybko się zagoi. Będę musiała iść na kontrolę do tego francuskiego lekarza, który zastępuje doktora Hardinga, i jeśli wszystko będzie w porządku, możemy z Jacksonem znów próbować.

- Jackson pewnie bardzo się cieszy - rzuciła Klementyna, miętosząc róg koca.

Megan nie odezwała się, a Klementyna zauważyła wzbierające w jej oczach łzy.

- Co ci jest, Meg?

Megan potrząsnęła głową i umknęła z powrotem na kanapę. Złapała poduszkę i przytuliła ją do brzucha.

- To wygląda zupełnie inaczej niż mówiłam - wyszeptała.

- Wcale nie jesteśmy szczęśliwi. Codziennie zaczyna się ta sama batalia. Walczyłabym do upadłego, żeby mnie pokochał, gdybym tylko wiedziała jak.

Klementyna oparła czoło o głowę przyjaciółki.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie wiem. Chciałam udowodnić tobie i Alex, że pasujemy do siebie z Jacksonem, że mój sposób na życie jest równie dobry jak wasz. Nie potrafiłam się przyznać, że...

Zaczęła szlochać. Klementyna objęła ją, przypominając sobie wszystkie nienaturalne rozmowy telefoniczne w ciągu ostatniego roku, podczas których Megan ograniczała się do stwierdzania, że u niej wszystko w porządku. Klementyna nie nalegała na rozwinięcie tematu, a powinna była. Przyjaciółki zmuszają się nawzajem do wyjawiania prawdy.

- Nie musisz niczego udowadniać ani mnie ani Alex - powiedziała Klementyna. - My cię kochamy.

Megan wytarła oczy i usiadła.

- Nie rozumiem Jacksona - powiedziała. - Powinien być szczęśliwy. Każdy normalny mężczyzna byłby szczęśliwy w normalnym małżeństwie. Dlaczego z nim tak nie jest? Dlaczego mnie nienawidzi? Dlaczego zawsze, jak do niego dzwonię, rozmawia ze mną tak, jakby miał milion spraw do załatwienia? Dlaczego ze mną nie przyleciał na tę operację? Dlaczego nie ma go teraz przy mnie, dlaczego mnie nie obejmuje, dlaczego nie wyważy tych drzwi, żeby mnie zabrać do domu i kochać się ze mną? Dlaczego, Klementyno?

Klementyna wzięła do ręki pilota i zgasiła telewizor. Podniosła się, stanęła za ratanowym krzesłem z oparciem w kształcie wachlarza i położyła na nim ręce.

- Pytałaś go kiedyś, czy chce mieć dziecko? Megan starła łzy i pokręciła głową.

- Taką decyzję trzeba podejmować we dwoje, Megan. Może on tylko chce być z tobą. Może myśl o ojcostwie cholernie go przeraża. Może nie jest do tego gotowy.

- Albo może mnie nie kocha i nie chce żadnych nowych więzów.

- Dlaczego go o to nie zapytasz?

- Żeby dowiedzieć się czegoś strasznego? - zapytała Megan z trwogą w głosie.

Klementyna pokiwała głową i wzięła do ręki scenariusz.

- To twoje życie. Ja muszę iść do Willa i spróbować umówić się na przesłuchanie. Ten film będzie wspaniały. Właśnie o czymś takim marzyłam.

- To cudownie - powiedziała Megan. Jej głos zabrzmiał jednak bezbarwnie.

Klementyna przyjrzała się jej, opierając jedną rękę na biodrze.

- Posłuchaj, Megan. Kocham cię nad życie. Wiesz o tym. Możesz zostać tu jak długo zechcesz. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie...

Megan pokręciła głową, zamykając jej usta. Klementyna zabębniła palcami po stole, po czym skierowała się ku drzwiom.

- Powiem, co myślę, tak czy inaczej - oświadczyła. - Jeśli tak piekielnie się boisz, że cię nie kocha, to równie dobrze moglibyście się rozwieść. Co to za małżeństwo? Nie wiesz, czy cię kocha. Nie wiesz, czy chce mieć dziecko, a jednak robisz wszystko, żeby zająć w ciążę. Chociaż nie jestem

ekspertem w sprawach miłości i małżeństwa, jedno mogę ci powiedzieć: nigdy, przenigdy nie ścierpiałabym niepewności i braku porozumienia, które ty znosisz. Zadzwoń do tego faceta, na miłość boską. Powiedz mu, żeby ruszył tyłek i tu przyleciał. Do diabła z pracą. Powiedz, że go kochasz, a jeśli on cię nie kocha, niech się wynosi do diabła. Przestań płakać i zachowuj się jak kobieta, Megan.

Kiedy Megan podniosła wzrok, Klementyny już nie było. To zaczyna stawać się zwyczajem, pomyślała, że wysłuchuje niezapomnianych przemówień Alex i Klementyny o swoim życiu i o tym, co powinna zrobić. Kiedy Megan próbuje sama powiedzieć coś podobnego, coś głębokiego i prawdziwego, język jej kołowacieje, a z ust wydobywa się tylko trochę śliny. Udawała, że jej nie obchodzi, co mówią. Ale w dziesięć minut po wyjściu Klementyny położyła rękę na słuchawce. Godzinę później wybrała numer Jacksona.

Alex i Jackson spotkali się w kawiarni na lotnisku. Jackson uśmiechnął się na jej widok. Była ubrana w ciemnoszary wełniany kostium, miała idealnie ułożone włosy, a makijaż skromny i elegancki. Wbił w nią badawczo wzrok, jak w trudną układankę, na której rozwiązanie dostał trzy minuty.

- Co ci jest? - zapytała.

- Próbuję tylko odnaleźć gdzieś pod tą twarzą w stylu Elizabeth Arden niepokorną, zwariowaną Alex.

Roześmiała się. Kiedy nadeszła ich kolej, zamówiła hamburgera, krążki cebulowe i mleczny koktail.

- Znalazła się - powiedział Jackson. - Czai się w twoich ustach, obżerając się tłustym i kalorycznym żarciem. Nasza poczciwa Alex.

Jackson zdecydował się tylko na kawę i drożdżówkę z cynamonem. Zapłacili i usiedli przy narożnym stoliku, z którego widać było pasy startowe. Boeing 747 Amerykańskich Linii Lotniczych zbliżał się do rękawa dla pasażerów.

- Taki los panien mądralińskich - powiedziała Alex, kiedy już odgryzła ogromny kęs hamburgera i wytarła brodę z tłuszczu. - Prawie zupełnie nie mam czasu na jedzenie. Obiadów nie jadam nigdy, a na kolację podgrzewam sobie zwykle w kuchence mikrofalowej mrożone burrito.

- Mniam, mniam.

- Tak wygląda życie kobiety interesów.

- A ty kochasz każdą jego minutę.

Jacksona oczarował jej uśmiech. Zawsze była radosna, beztroska i skłonna do śmiechu, ale tym razem uśmiechała się całą sobą, jakby w życiu spotykały ją co krok cudowne wydarzenia, jakby znalazła w nim szczęście przekraczające jej najśmielsze marzenia.

- Och, Jacku, jest lepiej niż dobrze. Jest wspaniale. Mam coś do powiedzenia. Wiem o tym. Nie pracuję tam nawet roku, a klienci już o mnie pytają. Chyba im się podoba mój styl - nie narzucająca się, ale rzeczowa i przyjacielska. A poza tym dzięki mnie osiągają zyski. Stworzyłam sieć własnych kontaktów na Wall Street i proporcja sukcesów do porażek wynosi u mnie blisko dziesięć do jednego. Brent twierdzi, że jeszcze nie widział, żeby ktoś tak szybko i z takim skutkiem zaaklimatyzował się w tej pracy.

- A do słów Brenta przywiązujesz wagę.

Alex odwróciła głowę, żeby ukryć uśmiech. Nie powinna się uśmiechać, wiedziała o tym, ale nie potrafiła się powstrzymać. Od czasu do czasu, kiedy prawie cały budynek był już pusty, Brent przychodził do niej wieczorami i sprawdzał rezultaty jej pracy. Kiedy ją chwalił, była taka szczęśliwa, że gdyby nastąpił koniec świata, wcale by się tym nie zmartwiła. To dziwne i onieśmielające uczucie tak bardzo pragnąć, a nawet potrzebować czyjś uznania. Jeśli je u niego znajdowała, była zachwycona i szczęśliwa.

- Stałaś się dla tej firmy kimś nieodzownym - powiedział jej dwa tygodnie wcześniej, kiedy szli razem do windy.

- Nieprawda - odparła, czując w ramionach i nogach łaskotanie, jakby jej dotknął. Dotarli do windy, a kiedy drzwi się otworzyły i weszli do środka, Brent objął ją w talii.

- Zgoda - poprawił się. - Nieodzownym dla mnie. Alex uśmiechnęła się, przypominając sobie tę scenę.

- Owszem, przywiązuję - odpowiedziała Jacksonowi. - Jest żonaty, więc to nigdy nie wykroczy poza kontakty zawodowe, ale nie ma osoby, którą bym bardziej szanowała.

Jackson spojrzął na jej twarz, w której czaiło się wiele tajemnic, i zadał sobie pytanie, czy ona wie, jak wiele wyraża emocji, i czy Brent to zauważył. Zakochuje się w tym mężczyźnie jak w żadnym dotąd, i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Nagle poczuł o nią strach. Zachowuje się, jakby miała nerwy ze stali, ale twarde skorupki często kryją kruche wnętrza. Alex zawsze trzymała emocje na wodzy, nie uświadamiając sobie ich siły. Jackson chyba nie znał kobiety, którą łatwiej byłoby zranić.

- Uważaj na siebie, dobra? Spojrzała na niego.

- Rozmawiasz z Alex, nie zapominaj o tym. Nie jestem rozmarzoną nastolatką. Mężczyźni istnieją w moim życiu tylko wtedy, gdy ich potrzebuję, i ani chwili dłużej. Sama wiem najlepiej, że związek z Brentem nie miałby żadnej przyszłości. Wystarczy mi, że się przyjaźnimy.

Uśmiechnęła się i wbiła zęby w hamburgera, ale Jackson nie poczuł się przekonany. Zdał sobie sprawę, że się zmieniła. Przeobrażała się w niezauważalny sposób z dnia na dzień, aż - zanim zdążył sobie uzmysłwić, co się dzieje - stała się obcą osobą, której nie rozpoznawał. Było w niej teraz więcej urzędowej powagi, lecz jednocześnie łagodności, jakby bezlitosne środowisko, w którym przebywała, spiłowało z jej usposobienia wszystkie kandy. Pragnął całym sercem, żeby była szczęśliwa, ale miał wrażenie, że ona nie rozumie, na czym naprawdę polega szczęście. Wątpił, czy którekolwiek z nich to rozumie.

Alex podniosła wzrok znad hamburgera i zauważyła, że Jackson patrzy za okno. Lepiej wygląda, pomyślała. Przez pewien czas, kiedy dwa razy w tygodniu chodził z Megan na terapię i próbował być idealnym mężem, kręgi pod jego oczami przybrały siny kolor i wyglądał na człowieka wycieńczonego i wyjałowionego, mimo wciąż mocnej budowy ciała. Dziś był opalony, kręgi pod oczami znikły, wzrok mu błyszczał, a ciemne włosy miał uczesane. Pozostał jednak pewien ślad napięcia - jego usta tworzyły prostą jak drut linię. Poczęstowała go krążkiem cebulowym.

- Dobrze ci robi - powiedziała.

- Raczej nie. Od kiedy Megan wyjechała, jadam tylko Big Mac'i i mrożoną pizzę. Podarłem listę czterech kategorii żywnościowych, którą wywiesiła na drzwiach lodówki, i wyrzuciłem do kosza.

- Bogu dzięki. Nie potrafiłabym podzielić żywności na cztery kategorie, nawet gdyby ktoś mi je wetknął pod nos.

Jackson obracał w dłoni cynamonową drożdżówkę. Nagle spojrzał ponownie na Alex.

- Zaprosiłem cię tu nie bez powodu - powiedział.

- Domyślam się.

- Zamierzam porozmawiać dziś z Megan po przylocie do Los Angeles. O nas.

Alex z trudem przełknęła ślinę i odsunęła od siebie talerz.

- Chcesz ją poprosić o rozwód, prawda?

Potaknął głową, unikając jej wzroku. Wbił spojrzenie w pojemniki na sól i pieprz, które stały w kałuży keczupu. Wytarł stolik własną chusteczką.

- Dlaczego akurat teraz? Co cię do tego skłoniło? Westchnął. Od chwili, gdy zwierzył się Alex, brzemię tej

decyzji mniej mu ciążyło. Rozmowa z nią zawsze momentalnie przynosiła wewnętrzne oczyszczenie - ciężar tajonych uczuć i niewypowiedzianych słów ulatywał z jego ramion niczym eksplodujące fajerwerki.

- Od kiedy wyjechała na operację trzy tygodnie temu, mam cały dom dla siebie. O, Chryste, nie uwierzyłabyś, Alex, ile to zmieniło. Mogę malować całą noc, jeśli mam ochotę. Mogę zostawiać naczynia w zlewie i nie słyszę, że powinienem je wstawić do zmywarki. Mogę spacerować po deszczu, nie narażając się na przestrogi o zapaleniu płuc. Mogę rozstawiać sztalugi po całym mieszkaniu i zatracić się w malowaniu, nie słuchając jej westchnień, dobiegających z drugiego pokoju, albo płaczu, kiedy myśli, że o niej zapomniałem.

- Chcesz być wolny - zauważyła Alex.

- Tak i nie. Chciałbym mieć jedno i drugie. Malować, żyć, oddychać pełną piersią, a jednocześnie kochać. Ale nie potrafię. Przynajmniej nie z Megan. Nie chcę powiedzieć, że z nią jest coś nie tak. Po prostu ona ma ogromne potrzeby, a ja nie mogę jej tyle dać. To wobec niej nieuczciwe.

- No, cóż, cieszę się, że wymyśliłeś linię rozumowania, która łagodzi twoje poczucie winy.

Spojrzał na nią badawczo.

- Myślałem, że nie chcesz, żebyśmy byli razem.

- Dlaczego wszyscy mi to mówią? To nieprawda. Chciałam, żebyście oboje byli szczęśliwi. Ale rozwód zniszczy ją psychicznie. Powinieneś zdawać sobie z tego sprawę. I nie puszczaj jej żadnych gównianych gadek typu: „to dla twojego dobra”. One mogą pomóc spokojnie zasnąć tobie, nie jej.

- Dlaczego jesteś taka wściekła?

- Dlaczego? Dlaczego? - Alex zabębniła paznokciami po stole. Nie zauważyła nawet, kiedy najdłuższy się złamał. - Bo ona jest, do cholery, moją przyjaciółką. Bo cierpię, jeśli ona cierpi. Bo bałamuciłeś ją przez prawie pięć lat, a zwłaszcza ostatnio. Jesteś zbyt tchórzliwy, żeby zdobyć się na uczciwość, więc dawałeś jej do zrozumienia, że potrafisz wyprostować tę sytuację. Szkoda, że nie wpadłeś na pomysł rozwodu trochę wcześniej.

- Więc twoim zdaniem to źle, że próbuje się kogoś kochać?

Potrząsnęła głową i zauważyła, że na odległym pasie startowym ląduje nieduży europejski samolot czarterowy.

- Bo ja ją naprawdę kochałem, Alex - ciągnął Jackson. - Ona jest uosobieniem cech, które powinny budzić we mnie miłość - krucha, delikatna i miła, uwielbia gotować, zajmować się ogrodem i rozpaczliwie pragnie wychowywać dzieci. Żałuję, że się nam nie ułożyło. Przez prawie pięć lat próbowałem znaleźć dla niej właściwe miejsce w swoim życiu. Nie udało się.

Alex chwyciła się za brzuch. Czuła mdłości, czuła ból, którego wkrótce doświadczy Megan, i pragnęła móc zatrzymać jego część dla siebie, by słabiej dręczył przyjaciółkę.

- Posłuchaj - powiedział Jackson miękko - wcale tak źle mi się nie żyje. W gruncie rzeczy mógłbym pewnie być jej mężem na zawsze i nic by się nie stało. W końcu zaszłaby w ciążę, mielibyśmy przepisową dwójkę dzieci, ona wstąpiłaby do Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli i wszystko wyglądałoby z zewnątrz idealnie. Ale ja... - chwycił dłoń Alex i mocno ją uściśnął - ja w środku umieram, Alex. Potaknęła głową.

- Wiem. Ale jeśli się spodziewasz, że powiem: „Świetnie, rozwódź się. Masz moje błogosławieństwo”, to się mylisz. Nie mogę tego zrobić.

- Wcale mi na tym nie zależy. Chciałem po prostu, żebyś wiedziała. Tak się boję ciebie stracić. Już widzę, jak formujecie z Megan i Klementyną kobiecy batalion i ruszacie na mnie uzbrojoną po zęby brygadą pancerną. Nie zniósłbym, gdybyś mnie uznała za barbarzyńcę.

Ścisnęła jego dłoń.

- Barbarzyńskie są tylko marzenia, bo nie spełniają się, choćbyśmy bardzo tego pragnęli. Wiem, że się starałeś, ale Megan starała się jeszcze bardziej i nie przypuszczam, żeby miała ochotę się poddać. W każdym razie nie teraz. Ona cię bardzo kocha, Jacku.

- Za bardzo - wyszeptał. - O wiele, wiele za bardzo.

* * *

Jackson zaparkował przy plaży w Zoma Beach koło Malibu. Megan przygotowała koszyk z prowiantem. Było w nim wino, żółty ser, krakersy, winogrona i kanapki z indykiem - wszystkie cztery kategorie żywnościowe.

Rozłożyli koc na suchym piasku w pobliżu wody. Nieco dalej, we mgle, jakiś stary mężczyzna szukał za pomocą wykrywacza metali zasypanych piaskiem monet. Megan podała Jacksonowi wino i korkociąg. Otworzył butelkę.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała, uśmiechając się do niego. - Trochę się opaliłeś.

- Jo wysłała mnie do Mendocino na wystawę. Prezentowano ją na świeżym powietrzu, a był piękny, słoneczny dzień.

- Szkoda, że mnie tam nie było.

Wyjął z koszyka dwa plastikowe kubeczki i nalał do obu trochę wina. Spojrzał na Megan, która zwrócona do niego profilem, wpatrywała się w szare morze.

- Naprawdę żałujesz? - zapytał.

- Oczywiście. Przynajmniej byłabym z tobą.

Powiedziała to cicho, niemal szeptem, ale te słowa ugodziły Jacksona jak sztylet. Poczul się mały, nędzny i okrutny. Odstawił wino.

- Musimy porozmawiać, Meg - powiedział, siadając tak, by widzieć jej twarz. Nadal patrzyła w inną stronę, obserwując fale, które uderzały o brzeg i pienily się jak szampon.

- Dużo ostatnio myślałem - ciągnął. - Kiedy wyjechałaś, miałem czas, żeby pobyć sam na sam ze sobą, żeby...

Megan wstała i pobiegła do wody. Podwinęła dzinsy i zaczęła brodzić w lodowatej pianie, która ochlaprywała jej stopy aż do kostek. Znieruchomiała, czekając, aż Jackson pójdzie w jej ślady. Wezbrała w niej chęć, żeby zanurkować pod powierzchnię fal i odpłynąć poza zasięg głosu, jak to robiła w młodości, kiedy jeszcze nie bała się wirów wodnych i rekinów. Nie była już jednak ani młoda ani odważna. Poczula obecność Jacksona za plecami i odwróciła się, stając z nim twarzą w twarz.

- Naprawdę musimy porozmawiać - powtórzył.

- Wiem. Ale nie teraz.

Skinął głową. Pochylił się, podniósł gładki, brązowy kamyk, który błyszczał w wodzie, ale po wyschnięciu stał się matowy i nijaki. Zamaszystym ruchem rzucił go poza zasięg fali przybrzeżnej. Kamyk podskoczył dwa razy na powierzchni wody i poszedł na dno.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała.

Odwrócił się do niej z chłopięcym uśmiechem na twarzy. Wstrzymała oddech. Zbliżył się i położył jej ręce na ramionach.

- Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem - powiedział. Oparła mu głowę na piersi i czekała w nadziei, że jej obawy się nie spełnią. Przez dłuższy czas nie odzywał się, a nadzieja rosła, ogrzewając ją mimo wiszącej w powietrzu chłodnej mgły.

- Ale nie mogę dłużej być z tobą - powiedział. - Po prostu nie mogę.

Teraz powinna łkać, walić go pięściami w piersi, błagać i zaklinać, żeby jej nie opuszczał. Ale Megan nie miała w sobie żadnych emocji. Czowała pustkę i ucisk w klatce piersiowej, który uniemożliwiał jej oddychanie, jak wtedy, gdy straciła dziecko. Podniosła głowę i odsunęła się.

- Chcesz rozwodu - powiedziała, obejmując dłońmi własne ramiona.

- Tak. Dużo o tym myślałem, jak ci mówiłem. Nie w tym rzecz, że mi na tobie nie zależy, tylko...

Podniosła dłoń do góry, uciszając go.

- Powiedz mi tylko jedno. Czy kiedykolwiek mnie kochałeś? Tak naprawdę?

Wbiła w niego oczy jak dwa sztylety. Były takie niebieskie, a jej spojrzenie promieniowało taką czystością i uczciwością, że Jackson poczuł, iż skupiło się w nim wszystko, co złe, a w Megan to, co dobre.

- Chyba tak, Megan. Nie wiem. Myślałem, że tak. Chciałem tego.

Pokiwała głową i jeszcze raz spojrziała na ocean. Wysyłający sygnały świetlne statek turystyczny wracał do przystani. Jakie to dziwne, pomyślała, że ziemia nadal się kręci, nieświadoma jej smutku i obojętna. Dlaczego jednym pisany jest smutek, a innym radość? Gdyby się mocno postarała, mogłaby usłyszeć cudze śmiechy.

Podeszła z powrotem do koca i usiadła. Wzięła do ręki plastikowy kubeczek i wylała wino w piasek, barwiąc go na czerwono.

- Proszę cię, Megan, pozwól mi wytłumaczyć - powiedział Jackson, który wrócił za nią.

- Co wytłumaczyć? Że mnie nie kochasz? Że malowanie jest dla ciebie ważniejsze niż ja? Że tęsknisz za swoją wolnością? Że nigdy nie byłeś ze mną szczęśliwy? Już to wiem, Jacku. W głębi duszy wiedziałam to chyba zawsze.

- Zdaję sobie sprawę, że cię zraniłem.

Po raz pierwszy jego słowa wywołały jakąś reakcję Megan. Skoczyła na równe nogi i wycelowała w niego palec. Oblała się rumieńcem.

- Z niczego nie zdajesz sobie sprawy, Jacksonie - powiedziała i zaczęła wrzucać prowiant z powrotem do koszyka.

- Wiem, że byłaś wspaniałą żoną. Wiem, jak bardzo się starałaś i...

- Zamknij się! Chryste panie, o co ci chodzi? Chcesz mnie zupełnie zniszczyć? Myślisz, że mi potrzebne twoje zapewnienia? Że byłam cudowna? Że byłam wspaniała i miła? Potrzebuję, do cholery, czegoś zupełnie innego - męża, a nie opanowanego poczuciem winy czubka, który myśli, że mi ulży w bólu opowieściami o tym, jaka jestem słodka i urocza.

Chwyciła koszyk i koc i pobiegła w stronę samochodu. Rzuciła wszystko na piasek obok i ruszyła pieszo chodnikiem w kierunku autostrady biegnącej wzdłuż wybrzeża Pacyfiku.

- Megan, dokąd idziesz?! - wrzasnął.
- Do domu, do Klementyny - odkrzyknęła przez ramię.
- Nie możesz tam iść na piechotę.
- Mam to gdzieś.

Jackson podbiegł do samochodu, rzucił koszyk i koc na tylne siedzenie. Usiadł za kierownicą, włączył silnik i szybko podjechał do Megan. Gdy się z nią zrównał, opuścił szybę.

- Proszę cię, Meg, wsiądź.

Szła przed siebie, nie zwracając na niego uwagi.

- Proszę cię. Dopiero miałaś operację. Zrobisz sobie krzywdę.

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Zawołaj mi taksówkę. - Co?

- Powiedziałam, żebyś zawołał mi taksówkę.

- Nie żartuj. Taksówka stąd do doliny kosztuje chyba fortunę.

- Mówię serio, Jacku. Chcesz rozwodu? Dobrze. Dam ci go. A ja chcę taksówkę. Nie można chyba prosić o mniej.

Na dłuższą chwilę zatopił wzrok w twarzy Megan, usiłując dojrzeć w jej oczach uczucia ukryte pod warstwą uporu i determinacji. Osłona była jednak nieprzepuszczalna. Megan oparła ręce na biodrach i wyprostowała ramiona jak kulturysta prezentujący swoje umięśnienie. Pokręcił głową i włączył bieg.

- Przykro mi.

W jej twarzy coś drgnęło, ale natychmiast się opanowała.

- To ci dobrze robi.

- Meg... - Ale ona już się odwróciła. Usiadła na piasku plecami do niego. Jackson ruszył w poszukiwaniu budki telefonicznej.

Po zamówieniu taksówki Jackson czekał w samochodzie sześć metrów od miejsca, w którym siedziała Megan. Zastygła w tak zupełnym bezruchu, że można ją było wziąć za posąg. Nie potrafił oderwać wzroku od jej zgarbionych pleców i włosów, które w słonym powietrzu wiły się jak węże na głowie Meduzy. Przebiegał myślami historię ich małżeńskiego życia. Chciał przypomnieć sobie dzień, w którym była absolutnie szczęśliwa, ale miał trudności z przywołaniem w pamięci jej uśmiechniętej twarzy.

Taksówka przyjechała pół godziny później. Jackson zaczekał, aż Megan bezpiecznie wsiądzie i ruszył. Początkowo zamierzał jechać za nią, żeby

upewnić się, że bez problemów dotrze do domu, i dopiero potem poszukać hotelu. Kiedy jednak wtopił się w sznur samochodów na autostradzie, nagle zmienił zdanie. Nacisnął na pedał gazu i wyprzedził taksówkę. Chciał zdążyć do Klementyny przed Megan, żeby mieć chociaż chwilę na wyjaśnienie własnego punktu widzenia, na wytłumaczenie, dlaczego chce się rozwieść. Czemu nie wpadło mu to do głowy wcześniej? Jeśli Megan będzie na miejscu pierwsza, zniekształci obraz sytuacji i nastawi

Klementynę przeciwko niemu. Klementyna nie będzie miała innego wyjścia, jak wziąć stronę Megan.

Nie chciał dopuścić do tego, by Klementyna go znienawidziła, by zupełnie prysła nadzieja na... na co? Tego Jackson nie wiedział. Po prostu musiał zdążyć do Klementyny przed Megan.

Ale taksówkarz, który znał boczne drogi i skróty lepiej niż Jackson, był szybszy. Widząc taksówkę na parkingu przed domem Klementyny, Jackson walnął pięściami w kierownicę. Dobrze przynajmniej, że Megan jeszcze nie weszła. Zapłaciła kierowcy i zaczekała na Jacksona u podnóża schodów.

- Co ty tu robisz? - zapytała. Razem weszli po schodach na drugie piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie Klementyny.

- Ja... ja chciałem oddać przed wyjazdem koszyk z prowiantem. I może jeszcze porozmawiać.

- Nie chcę już dzisiaj rozmawiać - odparła znudzonym tonem. - A koszyka zapomniałeś.

Opuścił wzrok na swoje puste ręce i zbiegł do samochodu. Kiedy wrócił, Megan była już w mieszkaniu, w objęciach Klementyny.

Jackson uchwycił spojrzenie Klementyny znad ramienia Megan. Nie był pewien, co dostrzegł w jej wzroku - współczucie, ulgę czy złość. Patrzyła mu w oczy jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła głowę.

- Chodź, Meg - wyszeptała i podprowadziła przyjaciółkę do kanapy. - Usiądź, a ja zrobię nam herbaty, dobrze?

Megan skinęła głową, nie zwracając uwagi na Jacksona, który stał obok z zapiaszczonym koszykiem i kocem w ręku, zmieszany i opuszczony. Położył przyniesione rzeczy na stole i zbliżył się do Megan.

- Mogę do ciebie jutro zadzwonić? - zapytał.

Kiedy podniosła głowę, zobaczył w świetle, że płakała, prawdopodobnie przez całą drogę w taksówce. Może taka ma być jego kara, że zawsze będzie brutalem i nikt, a zwłaszcza Megan, nie dowie się, że on też cierpi.

Odsunął się, mimochodem zerkając w kierunku kuchni. Klementyna stała przy kuchence ze wzrokiem utkwionym w Jacksona. Była równie piękna jak w jego wspomnieniach, jeśli nie bardziej. Ciekawiło go, co zrobiła z koszulą nocną, którą jej przysłał - koszulą kupioną dla żony, ale oddaną kobiecie, na której naprawdę chciał ją zobaczyć. Nigdy nie potwierdziła odbioru przesyłki, ale też jej nie odesłała.

Zatopił spojrzenie w jej oczach. Przez chwilę miał wrażenie, że dostrzega w nich pożądanie i zrozumienie, ale zaraz zdał sobie sprawę, że zobaczył to, co chciał widzieć. Nie odwrócił wzroku. Zastanawiał się, czy czuje taką samą potrzebę jak on - żeby wyryć w swojej pamięci obraz drugiej osoby, by po rozstaniu móc żyć do następnego spotkania samymi wspomnieniami.

Zagwizdał czajnik, a Klementyna drgnęła. Nalała wodę do dwóch filiżanek i zamieszała herbatę. Zniosła jedną Megan i wróciła do kuchni. Kiedy go mijiała, Jackson poczuł zapach jej perfum.

Rzuciła mu z kuchni jeszcze jedno spojrzenie. Zadał sobie pytanie, o czym myśli. Wiedział, że to potworne z jego strony stać tyłem do własnej żony, wpatrując się w kobietę, która wciąż nawiedza go w snach. Nie potrafił się jednak powstrzymać.

Wzięła do ręki drugą filiżankę i podeszła do kanapy. Usiadła obok Megan i objęła ją. Nie podnosząc wzroku, pokazała głową drzwi.

- Myślę, że powinieneś już iść - powiedziała.

Jackson oderwał od niej oczy i spojrzał na Megan, która siedziała ze zwieszoną głową, po czym jeszcze raz skierował wzrok na Klementynę. Skinął głową i ruszył do drzwi. Kiedy wychodził, odniósł wrażenie, że Klementyna współczująco uśmiechnęła się, choć mogło mu się tak tylko wydawać.

Rozdział 16

Zgromadzeni przed hotelem „Beverly Hills” paparazzi od wielu godzin walczyli między sobą o najlepsze miejsca. W Hollywood zawsze mieli szansę gdzieś kogoś złapać. Za zdjęcie aktora nominowanego do Nagrody Akademii, wchodzącego do jakiejś bajeranckiej restauracji, albo za fotografię żony gwiazdora programów telewizyjnych, która ją opuszcza z cudzym mężem, można zgarnąć od „Enquirera” okrągły tysiąc dolarów. Ten wieczór był jednak szczególny. W powietrzu wisiało oczekiwanie, gęste jak smog w czasie babiego lata. Zdjęcia i wywiady z uczestnikami przyjęcia z okazji zakończenia produkcji „Wyroku skazującego” będą rozchwytywane przez wszystkich.

„Wyrok skazujący” trafił na czołówki gazet wiele miesięcy wcześniej, nim kamery poszły w ruch. Najpierw zaczęły krążyć plotki, że role tytułowe zagrają Jane Fonda i Paul Newman. Potem zapadła niewiarygodna decyzja, że zostaną powierzone dwojgu nieznanym aktorom, dając im szansę wybicia się. Obsadzenie wszystkich ról zajęło sześć miesięcy, dopracowanie scenariusza - kolejne trzy, a samo kręcenie filmu przeciągnęło się do siedmiu miesięcy, gdyż reżyser zrezygnował z kontraktu i trzeba było znaleźć kogoś na jego miejsce. Trzy miesiące trwało przygotowanie filmu do rozpowszechniania i przez ostatnie kilka tygodni wszyscy, którzy coś znaczyli w branży filmowej, mówili wyłącznie o zbliżającej się gwiazdkowej premierze w Chińskim Teatrze Manna.

Will poradził Klementynie, by zjawiła się z godzinnym opóźnieniem, dzięki czemu skupi na sobie uwagę fotoreporterów i dziennikarzy. Wcześniej poszli razem na zakupy do Rodeo Drive, gdzie wybrali bladożółtą szyfonową suknię Giorgia, którą miała teraz na sobie. Will powtarzał jej, że najważniejszy jest image. Otrzymując tytułową rolę w „Wyroku skazującym”, bez wątpienia wygrała poważną bitwę, ale o losach całej wojny zdecyduje to, czy uda się jej stworzyć wrażenie kobiety wyrafinowanej i tajemniczej.

Klementyna siedziała na tylnym fotelu limuzyny wynajętej przez studio, a wilgotny pył z klimatyzatora chłodził jej twarz. Październik w Los Angeles i trzydzieści stopni ciepła. Rekordowa temperatura. Zupełnie tego nie odczuwała. Fale upału doskwierały tylko szarym ludziom w starych samochodach bez klimatyzacji i w domach wyposażonych w zepsute wentylatory. Klementyna Montgomery podróżowała z klasą, w limuzynach z doskonale zaopatrzonymi barkami. Wyrzała przez przyciemnioną szybę i

zauważyła, że grupa nastolatków, wypełniających po brzegi stojący obok samochód, wpatruje się w jej okno, które przepuszcza światło tylko w jedną stronę, bezskutecznie usiłując zorientować się, kim ona jest. Przystawiła palce do uszu i zrobiła najzabawniejszą minę, jaka przyszła jej do głowy. Tak, drodzy państwo, Klementynie Montgomery wreszcie się udało.

Matka mawiała, że najciemniej jest przed świtem. Było to jedno z tych głupich matczynych powiedzonek, które wpadają jednym uchem, a wypadają drugim. Teraz jednak Klementyna miała dziwne uczucie, że wiele rzeczy, które usłyszała od matki, było bardziej wnikliwych i trafnych niż przypuszczała i zaczynała żałować, że nie przywiązywała do nich większej wagi.

Jeszcze półtora roku wcześniej miała wrażenie, że cały świat jest przeciwko niej. Po pierwsze, Megan była w trakcie rozwodu. Ta sprawa nie dotyczyła, co prawda, Klementyny bezpośrednio, ale Alex i Megan nigdy nie umiały do końca oddzielić swoich radości i smutków. A ponieważ Megan wciąż u niej mieszkała i codziennie łkała do trzeciej rano, Klementyna, chcąc nie chcąc, znajdowała się w samym centrum bitwy.

Megan sprawiała wrażenie kobiety całkowicie zagubionej. Nie wiedziała co robić, ani dokąd pójść. Wylegiwała się na kanapie, gdyż tylko Bob Barker sprawiał, że zapominała na chwilę o swoich zmartwieniach. Klementynę najbardziej dręczyło poczucie winy za to, że w pewnym sensie przyczyniła się do ich zerwania. Mogła przecież odesłać koszulę. Nie powinna była patrzeć na Jacksona w taki sposób, kiedy Megan wróciła z plaży. Powinna była pomóc Megan w jej małżeńskich kłopotach, zamiast liczyć w duchu, że jeśli się rozstaną, to może, może...

No, i Duke. Kiedy obudziła się nazajutrz po wydarzeniu w barze ze skrwawionym sercem i na podłym kacu, przyrzekła sobie skreślić go na zawsze ze swego życiorysu. Poprzedniego wieczora zobaczyła, jaki jest naprawdę, i nie chciała mieć z nim więcej nic wspólnego. Kiedy jednak trzy tygodnie później otworzyła skrzynkę pocztową, leżał w niej niepozornie na stercie rachunków list od niego. Drżącymi rękami rozdarła kopertę i list przeczytała.

Klementyno, przykro mi z powodu Glorii. Jak jej powiedziałem, że jadę do Los Angeles, dostała bzika. Chciała nadrobić stracony czas. Ona nie jest dla mnie nikim bliskim, ale to miła dziewczyna i nie mogłem zrobić jej przykrości. Chyba to rozumiesz.

Wyniosłem się z miasta hazardu i mam nową pracę. Jestem wykidajką w klubie tanecznym. To niezła zabawa i poznaję mnóstwo świetnych lasek, ale nie będę ukrywać, że nie mam z tego dużo forsy. Pomyślałem, że skoro tak dobrze ci teraz idzie, mogłabyś pożyczyć mi trochę (potrzebuję około 500 dolarów), żebym wypłatał się z kłopotów i stanął znów na nogi. Zawsze było z ciebie dobre dziecko. Do zobaczenia wkrótce.

Duke

Zdała sobie nagle sprawę, że nie określała go w myślach mianem taty, od kiedy opuścił ją i matkę. Jej miłość do niego nie zmaląła. Choć tak bardzo ją skrzywdził, chyba nie potrafiłaby mniej go kochać. Ale słowo „tata” jest przeznaczone dla mężczyzn, którzy przytulają swoje dziecko, bronią go i poprawiają mu w nocy koldrę. Tata to ktoś wyjątkowy, kto odwzajemnia miłość.

Klementyna wyjęła książeczkę czekową i natychmiast wypisała czek. Oczywiście Duke ją wykorzystuje. Wiedziała, że pozwala mu na rzecz złą, a nawet żalną, ale było jej wszystko jedno. Świadomie chwyciła się każdej nitki, którą jej zostawiał. Była z nim teraz związana. Może kiedy dostanie pieniądze, zadzwoni do niej i poprosi, żeby przyjechała do... do... Spojrzała na adres zwrotny. Dallas w Teksasie. Żeby przyjechała go odwiedzić w Dallas w Teksasie. Próbowwała nie podsycać w sobie nadziei i z podniesioną głową spojrzeć prawdzie w oczy, jak przystało na osobę dorosłą, ale nie zdało się to na nic. W wieku dziewięćdziesięciu trzech lat też będzie jego dzieckiem.

Trzy tygodnie później, po spieniężeniu pierwszego czeku, przysłał kolejny list. Potrzebował następnych pięciuset dolarów. Trzeba zapłacić czynsz, szef go wyrolował i Duke jest pewien, że Klementyna jeszcze raz mu pomoże. Wahala się tylko przez chwilę, po czym wypisała drugi czek. Przynajmniej o niej pomyśli, kiedy na niego spojrzy. Za jej sprawą się uśmiechnie.

Listy przychodziły co kilka tygodni, dzięki czemu Klementyna mogła udawać, że jako ojciec i córka utrzymują normalne, kumpelskie stosunki korespondencyjne. Dołączała do czeków bileciki z nowinami dotyczącymi swojej kariery zawodowej, on zaś uzupełniał kolejne prośby strzępami informacji o sobie, o życiu wykidajki i o poznawanych kobietach. Wreszcie, kiedy pięć miesięcy później listy urwały się bez żadnej zapowiedzi, podziękowania czy pożegnania, Klementyna wysłała mu trzy tysiące dolarów. Nie bacząc na protesty Megan i Alex, wysłałaby nawet trzysta tysięcy, byleby utrzymać z nim kontakt. Nie dał jej jednak szansy.

Najbardziej ponurym zjawiskiem poprzedzającym świt była jednak żmudna, prowadzona na śmierć i życie, batalia o rolę w „Wyroku skazującym”. Will załatwił jej próbne czytanie, ale, o ile jej pamięć nie myliła, była czterdziestą piątą aktorką czytającą tego dnia, a w studiu mieli już na oku Jane Fondę jako odtwórczynię głównej roli. Klementyna podsłuchiwała w drodze do studia rozmowę między asystentem producenta i drugoplanowym aktorem o negocjacjach z Fondą na temat kontraktu. To wystarczyło. Mrowienie w żołądku ustało i zawrzała w niej wściekłość. Cierpliwie zaczekała, aż zostanie wywołana przez kierowniczkę obsady, kobietę w średnim wieku, kopnącą papierosa za papierosem, i jej asystenta, przyszczatego chłopaka, który nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat, i pokazała pazury.

- Chciałabym, żeby państwo oboje wiedzieli - powiedziała, rzucając scenariusz na biurko - że przez ostatnie miesiące pracowałam jak wół, zbierając materiały do tej roli i wkuwając każdą linijkę na pamięć, żeby się przygotować na wszystko. Tak bardzo chciałam mieć szansę na dostanie tej roli, że wywróciłam swoje życie do góry nogami.

Gwen Raspian, kierowniczka obsady, puściła obłok dymu i odparła, nie wyjmując papierosa z ust:

- To wspaniale, kochanie. Czytaj, proszę, od strony trzysta drugiej.

- Nie. Nie będę czytać od strony trzysta drugiej. Nie macie prawa wprowadzać zamieszania w cudze życie, jeśli świetnie wiecie, że chcecie obsadzić w tej roli Fondę. Was też obowiązują jakieś zasady.

- Proszę posłuchać, panno...

- Panno Montgomery.

- Panno Montgomery - powiedziała Gwen. - Nie zdecydowaliśmy się na Jane Fondę w sposób ostateczny. Owszem, bardzo byśmy chcieli z nią pracować, bo jest cennym nabytkiem dla każdego reżysera, ale nie podpisaliśmy umowy, a pani Fonda nie wyraziła jeszcze zgody na rolę. Jeśli jakaś młoda, utalentowana i łatwa we współpracy, powtarzam łatwa we współpracy, aktorka rzuci nas na kolana, bez wahania ją zaangażujemy.

To wytrąciło Klementynie broń z ręki. Gwen ziewnęła za zasłoną dymu ze swego papierosa, a chłopak wycisnął sobie pryszcz na nosie.

- Dobrze - powiedziała Klementyna. - Chciałam tylko zdobyć potwierdzenie, że wciąż mam szansę.

- Ma pani szansę jeszcze przez około trzy minuty - powiedziała Gwen, patrząc na zegarek. - Po pani jest jeszcze siedemnaście aktorek i nie mogę sobie pozwolić na spiętrzenie w pracy w powodu tyrad jakiejś amatorki.

Klementyna przełknęła uszczypliwą uwagę i otworzyła scenariusz na stronie trzysta drugiej. Pamiętała tę scenę dobrze. Miała w sam raz dość czasu na jej odegranie. Zamknęła oczy i skoncentrowała się na uczuciach, zakładając skórę Melissy Marlow. Świetnie знаła jej charakter, z jego najsubtelniejszymi niuansami. Klementyna w jednej chwili zupełnie wyłączyła się z rzeczywistości. Kiedy otworzyła oczy i zwróciła się do nastolatka, który miał czytać partię syna Melissy, widziała za jego plecami więzienne kraty, czuła wszechobecny zapach moczu i przenikający jej ramiona chłód.

- Jestem niewinna - powiedziała Klementyna-Melissa zmęczonym tonem, znużona ciągłym powtarzaniem tych słów.

- Ale ława przysięgłych ...

- Nie obchodzi mnie, co powiedziała ława przysięgłych ani sędziego. Gwiżdżę na to, co mówi twój ojciec, twoi przyjaciele, a nawet ty - Melissa podeszła do chłopca i ścisnęła jego ramię. - Jestem twoją matką. Zawsze nią będę. Mogą sobie gadać, co chcą. Ja ci mówię, że jestem niewinna.

- Ale...

- Nie ma żadnego ale - przerwała mu podniesionym tonem, wbijając palce w jego skórę. - Może cię nie kochałam? Może nie uczyłam cię, jak odróżnić zło od dobra? Może nie szykowałam ci codziennie rano śniadania i nie poprawiałam ci w nocy kołdry? Nikogo na świecie nie kochałam tak jak ciebie, nawet twojego ojca. Jestem częścią ciebie, Jamie - puściła jego ramię i położyła mu dłoń na policzku. - Jestem częścią ciebie tak samo, jak ty jesteś częścią mnie. Mamy w sobie tę samą krew i takie same kości. Proszę cię tylko o jedno - pomyśl przez chwilę, czy byłbyś w stanie kogoś zabić.

Spojrzał jej w oczy i pokręcił głową.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Oczywiście, że nie - powtórzyła, ocierając łzę z kącika oka. - Bo jesteś moim synem. Bo tak samo myślimy. Choć może nie przyznasz się do tego przede mną, w głębi serca wiesz, że jestem tak samo niewinna jak ty - objęła go mocno, a po chwili przyszedł ją zabrać strażnik więzienny.

Klementyna skończyła grać i stanęła wyprostowana. Ponownie zamknęła oczy, żeby przenieść się z powrotem do rzeczywistości, a kiedy je otworzyła, zdumiało ją, że ma wokół siebie cztery białe ściany zamiast murów celi.

- Wspaniale - powiedział chłopak, zapominając o swoich pryszczach.

Gwen uciszyła go i potaknęła głową.

- Tak, było dobrze. Proszę zostawić dokumenty sekretarce. Zadzwonimy, jeśli zdecydujemy się zaprosić panią na drugie czytanie.

- Drugie czytanie?

- Jak najbardziej. Prawdopodobnie także trzecie. Niech pani będzie na to przygotowana.

- Oczywiście - powiedziała Klementyna, po czym podziękowała Gwen i wyszła. Podała sekretarce życiorys i wyszła z wytwórni, wyrzucając sobie wszystkie niewłaściwe gesty. Była pewna, że straciła rolę, nadmiernie szarżując.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że Gwen do niej zadzwoniła i umożliwiła kolejne czytanie, a potem jeszcze trzecie, po czym dała jej tę rolę. Po tylu latach ciemności, głupawych reklam i wyczerpujących sesji zdjęciowych, bólu serca, goryczy i przemocy, nareszcie nadszedł świt. I to jaki! Przez cały czas trwania zdjęć była rozpieszczana jak gwiazda. Do stanu odurzenia doprowadziły ją przede wszystkim ostatnie trzy miesiące, podczas których była świadkiem, jak film jest montowany oraz wzbogacany o muzykę i efekty dźwiękowe. Teraz już było po wszystkim. Na gwiazdkę tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku „Wyrok skazujący” z Klementyną Montgomery jako Melissa Marlow i Randym Fallinim jako adwokatem Wesleyem Crossem wejdzie na ekrany kin.

Limuzyna podjechała przed różowy hotel. Kiedy Klementyna ruszyła w kierunku wejścia, aparaty fotograficzne zaczęły trzaskać jak skrzydła nietoperzy, a zza odgradzonego czerwonym sznurem przejścia posypały się pytania do niej. Odpowiedziała na kilkanaście, uśmiechnęła się do młodego, stanowczo zbyt atrakcyjnego, chłopca hotelowego, który stał w drzwiach, złożyła ukłon w kierunku fotoreporterów i weszła do środka. Przechodząc przez hol, minęła kilku członków ekipy produkcyjnej, ubranych w smokingi zamiast, jak zwykle, w podkoszulki i dżinsy. Wszyscy przerywali rozmowy, żeby powiedzieć jej „cześć” albo się uśmiechnąć. Miała wrażenie, że wszędzie, gdzie się pojawia, ludzie chcą z nią porozmawiać, poprosić o autograf albo po prostu jej się przyjrzeć. Była teraz kimś. Zabawne, że w głębi serca, mimo otaczającego ją splendoru, mimo fryzury za siedemdziesiąt dolarów i pustych rozmów, które będzie prowadzić tego wieczora na pięciogodzinnym przyjęciu z szampanem i kawiozem, ciągle czuła się po prostu Klementyną.

Alex i Jackson przylecieli razem do Los Angeles na premierę „Wyroku skazującego” w drugim tygodniu grudnia. Alex dzwoniła do Megan sześć razy, żeby się upewnić, czy nie ma nic przeciwko temu, że zabierze

Jacksona jako swego towarzysza, mimo że w głębi duszy była przekonana, iż właśnie to pomoże Megan wyrwać się z depresji. Alex oczywiście nie mogła zaprosić Brenta, choć jego pragnęłaby mieć najbardziej u swego boku. Wciąż się uczyła obywać bez niego ze świadomością, że Carlotta, piękna żona o egzotycznej urodzie, wita go co wieczór pocałunkiem i zabiera do domu. Czowała się jak dziecko, które stoi na zewnątrz sklepu ze słodyczami z nosem rozplaszczonym na szybie i obserwuje, jak inni zajadają czekoladki.

Jackson był poza Brentem jedynym mężczyzną, którego towarzystwo lubiła. Kochankowie pojawiali się w jej życiu coraz rzadziej, aż wreszcie zniknęli, gdyż zupełnie przestali ją interesować. Żaden nie umywał się do Brenta. Nie potrafiła kochać się z innym mężczyzną, nie pragnąc wołać imienia Brenta, nie tęskniąc do dotyku jego warg i do jego objęć.

Wbrew temu, co twierdzą poeci, przekonywała się, że miłość nie jest jednak koniecznym warunkiem szczęścia. Odkrywała, że ekscytują ją także inne sprawy, na przykład zawieranie dużej transakcji albo ta premiera, albo ponowne spotkania z przyjaciółkami. Nie było w tym doznań fizycznych ani romantyzmu, ale myśl o Klementynie i Megan podnosiła ją na duchu i sprawiała, że czowała się dobrze, bezpiecznie i ciepło gdziekolwiek się znalazła. Dzięki nim myślała nie tylko o tym, co udało jej się osiągnąć, a czego nie. Dzięki nim śmiała się. Stanowiły jej część, część jej przeszłości. Przychodziło jej do głowy, że gdyby któraś z nich umarła, czułaby się, jakby jej obcięto jedno ramię. Czasem, kiedy przekopywała się właśnie przez potworną stertę papierów w biurze, kompletnie sfrustrowana i przygnębiona, dzwoniła Megan. Na sam dźwięk jej głosu Alex znów się uśmiechała, zapominając o kłopotach. Uśmiech stanowił cenny towar w jej środowisku, a od przyjaciółek dostawała go za darmo.

To był kolejny powód, dla którego Alex wzięła ze sobą Jacksona. Chciała zwrócić część długu. Pragnęła udowodnić, że Megan potrafi ponownie widywać się z byłym mężem. Megan była silniejsza niż sama sądziła. Minał rok, od kiedy ich rozwód stał się faktem. Już potrafiła uporać się z tym problemem.

Za każdym razem, kiedy Alex dzwoniła, żeby zapytać, czy może zabrać ze sobą Jacksona, Megan odpowiadała, że jej to nie przeszkadza. Nie mogła przecież zrobić nic innego, bo naraziłaby się na śmieszność. Zresztą, co ją to obchodziło? Dobrze wiedziała, że to już minął rok. Przekreślała w kalendarzu każdy dzień jaskrawoczerwonym długopisem, gratulując sobie, że ma jeszcze jeden za sobą.

Alex i Jackson zajmowali dwa pokoje w hotelu w dolinie, niedaleko domu z trzema sypialniami na wzgórzach Hollywoodu, wynajmowanego przez Megan i Klementynę. Dom był ładny i solidny. Megan wypatrzyła go pierwsza, kiedy obie zdały sobie sprawę, że potrzebują czegoś większego, jeśli chcą wspólnie mieszkać przez jakiś czas.

Megan potrzebowała czasu, żeby po rozwodzie przystosować się do nowej sytuacji, żeby się wypłakać, żeby przeboleć klęskę wymarzonego modelu życia. Ponieważ upływające powoli dni wciąż przynosiły jej ból, a z Klementyną dobrze jej się mieszało, Megan poprosiła Jacksona o sprzedaż ich domu w Concord, żeby móc pozostać w Los Angeles.

Zamierzała wyprowadzić się od Klementyny, kiedy nadejdzie właściwa pora. Ale obie przyzwyczyły się i nie dopuszczały zmian. Nie zawsze panowała między nimi zgoda. Co to, to nie. Klementyna nie znośiła oglądać telewizji, a Megan uwielbiała. Megan nienawidziła stert brudnych ubrań, które Klementyna zostawiała wszędzie. Były to jednak sprawy błahe wobec łączącej je przyjaźni. Klementyna dotychczas nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo była osamotniona i zamknięta w sobie. Megan zaś nie uświadamiała sobie, że dręczyła ją samotność przez te wszystkie lata z Jacksonem, gdy nawet najkrótsza rozmowa kosztowała ich wiele wysiłku. Przy Klementynie słowa przychodziły jej bez trudu.

Przywykły do swoich zwyczajów i humorów i właściwa pora dla Megan nigdy nie nadeszła. Podpisały umowę o wynajem nowego domu i zamknęły na dobre dyskusję na temat wyprowadzki Megan.

Spotkają się wszyscy w piątek wieczorem w Chińskim Teatrze Manna - pomyślała Megan na dwa dni przed premierą.

Alex z Jacksonem, Klementyna ze swoim filmowym partnerem Randym Fallinim i Megan. Klementyna powiedziała, że zna dziesiątki mężczyzn ze studia, którzy z rozkoszą dotrzymaliby Megan towarzystwa. Ona jednak odmówiła. Nie chciała męczyć się przez cały wieczór z jakimś nieznanym. Nie chciała litości. Nie chciała nawet tam iść. Ale nie znalazła żadnego taktownego pretekstu.

Znowu zobaczy Jacksona. Ma się rozumieć zniesie to. Żaden problem. Może jej trochę przeszkadzać tylko jedna rzecz: kiedy Jackson zobaczy ją po raz pierwszy po rozwodzie, będzie sama. Wolałaby mieć gorący romans, na przykład z jakimś latynoamerykańskim przystojniakiem, który śpiewałby serenady i pisał dla niej wiersze. Nie powinno jej obchodzić, co Jackson sobie pomyśli. Wiedziała o tym. Mieszkała w odległości pięciu kilometrów od niego. Posłuchała w końcu rady Klementyny i znalazła

pracę na pół etatu w podmiejskim butikiu. Dawała sobie radę w życiu i było jej dobrze. Dobrze i już.

Nawet sama przed sobą nie przyznawała się, że jeszcze cierpi. To rzecz nierozsądna, śmieszna i niesłychana, żeby kochać kogoś rok po rozstaniu. Zdawała sobie sprawę, że Jackson wcale nie myśli o niej codziennie przed zaśnięciem. Powątpiewała, czy w ogóle o niej myśli. Z tego, co udało jej się wyciągnąć z Alex, wynikało, że jego życie towarzyskie nigdy nie było równie ciekawe jak teraz.

Kiedy dom w Concord został sprzedany, a dochód podzielony, Jackson przeprowadził się do artystycznej dzielnicy San Francisco o nazwie Haight-Ashbury. Pracował cztery dni w tygodniu u Jo w muzeum, co wieczór malował, przyjmował przyjaciół do drugiej nad ranem, o świcie odbywał spacer nad zatokę i zapraszał bezdomnych na kawę. Robił to, co zawsze chciał robić - żył jak wolny człowiek bez żadnych zobowiązań. Alex wysnęło się pewnego razu, że widuje jakąś kobietę, ale gdy Megan zaczęła wypytywać o szczegóły, odparła, że to nikt liczący się w jego życiu, a tylko jedna z wielu pań, z którymi sporadycznie się spotyka.

W świetle dnia przyjaciółki Jacksona były dla niej zwykłymi wycieruchami, ale z nastaniem nocnej melancholii wyobrażała je sobie jako młode, ciemnowłose dziewczyny o egzotycznej urodzie. Były pewnie postępowymi studentkami, znajomymi malarkami albo ekscentrycznymi pisarkami. Były interesujące. Kiedy mówiły o swoim życiu, nie brakowało im tematu do opowieści. Ekscytowały je współczesne wydarzenia, miały własne przemyślenia i poglądy na każdy temat. Megan była pewna, że żadna z nich nie pracuje w butikiu, sprzedając suszone kwiaty i ręcznie robione kołatki do drzwi.

Wyszła na zewnątrz i usiadła na stopniach werandy. Dwie godziny temu Klementyna wyszła na zakupy po sukienkę na premierę. Namawiała przyjaciółkę, żeby z nią poszła, ale obie wiedziały, że Rodeo Drive nie jest centrum handlowym w guście Megan. Pewnie po prostu wygrzebie z garderoby jakąś starą sukienkę.

Zadzwoił telefon, więc wbiegła do domu. Usłyszała głos z zamierzchłej przeszłości, nigdy nie zapomniany, choć przechowywany w nieczynnym pliku pamięci.

- Megan, to ty?
- Joey Holmes? To niemożliwe.
- We własnej osobie.

- Nie do wiary - usiadła na kanapie i owinęła sznur telefoniczny wokół palca. - Jak ci leci? Mój Boże, nie słyszeliśmy się od wieków.

- Od kiedy wyszłaś za męż. - I się rozwiodłam.

- Bardzo mi przykro.

- Niepotrzebnie - odparła, nie mogąc się nadziwić, że te słowa przyszły jej tak łatwo, że cierpienie wydaje się tak odległe, a wspomnienie ramion Joeya, obejmujących ją w tańcu na balu absolwentów, tak żywe. - Jest mi czasami ciężko. Prawdę mówiąc, często. Ale stopniowo dochodzę do siebie.

- Cieszę się.

- A ty? Gdzie mieszkasz? Ożeniłeś się?

Wybuchnął naturalnym, szczerym śmiechem, o kilka decybeli cichszym niż śmiech Alex. Megan zdążyła już zapomnieć, jak bardzo się różnią.

- Spróbuję odpowiedzieć po kolei. Leci mi nieźle. Mieszkam w zachodniej części Los Angeles, pracuję jako nauczyciel muzyki i udzielam prywatnych lekcji. W weekendy grywam nawet w dzielnicowej orkiestrze. I nie ożeniłem się. Chyba jeszcze nie spotkałem właściwej kobiety.

- Ale sprawiasz wrażenie człowieka szczęśliwego - powiedziała Megan. Przypomniała sobie, jak się ucieszyła, kiedy powiedział, że nie myśli poważnie o związku ze swoją dziewczyną Stacy, Sandy, czy jakoś tak. Kiedy miesiąc później zerwali ze sobą na dobre, Megan przez tydzień była w euforii. To samo czuła w tej chwili - oszałamiającą radość, której jedynym powodem było to, że Joey na żadną kobietę nie patrzy z miłością w oczach.

- Bo jestem szczęśliwy - powiedział. - Mam swoją muzykę. Mam dobrych przyjaciół. Robię to, co chcę.

- Cieszę się, Joey. Naprawdę. Szkoda, że Alex nie powiedziała mi wcześniej, że mieszkasz w Los Angeles. Spotkałabym się z tobą z ogromną przyjemnością.

- W zasadzie powiedziała mi, że tu jesteś, jak tylko postanowiłaś zamieszkać w Los Angeles po rozwodzie. Nie zadzwoniłem wcześniej, bo... Sam nie wiem. Pomyślałem, że potrzebujesz czasu, żeby się pozbierać. A potem, cóż, chyba nie miałem śmiałości.

Słyszała w jego głosie zdenerwowanie i oniesmielenie. Bardzo różnił się od Jacksona, który zawsze był panem sytuacji. Ta miła odmiana sprawiła, że Megan poczuła się przy nim silniejsza.

- Cieszę się, że dzwonisz właśnie teraz - powiedziała. - Tak się składa, że Alex przylatuje dzisiaj na premierę filmu Klementyny.

- Wiem. Dlatego telefonuję. No, przynajmniej jest to jeden z powodów. Alex mi podsunęła tę myśl. Powiedziała, że nikt ci nie będzie towarzyszyć na premierze, więc pomyślałem. ..

- Cholera jasna - powiedziała Megan wstając. - Dlaczego one zawsze to robią? Myślą, że nie potrafię pokierować własnym życiem? Wiesz, jak mi obrzydło wysłuchiwanie, co mam robić i dokąd pójść?

- Przepraszam, Megan.

- Nie umiem zaakceptować mnie taką, jaka jestem. Chcą, żebym tak jak one co wieczór gdzieś wychodziła. A ja nie mam ochoty. Lubię siedzieć w domu. Czy to takie straszne?

- Nie sądzę - odparł łagodnym tonem. - Ja też to lubię. Megan z trudem się opanowała, hamując złość.

- Nie chciałam na ciebie krzyczeć, Joey. Żałuję tylko, że nie pozwalają mi raz na jakiś czas pobyć sobą. Nie każdy pragnie zostać gwiazdą albo osiągnąć szalony sukces. Ja chcę po prostu być szczęśliwa.

Zapadła krępująca cisza, a Megan zadała sobie pytanie, czy kiedykolwiek nauczy się właściwie postępować z mężczyznami. Wobec Tony'ego zachowywała się zbyt naiwnie, przy Jacksonie czuła się słaba i nieważna, a teraz nakrzyczała na Joeya, chociaż chciał tylko być miły. Co takiego mają w sobie mężczyźni, że osobowość każdego z nich powoduje w niej taką przemianę? Czyżby miała tak niedojrzały i niewyrobiony charakter, że potrafią siłą swojej woli nadać mu dowolny kształt?

- Mam rozumieć, że nie chcesz ze mną iść - odezwał się Joey.

Megan zobaczyła oczami wyobraźni, jak siedzi w domu, czekając na jej odpowiedź, a dłonie pocą mu się tak samo jak jej. Może pomysł wyszedł od Alex, ale nie był taki zły. W towarzystwie Joeya będzie się dobrze czuła. A jeśli widok Jacksona sprawi jej ból, jeśli się rozplacze albo będzie musiała wcześniej wyjść, Joey to zrozumie. Musiałaby być głupia, żeby się nie zgodzić. A już, do cholery, zmęczyło ją udawanie głupiej.

- Pójdę z tobą z ogromną przyjemnością, Joey.

- Świetnie - powiedział za szybko i zbyt entuzjastycznym tonem. Sama Megan zwykle odpowiadała w taki sposób.

- Zdaje się, że wszyscy spotykają się u nas o siódmej - dodała. - Wytłumaczę ci, jak dojechać.

- Alex już mi powiedziała.

Roześmieli się jednocześnie. Kiedy Megan odwiesiła słuchawkę kilka minut później, jeszcze miała uśmiech na ustach. A kiedy kładła się wieczorem spać, zupełnie zapomniała skreślić ten dzień w kalendarzu.

Klementyna nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zdenerwowana, dopóki napięcie nie zaczęło znikać. „Wyrok skazujący” był wyświetlany na szerokim ekranie już od godziny, kiedy w końcu rozluźniła pięści. Opuściła wzrok na dłonie i zobaczyła półokrągłe wgniecenia w skórze, z których dwa krwawiły.

Na widowni panowała głucha cisza. Nie było słycać szeptów ani pociągnięć nosami. Klementyna miała nadzieję, że to dobry znak. Chryste, dlaczego Will jej na to nie przygotował? Nie zdawała sobie sprawy, jakie to trudne przeżycie siedzieć w kinie wypełnionym setkami widzów, którzy oglądają na ekranie każdy ruch aktora, gotowi wytknąć najdrobniejsze niedociągnięcie. Zerknęła ponad złotowłosą głowę Randy'ego na koniec rzędu i zobaczyła, jak Mei Robinson, krytyk filmowy z Los Angeles, zapisuje kilka uwag w notesie. Randy odwrócił się do niej i uśmiechnął. Kiedy ścisnął jej rękę, przekonała się, że też ma spocone dłonie. Sprawilo jej to ulgę.

Absolutnie nie ułatwiał jej natomiast sytuacji mężczyzna siedzący z lewej strony. Jackson Hollywell zajął fotel obok niej z taką swobodą, jakby był jej mężem i to miejsce mu się należało. Dzięki temu Megan znalazła się po drugiej stronie, za Randym i Joeyem. Jackson chciał pewnie znaleźć się jak najdalej od byłej żony. A może zależało mu też na tym, żeby siedzieć blisko Klementyny? Spojrzała na niego kątem oka i z rozczarowaniem doszła do wniosku, że ta wersja nie wchodzi w grę. Jackson wyglądał jak osaczony przestępca. Ramiona przycisnął do tułowia, jakby ukrywał pistolet pod marynarką. Boże broń, żeby ich ręce zetknęły się przypadkiem.

Ponownie przeniosła wzrok na ekran, usiłując się skupić. Niestety trafiła na scenę, w której ona i Randy - który grał życzliwego adwokata tak przekonywająco, że Klementyna z trudem uświadomiła sobie, iż w rzeczywistości nie jest prawnikiem - całują się po raz pierwszy. Nie miała oporów przed pocałowaniem go. Już dawno nauczyła się odróżniać rzeczywistość od pracy w filmie. Po prostu wyłączała emocje, spychała wspomnienia o NIM w najgłębsze, najciemniejsze zakamarki duszy i wykonywała polecenia. A jeśli w jej oczach widać było pewien chłód, brak namiętności, to trudno, nic nie mogła na to poradzić. Jak dotąd nikt nie zaprotestował, więc najwidoczniej nie było to zauważalne.

Do tej sceny trzeba było zrobić dwanaście ujęć, zanim w końcu dobrze wypadła. Najpierw nie byli dość żarliwi. Potem za bardzo. Następnym razem niezręczni. Później zbyt zdenerwowani. Wreszcie, kiedy zgodnie z instrukcjami reżysera już się szykowali do nieśmiałego pocałunku z

zamkniętymi ustami, Randy zmienił zasady gry. Jak tylko ich wargi się dotknęły, otworzył usta i wepchnął język między jej zęby. Początkowo Klementyna pomyślała, że porwał go szal namiętności, ale potem poczuła, że wsuwa jej do ust ostre papryczki. Odepchnęła go i pobięła do kranu z wodą. Kiedy wróciła, Randy śmiał się do rozpuku.

- Bardzo śmieszne - powiedziała. Cała ekipa była wtajemniczona w dowcip. Pękali ze śmiechu, chowając się za kamery i rekwizyty. Po chwili roześmiała się także Klementyna.

- Jeszcze ci za to odpłacę, kolego - powiedziała.

- Mam nadzieję.

Wyrównała rachunki dwa tygodnie później, wkładając Randy'emu do kieszeni płaszcza galaretkę. Przypomniała mu to teraz, szturchając go w żebro. Pokazał jej język, a ona uśmiechnęła się. Poczciwy Randy. Fantastyczny, jasnowłosy, błękitnooki Randy, który ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu, umysł Alberta Einsteina, budowę Arnolda Schwarzeneggera i jest stuprocentowym homoseksualistą. Miała nadzieję, że amerykańskie kobiety nigdy się o tym nie dowiedzą. Po co odbierać im nadzieję.

Film przesuwiał się przed oczami widzów, oferując im solidną mieszankę kryminału, dramatu, a nawet nieco komedii. Na kilka minut przed końcem Klementyna miała już zupełnie rozluźnione ciało. Przed dziennikarzami będzie musiała zachować spokój i opanowanie. Nie może dać po sobie poznać, że nie jest pewna sukcesu. Jeśli przebrnie przez udzielane naprędce wywiady, będzie wreszcie mogła iść na kolację w Ma Maison z Alex, Megan i ich trzema towarzyszami, z którymi, mimo najszczerzych chęci prasy bulwarowej, żadna z nich nie ma, niestety, romansu.

Na ekranie ukazało się wreszcie ostatnie ujęcie. Klementyna i Randy trzymali się w objęciach na schodach przed gmachem sądu, zaś jej męża, który ku pełnemu zaskoczeniu wszystkich okazał się prawdziwym mordercą kochanki, wprowadzano pod eskortą do środka. Klementyna i Randy spojrzeli na siebie i zaczęli się oddalać. Na ekranie pojawiły się napisy.

Na widowni panowała zupełna cisza. Odprężenie, które czuła od godziny, ulotniło się i Klementyna wpadła w panikę. Nad latami po NIM natychmiast wzięły górę lata normalności sprzed NIEGO, kiedy w chwilach lęku potrafiła zwrócić się do kogoś po pociechę. Nie zastanawiając się, co robi, sięgnęła po czyjaś rękę. Nie zauważyła

zdziwionego wyrazu twarzy Jacksona, którego dłoń chwyciła. Nagle wokół niej rozległy się ogłuszające oklaski. Widzowie, wśród których było zatrzęsienie gwiazd filmowych, wstali i zaczęli rozglądać się dokoła, aż znaleźli wzrokiem ją i Randy'ego. Mei Robinson też. Kiedy napisy zniknęły i zapaliły się światła, oklaski przybrały na sile. Aplauz z wolna ustąpił miejsca komentarzom, a kiedy tłum wylewał się z kina, do uszu Klementyny docierały przymiotniki „wspaniałe” i „znakomite”. Kiedy wstali, jeszcze trzymała dłoń Jacksona. Opuściła wzrok na ich splecione palce bez lęku i obrzydzenia. Widok czyjejś dłoni w jej ręce wydał się Klementynie po prostu piękny - o ile dłoń należy do właściwej osoby i o ile ona chce ją trzymać.

- Przepraszam - powiedziała, cofając w końcu rękę. Spróbowała pokryć skrępowanie śmiechem. - Chyba byłam trochę zdenerwowana.

- Nie przepraszaj - powiedział tak cicho, że tylko ona dosłyszała. Mieli jeszcze chwilę czasu dla siebie, czekając w rzędzie, aż tłum przepłynie. Jackson przysunął się do niej i uśmiechnął. Czowała się tak samo jak na jego ślubie z Megan - niezręczna i przezroczyta dla ludzi, ale ciepła i bezpieczna w środku, jakby owinał ją elektrycznym kocem w szalejącej wokół zamieci śnieżnej.

- Byłaś rewelacyjna - powiedział. - Naprawdę. Zrobiłaś na mnie duże wrażenie.

Już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, gdy Alex wystawiła głowę z drugiej strony Jacksona i wtrąciła się.

- To było fantastyczne, Ciem - powiedziała. - Na widowni było cicho jak makiem zasiał. Wszystkich rzuciłaś na kolana.

- A ja? - zapytał Randy.

- A ty byłeś niezły - odparła ze śmiechem Klementyna. Kiedy wyszli z kina, osaczyła ich gromada dziennikarzy, czekających tuż przy drzwiach. Twarze Klementyny i Randy'ego obiegiło mrowie mikrofonów. Zewsząd sypał się na nich grad pytań, aż wreszcie Randy wziął sprawy w swoje ręce i jak prezydent wskazywał kolejno ręką na dziennikarzy, udzielając im głosu. Lampy błyskowe oślepiły ich do tego stopnia, że zamiast twarzy widzieli czerwone plamy. Klementyna znosiła to wszystko, nie gubiąc z twarzy ani na chwilę swego najbardziej zachwycającego uśmiechu. Dostrzegła, że Jackson, Alex, Megan i Joey usunęli się w cień, zostawiając ją samą w świetle reflektorów. Miała ochotę powiedzieć im: „Wracajcie. Dzielcie tę chwilę razem ze mną”. Ale oczywiście nie mogła. Byli z niej dumni, zachwyceni jej sukcesem, ale nie byli częścią jej samej. Zawsze

znajdą się w jej życiu rzeczy, które będzie musiała robić sama, choćby bardzo starała się do tego nie dopuścić.

* * *

Przy wejściu do Ma Maison również roіło się od dziennikarzy. Klementyna i Randy znów się uśmiechali, odpowiadając na te same pytania. Tak, są bardzo zadowoleni z tego filmu. Są zachwyceni, że premiera okazała się tak udana. Z rumieńcem na twarzach oświadczyli, że jeszcze za wcześnie myśleć o Oskarach.

Sześciuosobową grupą przedarli się przez zaporę z fleszy do pięknie urządzonej restauracji. Kiedy prowadzono ich na miejsca, odwróciły się ku nim wszystkie głowy. Dostali środkowy stolik w pierwszym rzędzie. Klementyna żałowała, że nie ma Artura i nie może dzielić z nim radości tej chwili.

Natychmiast podano dwie butelki szampana. Randy wstał z kieliszkiem w ręku i odchrząknął.

- Chciałbym wnieść toast za moją piękną partnerkę, Klementynę Montgomery - powiedział.

- Brawo.

- I chciałbym dodać, że sam też nie byłem taki zły.

- Patrzcie państwo - odezwała się Klementyna.

- Nie byłem. Pragnę wreszcie powiedzieć, że to wspaniałe, iż Klementyna ma takich dobrych przyjaciół: Alex i Jacksona, którzy przylecieli aż z mojego ukochanego San Francisco - puścił do Klementyny oko i roześmiał się - i oczywiście Megan oraz Joeya. Zgodzili się oni dotrzymać nam towarzystwa podczas tego posiłku, za który absurdalnie zawyżony rachunek zapłaci łaskawie Lancolme.

Megan spojrzała na Joeya, sącząc szampana. Niewiele się odzywał przez cały wieczór i stał na uboczu tak samo jak ona. Przyjechał do nich wcześniej, jeszcze przed Alex i Jacksonem. Przyjemnie ją zaskoczyło, że się nie zmienił. Był teraz oczywiście starszy. Stał się w każdym calu mężczyzną, przez co zatarła się między nimi różnica wieku, która dawniej tak jej przeszkadzała. Jego włosy wciąż miały jednak kolor lnu, a w oczach kryły się wrażliwość i troska. Nie wyrósł też ze swojej niepewności i ostrożności. Gdy ją objął, a potem cofnął się o krok, żeby spojrzeć jej w oczy, Megan odniosła wrażenie, że patrzy na siebie samą.

Kiedy Jackson i Alex dotarli godzinę później, oboje wystrojeni w idealnie do siebie pasujące czarne kreacje, Joey chwycił ją za rękę. Jackson zbliżył się do Megan bez chwili wahania. Pocałował ją w policzek, zapytał

o zdrowie i o pracę, a potem podszedł do Klementyny, która przykuła jego uwagę, jakby była jaskrawą tasiemką, stanowiącą dla niego - małego kociaka - nieodpartą pokusę.

Alex była jak zwykle sobą. Oficjalny charakter pracy w ogóle jej nie zmienił. Miała na sobie błyszczącą, rozciętą od kolana po samo biodro, obcisłą sukienkę, na której skupiały się spojrzenia wszystkich mężczyzn w kinie. Oczywiście Klementyna też wyglądała oszałamiająco, jak zawsze. Jej widok autentycznie zapierał dech w piersiach. Megan, która mieszkała z nią na co dzień, zapomniała już, jakie wrażenie robi jej przyjaciółka na innych. Zapomniała, że otwierają szeroko oczy z zachwytem, zupełnie jak Jackson. Biała sukienka z dekoltem odsłaniającym ramiona, uszyta specjalnie dla niej przez projektanta mody, uwydatniała jasny kolor jej oczu, oczu, o których - czego Megan była pewna - wszyscy będą mówić po obejrzeniu filmu.

Przynajmniej raz Megan była zadowolona, że wtapia się przy Alex i Klementynie w tłum. Tym razem miała z kim pozostać w cieniu. Kiedy jednak usiedli w restauracji, otoczeni przez gwiazdy filmowe, szeptki i przepych, a Jackson znalazł się dokładnie naprzeciwko niej, Megan poczuła się nieswojo. Rozejrzała się dokoła i spostrzegła, że inni goście patrzą na ich stół. Wszyscy rozpoznawali Klementynę i Randy'ego, o których było ostatnio głośno, ale większość z nich zastanawiała się na pewno, kim są pozostali. Jakże byliby zaskoczeni, gdyby się dowiedzieli, że ona i Joey są po prostu nikim.

Alex jeszcze raz posłała Jacksonowi spojrzenie spod spuszczonej powiek i odwróciła się z niesmakiem. Straciła w nim towarzysza z chwilą, gdy zobaczył Klementynę i nastawił swoje czujki na jej kuszący nektar. Nie odstępował jej ani na krok, choć Alex bardzo starała się go odciągnąć. Mimo jej wysiłków udało mu się wcisnąć przed nią i zająć miejsce koło Klementyny, kiedy weszli do kina. To samo zrobił w restauracji. Gdyby Alex nie zauważyła w kinie po projekcji, że niezawodny zwykle mechanizm obronny Klementyny przestaje działać, i gdyby im nie przeszkodziła, na pewno stałoby się coś, co na zawsze pozostawiłoby ryse na przyjaźni Klementyny i Megan.

Klementyna rozmawiała z Randym, Jackson i Joey dyskutowali zaś o jakichś nowych obrazach nabytych właśnie przez Muzeum w San Francisco. Mimo to ciała Klementyny i Jacksona chyliły się do środka, ku sobie, jakby nie mieli dość siły, żeby trzymać się prosto. Alex odważyła się

spojrzeć na Megan, która siedziała obok niej, i zauważyła, że ona też utkwiała w nich wzrok. Pochyliła się ku przyjaciółce.

- Jak się czujesz? - zapytała.

Megan drgnęła, lecz zaraz odzyskała zimną krew i uśmiechnęła się.

- Nieźle. Całkiem nieźle.

Ciągle jesteś zła, że poprosiłam Joeya, żeby do ciebie zadzwonił?

Potrząsnęła głową.

- Nie, Alex. Naprawdę się cieszę, że on tu jest. Dzięki niemu mam poczucie, że nie jestem jedyną niedoskonałą osobą na świecie.

- Meg...

- Alex - wtrąciła się Klementyna. - Opowiedz coś o swojej pracy.

- No, więc...

Rozmowa ciągnęła się bez końca. Podtrzymywał ją zwłaszcza Randy, dzięki któremu wszyscy czuli się swobodnie. Wciągnął w dyskusję także Megan i Joeya. Mówił z Joeyem o muzyce, wykazując się zdumiewającą znajomością tematu. Uporczywie twierdził też, że zazdrości Megan jej normalnego życia.

- Ty chyba żartujesz - powiedział, kiedy obstawała, że jest nudne i przeciętne. - Nigdy nie zmieniaj stylu życia, Megan. Jest wspaniały. Niepotrzebne ci te głupoty. - Zakreślił ramieniem łuk po sali. - Wystarczy, jeśli przeżyjesz trochę szczęścia, trochę ekscytacji, wszystkiego po trochu. Umiar to rzecz kluczowa, a ty jako jedyna opanowałaś tę sztukę.

Joey i Megan wyszli jako pierwsi. Wstali zaraz po zjedzeniu deseru - puszystego musu owocowego z czekoladą.

- Naprawdę muszę już iść do domu - powiedział Joey. - Mam jutro lekcję o dziewiątej rano. Ty, Meg, możesz zostać, jeśli chcesz.

- Oj, nie. Jestem zmęczona. Ale było cudownie. Podeszła do krzesła Klementyny.

- Byłaś naprawdę wspaniała, Ciem. Jestem z ciebie bardzo dumna.

Kiedy pochyliła się, żeby pocałować Klementynę w policzek, poczuła w powietrzu zapach wody kolońskiej Jacksona. Znajomy zapach, który unosił się wokół jej przyjaciółki. Zabrakło jej tchu w piersiach. Odsunęła się.

- Miło było cię znów zobaczyć - powiedział Jackson, usiłując bez powodzenia uchwycić jej spojrzenie.

- Ciebie też - odparła szybko i wyszła pośpiesznie razem z Joeyem.

Przy stoliku przez chwilę nikt się nie odzywał. Po chwili Alex wstała.

- No, musimy jutro zdążyć na samolot. Idziesz, Jacku?

- W zasadzie mam ochotę jeszcze trochę zostać. Nieczęsto trafia mi się taka kolacja.

- Mogę cię zawieźć do domu, Alex - odezwał się Randy. - Jestem już wykończony.

Alex usiłowała znaleźć jakieś rozwiązanie. Wiedziała, że powinna coś zrobić. Klementyna nie kiwnęła palcem, żeby zapobiec temu, co się działo. Sukces wprowadził ją, cholera, w takie oszołomienie, że pewnie nawet nie zdawała sobie sprawy z sytuacji. A Jackson najwyraźniej gwizdał na wszystko. Ktoś musiał bronić interesów Megan.

- A ty nie jesteś zmęczona, Ciem? - zapytała Alex. Klementyna bawiła się trzymaną w rękę serwetką.

- Nie, nie bardzo. Możecie wrócić z Randym limuzyną. To będzie dla was atrakcja. Mnie odwiezie później Jackson.

Alex pokręciła głową, ale powiedziała:

- Cóż, chyba wiesz, co jest dla ciebie najlepsze. Klementyna podniosła wzrok i zobaczyła w oczach Alex rozczarowanie.

- Nie martw się, Alex - powiedziała łagodnym tonem. - Jestem już duża.

Alex podeszła i objęła ją.

- To zachowuj się jak dorosła - wyszeptała jej do ucha i zwróciła się w kierunku Jacksona. - Ruszamy jutro na lotnisko o dziesiątej rano, tak?

- Zgoda - powiedział, czując się trochę nieswojo pod jej matczynym spojrzeniem. W końcu Alex wzięła Randy'ego pod ramię i wyszła. Klementyna i Jackson nareszcie zostali sami.

Rozdział 17

- To na co masz teraz ochotę? - zapytał Jackson.

Milczenie trwało już zbyt długo. Nie odzywali się od chwili, gdy Alex i Randy wyszli - jak byli kochankowie, którzy szukają właściwych słów, bo wyczerpali wszystkie błahe tematy. Klementyna rozejrzała się i ze zdziwieniem odkryła, że oprócz nich została już tylko jedna para, sącząca kawę przy narożnym stoliku.

- Która jest godzina?

- Za dziesięć pierwsza - odparł Jackson, spoglądając na zegarek.

- Nie przypuszczałam, że już tak późno. Może powinniśmy po prostu pojechać do domu.

Przesunął palcem po brzeжку swojej filiżanki.

- Chciałbym trochę z tobą побыć - powiedział łagodnym tonem, nie patrząc jej w oczy. - Jesteśmy wreszcie sami. Nie wiem, kiedy będziemy mieli okazję znów się spotkać.

Powiedział to. Bez ogródek. Kelner zaproponował kolejną kawę, ale Jackson pokręcił przecząco głową.

- Megan będzie się zastanawiać, gdzie jestem - powiedziała w końcu.

- Pomyśli, że poszłaś gdzieś z Randym. Klementyna zareagowała nagłą złością na Jacksona.

- Chcesz, żebym jej skłamała?

- Oczywiście, że nie. Mówię tylko, że nie będzie się dziś niepokoić. Możesz jej powiedzieć jutro, z kim byłaś. Minął już ponad rok, Klementyno. To nie powinno jej przeszkadzać.

Klementyna cierpiała katusze z powodu swej niewygodnej sukienki. Gumka, która utrzymywała na miejscu rękawy poniżej odsłoniętych ramion, wrzynała się jej w skórę, pozostawiając czerwone wgniecenia, wyraźne jak tory kolejowe. Właściwie powinna pójść do domu, wymoczyć się w wannie, pomyśleć o filmie, o pochwałach krytyków, o zainteresowaniu, które wywołała, i popławić się w zadowoleniu. Ale pragnęła zupełnie nie tego, co powinna. Z całą pewnością pragnęła zostać z Jacksonem.

- Ta sukienka jest okropnie niewygodna - powiedziała.

- Posłuchaj, możemy pojechać do mojego hotelu. Dam ci swój dres, a potem po prostu ruszymy przed siebie. No, Ciem. Ta noc należy do ciebie. Nie kończ jej jeszcze. Słońce wzejdzie dopiero za parę godzin. Nie zostawiaj pełnego kieliszka.

Ich oczy spotkały się na moment, ale Klementyna zaraz odwróciła wzrok. Serce zaczęło jej bić mocniej. Instynkt podpowiadał, żeby odmówić, żeby jechać do domu, żeby pamiętać o Megan, żeby nie burzyć tego szczelnego muru, który wzniosła po spotkaniu z NIM. Pomysł Jacksona nie był bezpieczny, bo Klementyna nie panowała nad sobą. Ale Jackson okazał się konsekwentny. Wyrywał z jej fortecy kamień po kamieniu.

Jeszcze raz spojrzała na swoją sukienkę i skinęła głową.

- To brzmi zachęcająco - powiedziała.

Jackson uśmiechnął się do niej tak radośnie, że nie mogła się powstrzymać i nie odwzajemnić jego uśmiechu. Co w tym złego, że spędzą razem kilka godzin?

* * *

Klementyna wyszła z łazienki w hotelowym pokoju Jacksona w luźnych, granatowych spodniach od dresu, ledwo się trzymających na jej szczupłych biodrach, i w zwykłej, niebieskiej koszuli z długimi rękawami, które zawinęła do łokci. Jackson, który siedział na brzegu łóżka w dżinsach i górze od dresu, zachichotał.

- Nie waż się odezwać słowem - ostrzegła, podchodząc do lustra i marszcząc nos na widok swego odbicia. Jackson stanął za nią i też spojrzął w lustro.

- Miałem właśnie powiedzieć, że ślicznie wyglądasz. Naprawdę. Dużo bardziej podobaś mi się w tym stroju niż w poprzednim.

Uśmiechnęła się do niego.

- Dokąd teraz?

- Co powiesz na przejażdżkę nad morze? Możemy opuścić dach w moim wynajętym samochodzie i wdychać pełną piersią słynne powietrze Los Angeles.

- Jak to możliwe, że cię stać na wynajmowanie kabrioletu? Nie przypuszczałam, że Jo tak dobrze ci płaci.

- Bo nie płaci. Zresztą wcale mnie to nie martwi. Sam bym, do cholery, zapłacił, żeby tam pracować. Jeśli chodzi o kabriolet, to nie wiem, czy zauważyłaś, że to tylko sfatygowany MG, a nie żaden mercedes. Rzeczywiście był dość drogi, ale chciałem wynająć coś wyjątkowego na tę okazję.

Noc była chłodna i wietrzna, a niebo czyste, usiane gwiazdami i światełkami samolotów. Wokół domów i na szczytach wieżowców błyszczały czerwono-zielone światełka, obwieszające Boże Narodzenie.

Jackson wyjechał z hotelowego parkingu i ruszył ku bezkolizyjnej autostradzie. Prowadząc, spoglądał co jakiś czas na Klementynę. Miała zamknięte oczy i uśmiechała się, kiedy wiatr ze świstem pokonywał przednią szybę i wpadał w jej włosy, rozwiewając je wokół twarzy jak wachlarz.

- Jesteś zadowolona? - zapytał, przejeżdżając na najszybszy pas autostrady. O tak późnej porze była pusta, jeśli nie liczyć kilku dużych ciężarówek i starych samochodów, wyładowanych po brzegi nastolatkami.

- Tak - odparła. - Od wieków nie jeździłam dla samej przyjemności jazdy. Prowadzenie samochodu to tutaj ciężka sprawa. Pokonanie sześciu przecznic trwa godzinę. Siadam za kierownicą tylko wtedy, kiedy muszę.

- Nie brakuje ci okolic zatoki? - musiał niemal krzyknąć, żeby go usłyszała na tym wietrze.

Pokręciła głową.

- Raczej nie. Chyba nigdy nie chciałam zamieszkać tam na stałe. Ta okolica jest, jak na mój gust, zbyt wilgotna, mglista i ponura. Ale mam też miłe wspomnienia. Będzie to dla mnie zawsze miejsce, gdzie zrodziły się moje marzenia.

- A gdzie się skończą? Tutaj?

Klementyna oparła się o drzwi samochodu i obserwowała Jacksona. Ciemne włosy powiewały wokół jego twarzy, układając się w ciągle nowe formy i smagając jego skórę. Dobrze wyglądał w tym samochodzie - jak wolny, od nikogo i niczego niezależny chłopak. Jak by to było wspaniale, pomyślała, gdyby leżało w jej mocy dać mu wszystko, czego pragnie - powodzenie, szacunek dla niego jako artysty, pieniądze i miłość. Zależało jej na szczęściu Jacksona, chociaż tak mało go znała.

- Mam nadzieję, że moje marzenia nigdy się nie skończą - powiedziała, powracając myślą do jego pytania. - Zawsze będę je modyfikować, wzbogacać o nowe i tak bez końca. Przynajmniej tego bym chciała.

Uśmiechnął się do niej. Zjechali z autostrady na Bulwar Zachodzącego Słońca i skierowali się ku plaży.

Najpierw droga wiodła przez zamożną dzielnicę Brentwood. Klementyna oglądała domy - zbiorowisko tradycyjnych i nowoczesnych, jedno i dwupiętrowych willi, usytuowanych za pasem idealnie wypielegnowanych trawników. Zbliżała się trzecia rano, a mimo to ogrody i werandy były w większości oświetlone, jakby właściciele czuwali, nie mogąc zasnąć z obawy przed włamywaczami.

- Nie chciałabyś kupić tu kiedyś domu? - zapytał Jackson, zwalniając. - Ten jest ładny - powiedział, pokazując dużą, dwupiętrową willę, obitą z zewnątrz drewnianą boazerią i leżącą w głębi oświetlonego latarniami ogrodu. - Pewnie byłoby cię na nią stać, choćby z wynagrodzenia za film.

Przyjrzała się willi i pokręciła głową.

- Nie zapłacili mi aż tak dużo. Poza tym, to nie dla mnie. Myślę, że w ogóle Kalifornia nie jest dla mnie.

- Ale to przecież Hollywood. Kraina gwiazd. Nie tego pragnęłaś?

Jackson jechał dalej, ona zaś usiłowała wyobrazić sobie, że pokonuje te ulice codziennie w drodze ze studia do domu. Spoglądała na oświetlone okna i stawała w myślach po drugiej stronie zasłon. Wyobrażała sobie wielkie ekrany telewizorów, wieże stereo, pokoje służących, oddzielne sypialnie dla pani i pana i bóle głowy ze zdenerwowania, towarzyszące przygotowaniom do przyjęć, dzięki którym trafia się do rubryki towarzyskiej. Oparła nogi o tablicę rozdzielczą i pokręciła głową.

- E tam. Nie jestem pewna, czego dokładnie chcę, ale nie tego. Oczami wyobraźni widzę siebie gdzieś w lesie, w otoczeniu drzew, może nawet przez moją posiadłość płynie jakiś strumyk. Widzę dom w stylu ranczerskim ze starymi, wygodnymi meblami i kominkiem w ogromnym salonie.

Jackson zatrzymał się na czerwonym świetle i spojrzał na nią.

- Naprawdę? To brzmi fantastycznie, ale ja zawsze klasyfikowałem cię jako typ właścicielki nowoczesnego domu na dachu wieżowca na Manhattanie.

Klementynie przypomniał się Manhattan i przeszedł ją dreszcz. Nigdy tam nie wróci.

- Kiedyś miałam takie pragnienia - powiedziała cicho. - Ale teraz już nie. Sława jest czymś wspaniałym. Przepadam za dziennikarzami i wielbicielami, ale nie mam złudzeń, że to będzie trwać wiecznie. Pewnego dnia obudzę się pomarszczona i stara jak odgrzewany kotlet. Będę wtedy potrzebować bezpiecznego schronienia z dala od świata. Miejsca, w którym byłabym u siebie.

Uśmiechnął się do niej i ruszył w kierunku kanionu.

- Mam oczywiście nadzieję, że „Wyrok skazujący” odniesie oszałamiający sukces - ciągnęła. - Liczę, że dostanę potem więcej dobrych, krwistych ról, moje filmy będą oglądane na całym świecie i zarobię cholernie dużo pieniędzy. Ale nie wiem, co potem.

Droga przypominała teraz trasę rajdową składającą się z ciągu serpentyn. Rzucani to w jedną, to w drugą stronę, podtrzymywali się nawzajem. Mijali domy, nieduże ośrodki handlowe i parki. Jackson przycisnął pedał gazu. Czuł się tak, jakby miał znowu osiemnaście lat i był nieśmiertelny, jakby przeniósł się z powrotem do czasów, gdy nie istniały dorosłe lęki przed wypadkami i śmiercią. Klementyna, która też odmłodziła, zanosila się śmiechem. Wyjechali w końcu u wylotu kanionu, a przed nimi roziskrzył się jak bezkresny ocean czarnych diamentów Pacyfik.

Jackson pojechał pustą autostradą biegnącą wzdłuż wybrzeża. Zatrzymał się przy otwartym całą noc sklepie i wyskoczył z samochodu. Za kilka minut był już z powrotem z dwoma kubeczkami gorącej kawy i pudełkiem czekoladowych pączków. Klementyna odebrała od niego jedzenie i roześmiała się.

- Czy to twoje tradycyjne śniadanie? - zapytała.

- Nie. Zwykle jadam do tego batonik Twinkie, ale w tym sklepie już ich zabrakło.

Kiedy wjeżdżał z powrotem na autostradę, miał na twarzy figlarny uśmiech, tak pociągający, że Klementyna nie mogła oderwać wzroku. Wiedziała, że Jackson dba o siebie bardziej niż się do tego przyznaje. Zapewne siedzi w ciągu dnia za biurkiem w muzeum, a całą noc stoi przy sztalugach malując, musi jednak jeszcze znajdować czas na wysiłek fizyczny. Świadczyły o tym twarde, idealnie zbudowane, silne mięśnie, zwłaszcza nóg, wyraźnie odznaczające się pod dżinsami.

Jackson wjechał na parking stanowej plaży imienia Willa Rogersa i wyłączył silnik. Klementyna podała mu kawę, a pączki położyła między nimi.

Na wprost nich fale w regularnych odstępach czasu rozbijały się o brzeg, nie słabiej i nie mocniej niż powinny, wolne od bólów głowy, śmierci i wojen światowych. Przez przednią szybę doleciał ich znajomy, pierwotny, słony zapach morza. W oceanie, w jego nieskończoności, w nieprzerwanym szumie fal było coś takiego, że Klementyna poczuła spokój i pewność, że istnieją na świecie rzeczy niezmiennie.

- A ty? - zapytała, zdejmując ze swojego kubeczka kawy plastikową przykrywkę. - Jako kto chciałbyś skończyć?

Przechylił głowę na bok, rozmyślając nad jej pytaniem i jednocześnie wgrzając się w pączek.

- Hmm - powiedział, oblizując okruszki ciasta z warg. - Nigdy nie zastanawiałem się nad tym poważnie. Chyba po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, że gdzieś skończę. Jako artysta zawsze dążę do jakiegoś celu, do udoskonalenia portretu albo pejzażu, do tego, żeby wystawić swoje prace w jakiejś małej galerii, potem w większej, a potem... Sam nie wiem. Nie wyobrażam sobie, że pewnego dnia mógłbym przestać i powiedzieć sobie: „Dobra, już skończyłem”.

- To pewnie było trudne do zrozumienia dla Megan - powiedziała Klementyna. - Myślę, że jej największym marzeniem było skończyć w jakimś ciepłym i przytulnym miejscu.

Klementyna chciała to powiedzieć przez cały wieczór. Chciała usłyszeć jego wersję. Wierzyła Megan, a nawet ją rozumiała, choć tak bardzo się różniły. Musiała się jednak dowiedzieć, jak to możliwe, że taki, wydawałoby się idealny mężczyzna jak Jackson, dopuścił do rozpadu swego małżeństwa.

Jackson skończył jeść pączka. Słońce miało wzejść za godzinę, ale horyzont już zabarwił się głęboką purpurą. Samotny surfiści szedł po piasku w mokrym kombinezonie, a fosforyzująca pomarańczowa deska surfingowa sterczała mu pod pachą, błyszcząc jak neon. Jackson podciągnął jedną nogę na fotel samochodu i spojrzał na Klementynę.

- Megan i ja nigdy do siebie nie pasowaliśmy - powiedział. - Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. Musiałaś to zauważyć.

- Nie do mnie należało o tym sądzić.

- To prawda. Co ci mogę powiedzieć? Że jest mi przykro? Że Bóg mi świadkiem, iż wolałbym nie skrzywdzić Megan? I w jednym, i w drugim jest więcej prawdy, niż myślisz, ale to nic nie zmienia. Megan ciągle nie może znieść mojego widoku. Ciągle widzę ból w jej oczach. Zniszczyłem jej słodką wizję małżeństwa i długiego, szczęśliwego życia we dwoje.

Siła kryjąca się w jego słowach zmuszała Klementynę do patrzenia mu w twarz. Jego zielone oczy wpatrywały się w nią intensywnie i przenikliwie, jakby próbował zajrzeć do jej myśli. Z taką łatwością mogłaby zapomnieć o całym świecie, o przeszłości, o złożonym sobie przyrzeczeniu niezależności, o przyjaźni z Megan, i pozostać do końca życia w tym miejscu, na plaży, nad którą nie weszło jeszcze słońce. Z mężczyzną, który całkowicie zawładnął jej myślami, jej rozumem i emocjami, choć nawet się do niej nie zbliżył. Wystarczy, że przysunie się do niego, pocałuje wargi, które na pewno są gorące, namiętne i stworzone

tylko dla niej, a straci głowę. Tak bardzo pragnęła się dowiedzieć, jak on smakuje i jakie to uczucie wtulić się w jego ramiona!

Musiałyby tylko zapomnieć, że on jest mężczyzną i że gdyby go do siebie wpuściła, mógłby ją zranić i byłaby znów bezbronna. Musieliby tylko zapomnieć, że on i jej najlepsza przyjaciółka byli kiedyś małżeństwem. Stanowiliby idealnie dobraną parę. Miłość, której szukała na każdym kroku, patrzyła jej prosto w twarz.

- Klementyno - wyszeptał, pochylając się, żeby ją pocałować.

Spuściła wzrok na własne ciało i zauważyła, że ona też się do niego przysuwa. Wyprostowała się nagle, uderzając plecami o drzwi. Zwinęła się z bólu, bo metalowy uchwyt wbił się jej w kręgosłup. Odwróciła od niego wzrok, przenosząc spojrzenie na surfistę, który wbiegł do wody, wskoczył na deskę i skierował się na pełne morze. Oddychała miarowo i powoli, chcąc się uspokoić.

- Nie znasz mnie - szepnęła.

- Znam.

Pokręciła głową, z trudem powstrzymując łzy, które by ją zdradziły. Czowała się taka samotna, jakby wcale nie siedział obok niej, jakby była sama na świecie.

- Megan jest moją najlepszą przyjaciółką - powiedziała. Pierwszą prawdziwą przyjaciółką w życiu - dodała w duchu. Nie mogła jej zdradzić. Klementyna i Jackson nigdy nie przeskoczą tej przeszkody, jaką jest jego małżeństwo z Megan. Kochał ją i porzucił - ten fakt na zawsze będzie rzucał cień na ich stosunki. Gdyby nawet potrafili o tym zapomnieć, przypominałby im to codziennie rano i wieczorem ból w oczach Megan.

Jackson wpatrywał się w Klementynę przez dłuższą chwilę w nadziei, że spojrzy na niego jeszcze raz i da mu się przekonać. Od dawna czekał na moment, gdy będzie mógł z nią zostać sam na sam, bez naganych spojrzeń Alex i zazdrości Megan. Kiedy jednak znaleźli się sami i nie dzieliło ich już nic ani nikt, Megan wciąż nie pozwalała im się do siebie zbliżyć.

- Chyba będzie lepiej, jeśli zawiozę cię do domu - powiedział, zdając sobie sprawę, że nie ma już żadnej nadziei.

Skinęła głową i Jackson zapalił silnik. Jechali w milczeniu wzdłuż wybrzeża w kierunku kanionu Malibu, a za nimi pojawiały się na horyzoncie pierwsze promienie słońca. Dotarli do kanionu i skręcili z powrotem ku dolinie.

- Spędziłam wspaniały wieczór, Jacksonie - powiedziała Klementyna. Wolno mijali zakręty w ciemnym kanionie.

Jackson skinął głową. Poczul się raptem stary. Stary, śmiertelny i bardzo, bardzo zmęczony.

* * *

Megan siedziała zauroczona na twardym, niewygodnym krześle w sali konferencyjnej szkoły podstawowej. Pamiętała, jak Joey grał dla niej na fortepianie, kiedy byli młodszy. Wykonywał wtedy utwory z podręcznika do trzeciej klasy, a nie sonatę Cis-moll Beethovena. A ona podkradała się pod ławką i szturchała Joeya w stopę, usiłując go zdekcentrować, zamiast, jak teraz, siedzieć w nie dającym się opisać zachwycie, urzeczona pięknem muzyki i talentem, który Joey rozwinął przez te lata do perfekcji.

Patrzyła na skupioną twarz grającego Joeya, zdając sobie sprawę, że po raz pierwszy widzi tego mężczyznę, który siedzi przy fortepianie ubrany w czarny wytworny frak, składając w hołdzie geniuszowi Beethovena płomienną siłę wyrazu i niewyczerpaną studnię emocji. Zamglone spojrzenie Joeya było utkwione w jakimś punkcie kryjącym się za kulisami. Wargi miał zaciśnięte, jakby je gniotła jakaś niszczycielska siła. Jego palce zaś wyprawiały cuda, czasem poruszając się wolno i jak w hipnozie, a czasem tak szybko, że od samego patrzenia Megan rozboleły jej własne palce. Rozejrzała się wokół siebie, z zadowoleniem i dumą przekonując się, że publiczność słucha letniego koncertu z napięciem i uwagą.

Koncert — już trzeci, na który Megan poszła od chwili, gdy zaczęła spotykać się z Joeyem po premierze „Wyroku skazującego” cztery miesiące wcześniej - składał się z solowych popisów Joeya, zbierającego ku jej radości najwięcej oklasków, oraz z występów Orkiestry i Chóru Północnej Doliny. Po dwóch godzinach, kiedy Megan wreszcie wstała, poczuła w na pół zdrętwiałych nogach takie samo mrowienie jak w odgniecionym na twardym krześle siedzeniu. Wyszła na zewnątrz i oparła się o maszt sztandaru, czekając, aż Joey wyjdzie.

Gdy się pojawił piętnaście minut później, był już ubrany w wygodne spodnie z białej bawełny i zielony sweter. Znów miał na twarzy nieśmiały uśmiech. Nie potrafił przenieść pewności siebie, którą znajdował przy fortepianie, na inne dziedziny życia. Wciąż był trzynastoletnim chłopcem, którego tak żywo pamiętała.

- Byłeś taki wspaniały, że brak mi słów - odezwała się, kiedy ruszyli do samochodu.

- Naprawdę? - jego piwne oczy błagały ją o potwierdzenie. Roześmiała się.

- Nie rozumiem, skąd się w tobie bierze ta niepewność, Joey. Jesteś znakomity. Wszyscy tak uważają. Szkoda, że nie słyszałeś, co mówili widzowie.

Kiedy doszli do samochodu, Joey otworzył przed nią drzwi i pośpiesznie przeszedł na stronę kierowcy. Wsiadł i zapalił silnik.

- Ciągłe jesteś głodna? - zapytał.

- Jak wilk.

Pojechali do prowadzonej przez pewną rodzinę knajpki, znanej z doskonałych żeberek i kurczaka po wiejsku, w zachodniej części Los Angeles. W restauracji panował kakofoniczny hałas, na który składał się szcęk naczyń, czyjś niepohamowany śmiech, trajkot gości i uwagi zwracane dzieciom przez rodziców. Megan zauważyła, że rozlegające się głosy mają małomiasteczkowe, nosowe brzmienie.

- To miejsce ma w sobie coś ze Środkowego Zachodu - powiedziała.

- Nie podoba ci się.

- Wcale tego nie powiedziałam. Uważam nawet, że jest czarujące. I takie inne od tych drętwych miejsc, gdzie lubi chodzić Klementyna. Po prostu jestem zaskoczona, że mamy coś takiego w Los Angeles i tyle.

- No, cóż, ci wszyscy ludzie, którzy sprowadzają się tu z Ohio i Kansas, też muszą gdzieś jadać, prawda?

Megan obserwowała Joeya, który rozglądał się dokoła wyraźnie zachwycony ludźmi, hałasem i tym, że doceniła jego wybór. Uśmiechnęła się do niego.

- Tak łatwo cię uszczęśliwić - powiedziała. Kelnerka wskazała im stół przy oknie, podała dwa jadłospisy i nałóżła dwie filiżanki kawy. - Klementyna tak poważnie traktuje teraz swoje aktorstwo. Alex jest daleko i, jak by to powiedzieć, tak ją pochłania praca, że nie mamy nawet kiedy ze sobą porozmawiać. A ja, cóż, po tym, co przeszłam w życiu, chyba po prostu nie śmieję się tak często, jak dawniej. Za to ty nie marnujesz ani chwili.

- To jest prawdziwe tylko wtedy, kiedy jestem z tobą powiedział. Chciała spojrzeć mu w oczy, żeby sprawdzić, czy się z nią nie droczy, ale zasłonił twarz jadłospisem.

Oboje zamówili żeberka w sosie barbacue i sałatę, po czym zamilkli, przysłuchując się prowadzonym wokół rozmowom. Ktoś skarżył się na chorą ciotkę. Ktoś inny krytykował taktykę futbolową Ramsów. Ktoś

jeszcze był zdania, że Ronald Reagan powinien wrócić do aktorstwa i zostawić kraj w spokoju. Joey rzucał co jakiś czas na Megan szybkie spojrzenia, ale odwracał twarz, jak tylko ich oczy się spotykały.

- Powiesz mi, o czym myślisz? - zapytała go w końcu. - A może chodzi o to, że coś mi kapie z nosa?

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie, nie o to chodzi. - Zaczął przestawiać z miejsca na miejsce solniczkę i pojemnik do pieprzu, pięć razy zmieniając ich położenie, aż wreszcie osiągnął pożądaną efekt.

- Zastanawiałem się tylko, czy ci powiedzieć, jak bardzo się w tobie bujałem.

- Lepiej nie. Albo tak.

Kiedy się roześmiał, kosmyk jasnych włosów spadł mu na prawe oko. Odgarnął go.

- Wydawałaś mi się taka śliczna - powiedział. - I delikatna. Zupełnie inna niż Alex.

Kelnerka przyniosła sałatę, ale Megan nawet nie spojrzała na jedzenie.

- Pamiętam - powiedziała - że nigdy nie zgadzałeś się z Alex. Może lubiłeś mnie po prostu dlatego, że byłam tak bardzo inna.

- Nie, lubiłem cię dla siebie.

Megan wzięła do ręki widelec i ścisnęła go mocno, żeby opanować drżenie dłoni.

- Ja też się w tobie bujałam - powiedziała, ale natychmiast pożałowała tych słów. Była nieostrożna, a po doświadczeniach z Jacksonem ostrożność uznawała za rzecz najważniejszą.

- Wiem - odparł. - Pamiętam, jaka byłaś szczęśliwa, kiedy ci powiedziałem, że nie chodzę ze Stacy na poważnie.

- Pamiętasz to?

- Oczywiście. Pamiętam wszystkie nasze spotkania. Po chwili Megan powiedziała:

- Wobec tego oboje się chyba lubiliśmy, ale żadne z nas nic z tym nie zrobiło.

- Cóż, byliśmy młodzi. A przynajmniej ja.

Roześmiał się i nagle napięcie zniknęło. Megan spojrzała na niego i ucieszyła się, że widzi dawnego Joeya, swego przyjaciela, a nie mężczyznę, z którym trzeba prowadzić różne gierki. Nie musi się go bać. On nie złamie jej serca, bo już jest złamane. Poza tym nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby Joey mógł kogoś skrzywdzić.

Zmienili temat rozmowy. Zaczęli mówić o Alex, która ciągle tyrała w Rock Solid. Od blisko trzech lat, które tam spędziła, praca pochłaniała ją całkowicie. W przypadku Alex to niby żadna nowość, ale tym razem jej zaangażowanie było absolutne. Już od wielu miesięcy Megan nie słyszała od niej nic o sympatiach, rozrywkach ani wypoczynku. Gdyby nie znała Alex dobrze, mogłaby pomyśleć, że jej przyjaciółka szuka schronienia w liczbach, za zasłoną szylkretowych okularów i spraw zawodowych. Tylko że Alex nigdy dotąd od niczego nie uciekała, pomyślała Megan.

Została awansowana na stanowisko doradcy inwestycyjnego, a kilka miesięcy temu - starszego doradcy inwestycyjnego, i zarabiała lepiej niż dobrze. Ale czy była szczęśliwa? Megan ze smutkiem zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia. W ciągu ostatnich kilku miesięcy rozmowy z nią były trudne i wymuszone. Wyglądało na to, że nie potrafią już znaleźć wspólnego języka.

- Czy mówiła ci coś ostatnio o swoim szefie Brencie Gibbonsie? - zapytała Joeya.

- Nie, ostatnio nie.

- Przez jakiś czas myślałam, że zostaną parą.

- On jest żonaty - powiedział Joey. To słowo zawisło w powietrzu tak samo, jak - w przekonaniu Megan - wisiało nad Alex, przygniatając ją swym ciężarem. Poczwała palącą potrzebę, by je odegnąć, by zmienić bieg wydarzeń w taki sposób, aby w życiu Alex wszystko lepiej się ułożyło. Kiedyś to było takie proste. Największym problemem Alex była złamana deskorolka, a Megan potrafiła świetnie posługiwać się śrubokrętem. W którym momencie wszystko tak się skomplikowało? Kiedy zaczęły żyć osobno?

- Czasem - powiedział Joey, biorąc z koszyka kukurydzianą babeczkę i smarując ją masłem - Alex mnie przeraża.

- Wkłada ci pająki do łóżka?

- Kiedyś uwielbiała to robić, a w zimne, deszczowe noce wydawała z siebie za drzwiami mojej sypialni różne upiorne dźwięki.

Megan uśmiechnęła się.

- Zawsze miała dziwaczne poczucie humoru.

- Teraz przeraża mnie to, co robi ze swoim życiem. Zawsze mnie zaskakuje fakt, że niektórzy ludzie są nieustępliwi, ambitni i agresywni, gdy tymczasem ja, Joseph Holmes, jestem nauczycielem muzyki i pianistą. Zastanawiam się, czy to, co robię, na pewno wystarczy.

- Alex zawsze mnie zdumiewała - powiedziała Megan. - Nawet kiedy byliśmy małe. Ja stroiłam moją Barbie w sukienki i bawiłam się w dom, a ona zabierała swoją na zebrania rady nadzorczej.

Joey roześmiał się i wbił zęby w babeczkę, rozsypując okruchy po całym stole.

- Serio tak robiła?

- Nie, niezupełnie. Ale coś w tym guście. W przedszkolu planowała, co zrobi w szóstej klasie. W szóstej klasie zastanawiała się, na jaką pójść uczelnię. Zawsze była indywidualnością. Pełna temperamentu. Lojalna. Nieustępliwa. I miała niewyczerpaną energię. Nikogo nie kocham tak, jak jej. Ona wie o mnie chyba najwięcej spośród wszystkich najbliższych. A mimo to jest mi ciężko żyć w jej cieniu.

- Wcale nie żyjesz w jej cieniu. Alex też ma swoje słabości, tyle że ich nie okazuje. A ty prowadzisz własne życie. Wcale nie jesteś gorsza przez to, że cenisz co innego.

Megan rozejrzała się po restauracji i zobaczyła ludzi podobnych do niej, ludzi wtapiających się w tło, a potem zwróciła uwagę na kilka osób, rzucających się w oczy jak ruchome reklamy świetlne, jak Alex.

- Brzmi to przekonywająco - powiedziała, odwracając się w kierunku Joeya - ale nie sądzę, żeby odpowiadało rzeczywistości. Dzisiaj człowiek musi się czymś wyróżniać. Nie wystarczy dorosnąć, dostać pracę, wyjść za mąż i mieć dzieci. Trzeba być supermamą albo wiceprezesem dużego przedsiębiorstwa. Jeśli się nie jest Alex ani Klementyną, to się ginie.

Joey zapragnął wziąć ją za rękę albo może nawet usiąść obok i objąć, ale bardzo bał się ją spłoszyć. Dałby wszystko, żeby skłonić Megan do uśmiechu, żeby sprawić, że spojrzy na siebie jego oczami. Ale już się od niego odsunęła. Kiedy on robił krok do przodu, ona odskakiwała pięć do tyłu. Spotkali się już cztery razy, a nawet nie trzymał jej za rękę.

Nigdy nie widział równie pięknej kobiety jak Megan. Kiedy weszli do sali, wszyscy mężczyźni zwrócili ku nim głowy. Ale lata przyjaźni z Alex, potem z Klementyną i wreszcie małżeństwo z Jacksonem sprawiły, że czuła się gorsza, a czasem nawet nic nie warta.

Czy nie zdawała sobie sprawy, jak wiele może innym dać? Wszystkich poruszała jej uroda, jej ciepło i jej dobroć. Dzięki niej świat był piękniejszy. Ludzie stawali się lepsi i uczciwsi tylko przez to, że ją znali. Niech cholera weźmie Jacksona! Tak skutecznie zmusił ją do zajęcia pozycji obronnej, że Joey nie widział teraz sposobu, jak do niej trafić.

Byłoby lepiej, gdyby wpadła w złość i wyrzuciła z siebie uczucia do Jacksona w potoku płomiennych oskarżeń, zamiast pozwolić im gnąć i ropieć w swoim wnętrzu. Co zrobić? Była zbyt niepewna siebie, żeby zdać sobie sprawę, że część winy za niepowodzenie ich małżeństwa leży po stronie Jacksona.

- Wiesz, Megan, ja myślę, że jesteś fantastyczna - powiedział, żałując, że nie jest poetą albo mówcą, a tylko milkliwym mężczyzną, w którym budzi się miłość.

- Wiem, że to zabrzmiało okropnie - powiedziała, jakby jego słowa do niej nie dotarły - ale czasem myślę, że byłoby lepiej, gdybym nigdy nie poznała Alex i Klementyny. Może wtedy nie czułabym się taka przeciętna, taka gorsza. Gdybym miała zwykle przyjaciółki, byłabym im równa.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że zwykle wiążą się ze sobą ludzie tej samej miary? Może Alex i Klementyna są twoimi najlepszymi przyjaciółkami dlatego, że to ty jesteś niezwykła?

Odłożyła widelec i spojrzała na niego. Otworzyła usta i po chwili je zamknęła.

- Aha. Widzę, że nie brałaś takiej możliwości pod uwagę - powiedział. - Zastanów się nad tym. Ale teraz jedz. Jesteś zdecydowanie za szczupła.

Uśmiechnęła się i zanim wieczór dobiegł końca, udało mu się jeszcze raz skłonić ją do śmiechu. Nigdy nie było łatwo przebywać z Megan. Musiał ciężko pracować, żeby wywołać uśmiech na jej twarzy, żeby wynaleźć restauracje, które się jej spodobały, żeby wyszukać wiadomości i plotki, o których - jego zdaniem - zechciałyby rozmawiać. Starania o jej uśmiech przypominały chodzenie po linie. Nie, nigdy nie było łatwo przebywać z Megan. Ale Joey nie wyobrażał sobie, że mógłby być z kimś innym.

* * *

Klementyna siedziała na leżaku w ogrodzie. Wrześniowe słońce było gorące, więc sięgnęła po stojącą obok wodę w sprayu, żeby zwilżyć sobie twarz. Mierzyła czas trwania kąpieli słonecznych. Trzydzieści minut z każdej strony, nigdy więcej, nigdy mniej. Przez całe lato przestrzegała tej zasady, lekceważąc przekazywane jej przez Megan ostrzeżenia chirurga generalnego dotyczące raka skóry. Lubiła, jak słońce rozjaśniało jej włosy, pokrywając naturalny, jasnobrązowy kolor świetlistymi pasmami. Jeśli dodać do tego muśnięcia kasztanowej farby, mogły przypominać dowolny kolor.

Propozycje filmowe napływały obfitą strugą od czasu premiery „Wyroku skazującego”, która odbyła się przed dziewięcioma miesiącami. Klementyna przeobraziła się z aktorskiego zera we właścicielkę jednej z najmodniejszych posiadłości w Hollywood. W oczach świata trwało to jedną noc, dla niej jednak całe wieki. Will segregował scenariusze i przekazywał jej tylko te, które w jego mniemaniu warto było przeczytać. Siedziała, wertując je do późna w nocy, niemal codziennie. Jak na razie żaden nie zrobił jednak na niej tak dużego wrażenia, by przyjął rolę.

Miała też pieniądze. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za rolę Melissy w „Wyroku skazującym”, honoraria od firmy Amour Perfume, która - korzystając z sukcesu Klementyny - bez przerwy emitowała jej telewizyjne reklamy, i propozycje zdjęć reklamowych w prasie za pięć tysięcy dolarów sztuka, gdyby przyjął te propozycje. Oczywiście, że chciała je przyjąć. Skwapliwie skorzystałaby z każdej oferty, gdyby Will jej nie powstrzymywał i nie zmuszał do zachowania zimnej krwi. Zimna krew, myślała Klementyna, to dobre wyjście dla wytrawnych agentów i Katharine Hepburn, a nie wystraszonej młodej aktorki, która drży z niepokoju, że bańka mydlana jej powodzenia lada chwila pryśnie.

Mimo to wszystko szło zgodnie z planem. Kiedy jednak Will zasugerował, żeby kupiła dom i osiadła gdzieś na stałe, może na Wzgórzach Hollywoodzkich, gdzie wciąż wynajmowały z Megan dom, albo na Mulholland Drive, Klementyna wpadła w panikę. Powiedział, że przydałby się jej odpis podatków, a poza tym te miejsca idealnie pasują do jej image'u - są wyszukane, tajemnicze, niezbyt pretensjonalne i sympatyczne.

Choć zasadniczo uznawała słuszność jego rady, na myśl o kupnie domu i przyjęciu takiego stylu życia przechodziły ją ciarki. Zdobyła pieniądze i sławę, ale nie nazwałaby siebie szczęśliwym człowiekiem. Część jej osobowości nadal pozostawała nie zrealizowana. Nie była pewna, czy kiedykolwiek uda jej się to zmienić w Los Angeles, gdzie tak wiele znaczyły pozory. Musiała całą energię wkładać w tworzenie swego zewnętrznego wizerunku, zamiast zagłębiać się w siebie, co powinna kiedyś zrobić, jeśli chciała znów poczuć się normalną kobietą.

Zamieszkanie gdziekolwiek na stałe przesądziłoby o jej losie. Wiedziała, że to głupie, ale miała wrażenie, że z chwilą, gdy kupi dom i wprowadzi się do niego, wszystko w jej życiu będzie już stałe, niezmiennie. Do końca swoich dni pozostanie taką samą Klementyną Montgomery. Śmiertelnie ją to przerażało.

Codziennie rosła w niej chęć, żeby się zmienić. Nie mogła nadal żyć w ten sposób. To była wegetacja. Osiągnęła sukces, o którym zawsze marzyła, ale był on daleki od jej wyobrażeń. Wciąż budziła się sama. Miała nocne koszmary. Wciąż czuła się inna, odcięta od świata, i nienawidziła tego.

Minęło już dziewięć miesięcy od premiery „Wyroku skazującego”; dziewięć miesięcy, od kiedy po raz ostatni widziała Jacksona. Próbowwała o nim nie myśleć. Z początku udawało jej się to zdumiewająco dobrze. Miała tak dużo publicznych spotkań związanych z filmem, że prawie stale była zajęta. Jednak w miarę upływu czasu wspomnienie o nim, zamiast blednąć, stawało się coraz żywsze, jak wino, które z czasem zyskuje na smaku. Potrafiła sobie wyobrazić każdą część jego ciała z taką dokładnością, jakby stał tuż obok - ciemne włosy, zielone oczy, silne ciało, duże choć szlachetne dłonie artysty. Kiedy miała w ciągu dnia kilka wolnych chwil, zastanawiała się, co on robi, jak mu idzie malowanie, czy już próbował coś sprzedać albo wystawić w jakichś galeriach. Zadawała sobie pytanie, z kim się spotyka i czy czasem o niej myśli.

Alex zdawała Megan bieżącą relację z poczynań Jacksona, a Megan przekazywała Klementynie wszystkie szczegóły, wzbogacone o jej własne odczucia i opinie. Kiedy jednak Klementyna opowiedziała Megan o wieczorze spędzonym z Jacksonem na plaży, zwierzenia ustały. Megan nie wspominała słowem o telefonach Alex. Ani o tym, że ciągle kocha Jacksona. Podczas tamtej rozmowy nie wydawała się zazdrosna. Powiedziała, iż rozumie, że Klementyna chciała tylko do końca przyjemnie spędzić wieczór, a tak się złożyło, że Jackson tam był... i dziękuje, że jej o tym powiedziała.

Klementyna sądziła, że na tym się skończy, ale wieczór z Jacksonem, mimo że zupełnie niewinny, stworzył przepaść między nią i Megan. Taką, o której się nie mówiło i której istnienie nie było oczywiste, lecz której nie dawało się zasypać. Megan robiła to, co zwykle - pracowała w butik, czytała część scenariuszy Klementyny i wypowiadała swoją opinię, widywała się z Joeyem - ale zawsze była niedostępna. Sprawiała wrażenie, jakby bała się wymówić imię Jacksona i zainteresować nim Klementynę, gdyż mogłoby ją to skłonić do nawiązania z nim bliższych kontaktów.

Klementynie było przykro, że coś się między nimi psuje. Megan stanowiła w jej życiu jedyny stały element - ogniwo łączące dzieciństwo z teraźniejszością. Kiedy Klementyna jej potrzebowała, zawsze znajdowała się w pobliżu. Mimo własnych problemów, Megan w każdej chwili była

gotowa wysłuchać Klementyny, objąć ją i zapewnić, że kiedyś znów będzie się czuła normalnie. Teraz jednak unikały wszystkich błahych tematów, albo stawały się one wstępem do kłótni między przyjaciółkami. Nie mogły już rozmawiać o najprostszych sprawach, takich jak pogoda albo przeczytany w jakimś piśmie zabawny artykuł. Nie potrafiły sobie nawet spojrzeć w oczy, jakby obie miały coś do ukrycia.

Frontowe drzwi trzasnęły i Klementyna usłyszała, jak Megan wchodzi do domu. Wracła po kolejnym dniu spędzonym z Joeyem. Spotkali się parę razy od czasu premiery, ale ich znajomość nie miała jeszcze charakteru romansu. Klementyna nigdy nie widziała równie dobranej pary. Mieli podobne zainteresowania, podobne temperamenty i było jasne, że szanują się nawzajem i jednocześnie pociągają. Ale Megan nie potrafiła uwolnić się od przeszłości i poczucia goryczy. Nie potrafiła uwolnić się od Jacksona. Klementyna zaczynała wątpić, czy przyjaciółce kiedykolwiek się to uda.

Megan pchnęła rozsuwane szklane drzwi i wyszła na dwór.

- Ale piecze - powiedziała. - Dostaniesz raka skóry.

- Nie dostanę. Pilnuję się, żeby nie przeszarżować. A poza tym nie jest mi tak znów gorąco.

Megan spojrzała na kropelki potu pokrywające płaski jak deska brzuch Klementyny i pokręciła głową.

- Jak chcesz, ale dla mnie jest za gorąco.

- Poczekaj chwilę, Meg - powiedziała Klementyna, odwracając za nią głowę. - Chcę z tobą porozmawiać.

Megan usiadła naprzeciwko niej na leżaku i wytarła czoło. Już się pociła.

- Jak ci się udała randka? - zapytała Klementyna.

- Dobrze. Ale to nie była randka. Poszłam tylko z Joeyem do kina.

- Na czym byliście?

- Jakie to ma znaczenie? - w głosie Megan czuło się irytację i napięcie.

Klementyna opadła na oparcie.

- Przepraszam. Byłam po prostu ciekawa. Megan zamknęła oczy i odwróciła twarz od słońca.

- Nie, to ja przepraszam. Chyba jestem przewrażliwiona na tym punkcie. Wszyscy chcą, żebym wreszcie zaczęła wspaniały romans z Joeyem, a ja nie mogę. Lubię go. Jest wspaniały. Ale to nie... tego typu znajomość.

Klementyna podniosła się i wzięła ze stołu ręcznik. Wytarła pot z szyi.

- Rozumiem, co czujesz. Alex i ja pragniemy tylko twojego szczęścia. Już tak dawno rozstałaś się z Jacksonem, a Joey wygląda na mężczyznę, który do ciebie pasuje.

- Myślisz, że nie wiem, ile czasu minęło? - Megan wstała i ruszyła w kierunku drzwi. - Zapomniałaś, że czuję to na własnej skórze? Dobrze wiem, jak bardzo jesteśmy z Joeyem podobni i jak byśmy do siebie pasowali. Wystarczająco często wbijacie mi to do głowy.

Klementyna oparła się o stół na werandzie i spuściła wzrok.

- Próbujemy ci tylko pomóc.

- No to przestańcie. Codziennie musicie mi mówić, jaki Joey jest miły, jaki troskliwy, jak bardzo chce bliżej się ze mną związać, na okrągło to samo. Ale chodzi, do cholery, o moje serce. O moje życie. To ja mam podjąć decyzję. Czy mogę coś poradzić na to, że ciągle mi zależy na Jacksonie? Kocham go. Zawsze będę go kochać. Nie wiem, ale tak już jest. Nie potrafię być doskonała i silna jak wy obie i chciałabym, żebyście przestały próbować mnie przerobić swoją modłą.

Wbiegła do domu, trzaskając za sobą drzwiami. Klementyna przykryła twarz ręcznikiem i pozostawiła go tak przez chwilę. Nie zranił jej wybuch gniewu Megan. Woląла wściekłość niż ciszę. Właściwie zaczynała się już przyzwyczajać do takich scen. Choć Megan lubiła o sobie myśleć, że jest słaba i zawsze taka będzie, to jednak w ciągu ostatnich paru miesięcy Klementyna zauważyła, że jej zdecydowanie rośnie. Był to powolny proces, często hamowany, lecz wyraźnie Megan uczyła się walczyć o swoje. Irytowało to jak diabli, ale stanowiło dobry znak.

Klementynę martwiło, że jej nadzieja na związek Megan z Joeyem codziennie rośnie i się rozwiewa. Każdego dnia rano łudziła się, że właśnie dzisiaj Megan zakocha się w Joeyu. I co wieczór spotykał ją zawód. Wiedziała, że nie może zmusić Megan, żeby go pokochała. Zresztą nawet gdyby do tego doszło, Klementyna i tak stworzyłaby niezręczną i przykrą sytuację, nawiązując romans z Jacksonem. Łamała sobie głowę, w jaki sposób uniknąć poczucia winy, jak zapobiec ochłodzeniu swojej przyjaźni z Megan. A do tego na pewno by doszło, gdyby związała się z Jacksonem. Wiedziała, że nic nie może zrobić. Romans z Jacksonem oznaczałby koniec przyjaźni z Megan.

Klementyna rzuciła ręcznik na ziemię i odwróciła twarz od domu, jakby Megan wyrzawszy przez okno mogła zobaczyć jej myśli. Zawsze była taka pewna tego, co robi, teraz jednak po raz pierwszy zaczęła podawać w wątpliwość swą hierarchię wartości i zastanawiać się, co jest dla niej

ważniejsze - przeszłość czy przyszłość, przyjaźń czy szansa na miłość,
Megan czy Jackson.

RS

Rozdział 18

Jeśli tak wygląda raj, pomyślała Alex, to wolałabym piekło. Wyjrzała z okna swego londyńskiego apartamentu i zmarszczyła nos z niesmakiem. Znowu mgła. Czuła się, jakby mieszkała w chmurze albo była na planie filmowym jakiegoś dreszczowca, gdzie wokół kolan aktorów wije się dym z suchego lodu. Z oddali dobiegł dźwięk dzwonu. Pewnie Big Bena, chociaż wokół było tyle zegarów, wież, kościołów i dzwonów, że nie miała pewności, czy to jego dźwięk. Już sama brama Pałacu Buckingham to jedna wielka perła. Dodać parkę złotych skrzydłych aniołów i więcej do szczęścia nie potrzeba.

Chuchnęła na szybę i - zanim mgielka zniknęła - napisała szybko swoje imię. A nie chciała uwierzyć, że na świecie może istnieć równie ponure i wilgotne miejsce jak Sausali to. Duże prawdopodobieństwo, że koniec końców będzie tam mieszkać przez połowę roku, nie wróżyło jej najlepiej. No, a teraz jest tutaj. Londyn w październiku. Dzień w dzień mgła, deszcz, spaliny i płaszcze przeciwdeszczowe. Alex obróciła się na pięcie i poszła do kuchni.

Nalała sobie filiżankę kawy i usiadła przy kuchennym stole. Miała przed oczami starannie zestawione dane z ostatniego kwartału, które Maxine przesłała jej wraz z notatką od siebie. Było na niej napisane czerwonym atramentem, stanowiącym prywatny znak firmowy Maxine, co następuje:

„Droga Alexandre, nie martw się o nic. Brent awansował mnie na stanowisko starszej konsultantki i mam wszystko pod kontrolą. Zdziwiłabyś się, gdybyś zobaczyła, jak dobrze potrafię kierować całym biurem i jak sprawnie wszystko idzie pod twoją nieobecność. Maxine”.

Alex zmięła kartkę i wycelowała w kosz na śmieci w rogu pokoju. Chybiła o parę centymetrów. Była świadkiem, jak Maxine wspina się szczebel po szczeblu niemal równoległe z nią. Alex tego nie rozumiała. Maxine nie była dobrą kandydatką na kierownicze stanowisko. Nie z tymi czerwonymi paznokciami, krzykliwym makijażem i wylakierowanymi, czarnymi włosami. Licho wie, dlaczego ludzie powierzali jej pieniądze, a to robili. Proporcję sukcesów do porażek miała równie dobrą jak Alex. Brent po wysłaniu Alex do Londynu na sześć miesięcy bez wahania powierzył Maxine jej stanowisko.

Alex poddała ocenie wszystkich pracowników Rock Solid i doszła do wniosku, że jej jedyną prawdziwą rywalką jest Maxine. Kiedy stary Dick Collins z frontowego biura przejdzie na emeryturę albo umrze, któraś z

nich go zastąpi. Jako wiceprezes. Alex niczego na świecie nie pragnęła tak bardzo, jak móc umieścić ten wyraz przed swoim nazwiskiem. Wiceprezes Alexandra Holmes. Zasłużyła sobie na to, do cholery. Ona, a nie Maxine. Kosztowało ją to więcej pracy po godzinach i w weekendy, więcej straconych randek i rozrywek niż kogokolwiek w historii świata. Dla tej jednej rzeczy poświęciła wszystko. To po prostu byłoby niesprawiedliwe, gdyby nie dostała tego stanowiska.

Tyle się wydarzyło w ciągu czterech i pół roku jej pracy w firmie. Tyle kryzysów, mrożących krew w żyłach spekulacji giełdowych, pośpiesznych wyprzedazy, gorączkowych transakcji kupna. Przeniosła się ze swego narożnego gabinetu do większego, piętro wyżej, gdzie miała nowe biurko i sekretarkę. Teraz miała dzielić czas między Londyn i San Francisco. Tak, wydarzyło się mnóstwo rzeczy. A jednocześnie nic.

Megan twierdziła, że życie Alex jest ekscytujące. Klementyna powtarzała, że to musi być wspaniale osiągnąć wszystko, o czym się marzyło. Kiedy jednak Alex spoglądała na piętrzącą się przed nią stertę papierów z uczuciem dziwnego pieczenia w klatce piersiowej, które pojawiała się zawsze, gdy zdawała sobie sprawę, że jej praca polega na czytaniu i podpisywaniu nie kończącego się strumienia papierów, wcale nie odnosiła wrażenia, że jej życie jest ekscytujące albo udane. A może sukcesowi musi nieodłącznie towarzyszyć wypaczone spojrzenie na świat, które sprawia, że nie można się nim cieszyć samemu? Tak, może pokochałaby Londyn, gdyby była z nią Megan i gdyby mogły razem zwiedzać miasto. Jacksona zachwyciłby Devon i starzy rybacy. A Klementynę urzekłby Pałac Buckingham.

Nie było jednak przy niej nikogo. Alex nie udało się jeszcze nawiązać bliższej znajomości z pracownikami londyńskiej filii Rock Solid. A Brent był w San Francisco.

Kiedy sobie o nim przypominała, serce zabiło jej mocniej. Minęło cztery i pół roku i nic się nie zmieniło. Ciągłe ją intrygował, prowokował, pobudzał jej ciało i umysł. Ciągłe był żonaty.

Dwa tygodnie przed wyjazdem do Londynu zaniósł mu do gabinetu raport, kiedy wszyscy pracownicy już wyszli. Stał przy oknie i patrzył na zatokę.

- Raport ze sprawy Andersena - powiedziała, zbliżając się do niego.

Wziął od niej akta, muskając przy tym jej palce. Spojrzał jej w oczy i poczuła, że na całym świecie istnieje tylko ich dwoje.

- Alex - powiedział. Jej ciało dosłownie rwało się, by paść mu w objęcia. Dotknął delikatnie jej ramienia, a to wystarczyło, żeby przebiegł ją dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Zbliżył się, lecz w chwili, gdy właśnie miała go pocałować, zdradziecko odezwało się w niej poczucie moralności.

- Nie - powiedziała. Westchnął i cofnął się.

- Czy ty musisz być taką ostoją moralności, Alex. To do ciebie niepodobne. Wiesz przecież, że zawsze cię pragnąłem.

Chwiejnym krokiem wróciła do drzwi. Musiała uciec i ukryć rumieniec, który - wiedziała to - pokrył jej policzki. Czowała przemożne pragnienie, by odwrócić się i rzucić w jego objęcia. Była już bardzo zmęczona udawaniem, że samotność jej nie ciąży. Miała wrażenie, że kobiety jak ona trafiają na takiego mężczyznę jak on tylko raz, że to jej jedyna szansa i jeśli z niej nie skorzysta, nigdy więcej się nie powtórzy. Alex jednak nie potrafiła jej wykorzystać.

- Może nie masz o mnie najwyższego mniemania - powiedziała - ale ja mam honor.

Odłożył akta na biurko i podszedł do niej.

- Życie to nie tylko praca i honor, Alex - powiedział, muskając palcami jej policzek. - Chciałbym pokazać ci świat, o jakim nigdy nie marzyłaś.

Teraz, kiedy była sama w londyńskim apartamencie, mogła przywołać w wyobraźni każdy centymetr jego ciała, mocno zarysowaną szczękę i ślady zarostu, które jak w zegarku pojawiały się po szóstej. Wiedziała, że to absurdalne, iż mężczyzna, z którym nigdy się nie kochała, przenika jej ciało i duszę głębiej niż wszyscy ci, z którymi spała i których rzuciła. Kiedy Brent spoglądał na nią wzrokiem, w którym malowało się pożądanie, jej rozsądek, moralność, poczucie dobra i zła rozplływały się w oka mgnieniu. Fakt, że jej pragnął, doprowadzał ją do absolutnego szaleństwa. Nie wydawało jej się możliwe, by nawet spełnienie mogło w niej wywołać podobne odczucia. Rozmyślenia nad tym, jak smakują jego usta, podsycaly jej wyobraźnię bardziej niż jakikolwiek pocałunek.

Ponownie spojrzała na leżącą przed nią stertę papierów. Brent przylatywał w poniedziałek, żeby skontrolować londyńskie akta, i zamierzała do tego czasu wszystko uporządkować. Była już jednak niedziela rano, a od powrotu z biura w piątek ograniczyła się zaledwie do rzucenia okiem na cyfry. Była zbyt pobudzona, by się skoncentrować. Jeszcze jeden dzień i tu będzie. Żona zostanie pó drugiej stronie Atlantyku, oddalona o tysiące kilometrów. A Alex jest samotna. O, Boże, i to jak.

Wróciła do salonu i usiadła na obitej perkalem kanapie, którą odkupiła od Kate Bradshaw, sąsiadki mieszkającej w głębi korytarza i jednej z nielicznych znajomych, poznanych po przyjeździe do Londynu, cztery miesiące wcześniej. Nie chciała się do tego przyznać - a już na pewno nie powiedziałyby tego na głos - ale życie nie układało jej się tak, jak tego oczekiwała.

Czuła się jakoś odizolowana, odseparowana od miejsc i twarzy, które zna, jakby została przecięta łącząca ją ze światem pępowina. Ludzie, którzy Alex podlegali, zachowywali dystans, bali się jej, natomiast osoby równe rangą, jak Maxine, widziały w niej zagrożenie. Przyjaciółki były zbyt daleko. Słyszała w ich głosach obawę przed wysokością rachunków za międzynarodowe połączenia i starczało im czasu tylko na rozmowę o faktach - pytały, co zrobiła i kiedy.

Kiedy była w San Francisco, chodziła raz w tygodniu na kawę z Jacksonem i co parę tygodni dzwoniła do Megan i Klementyny tylko po to, żeby się odezwać. Coś się jednak zmieniło. Nie wiedziała, kiedy do tego doszło. Może kiedy Megan wyszła za mąż albo kiedy Klementyna pełną parą zabrała się do realizacji swoich celów. Prawda wyglądała tak, że były teraz zupełnie inne, jak ambasadorowie różnych światów, usiłujący objaśnić swoją kulturę bombastyczną angielszczyzną. Może od początku się różniły, ale gdy były młode, ich odmienność stanowiła wyzwanie nie przeszkadzające przyjaźni.

Klementynie i Megan, które razem mieszkały, udało się utrzymać bliską zażyłość, czego Alex im zazdrościła. Kiedy zaczynało padać, miały przy sobie kogoś, kto otwierał parasol. Alex żyła we własnym świetle. Choć sama go wybrała, czuła się w nim samotna. Pieniądze, myślała, nie zrekompensują wszystkiego. Megan mówiła jej o tym, kiedy były młode, ale jej wtedy nie słuchała.

Siedząc odizolowana w swym kokonie, obserwowała, jak rozkwita życie Klementyny. Wszystko wskazywało na to, że Ciem powodzi się jak nigdy dotąd. Jej kolejny film, „Druga miłość”, miał wejść na ekrany na wiosnę. Minęły już niemal dwa lata od premiery „Wyroku skazującego”. Dla większości aktorów byłaby to zbyt długa przerwa, ona jednak potrzebowała akurat tyle czasu, żeby znaleźć następnego wspólnego scenariusz. Film opowiadał o kobiecie, która uczy się na nowo kochać i ufać po tym, jak jej młody mąż padł ofiarą bezsensownego morderstwa. Mimo długiej nieobecności na ekranie Klementyna była wciąż popularna, wciąż chciano

ją oglądać i Alex nie miała wątpliwości, że po tym filmie jej sława jeszcze wzrośnie.

Klementyna ciągle jednak walczyła. Jeszcze teraz, gdy tylko coś przypominało jej o tamtej dawnej nocy w Nowym Jorku, głos zaczynał jej się załamywać. Rzadko mówiła o tym z Alex otwarcie, ale to się czuło. Podczas pewnej nocnej rozmowy telefonicznej parę miesięcy wcześniej Klementyna opowiadała o nowym znajomym, który jest nią zainteresowany.

- Powiedziałam mu, że chcę tylko przyjaźni i nic więcej.

- Jest miły? - zapytała Alex.

- Niesłychanie. I do tego bosko przystojny. Ale... sama wiesz. On nie jest dla mnie.

- Może powinnaś zgłosić się do kogoś po radę, Ciem - powiedziała Alex. - Do jakiegoś terapeuty. Do kogoś, kto ma większą wiedzę niż ja i Megan. Kto zna się na problemie gwałtów.

Klementyna zamilkła. Alex przekroczyła dopuszczalną granicę. Wypowiedziała słowo „gwałt”, a to było zabronione. Ktoś jednak musiał to wreszcie zrobić. Klementynie nie udało się odegnać przeszłości samym ignorowaniem jego istnienia.

- Ale ja wcale nie powiedziałam, że to mi wciąż przeszkadza - odezwała się w końcu.

- Nie musiałaś. Nie umawiasz się na randki. Nie dopuszczasz do siebie mężczyzn bliżej niż na odległość ramienia. Tamto wydarzenie wciąż w tobie siedzi i musisz znaleźć jakiś sposób, żeby się go pozbyć.

Klementyna szybko zmieniła temat, a Alex nie nalegała. Nie była nawet pewna, czy Klementyna w ogóle ją usłyszała.

Alex doszła do wniosku, że pod pewnymi względami ona i Klementyna są do siebie bliźniaczo podobne. Robią wspaniałe kariery, zarabiają mnóstwo pieniędzy, a ich życie prywatne szwankuje. Obrały zupełnie różne kursy, ale ponoszą takie same konsekwencje swych decyzji. Wykonywane przez nie zawody, absorbujące czas, najwyraźniej przekreślają szansę na szczęśliwy związek. Jego zawarcie nie jest, co prawda, niemożliwe, ale trudne jak diabli. Mężczyzn, którzy potrafią pogodzić się z faktem, że zarabiają mniej niż kobiety, mają mniejsze wpływy lub są mniej sławni, trudno znaleźć, a jeszcze trudniej przy sobie utrzymać. Klementyna nigdy nie dała po sobie poznać, że ją to martwi, ale Alex podejrzewała, że w świetle kalifornijskich jupiterów jest równie samotna, jak ona w angielskiej mgle.

Klementyna przeprowadzała się w ciągu ostatniego roku trzykrotnie, za każdym razem zabierając Megan ze sobą. Z domu wynajmowanego na Wzgórzach Hollywoodzkich przenieśli się do innego, w Santa Monica, potem do Malibu, aż wreszcie miesiąc temu Klementyna dała za wygraną i kupiła willę przy plaży w Malibu Colony. Wysłała Alex jej zdjęcie. Była nieduża, w stylu śródziemnomorskim, z wysokimi sufitami i białymi ścianami. Leżała zaledwie pięćdziesiąt metrów od oceanu. Alex uśmiechnęła się na myśl, jak Megan ostrzega Klementynę przed prądami i przyływami.

Megan miała oczywiście swój własny, kontrowersyjny sposób na życie. Tego sposobu Alex nie pojmowała. Wciąż pracowała w butik, z tego, co mówiła Klementyna, wynikało, że praktycznie nim kierowała. Nie miała jednak najmniejszej ochoty, żeby pójść w górę, na przykład odkupując butik od właściciela za pieniądze ze swojego majątku powierniczego albo zakładając własną sieć sklepów. O Jacksonie mówiła już rzadko, ale ciągle zwlekała z Joeyem. Byli serdecznymi przyjaciółmi i umawiali się dwa razy w tygodniu do kina albo na kolację. Megan chodziła też na wszystkie koncerty Joeya. Alex nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że wszyscy dookoła widzą, jak bardzo Megan i Joey do siebie pasują, a tylko oni tego nie dostrzegają.

Alex jeszcze raz spojrzała na stertę papierów leżącą na kuchennym stole, machnęła na nie ręką i wypadła z domu. Na resztę dnia zostanie Scarlett. Nad pracą, Brentem, rozpadającą się przyjaźnią i wszystkimi pozostałymi problemami zastanowi się jutro. W czterech ścianach domu dostawała kota - miała zdecydowanie za dużo czasu na rozmyślania. Pognała w dół po schodach. Panował już półmrok. Kiedy podniosła wzrok na gęste, szare chmury, przyszło jej do głowy, że ci w niebie są stratni na tym interesie.

* * *

Alex i Brent stali na małym balkonie, obwiedzionym balustradą z kutego żelaza. Co dziwne, mgła opadła, a niebo było bezchmurne, upstrzone białymi cętkami gwiazd. Milczeli. Panowała duszna, pełna napięcia atmosfera. Skończyli pracę i Brent nie miał już pretekstu, żeby być w mieszkaniu Alex. Owinęła się szczelnie białym swetrem ze wzorem warkoczy. Czowała się bardzo młoda. Miała osobliwe odczucie, że skończyła dużo mniej niż dwadzieścia osiem lat.

Brent miał na sobie tweedowe spodnie, białą koszulę i szary, rozpinany sweter. Nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt osiem lat, a znacznie młodziej. I niesamowicie przystojnie. Uśmiechnął się do Alex.

- Zrobiłaś tu kawał dobrej roboty - powiedział. - Przed twoim przyjazdem to miejsce usychało. Nie mogłem wybrać lepiej.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem, żałowała jednak, że nie powiedział komplementu na temat jej włosów albo oczu - czegoś, co choćby raz nie miało związku z pracą. Znow zapadła cisza, Alex zdjęła z rękawa wymaginowany pyłek.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? - zapytał w końcu. Spojrzała na niego, zanim zdążyła pomyśleć. W szarych oczach Brenta malowało się napięcie i głód. Wiedziała, że mimo to nie będzie jej ponaglać. Chciał, żeby to ona przyszła do niego. Od ponad czterech lat czekał, żeby zrobiła pierwszy krok. Wmawiała sobie, że czuje do niego tylko namiętność, która kiedyś minie, i pewnego dnia jakiś całkiem inny mężczyzna zrobi na niej równie silne wrażenie. Nie było to jednak prawdą. Brent opanował jej duszę i nie chciał z niej odejść. Miała niezachwianą pewność, że nigdy nie uwolni się od tego uczucia. Żonaty czy nie, był mężczyzną dla niej stworzonym. Nagle zniknęła jego żona, syn, wszelkie zasady. Zrobiła niepewny krok w jego kierunku.

- Nie - powiedziała. - Chcę, żebyś został.

Wyciągnął do niej rękę, a jej się wydawało, że jego dłoń drży, choć było to absurdatne wrażenie. Odgarnął jej włosy z twarzy powolnym ruchem, chcąc, żeby zapamiętała każdy jego gest na całe życie.

- Przy tobie czuję się znow młody - powiedział. Pochylił się i ją pocałował. Od tej chwili odbierała każdy jego dotyk, jakby był spotęgowany setki razy. Była świadoma wszystkiego - wiatru wpadającego we włosy, jego zapachu, sposobu, w jaki przyłgnęli do siebie, zlewając się w jedno. Pierwsze chwile były bardzo ważne i nie chciała nic z nich stracić.

Miał twarde, ciepłe wargi o smaku wina, które wcześniej razem pili. Kiedy objął ją w tali, jęknęła. Zaczął laskotać jej język, a ona natychmiast zrozumiała, czego brakowało jej przez te wszystkie lata. Czego Megan najbardziej pragnęła w związku z Jacksonem. Czego Klementyna nie chciała dostrzec. Alex zrozumiała, że nie ma na świecie większej przyjemności niż dotykać czyjejś skóry, poddawać się i ulegać, wpuszczać kogoś do swego serca z pełnym zaufaniem, że go nie skradnie.

Zaprowadził ją do sypialni i zapalił światło.

- Chcę cię widzieć - powiedział.

Alex rozejrzała się po pokoju, czując nagłe zdenerwowanie. Spała już z tyloma mężczyznami, że sporo wiedziała o seksie, ale tym razem było inaczej. To nie jej przyjemność była najważniejsza.

- Drzysz - powiedział. Ogarnął ją ramionami, a ona usłyszała bicie jego serca. - Nie bój się, Alex. Nie mógłbym cię skrzywdzić.

Całowała go w szyję, w policzki, w piękny, szlachetny nos. W którymś momencie, choć nie potrafiła sobie później przypomnieć, w którym, spadły z nich ubrania i położyli się obok siebie na łóżku.

Był cudownym kochankiem, dokładnie takim, jak się spodziewała. Jego palce, lekkie jak piórko i jednocześnie zdecydowane, dotykały wszystkich właściwych miejsc. Szybko osiągnęła orgazm, a potem kochał się z nią jeszcze raz, tym razem bez pośpiechu. Każdy jego ruch, każde doznanie sprawiało ją w ekstazę. Był doskonały. Czuła, że jest w jego dłoniach wilgotną, podatną gliną, z której on lepi najbardziej zachwycającą rzeźbę, jaką można sobie wyobrazić. Poświęca godziny na doprowadzenie każdego wyżłobienia do idealnej postaci.

Kiedy skończyli, zrobiła kawę i przyniosła do łóżka dwie filiżanki. Brent siedział uśmiechnięty, paląc papierosa.

- Byłaś wspaniała - powiedział.

Wgramoliła się obok niego na łóżko i, chociaż nie paliła, pociągnęła jego papierosa. Chciała dzielić z nim wszystko.

- Jeszcze nigdy mi tak nie było - powiedziała. - Jak?

- Tak, że straciłam głowę. Z innym mężczyzną zawsze jestem świadoma, która jest godzina, czy pada i co muszę zrobić za kwadrans. Widzę wszystkie swoje ruchy, jakby to była gra. Mam wrażenie, że wszystkie moje gesty są przećwiczone i wymuszone.

Brent zdusił papierosa i pociągnął łyk kawy.

- To znaczy, że było przede mną wielu innych?

Zapytał o to wprost, bez cienia zazdrości w głosie. Alex wzruszyła ramionami.

- Tak, ale żaden się nie liczył. Dopiero ty.

Wyjrzał przez okno, a Alex raptownie spadła z obłoków, uświadamiając sobie ich sytuację i na co sobie pozwoliła. Wskoczyła z łóżka i zaczęła szukać ubrania.

- Nie miałam na myśli nic takiego - powiedziała zbyt pośpiesznie. Znalazła bieliznę i ją włożyła, ale sweter i spodnie gdzieś zniknęły. - Chodziło mi tylko o to, że umiesz mnie rozbawić, potrafimy się dogadać i...

Nagle znalazł się przy niej, chwycił ją w objęcia, a Alex ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że łka w jego ramionach. Jak on tego dokonał? Wcale nie chciała tak się zachowywać. Przez całe życie robiła wszystko, żeby do tego nie doszło, żeby nie płakać jak uczennica w ramionach mężczyzny,

żeby nie okazywać zanadto swoich uczuć, żeby nie nadawać słowom tak ogromnego znaczenia.

- Już dobrze - powiedział. - Wszystko wiem.

Wcale nie wiedział. Był Brentem Gibbonsem, milionerem. Miał żonę. Był mężczyzną. Nie musiał niczego poświęcić, żeby się z nią kochać. Alex zaś miała wrażenie, że poświęciła wszystko.

- Przepraszam - powiedziała, kiedy łzy wreszcie przestały płynąć. Odsunęła się i w końcu znalazła ubranie. Wkładała je powoli. - Zwykle się tak nie zachowuję.

- Myślisz, że nie wiem? - On też się ubrał i przeszli do kuchni, gdzie emocje trochę ostygły.

Alex naląła sobie jeszcze kawy.

- Nie miałam w planach tego, co się stało. Nie chciałam, żeby do tego doszło.

- Dlaczego? Spojrzała na niego.

- Bo jesteś żonaty. Wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci przecież, że Carlotta jest bardzo wyrozumiała. Nasze małżeństwo już od lat ma formalny charakter.

Alex nie mieściło się to w głowie. Jak Carlotta może mieszkać z takim mężczyzną, z takim kochankiem, i nie chceć z nim być?

- Wobec tego dlaczego jesteście razem? - zapytała. Uśmiechnął się do niej.

- To proste. Z powodu Petera. Kocham go jak nikogo na świecie, a tak mało mu dawałem przez te lata. Nie skrzywdzę go więcej.

Wyjął jej z ręki filiżankę kawy i mocno pocałował. Miała wrażenie, że na tych kilka chwil zniknął za jego sprawą cały świat. Nie pozwolił jej powiedzieć słowa. Co będzie, jeśli pojawi się odpowiednia kobieta? Czy zostawi wtedy Carlottę?

- Przedłużę swój wyjazd - powiedział, kiedy wreszcie oderwał wargi od jej ust. - O dwa tygodnie. Chcę z tobą pobyc.

Pocałował ją jeszcze raz, a Alex przestało obchodzić wszystko oprócz jego ramion. Nic nie miało znaczenia, dopóki z nią był.

* * *

Robili wycieczki po okolicy, zwiedzali zamki, farmy, puby i kościoły. W ciągu dnia Alex pracowała, a raczej próbowała pracować. Po raz pierwszy w życiu praca była dla niej harówką. Godziny się wlokły, a ona chciała, by mijały jak najszybciej. Spotkania zawodowe i kontrakty stanowiły tylko bezsensowne przeszkody oddzielające ją od Brenta.

Noce i weekendy spędzane z Brentem przechodziły jej najsmielsze oczekiwania. Był człowiekiem na poziomie, wykształconym i inteligentnym. Potrafili godzinami siedzieć w restauracji, rozmawiając o polityce, Hemingwayu i sytuacji na świecie. Uwielbiał mówić, co jest u mężczyzn rzadką cechą, i miał na każdy temat wyrobione zdanie i zdecydowany pogląd. W wielu sprawach nie zgadzali się, na przykład w kwestii kary śmierci (on był za, ona przeciwko) albo aborcji (ona była zdecydowanie za, on zdecydowanie przeciwko), ale Alex uważała, że to cudowne. Musiała bronić swego stanowiska, uzasadniać je solidnymi argumentami. Zmuszał ją do myślenia.

Miała wrażenie, że wszystkich zna, ze wszystkimi się przyjaźni. Zauważyła, że na zatłoczonej ulicy nigdy nie schodzi ludziom z drogi - to inni zawsze mu ustępują. Wszędzie, gdzie się pojawiał, budził szacunek, a będąc u jego boku, budziła go także ona.

Przez czternaście dni Alex przeżyła tyle, że wystarczyłoby na całe życie. Napawała się każdą chwilą, zatrzymywała w pamięci każdy moment szczęścia, każdy pocałunek, chcąc nadrobić cały stracony czas. Sprawiało jej przyjemność samo trzymanie Brenta za rękę. Gdy szli Westminster Abbey, splendor tego miejsca nie znaczył nic wobec ich palców splecionych jak hinduski koszyk - z precyzją i wdziękiem.

Miała ogromną ochotę zadzwonić do Megan i Klementyny, ale nie chciała na to tracić wspólnego czasu z Brentem. Opowie im wszystko, jak on wyjedzie. Będą znów chichotać jak nastolatki, gdy Alex opowie, co mówił i jak całował.

W nocy rozstawiali wszędzie płonące świece, a on kochał się z nią jak mężczyzna, który tylko w tym celu został stworzony. Czas pędził wtedy jak szalony, a wspólne chwile od dziewiętej do północy kurczyły się w sekundy. To nie było sprawiedliwe. Alex przychodziło do głowy, że tyle nieszczęśliwych małżeństw spędza ze sobą nudne godziny, podczas gdy ona i Brent chwytają każdą cenną minutę. To nie było sprawiedliwe.

Po ich pierwszej nocy nigdy więcej nie wspomniał o Carolcie ani Peterze. Alex za bardzo się bała jego reakcji, żeby samej poruszać ten temat. Zanurzyła się więc kompletnie w trwającej chwili. Wydawało się jej, że on czuje to samo - niezwykły wybuch uczucia z wygasłego wulkanu. Wiedziała, że gdyby była na jego miejscu, nie potrafiłaby wrócić do niekochanego męża. Poruszyłaby niebo i ziemię, żeby zostać z Brentem. Ale nie była na jego miejscu, a on w niepokojący sposób omijał ten temat.

Ostatni dzień spędzili w jej mieszkaniu, kochając się, śmiejąc, udając, że nie muszą się żegnać. Alex nie myślała jeszcze, co będzie robić przez pozostałe dwa miesiące w Londynie, gdy on już wróci do Stanów. Nie mogła o tym myśleć.

O trzeciej Brent spojrział na zegarek i zaczął się ubierać. Alex zdawała sobie sprawę, że nadeszła chwila, żeby coś powiedzieć, żeby zdecydowanie i bez wstydu dać wyraz swoim uczuciom, ale nie przychodziły jej do głowy odpowiednie słowa. Kiedy oboje byli już ubrani, Brent - spakowany i gotowy do wyjścia - usiadł na krawędzi łóżka.

- Będziesz mnie na bieżąco informować o transakcji z Westonem, prawda? - zapytał.

Skinęła głową. Nie ufała swoim strunom głosowym.

- Daj spokój, Alex. Nie smuć się. Było nam dobrze, prawda?

Podeszła do okna.

- Tak. Było nam dobrze.

Zbliżył się do niej od tyłu i objął w talii.

- Od początku wiedziałas, jak sprawy stoją - powiedział cicho. - Mówiłem ci o Peterze. Wiem, że to trudno pojąć, jak się nie ma własnego dziecka, ale musisz zrozumieć, że on znaczy dla mnie wszystko. Nie zostawię Carlotty, bo to by go zraniło.

Alex wyrwała się i spojrzała na niego.

- Wiem, co mówiłeś - wypowiadała słowa zdecydowanym, mocnym głosem, dokładnie takim, jak chciała, chociaż ścisnęło ją w żołądku. - Myślałam, że może przez ostatnie dwa tygodnie zmieniłeś zdanie.

Zrobił krok w jej kierunku, po czym nagle odwrócił się. Wszedł do salonu i zaczął porządkować papiery w teczce. Poszła za nim i stanęła w drzwiach.

- Ten wspólnie spędzony czas był wspaniały, Alex - powiedział. - Chciałbym tu zostać i dalej udawać, że reszta świata nie istnieje, ale - niestety - to nieprawda.

Oparła się o framugę drzwi, prawie nie oddychając. Czuła się martwa i niewiarygodnie głupia. Raptem poruszyła się najczulsza część jej duszy, po którą sięgnął, której dotknął i z którą się kochał. Poczowała gorycz i zawód, poczuła się podstępem wmanewrowana w miłość do człowieka, który jej serce chce sobie zabrać na pamiątkę i nic więcej. On nie ma pojęcia, jak wiele mu z siebie dała. Lub też wie i zwraca jej, bo mu to niepotrzebne.

- Oczywiście - powiedziała. - To był tylko flirt. Nigdy się nie spodziewałam, że mógłbyś rzucić dla mnie żonę.

Patrzyli sobie w oczy, usiłując dostrzec, co drugie kryje pod maską słów i pychy, żadnemu się to jednak nie udało. W Alex coś krzyczało: „Spodziewałam się tego! Musisz ją rzucić. Jeśli tego nie zrobisz, jaki sens będą mieć spędzone wspólnie dni i co się ze mną stanie?” Te słowa brzmiały jej w uszach tak głośno, że była zdumiona, iż żadne nie wymyka się jej z ust. Brent zatrzasnął w końcu teczkę i skierował się ku drzwiom.

- Czy uwierzyłabyś mi - zapytał - gdybym powiedział, że cię kocham?

Poczuła, że kolana się pod nią uginają, więc przytrzymała się drzwi. Potrafiła udawać - bez dwóch zdań. W oczach szczypały ją łzy, ale je powstrzymała. Miała ochotę plunąć na wszystko, krzyczeć, płakać i błagać, ale była Alexandra Holmes, a to ciągle coś znaczyło. Odwaga w słowach nie uśmierzyła jej bólu w piersiach. Palił ją w płucach, a stamtąd rozchodził się na brzuch, ramiona i nogi. Nigdy w życiu nie zdarzyło się jej nikogo tak nienawidzić, jak teraz Brenta, za to, że ją kocha i zmusza do odwzajemniania tej miłości.

- Nie - odparła.

Westchnął i położył dłoń na gałce drzwi.

- Wobec tego to chyba koniec.

Alex jeszcze raz wzięła głęboki oddech. Jeśli Brent wyjdzie za drzwi, ona przestanie istnieć. Ale jeśli będzie nadal tak stać, patrząc na nią swym pełnym żalu, lecz zimnym wzrokiem, zabije w niej ostatni promyk miłości.

- Tak - powiedziała. - Chyba tak.

Otworzył usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale tylko skinął głową i wyszedł.

Alex została w drzwiach. Nie była pewna, jak długo tam tkwiła wpatrzona w miejsce, gdzie przed chwilą stał Brent. Ciągle go widziała, choć już odszedł. Ciągle go czuła, choć już jej nie dotykał. Myślała, że wróci, że weźmie ją w ramiona i powie, że zmienił zdanie, ale tego nie zrobił. Alex oderwała w końcu wzrok od tego miejsca i zauważyła, że jaskrawe światło słoneczne zastąpiły cienie.

Podeszła do kanapy. To było takie nierzeczywiste. Wspaniałe dwa tygodnie i ich brutalne, raptowne zakończenie. Zanim zdążyła go przy sobie zatrzymać, wymknął się jej. Nie miała nawet okazji, żeby się przyzwyczaić do jego obecności.

Spojrzała na swoje dłonie i nogi - były całe. Jakie to dziwne, że jej ciało nie rozplynęło się w taki sam sposób, jak jej serce. Nagle poczuła skurcz bólu, silny jak cios w żołądek. Objęła ramionami kolana i przycisnęła je

mocno do piersi. Z oczu trysnęły jej niepohamowane łzy, które płynęły jeszcze przez wiele godzin.

* * *

Kiedy Alex wróciła do Stanów dwa miesiące później, Jackson czekał na nią na międzynarodowym lotnisku San Francisco. Sam się mianował jej honorowym kierowcą.

Zauważyła go natychmiast po wejściu do terminalu. Mogła śmiało powiedzieć, że był tam najprzystojniejszym mężczyzną. Trzymał w garści wypełnione helem, fioletowe balony, na których jaskrawoczerwonym flamastrem namalowane było jej imię.

Podeszła i mocno go objęła. Właściwie miała ochotę znów się rozplakać. Pozwalała sobie na to tylko w nocy, po pracy, kiedy była pewna, że nikt jej nie słyszy. Tylko że Jackson nie taką Alex zapamiętał. Co najsmutniejsze, obawiała się, że po dawnej Alex nie ma nawet śladu.

- Świetnie wyglądasz - powiedziała z przekonaniem. Wzięła od niego balony i ruszyli w kierunku punktu odbioru bagażu.

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie. Alex spędziła piętnaście minut w toalecie samolotu na

poprawianiu makijażu i próbie ukrycia ciemnych kręgów pod oczami. Zdziwienie spostrzegawczością Jacksona pokryła złością.

- Bardzo ci dziękuję, Jacku. Właśnie tego mi trzeba. Ostrych słów.

Zatrzymał się, nie zważając na pasażerów, którzy musieli go omijać, i chwycił ją za ramię.

- Co ci jest?

- Obraziłeś mnie.

- A poza tym?

Wyrwała rękę i ruszyła przed siebie. Jackson dogonił ją i dotrzymywał jej kroku, choć szła szybko.

- Nie powiesz mi? - zapytał.

- Nie. Nie mam nic do powiedzenia.

W milczeniu dotarli do punktu odbioru bagażu, gdzie musieli czekać dziesięć minut, zanim Alex wypatrzyła swoje trzy torby. Wzięła jedną, a Jackson dwie pozostałe i poszli na parking. Kiedy zapakowali je do bagażnika i wsiedli do samochodu, Jackson odwrócił się do niej.

- Przez tyle lat otwierałem przed tobą serce - powiedział. - Mówiłem ci o Megan, o malarstwie, o wszystkim. Nie uważasz, że nadszedł czas, żebyś ty też uczyniła mi ten zaszczyt?

Poczuła, że w jej wnętrzu przerwała się tama. Jeszcze przed chwilą była silna, nie dopuszczała do głosu emocji, teraz jednak jej opanowanie rozpląnęło się we wzbierających łzach. Płakała, a Jackson trzymał ją mocno w objęciach.

- Już dobrze - powtarzał co chwila i gładził ją po włosach. Obejmując ją, Jackson zdał sobie sprawę, jaka jest mała. Kiedy stała w swoim gabinecie, z ołówkiem zatkniętym za ucho i włosami ulizanymi za pomocą żelu w staropaniński koczek, wydawała się wysoka, silna i odporna na ból. W jego ramionach sprawiała wrażenie, jakby była niemal dzieckiem, delikatnym, drobnym i kruchym - choć mieszałaby z błotem każdego, kto śmiałyby ją tak określić. Tulił ją w ramionach, dopóki się nie uspokoiła.

- Boże, co za idiotyzm - powiedziała w końcu.

- Mówisz o sobie czy o mnie?

- O sobie. Nienawidzę tego. Płacz jest taki bezsensowny.

- Może gdybyś więcej płakała w przeszłości, nie czułabyś teraz tego, co czujesz, cokolwiek to jest.

- Nie baw się ze mną we Freuda. Uśmiechnął się i odsunął.

- Chyba czas na tradycyjnego amerykańskiego hamburgera z frytkami. Idziemy do MacDonalda?

Uśmiechnęła się przez łzy i skinęła głową.

- To brzmi bosko.

* * *

Jacksona kusilo, żeby poprawić Alex nastrój, wsadzając sobie do dziurek w nosie dwie frytki, ale zrezygnował z tego pomysłu. Nigdy nie widział jej w takim stanie. Owszem, bywała już przygnębiona, zła, zawiedziona, a nawet niekiedy smutna. Ale nigdy zagubiona, nigdy na skraju załamania.

Znaleźli w MacDonalddie pusty stolik w kącie sali i usiedli nad jedzeniem. Alex huśtała się na swoim żółtym krześle do przodu i do tyłu, wyjadając z Big Maca ogórki. Jackson cierpliwie czekał, aż zacznie mówić.

- Jestem największą idiotką na świecie - odezwała się w końcu.

- To nic nowego - rzucił ironicznie.

- Mówię poważnie, Jacku. Popełniłam najfatalniejszy błąd w życiu.

- To znaczy? Spojrzała za okno.

- Straciłam panowanie nad sobą. Zakochałam się.

Jackson opadł na oparcie krzesła oszołomiony. Alex zakochana? To wydawało się niemożliwe. Nie w tym rzecz, że jest do tego niezdolna, ale nigdy nie sprawiała osoby szczególnie zainteresowanej odwzajemnianiem

czyichś uczuć. Nigdy nie była skłonna do oddania komuś swojego serca - za bardzo się bała, że straci przewagę, na którą pracowała tyle lat.

- W kim? - zapytał.

Potrząsnęła głową.

- To nie ma znaczenia. Najważniejsze, że zrobiłam wszystko, czego przysięgałam sobie nigdy nie popełnić. Zmieniłam dla niego swój plan dnia. Zanedbałam pracę. Pozwoliłam mu się poznać jak nikomu dotąd. A co najgorsze, byłam z tego zadowolona. To mnie uszczęśliwiało.

- Co w tym złego? Wzięła głęboki oddech.

- Czułam się, jakbym odkorkowała swoje serce - powiedziała miękko. - - Nigdy nie myślałam, że mogę mieć takie uczucia. To Megan była osobą emocjonalną. Ja natomiast tylko... Sama nie wiem... Stoikiem w grubym pancerzu. Byłam ponad to.

Jackson przykrył jej dłoń swoją.

- Nikt nie jest ponad miłość. Ona się przytrafia nawet najlepszym.

- Ale ja nie byłam gotowa. Nikt mnie nie uprzedził, że to takie intensywne doznanie. Nikt mnie nie przygotował na uczucie euforii, które mnie ogarniało w jego obecności, ani na rozpacz, gdy zniknął za rogiem. Nikt mi nie powiedział, że nawet jeśli będę go kochać nad życie, on może postanowić mnie rzucić.

Jackson ścisnął jej dłoń.

- Rzucił cię?

Alex zamknęła oczy. Znow zobaczyła Brenta w drzwiach i poczuła, że pragnie go do siebie przywiązać, podczas gdy on pragnie wrócić do domu, do żony.

- Tak.

Oboje zamilkli. Alex czekała w nadziei, że Jackson znajdzie dla niej jakieś lekarstwo. Na pewno można zrobić coś, żeby uśmierzyć ten ból. Nigdy przedtem nie stanęła przed problemem, którego nie potrafiła rozwiązać.

- Są tysiące powiedzonek i mógłbym je w tej chwili zacytować - powiedział wreszcie. - Ale jedyne, odpowiednie w tej sytuacji, brzmi: „Miłość śmierdzi”. Miłość rani. Miłość kaleczy serce. Nie da się tego uniknąć.

- Czuję się, jakbym brodziła w ciemnościach - wyszeptała.

Wyciągnął rękę i otarł jej z policzka łzę, a potem pogładził po twarzy.

- Tak właśnie powinnaś się czuć. Wstrętne. Jakbyś miała ochotę zwinąć się w kłębek i umrzeć. To powinno cholernie boleć. Życie jest właśnie

takie, Alex. Nie możesz bez końca bujać w obłokach, tak jak tego pragniesz i jak robiłaś do tej pory. Czasem trzeba zejść na ziemię, połażyć po błocie, oberwać parę siniaków i się zabrudzić.

- Lubiłam żyć w obłokach - powiedziała. - Moja praca zawodowa całkowicie mnie uszczęśliwiała, dopóki nie pojawił się on i nie uświadomił mi, co tracę.

- Byłaś naprawdę szczęśliwa? Zabębniła palcami po stole.

- Hmm. Nie wiem. Mam teraz dwadzieścia osiem lat. Zdaję sobie sprawę, że minie jeszcze dużo czasu, zanim zejdem ze szczytu tego wzgórza, ale jestem za stara, żeby się zmienić. To po prostu dowodzi, że nie zostałam stworzona do miłości. Podchodzę do niej tak samo jak do pracy, czyli zbyt emocjonalnie. Dostaję na jej punkcie bzika i stawiam wszystko na jedną kartę - tak samo jak w przypadku raportu analizującego sytuację na rynku. I oczekuję takich samych rezultatów. Wspaniałego sukcesu.

- Wszyscy dostajemy na początku bzika z miłości. Nic nie dorównuje intensywnością uczuć pierwszym dniom romansu.

- To nieprawda - powiedziała. - Dorównuje im poczucie władzy. Zawieranie transakcji, robienie pieniędzy, wyprowadzanie w pole konkurencji. To może być jak seks.

- Trochę samotny.

- To co z tego? Przynajmniej bezpieczny. Jestem w tym dobra. I nikt mnie nie zmusi, żebym jeszcze raz przechodziła przez podobne piekło.

Odsunęła hamburgera. Jackson zamilkł na dłuższą chwilę i w końcu powiedział:

- Nie mogę przeżyć twojego życia za ciebie. Musisz sama podejmować decyzje. Zawsze uważałem, że to właśnie jest najtrudniejsze - dokonywanie wyboru. Droga w prawo czy droga w lewo. Na każdym kroku coś się wybiera. I nie daj sobie wmówić, że można mieć wszystko, bo to nieprawda. Zawsze dostajesz coś za coś. Oczywiście próbujemy obrać najlepszą drogę, ale zawsze jest ryzyko, że w rzeczywistości właściwa była ta, którą zostawiliśmy w tyle.

- Czy tak się teraz czujesz?

- Tak. Widzisz, postanowiłem ożenić się z Megan. Zdawałem sobie wtedy sprawę, jaką mam alternatywę. Życie męża i ojca, który ma normowany czas pracy, albo życie artysty, który jest zwykle biedny, uznawany za dziwaka, ale wolny. Wybrałem Megan.

- Ale zmieniłeś zdanie.

- Tak, tylko że okupiłem to niewiarygodnym cierpieniem. Im trudniejszy jest wybór, tym poważniejsze konsekwencje, kiedy człowiek zda sobie sprawę, że popełnił błąd.

- A jak zastosować tę teorię Hollywella w moim przypadku?

- Wydaje mi się, że masz podobny dylemat co ja. Część twojej osobowości zawsze pragnęła zawrotnej kariery zawodowej, podczas gdy pozostała pragnęła tego, co wszyscy inni. Miłości, może małżeństwa i dzieci, jakiegoś własnego miejsca. U ciebie sprawy zawodowe zawsze były dominujące. Nigdy miłości nie dałaś szansy.

- Aż do tej chwili - spojrzała na niego. - Powiedz mi, Jacksonie, kiedy przestanę kochać? Kiedy będę się znów czuć normalnie?

Uśmiechnął się.

- Teraz czujesz się normalnie. Wszyscy tęsknimy za jakąś niespełnioną miłością, wszyscy mamy gorzkie wspomnienia po związkach, które skończyły się, gdy nie byliśmy jeszcze gotowi do pożegnania. Nie mogę powiedzieć, że w ogóle przestaniesz kochać. A czy na pewno tego chcesz?

- Tak. Boże drogi, i to jak.

- Posłuchaj, Alex - przerwał na moment, szukając odpowiednich słów i mnąc w dłoni serwetkę. - Życie nie jest łatwe - powiedział w końcu. - A miłość to najbardziej skomplikowana rzecz pod słońcem. Jeśli zadecydujesz, że to nie dla ciebie, będziesz musiała pogodzić się z własnym wyborem i z nim żyć. Nikt nie powiedział, że życie jest sprawiedliwe ani choćby przyjemne. Musimy po prostu robić jak najlepszy użytek z tego, co nam dano, i próbować zapomnieć o tym, czego nam brakuje.

Skończyli jeść i zabrali tace. Idąc w stronę wyjścia, minęli pokój zabaw, gdzie kilkanaścioro dzieci przepychało się na schodach zjeżdżalni i ze śmiechem zsuwało się w dół. Przystanęli na chwilę, żeby im się przyjrzeć, po czym Alex oparła głowę na ramieniu Jacksona i poszli do samochodu. Mimo tego, co Jackson powiedział, wiedziała, że nigdy nie będzie potrafiła zapomnieć, czego jej brakuje. Przypomni jej o tym każda trzymająca się za ręce para. Każde roześmiane dziecko, zarumieniona panna młoda i zadurzony nastolatek będą wołać w głos: „Spójrz, czego nie masz. Spójrz, z czego zrezygnowałaś”. Wspomnienia o Brencie znajdzie wszędzie, w każdej rzeczy, i przez resztę życia będzie musiała codziennie, w każdej sekundzie na nie spoglądać.

Rozdział 19

Jackson wziął głęboki wdech i pchnął na oścież drzwi do galerii. Trzymając kurczowo pod obiema pachami ciężkie teczki wszedł do chłodnego, oświetlonego przyćmionym światłem pomieszczenia. O drugiej trzydziści miał umówione spotkanie z kustoszem Donaldem Lithgowem. Była druga dwadzieścia dziewięć i dwadzieścia sekund.

Galeria była pusta. Położył teczki na stoliku z mosiądzu i szkła i rozejrzał się. Lustrując wzrokiem obrazy, czuł mrowienie skóry. Było parę tradycyjnych pejzaży i płócien marynistycznych, portrety Indian, obrazy abstrakcyjne. Większą część pomieszczenia wypełniały prace młodej artystki Claudette Harsins, mieszkającej w Mendocino. Jackson czytał o niej w prasie od miesiąca. Malowała nowoczesne, abstrakcyjne obrazy o ostrej kolorystyce i śmiałych pociągnięciach pędzla, które tak bardzo się różniły od popularnych, delikatnych pastelów, że chcąc nie chcąc zwracały na siebie uwagę. Jackson obejrzał jej prace krytycznym okiem i doszedł do wniosku, że są frapujące, nowatorskie i godne zainteresowania, jakim się cieszą.

Znów poczuł palenie w żołądku, jakby kwasy wyżerały jego zawartość. Pojawiało się za każdym razem, gdy wchodził do jakiejś galerii z tak silnym pragnieniem, by jego obrazy zostały wystawione, że napięcie przemieniało się w fizyczny ból. Galeria Lithgowa najbardziej spośród tych, które widział, odpowiadała jego stylowi malarskiemu. Jego prace pasowały tu idealnie. Gdyby jeszcze udało mu się wzbudzić takie samo przekonanie w panu Lithgow. Rekomendacja Jo otworzyła mu drzwi, reszta zależała od Lithgowa.

Z pokoju na zapleczu wyszedł Donald Lithgow - skromny mężczyzna, w niczym nie przypominający artysty. Był ubrany w oficjalny, wizytowy garnitur w ciemnobrazowym kolorze, a siwe, idealnie ułożone i polakierowane włosy miał rozdzielone z boku przedziałkiem. Wyglądał jak pomalowany i pozbawiony emocji manekin, zupełnie nie pasujący do tej oddalonej od centrum San Francisco dzielnicy indywidualistów. Nie uśmiechał się.

- Pan Hollywell, jak sądzę? - powiedział. W jego głosie pobrzmiwały dalekie echa brytyjskiego akcentu.

- Tak, proszę pana. Miło mi pana poznać.

- Nie wątpię. Przejdźmy jednak do rzeczy. Mam następne spotkanie o trzeciej piętnaście.

Jackson wrócił pośpiesznie do swoich teczek, usiłując zapanować nad zdenerwowaniem. Odnosił wrażenie, że ma w żołądku skaczące żaby. Przechodził już przez tę gehennę kilkanaście razy. Większość właścicieli galerii zachowywała się wobec niego serdeczniej, ale finał wszędzie był taki sam. Pana prace są dobre, mówili, ale nie dla nas. Nam odpowiadają obrazy nowocześniejsze, bardziej tradycyjne, bardziej siakie czy owakie, ale nie takie, jak pan maluje. Jak na ironię, kiedy Jackson właśnie postanowił zrobić sobie przerwę w swej akwizytorskiej wędrówce, Jo podsunęła mu myśl, żeby spróbował w Galerii Lithgowa. Emanowała z niej absolutna pewność, że Lithgow okaże zainteresowanie jego pracami, ale teraz Jackson zaczynał wątpić w słuszność jej opinii.

Lithgow polecił młodej asystentce, by przyniosła kilkanaście sztalug, na których Jackson starannie umieścił swoje obrazy. W ostatniej chwili zmienił ich kolejność. Zwykle rozpoczynał od bardziej stonowanych pejzaży, a kończył na ostrzejszych płótnach abstrakcyjnych, chcąc w ten sposób przykuć uwagę odbiorcy od pierwszej do ostatniej pracy. Ponieważ jednak ten sposób nigdy jeszcze nie poskutkował, postanowił zacząć od obrazu abstrakcyjnego, następnie zaprezentować pejzaż i umieszczać na przemian prace w jaskrawszej tonacji i pastele. Spodobał mu się uzyskany efekt. Odsunął się do tyłu i czekał.

Donald Lithgow przyglądał się każdemu obrazowi dokładnie przez trzy minuty. Milczał. Nie wydawał z siebie nawet „aha” ani „hmm”. Jackson oparł się o mosiężną barierkę przy wejściu, patrząc jak tamten ogląda jego życie z taką miną, jakby to był nudny mecz golfa.

Kiedy Lithgow skończył oględziny obrazów, wrócił wzrokiem do trzeciego, ulubionego płótna Jacksona. Był to abstrakcyjny portret Klementyny, malowany z pamięci różowymi i białymi farbami olejnymi. Narysował ją z łatwością, lecz potem posunął się o krok dalej i zamglił kontury, spajając włosy ze światłem za jej plecami i łagodząc rysy twarzy, przez co widz miał początkowo wrażenie, że to kobieta, ale po dłuższej obserwacji przestawał być tego taki pewien. Wyraźnie i prosto namalował tylko jeden element twarzy - jej hipnotyczne, przejrzyste oczy.

Do tej pory nikomu nie pokazywał tego portretu. Przez długi czas zamierzał zatrzymać go dla siebie. Im więcej jednak na niego patrzył, tym bardziej chciał podzielić się ze światem urodą Klementyny. W ostatniej chwili zdecydował się, żeby go tu przynieść. W ten obraz włożył całe serce. Jeśli on nie zareklamuje go jako artysty, nie zrobi tego żaden inny.

- Ten - powiedział Lithgow, robiąc krok do tyłu i przechylając głowę, żeby spojrzeć na płótno pod innym kątem - ten jestdość... niezwykły.

Jacksonowi mocniej zabiło serce.

- Tak - odparł. - Ma dla mnie szczególne znaczenie.

Lithgow przeszedł się jeszcze raz wzdłuż płócien, a Jackson zadał sobie pytanie, jak długo zdoła ustać, nie domagając się odpowiedzi albo nie wybuchając płaczem. Nie powinno tak być. Skoro ktoś ma w sobie energię, żeby zostać artystą, siłę woli, żeby mało sypiać, pracować od przypadku do przypadku w zależności od natchnienia i wydawać na farby pieniądze przeznaczone na jedzenie, należy mu zrobić pierwszą wystawę o nic nie pytając. Jeśli mimo to nikt nie wykaże zainteresowania jego pracami, może się poddać ze świadomością, że zrobił, co mógł.

- Dobrze - powiedział wreszcie Lithgow, odwracając się od obrazów Jacksona i spoglądając na zegarek. - Chyba to mi wystarczy.

Młoda asystentka zaczęła zdejmować płótna.

- Ostrożnie - powiedział Lithgow i ponownie zwrócił się do Jacksona. - Niech mi pan powie, panie Hollywell, od jak dawna pan maluje?

- Właściwie malowałem przez całe życie - odparł Jackson, zastanawiając się, dokąd tamten zmierza, i usiłując powściągnąć swe rosnące oczekiwania w obawie przed rozczarowaniem. - Zacząłem na ścianach w kuchni mojej mamy - roześmiał się, ale Lithgow nawet się nie uśmiechnął.

- Chodzi mi o malowanie profesjonalne - powiedział. Jackson zmiotł uśmiech z własnej twarzy.

- Od kiedy poszedłem na studia. Czyli od jakichś dwunastu lat.

- Czy to są wszystkie pana prace?

- Nie. Mam jeszcze ponad dwadzieścia w domu - przypomniał mu się niszczycielski szal Megan i zacisnął pięści.

- Ale te są najlepsze?

- Tak mi się wydaje. Pozostałe mają podobny styl i technikę, ale te uznałem za najbardziej interesujące.

Lithgow pokiwał głową i powiódł wzrokiem za asystentką, która wynosiła właśnie połowę sztalug.

- Ostatnia premierowa wystawa, jaką sponsorowałem - powiedział - przedstawiała prace Claudette Harsins, jak pan zapewne wie. Odniosła oszałamiający sukces. Sprzedałem już trzy czwarte jej obrazów, a pozostałe zatrzymałem tylko po to, żeby podbić cenę. Pracuje teraz jak szalona. Ośmiu klientów zamówiło płótna na miesięczny termin. Nie obchodzi ich nawet, co to będzie, byleby autorką była Harsins.

Jackson skinął głową. Boże, jaki ten facet miał pokrętny styl wypowiedzi. Albo mu się podobają prace Jacksona albo nie.

- Chcę przez to powiedzieć - ciągnął Lithgow, a Jackson siłą powstrzymał się, żeby nie wydać westchnienia ulgi - że nie bawię się w hazard. Starannie wybieram artystów. Znam swoich odbiorców. Wiem, jakiego poziomu spodziewają się po obrazach wystawianych w mojej galerii.

Jackson spojrział na Lithgowa, który podszedł do stołu i podniósł portret Klementyny. Spojrział na płótno w taki sam intensywny sposób, jak często robił to Jackson, i je odłożył.

- Chciałbym wyznaczyć datę wernisażu pańskich prac na koniec marca - powiedział.

Jacksonowi odebrało mowę. Serce w nim zamarło. Przez cały monolog Lithgowa nie tracił nadziei, modlił się o szczęśliwy finał, ale do końca nie pozwolił sobie wierzyć, że on nadejdzie. Dwanaście lat. Po dwunastu latach nareszcie będzie miał premierową wystawę. Ta myśl powoli przenikała do jego świadomości. Kiedy wreszcie tam dotarła, uśmiechnął się.

- Kiedy tylko pan zechce - odparł. Rzucił się w kierunku Lithgowa i uściśnął mu rękę. - Nie pożałuje pan tego.

Na twarzy Lithgowa pojawił się lekki uśmiech - najwyraźniej było to maksimum jego możliwości - i uwolnił dłoń z mocnego uścisku Jacksona.

- Jestem o tym przekonany. Chciałbym, żeby pan przyniósł jutro pozostałe prace. Przejrzemy je. Nie jestem pewien, czy wystawimy wszystkie. Proszę pozostawić mi decyzję w tej sprawie. Zastanowię się nad wszystkimi szczegółami i przedstawię panu listę gości, kiedy już zostanie opracowana. Zwykle zgadzam się, by artysta zaprosił na wernisaż piętnastu swoich znajomych. Czy to pana zadowala?

Jackson bujał w obłokach. Zadowoliliby go wszystko.

- Jak najbardziej - odparł, szczerząc zęby w uśmiechu jak idiota. Nic go nie obchodziło.

- Cieszę się, że jest pan zadowolony, panie Hollywell - Lithgow spisał wszystkie obrazy i wręczył mu kwit. - Wobec tego do zobaczenia jutro.

Jackson zauważył, że został odprawiony dopiero, kiedy Lithgow wyniósł jego prace sztuka po sztuce na zaplecze. Będzie mu brakowało portretu Klementyny. Oglądał go co wieczór przez ostatnie dwa lata. Namalował ten obraz w ciągu trzech dni, prawie nie śpiąc, natychmiast po

powrocie z Los Angeles, kiedy wspomnienie chwil spędzonych z Klementyną na plaży było wciąż świeże.

Jackson odwrócił się i wyszedł. Powietrze było orzeźwiające i zdumiewająco ciepłe. W grudniowym słońcu mgła zniknęła. Jackson złapał autobus do domu i natychmiast skierował się do telefonu. Musiał podzielić się nowiną z tyloma osobami, ale przede wszystkim...

- Klementyno - powiedział, dziękując Bogu, że to ona odebrała telefon, a nie Megan.

Klementyna zeszywniała. Tylko jego głos miał taką moc, że niewolił jej ciało i duszę z odległości setek kilometrów, dopóki Jackson nie przerwał połączenia. Oparła się o ścianę sypialni.

- Cześć, Jacksonie. Chcesz rozmawiać z Megan? - Spokojny ton głosu zawdzięczała zdolnościom aktorskim.

- Nie, z tobą. Chciałem, żebyś jako pierwsza dowiedziała się, że moje prace zostaną w marcu wystawione w Galerii Lithgowa.

Napięcie zniknęło. Klementyna usiadła na łóżku.

- To cudownie, Jacku. Tak się cieszę. Naprawdę. Jackson uśmiechnął się. Sam nie wiedział, co go bardziej uszczęśliwia. To, że będzie miał wystawę, czy też to, że Klementynie zależy na jego szczęściu.

- Dzięki - powiedział. - To dla mnie bardzo ważne. Dzwonię, bo byłem na twojej premierze i chcę, żebyś ty przyjechała na mój wernisaż.

Napięcie wróciło. Rozmowa z nim przypomina jazdę na huśtawce - pomyślała. Raz w górę, gdzie jest rozluźniona i szczęśliwa, a raz w dół, gdzie staje się spięta i przygnębiona.

- Nie wiem, Jacku. Oczywiście bardzo chciałabym przyjechać. Nigdy nie widziałam twoich prac. Ale...

- Ale Megan, prawda?

- Właśnie - wyszeptała.

- Do diabła, Klementyno. Mam już dość tej wymówki. Minęły trzy lata od rozvodu. Czy nie mam prawa do własnego życia? Przecież mi nie powiesz, że jej ciągle na mnie zależy.

- Owszem, tak - odparła Klementyna. Im głośniejsze on mówił, tym ona ciszej.

- No, cóż, to jej problem. Zrozum mnie, nie chcę być okrutny. Chcę być tylko szczęśliwy. Chyba mam do tego prawo.

Klementyna spotykała się z przyjaciółkami, a czasem nawet z przyjaciółmi, ale zawsze były to znajomości całkowicie obojętne. Życzliwi współpracownicy i przyjaciele, którzy nie mogli pojąć, dlaczego w jej

życiu nie ma mężczyzny, usiłowali umawiać ją na spotkania. Przeważnie wykręcała się od nich za pomocą różnych wymówek. Kilka miesięcy temu, gdy już nie miała innego wyjścia, musiała przemęczyć się cały wieczór z mężczyzną, który zachowywał się tak nieszkodliwie, jakby był jej ukochanym bratem. Niczego nie żądał i nawet jej nie dotknął. Gdzieś w głębi duszy powtarzała sobie jednak: to jest randka, lepiej uważaj.

Przez cały wieczór próbowała normalnie oddychać i starała się, żeby uśmiech nie zniknął z jej twarzy, chociaż JEGO obraz powracał w czarnych wizjach. Mężczyzna nigdy więcej nie poprosił o spotkanie.

Bezustanne odgrywanie roli ofiary i wpadanie w popłoch przy najniklejszym poruszeniu swego wnętrza stawało się już takie nużące. Jackson dał jej szansę wyrwania się na chwilę z tego zakłętego kręgu i zrobienia kroku we właściwym kierunku. Nie ma w tym nic złego. Spotka się z nim, zobaczy jego prace i wróci do domu. Może dzięki temu szybciej wyrzuci go z pamięci.

- Masz rację - powiedziała. - Jestem śmieszna. To twój wielki dzień i chcę, żeby był udany. Przyjadę z największą chęcią.

- Fantastycznie! - wykrzyknął.

Roześmiała się słysząc entuzjazm w jego głosie i ze zdziwieniem poczuła, że ogarnia ją fala ciepła na myśl, że tak bardzo mu na niej zależy. Wszyscy inni mężczyźni musieliby poruszyć góry, żeby ją uszczęśliwić, ale wystarczyło, żeby Jackson coś powiedział albo się uśmiechnął, i już topniała.

- Podaj mi tylko dokładny termin - powiedziała - to wezmę sobie wolne.

- Alex mówi, że twój nowy film wchodzi na ekrany na wiosnę.

- Tak. „Druga miłość”. Jestem z niego naprawdę dumna. Minęło sporo czasu od „Wyroku skazującego” i wydaje mi się, że zrobiłam duże postępy.

- To znaczy, że sprawia ci przyjemność to, co robisz?

- Tak, chyba tak. Co prawda traktuję to jak pracę. Spodziewałam się większego splendoru, a tymczasem kręcenie filmu to nic specjalnego. Większość czasu stoję, powiem parę linijek tekstu i znów stoję.

- Wygląda na to, że życie gwiazdy nie jest wcale takie bajeczne, jak się sądzi.

- Nie o to chodzi. Po prostu opadł już entuzjazm, który czułam w pierwszych dniach. Szczerze mówiąc, sława, którą początkowo uwielbiałam, zaczyna mnie raczej nużyć. Niemal codziennie mam do czynienia z dziennikarzami i ludźmi, którzy czepiają się mnie jak rzep psiego ogona i w dodatku obgadują mnie szeptem, jakbym była głucha.

Nawet ta odrobina sławy, która przypadła mi w udziale, za bardzo mnie męczy.

Zamilkła i natychmiast zaczęła się zastanawiać, jakim cudem te słowa wyszły z jej ust. Lekkie rozczarowanie zawodem aktorskim stanowiło dotąd zaledwie niejasną myśl i najprawdopodobniej podświadomie skłoniło ją do podjęcia decyzji o zrobieniu sobie tak długiej przerwy między filmami. Mimo to wylała z siebie wszystko na Jacksona, jakby od miesiący nie mówiła o niczym innym.

- Szkoda - powiedział. - Chciałbym móc ci jakoś pomóc. Uśmiechnęła się.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby wziąć udział w konkursie na Kokieta Roku?

- Hmm. Niezły pomysł. Aha, jeszcze jedno. Chcę, żebyś wystąpiła na wernisażu jako moja towarzyszka. Nasze losy układają się w taki sposób, że mogę więcej nie mieć szansy na spotkanie z tobą.

Klementyna rozważyła wszystkie powody, dla których powinna odmówić, i każdy odrzuciła. To by jej dobrze zrobiło, gdyby świadomie zgodziła się na randkę, gdyby - jak miała nadzieję - spędziła przyjemnie czas bez lęku. A Megan nie musi wiedzieć, że Klementyna będzie towarzyszyć Jacksonowi. W rzeczywistości nie ma to znaczenia, no i po co ją ranić. Poza tym to tylko zgoda na jeden dzień, a nie na całe życie. Co w tym złego?

- Z ogromną przyjemnością, Jacksonie. Do usłyszenia.

Odłożyła słuchawkę i usiadła na łóżku. Zastygła w bezruchu. Bała się, że najłżejszy gest rozwieje poczucie szczęścia, które ją ogarnęło. Z takim skupieniem przypominała sobie każde wypowiedziane przez niego słowo, każde drgnienie głosu, że nie usłyszała, jak Megan skrada się korytarzem do swojej sypialni. Później doszła do wniosku, że zaczerwienione oczy przyjaciółki są tylko oznaką rozpoczynającego się przeziębienia.

* * *

Ogarnęło ją zdumienie, że droga wyglądała tak samo. Klementyna sądziła, że coś się przez tyle czasu zmieniło. Jechała wolno krętą, asfaltową ulicą, którą chodziła niegdyś codziennie do szkoły i z powrotem, i wypatrywała na końcu dawnej ulicy Megan domu jej rodziców. Był taki jak zawsze - idealnie gładko pomalowany, ponury i bez życia. Dawną willę Alex minęła wcześniej. Holmesowie zmienili kolor framug okiennych z czerwonego na ciemnozielony, a w ogrodzie zasadzili kępy różowych,

niebieskich i żółtych prymulek. Ta rodzina zawsze wiedziała, jak dać wyraz swojej indywidualności.

Wracając do domu, czuła się dziwnie, jakby czas runął na nią jak sęp, wbił swoje szpony i przeniósł w przeszłość. Gdy tylko w zasięgu jej wzroku znalazł się dom matki, który jak dawniej był podniszczony i domagał się pomalowania, żelazna stanowczość Klementyny zmiękła, a takim trudem okupione doświadczenie życiowe gdzieś zniknęło. Znów była córeczką swojej mamusi.

Zaparkowała przy krawężniku i wysiadła z wynajętego buicka. Przez dłuższą chwilę przyglądała się willi. Ponad dziesięć lat temu drażnił ją widok zapuszczonego żywopłotu i połamanych gontów. Może czas przytłumił brzydotę tego domu, a może z wiekiem zmądrzała i nie mierzyła już wszystkiego miarą ideału, bo teraz willa wydała się jej urocza. Dzięki niedoskonałościom nabrała charakteru i oryginalności. Gdyby nawet nie mieszkali w tym domu jej matka i ojczym, przykułby jej uwagę. Zaczęłyby sobie wyobrażać, kto tam pracuje, bawi się czy sprząta. Kiedy myślała o swoim domu w Malibu, z tynkiem bez jednej rysy, ciemnymi szybami i zaaranżowanymi kolorystycznie kwiatami, które pielęgnował przychodzący trzy razy w tygodniu ogrodnik, widziała tylko cztery ściany i nic więcej.

Ruszyła ścieżką i bez pukania otworzyła drzwi.

- Mamo, to ja, Clemmie.

Uśmiechnięta od ucha do ucha Angel wyszła z kuchni w fartuszkach przewiązanych w tęgiej talii. Mocno uściskała Klementynę.

- Tak się cieszę, że jesteś. Nie masz pojęcia, jak bardzo mi Ciebie brakowało.

Klementyna odsunęła się i spojrzała na matkę. Miała coraz więcej siwych włosów, które panoszyły się na jej popielatej głowie jak chwasty. Zmarszczki na jej twarzy zaostrzyły się, a skóra na ramionach, które objęły Klementynę, była bardziej wiotka i chropowata. Klementyna doszła jednak do wniosku, że Angel wygląda wspaniale - tak, jak powinna wyglądać matka.

- Mnie też Ciebie brakowało, mamo - powiedziała z przekonaniem. Z kuchni dolatywał aromat pieczonej wołowiny.

- Zostaniesz na obiad, prawda? - zapytała Angel. - John bardzo chciałby Cię zobaczyć.

Klementyna w to wątpiła, ale oczywiście przyjęła zaproszenie. Bardzo chciała porozmawiać z kimś, kto miał dość obiektywizmu, by być dobrym

słuchaczem. Megan poczułaby się oczywiście zraniona i zazdrosna. Alex okazałaby swoją niechęć. Tamtego ranka, kiedy spojrzała na telefon i zrozumiała, że do żadnej z nich nie może zadzwonić, po raz pierwszy uświadomiła sobie, że ich przyjaźń ma granice. To odkrycie zdziwiło ją i zabolęło. Wydawało jej się dotąd, że w jakiś sposób różni się od innych, że są odporne na ograniczenia trapiące większość przyjaciółek. Z rozczarowaniem zdała sobie sprawę, że są tylko ludźmi, którymi kierują ludzkie zawiści i emocje.

Pomyślała wówczas, że nie ma nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić, aż nagle na całe szczęście przypomniała sobie o matce.

Kiedy dorastała, nigdy nie zwierzała się Angel jak córka matce, ale ostatnie, przeżyte osobno lata sprawiły, że mogły się porozumieć na podobnych poziomach - jak kobieta z kobietą. Klementyna przesunęła o jeden dzień lot powrotny do Los Angeles i zapytała Angel, czy nie mogłaby zatrzymać się u niej.

Siedziały przy stole w kuchni. Wciąż tym samym, z głęboką rysą pośrodku i jedną nogą za krótką. Na krzesłach były jednak nowe poduszki w kwiaty.

Angel nalęła im po filiżance kawy i spojrzała na córkę.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jestem z ciebie dumna - powiedziała.
- Widziałam „Wyrok skazujący” chyba z dziesięć razy. Kiedy wszedł na ekrany, huczało w całym osiedlu. Nigdy nie mieliśmy tylu gości. Każdy chciał się dowiedzieć, jak tego dokonałaś, gdzie zaczynałaś i w ogóle. Wszyscy mówili, że cały czas byli pewni, że ci się uda. Akurat!

Klementyna roześmiała się i przebiegła dłonią po rysie na stole. Była w dotyku taka przyjemna, znajoma. Mogłaby znaleźć to wyżłobienie z zamkniętymi oczami, tak dobrze wiedziała, gdzie się kończy i zaczyna. To miłe uczucie znaleźć się w domu. Mimo przykrych wspomnień, mimo ostatniej kłótni z Johnem, po której z taką łatwością stąd odeszła, to miejsce było jej domem. A czas goi wszystkie rany.

- Muszę z tobą porozmawiać, mamo.

- Wiem. Słyszałam to w twoim głosie.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Chociaż od dawna nie rozmawiałyśmy, ciągle jestem twoją matką.

Klementyna wstała i podeszła do kuchennego okna. Na zewnątrz nieduży ogródek był porośnięty chwastami, kwiatami i krzakami. Pod jeden z nich dał susa czarny kot.

- On ma na imię Jackson - powiedziała, zamykając oczy.

O ósmej wieczorem poprzedniego dnia Jackson przyjechał do Hyatt Regency, żeby ją zabrać na wernisaż. Zapukał do drzwi jej pokoju i wszedł ubrany w biały smoking. Kiedy byli daleko od siebie, nawet w najśmielszych fantazjach nie wyobrażała sobie, że jest tak przystojny. Jego ciemne włosy były dłuższe niż zapamiętała. Koniuszki rozpuszczonych kędziorów sięgały mu ramion. Oczy miał bardziej zielone, prawie turkusowe, a wzrok bardziej przenikliwy. Kiedy się uśmiechnął, szczęśliwy, że ją wreszcie widzi, nie mogła uwierzyć, że kiedykolwiek zdołała mu się oprzeć.

- Cześć - powiedział. Stał w drzwiach, patrząc na nią. Miała na sobie obcisłą, czarną suknię, obszytą cekinami, która odsłaniała jej z boku jedną nogę i spadała trzema fałdami aż do ziemi.

- Cześć - odparła, bojąc się powiedzieć więcej. Zrobił krok w jej kierunku, a ona usłyszała walenie własnego serca.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę. - Powiedział to prawie szeptem, ale moc jego głosu przykuła ją w miejscu. Chciała coś zrobić, poruszyć się, rozładować atmosferę, powiedzieć jakiś dowcip. Stała jednak w bezruchu. Zrobił jeszcze jeden krok w jej kierunku. Znajdował się teraz o parę centymetrów od niej.

Utonęli w sobie spojrzeniami. Kiedy byli razem w pokoju, zawsze sprawiali wrażenie, jakby nie potrafili patrzeć na nic innego. Klementyna zastanawiała się, czy ją pocałuje, dotknie albo rozkaże zapomnieć o Megan. W tej chwili zgodziłaby się na wszystko bez wahania i bez lęku. Jego obecność obezwładniała ją. On jednak tylko się uśmiechnął.

- Idziemy? - zapytał, wyciągając do niej rękę. - Nie chcę się spóźnić. Jestem w końcu gwiazdą na tej premierze.

Ukryła rozczarowanie pod maską uśmiechu. Co też jej chodzi po głowie? Jedno spojrzenie na Jacksona i już jest gotowa zrzucić swój pancerz, ryzykując, że obudzi wspomnienia o NIM. Podniosła głowę i zmobilizowała ostatnie rezerwy ostrożności. W końcu to tylko jeden wieczór. Potem wróci do domu, do Megan i życie potoczy się według planu.

- Clemmie?

Klementyna odwróciła się na dźwięk głosu matki, podeszła z powrotem do stołu i usiadła. Angel wyciągnęła do niej rękę, którą Klementyna uścisnęła.

- Jesteś w nim zakochana? - zapytała Angel. Klementyna spuściła głowę. Po policzkach spłynęło jej kilka łez, ale ich nie wytarła.

- To bardziej skomplikowana sprawa - powiedziała.

- A cóż może być bardziej skomplikowanego niż miłość?

- Ja. Za dużo się stało w moim życiu. Spędziłam samotnie tyle lat, że teraz się boję. Mam wrażenie, że zapomniałam, co to znaczy działać. Nie sądzę, żebym potrafiła... z nim być.

Angel przyglądała się przez dłuższy czas córce, zanim się wreszcie odezwała.

- Najwyraźniej są na to jeszcze jakieś szanse, bo inaczej nie byłabyś taka przygnębiona.

Klementyna zamknęła oczy, przypominając sobie tamtą straszną noc w Nowym Jorku. Czasem się jej wydawało, że to zamierzchła przeszłość, która nie ma już żadnego znaczenia, ale kiedy indziej JEGO twarz wyskakiwała przed nią nagle, budząc wciąż takisam strach. Czy na pewno jest normalna? Czy nie powinna już o tym zapomnieć? Może gdyby od początku wzięła byka za rogi, poszła do terapeuty, przespała się z jakimś, wszystko jedno z jakim mężczyzną, lęk nie stałby się, jak to ma miejsce teraz, integralną częścią jej osoby. Nie zrobiła jednak żadnej z tych rzeczy. Nikt się nie pofatygował, żeby ją do tego zmusić.

- Nawet gdybym była inna - powiedziała w końcu - nic by z tego nie wyszło. On jest byłym mężem Megan.

Angel wstała i otworzyła piekarnik. Obróciła na drugą stronę warzywa wokół pieczeni i polala mięso sosem, po czym z powrotem usiadła.

- No to co? - zapytała.

- Jak to co? - Klementyna była zdumiona, że nie wszyscy od razu dostrzegają jej problem. - Megan wciąż go kocha. Co prawda, już o nim nie mówi, ale z drugiej strony nie wiąże się z nikim nowym. Chybaby umarła, gdyby do czegoś między nami doszło.

- Wątpię, Clemmie.

- No, dobrze. Może trochę przesadzam. Ale to by ją zraniło. Ona jest moją najlepszą przyjaciółką.

Angel pociągnęła łyk kawy.

- Może byś mi opowiedziała, co się stało? Klementyna westchnęła.

- Przyjechałam tu na jego wernisaż - zaczęła, tłumiąc drżenie głosu. Opisała pokrótce uroki wieczoru - szampana, intelektualne rozmowy i egzotyczne przystawki. Wszyscy mężczyźni mieli na sobie smokingi, a kobiety wieczorowe suknie. Klementyna nigdy nie była na bardziej

eleganckim i wykwintnym przyjęciu, lecz mimo to ledwo zauważała, co dzieje się dokoła. Jak tylko przyjechali do galerii, Jackson podał jej ramię, by wprowadzić ją do środka. Przyjęła je z wahaniem, obawiając się, że lada chwila opadną ją wspomnienia albo poczuje mrowienie na skórze, ale nic takiego nie nastąpiło. Chwyciła go mocniej i ciągle nic się nie działo. Uśmiechnęła się do niego promiennie. To był nie tylko jego wielki dzień, ale także jej. Oboje odnieśli osobisty triumf.

- Miałam wrażenie, że śnię - powiedziała bardziej do siebie niż do matki. - Jakbym była w bajce, gdzie najprzystojniejszy książę w królestwie zabiera uroczą pannę na bal do króla.

Zamknęła oczy i znów poczuła dotyk jego skóry na swoim ciele, jego spojrzenie, łagodniejące na jej widok, i niesprawiedliwy pęd zegara, który od ósmej do północy gnał, jakby miał randkę i chciał przyspieszyć jej nadejście.

Wernisaż wypadł fantastycznie. Krytycy sztuki piali z zachwytu, obrazy kupowano na pniu, a Jackson był nieustannie oblegany przez zamożnych znawców malarstwa, którzy chcieli się dowiedzieć, jak szybko pracuje i co jeszcze ma do sprzedania. Klementyna spodziewała się dużego przeżycia. Od początku wiedziała, że Jackson jest utalentowany. Nie mogło być inaczej. Miał takie delikatne dłonie i takie żarliwe spojrzenie. Kiedy jednak weszła do galerii, głębia i piękno jego prac urzekły ją. Przełał na płótno całą swoją osobowość. Obrazy abstrakcyjne ukazywały niepokorną stronę jego duszy - to, co szalone, niekonwencjonalne, zuchwałe, zaś pejzaże - delikatną: pragnienie miłości, bezpieczeństwa i romantyzmu.

Szła od obrazu do obrazu, przyglądając się im w zachwycie i zastanawiając się, jakim cudem Megan odrzuciła jego malarstwo jako bezwartościowe. Szczególnie podobały się jej pejzaże. Częściej przedstawiały krajobrazy niż morze, co także odpowiadało gustom Klementyny. Udało mu się uchwycić spokój pierwszych promieni słonecznych przeświecających przez drzewa i melancholię zmierzchu. Zatrzymywał wrażenia chwili i przenosił je na płótno.

Chociaż spokojniejsze prace bardziej odpowiadały jej gustom, wszystkie zrobiły na niej wrażenie. Jackson był taki zachwycony jej reakcją, że czuła się jak matka, która właśnie umieściła na drzwiach lodówki dzieło sztuki swego synka - pierwszoklasisty.

Jej serce podbił jednak ostatni obraz, ustawiony w pewnej odległości od pozostałych.

Bez wątpienia przedstawiał kobietę. A przynajmniej tak początkowo myślała. Postać była namalowana odcieniami różu i bieli i miała zamglone kontury, przez co wydawała się zlewać z powietrzem. Jej włosy wyglądały na jasne, ale Klementyna nie była tego pewna. Wreszcie skierowała wzrok na oczy. Ich przejrzyste spojrzenie było tak znajome, że doznała olśnienia. Odwróciła się do Jacksona, który cały czas ją obserwował.

- Podoba ci się? - zapytał.

Przerzucała spojrzenie z niego na portret. Podziwiano już jej urodę, aktorstwo, technikę pozowania. Ale ten mężczyzna zabrał to, co w niej najważniejsze, jej duszę, i delikatnymi, pełnymi miłości pociągnięciami pędzla ją uwiecznił. Musnęła dłonią jego policzek. Tak łatwo było go dotknąć i tak przyjemnie.

- Kiedy? - zapytała. - Kiedy to namalowałeś? Przykrył ręką jej dłoń.

- Zaraz po tamtej nocy. Sądziłem, że wyrzucę cię z siebie za pomocą pędzla. Myliłem się.

Pokręciła głową, mruganiem powiek odpędzając łzy. Pojawiła się obok nich grupa kobiet. Spojrzały na obraz, a potem na Klementynę.

- No, skarbie - powiedziała jedna z nich. - Wygląda na to, że to pani była muzą.

Pozostałe spojrzały na nią jeszcze raz i przyznały rację kobiecie.

- O tak, rzeczywiście - odezwała się druga. - Świadomość, że on tak bardzo panią kocha, musi być czymś wspaniałym. To naprawdę jego najlepsza praca.

Klementyna zwróciła wzrok na Jacksona, gotowa wyjaśnić, że są tylko przyjaciółmi, ale patrzył na nią z takim napięciem, że nic nie powiedziała.

Porzuciła Jacksona tylko raz, żeby odszukać Donalda Lithgowa i upewnić się, że nikt inny nie kupi tego obrazu.

- Muszę go mieć - powiedziała zdecydowanym głosem. Lithgow spojrzał na nią zaintrygowany, po czym się uśmiechnął.

- Aha. Już rozumiem, dlaczego.

Skinęła głową, zaskoczona i zachwycona efektem, jaki Jacksonowi udało się osiągnąć - namalował postać tak tajemniczą, tak nierozpoznawalną. Oczywiście do chwili, gdy zobaczono Klementynę. Potem wszyscy twierdzili, iż od początku wiedzieli, że to ona.

- Proszę, panie Lithgow. Nie zniósłabym widoku tego obrazu w obcych rękach. Niech pan to zrozumie.

- Owszem, rozumiem. Mogę panią zapewnić, że przeszedłem gehennę, zanim udało mi się namówić Jacksona, żeby się z nim rozstał. Niestety nie zdawałem sobie sprawy, że portret ma modelkę. Już go sprzedałem.

- To proszę go odkupić - powiedziała głośno. - Zapłacę dwa razy więcej niż pan dostał.

Lithgow zmarszczył nos, jak zawsze, gdy w grę wchodziły pieniądze.

- Poszedł za grubszą sumę - powiedział.

- Nie szkodzi. Stać mnie na niego.

- Nabywca zapłacił dwanaście tysięcy. Jest pani w stanie kupić płótno za dwadzieścia cztery?

Wciągnęła powietrze i wyprostowała się. Pieniądze nie miały znaczenia. Skoro nie może mieć Jacksona, będzie przynajmniej mieć ten obraz.

- Tak.

- Wiedziałem, że to płótno osiągnie rekordową cenę, ale nigdy nie przypuszczałem, że aż taką. Załatwione. Muszę panią jednak uprzedzić, że zatrzymuję wszystkie obrazy jeszcze na miesiąc, żeby przyciągnąć uwagę nabywców, zanim Jackson namaluje więcej prac. Gzy to pani nie przeszkadza?

- Nie. Przyniosę czek jutro rano.

Odeszła. Po raz pierwszy, od kiedy zaczęła robić coś, co jej przyjaciółki nazywają „grubą forszą”, była pewna, że wydaje pieniądze na rzecz ważną. Dołączyła znów do Jacksona, wsuwając mu dłoń pod ramię tak naturalnym ruchem, jakby dotykała go już od lat. Śmieli się, rozmawiali, jedli i pili, a potem, zupełnie jak na balu Kopciuszka, wieczór się skończył, zanim się na dobre zaczął.

Jackson odwiózł ją do hotelu i zaparkował przy krawężniku. Kiedy wysiedli i stanęli w świetle latarni, zapytał, czy może wejść na górę.

- Nie, Jacksonie.

- Skoro nie chcesz mnie wpuścić, to kiedy się znowu zobaczymy? - Jackson usiłował zachować spokój, ale głos mu się łamał. Słyszając to, zbliżyła się.

- Nie gniewaj się, proszę cię - powiedziała. - To był cudowny wieczór. Nigdy nie widziałam wspanialszych płócien. Serio.

Uśmiechnął się.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Zawsze byłem pewna, że masz talent, ale nie myślałam, że aż taki. Szkoda, że nie wiedziałam wcześniej. Mogłabym ci pomóc. Mam

przyjaciół w świecie artystycznym. Zorganizowałabym jakąś wystawę, coś bym zrobiła.

Schwycił jej dłoń i podniósł do ust. Stał teraz tak blisko, że czuła jego zapach i ciepło jego ciała.

- Nie widzisz, co się ze mną dzieje? Potrząsnęła głową.

- Nie chcę tego widzieć. Nie mogę.

- Dlaczego?

Po policzkach popłynęły jej łzy.

- Jest aż za dużo powodów. Ale przede wszystkim straciłabym Megan.

Spojrzał na nią, jakby chciał się upewnić, czy mówi szczerze, a potem odsunął się i puścił jej rękę. Poczowała ból pustki w miejscu, gdzie jej dotykał.

- Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem - powiedział. - Jeśli przestaniesz udawać, że nikogo nie potrzebujesz, i wpuścisz mnie do swojego życia, stracisz Megan. A jeśli nadal będziesz się przyjaźnić z pocziwą, fantastyczną, kruchą jak porcelana Megan, to stracisz mnie. Czy tak?

Skinęła głową. Łzy spływały jej po policzkach i kapały na sukienkę.

Zbliżył się ponownie i szorstkim gestem wziął ją pod brodę. Podniósł jej twarz, zmuszając do spojrzenia mu w oczy. - I wybierasz Megan?

Zamknęła powieki, nie chcąc patrzeć w jego pełne goryczy oczy. Potrząsał nią tak długo, aż je znów otworzyła.

- Tak - szepnęła. - Wybieram Megan.

Zacisnął na brodzie Klementyny rękę, mokrą od jej łez.

- Dobrze. Wobec tego idź do diabła - powiedział, odpychając ją. Odwrócił się i bez słowa wskoczył do samochodu. Błyskawicznie zapalił silnik i zanim zdążyła złapać oddech, już go nie było.

Angel stała za Klementyną ze spuszczoną głową, obejmując ramionami płaczącą córkę.

- Próbowałam postąpić właściwie - powiedziała Klementyna. - Przez całe życie troszczyłam się tylko o siebie, o to, jak zdobyć sławę. Teraz chcę postępować właściwie.

Angel podała jej papierowy ręcznik i Klementyna wysmarkała nos. Kiedy przestała płakać, Angel usiadła naprzeciwko niej.

- Jak długo Megan będzie opłakiwać jego stratę?

- Nie wiem. Wiem tylko, że jeszcze jej nie przeboleła.

- Czy to znaczy, że dopóki tego nie zrobi, zamierzasz poświęcać swoje szczęście?

- Nie mogę jej zranić, mamó. Ona tyle przeszła.

- Wszyscy dużo przeszliśmy - powiedziała Angel z przekąsem.

Klementyna zauważyła, że na twarzy matki rozmnożyły się zmarszczki, jakby starzała się i kurczyła na samą myśl o procesach sądowych, w których brała udział.

- Powiedz mi - powiedziała Klementyna - jak długo po rozwodzie znów się zakochałaś?

Angel zeszywniała, a Klementyna odniosła wrażenie, że dostrzegła w jej oczach coś w rodzaju lęku, jakby znalazła się zbyt blisko prawdy. Angel wstała raptownie i podeszła do lodówki, skąd wyjęła główkę sałaty. Mówiąc, stała tyłem do Klementyny.

- To co innego - powiedziała.

- Dlaczego?

- Bo Duke był inny.

Klementyna wstała i oparła brodę o ramię matki.

- Wiem, mamó. Nie ma nic złego w tym, że wciąż go kochasz, przynajmniej troszeczkę.

Angel odwróciła się.

- Masz rację. Ciągle trochę kocham Duke'a. Zawsze będę go kochać. Ale Johna kocham bardziej. Jest moim mężem i daje mi szczęście. Megan też będzie szczęśliwa, bez względu na to, czy zwiążesz się z Jacksonem, czy też nie. To byłoby absurdalne, gdybyś miała zatrzymać własne życie w miejscu do czasu, gdy Megan dojdzie do ładu ze swoim. Nie bądź idiotką.

Klementyna odwróciła głowę.

- Próbuję nią nie być.

Rozdział 20

Kiedy zadzwonił dzwonek, Klementyna czytała w swoim salonie nowy scenariusz. Usłyszała gwizdanie, które brzmiało znajomo, choć od razu nie dawało się przypisać do osoby, i niewiele myśląc otworzyła drzwi.

W pierwszej chwili zakręciło się jej w głowie i musiała przytrzymać się framugi solidnych, dębowych drzwi, żeby utrzymać równowagę. Przed nią stał Duke. Miał na ustach swój blady uśmiech, był ubrany w sztruksy i podkoszulek. Tylko białe pasemka włosów uświadomiły jej, że od chwili, kiedy go ostatni raz widziała, minęły lata.

- Jesteś zaskoczona, co? - zapytał. Miał ten sam głos z zawsze wyczuwalną nutką ironii, jakby wszystko, co mówił, było fragmentem dowcipu, którego pointa tylko jemu jest znana.

- Tak, trochę - odparła, z wysiłkiem utrzymując się w pionie. Kłębiły się w niej sprzeczne emocje: radość, że go widzi, zaskoczenie, że przyszedł, i złość, że tak długo zwlekał. - Jak ci się udało minąć strażniczkę?

- Powiedziałem jej, że jestem twoim tatą. Miałem farta. Dziś pracuje taka śliczna, mała blondyneczka. Zjadłbym ją z butami.

Duke przemknął obok Klementyny, która zamknęła drzwi. Trochę się już uspokoiła, chociaż jeszcze nie odzyskała całkowitej równowagi. Od kiedy przestały przychodzić jego listy, robiła wszystko, żeby wyprzeć go z pamięci. Nie bardzo jej się to udawało, może tylko we śnie. Pogodziła się z myślą, że Duke nigdy jej nie odwiedzi z własnej inicjatywy. A jednak znalazł się tu, obracając wniwecz jej postanowienia, że o nim zapomni. Dlaczego takie jest życie? Dlaczego Klementyna musi dojść do kresu wytrzymałości, ponieść całkowitą porażkę, zanim zdarzy się to, czego pragnie?

- Chcesz coś do picia? - zapytała. Duke przechadzał się po pokoju, obrzucając wzrokiem meble i gobeliny.

- Napiłbym się piwa.

- Przykro mi. Nie mam piwa. Może być wino?

- Tak. Masz niezłą chatę, Ciem - otworzył drzwi balkonowe i stanął na skraju tarasu. W odległości pięćdziesięciu metrów uderzały o brzeg morskie fale. Klementyna przyniosła mu kieliszek wina i oparła się o balustradę za jego plecami.

- Jest w porządku - powiedziała.

- Musisz zarabiać kupę szmalu. Ile taki dom kosztuje? Milion?

- Dużo - odparła szorstko i usiadła na tarasie przy osłoniętym parasolem stole. Kiedy na niego patrzyła, wcale nie czuła się taka zdenerwowana ani przytłoczona, jak się spodziewała. Miała już za sobą pierwszy szok i teraz była po prostu ciekawa. Po co pojawił się po tak długim czasie?

- Widziałem „Wyrok skazujący” - powiedział, zerkając na nią. - Carol była zachwycona. Śmiała się i płakała jak głupia.

- Carol?

Duke roześmiał się i usiadł obok niej przy stole.

- Racja. Ty jej nie znasz. Zeszliśmy się jakiś rok temu. To ktoś dla mnie. Nie pozwala mi na wysoki, rozumiesz?

Klementyna skinęła głową. Z każdą sekundą czuła się coraz dziwniej. Od bardzo dawna marzyła o tym spotkaniu, wyobrażała sobie, że Duke siedzi dokładnie tam, gdzie teraz, a jednak nic się nie zgadzało. Owszem, był przystojny, ale nie tak oszałamiająco, jak w jej fantazjach. Za bardzo się stoczył. Siorbał wino. Nie mówił tego, co powinien, na przykład: „Klementyno, przepraszam, że nie skontaktowałem się z tobą wcześniej. Chciałem, ale bałem się, że będziesz rozgniewana”. Albo: „Wybacz mi, proszę. Chcę poznać cię na nowo”. Zamiast tego wlepił pożądlive spojrzenie w dziewczynę biegnącą po plaży i milczał.

- Co cię sprowadza? - zapytała w końcu Klementyna.

- Przechodzisz do rzeczy, jak widzę - znów się roześmiał i wziął haust wina. - Sikacz. Jak to wino. Damski napój. Ja jestem piwoszem. Zawsze byłem i zawsze będę. Widać, że nie mieszka tu facet. Żaden prawdziwy mężczyzna by nie wytrzymał, gdyby w lodówce nie znalazł przynajmniej jednego kartonu z sześcioma piwami.

- Do rzeczy.

- Rany. Myślałem, że się bardziej ucieszysz z mojej wizyty, Ciem. Nie widziałem cię od tamtego spotkania w barze, a i wtedy nie mieliśmy dużo czasu.

- Bo ty tak chciałeś.

- No, już. Nie złość się. Chcę, żeby teraz było tak, jak ty chcesz. Dlaczego mnie popędzasz?

- Nie popędzam cię - powiedziała z poczuciem winy. Najwyraźniej próbował się zachowywać, jak przystało na ojca. A nuż chciał po prostu spędzić z nią trochę czasu. Starzał się. Może zależało mu na tym, żeby poznać w końcu córkę, kiedy jeszcze ma na to jakieś szanse.

- Przepraszam - ciągnęła. - Po prostu się zdziwiłam, że cię widzę. To wszystko.

Skinał głową, usatysfakcjonowany.

- Przyleciałem dziś rano z Phoenix. Mieszkam tam od jakiegoś roku. Carol jest sekretarką i utrzymuje mnie, kiedy jestem bez roboty.

- A teraz jesteś bez roboty? - zapytała Klementyna. Zacisnęła pięści, przeczuwając, dokąd on zmierza.

- Niestety. Przez jakiś czas pracowałem na budowie, ale - co tu kryć - nie mam już dwudziestu jeden lat. Potem próbowałem załapać się w handlu nieruchomościami. Phoenix teraz kwitnie. Licho wie, dlaczego, bo to, cholera, najgorętsze miejsce na tej planecie. Latem ochładza się w nocy do dwudziestu siedmiu stopni, jeśli można to nazwać ochłodzeniem.

- I co, znalazłeś pracę?

- Eee. Nieruchomości to robota nie dla mnie. To za brutalne. Rozglądałem się za czymś innym, ale Carol, biedaczkę, zwolnili. Jej firma padła. Próbuje coś rzeźbić. Ona szuka pracy. Ja też. Ale rachunki trzeba płacić cały czas. I trzeba coś jeść.

- Więc przyszedłeś - wyszeptala Klementyna, wstając i ponownie podchodząc do balustrady. Skrajem plaży spacerował mężczyzna z psem.

- Co takiego?

- Powiedziała, że wobec tego przyszedłeś. Potrzebowałeś pieniędzy, więc przyszedłeś.

- Ej, to nie tak. Po prostu świetnie ci idzie i pomyślałem, że skoro jestem twoim ojcem...

Odwróciła się błyskawicznie.

- Jak śmiesz wykorzystywać swoje ojcostwo, żeby znowu wyciągnąć ode mnie pieniądze! Dałam ci tysiące dolarów, ale brakowało ci nawet przyzwoitości, żeby podziękować. Jak miałeś dość forsy, przerywałeś kontakt. Zawsze tak było. Dlaczego znowu mam przez to przechodzić? Nigdy nie byłeś dla mnie ojcem.

- Daj spokój. Nie bądź taka. Robię, co mogę. Przecież wiesz. Po prostu nie zostałem stworzony do życia rodzinnego. Nie potrafię założyć domu.

- Nigdy cię o to nie prosiłam. Chciałam tylko mieć własne miejsce w twoim życiu. To takie trudne napisać list?

- Wiesz, że nie najlepiej mi idzie pisanie.

- Szło ci świetnie, kiedy potrzebowałeś pieniędzy. Rozumiem, że nie chciałeś mieć rodziny i wolałeś wolność. Mogę się z tym pogodzić. Nie pojmuję jednak, jak mogłeś wykreślić mnie zupełnie ze swojego życia. Zostawiłeś mnie i mamę bez słowa pożegnania. Dzwoniłeś tylko wtedy, gdy doskwierały ci wyrzuty sumienia albo gdy czegoś potrzebowałeś.

W ogóle ci na nas nie zależało. Tak jest nadal. Udajesz, że cię obchodzę, kiedy chcesz pieniędzy.

Odwrócił wzrok. Była pewna, że chce zyskać na czasie, żeby obmyślić nowy atak. Nie była już na niego zła. Złość na Duke'a przypominała robienie wyrzutów ścianie: Klementynę cholernie denerwował brak odzewu. Teraz czuła się tylko zraniona, rozczarowana i poniżona, że ciągle nie potrafi powstrzymać się przed padaniem w objęcia mężczyzny, który jej nie chce.

Przez tyle lat nie traciła nadziei, że kiedyś odzyska to, czego - jak sądziła - jej brakuje. Teraz zrozumiała, że to niemożliwe. Duke nigdy nie będzie ojcem, jakiego pragnęła. Nie mógłby nim chyba zostać żaden człowiek. Chciała mężczyzny, który chroniłby ją przed bólem, kochał ją jak nikogo na świecie i był dumny z jej każdego osiągnięcia. Miał to być ktoś, kogo mogłaby podziwiać i szanować, dzięki komu przestałaby widzieć we wszystkich mężczyznach tamtego drania z Nowego Jorku. Pragnęła być obejmowana, przytulana, ceniona i uwielbiana. Kiedy jednak spojrzała na Duke'a, który był tylko zwykłym człowiekiem, może zbyt egoistycznym i leniwym, ale na pewno nie potworem, zrozumiała, że chce czegoś, co mogą dostać tylko niemowlaki. Niemowlaki, których najbliższy sukces jest przez rodziców uznawany za cud, a najzwyklejsza cecha za cechę doskonałą.

- Klementyno - powiedział Duke wstając. Wyciągnął do niej rękę, ale cofnęła się.

- Żadnych więcej pieniędzy - powiedziała zdecydowanym tonem. - Przykro mi, że ci ciężko, ale musisz sam sobie poradzić. Jeśli chcesz ode mnie tylko pieniędzy, możesz wyjść.

Otworzył usta i z powrotem je zamknął. Kiedy odwrócił się plecami, poczuła, że żołądek podchodzi jej do serca, jakby znalazła się w najwyższym punkcie wzniesienia kolejki w lunaparku i miała właśnie ruszyć w dół. Zechciej czegoś więcej, błagała bez słów. Zechciej mnie.

Zaczął się oddalać, niwecząc wszelkie jej nadzieje. To nie powinno aż tak boleć - pomyślała. Zawsze jej się wydawało, że jak będzie dorosła, osłabną lęki i smutki, albo przynajmniej będzie potrafiła lepiej z nimi walczyć. To nieprawda. Czuła raczej, że z wiekiem staje się bardziej krucha i mniej odporna na ciosy.

Zatrzymał się i obejrzał za siebie.

- Masz tyle wszystkiego, codziennie kapie ci nowa forsa i nie możesz mi nawet dać dychy? - powiedział rozgoryczonym tonem.

- Nie. Nie mogę.

- Jesteś samolubną suką, wiesz?

Odskoczyła, jakby dostała po twarzy. Ruszył do wyjścia, ale po chwili znów przystanął.

- A propos, jak tam twoja matka? - zapytał. Zaskoczona zmianą tonu Klementyna spojrzała na niego podejrzliwie.

- Dobrze. Powtórnie wyszła za mąż i jest szczęśliwa. Podniósł brwi, po czym się roześmiał.

- Więc to takich rzeczy ci naopowiadała. No, jasne. Angel nigdy nie potrafiła ścierpieć skandalu. Choćby najbardziej niewinnego. Musieliśmy nawet przeprowadzić się do innego miasta po twoim urodzeniu, żeby nikt się nie dowiedział. Ale zawsze myślałem, że kiedyś powie ci prawdę.

- O czym ty mówisz? - Owinęła ramiona wokół klatki piersiowej, czując chłód morskiej bryzy.

- Chroniłbym tajemnicę Angel do końca, gdybyś dała mi pieniądze. Ale skoro jesteś Panna Ważna i nie chcesz mieć już ze mną do czynienia, nie widzę powodu, dla którego miałbym ci nie powiedzieć.

- Powiedzieć, o czym? - zapytała zniecierpliwiona jego grą na zwłokę. Przez prawie dwadzieścia lat marzyła, by wrócił do jej życia, lecz nie minęło dziesięć minut, od kiedy to życzenie się spełniło, a już pragnęła, by zeń odszedł.

- Naprawdę myślałaś, że ożeniłem się z Angel? - zapytał. - Daj spokój. Sam pomysł, żebym w ogóle się ożenił, jest mało realny, a do tego jeszcze z tą kurą? Nie żartuj. Z tego wniosek, że chyba jesteś bękartem. Wiem, do cholery, że to niewiele znaczy w dzisiejszych czasach, a zwłaszcza tu, w tym trzepniętym Hollywood, ale i tak to ja będę się śmiać jako ostatni, nie uważasz?

Stała tyłem do niego i wpatrywała się w fale, aż jej oddech się uspokoił, a dłonie i ramiona przestały drżeć. Kiedy wreszcie ponownie się odwróciła, Duke'a już nie było.

* * *

Megan wierciła stopami w chłodnym piasku, patrząc na Joeya, który właśnie z pluskiem wynurzył się z fali i otrząsnął mokre włosy ruchem charakterystycznym dla nastoletnich surferów i psów. Ze śmiechem wybiegł z morza w białych, oblepiających szortach.

- Było fantastycznie - powiedział, chwytając swój ręcznik i wycierając twarz. - Nie uprawiałem surfingu ciałem od wieków.

- Wyglądałeś jak smarkacz - powiedziała. - A cały czas udawałeś, że nie jesteś ryzykantem.

Uśmiechała się, ale w jej głosie było jakieś napięcie. Joey wytarł ramiona i usiadł obok niej.

- Niczego nie udawałem, Megan.

Skinęła głową. Wiedziała, że mówi prawdę. Spojrzała przez ramię na dom. Wciąż wyglądał pusto. Klementyna nie powiedziała jasno, dokąd się wybiera tego dnia. Szczerze mówiąc, przez parę ostatnich dni zachowywała się dziwnie, była nerwowa i podrażniona. Megan czekała, że Klementyna powie jej w zaufaniu, o co chodzi, ale to nie nastąpiło. Od kiedy wymknęła się sześć miesięcy wcześniej na wernisaż Jacksona, właściwie w ogóle przestały się sobie zwierzać, jakby łączyły je tylko pozory przyjaźni, skrywające w gruncie rzeczy pustkę.

Wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Joeya. Była zimna, mokra i zapiaszczona.

- Nie siedźmy tak. Chodźmy do środka - powiedziała. Wrócili do domu i weszli przez drzwi balkonowe od strony tarasu. W salonie, gdzie dzięki automatycznej regulacji temperatura zawsze wynosiła dwadzieścia jeden stopni, było jak zawsze przyjemnie.

- Możesz się przebrać na piętze, a ja tymczasem zrobię kawę - powiedziała Megan. Kiedy zostawała sama, uciekała się do swego starego sposobu, polegającego na jak najmocniejszym zaciskaniu powiek. Chciała wymazać z pamięci wszystko - myśli, uczucia i wizje - lecz jej umysł galopował przed siebie, nic sobie z tego nie robiąc. Za każdym rogiem czaiła się twarz Jacksona. Była tam też twarz Klementyny, choć próbowała się ukrywać za drzewami i krzewami.

Kilka minut później Joey zszedł na dół ubrany w dżinsy i sweter. Uśmiechnęła się do niego. Jego atrakcyjny wygląd sprawiał Megan taką samą przyjemność, jaką budziłby w niej widok ładnego dziecka. Przez ostatni rok Joey ostatecznie odnalazł się we własnej skórze. Nie wyglądał już niezdarnie w garniturze, choć rzadko musiał go wkładać na zajęcia w szkole lub na lekcje fortepianu. Proste włosy, które zapuścił, ocierały mu się z tyłu o szyję, a z przodu spadały czupryną na czoło. Jego ubranie było zwykle trochę wymięte, jakby za wcześnie wyjął je z suszarki, a łagodne, czułe spojrzenie biegło ku niej zawsze, gdy potrzebowała jego uwagi, i odwracało się, gdy chciała być sama. Był teraz Joeyem w każdym calu. Po raz kolejny zadała sobie pytanie, dlaczego go nie kocha.

- Kawa już gotowa - powiedziała. Zniosła tacę z imbrykiem i filiżankami do salonu, a on poszedł za nią. Nalała im kawy i usiadła naprzeciwko niego na szerokim, nowoczesnym krześle białego koloru.

Joey spojrzął za okno, jak wszyscy, którzy przychodzili do tego domu. Ocean lśnił błękitem i bielą, a w pobliżu linii horyzontu płynął na północ, w kierunku Santa Barbara, statek badaczy obserwujących życie wielorybów.

- Chcesz o czymś porozmawiać? - zapytał, nadal unikając jej wzroku.

Pociągnęła łyk kawy, doszła do wniosku, że jest za gorąca, i odstawiła filiżankę na stół. Rozejrzała się po pokoju, zatrzymując przez sekundę albo dwie wzrok na meksykańskich makatach, kominku z białej cegły, nowoczesnych meblach w stylu śródziemnomorskim, po czym wreszcie zawiesiła spojrzenie na profilu Joeya. W całym domu on jeden sprawiał, że czuła się swobodnie.

- Ciagle o tym samym - odparła. Pokiwał głową i spojrzął na nią.

- No, tak. Pozwolisz, że streszczę sprawę. Ciagle cierpisz z powodu Jacksona i jesteś cholernie wściekła, że dopiero z fotografii w gazecie dowiedziałaś się, że Klementyna pojechała na ten wernisaż, bo sama cię nie uprzedziła. Alex dzwoni co tydzień, żeby się pochwalić, jak świetnie postępuje jej kariera. Klementyna właśnie dostała następną główną rolę. Ludzie traktują ją jak boginię, wrzeszczą na jej widok i awanturują się o autografy. A w tym wszystkim ty - poczciwa, przeciętna Megan. Czy wymieniałem z grubsza wszystko?

Uśmiechnęła się, wzruszona, że Joey potrafi przedstawić przerastające ją problemy w taki sposób, że wydają się śmieszne, nie warte uwagi.

- Tak, wszystko.

Pociągnął łyk kawy i oparł się o pluszową kanapę.

- Czy ci kiedyś mówiłem, jakie uczucia budziła we mnie Alex, gdy byłem mały?

Potrząsnęła głową.

- Nie tak szczegółowo, jak chciałabym usłyszeć.

- Czasami jej nienawidziłem - powiedział, wpatrując się w jakiś punkt tuż ponad głową Megan. - Nienawidziłem jej za urodę i za wesołość. Za odwagę. Bałem się jak diabli, że poniosę klęskę, że się skaleczę, że odejdę za daleko od domu, i właśnie wtedy przemykała obok mnie Alex, z zamkniętymi oczami, nie patrząc nawet, dokąd pędzi. Nie obchodziło jej ani trochę, czym to się skończy.

- Alex jest niesamowita - wyszeptała Megan.

Joey wyciągnął do niej rękę. Przysiadła się do niego na kanapę.

- Ty też żyłaś w jej cieniu - powiedział. - A potem po jawiła się Klementyna - silna, energiczna, z zapierającą dech w piersiach urodą. Miałaś wrażenie, że ze wszystkich stron sypią się na ciebie ciosy, że odebrano ci ostatnie cząstki twojej osoby, które uważałaś za wyjątkowe.

- Ale to moje najlepsze przyjaciółki - powiedziała. - Kocham je. Nienawidzę siebie za to, że źle im życzę.

- Oczywiście. Ja też kocham Alex. Kocham ją całym sercem. Zrozumiałem jednak, że aby móc siebie zaakceptować i być dumnym z własnych osiągnięć, muszę znaleźć w sobie coś niezwykłego, coś, co mnie wyróżnia. Alex i ja to dwa różne światy, ale ja też potrzebowałem zainteresowania, choćby miało się ono na mnie skupić tylko przez minutę czy dwie.

- I znalazłeś muzykę - powiedziała Megan.

- Tak, znalazłem muzykę. I nagle przestało się tak bardzo liczyć, że Alex jest inteligentniejsza, ma więcej przyjaciół albo potrafi wszystkich rozśmieszyć. Bo ludzie patrząc na mnie, mówią: „Ach, tak. To Joey Holmes. Ten, który gra na fortepianie”. Mam coś własnego.

- To wspaniałe, Joey - powiedziała Megan. Oparła się o poduchy, które były tak miękkie, że miała wrażenie, iż ją pochłoną. - Nie wiem jednak, dlaczego to miałyby mi pomóc.

- Musisz się skoncentrować na tym, co w tobie wyjątkowe, zamiast żyć w cieniu błyskotliwej kariery Alex albo urody i sławy Klementyny.

Wstała i podeszła do kominka, po czym nagle się odwróciła.

- A co ja takiego mam? Żyję w tym mauzoleum, bo Klementyna je kupiła, a ja jestem zbyt tchórzliwa, żeby mieszkać samodzielnie. Pracuję w butik, za którym, nawiasem mówiąc, przepadam, ale wszyscy uważają, że powinnam osiągnąć coś więcej - wygryźć szefa, otworzyć własny sklep albo coś podobnego. Nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, że to, co robię, może mnie uszczęśliwiać. Nikt nie pomyśli, że mogę chcieć czegoś innego niż oni.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Joey pochylił się do przodu.

- A czego chcesz?

Opuściła wzrok na swoje dłonie, które były zaciśnięte w pięści. Rozluźniła je i oparła się o chłodną ścianę.

- Wiem, że nie chcę tego - powiedziała, zakreślając ręką łuk po pokoju. - Nie chcę wymuskanego domu na plaży. Nie mogę tu nawet przejść ulicą i nie przejmować się dziurą w dresie albo potarganymi włosami.

Roześmiał się, a Megan ponownie usiadła na kanapie.

- Nie zależy mi na szybkiej karierze, jaką robi Alex. Choćby nie wiem co opowiadała, ja i tak wiem, że nie zawsze jest szczęśliwa. Ma przecież oczy. Widzi nocą pustą poduszkę. Wcale tak nie szaleje za samotnymi wyprawami do kina i gotowaniem obiadów dla jednej osoby. Nie chcę też sławy, której pragnie Klementyna. Ma wszystko, co można dostać za pieniądze, a jednak słyszę, że płacze nocami jak ja, bo jest tak samo samotna.

Oparła głowę o ramię Joeya. Uspokoiła się, czując znajomy zarys kości, zapach Joeya i jego miękkiej, wełnianej sweter. Zamknęła oczy.

- Chyba po prostu chcę szczęśliwie żyć. Chcę znów wyjść za mąż. Chcę męża, który będzie kochał przede wszystkim mnie, a dopiero potem inne rzeczy. Chcę mieć dzieci. Chcę chodzić na wywiadówki, szykować torebki ze śniadaniem i jeździć furgonetką. Chcę wędrownych obozów, lemoniady i harcerzy. Żadna z tych rzeczy nie sprawi, że stanę się niepowtarzalna.

Otoczył ją ramieniem i przytulił.

- I tu się mylisz, Meg - wyszeptał. - Właśnie dzięki temu jesteś wyjątkowa. Rozmawiając o Alex ludzie mówią „spec od finansów”. Klementynę określają jako „tę sławną”. Ale kiedy rzecz dotyczy ciebie, mawiają „Megan, kobieta, która wie, co jest naprawdę ważne”.

Uśmiechnęła się i podniosła na niego wzrok. W oczach Joeya była tkliwość. Czuła jego oddech na swoim policzku. Nigdy przedtem nie była tak blisko, a jeśli, to na krótką chwilę, kiedy zbliżała się, żeby go obdarzyć niewinnym całusem. Teraz jednak siedział tuż przy niej, a ona nie czuła nawet cienia strachu. Nie było też dzikiego walenia serca, które nawiedzało ją przy Tonym i Jacksonie, ale wątpiła, czy kiedykolwiek zechce go znów doświadczyć. Sięgnęła dłonią do jego policzka.

- Pocałuj mnie Joey. Proszę cię.

Uśmiechnął się i dotknął wargami jej warg. Przestał istnieć cały świat z wyjątkiem jego czułości, która goiła otwartą ranę w jej sercu.

* * *

W tym samym czasie Klementyna siedziała w kącie małego pokoju, w pewnej odległości od grupy kobiet, w chustce na głowie i w ciemnych okularach zakrywających twarz. Uciskała ramionami brzuch, walcząc z uczuciem mdłości. Słuchając mówiących kobiet, drżała jak osika.

- Z tego wszystkiego najgorszy był proces - powiedziała kobieta o imieniu Margie. - Policjanci nie mieli pojęcia, co ja czuję. Jeden z nich

rzucił nawet uwagę na temat mojego ubioru, jakby to, co miałam na sobie, miało cokolwiek do rzeczy.

- Oni gwałcą jeszcze raz - odezwała się Sandy, nastoletnia dziewczyna. - Wsadzają ci do środka jakieś przyrządy, żeby się upewnić, że mówisz prawdę. Zadają takie pytania, jakby chcieli złapać cię na kłamstwie, jakbyś to ty popełniła przestępstwo.

- Nie zawsze tak jest - powiedziała doktor Levinson. Była terapeutką grupy. To właśnie do niej Klementyna zadzwoniła trzy dni wcześniej. Nie podała jej swojego nazwiska, obawiając się przecieku do prasy. Nie powiedziała o niczym nawet Megan. Nie z obawy, że Megan nie zrozumie, lecz raczej dlatego, że wstydziła się, iż po tylu latach wciąż nie może dojść do siebie po tym gwałcie.

Zadzwoniła zapłakana. Była późna noc, a wspomnienia najsilniej dają o sobie znać właśnie wtedy. Kiedy znów przeniosły ją na tamtą uliczkę, pomyślała, że jeszcze jedna sekunda tego cierpienia i zwariuje. Miała wrażenie, że co noc prześladowuje ją jej własny umysł.

Zobaczyła numer telefonu pewnego wieczoru w telewizji, podczas reklamy oddziału Ośrodka Ofiar Gwałtu w Los Angeles. Zapisując go, czuła się głupio. Była przekonana, że nigdy tam nie zadzwoni. Stało się inaczej. Doszła do kresu wytrzymałości. Przyszło jej do głowy, że być może miało to związek z ostatnią wizytą Duke'a, gdy ostatecznie rozwiał uporczywą nadzieję Klementyny, że jest mężczyzną z jej dziecięcych fantazji, mężczyzną, który pokona za nią jej demony. Zapytała doktor Levinson, w jaki sposób Ośrodek mógłby jej pomóc, a ona zaproponowała udział w grupowych zajęciach terapeutycznych.

- Nasza grupa ofiar gwałtu ma swoje zasługi w tej dziedzinie - powiedziała pani doktor zebranim kobietom. - Pomagamy policjantom zrozumieć, jakie to dramatyczne przeżycie. Same natomiast musimy brać pod uwagę, że mężczyźni wychodzą z innego punktu widzenia. Większość z nich nie potrafi sobie nawet wyobrazić gwałtu. Nie mają pojęcia, co to takiego. Ciągłe im się wydaje, że skoro ma to coś wspólnego z seksem, to nie może być takie przykre.

Wejście do Ośrodka było dla Klementyny jednym z najcięższych doświadczeń w życiu. Kiedy pierwsza kobieta wstała i opowiedziała swoją historię, miała ochotę odwrócić się i uciec. Świadomość, że gwałt jest tak powszechny, nie sprawiała jej satysfakcji ani jej nie pocieszała. Nie chciała należeć do tej grupy. Pragnęła być osobą z zewnątrz, normalną kobietą, w której przeszłości nie ma żadnych demonów.

Mimo to została. Naciągnęła mocniej chustkę na głowę i słuchała. Nikt jej nie przeszkadzał. Nikt nie kazał jej wstać. Wszyscy zdawali się rozumieć jej potrzebę anonimowości.

Podniosła się kolejna kobieta.

- Nazywam się Karen - powiedziała. - Zostałam zgwałcona przez swojego męża.

Klementyna rozplakała się. Łkała cicho, żeby kobieta mogła skończyć swoją opowieść. Płakała nad sobą i nad wszystkimi obecnymi tu kobietami. Płakała nad utraconymi latami, latami bez wzajemnych pieszczot i uprawiania miłości. Płakała nad niewinnością, której żadna z nich nigdy już nie odzyska.

Karen skończyła mówić, ale nie zajęła swojego miejsca. Przeszła między siedzącymi kobietami i podeszła do Klementyny. Usiadła na krześle obok niej i wzięła ją za rękę.

- Ty też możesz mówić - powiedziała. - Tutaj wolno ci opowiedzieć wszystko.

Klementyna załkała głośniej. O tym, co ją spotkało, powiedziała Megan, Alex i Arturowi, ale żadne z tych wyznań nie osłabiło jej poczucia winy i przerażenia. Ten gwałt ciągle był jej intymnym koszmarem. Nadal zżerał ją od środka.

Rozejrzała się po pokoju. Okulary zniekształcały obraz, ale dojrzała ciepło w spojrzeniu tej kobiety i wszystkich innych, które nie patrzyły jej prosto w oczy, okazując, że szanują jej prywatność.

- Chyba nie potrafię - odparła.

- To nie szkodzi - powiedziała doktor Levinson, podchodząc do niej z drugiej strony. - Rób to, na co masz ochotę. Tu nie ma mowy o przymusie.

Tylko że przymus istniał. Klementyna czuła, jak pulsuje wewnątrz jej głowy, jak ją błaga, by go z siebie wyrzuciła. Bardzo chciała odezwać się, wypluć ten straszliwy spadek, który ON po sobie zostawił, i wreszcie się odeń uwolnić.

Podniosła się na trzęsących nogach, a Karen stanęła obok. Wzięła Klementynę za rękę i zaprowadziła ją przed grupę kobiet. Po chwili odeszła, zostawiając Klementynę samą.

Klementyna przebiegła wzrokiem po twarzach zebranych. Wszystkie były jej lustrzanymi odbiciami, piękne, lecz tragiczne, naznaczone wewnętrzną blizną. Łzy wciąż ciekły jej po policzkach.

Doktor Levinson zbliżyła się i stanęła u boku Klementyny. A wtedy wstały również wszystkie pozostałe kobiety, podeszły i zaczęły ją dotykać

delikatnymi, bezpiecznymi dłońmi, jakby umiały czytać w jej myślach i rozumiały poczucie izolacji, które ją prześladowało od JEGO czasu. Zbliżyły się i utworzyły wokół niej pancierz. Słyszała, że one też płaczą.

- To było tak dawno - powiedziała - że nie powinno już mieć znaczenia.

- Ma znaczenie - odezwała się doktor Levinson. - I to ogromne.

- O, Boże - Klementyna miała wrażenie, że nie może oddychać, że z pokoju ulotniło się całe powietrze. Ramiona, które ją coraz mocniej obejmowały, niosły jednak ze sobą tlen. Wzięła głęboki oddech.

W wyobraźni odwróciła się i spostrzegła JEGO twarz. Poczowała nawet JEGO zapach. Chciała uciec, ale zastygła w miejscu. Dotykał jej, ranił ją nożem i gwałcił, a ona nie mogła się poruszyć. Zawołała o pomoc. Wydawało jej się, że przeżywa wszystko od nowa. Wspomnienia były tak silne, że miała wrażenie, iż została zgwałcona nie raz, lecz tysiące razy.

- Zgwałcił mnie - powiedziała. Podniosła oczy pełne łez. Otaczały ją wszystkie kobiety. Ich wilgotne oczy mówiły, że wiedzą. Wszystkie były z nią w tamtej uliczce. Tego nie mogły jej ofiarować nawet Megan i Alex. - Zgwałcił mnie - powtarzała raz za razem. - Zgwałcił mnie. Zgwałcił.

Czuła na sobie JEGO ręce, te zimne, obrzydliwe ręce. Czuła wilgotność ziemi pod plecami, ostry ból w głowie, którą waliła o beton, i wdzierający się w nią JEGO penis.

- Zabrał mi życie - powiedziała. - Zabrał mi całą odwagę. Przez niego stałam się słaba i mała.

Łkała, obejmowana przez kobiety.

- To było w Nowym Jorku, w starym budynku. Zeszłam po schodach na dół i ON tam był. - Opowiedziała swoją historię, nie opuszczając żadnego szczegółu mimo lęku przed odrzuceniem. Żadna się nie odwróciła. Ciągle czuła na sobie JEGO ręce, lecz pod koniec uścisk zelżał i ich miejsce zajęły kobiece dłonie, które przyniosły jej ulgę.

Podniosła głowę.

- Zostałam zgwałcona - powiedziała.

Doktor Levinson stanęła naprzeciwko Klementyny i wzięła ją pod brodę.

- Tak, zostałam zgwałcona. On ci to zrobił. Byłaś jego ofiarą. Nie uczyniłaś nic złego.

Klementyna złożyła głowę na ramieniu terapeutki. Czuła się wyczerpana i pusta. Pani doktor odprowadziła ją na miejsce i posadziła na krześle. Kobiety nie odstępowały jej, otaczając ciepłem.

- Mój też był w uliczce - odezwała się jedna.

- A mnie zranił nożem, tak samo jak ciebie - powiedziała inna.

- Ja też nie poszłam na policję - odezwała się trzecia. - Wiedziałam, że nigdy by go nie znaleźli.

Klementyna spojrzała na nie. Wciąż miała policzki mokre od łez, ale już się uśmiechała. Po raz pierwszy od długiego czasu naprawdę się uśmiechała.

* * *

Alex próbowała już katalogować akta według alfabetu, za pomocą systemu kolorowych teczek, a parę razy nawet parapsychologii. Nic nie zdało egzaminu. Doszło do tego, że absolwentka szkoły wyższej z tytułem magistra zarządzania, kierująca dwoma biurami maklerskimi, w Londynie i w San Francisco, nie mogła dać sobie rady z tak prostym zadaniem, jak odszukanie odpowiednich akt w momencie, gdy ich potrzebuje. Ale czyż tacy geniusze jak Einstein i Edison nie stawali się bezradni i nieudolni wobec prozaicznych problemów? Była to pocieszająca myśl.

Odsunęła papiery na bok i wezwała sekretarkę, polecając jej sprzątnięcie całego bałaganu. Była tak zajęta przygotowaniami do czekającej ją w przyszłym tygodniu corocznej wizyty w mieście mgły, że nie potrzebowała dodatkowego zmartwienia w postaci papierkowej roboty. Właściwie od kiedy skończyła się ta koszmarna historia z Brentem i zdołała przynajmniej częściowo dojść do siebie, czuła się w Anglii znacznie lepiej. Przez ostatnich parę lat zdobyła prawie tuzin dobrych przyjaciół i bardziej przywykła do półrocznych pobytów w Londynie.

To, że od niedawna dobrze się czuła w tym mieście, zawdzięczała przede wszystkim Kate Bradshaw. Kate była ciepła, dowcipna i mogły we dwie rozmawiać o wszystkim. Alex opowiedziała jej o Brennie nawet więcej niż ujawniła w zwierzeniach Megan i Klementynie. Kate należała do osób, które umieją słuchać nie dając rad - okazywać współczucie, lecz nie litość.

W każdy weekend Kate oprowadzała ją po takich zakątkach miasta, o jakich wiedzą tylko miejscowi, i wywoziła w nieskażony plener. Jakiś czas trwało, zanim Alex zaczęła w końcu gustować w angielskich smaczkach: w pompatyczności i tradycji Londynu, w niewyszukanych objawach sympatii ze strony marynarzy w Devon, w historii, która kryła się w każdym niemal kamieniu. To miasto w niczym nie przypominało podobnych do siebie jak kropla wody i nie nawiedzanych przez żadne duchy miniaturowych sklepów spożywczych i rozlazłych willi w Kaliforni. W tym roku miała nawet bilety na Wimbledon.

Przede wszystkim jednak pobyt w Londynie cieszył ją dlatego, że czuła przyływ adrenaliny za każdym razem, gdy wchodziła do biura. Zaczęła od zera - żadnych własnych klientów, żadnych kontaktów w biurze z pozostałymi pracownikami, którym ledwo udawało się dociągnąć do następnego miesiąca bez długów, a mimo to wyrobiła nazwisko sobie i firmie. To była jej zasługa. Brent dał jej piłkę, ale biegła z nią sama. Przy pomocy specjalistów od reklamy postarała się o nowe, chwytliwe logo i slogan. Wybrała miejsce na nowe biuro - w centrum, w wiktoriańskiej kamienicy, która była zdumiewająco nowoczesnie urządzona - i dopilnowała, by dekorator wewnątrz użył farb i materiałów w neutralnych kolorach oraz wstawił szykowne meble z wiśniowego drewna. Gruntownie przeszkoliła wszystkich bez wyjątku maklerów, aż dowiedziała się, że za jej plecami nazywają ją poganiaczką niewolników. Wabiła wreszcie, ponaglała i kusila pochlebstwami wszystkich klientów Rock Solid, podejmując ich wystawnymi kolacjami tak długo, aż firma stała się znana z miłej obsługi oraz trafnych, dochodowych inwestycji i Alex wyręczyła fama o firmie.

Tak, to ona tego dokonała. Była w szczytowym punkcie swojej kariery. Minęło dwa i pół roku, od kiedy Brent pojawił się w jej życiu prywatnym, by potem odejść. Miała wrażenie, że od tamtych dni upłynęły wieki, choć ich wspomnienie było w niej tak żywe jak poranne wiadomości. Leczyła złamane serce jedynym znanym sobie sposobem - pracą. Przychodziła do biura wcześniej i wracała do domu późno. Zapełniała weekendy papierkową robotą. Chciałaby móc o sobie powiedzieć, że zawsze była albo zbyt zajęta, albo zbyt zmęczona, żeby o nim myśleć, ale to nie była prawda. Kiedy tylko miała wolną chwilę, wkradał się do jej myśli.

Nie osiągnęła jeszcze spokoju. W każdym razie niezupełnie. Owszem, mogła znów się śmiać i od czasu do czasu przyjemnie spędzać czas. Ale za rogiem zawsze czaiła się ciemność, a z jej uśmiechu nie znikwała nuta melancholii. Nawet gdy po obudzeniu się Brent nie przychodził jej od razu na myśl lub gdy znajdowała innych mężczyzn - takich, którzy rozpalali jej ciało, lecz nie przenikali duszy - nie była już dawną Alex. Przez moment zobaczyła, czym może być miłość, i ta wizja ją prześladowała. Próbowwała dawnym sposobem zatrasnąć ból w szczelnym pojemniku, do którego nie miała dostępu, ale pamięć o Brencie była silniejsza.

Mimo to żyła dalej, skupiając się na tym, w czym jest dobra, czyli na pracy. Przynajmniej w ciągu dnia była w stanie wyprzeć Brenta ze swego umysłu. Dick Collins, obecny wiceprezes, miał wkrótce przejść na

emeryturę i Alex przypuszczała, że mimo tego, co zaszło, Brent da jej to stanowisko. Zasługiwała na nie. A Brent nie był człowiekiem, który pozwoliłby sobie na mieszanie życia prywatnego do interesów.

Sekretarka wróciła z opisem zmian wytycznych dla pracowników, które chciał wprowadzić Brent, oraz partią najnowszej, grubej na parę centymetrów analizy notowań giełdowych. Alex podziękowała i natychmiast wyszukała dane dotyczące akcji europejskich. Mencol Pharmaceuticals wciąż piał się w górę, tak jak przewidywała. Jej klienci będą zadowoleni. Bradbury and Sons spadł o kolejny punkt, ale była pewna, że to tylko chwilowa zniżka, która zakończy się, jak tylko przebiegną informacje o przejęciu Eurotechu.

Zabrzączał intercom i Alex podniosła słuchawkę.

- Pani Waterdell chce się z panią widzieć. Alex podniosła oczy do nieba. Znowu.

- Dobrze. Proszę ją wpuścić.

W chwilę później weszła, kołysząc biodrami, Maxine. Była ubrana wyłącznie w wąską granatową spódnicę i obcisły biały sweter. Paznokcie, dziesięć małych sztyletów, miała jak zwykle pomalowane na czerwono, a jej obwiedzione czarną kredką oczy przywodziły Alex na myśl Kleopatę lub szopa.

- Słucham, Maxine. W czym mogę ci pomóc?

Maxine usiadła naprzeciwko niej na krześle. Bez pośpiechu założyła nogę na nogę i obciągnęła rękawy swetra, zanim wreszcie się odezwała.

- Słyszę, że znów jedziesz do Londynu - powiedziała w końcu. Alex przyszło do głowy, że jej uwodzicielski ton pasuje do starego filmu, a nie do sali obrad zarządu. Po raz kolejny zadała sobie pytanie, co skłania Brenta do dalszego zatrudniania Maxine, jeśli nie liczyć jej talentu do interesów.

- Zawsze o tej porze roku jadę do Londynu, Maxine. Chyba zauważyłaś.

Maxine wepchnęła prosty kosmyk włosów za ucho. - Oczywiście. Oczywiście. A czy Brent... To znaczy pan Gibbons leci z tobą?

- Nie. Nie sądzę. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Po prostu jestem ciekawa - Maxine przysunęła się do biurka i zaczęła obracać w dłoni należący do Alex kryształowy przycisk do papierów. Czy jej się nigdy nie znudzą te podjazdy - zadała sobie pytanie Alex. Ta scena była jak z komiksu o walce dobrych i złych potęg - przerysowanego i przesadzonego - w którym królowa zła szydzi ze swej ofiary, by po niezapomnianej kwestii końcowej wybiec pędem, każąc

czytelnikowi ślinić się do następnego dnia w oczekiwaniu na zakończenie. Tyle tylko, że Alex nie pozwalała z siebie szydzić. I to doprowadzało Maxine do szału.

- To wszystko? - zapytała Alex. - Bo mam dużo pracy.

- Jeszcze tylko jedno - powiedziała Maxine, wstając. - Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć, że Dick Collins ogłosił dzisiaj swoje przejście na emeryturę. Kończy pracę za sześć miesięcy. A mnie powiedziano w największym zaufaniu, że jestem odpowiednią osobą, by objąć jego stanowisko.

- Chyba żartujesz - powiedziała Alex i zapominając o złożonym sobie przyrzeczeniu, że zachowa opanowanie, skoczyła na równe nogi. - Brent nigdy by ci nie powierzył stanowiska wiceprezesa. Miejsce Dicka mogą zająć tylko ja.

Maxine odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. Ta gra bawiła ją dużo bardziej, gdy Alex była aktywnym zawodnikiem.

- O mój Boże! Jesteśmy troszkę zazdrosne, prawda? Skoro już o tym mowa, Alexandre, to ja robiłam najlepsze lokaty w tym przedsiębiorstwie, kiedy ty jeździłaś na swoje wycieczki do Anglii. Pracuję tu dłużej i ciężiej niż ty, wobec czego zasłałam dalej. Naprawdę przeceniasz swoje zdolności.

Alex podeszła do okna i próbowała się uspokoić. Nic jej to nie da, jeśli straci panowanie nad sobą. Poza tym Maxine tylko blefuje. Odwróciła się.

- Nie pozostaje nam nic innego, jak poczekać i zobaczyć, jaką decyzję podejmie Brent.

- Tak, chyba tak. Ale czy to nie przykre, że ty będziesz aż w Londynie, podczas gdy ja tutaj, codziennie z Brentem?

Maxine wypowiadała te słowa powoli, drwiącym tonem.

- Posłuchaj, Maxine, możesz wprawiać się na Brencie w swych kobiecych podstępach, ile dusza zapagnie. Tą drogą nie zdobędziesz stanowiska. On nigdy nie pozwala, by życie prywatne wpływało na jego sprawy zawodowe. I wiem z całą pewnością, że nie opuści swojej żony ani dla ciebie, ani dla nikogo innego.

Maxine otworzyła szeroko oczy i ponownie wybuchnęła śmiechem.

- Jak to możliwe, że jeszcze nie wiesz? Zabawne, ale myślałam, że jesteście ze sobą bliżej. Mnie Brent powiedział o tym już rano.

- O czym?

- Oczywiście o tym, że są z Carlotta w separacji. Wystąpili o rozwód wieki temu. Za trzy miesiące powinno być po wszystkim.

Alex zamurowało. Nie czuła nic, żadnego zdziwienia, oburzenia ani złości. Po prostu absolutną pustkę. Po chwili, zupełnie jakby jej życie przeistoczyło się w scenariusz opery mydlanej dla dorosłych, otworzyły się drzwi i wszedł Brent. Od bardzo dawna nie przychodził do jej gabinetu. Unikał jej tak samo, jak ona unikała jego. Przekazywała mu wiadomości poprzez notatki i sekretarki. Przywodziło jej to na myśl dawne, dziecięce kłótnie z Megan.

Kiedy spojrzała teraz na niego, zauważyła, że zmarszczki wokół oczu i ust ma wyraźniejsze niż pamiętała, był jednak opalony i wyglądał zdrowo. Dokładnie tak samo, jak w chwili, gdy opuścił jej londyńskie mieszkanie. Niespodziewaną falą uderzyły jej do głowy emocje. Ciągle go kochała. Jak to możliwe, że po tym wszystkim ciągle go kochała? Co za niewiarygodnie głupie uczucie. Myśli w głowie wirowały jej jak płyta na szybkich obrotach. Byli z Carlotta w separacji. Separacji. Separacji...

- Tutaj jesteś - powiedział, zwracając się nie do niej, lecz do Maxine. Uśmiechnął się do niej w taki sam sposób, jak kiedyś do Alex, której serce zamarło. Nie. Tylko nie to.

- Możemy już iść na lunch? - zapytał.

- Oczywiście, Brencie - odparła Maxine. - Przyszłam tylko życzyć Alex bezpiecznego lotu.

- Ach, prawda - powiedział Brent. - Prawie zapomniałem. Ale Alex jest tak kompetentna, że nie muszę się o nic martwić, gdy mam ją w biurze.

Posłał jej krótki uśmiech, w którym nie było cienia intymności, po czym ruszyli we dwoje w kierunku drzwi.

- Brencie - odezwała się Alex. Musiała go zatrzymać, musiała coś powiedzieć. Odwrócił się i ich oczy się spotkały. Zrozumiała natychmiast, że zniknęło pożądanie, które niegdyś do niej czuł. W jego oczach był spokój i chłód. Żadna obelga nie zraniłaby jej bardziej niż to spojrzenie. Przez tyle czasu ludziła się, że ma nad nim przewagę. Nie minęło jednak nawet pięć minut, a zwrócił ją do bloków startowych.

- Słucham.

Znalazła w sobie dość odwagi.

- Maxine mówi, że rozwodzie się z Carlotta. Chcę powiedzieć, że bardzo mi przykro.

Nie była tego pewna, ale odniosła wrażenie, że na chwilę stracił tupet i zgarbił się. Kiedy się odezwał, był już jednak znowu pewien siebie.

- Dziękuję. To nie było łatwe.

- Przypuszczam, szczególnie dla Petera.

Maxine ciągnęła go za ramię, ale Brent nie spuszczał wzroku z Alex. W tym momencie stało się dla niej jasne, że jest między nimi wiele nie dopowiedzianych kwestii. Zostało tyle nie dokończonych spraw, że miała wątpliwości, czy kiedykolwiek je załatwią. Jakie to niesprawiedliwe, że życie tak się plecie, że nie ma finałów, w których wszystkie wolne końce liny zostają zabezpieczone węzłem, jak w kinie. W życiu strzępi się zbyt wiele lin.

Przyszło jej do głowy, że może się na nią rozżłościć za wtrącanie nosa do nie swoich spraw, ale on odezwał się łagodnym tonem.

- Niedawno zdałem sobie sprawę, że nie mogę żyć tylko dla swojego syna. Ma dwadzieścia lat i studiuje. Wiem, że to go zmartwi, ale nie zrukuje mu życia. Myślę, że zniszczyłbym swoje, zostając z kobietą, której nie kocham.

- Umieram z głodu - powiedziała Maxine, stając w drzwiach i psując atmosferę rozmowy. Brent skinął głową i ruszył za nią. Odwrócił się jednak jeszcze raz, kiedy Maxine znalazła się poza zasięgiem jego głosu.

- Wtedy nie mogłem od niej odejść - powiedział, próbując uchwycić spojrzenie Alex. - Wydawało mi się, że jestem to winien Peterowi. Ja...

Potrząsnęła głową, z największym wysiłkiem opanowując drżenie ciała. Nienawidziła go i kochała tak mocno, że przez chwilę te dwa uczucia zlały się w jedno.

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć - powiedziała łamiącym się głosem. - To nie dla mnie ją opuszczasz.

Mobilizując resztki siły woli, odwróciła się do niego plecami. W chwilę później rozległ się trzask zamykanych drzwi. Alex pochyliła się do przodu, zaciskając ręce na brzuchu, jakby wylądował tam właśnie mistrzowski cios Brenta. Kiedy była z nim w Londynie, czuła się młoda i niedoświadczona. Teraz miała wrażenie, że jest niewiarygodnie stara. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Nie potrafiła już płakać. Wypłakała wszystkie łzy w ciągu tych miesięcy, które upłynęły od chwili, gdy odszedł. To było jeszcze gorsze - ta pustka i brak nadziei. Wszystko, co mogła zrobić, miało tak niewielkie znaczenie. Nie mogła zmusić go, żeby ją znów pokochał. Nie mogła cofnąć czasu. Nie potrafiła też pokochać nikogo innego - Brent rozpieścił ją przez to, że był ideałem z jej marzeń.

Kilka minut później zobaczyła, jak jego samochód wyjeżdża z podziemnego parkingu. Dwoje pasażerów siedziało wewnątrz zdecydowanie zbyt blisko siebie, by można ich było uznać tylko za współpracowników.

Alex odwróciła się błyskawicznie, jakby ktoś jednym pstryknięciem włączył jej emocje. Schwyciła przedmiot, który miała pod ręką - kryształowy przycisk do papierów, dotykany przez obleśne dłonie Maxine - i cisnęła nim o ścianę. Roztrzaskał się w bardzo efektowny sposób.

RS

Rozdział 21

Dwa tygodnie po zamknięciu sprawy rozwodowej Brent poprosił Maxine o rękę. Alex, która w tym czasie ciągle przebywała w Londynie, otrzymała zaproszenie na ślub pocztą. Była zaskoczona łzami, które zaczęły szczypać ją w oczy, gdy wzięła do ręki kremową kopertę. Zdziwił ją nie własny smutek, lecz fakt, że znów potrafi płakać. Miała wrażenie, że wszystko jej się pomieszało - zachowuje stoicki spokój i obojętność, gdy powinna być załamana, a płacze, gdy ból od dawna powinien zniknąć.

Zanim otworzyła kopertę, wpatrywała się w nią przez dłuższy czas. Kiedy przeczyta to, co ona zawiera, sprawa w pewnym sensie zostanie przesądzona, a Brent zostanie jej odebrany na zawsze. Nienawidząc się za słabość, rozerwała kopertę.

„Brent Gibbons i Maxine Waterdell mają zaszczyt zaprosić Panią na swój ślub...”

Pójdzie. Tego jednego była pewna. Zabierze ze sobą Jacksona. Będzie tańczyć, pić i udowodni wszystkim, w tym także sobie, że się nie załamała. Znów stanie się silną i zrównoważoną Alexandra Holmes. A jeśli zaboli, to trudno. Jak powiedział kiedyś Jackson, czasem trzeba zejść z obłoków i powalać się błotem.

Uroczystość miała się odbyć osiemnastego października w Hotelu Fairmont w San Francisco. Dwa dni po powrocie Alex z Londynu. Tydzień przed zwolnieniem stanowiska wiceprezesa. Maxine, ta żmija, zgrabnie to zaplanowała.

Alex oparła się pokusie, żeby podrzeć zaproszenie na dziesiątki kawałków, i przykleiła je taśmą na drzwiach lodówki - jak wypadało.

- Och, Brencie - powiedziała łagodnym tonem, ocierając ostatnią łzę. - Nigdy nie dałeś mi szansy.

W tym momencie Kate Bradshaw zapukała do drzwi i Alex ją wpuściła.

- Jesteś gotowa, skarbie? - zapytała Kate, trzymając w ręku koszyk z prowiantem. Wybierały się na kolejny wypad w plener, tym razem wzdłuż wybrzeża w hrabstwie Norfolk albo Essex - Kate jeszcze nie zdecydowała. Widok Kate, która była ubrana w płaszcz przeciwdeszczowy i śmiała się z kłopotów od ucha do ucha, rozproszył smutek Alex. Nie miała tak fantastycznej przyjaciółki od czasu przyjaźni z Megan i Klementyną. Kate była osobą, której mogła się zwierzać, z którą mogła konie kraść, śmiać się i kłócić. Niemal wypełniała pustkę powstałą po odejściu Megan i Klementyny. Niemal.

Alex złapała swój płaszcz przeciwdeszczowy i ruszyły w kierunku drzwi.

- Brent się żeni po raz drugi - powiedziała. Kate spojrzała na nią i ścisnęła jej ramię.

- Mówiłaś parę tygodni temu, że to niewykluczone.

- Tak. Ale miałam nadzieję, że się mylę.

Alex zamknęła drzwi na klucz i poszły korytarzem do wyjścia.

- Wiesz, że możesz na mnie liczyć - powiedziała Kate.

Alex uśmiechnęła się. Wiedziała. Mimo pechowych związków z mężczyznami, miała ogromne szczęście do przyjaciółek. Mogła tylko mieć nadzieję, że pewnego dnia to wystarczy, żeby ją na nowo uszczęśliwić, i że to nastąpi wkrótce.

- Uważasz, że życie jest sprawiedliwe? - zapytała.

Kate przechyliła głowę na bok, patrząc na nią z rozbawieniem.

- Chyba nigdy o tym nie myślałam.

- Ja myślę o tym cały czas.

Na dworze padał rześisty deszcz. Podbiegły do samochodu Kate i szybko wsiadły. Kiedy już się usadowiły, Alex powiedziała:

- Zastanawiam się, czy istnieje księga rachunków i czy salda się na końcu wyrównują. Chyba musi istnieć, nie sądzisz?

Kate zgarnęła mokre włosy i włożyła kluczyk do stacyjki.

- Nie, nie musi. Ty masz w sobie takie nedorzeczne poczucie dobra i zła i przekonanie o sprawiedliwości, która jest po prostu nieprawdopodobna. A co z głodującymi dziećmi w Etiopii? Co z mężczyznami, którzy muszą walczyć na Bliskim Wschodzie w wojnach, w które nie wierzą? Gdzie tu widzisz sprawiedliwość, jeśli komuś przypadło w udziale takie życie?

Alex potrząsnęła głową.

- Nie widzę.

- Wszyscy musimy zadowalać się tym, co mamy - powiedziała Kate. - Nic nie jest sprawiedliwe.

- Ale ja tego nienawidzę! - wyrzuciła z siebie Alex. Kate zapaliła silnik. Wyjechały na sobotnie londyńskie ulice. - Chcę tylu rzeczy. Kariery, kochanego mężczyzny, przyjaciół, domu. Chcę mieć wszystko.

- Ojej, Alex - roześmiała się Kate. - Nawet ty nie możesz dostać wszystkiego i dobrze o tym wiesz. Może byś się pogodziła z utratą Brenta i doceniła to, co masz?

- Jak mam się z tym pogodzić? Nie wiem, jak to się robi.

- Zaczynj dobrze życzyć Brentowi i jego nowej żonie. Spędzaj więcej czasu ze mną zamiast przesiadywać w mieszkaniu, kiedy wpadasz w depresję. Po prostu żyj. Już czas.

Alex milczała. Wiedziała, że Kate ma rację, ale cierpienie po stracie Brenta było jedyną rzeczą, jaka jej po nim pozostała. Jeśli je odrzuci, rozstanie się także z nim. Najbardziej obawiała się tego, że nigdy już nikogo nie pokocha, że nikt nie wzbudzi w niej takich uczuć jak Brent, dobrych i złych.

- Posłuchaj, przecież lubisz robić to, co robisz, prawda? - zapytała Kate.

- Tak.

- I masz dobrych przyjaciół i rodzinę? - Tak.

- Zarabiasz dużo pieniędzy, prawda?

- Prawda.

- I nie ranisz ludzi umyślnie? - Nie.

- No to daj sobie spokój z tą bzdurną filozofią i zacznij być szczęśliwa. Życie jest za krótkie, żeby się martwić o słusność wyboru, sprawiedliwość i utraconą miłość. Tracisz tylko czas, zastanawiając się nad życiem, chociaż mogłabyś zamiast tego szczęśliwie żyć. Pamiętaj, że wiedzie ci się lepiej niż większości ludzi. Ciesz się tym, co masz.

Alex popatrzyła na ludzi w samochodach, na ich ponure i zawzięte twarze. Zadała sobie pytanie, co mają, a czego nie. Doszła do wniosku, że umiejętność myślenia i wnioskowania jest przekleństwem ludzkiego gatunku. Zwróciła uwagę na gołębia szybującego ponad samochodami w kierunku parku, gdzie czekał staruszek z okruszkami. Ach, być tym ptakiem - pomyślała. Latać, jeść i spać i nigdy się nie dowiedzieć, że jest coś poza tym.

Kiedy wreszcie wyjechały poza granice Londynu i skierowały się na wieś, Kate ścisnęła jej rękę.

- Żyj najlepiej jak potrafisz, Alex - powiedziała. - Nikt z nas nie potrafi więcej.

Alex skinęła głową i spróbowała przestać myśleć.

* * *

Jackson i Alex siedzieli w kaplicy po stronie gości pana młodego. Brent stał przed ołtarzem bez cienia uśmiechu. Wyglądał jak zawsze surowo, ale zniknęło mu z twarzy napięcie. Alex wiedziała, że jest szczęśliwy, choć niewiele osób by się tego domyśliło. Z jakichś nieznanых, dziwaczných powodów, Maxine go uszczęśliwiała.

Ogród hotelowy był uroczy. Żółte róże i białe orchidee zdobiły stoły i przejścia między nimi. Namiot nad parkietem i stołami z jedzeniem miał bladożółty kolor, podobnie jak obrusy i serwetki. Bardzo elegancko. Z pewnością była to zasługa Brenta.

Maxine weszła do środka przy akompaniamencie „Marsza weselnego”, ubrana w żółtą, szyfonową suknię do kolan. Jedyнным śladem jej wybujałej osobowości były obwiedzione ciemną kredką oczy i grube złote bransoletki dzwoniące na ręce. Alex słyszała, jak dźwięczą w rytm jej kroków. Zupełnie jak dzwoneczki na krowiej szyi.

Uroczystość była krótka i rzeczowa, a pocałunek zdawkowy. Widok Brenta i Maxine nie ściał Alex z nóg. Nie płakała, nie krzyczała i nie tuliła się do Jacksona, szukając w nim pociechy. Zobaczyła, jak Brent uśmiecha się do swojej nowej żony i w duchu pożegnała się z nim. Dokonał wyboru i Alex też. Spróbuje być szczęśliwa. Będzie pracować, umawiać się na randki, spotykać z przyjaciółkami i to jej wystarczy. A jeśli spotka innego mężczyznę, który ją zainteresuje, nie zawaha się spróbować jeszcze raz.

Podniosła głowę i poczuła się przez moment niezwykle dobra i silna, jak za dawnych czasów. Po chwili państwo młodzi odwrócili się po złożeniu przysięgi, a w oczach Maxine zaśnił błysk triumfu. Alex nie wiedziała, czy Maxine myśli w tej chwili o Brencie, czy też zagięła parol na wiceprezuresę, ale nie potrafiła spojrzeć jej w oczy.

Kiedy goście weselni zostali już sfotografowani, Jackson i Alex usiedli przy stoliku w rogu, pijąc szampana.

- Czujesz się zraniona? - zapytał Jackson miękko. Alex drgnęła, a on się uśmiechnął.

- To oczywiste, że zakochałaś się w Brencie. Nie wchodził w grę nikt przeciętny, a poza tym nie jesteś przecież w stanie ukryć swojego wzroku.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła jego włosy spod kołnierzyka. Od ponad roku sięgały mu do ramion i tym lokom na karku nie potrafiła się oprzeć.

- Kochałam go - powiedziała. Jackson pokiwał głową, a ona pociągnęła łyk szampana. - Jego odejście było dla mnie najtrudniejszym doświadczeniem w życiu. Ciągle czuję na sobie jego dotyk, nawet teraz. - Zamilkła na chwilę. - Trudno mi się pogodzić z tym, że to, co nas łączyło, nic dla niego nie znaczy, że opuścił Carlottę dla Maxine, a nie dla mnie.

- Może znaczyłaś dla niego więcej, niż ci się wydaje.

- Nie. Ożenił się przecież z Maxine.

- Mężczyźni, Alex, żenią się z różnych powodów, które czasem nie mają nic wspólnego z miłością.

Alex dumiała przez moment, po czym uśmiechnęła się do niego.

- Dam sobie radę - powiedziała. - Naprawdę w to wierzę. Przecież nie może mnie już spotkać nic gorszego jak widok jego ślubu z inną kobietą, prawda? Dalej musi pójść z górki.

Roześmieli się, a Alex utkwiała spojrzenie w jego twarzy. - A ty o czym myślisz? - zapytała. - Cały dzień byłeś milczący.

Podrapał się w kilkudniowy zarost. Przez dwa miesiące nosił brodę, potem ją zgolił, a teraz chciał na nowo zapuścić. Wyglądało na to, że nie bardzo wie, co ze sobą zrobić.

- Myślę o wielu rzeczach - odparł. - O starzeniu się, o małżeństwie, o ślubnych przysięgach, które rozplývają się na oczach wszystkich.

- Nie powinnam cię tu ściągać.

- Bzdura - powiedział, chwytając ją za rękę. - Zawsze uwielbiam ci towarzyszyć.

Uśmiechnęła się.

- Megan już dużo lepiej sobie radzi. Podobno widują się z Joeyem prawie codziennie.

- Cieszę się. Zależało mi na tym, żeby była szczęśliwa.

- Joey zadzwonił raz do mnie do Londynu, żeby zapytać, co jej powinien podarować na urodziny. Uważał, że nie jest jeszcze gotowa na przyjęcie pierścionka zaręczynowego, ale chciał, żeby to było coś wyjątkowego. On ją naprawdę kocha.

Jackson upił trochę szampana i usiadł głębiej.

- Ma teraz trzydzieści jeden lat. Boże drogi. Ja będę ją zawsze pamiętał jako dwudziestojednoletnią dziewczynę. Młodą i pełną marzeń.

- Ciągle jest pełna marzeń - powiedziała Alex. - Tyle że innych.

Spędzili melancholijne pół godziny, błądząc myślami w przeszłości zamiast teraźniejszości i dumając nad końcami zamiast początków, po czym Jackson wyciągnął Alex z za stolika i przetańczyli całą wiązanekę melodii. Podczas wolnych piosenek tańczyli objęci, z czułością właściwą przyjaźni, której nie naruszyły mijające lata i kolejne kryzysy, a podczas szybkich - pustoszał wokół nich spory kawałek parkietu, gdy chwilowo zapominali o swych zranionych sercach, bolących nogach, rwących kręgosłupach i o tym, że już nigdy nie będą dziećmi. Kiedy zespół muzyczny ogłosił przerwę, usiedli wyczerpani.

- Już od lat tak nie tańczyłam - powiedziała Alex. Jej koczek rozpadł się, więc potrząsnęła głową, rozpuszczając włosy.

- Ja też. Nie mogę złapać tchu.

Roześmiała się i odeszła, aby przynieść po jeszcze jednym kieliszku szampana. Kiedy wróciła, oboje oddychali już spokojniej.

- Słuchaj - odezwał się Jackson. - Czy rozmawiałaś ostatnio z Klementyną?

Alex potrząsnęła głową.

- Skąd miałam mieć pewność, że zadasz mi to pytanie?

- Nie wiem - powiedział, unikając jej wzroku.

- Ale ja wiem. Stąd, że za każdym razem, gdy rozmawiam z Klementyną, ona pyta o ciebie. A za każdym razem, gdy rozmawiam z tobą, ty pytasz o nią. Co jest grane między wami?

- Pyta o mnie? - zapytał Jackson, po raz kolejny zapominając o składanej sobie codziennie obietnicy, że wymaże Klementynę z pamięci, obietnicy, której krótki żywot kończył się marnie co wieczór, gdy kładł się samotnie do łóżka.

- Patrzcie no - powiedziała Alex ze śmiechem. - Gdyby tylko Ciem wiedziała, że tak cię urobiła.

- Wie. Ale boi się zranić Megan.

- Mam wrażenie, że Megan świetnie daje sobie radę sama. Mówi nawet o wynajęciu własnego mieszkania.

- To dlaczego Klementyna nie wychodzi z inicjatywą? - zapytał Jackson, pochylając się do przodu.

- Może czeka, aż ty to zrobisz.

- Już to zrobiłem. Wiele razy dawałem do zrozumienia, co do niej czuję.

Alex rozejrzała się i odnalazła wzrokiem Brenta. Była przy nim Maxine, wyraźnie uszczęśliwiona żarem jego miłości. Alex zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, odkryła na sobie spojrzenie Jacksona. Jej poczucie lojalności znalazło się na rozdrożu - zarówno dla Megan, jak i Klementyny pragnęła szczęścia okupionego jak najmniejszym bólem. Prawda jednak wygląda tak, że miłość jest rzadkim towarem, który trudno znaleźć, a jeszcze trudniej utrzymać. Przynajmniej jedna z nich powinna mieć tyle szczęścia, żeby ją zdobyć.

- Życie jest krótkie, Jacku - powiedziała. Odstawiła resztę szampana i chwyciła Jacksona za rękę. - Zbyt krótkie, żeby nie gonić za tym, czego się pragnie. Klementyna jest zajęta kobietą. Pewnie nie ma czasu, żeby się z tobą skontaktować.

- Możliwe.

- Daj spokój. Przestań liczyć, ile razy wyszedłeś z inicjatywą. Nie rozumiesz, jaka miłość jest cenna? Nie wyciągnąłeś żadnych wniosków z

doświadczeń mojego życia? Nie bądź głupi i nie zaprzepaszczaj swojej szansy. Jeśli chcesz zdobyć Klementynę, zrób kolejny ruch. A jeśli się nie uda, jeszcze jeden. Nie rezygnuj, dopóki ona nie znajdzie się w twoich ramionach, a wtedy już nigdy nie pozwól jej odejść. Kochajcie się tak często, żeby starczyło, za nas wszystkie.

Uśmiechnął się uśmiechem, który zapierał kobietom dech w piersiach, a ona się roześmiała.

- Jak to dobrze, że się na pana uodporniałam, panie Hollywell. Gdyby nie to, byłyby w panu zakochane trzy najlepsze przyjaciółki. Co by pan wtedy zrobił?

Pokręcił głową.

- Mój Boże. Wybrać między wami trzema! Chyba umarłbym z rozpacz.

Wyciągnęła go na parkiet, bo zespół właśnie zaczął grać.

- Albo któraś z nas by cię zamordowała - dodała z uśmiechem.

* * *

Alex stała w rogu sali konferencyjnej, witając skinieniem głowy kolejnych członków najwyższego kierownictwa, którzy wchodzili, gdy wywołała ich nazwiska. Zajmowali miejsca jedno po drugim, dziesięciu mężczyzn i dwie kobiety, wszyscy sztywni jak z drewna. Alex zerknęła na siebie i z przerażeniem odkryła, że wygląda dokładnie tak samo jak oni. Jej tajemnica polegała na tym, że w środku wciąż była Alex, szaloną, pyską dziewczyną z Sausalito. Zadała sobie pytanie, czy oni też mają tajemnice.

Zwymiotowała rano dwa razy, ale to nic nie pomogło. Ciągłe ją mdliło. Cichy głos wciąż jej w środku powtarzał: „Jeśli nie dostanę stanowiska wiceprezesa, nie będę umiała dalej żyć”. Ale, oczywiście, nie była to prawda. Będzie musiała żyć. Jakie ma inne wyjście?

Maxine i Brent weszli razem jako ostatni. Nawet z drugiego końca sali Alex widziała błyszczącą w świetle obrączkę Maxine. Z czterokaratowym diamentem. Kontrastowały z nim wyraźnie jej czerwone paznokcie.

- Dziękuję wszystkim za przybycie - powiedział Brent, stając u szczytu długiego, wąskiego stołu. Maxine zajęła miejsce po jego prawej stronie. Zwykle siedziała tam Alex i Maxine o tym wiedziała. Uśmiechnęła się z wyższością, kiedy Alex zajęła miejsce przy drugim końcu stołu.

- Jak z pewnością wiecie - ciągnął Brent - Maxine i ja pobraliśmy się w ubiegłym tygodniu.

Zewsząd rozległy się gratulacje. Brent promieniał i Alex po raz kolejny zauważyła, jaki jest szczęśliwy. Zdała sobie sprawę, że właśnie tego dla

niego pragnie. Miejsce goryczy zajmowały powoli podziw i szacunek, które czuła do niego na początku.

- Dziękuję wam bardzo - powiedział. - To narzeczeństwo było jak trąba powietrzna i obawiam się, że trochę zaniedbałem interesy, ale jestem teraz gotów to nadrobić.

Alex oderwała od niego spojrzenie i utkwiała wzrok gdzieś przed sobą, ale nie widziała sali konferencyjnej. Widziała swoją sypialnię w domu rodziców i siebie, siedzącą na łóżku z podręcznikiem do matematyki w ręku. Megan czytała jakąś powieść, a Klementyna szperała w albumach Alex. Było ciepło, sobotnie popołudnie, magiczna pora między dniami nauki, kiedy odrabia się pracę domową, rodzice są zajęci, a godziny pozostałe do poniedziałku rano ciągną się rozkosznie jak cukierki toffi. Żadnych obowiązków, jeszcze żadnych narzeczonych, żadnego kierowania firmą. Tylko trzy dziewczyny zastanawiające się, jak spędzić popołudnie.

- Chodźmy popływać - powiedziała Klementyna.

- Nie, jest za zimno - zaproponowała Alex. - A co powiecie na kręgle?

Megan potrząsnęła głową.

- Nienawidzę kręgli.

Spojrzały po sobie, po czym Klementyna uśmiechnęła się szelmowsko.

- Ukradnijmy papier toaletowy z knajpy i ozdóbmy nim dom Johnny'ego Piedmonta.

Natychmiast wszystkie uznały, że to wspaniały pomysł. Wychodząc z sypialni, Alex rzuciła za siebie spojrzenie na podręcznik od matematyki i na wzory, których miała się nauczyć. Machnęła na nie ręką. Nie odkryła jak dotąd nic przyjemniejszego niż przebywanie z przyjaciółkami, pakowanie się w tarapaty, zawierzanie sobie tajemnic i śmiech do rozpuku. Żaden narzeczony ani idealny stopień z testu nigdy się do tego nie umywał.

Alex przyszło do głowy, że wtedy miała lepsze pojęcie o sensie życia i o tym, co jest ważne. Zawsze zakładała, że wraz z upływem czasu mądrzeje, ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy nie wymyśliła już wszystkiego wcześniej, a potem pozapominała o najistotniejszych sprawach, jak stara kobieta tracąca pamięć.

Przypomniała sobie, jak Klementyna i Megan wyciągnęły ją z sypialni za ręce. Wokół rozlegały się ich radosne głosy. Wiedziała, że jest najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem. Wiedziała, że ich przyjaźń będzie trwać zawsze i więcej nie było jej trzeba.

Alex ponownie skoncentrowała się na słowach Brenta. Podniosła głowę. Coś z tamtej dziewczynki nadal, Bogu dzięki, w niej pozostało. Nie

wszystko zapomniała. Nie potrzebuje Brenta ani jego awansu. Jest starsza i bardziej sceptyczna niż tamtego dnia przed wielu laty, ale w jej życiu ciągle są dobre przyjaciółki i sobotnie popołudnia. Ciągle cieszą ją różne rzeczy. Praca to nie wszystko. To nie...

- Zacznę od tego - kontynuował Brent - że, jak wszyscy wiecie, w ubiegłym tygodniu przeszedł na emeryturę Dick Collins. Mamy w związku z tym wakat na stanowisku wiceprezesa. To cholerny kawał roboty, jak by powiedział Dick, ale - nie wiedzieć czemu - większość z was i tak ma na nią ochotę.

W sali zapadła cisza, umilkło skrobanie piór, a twarze obecnych zaczerwieniły się. Brent powiódł po nich wzrokiem i nie zmienił wyrazu twarzy, kiedy dotarł do Alex.

- Jestem świadom krążących plotek. Wiem, jakie dołki pod sobą kopaliście, żeby się przelicytować. Nie mówię, że to źle. Wręcz przeciwnie. Makler musi być przebiegły i bezlitosny w wykorzystywaniu cudzych błędów. Chcę wam tylko dać do zrozumienia, że nie jestem człowiekiem z zewnątrz. - Umilkł i ponownie przebiegł wzrokiem po sali. - Podjąłem decyzję, biorąc pod uwagę liczne czynniki - powiedział. - Doświadczenie, czas przepracowany w firmie, skuteczność działania, zdolności kierownicze. Znam was od lat i widziałem was wszystkich w akcji. Jestem przekonany, że nikt z was nie zakwestionuje słuszności mojej decyzji ani moich umiejętności postępowania zgodnie z interesem firmy.

W tym momencie spojrział Alex prosto w twarz, a ona zrozumiała. Usiadła głębiej na krześle i spróbowała oddychać.

- Maxine Gibbons jest waszym nowym wiceprezesem - powiedział.

Wzdłuż stołu przebiegł szmer. Alex zobaczyła, jak Maxine podskakuje do góry i zarzuca mężowi ręce na szyję. Kilku członków zarządu spojrzęło na Alex ze współczuciem, ale ona tego nie zauważyła. Wszyscy po kolei złożyli gratulacje Maxine i pochwalili wybór Brenta, jakby mogli zrobić co innego, i opuścili salę, by - co do tego nie było wątpliwości - plotkować o tym, jak szef pozwolił, by jego penis zatriumfował nad rozumem.

Maxine jeszcze raz uścisnęła Brenta i odwróciła się do Alex, która ciągle siedziała w swoim krześle. Alex wiedziała, że powinna znieść to z wdziękiem, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa, a usta nie chciały ułożyć się do uśmiechu.

- Och, Alex - powiedziała Maxine. - Tak mi przykro. Naprawdę. Ale ja jestem bardziej kompetentna. - Roześmiała się i ucałowała męża. - Mogę pójść i obejrzeć swój gabinet? - zapytała go.

- Oczywiście. Za moment przyjdę.

Maxie dosłownie wyfrunęła z sali. Brent przemierzył całą długość stołu i usiadł obok Alex. Z tej odległości czuła znany sobie zapach jego wody kolońskiej.

- Nie zaprzeczam - powiedział - że jednym z powodów mojej decyzji było to, iż jest moją żoną.

Alex zmusiła się, żeby na niego spojrzeć.

- Przynajmniej sam się do tego przyznajesz.

- Muszę z nią co dzień wracać do domu, Alex. Znasz Maxie. Gdybym jej nie dał tego stanowiska, zamieniłaby moje życie w piekło. Poza tym da sobie radę. Jest dobrą pracownicą.

Alex odwróciła wzrok.

- Kochasz ją, prawda?

- Tak, kocham ją. Jest delikatniejsza niż się wydaje, bardziej krucha. Kiedyś ciebie też kochałem. Niestety w złym momencie mojego życia.

Alex pokręciła głową.

- Zawsze miałam cię za najwspanialszego przedsiębiorcę świata. Stawiałeś firmę ponad wszystko. Byłeś moim idolem.

Brent uśmiechnął się. Wyciągnął do niej rękę, ale się od niego odsunęła.

- Ciągle stawiam ją na pierwszym miejscu - powiedział. - Może w to nie uwierzysz, bo jesteś teraz rozżalona, ale wiceprezesa to główniana robota. Przekładanie papierów, robienie awantur, telefony. Siedzisz przy biurku dwanaście, trzynaście godzin dziennie, nabawiając się wrzodów i niedrożności arterii. Owszem, więcej zarabiasz. Rośnie twój prestiż. Ale ciebie to by zdewastowało, Alex. Potrzebuję twojej pracy tutaj i w Londynie. Masz za duży talent, żeby go tak marnować.

- A Maxine nie?

- Ujmę to w ten sposób, że wolę ją mieć przy sobie.

- Nigdy nie myślałam, że połączysz życie prywatne z zawodowym. Byłam tego taka pewna.

Wzruszył ramionami.

- Czasem trzeba je połączyć. Jedno drugiego nie wyklucza. I uwierz albo nie, dla firmy tak będzie najlepiej.

- Może - powiedziała Alex. - Ale z pewnością nie dla mnie.

- Daj spokój, Alex. Powinnaś już wiedzieć po tylu latach pracy w tej branży, że sukces to coś więcej niż twoje nazwisko na drzwiach i duże biurko.

Wstała. W żołądku i w głowie gotowało się jej z wściekłości. Szybko podeszła do drzwi. Już je prawie minęła, kiedy gorycz wybuchła. Zrobiła zamach ramieniem i z całej siły rąbnęła pięścią o ścianę. Kiedy pękły kostki, krzyknęła, a ból rozerwał jej ramię jak kula armatnia.

- Boże drogi ! Co ty, do cholery, robisz? - powiedział Brent, biegnąc w jej stronę.

Spojrzała na niego.

- Zachowuję się jak mężczyzna.

RS

Rozdział 22

Jackson siedział w swoim samochodzie w półleżącej pozycji, trzymając w rękach gazetę, żeby w razie czego zakryć sobie twarz. Tkwił tam już od dwóch godzin. Słońce zachodziło za jego plecami, a on wciąż czekał na swoją szansę. Przed godziną zobaczył wchodzącego Joeya - po jego garniturze i krawacie wywnioskował, że wychodzi gdzieś z Megan. Mógłby już, do cholery, to zrobić.

Ta wyprawa samochodem do Los Angeles była najbardziej spontanicznym przedsięwzięciem, jakie podjął w ciągu kilku lat. Siedział sobie w swojej pracowni z pędzlem w ręku, bez powodzenia usiłując zacząć nowy obraz, a w chwilę potem był już w samochodzie i jechał autostradą 101, słysząc dzwoniące mu w uszach słowa Alex, że „życie jest krótkie” i „kochajcie się tak często, żeby starczyło - za nas wszystkie”.

Z początku nie miał żadnego planu. Postanowił po prostu zapukać do drzwi i porwać Klementynę w ramiona. W miarę zbliżania się do Malibu zaczęły się w nim jednak znowu budzić wątpliwości. Co będzie, jeśli ona nie zechce znaleźć się w jego ramionach? Co się stanie, jeśli w ogóle go nie zechce? A jeśli Megan będzie w domu?

Mimo dręczących go pytań wciąż jechał na południe. Przez ostatnich osiem miesięcy, czyli od kiedy poszedł z Alex na ślub Brenta i Maxine, myślał prawie wyłącznie o Klementynie. Była jak rozwijający się w jego ciele rak, którego komórki rozmnażają się i karmią same sobą, wyczerpując jego energię i siły. Nadszedł moment, że nie był w stanie dłużej tego znieść. Alex miała rację. Powinien przestać liczyć, ile razy wyszedł z inicjatywą, i spróbować jeszcze raz. Klementyna była tego warta.

Kiedy wreszcie dotarł na plażę o szóstej wieczorem, udało mu się przekonać strażnika, żeby go wpuścił do ekskluzywnego osiedla. Teraz zaś krył się w swoim samochodzie jak zbieg, modląc się, żeby Joey i Megan wyszli i żeby, gdy już to zrobią, miał odwagę zapukać do drzwi.

Piętnaście minut później drzwi wejściowe domu Klementyny otworzyły się i nareszcie Megan i Joey wyszli. Jackson zakrył twarz gazetą, ale zerkał znad jej krawędzi. W świetle czerwonych i zielonych latarni ogrodowych Megan wyglądała ślicznie. Miała na sobie szarą spódnicę i sweter i śmiała się z czegoś, co powiedział Joey. Jackson zwrócił uwagę, że wygląda zupełnie inaczej niż w czasach ich małżeństwa. Porusza się ze swobodą, spokojnie, a jej uśmiech nie jest wymuszony. Próbowwała - jak umiała - być

z nim szczęśliwa, podobnie jak on, ale był to jednak wysiłek, bez względu na to, czy się do tego przyznawała, czy też nie.

Wsiedli do samochodu Joeya, a kiedy go mijali, Jackson osunął się niżej na siedzeniu. Usiadł dopiero wtedy, gdy zniknęli w głębi ulicy. Wybrzeże było puste. Dom stał w odległości trzystu metrów. Samochód Klementyny znajdował się na podjeździe. Od kobiety, której pragnął najbardziej na świecie, dzieliły go tylko jego własne nerwy.

Otworzył drzwiczki samochodu i rzucił gazetę na siedzenie. Miał powód, żeby przejechać tyle kilometrów, i nie wycofa się teraz. Zrobi ostatni ruch, a jeśli Klementyna mu się nie odwzajemni, definitywnie da za wygraną.

Ruszył w stronę domu, dwukrotnie lustrując wzrokiem swoje dżinsy i flanelową koszulę, żeby się upewnić, że wygląda najlepiej, jak może, po całym dniu jazdy. Idąc betonową ścieżką w stronę domu, lustrował spojrzeniem idealnie utrzymane z obu stron klomby polnych kwiatów i przypołudnika okropionego, próbując o niczym nie myśleć. Wreszcie stanął przed drzwiami wejściowymi, wziął głęboki oddech i zapukał.

Klementyna usłyszała pukanie z zewnątrz, gdzie siedziała na werandzie. Miała nadzieję, że to nie sąsiadka, chcąca spędzić wieczór na plotkach przy winie. Nie czuła się na siłach, żeby ją przyjąć. Była tego dnia na kolejnej sesji terapii grupowej. Te opowieści i płacz bardzo ją wyczerpywały. W końcu jednak zawsze, gdy wychodziła, czuła się tak lekko, jak jej się to nie zdarzało od lat. Za każdym razem, gdy następna kobieta opowiadała, że czuje się brudna albo winna gwałtu, myślała: „Bogu dzięki, że nie tylko ja mam takie odczucia”. Za każdym razem, gdy wracała z sesji terapeutycznej, mówiła sobie: „Poprawia mi się. Zdrowieję”.

Sesje terapeutyczne dawały jej dużo do myślenia. Przecież dawno temu, podczas konkursu na modelkę w Saks Fifth Avenue, przyrzekła zmienić życie kobiet. Może byłaby w stanie. Przynajmniej jeśli chodzi o niektóre kobiety. Kiedyś, kiedy będzie silniejsza i gotowa do publicznych wystąpień, mogłaby wykorzystać swoją pozycję gwiazdy, by przyczynić się do zwiększenia funduszy na rzecz ofiar gwałtów. Mogłaby pomagać uczyć policjantów, lekarzy i adwokatów, jak traktować ofiary gwałtu z większym szacunkiem i zrozumieniem. To był tylko pomysł, ale dzięki niemu miała ku czemu dążyć na terapii. Musi wyzdrowieć na tyle, by móc pomagać innym kobietom, by móc robić coś ważnego.

Znów rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Poszła otworzyć, przystając, by obejrzeć się w lustrze. Miała na sobie szlafrok z białego

aksamitu i była bez makijażu. Nie wyglądała olśniewająco, ale musi wystarczyć. Otworzyła drzwi.

Patrzyli na siebie przez dłuższy czas. Klementyna tak często wyobrażała go sobie stojącego w wejściu, tak jak teraz, przystojnego i doskonałego w każdym calu, że teraz zaczęła się zastanawiać, czy to nie sen. Kiedy Megan i Joey zaczęli ze sobą chodzić na poważnie, przyszło jej do głowy, żeby do niego zadzwonić, ale jej palce nigdy nie wybrały numeru do końca. A co będzie, jeśli znów zostanie zraniona? A jeśli on już jest z inną? Co się stanie, jeśli już z niej zrezygnował? Co będzie, jeśli się spotkają, a ona nie będzie potrafiła się z nim kochać albo nawet nie pozwoli się dotknąć? Co on wtedy zrobi?

A jednak przyjechał. Stał przed nią tak samo przystojny i oszałamiający jak zawsze. Przytrzymała ręką poły szlafroka, żeby zakryć dekolt.

- Nie spodziewałam się gości - powiedziała.

- Mogę wejść? - zapytał.

Skinęła głową i przesunęła się na bok. Jackson wszedł do salonu i rozejrzał się. Jego wzrok przykuły drzwi balkonowe w przeciwległej ścianie, obramowujące lśniące fale oceanu, jakby były doskonałym obrazem.

- Co za dom - powiedział, przebiegając palcami po oparciu ręcznie rzeźbionego dębowego krzesła.

- To inwestycja - odparła Klementyna. Zwykle pozostawiała gości w poczuciu, że lubi ten dom, ale teraz zależało jej na tym, by dać Jacksonowi do zrozumienia, że bogactwo i zbytek jej nie odpowiadają. - Mój agent powtarzał mi, że powinnam gdzieś zamieszkać na stałe, żeby uzyskać odpis od podatków, aż wreszcie znalazł ten dom.

Jackson podszedł do drzwi wiodących na taras i wyjrzał przez okno. Huk fal był głośniejszy niż się spodziewał. Ciekawe, jak Klementyna może spać w nocy.

Odwrócił się i spostrzegł, że ona stoi oparta o framugę drzwi do kuchni, przypatrując mu się.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś, kiedy Megan i Joey zaczęli ze sobą na poważnie chodzić? - zapytał nagle. - Myślałem, że to z jej powodu nie możemy być razem.

Podeszła do kanapy i usiadła, nerwowo poprawiając szlafrok.

- Nie wiem. Chyba się bałam. Usiadł naprzeciwko niej na krześle.

- Czego?

Siłą powstrzymała niespokojne ruchy palców i zmusiła się, żeby na niego spojrzeć.

- Że znów zostanę zraniona. Wydawało mi się, że Kocham Connora, ale nagle nasz związek rozpadł się... A potem... potem zmienił mnie Nowy Jork. Dostrzegłam czarną stronę rzeczywistości, zło. Nie potrafiłam się z nikim związać. Zawarłam ze sobą umowę, że zachowam niezależność i przed mężczyznami będę się mieć na baczności. Tylko że z tobą jakoś mi się to nie udaje.

Milczeli przez dłuższą chwilę, a ciszę naruszał tylko huk nadpływających i cofających się fal.

- Nie mogę przestać o tobie myśleć, Klementyno - odezwał się wreszcie, spoglądając na nią z takim napięciem, że poczuła, jak ogarnia ją od stóp do głów rozpalony do czerwoności płomień. - Nigdy tego nie potrafiłem. Od chwili, gdy pierwszy raz cię ujrzałem.

- Ja też - wyszeptała, czując, że brakuje jej sił i nie potrafi już dłużej powstrzymać słów. - Ale to nie ma znaczenia. Nie chcę się z tobą wiązać. Czyżbyś tego nie zauważył? Chodzi nie tylko o Megan. Są rzeczy, o których nic nie wiesz.

Spojrzała na ocean i znów zaczęła miętosić skraj szlafroka.

- To mi o nich opowiedz - odparł. W głosie Jacksona brzmiała prośba, a jego oczy były w niej utkwione, jakby nie potrafił patrzeć nigdzie indziej. Przez chwilę czuła, że mogłaby mu wszystko powiedzieć, ale ta chwila szybko minęła.

- Chodzi o mnie - powiedziała. - Nie chcę zostać zraniona. Może to przeznaczenie postawiło Megan między nami. Może nie jest nam pisane być razem. Masz swoje malarstwo, przyjaciół i dom w San Francisco. Ja jestem dla ciebie tylko zdobyczą, jedyną kobietą, której nie udało ci się dostać. Kiedy się poddam, będzie po wszystkim.

Jackson wstał i zaczął chodzić po pokoju. To niesprawiedliwe - pomyślał. Czy ona nie zauważyła, że to co innego? On nie jest taki, jak inni mężczyźni w jej życiu, podobnie jak ona nie jest dla niego pierwszą lepszą kobietą. Oboje są dla siebie kimś wyjątkowym. Jest tu, tak blisko niej, że mógłby wyciągnąć rękę, żeby jej dotknąć, a mimo to ona ciągle się cofa. Odwrócił się na pięcie i spojrzał na nią.

- Nie mów mi o przeznaczeniu. To my decydujemy o własnym losie. Gdyby nie było nam pisane żyć razem, nie interesowalibyśmy się sobą przez tyle czasu. Związalibyśmy się z kimś innym.

- Może tak byłoby lepiej - powiedziała.

- Nie wygaduj bzdur! - krzyknął. - Nie wolno ci oceniać mnie po tym, co zrobił Connor czy jakiś inny mężczyzna. Musisz mi dać szansę. Czego ty chcesz? Spędzić całe życie, uciekając, bo za bardzo się boisz ryzyka? To w ogóle nie pasuje do tej Klementyny, którą znam.

Odwróciła wzrok. Jackson wprawiał ją w zakłopotanie, wprowadzał taki zamęt w jej myśli i uczucia, że czuła się bezwolna, traciła charakter i siłę. Chciała, żeby sobie poszedł - za bardzo się do niej zbliżał. Niczego jednak nie pragnęła bardziej, niż żeby został.

- Nie mogę już więcej ryzykować - powiedziała cicho. Podszedł do niej błyskawicznie, zanim zdążyła się cofnąć.

Chwyił jej obie dłonie i podniósł do ust.

- Spójrz na mnie, Klementyno.

Nadal odwracała oczy, więc szarpnął ją za rękę.

- Spójrz na mnie.

Powoli podniosła wzrok. Wbrew własnej woli. Kiedy znalazł się tak blisko, że czuła jego oddech na czubkach swoich palców, a jego biodra dotknęły jej bioder, zrozumiała, że nie będzie umiała mu się oprzeć. Jego zielone oczy patrzyły na nią z napięciem.

- Przysięgam ci - powiedział - że cię nigdy nie skrzywdzę. Kocham cię. Nie wiem, kiedy ani jak to się zaczęło, ale cię kocham. Mam ochotę dać ci gwiazdy na niebie, księżyc, Alpy i tropikalną wyspę na własność. Mam ochotę nauczyć się na pamięć wszystkich dowcipów, żeby móc cię co dzień rozśmieszać. Chcę się tobą opiekować, bronić cię, pomagać ci w karierze zawodowej i być przy tobie zawsze, gdy będziesz mnie potrzebowała. Chcę być dla ciebie wszystkim.

Klementyna rozplakała się. Wysunęła dłonie z jego uścisku i dotknęła policzków Jacksona, które były szorstkie od ciemnego zarostu. Zamknęła oczy i przesunęła palcami po jego kościach policzkowych, nosie i wargach.

- Nie możemy być razem - powiedziała.

- Dlaczego, na miłość boską?

Otworzyła oczy, kiedy poczuła, że jego łyzy moczają jej palce. Była zmęczona, bezgranicznie zmęczona. Jej słowa wydawały się nie mieć teraz żadnego znaczenia. Opuściła rękę i powiedziała mu.

- Kiedy byłam w Nowym Jorku, miałam sesję zdjęciową w pewnej starej kamienicy. Skończyliśmy dopiero późną nocą, a ja wychodziłam jako ostatnia. Na dole... - Zająknęła się i Jackson chwycił jej rękę. Miała wrażenie, że po raz pierwszy spowiada się znów ze wszystkiego, że się oczyszcza. Podniosła głowę i ciągnęła: - Na dole czekał mężczyzna. Myślę,

że chciał mnie tylko okraść, ale potem zdecydował, że to nie wystarczy. Wyciągnął mnie na dwór. Miał nóż. Zgwałcił mnie.

Już po wszystkim. Powiedziała mu. Łzy przestały płynąć. Nie była smutna ani zła. Raczej czuła lekkość i ulgę. Wyrzuciła z siebie tajemnicę.

Jackson ścisnął mocno jej rękę, a ona spojrzała mu w twarz. Patrzył na ocean, a policzki miał mokre od łez. Wyciągnęła dłoń i otarła je.

- Teraz nie wydaje mi się to takie straszne - powiedziała. - Czy to nie idiotyczne? Ta historia zatruwała mi życie przez dziesięć lat, a teraz, kiedy ci o niej mówię, przestała być straszna. Po prostu, przykra rzecz, która mi się przytrafiła wiele lat temu.

Odwrócił się do niej i wziął jej twarz w swoje ręce. Jego oczy były jasne jak kryształ i urzekające. Klementyna nie potrafiłaby oderwać od nich wzroku, nawet gdyby chciała.

- Jesteś najbardziej niezwykłą kobietą, jaką znam - powiedział.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Większość ofiar gwałtu chwyta byka za rogi i wychodzi z tego zwycięsko. Ja potrzebowałam wielu lat, żeby zebrać się na odwagę i opowiedzieć innym kobietom, że zostałam zgwałcona. Nie przypuszczam, żebym mogła... żebyśmy mogli się kochać. Minęło tyle czasu, a ja ciągle czuję niepokój na samą myśl o tym.

W jego spojrzeniu pojawiło się jeszcze więcej czułości i uczucia.

- Myślisz, że dbam o to, czy będziemy się kochać? Chciałbym tego nad życie, ale nie to jest najważniejsze. Pragnę być z tobą. Na niczym więcej mi nie zależy. Chcę mieć pewność, że nigdy więcej nie spotka cię nic podobnego.

Poczuła, że pod wpływem jego słów przeszłość rozpada się jak mur ze starych, kruchych cegieł. Kiedy Jackson był blisko i jej bronił, ulatywał jej z pamięci obraz twarzy tamtego mężczyzny z zamierzchłej przeszłości. To przecież tylko mężczyzna, tylko człowiek, ma silne ręce, ale słaby umysł i nie może jej dotknąć. W każdym razie nie tutaj.

- Kocham cię - wyszeptała.

Jackson poczuł, że ostatnia cząstka jego osoby wskakuje na swoje miejsce. Po raz pierwszy był kompletny, co - jak zawsze przepowiadała matka - miało się stać w dniu, gdy znajdzie właściwą kobietę, bratnią duszę. Matka była mądrzejsza niż przypuszczał. Spojrzał na Klementynę, upajając się jej urodą. Miała skórę bez skazy, złocistą i aksamitną, wystające kości policzkowe, szlachetne w zarysie, a usta delikatne i różowe. Kobieta, o jakiej marzą wszyscy mężczyźni. Ma ją obok siebie.

Pochylił się i pocałował ją w policzek, tak delikatnie, że miała wrażenie, iż jej skórę musnęły skrzydła motyla. Całował ją w czoło, powieki, nos i brodę. Klementyna zamknęła oczy, bojąc się, że czar pryśnie.

Wreszcie jego wargi dotknęły jej ust i było to takie wspaniałe uczucie, jakiego się spodziewała. Miał ciepłe i słodkie wargi, a jego język tańczył w rytm z jej językiem. Mogłaby się zatracić w tym pocałunku, gdyby tylko sobie na to pozwoliła.

Odsunęła się.

- Poczekasz trochę? Aż będę gotowa? Boję się jeszcze próbować. Boję się niszczyć to, co jest między nami.

Zanurzył twarz w jej włosach.

- Będę na ciebie czekał całe życie.

- Nie daj mi odejść - powiedziała, zarzucając mu ramiona na szyję.

- Nigdy - Jackson znów pocałował twarz Klementyny, upajając się delikatnością jej skóry, przewyższającą jego najśmielsze wyobrażenia. Niech go diabli, jeśli kiedykolwiek pozwoli jej znów odejść.

Klementyna odsunęła się trochę, żeby wyraźnie zobaczyć jego twarz. Wciąż miała wątpliwości co do niego, a przede wszystkim co do siebie, ale kiedy był wreszcie przy niej, kiedy czuła jego miłość - jak mogła mu się oprzeć? Jeśli teraz nie spróbuje się przemóc, czy nie pozostanie między nimi na zawsze jakiś dystans, jakieś wahanie i napięcie? Czy Jackson nie przestanie wierzyć, że kiedyś będzie mogła się z nim kochać?

Przesunęła dłonią po jego ramieniu, wyczuwając mięśnie pod koszulą. Obserwował ją z bezruchu, bez mrugnięcia okiem, jakby się bał, że spłoszy ją jego najdrobniejszy gest. Dotknęła jego piersi, jego szyi, jego ucha. Był taki doskonały.

Powoli wyciągnął rękę i przesunął dłonią po jej obojczyku. Jego palce ześliznęły się w dół pod szlafrok, na ciepłą skórę powyżej jej piersi, a po chwili zaczęły krążyć wokół sutka. Nacisnął go delikatnie, a potem mocniej...

- Przestań - powiedziała, odsuwając się. Czuła na skórze mrowienie, niebezpiecznie oscylujące między przyjemnością i odrazą. Przesunęła się na drugi koniec kanapy, czując do siebie nienawiść.

- Przepraszam - powiedział.

Potrząsnęła głową. Do oczu znów napłynęły jej łzy. Nigdy w życiu tyle nie płakała, co tego dnia.

- To nie twoja wina. Po prostu nie mogę. Twoje palce były takie twarde... Nie umiem tego wyjaśnić. Powinienesz sobie iść.

Zsunął się na podłogę do stóp Klementyny i spojrzał jej w twarz, trzymając mocno jej ręce w swych dłoniach.

- Posłuchaj mnie. Nigdy sobie nie pójdę. Choćbyś mnie błagała. Zostanę tutaj i będę cię kochać, aż o wszystkim zapomnisz. A jeśli nigdy nie będziemy się kochać, to trudno. Nikt nam nie każe.

- Jak to możliwe, że jesteś taki dobry? - wyjąkała. Uśmiechnął się.

- To chyba wrodzone.

- Niełatwo ze mną wytrzymać - powiedziała. - A do tego nie umiem gotować, nienawidzę telewizji i potrzebuję mnóstwo miejsca na garderobę.

Roześmiał się.

- Ja za to zalatuję terpentyną, lubię pić kawę o trzeciej nad ranem i nigdy, przenigdy nie sypiam w piżamie.

Tym razem roześmieli się oboje, a Klementyna spojrzała w dół na ich mocno splecione palce.

- Lubię cię, Jacksonie Hollywellu - powiedziała.

- Świetnie. To znaczy, że chcesz ze mną być?

Znów się roześmiała. Po raz pierwszy doświadczyła prawdziwego, autentycznego szczęścia. To jeszcze nie był ideał. Miała jeszcze przed sobą długą drogę. Ale jedną rzecz wiedziała na pewno - nie pozwoli, by coś ich kiedyś znów rozdzieliło.

* * *

Kiedy Megan i Joey wrócili tego wieczora do domu z koncertu orkiestry Filharmonii w Los Angeles, Klementyny już dawno nie było. Zostawiła przyczepioną na drzwiach lodówki wiadomość: „Musiałam wyjechać na tydzień albo dwa. Chciałam trochę odpocząć. Do zobaczenia po powrocie. Nie martw się. Całuję, Ciem”.

- To bardzo dziwne - powiedziała Megan, szykując kawę. - Była dziś taka zmęczona. Powiedziała, że przejrzy parę scenariuszy i się poopala. Ciekawe, dlaczego zmieniła plany.

- Może zaczęła jej doskwierać monotonia - podsunął Joey, rozluźniając krawat. - Przypuszczam, że zarabianie milionów przez wykuwanie kilku linijek tekstu może się w końcu znudzić.

Megan roześmiała się.

- Idę się przebrać na górę. Weź sobie z kuchni coś do jedzenia, jeśli jesteś głodny.

Kiedy zniknęła, Joey przespacerował się po sterylnej kuchni. Zawsze czuł się w tym pomieszczeniu wyjątkowo nieswojo, przez te bezosobowe ściany bez obrazów, puste blaty i cicho buczące świetlówki. Szafki i

szuflady były wypełnione dziesiątkami błyszczących, nigdy nie używanych przyrządów, które Klementyna dostała od swego agenta Willa Holomana jako prezent z okazji parapetówki. Jak się dobrze zastanović, pomyślał Joey, Megan i Klementyna rzadko przebywały w kuchni, chyba że robiły kawę albo nalewały kieliszek wina. Miały telefony do wszystkich restauracji w mieście sprzedających potrawy na wynos.

Znalazł w lodówce ostatni kawałek kupnego ciasta cytrynowego, nalał dwie filiżanki kawy i usiadł na kanapie. W minutę później Megan zeszła na dół w niebieskim dresie, który zajął miejsce spódnicy i swetra. Zmyła makijaż, a jasne, rozpuszczone włosy okalały jej twarz. Znów wyglądała jak Megan - naturalna, spontaniczna i niewinna. Kobieta, którą kochał.

- Mam nadzieję, że nic się jej nie stało - powiedziała, siadając obok niego. Podmuchała na gorącą kawę i upiła łyk.

- Na pewno wszystko w porządku. Klementyna da sobie radę. A poza tym są ważniejsze sprawy do przemyślenia.

Megan podciągnęła nogi pod siebie.

- Na przykład?

- Na przykład my. Na przykład... - sięgnął do kieszeni spodni i wyjął ciemnogranatowe aksamitne pudełko - to.

Megan wzięła je, nie mając pewności, czy serce wali jej ze strachu, radości czy też poczucia winy. Kochała Joeya. Długo to trwało, dużo dłużej niż na to zasługiwał, ale wreszcie była pewna, że go kocha. Nie było to jednak uczucie, jakiego się spodziewała. Przy Jacksonie zawsze znajdowała się w centrum uwagi, wchłonięta przez magiczny, udawany świat, w którym zawsze czekały ją oklaski. Przy Joeyu natomiast żyła na uboczu, w rzeczywistym świecie pełnym potu, układów i sygnałów, które trzeba odbierać. Kiedy się do niej uśmiechał, czekała na burzę, na uczucie dojmującej pustki po jego wyjściu z pokoju. Jakoś nie mogła się przyzwyczaić do myśli, że Joey zawsze wróci.

- Co to jest? - wyszeptała.

- Otwórz.

Joey usiłował pokryć rozczarowanie uśmiechem. Chyba zwariował, jeśli się spodziewał, że rzuci ją tym na kolana. Nie był dość romantyczny, dość silny, nie przypominał w wystarczającym stopniu Jacksona. A jednak wydawało mu się, że to będzie idealny moment. Ostatnie tygodnie były fantastyczne. Megan była w niego zapatrzona zamiast, jak zwykle, wbijać wzrok w przestrzeń, co mogło oznaczać tylko jedno - że myśli o Jacksonie. Dziesiątki razy mówiła, że go kocha i wreszcie jej uwierzył. Przyjął pięciu

nowych uczniów na prywatne lekcje muzyki, a po podwyżce, którą dostał w liceum miesiąc temu, jego pensja wystarczała z nadwyżką na ich utrzymanie. Oczywiście nie na plaży w Malibu, ale w jego obecnym mieszkaniu lub jakimś innym domu, który wybierze Megan. Paciorki przeznaczenia ułożyły się w całość. Pragnął tylko, żeby ona też to dostrzegła.

Megan powoli otworzyła pudełko. Wewnątrz był mały, prześliczny diament w kształcie kwiatu w prostej złotej oprawie. Gdyby miała możliwość wyboru, kupiłaby dokładnie taki sam. A kiedy zastanawiała się nad idealnym kandydatem na męża, przychodził jej na myśl dokładnie ktoś taki jak Joey. Myśleli tak samo, czuli to samo, śmiali się z tych samych rzeczy i nawet tak samo wyglądali.

- Jest piękny, Joey - powiedziała.

Kiedy się uśmiechnął, cała jego twarz rozjaśniła się jak u dziecka, rozpraszając część jej wątpliwości.

- Mogę ci go włożyć? - zapytał.

Skinęła głową, nie ufając swoim strunom głosowym. Do oczu napłynęły jej łzy, łzy radości i żalu. Ujął jej lewą dłoń i wsunął pierścionek na wskazujący palec.

Wciąż ze wzrokiem spuszczoneym na pierścionek zapytał:

- Czy wyjdiesz za mnie za mąż, Megan Hollywell?

Megan zamknęła oczy, przypominając sobie inne oświadczenia i natężenie swoich uczuć w tamtej chwili oraz desperację, towarzyszącą wszystkim aspektom jej pożycia z Jacksonem. Kiedy otworzyła oczy, Joey siedział w napięciu, czekając na odpowiedź ze wzrokiem wbitym w ścianę. Spojrzała na pierścionek, który idealnie leżał na jej palcu.

- Tak - powiedziała.

Odwrócił się do niej raptownie, otwierając usta, jakby spodziewał się zupełnie innej odpowiedzi.

- Powiedz to jeszcze raz. Roześmiała się.

- Tak, wyjdę za ciebie.

Przytulił ją mocno, uszczęśliwiony, a ona wiedziała, że pod warstwą melancholii i gorzko-słodkich wspomnień też jest szczęśliwa. Szczęśliwa w inny sposób. Zadowolona, że pogodziła się z losem. Dorosła i realistycznie patrząca na świat. Żadnych fajerwerków ani złamanych serc. Po prostu szczęśliwa, że znalazła mężczyznę, który ją kocha i zawsze będzie się nią opiekował.

- Dałabyś się porwać swojemu rycerzowi? - zapytał.

- Co takiego?

- Będę miał dwa tygodnie wolnego. Moglibyśmy w tajemnicy przygotować dokumenty, zrobić sobie badania krwi, a potem zwinąć manatki i uciec do Anglii na miodowy miesiąc. Wystarczy mi oszczędności, żeby to sfinansować. Zawsze chciałaś tam pojechać, tak samo jak ja. Pomyśl tylko, jakie by to było romantyczne.

Spojrzała na niego, po raz kolejny nie mogąc wyjść ze zdumienia, że potrafi czytać w jej myślach i odgadywać jej pragnienia. Jackson budził w niej w niezwykłym natężeniu i miłość, i nienawiść. Joey sprawiał tylko, że była szczęśliwa. To idiotyzm, że kiedyś wolała życie z Jacksonem zamiast życia z Joeyem.

- To brzmi bosko - powiedziała. Joey skoczył na nogi i chwycił marynarkę leżącą na kuchennym blacie.

- Od razu zacznę wszystko szykować. Zebrałem już trochę folderów, na wypadek, gdybyś się zgodziła. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że byłem pewien, ale zawsze można pomarzyć, prawda? Zadzwoń rano do biura podróży i umówię nas na badania krwi.

Odprowadziła Joeya do drzwi czując, że zaczyna ją ogarniać jego entuzjazm.

- Naprawdę zabierzesz mnie do Anglii? Wziął jej twarz w swoje dłonie.

- Zabrałbym cię na wycieczkę dookoła świata, gdyby ci to miało sprawić przyjemność.

- Sprawia mi przyjemność samo bycie z tobą - powiedziała z przekonaniem.

Uśmiechnął się jeszcze raz i otworzył drzwi. Po chwili odwrócił się, chwycił jej dłoń i ucałował pierścionek zaręczynowy.

- Nikomu nie mów, dobrze? Moim zdaniem powinniśmy zadzwonić z Europy i powiedzieć każdemu: „Ach, słuchaj, tak na marginesie, właśnie się pobraliśmy”.

- Podoba mi się ten pomysł.

Jeszcze raz ją pocałował i popędził do samochodu.

- Kocham cię, Megan - krzyknął, kiedy dobiegł do auta. Roześmiała się i pomachała ręką. Zaczekała, aż odjedzie, i zamknęła drzwi. Wzięła swoją filiżankę kawy, zgasiła światło i poszła na górę.

Natychmiast po wejściu do sypialni otworzyła pudełko z biżuterią. Na samym wierzchu znajdowała się obrączka ślubna i pierścionek zaręczynowy, które leżały tam od lat.

Diament w pierścionku był bardziej szykowny niż ten, który miała na palcu, i mniej do niej pasował. Potarła nim policzek i schowała wraz z obrączką ślubną pod denko, gdzie nie zagłada.

- Żegnaj, Jacksonie - wyszeptała. Spojrzała na swój nowy pierścionek i pomyślała o Joeyu, o Anglii i o marzeniach, które potrafią czasem w czarodziejski sposób ożyć jak róże spod śniegu.

* * *

Jackson siedział na krzeselku na skraju piaszczystej wydmy, twarzą do jasnoblękitnego oceanu. Przez ostatni tydzień jego skóra opaliła się na ciemnobrazowy kolor. To Klementyna wpadła na pomysł, żeby rzucili wszystko i uciekli w środku nocy do Meksyku, aby się lepiej poznać. Wiedział też, choć nie powiedziała tego wprost, że panicznie boi się konfrontacji z Megan.

Zanurzył pędzel w żółtej farbie i delikatnie nałożył ją na płótno. W ciągu ostatnich paru lat wypracował technikę, w której precyzja łączyła się z pełną swobodą twórczą. Był jednak pewien, że ten konkretny obraz mógłby namalować z zawiązanymi oczami. Dokładnie wiedział, o co mu chodzi, znał każdą linię, każdy zakręt pędzla. Choć nosił w sobie tę wizję od lat, wyzwoliła ją dopiero miłość do Klementyny.

Usłyszał chrzęst piasku za plecami i zeszywniał. Obraz był i niewinny, stanowił testament dawnej miłości, ale Klementyna może tego nie zrozumieć. Może...

Klementyna zatrzymała się raptownie pół metra od niego. Spojrzała na obraz, który dopiero powstawał, lecz jego temat był już rozpoznawalny. Ukłucie żądła zazdrości nie trwało dłużej niż sekundę. Uśmiechnęła się.

- Megan - powiedziała. Wstał i objął ją w talii.

- Tak, to Megan. Zrozum mnie, proszę. Ona zawsze będzie częścią mnie poprzez miłość i poprzez poczucie winy. Tak dawno chciałem to zrobić. Potrzebowałem tego obrazu, ale był we mnie zatrzaśnięty. I kiedy wreszcie zbliżyłaś się do mnie, po raz pierwszy poczułem się wolny.

Skinęła głową i podeszła do obrazu. Jest naprawdę piękny - pomyślała. Malując jej własny portret, Jackson uchwycił jej tajemniczość. U Alex uwydatnił siłę i żywiołowość. Przy Megan użył natomiast kolorów ziemi, żółci i złota, by ukazać jej ciepło. Odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

- Myślę, że jesteś najwspanialszym mężczyzną, jakiego spotkałam. - Pocałowała go delikatnie w usta, wyczuwając smak soli, którą niosło nadmorskie powietrze.

Zanurzył palce w jej włosach, które w gorącym słońcu pokryły się jaśniejszymi niż zwykle pasemkami.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię kocham? - zapytał. - Czy wiesz, jakie to wspaniałe uczucie wreszcie być z tobą? Czuję się jak żołnierz wracający z wojny do domu z gwarancją, że już nigdy nie będzie musiał wyjeżdżać.

Spojrzała na ocean, który wyglądał jaśniej i bardziej zachęcająco niż na jej własnej plaży przy domu. Ostatni tydzień był fantastyczny, prawie doskonały. W ciągu dnia spacerowali po plażach, robili wyprawy na skalne urwiska i nad zatoki. W nocy Klementyna leżała zadowolona w ramionach Jacksona. Nie próbował jej nakłonić do kochania się i wiedziała, że powinna być mu za to wdzięczna. Bardzo często słysząc bicie jego serca i czując na ramieniu dotyk jego ciepłych palców, miała ochotę namiętnie go pocałować, zasmakować jego pieścizot, zmusić go, by wypalił z niej wszystkie wspomnienia. Kiedy ostatni raz dotykał jej piersi, czuła niemal przyjemność. Może potrzebowała po prostu dodatkowej zachęty. Zawsze jednak w ostatniej chwili odsuwała się, bo niepewność i lęk, które nagromadziła i pielęgnowała w sobie przez ostatnie lata jak coś nienaruszalnego, wciąż były silniejsze. Powiedział, że będzie czekać całe życie. Zastanawiała się, czy to prawda.

Mimo to była szczęśliwa. Będzie szczęśliwa wszędzie, jeśli tylko Jackson znajdzie się u jej boku, ale wolałaby, żeby osiedlili się dalej od morza, może gdzieś na wsi. Brakowało jej cienia drzew, kojącego zapachu kurzu, wieczornego wkładania swetrów.

- Boję się, że to się skończy - wyszeptwała. Stanął z tyłu i oparł brodę na jej ramieniu.

- Nie dopuszczę do tego.

Uśmiechnęła się i odchyliła głowę do tyłu, przytulając policzek do jego twarzy.

- Mój bohaterze.

- Będę nim do zgonu.

Dwa dni później, kiedy Jackson skończył portret Megan, Klementyna przyglądała mu się w salonie wynajętego przez nich domku.

- Co z nim zrobisz? - zapytała.

- Nie jestem pewien. - Usiadł na kanapie. - Z jednej strony chciałbym bardzo zebrać wszystkie trzy wasze portrety i otworzyć własną galerię. Nazwałbym ją: „Kobiety, które kochałem”.

- Co za egotyzm. Roześmiał się.

- Chciałbym też dać go Megan. Obawiam się jednak, że mogłaby to źle zrozumieć.

- To znaczy jak?

- Nie wiem. Może jako znak, że istnieje szansa na odnowienie naszego związku. Nie chciałbym jej znów zranić.

- Wydaje mi się, że jest z Joeyem szczęśliwa.

- Może masz rację - powiedział Jackson. - Zobaczą, co mi podszeptnie intuicja. Jestem po prostu zadowolony, że wreszcie to z siebie wyrzuciłem i przelałem na płótno. No, dość już o tym. Chodź tu, niewiasto - powiedział, wyciągając ramiona.

- To teraz jestem niewiastą, tak? - ze śmiechem rzuciła się na kanapę w jego objęcia. Przemknęła jej przez głowę myśl, że życie jest dziwne, bo odrobina miłości przyćmiewa ból całego życia i rzeczywista jest dla niej teraz tylko ta chwila z tym mężczyzną.

* * *

Klementyna i Jackson spędzili w Meksyku pełne dwa tygodnie. Śmiali się, pili margarity, tańczyli w takt muzyki zespołów mariachi i budzili się o świcie, żeby obejrzeć wschód słońca. Opowiedział jej o sobie wszystko, nawet rzeczy, o których wcześniej nie myślał - że bardzo mu brakuje bliskości rodziny i że próżnia powstała w nim po śmierci ojca nigdy nie została zapełniona, nawet przez ojczyma. Klementyna zaś opowiedziała mu o Duke'u, o swojej bezkrytycznej miłości do niego, zaprawionej goryczą ich ostatniego spotkania, i o swoim niedawno odkrytym nieślubnym pochodzeniu, które boli jak nieodporną na infekcje otwarta rana.

- Było mi z tobą fantastycznie - powiedział Jackson ostatniego dnia. - Szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że mężczyzna i kobieta mogą tak przyjemnie spędzać czas, nie uprawiając seksu.

Siedzieli na plaży niedaleko ich domku. Podmuchy ciepłego wiatru rozwiewały gęste włosy Klementyny. Odwróciła wzrok.

- Przykro mi.

- Nie ma powodu, Klementyno. Jestem zadowolony, że się nie kochaliśmy. Dzięki temu mamy dowód na to, o czym wiedziałem od początku - że łączące nas uczucie nie opiera się wyłącznie na pociągu fizycznym, lecz na czymś głębszym. Uwielbiam przebywać z tobą, dzielić z tobą swoje życie.

Oparła mu głowę na ramieniu.

- Najdziwniejsze, że już się nie obawiam fizycznego kontaktu - powiedziała. - Boję się tylko swoich myśli, swoich wspomnień. One wciąż są w moim umyśle.

- Twój umysł jest częścią twojego ciała. Jest z nim połączony. Nie chciałbym, żebyś wyłączała swoje myśli tylko po to, żebym mógł mieć twoje ciało. Poczekamy, aż dostaniemy zgodę jednego i drugiego.

W drodze do domu Klementyna szczegółowo zaplanowała, co powie Megan. Będzie zdecydowana, ale wyrozumiała, przygotuje się na wybuch złości i łzy, na każdą reakcję Megan. Kiedy jednak weszli do domu, Klementyna odkryła, że przygotowania nie zdały się na nic, bo występu nie będzie. Megan zostawiła bilecik w tym samym miejscu, w którym Klementyna umieściła swój. „Nie będzie mnie przez najbliższe trzy tygodnie. To niespodzianka. Ty też się o mnie nie martw. Całuję, Megan”. Bez względu na charakter niespodzianki była ona darem niebios, trzytygodniowym odroczeniem wyroku.

Kiedy zabrzączał telefon, Jackson jeszcze wypakowywał bagaże z samochodu. Dzwoniła Alex, jak zwykle hałaśliwa i szczerą.

- Gdzie ty byłaś? - zapytała z miejsca Klementynę. - Nie uważasz, że twoje przyjaciółki zasługują przynajmniej na to, by je powiadomić, gdzie jesteś, żeby się nie denerwowały?

- Byłam w Meksyku z Jacksonem - odparła spokojnie Klementyna.

Alex zamilkła tylko na sekundę.

- No, to wyjaśnia, dlaczego do niego też nie mogłam się dodzwonić. Powinam była się domyślić.

- Nie złość się - powiedziała Klementyna.

- Nie złość się. Cieszę się. Oczywiście, o ile jesteście szczęśliwi.

- Nigdy nie byłam tak szczęśliwa, Alex. Nie rozumiem, jak potrafiłam żyć bez niego.

- Nie roztkliwiaj się za bardzo, bo kiepsko to znoszę. Życie miłosne wszystkich ludzi jest usłane różami, a moje kamieniami.

- Nie wygłupiaj się. Ciesz się tym, co masz.

- Jakbym słyszała drugą swoją przyjaciółkę. Ale, ale. Megan chciała, żebym przekazała ci pewną wiadomość.

W tym momencie Jackson wszedł do pokoju i pocałował ją w szyję. Po plecach przeszły ją rozkoszne dreszcze. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby przeżyć dłużej niż dzień, nie czując ich znowu.

Alex zrobiła efektowną pauzę i powiedziała:

- Megan i Joey pobrali się dwa dni temu. Pojechali teraz w podróż poślubną do Anglii.

Klementyna zamknęła oczy i zmówiła modlitwę dziękczynną. Wreszcie. Cieszyła się ze względu na siebie, ale także ze względu na Megan. Jej przyjaciółka zasługiwała na szczęście. Ze wszystkich osób, które Klementyna знаła, Megan zasługiwała na nie najbardziej.

- Megan i Joey pobrali się - poinformowała z uśmiechem Jacksona. - Wyjechali w podróż poślubną.

Jackson wydał tak głębokie westchnienie ulgi, że w Klementynie zrodziło się podejrzenie, iż powstrzymywał je przez siedem lat, od rozwodu. Pocałował ją.

- Widzisz? Wszystko układa się jak najlepiej. Przytaknęła i wróciła do rozmowy.

- To cudownie, Alex. Dlaczego utrzymywali wszystko w takiej tajemnicy?

- Nie wiem. To chyba wpływ romansów. Zadzwonili do mnie dopiero wczoraj. Przejęci jak dzieci. Cały czas chichotali.

- Naprawdę się cieszę, że są szczęśliwi. Alex odezwała się po chwili wahania.

- Dlaczego nie mówisz tego, co myślisz? Cieszysz się ze względu na siebie, prawda?

- Cieszę się ze względu na nas obie. Mówiłaś, że się nie złościsz.

- Bo się nie złoścę. Pragnę szczęścia dla was obu. Ale nie przyszło mi do głowy, że uciekniecie z Jacksonem do Meksyku. To, że sytuacja zmieniła się na twoją korzyść, nie znaczy jeszcze, że masz się czym upajać.

- Niczym się nie upajam.

- Owszem, tak. Mogłabyś być z Megan bardziej szczerą. To, że jest teraz mężatką, nie oznacza, że nie poczuje się zdradzona, kiedy jej powiesz o swojej potajemnej, romantycznej eskapadzie z Jacksonem.

- Może nie powinnam jej o tym mówić.

- Boże, czy ty nie masz żadnej moralności?

- Dlaczego miałabym ją ranić, jeśli nie muszę? Mogę jej po prostu powiedzieć, że zaczęliśmy się spotykać. Przecież to zrozumie.

- Poddaję się. I tak zrobisz, co zechcesz, bez względu na to, co ja powiem.

- Nie złość się, Alex.

- Ja się, do cholery, nie złoścę. Po prostu mnie jedną obchodzą uczucia Megan, podczas gdy ty traktujesz ją jak zero.

Klementyna podskoczyła na głośny dźwięk rzuconej przez Alex słuchawki. Jackson przyglądał się, jak odwieszała telefon.

- Domyślam się, że Alex nie była zbyt zachwycona naszym małym wypadem - powiedział.

- Nie - Klementyna otworzyła drzwi balkonowe i wyszła na taras.

Jackson podszedł do niej od tyłu i objął ją w pasie.

- Nie daj jej nic sobie wmówić - powiedział. - Alex jest fantastyczna, ale czasem bywa trochę obłudna. Kiedy nic jej nie wychodzi we własnym życiu, uwielbia mieszać się w cudze sprawy.

Klementyna skinęła głową i oparła się o niego. Nie mogła wyjść ze zdumienia, jak kojąco działała na nią dotyk jego ciała.

- Nie dbam o to - powiedziała, odwracając się i spoglądając mu w oczy.

- Nie zależy mi na tym, kiedy jestem z tobą.

- Owszem, zależy - powiedział łagodnym tonem, głaszcząc ją po policzku. - Kiedy wróci Megan, będzie ci zależało na tym, żeby jej nie zranić. I będzie ci zależało na Alex, choćby wasze osobowości ścierały się nie wiedzieć jak mocno. I na pewno nie przestaniesz być aktorką z tego powodu, że jesteśmy razem.

- Co ja bez ciebie zrobię? - zapytała, wyobrażając sobie kilometry, które ich będą dzielić po jego powrocie do San Francisco za dwa dni.

- Pozostaniesz Klementyną Montgomery, gwiazdą aktorską. W głębi serca zachowasz jednak tajemnicę naszej miłości ze świadomością, że wkrótce, kiedy nadejdzie odpowiedni moment i oboje będziemy do tego gotowi, połączą się także nasze ciała.

Wzięła głęboki oddech.

- Już jestem do tego gotowa, Jacksonie. Jackson cofnął się.

- Co mówisz?

- Wiesz, co mówię. Jestem gotowa do tego, żeby się z tobą kochać.

- Na pewno? Myślałem, że potrzebujesz więcej czasu. Przez ostatnie dwa tygodnie nie zrobiliśmy nic w tym kierunku.

Odwróciła się do niego.

- Bo nie próbowałeś.

- Myślałem, że nie chcesz. Sądziłem, że będziemy do tego dochodzić stopniowo. Najpierw przez jakiś czas będziemy się całować, potem dotykać i dopiero na końcu...

- Jeśli to potrwa jeszcze jakiś czas, nigdy nie będę w stanie się z tobą kochać. Może tego chcesz.

Wsunął rękę w jej włosy.

- Oczywiście, że nie chcę. Chyba o tym wiesz.

- Nie wiem już nic oprócz tego, że im dłużej to odwlekamy, tym bardziej się boję, że nigdy nie będę gotowa. Chcę się z tobą kochać, Jacksonie. Chcę, żebyś GO ze mnie wypędził.

Spojrzał na nią, a ona pomyślała: „Zrób coś. Pośpiesz się. Tracę odwagę”.

Nagle w jednej chwili Jackson złapał ją w objęcia i zaczął całować. Na początku przeżyła moment zaskoczenia i wahania, ale zaraz zdała sobie sprawę, że to Jackson, mężczyzna, którego kocha, i zniknęły wszelkie wątpliwości. Zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno przytuliła.

Nie przestając całować, rozpiął jej bluzkę. Morska bryza była chłodna, a plaża pusta, ale nic nie miało znaczenia. Bluzka opadła na ziemię, potem jej spodnie, potem jego ubranie, aż wreszcie położyli się nago na tarasie. Wokół nich rozlegał się huk fal.

- Zawsze cię pragnąłem - wyszeptał Jackson. - Od pierwszego dnia, kiedy cię zobaczyłem, niczego w życiu nie pragnąłem tak jak ciebie. Ale bardzo się boję, że cię zranię, że coś zepsuję.

- Ja już się nie boję - powiedziała. - Kiedy jesteś tak blisko, nie liczy się nic oprócz ciebie.

Chwyliła jego dłonie i położyła na swoich piersiach. Westchnął, a kiedy zaczął kreślić linie na jej skórze, zamknęła oczy.

Miała wrażenie, że jego dłonie są wszędzie. Wzbudzały mrowienie na jej skórze i podniecały ją. Muskał ją także wiatr i nie wiedziała już, gdzie dotyka jej on, gdzie wiatr. Przesuwała palcami po biodrze Jacksona, po jego brzuchu i po włosach poniżej pępka. Jego ciało wydawało jej się piękne. Nie było brudne i nie przerażało. Zachwycała ją jego siła, jego mięśnie i włosy. Kiedy go dotykała, nie nawiedzały jej żadne wspomnienia, żadne natrętne myśli. Żałowała tylko, że tak długo trwało, zanim doszli do tego etapu.

- Jesteś pewna, że chcesz? - zapytał.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Jest przy niej, kocha ją. Jakim cudem trafiło się jej takie szczęście?

- Absolutnie.

Wsunął rękę między jej nogi i zaczął delikatnie dotykać, aż się rozluźniła. Całował ją w szyję i w obie piersi, przyciągał ją i odsuwał, ruchami dłoni odpędzając jej obawy. Jego pieczyoty były fantastyczne. Były doskonałe.

Położył jej dłoń na policzku i wszedł w nią, patrząc jej w oczy. Klementyna prawie się roześmiała z rozkoszy. To było cudowne uczucie. Tak inne, tak dalekie od tamtej brutalnej sceny w uliczce, że wiedziała, iż jedno nie ma z drugim nic wspólnego. Uniosła się, żeby go przyjąć, i położyła mu dłonie na plecach, mocno do siebie przyciągając. Gdyby mogła, zatrzymałaby go w sobie na zawsze.

Kiedy mistrzowsko spotęgował jej rozkosz, aż eksplodowała z jej wnętrza, przebiegając do samych palców rąk i nóg, kiedy wykrzyczał jej imię, samemu doznając spazmu rozkoszy i wypełniając ją, kiedy wrócili oboje na ziemię i usłyszeli głos dziecka baraszkującego w falach nieco dalej na plaży i zobaczyli warstewkę piasku na swojej skórze, Klementyna roześmiała się.

- Aha, więc byłem śmieszny? - powiedział. Uściskała go. Czuła się fantastycznie. Była spełniona.

- Byłeś wspaniały.

- Żadnych wspomnień? - Podparł się na łokciu.

- Żadnych. Tylko ty.

- Wiesz, że teraz będziesz musiała się ode mnie opędzać - powiedział. - Czuję w sobie dużo energii, którą chciałbym przy tobie wyładować.

- Nie widzę problemu.

Słońce szybko zachodziło, nadając niebu pomarańczową barwę. Jackson pomógł jej wstać i ubrali się. Weszli do środka trzymając się za ręce, a Klementyna miała wrażenie, że śni. Czuła się w swoim ciele błogo, zmysłowo i absolutnie kobieco. Znów była czysta.

Rozdział 23

Megan wysiadła z samochodu ubrana w nową białą suknię i jedwabny turkusowy szal. Obserwując ją z okna kuchni, Klementyna pomyślała, że wygląd przyjaciółki wyraźnie się zmienił. Miała takie same włosy i jak zawsze dyskretny makijaż, inne były jednak jej roziskrzane oczy i wysoko podniesiona głowa. Megan nareszcie czuła się dobrze, swobodnie, we własnej skórze. Wymieniła spojrzenia z mężczyzną, który spacerował ulicą z psem, i weszła.

- Klementyno, wróciłam. Jesteś w domu? Klementyna wyszła z kuchni, usiłując opanować walenie serca. Mocno uściskała Megan.

- Bardzo dziękuję za zaproszenie na ślub, pani Holmes. Megan roześmiała się.

- Och, Klementyno, było tak romantycznie. Naprawdę. Dokładnie jak w moich powieściach.

Megan chwyciła ją za rękę i zaprowadziła na taras. Usiadły przy stole z kutego żelaza i szkła, zwrócone twarzą do oceanu.

- Zrobiliśmy sobie badania krwi i znaleźliśmy pastora, który dał nam ślub na wzgórzu z widokiem na ocean. A potem poleciliśmy do Anglii. Nie masz pojęcia, jak tam jest pięknie. Miałam wrażenie, że tam się urodziłam, wśród falistych, zielonych wzgórz i kwiatów. Czułam się, jakbym wreszcie wróciła do domu. Zaczęliśmy nawet rozmawiać z Joeyem, czy się tam nie przeprowadzić, gdyby to było do załatwienia.

- Wygląda na to, że było fantastycznie - powiedziała Klementyna.

- Było. Wiesz, nie miałam pewności, czy powinnam znów wychodzić za mąż. Głupie, nie? Z Jacksonem nie wahałam się ani chwili. Byłam pewna, że jest to nam przeznaczone, a popatrz tylko, jak się wszystko skończyło. Za to z Joeyem, kiedy już powiedziałam „tak”, do samego końca zastanawiałam się, czy dobrze robię.

- A dobrze zrobiłaś?

- Tak. Bez wątplenia. Kiedy znaleźliśmy się z Joeyem w Anglii, zupełnie sami, zrozumiałam, że to najwłaściwsza rzecz, jaką zrobiłam w życiu. Spacerowaliśmy godzinami i rozmawialiśmy o wszystkim. On jest częścią mnie. Wie, co myślę i czuję, czasem nawet, zanim ja się o tym dowiem.

- Tak się cieszę.

- To nie to samo co z Jacksonem - powiedziała Megan, patrząc na ocean. Namyslała się, obserwując grupę młodych mężczyzn wypychających na

fale kajaki i wskakujących do środka. - To mi przez długi czas przeszkadzało. Wydawało mi się, że powinno być tak samo. Ale kiedy pojechaliśmy do Anglii, zdałam sobie sprawę, że nie byłam z Jacksonem szczęśliwa. Kochałam go. Chryste, jak ja go kochałam. I próbowałam być szczęśliwa. Ale w głębi serca zawsze czułam, że coś jest między nami nie tak. Przy Joeyu mogę po prostu być sobą i wiem, że to zawsze wystarczy.

Klementyna nagle wstała i podeszła na skraj tarasu. Wiatr rozwiewał jej włosy wokół twarzy.

- Muszę ci o czymś powiedzieć - odezwała się, nie odwracając głowy.

- Przepraszam - powiedziała Megan. - Cały czas gadam, a ty przecież też chcesz opowiedzieć o swoich wakacjach. Gdzie wyjechałaś? Odpoczęłaś?

Klementyna odwróciła się i spojrzała na przyjaciółkę. Megan wyglądała lepiej niż kiedykolwiek, była bardziej pewna siebie, szczęśliwsza, pełna życia i nadziei. Z pewnością to, że Klementyna wyjechała z Jacksonem, nie zrobi na niej wrażenia. Pewnie zbagatelizuje sprawę.

- Nie wyjechałam sama - powiedziała. Megan otworzyła szeroko oczy.

- Nie wierzę. Ukrywałaś jakiegoś faceta i nic mi o tym nie mówiłaś. Ale jesteś tajemnicza. Kto to? Umieram z ciekawości.

Klementyna odwróciła twarz w kierunku morza, bojąc się spojrzeć na Megan.

- Jackson - wyszeptała.

Megan poczuła, że krew odpływa jej z twarzy i kręci jej się w głowie. Osunęła się na krzesło, ściskając poręcz.

- Nie myśl, że to już długo trwa - dorzuciła szybko Klementyna, odwracając się do niej z powrotem. - Przyjechał tego wieczora, kiedy poszliśmy z Joeyem na koncert. Byliśmy, jak by to ująć, sobą zainteresowani od dawna, ale nigdy nic z tego nie wynikło. Nie chciałam cię zranić. Nawet później, kiedy wydawałaś się szczęśliwa z Joeyem, ciągle się bałam ci powiedzieć, więc wpadłam na pomysł, żebyśmy pojechali do Meksyku na jakiś czas, dopóki nie zdobędę się na odwagę.

- Do Meksyku - powtórzyła Megan.

- Nie mogliśmy związać się od razu, tak samo jak ty i Joey. Przykro mi, Meg. Wiem, jak bardzo go kochałaś. Ale ja go też kocham. Jest dla mnie najważniejszy.

Już po wszystkim, wreszcie to powiedziała. A Megan nie płakała. Nie krzyczała. Właściwie nic nie robiła. Miała bladą i ściągniętą twarz, ale nie wydawała się wściekła.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Klementyna.

Megan zastanawiała się, gdzie się podziało całe ciepło z jej ciała. Jeszcze przed chwilą w niej krążyło, przesycając wszystko słońcem i nadzieją, a teraz była przemarznięta do kości. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że się na to zanosi. Musiałaby być ślepa, żeby nic nie zauważyć. Wiedziała o wernisażu. Zobaczyła w gazecie zdjęcie Klementyny, która trzymała Jacksona pod ramię na tle jednego z jego pejzaży, jakby do niej należał. Wiedziała też, że namalował portret Klementyny, który powiesiła nad swoim łóżkiem. Przez pięć lat małżeństwa ani razu nie pofatygował się, żeby namalować Megan. Wystarczyło jedno spojrzenie na Klementynę i powstało dzieło sztuki.

Były to jednak tylko dowody pośrednie, a ponieważ Klementyna nigdy nie poruszała tego tematu, Megan wolała uwierzyć w jej milczenie. Sądziła, jak widać - naiwnie, że Klementyna nigdy by jej nie okłamała. Co dziwne, nie sprawiała jej bólu wiadomość, że Klementyna i Jackson się związali. Bolało ją tylko, że została wystawiona do wiatru. Może i do niczego wcześniej nie doszło, ale oboje czuli do siebie pociąg. Dlaczego nic jej nie powiedzieli? Dlaczego traktowali ją jak wyszczerbiony kryształowy wazon, który nadaje się tylko do rozbicia? Pewnie, że by ją zabolalo. I to jak! Rozzłościłaby się, ale ból w końcu by ustąpił. A teraz będzie się czuć jak idiotka, gdy ich razem zobaczy albo choćby o nich pomyśli. Łatwowierna, głupia idiotka. Poczciwa, mała Megan znów dała się nabrać.

Podniosła wzrok i zobaczyła w protekcjonalnym spojrzeniu Klementyny charakterystyczny niepokój. A więc Klementyna kocha Jacksona i chce od Megan błogosławieństwa. To ironia losu, że od Megan teraz zależy, czy połączy ich wspaniały romans jak z kart powieści, którego tak pragną.

- Przyjechałam spakować resztę rzeczy - powiedziała wstając. - Zamieszkamy w domu Joeya, dopóki nie znajdziemy czegoś innego. Chciałabym willę z trzema sypialniami, z salonem muzycznym i pokojem dziecka. Spróbuję od razu zająć w ciążę.

- To cudownie, Megan, ale...

- Dziękuję, poradzę sobie sama. Mam w pokoju na górze parę kartonów, a jeśli się coś nie zmieści, przyślę w weekend Joeya.

Odwróciła się plecami i weszła do domu. Klementyna zrobiła krok w jej kierunku, ale zaraz zmieniła zdanie. Powinna była wiedzieć, że tak się to skończy. Żadnej złości. Żadnych łez. Nawet żadnego znaku, że przyjęła do wiadomości, że coś się stało. Megan wiedziała, że nie ma prawa się złościć,

chwyciła więc za swoją drugą broń. Uprzejmość. Wie, że ta uprzejmość zabija Klementynę.

* * *

Przez następne półtora roku Klementyna bez przerwy pracowała. Zagrała w dwóch filmach, w obu pierwszoplanowe, bardzo wyraziste role. W pierwszym wcieliła się w kobietę z elity, bogatą, o morderczych skłonnościach. W drugim zaś powierzono jej rolę schizofreniczki, która zostaje umieszczona przez rodzinę w zakładzie psychiatrycznym, gdzie zakochuje się w jednym z pacjentów. Chociaż codziennie pracowała, co pewien czas chodziła na sesje terapeutyczne i zbierała pomysły, w jaki sposób zdobyć kiedyś więcej funduszy dla ofiar gwałtów. Robiła wszystko, co tylko przyszło jej do głowy, żeby wypełnić samotne godziny w Los Angeles, podczas gdy Jackson był w San Francisco.

Film o schizofreniczce, „Niewłaściwa miłość”, znaczył dla niej najwięcej - nie ze względu na postać, którą grała, lecz dlatego, że nareszcie zaszył część jej życia starannymi szwami. Rolę Benny'ego, chorego psychicznie pacjenta, w którym ona się zakochuje, powierzono mało znanemu aktorowi, który powoli wspinał się po szczeblach kariery. Miał za sobą role w dwóch operach mydlanych i kilku filmach telewizyjnych. Klementyna śledziła jego drogę zawodową ze szczególną uwagą i kiedy zgłosił się na próbne zdjęcia do tego filmu, użyła swoich wpływów u producentów, by pomóc mu zdobyć rolę.

Najtrudniejszy był pierwszy dzień na planie. Stali niezręcznie naprzeciwko siebie, dopóki Klementyna nie odezwała się pierwsza.

- Connorze... - powiedziała.

Uśmiechnął się i uściskał ją, a wspomnienia tamtych szalonych nocy, kiedy po raz pierwszy się kochali, obudziły się z dawną siłą. Oprócz Jacksona był jedynym mężczyzną, któremu się dobrowolnie oddała i przez to zawsze będzie w jej życiu kimś wyjątkowym.

- Mówiłam, że ci się uda - powiedziała. Roześmiał się i zawołał swoją ciężarną żonę Angelę. Kiedy przyszła, objął ją w talii, a Klementyna zrozumiała, że znalazł kogoś, kto daje mu wszystko, czego potrzebuje i czego ona sama nigdy nie potrafiłaby mu dać. Cieszyło ją to.

Zaczynała pracę o świcie, a kończyła grubo po zmierzchu, po czym wlokła się do domu wyczerpana i zapadała w pozbawiony marzeń sen. Specjaliści od makijażu przeobrażali ją codziennie w inną osobę, w kobietę, która nie musi się martwić o to, co robi jej oddalony o setki kilometrów ukochany, ani o najlepszą przyjaciółkę. Przyjaciółkę, która nie

odpowiada na telefony i traktuje ją jak niepotrzebną znajomą. Niepokój pojawiał się tylko w weekendy, które Klementyna spędzała sama w swym wielkim domu na plaży.

Kiedy opadły emocje po burzliwych osiemnastu miesiącach, a filmy zostały nakręcone, Klementyna miała trzymiesięczną przerwę przed rozpoczęciem pracy nad następną rolą. Powróciły wątpliwości i dotkliwe poczucie samotności. Codziennie nękały ją myśli o Jacksonie. Usiłowała zapanować nad emocjami, poskromić je odwołując się do swego rozsądku i poczucia realizmu, ale serce chodziło własnymi drogami. Miłość do niego karmiła się sama sobą i co dzień rosła. Gdyby przynajmniej zrobił coś złe, rozzłościł ją w jakiś sposób, byłoby jej łatwiej. Ale kiedy była przygnębiona i samotna, siadał za kierownicą i jechał siedem godzin, żeby posiedzieć z nią i potrzymać ją za rękę. Rozśmieszał ją opowieściami o spotkaniach z barwnymi postaciami malarskiego świata. Malował pejzaże, które zapierały jej dech w piersiach.

Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, dlaczego ludzie się pobierają. Chcą być razem nie tylko w wielkich chwilach, jak premiery filmów czy wernisaże, ale także w mało ważnych - podczas porannej kawy i lektury niedzielnej gazety. Pragnęła zamykać wieczorem oczy ze świadomością, że on leży obok i rano nadal tam będzie. Zależało jej na trwałym związku. Chciała przedstawiać go swoim znajomym jako „swego męża, Jacksona”. Chciała nosić nazwisko Jacksona, siedzieć u jego boku i dzień i noc wysłuchiwać jego zwierzeń.

Jackson jednak jasno dał jej do zrozumienia, co sądzi o małżeństwie. A przynajmniej o małżeństwie z nią. Pewnej nocy, kiedy leżeli razem w łóżku, zdobyła się na odwagę i poruszyła ten temat.

- Nie znoszę przedstawiać cię jako mojego chłopaka - powiedziała. - To brzmi tak dziecinnie.

Roześmiał się.

- Rzeczywiście nie ma dobrego określenia na to, kim dla siebie jesteśmy. „Kochankowie” są zbyt obrazoburczy. „Znajomi” albo „przyjaciele” mówią za mało. Obawiam się, że nie pozostaje nam nic innego jak „chłopak” i „dziewczyna”.

- Bo chyba nie „mąż” i „żona” - powiedziała. Odsunął się, żeby ją lepiej zobaczyć.

- A zależy ci na tym?

Wyrównała oddech i zmusiła się do uśmiechu.

- Nie śpieszy mi się. - Nawet nie mrugnęła wypowiadając te słowa. Alex byłaby z niej dumna. Klementyna wyglądała absolutnie nonszalancko,

- Cieszę się - powiedział Jackson, przytulając ją znów do siebie. - Wiesz, że chcę się kiedyś z tobą ożenić. Ale teraz muszę się poświęcić malowaniu. Przedtem, z Megan, nie było to możliwe. Muszę nadrobić mnóstwo straconego czasu.

Klementyna nie ufała swoim strunom głosowym, więc tylko skinęła głową. Wiedziała, że nie ma powodu do smutku. Jackson ją kocha. Musi być cierpliwa, a on wreszcie się zdecyduje. Ale miłość, którą do niego żywiła, nie była cierpliwa. Budziła w niej oczekiwania i pragnienia.

- Gdybyśmy się teraz pobrali - ciągnął - byłbym mężem Klementyny Montgomery. Muszę najpierw zdobyć uznanie na własne konto. Chcę być dla ciebie równorzędnym partnerem. Rozumiesz to, prawda?

Pocałowała go w policzek.

- Oczywiście - odparła.

Wtuliła się ponownie w jego ramiona, udając przed nim i przed samą sobą, że to nie ma znaczenia, że małżeństwo to tylko świstek papieru, więc w czym problem.

Pewnego kwietniowego popołudnia Klementyna wchodziła do domu po schodach od strony tarasu, skończywszy codzienny jogging po plaży. Właśnie zdjęła buty, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Wbiegła do środka, żeby otworzyć.

Na frontowej werandzie stała Alex w urzędowej garsonce, z włosami przylegającymi z obu stron do głowy, jakby były przyklejone. Klementyna roześmiała się.

- Garsonki są w Malibu zakazane - powiedziała.

- Och, zamknij się - odparła Alex. Minęła ją i westchnęła z zadowoleniem, wszedłszy do klimatyzowanego wnętrza. Odpięła górny guzik bluzki i usiadła na kanapie. - Przyleciałam dzisiaj rano, wzięłam udział w naradzie połączonej ze śniadaniem, potem wybrałam się z Megan na obiad, a teraz przyszedłam do ciebie, żeby się odprężyć i razem z tobą zjeść kolację. Jeszcze nie miałam czasu, żeby się przebrać w kostium kąpielowy.

Klementyna usiadła obok niej.

- Widziałaś się z Megan?

Alex skinęła głową i zrzuciła buty, pomagając sobie stopami.

- Oczywiście.

- Co u niej słychać?

Alex wzruszyła ramionami.

- Szczerze mówiąc, była w kiepskim stanie. Niewiele jadła. Gdybym wiedziała, że tak źle się czuje, nie zabrałabym jej do Spago. Za dwadzieścia pięć dolców zjadła trzy listki sałaty i kęs cielęciny. Nie masz pojęcia, jakie tam mają teraz ceny, od kiedy stali się popularni. To skandal.

- Pytała o mnie? -

Alex pochyliła się do przodu, żeby zdjąć zakiet, po czym wyjęła szpilki z koczka i spuściła włosy na ramiona.

- Ciągłe ze sobą nie rozmawiacie?

- Owszem. Dzwonię do niej dwa razy w tygodniu i jeśli na nią trafię, to rozmawiamy. A raczej ona odpowiada na moje pytania monosylabami. Ale sama nigdy nie dzwoni. Nie odpowiada też na prośby o telefon, które przekazuję Joeyowi. Biedny Joey. Bez przerwy mnie przeprosza i powtarza, żebym dała jej trochę czasu.

Alex weszła do kuchni i nalała sobie szklanek wody. Pijąc, zdała sobie sprawę, jak rzadko bywa w Los Angeles, od kiedy spędza tyle czasu w Londynie. Jej życie zaczyna się układać. Wreszcie. Nadszedł dzień, kiedy na widok Brenta nie krwawi jej serce. Zadomowiła się w Londynie, gdzie dotrzymują jej towarzystwa Kate i inne przyjaciółki. Chociaż nie ma stanowiska wiceprezesa, praca daje jej satysfakcję. Są też w jej życiu mężczyźni i chociaż, jak dotąd, z żadnym się nie związała, jest jej dobrze. Z nią, Alex, jest dobrze.

Brakowało jej jednak tego poczucia bliskości, które dawały Klementyna i Megan. Zadawała sobie pytanie, czy Klementyna odczuwa ten brak tak głęboko, jak ona.

- Megan jest po prostu dotknięta - powiedziała.

- Spotykamy się z Jacksonem od ponad roku, Alex. Ona jest szczęśliwą mężatką. Dlaczego ja też nie mogę być szczęśliwa?

Alex stanęła przy kuchennym blacie, sącząc wodę.

- Rozmawiałaś z nią o tym poważnie?

- Już ci mówiłam. Dzwonię do niej dwa razy...

- Nie, pytam, czy próbowałaś z nią poważnie porozmawiać o tym, co czujesz. My wszystkie przestałyśmy ze sobą rozmawiać. Pytasz mnie, jak tam w pracy, a ja odpowiadam, że dobrze, chociaż właśnie mam cholerną nerwówkę. Ja pytam cię, jak tam filmy, a ty mówisz, że świetnie, choć wiem, że nie dają ci takiej satysfakcji, jak się spodziewałaś. W którym momencie przestałyśmy ze sobą rozmawiać? Kiedy przestałyśmy sobie mówić prawdę?

Klementyna spojrzała na Alex, a ta z hukiem odstawiała szklanę na blat. Z jednej strony była zażenowana swoim wybuchem, ale z drugiej - zadowolona, że powiedziała, co miała do powiedzenia. Już od lat przypominały we trójkę zamożne kobiety z podmiejskiego klubu, które z uśmiechem zatajają prawdę o swoich rozpadających się małżeństwach i wyrastających na przestępców dzieciach, nie chcąc psuć złudzenia swojej doskonałości. Alex zawsze myślała, że ich przyjaźń jest doskonalsza.

Klementyna wstała i podeszła do niej. Alex przygotowała się na najgorsze, wzięła pod uwagę ewentualność, że Klementyna już jej nie potrzebuje, że przyjaźń, która dla niej znaczy tak wiele, dla Klementyny przestała się liczyć. Ale Klementyna objęła ją i przytuliła najmocniej, jak potrafiła. Alex odetchnęła z ulgą i przestała powstrzymywać łzy, które napływały jej do oczu. Stały obejmując się i wdychając zapamiętane z przeszłości zapachy. Alex była zdziwiona, że czuje się w ramionach Klementyny tak samo jak wtedy, gdy były nastolatkami. Wiek wcale nie zmienia tak wielu rzeczy, jak można by sądzić.

- Opowiedz mi o wszystkim - powiedziała Klementyna, kiedy już się od siebie odsunęły.

Alex wzruszyła ramionami.

- Przepadam za Londynem, co nie znaczy, że nie zdarzają mi się tam wyczerpujące dni. Pracuję od siódmej rano do dziesiątej wieczorem. Mężczyźni, którzy pojawiają się w moim życiu i znikają, niewiele dla mnie znaczą i wątpię, czy to się kiedykolwiek zmieni. Wolę od nich towarzystwo Nesy'ego, mojego psa myśliwskiego. I nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo brak mi ciebie i Megan.

Klementyna pokręciła głową.

- Megan mnie nienawidzi, przez co czuję się, jakbym sama siebie nienawidziła. Robię te głupie filmy i sama nie wiem, po co. Nie jestem dzięki nim szczęśliwsza. Jackson wbił sobie do głowy, że zanim będziemy mogli się pobrać, musi zarobić tyle samo pieniędzy co ja. Dostaję powoli szału. Jestem cholernie rozczarowana. Tyle lat żyłam bez seksu, a teraz, kiedy wreszcie mogę go uprawiać, Jackson większość czasu spędza w San Francisco, malując jak opętany. Zaczynam się czuć jak osiemnastolatek, któremu stoi i który nie ma gdzie sobie ulżyć.

Spojrzały na siebie i roześmiały się.

- To wolę - powiedziała Alex. - Teraz przynajmniej wiem, że obie poniosłyśmy jako kobiety żalosne porażki.

Podeszły z powrotem do kanapy i usiadły. Alex wciąż trzymała ją za rękę.

- Powinnaś porozmawiać także z Megan - powiedziała.

- Tak, wiem.

- Przestań owijać w bawełnę. Powiedz jej, że ją kochasz, że ci przykro, że ją zraniłaś, ale kochasz Jacksona i nic na to nie poradzisz. Ona to zrozumie.

Klementyna siedziała przez chwilę w milczeniu, po czym wstała i chwyciła ze stołu swoją torebkę.

- Masz rację. Chodźmy.

- Teraz?

- Tak, teraz.

- Dopiero co przyjechałam. Muszę się przebrać. I jeśli będę musiała jeszcze raz prowadzić na drodze szybkiego ruchu w Los Angeles, to chyba dostanę kota.

- Idź się przebrać. Ja siądę za kierownicą. Ale musimy pojechać. To już za długo trwa.

* * *

Megan cofnęła się ze zdziwieniem, kiedy Alex stanęła w drzwiach po raz drugi w ciągu dnia. Zdziwienie ustąpiło miejsca zaniepokojeniu, gdy zobaczyła za jej plecami Klementynę.

Przesunęła się do środka, żeby je wpuścić.

- Nie spodziewałam się was.

- Przecież nas znasz - powiedziała Alex, maszerując przez wyłożony płytkami ceramicznymi przedpokój do salonu. Przy rozsuwanych, oszklonych drzwiach stał majestatycznie czarny fortepian. - Zawsze kochałyśmy niespodzianki.

Megan wskazała im miejsce na kanapie, a sama usiadła w bujanym fotelu.

- Jak się czujesz? - zapytała Alex.

- W ciągu ostatniej godziny zwymiotowałam dwa razy - powiedziała i przestała się bujać, bo żołądek zaczął ją gnieść.

- Myślisz, że jesteś w ciąży? - zapytała Klementyna.

Megan skuliła się, widząc, jak siedzą we dwie naprzeciwko - dumne i opanowane, jak zawsze. Jej najlepsze przyjaciółki. Bogata maklerka i gwiazda filmowa. Obie pięknie umalowane, skropione drogimi perfumami i ubrane dokładnie w takie stroje i dodatki, jak zalecają eleganckie magazyny mody.

- Nie wiem - odparła cicho, unikając wzroku Klementyny. - Nigdy nie miałam regularnej miesiączki, a mdłości zaczęły się dopiero parę dni temu. Zapisalam się do lekarza na środę, ale nie chcę rozbudzać w sobie nadziei.

- To byłoby wspaniale, gdybyś była w ciąży - powiedziała Klementyna.

Megan spojrzała na nią, zastanawiając się, czy Klementyna zdaje sobie sprawę, jak bardzo rani ją, Megan, jej widok w tym miejscu. To dom Megan. To ona go wybrała, sprawdziła, czy w garderobach jest dość miejsca i czy fundamenty nie osiadają. Sama wybrała obrazy na ściany i powiedziała Joeyowi, gdzie je powiesić. To jej kanapa i jej fotel bujany. Wchodząc do środka, Klementynie udało się naruszyć jedyną przestrzeń należącą wyłącznie do Megan. Przy doskonałej Klementynie każda plama na wykładzinie i każdy okruch na stole bije w oczy jak neon.

- Tak - wyszeptała.

Znów zapadła cisza, Megan zaczęła się bujać, Klementyna przesuwając dłonią po poręczu kanapy, a Alex przerzucała wzrok z jednej na drugą, czekając, aż któraś zacznie.

- W życiu nie widziałam czegoś równie absurdalnego - odezwała się wreszcie Alex. - Spójrzcie tylko na siebie. Jesteście przyjaciółkami od ponad dwudziestu lat, a teraz nie możecie nawet na siebie spojrzeć. I dlaczego? Z powodu jednego mężczyzny. Posłuchajcie, ja też kocham Jacksona. Wszystkie go, do cholery, kochamy. Ale my spotkałyśmy się najpierw. Nasza przyjaźń była pierwsza. - Spojrzała na Klementynę, która wciąż nie przejmowała inicjatywy, a potem na Megan, która przestała się bujać.

- Tu nie chodzi o Jacksona - powiedziała Megan.

- To o co, do cholery, chodzi? - zapytała Alex.

Megan czuła, że ma w żołądku pęcherzyk, który staje się coraz większy, przygniata wszystko do ścianek i wysysa z niej powietrze. Wstała i podeszła do fortepianu, zwrócona plecami do Alex i Klementyny.

- Chodzi o całe moje życie - odparła, wzięwszy głęboki oddech, żeby starczyło jej powietrza na to, co miała do powiedzenia. - O to, że przyjaźnię się z mózgowcem Alex i modelką Klementyną. A sama jestem tylko Megan. Zawsze byłam tylko Megan i żadna z was nie ma pojęcia, jak bardzo to boli.

- To nieprawda - zaproponowała Klementyna, wstając. Podeszła do Megan, ale ta odsunęła się i stanęła przy oknie.

- Czyżby? - spytała. - To powiedz, co we mnie jest takiego wyjątkowego.

Klementyna otworzyła usta, ale nie wydała z siebie dźwięku.

- Och, cudownie - powiedziała Megan. - Nawet nie potrafisz nic wymyślić.

- Ale ja potrafię. - Alex również wstała. - Jesteś życzliwa, pełna oddania, serdeczna...

- Przestań, przestań, przestań! - Megan zatkała uszy rękami. - Myślisz, że to mi poprawia samopoczucie? Myślisz, że to wystarczy? Czy tobie by wystarczyło, że jesteś życzliwa?

Alex odwróciła wzrok, a Megan opuściła ręce. Spojrzała na obie przyjaciółki, czując, że nagromadzone przez całe życie uczucia wzbierają w niej, sprawiając, że po raz pierwszy nie dba o własne słowa.

- Przez całe życie - powiedziała - byłam w waszym cieniu. Najpierw z Alex. Dowcipną, inteligentną, lubianą Alex. Z całej siły czepiałam się twojego ogona. Drżałam ze strachu, że pobiegiesz za szybko albo zorientujesz się, że depczę ci po piętach.

- Meg, ja...

- Daj mi skończyć! - krzyknęła. Chodziła po pokoju, nie zważając na żołądek, a słowa wylatywały jej z ust, zanim zdążyła je powstrzymać.

- A potem zjawiała się Klementyna. Tak piękna, że trudno mi było znieść jej widok. Obserwowałam, jak się poruszasz i jak mówisz. Ze wszystkich sił próbowałam się do ciebie upodobnić, żeby chłopcy patrzyli na mnie w taki sam sposób.

Klementyna spojrzała na nią i przez chwilę zobaczyła świat oczami Megan.

- Byłam wtedy bardzo młoda - ciągnęła Megan spokojniej. - Nie przeszkadzało mi, że jestem przeciętna i głupia dopóty, dopóki mogłam przebywać w waszym towarzystwie. Ale teraz jestem starsza, mądrzejsza i już mi nie wystarcza rola gamoniowatego piątego koła u wozu.

Podeszła do bujanego fotela i już miała na nim usiąść, kiedy zmieniła zdanie i odwróciła się do nich twarzą.

- Czy wy zdajecie sobie sprawę, że nigdy nie miałam w życiu nic, co należałoby tylko do mnie?

Alex otworzyła usta, ale Megan powstrzymała ją, podnosząc rękę.

- Chodziłaś z Tonym, zanim ja go spotkałam. Skrzywdził mnie z twojego powodu. - Spojrzała na Klementynę. - Jackson rzucił mnie dla ciebie, chociaż przez tyle lat byliście za bardzo przestraszeni i za głupi, żeby się związać. Nawet Joey jest bratem Alex. A co mam, do cholery, ja? Co mam własnego?

- Jackson cię kochał - wyszeptała Klementyna.

- Jak śmiesz mi mówić, co czuł Jackson! - wrzasnęła Megan. Ruszyła dumnym krokiem w kierunku Klementyny i zatrzymała się zaledwie kilka centymetrów od niej. - Nie zrobiłaś mi nawet tego zaszczytu, żeby opowiedzieć o własnych uczuciach. Traktowałaś mnie jak idiotkę, jak dziecko, jakbym nie potrafiła uporać się ze swoją złością albo smutkiem. Do cholery, Klementyno, gwizdź na to, co zrobicie. Wychodź sobie za niego, jeśli o mnie chodzi. Ale nie mogłabyś przynajmniej raz potraktować mnie jak osobę równą sobie? Jak kogoś, kogo szanujesz? Tak, jak potraktowałybyś Alex?

- Chciałam jak najlepiej. Przepraszam - powiedziała Klementyna, a po policzku spłynęła jej łza.

Alex wyciągnęła dłoń i wzięła Klementynę za rękę.

- Myślę, że za daleko się posuwasz, Megan. Megan cofnęła się i spojrzała na nią.

- Za daleko - powtórzyła. - To powiedz, Alex, jak daleko ty byś się posunęła na moim miejscu. Co byś zrobiła, gdybyś całe życie przeżyła w czyimś cieniu? Zbierając popłuczyny pochwał, popłuczyny miłości. Gdybyś to ty była człowiekiem gorszego gatunku i nie miała wsparcia w postaci udanej kariery zawodowej? Gdyby to ciebie mężczyźni wykorzystywali, żeby odegrać się na innej, i porzucali, żeby związać się z tą, którą naprawdę kochają?

- Nasze życie też nie jest usłane różami - powiedziała Alex. - Nie wiesz, jak to jest być zawsze samej i udawać, że dziesięć urzędowych garsonek rekompensuje wszystkie samotne noce.

- Może nie wiem - odparła Megan - ale sama tego chciałaś. Ja nie miałam nawet wyboru. A Klementynę spotykały w życiu same powodzenia. Jeśli nie liczyć tego gwałtu...

Klementyna odskoczyła, ściskając brzuch rękami.

- Przestań, Megan - powiedziała Alex.

- Nie przestanę! Jeśli nie liczyć gwałtu, zawsze dostawała to, czego chciała. Byłam waszą najlepszą przyjaciółką przez całe życie i co z tego mam? Kopniaki w twarz. Myślałam, że łączy nas coś wyjątkowego, przyjaźń, jaka trafia się raz w życiu, i to mnie przy was trzymało przez te wszystkie lata.

Chowałam dumę do kieszeni. Ale teraz widzę, że tylko ja tak czułam.

Odwróciła się na pięcie, podeszła zamaszystym krokiem do drzwi i pchnęła je na oścież.

- Coś wam powiem - oznajmiła, wychodząc na frontową werandę. - Czuję się wspaniale! W życiu nie czułam się tak fantastycznie. A wiecie, dlaczego? Bo już was nie potrzebuję. Dawniej myślałam, że jedyna rzecz, która mnie wyróżnia, to fakt, że się z wami przyjaźnię. Ale teraz mam Joeya, własne marzenia, a może nawet dziecko, które rośnie w moim wnętrzu. Oddaję wam wasze cienie. Niech sobie w nich wegetuje jakiś inny głupek. Ja mam własne życie.

Klementyna i Alex stały w milczeniu, patrząc na Megan, która oparła się o ścianę werandy.

- A teraz się wynoście z mojego domu.

Klementyna poruszyła się pierwsza. Minęła Megan i pobiegła do samochodu. Alex wyszła wolniej. Kiedy znalazła się przy Megan, przystanąła.

- Możesz sobie myśleć, co ci się podoba - powiedziała - ale ja zawsze uważałam cię za osobę sobie równą i za swoją najlepszą przyjaciółkę. Jedyńm człowiekiem, który miał cię za coś gorszego, byłaś ty sama.

Poszła do samochodu i wsiadła. Megan zauważyła, że Klementyna opuszcza głowę, a po policzkach ciekną jej łzy. Alex przytuliła ją do siebie i odjechały.

Megan wiedziała, że pożałuje każdego swojego słowa. Będzie płakać i nienawidzić się za okrucieństwo, za to, że zrezygnowała z dwojga ludzi, których najbardziej kochała. Na razie jednak uśmiechnęła się. Podniosła głowę i weszła do domu. Na razie jest wreszcie tą silną. I to cholernie przyjemne uczucie.

Rozdział 24

Telefon o drugiej w nocy nigdy nie wróży nic dobrego. Jego przeraźliwe dzwonięcie oznacza natychmiastowy alarm pierwszego stopnia. Oczywiście, o ile nie wplecie się w sen, jak to się stało w przypadku Klementyny. Zbierała właśnie z Jacksonem kwiaty na łące, gdy dobiegł ją dźwięk dzwonów odległego miasta. Pragnęła z całych sił zostać w świecie, który był dokładnie taki, jakim go stworzyła, ale bezlitosny głos Jacksona w końcu się przebił przez jej mury obronne.

- Wstawaj, Ciem. To do ciebie.

Podniosła się szybko, z bijącym sercem, jeszcze półprzytomna, i chwyciła słuchawkę.

- Klementyna Montgomery? - zapytał kobiecy głos. Odbiór zakłócały wyładowania atmosferyczne i z trudem rozróżniała słowa.

- Tak. Kto mówi?

- Carol Shornburg.

- Przykro mi, ale nie znam żadnej Carol...

- Jestem przyjaciółką pani ojca.

Klementyna chwyciła Jacksona za rękę. Poczowała ulgę znajdując ją obok siebie, ciepłą i silną. W ciągu dwóch miesięcy, które minęły od tamtej potwornej sceny w domu Megan, przyjeżdżał często, jakby próbował wypełnić pozostawioną przez nią lukę. Tym razem zjawił się na parę dni i od chwili jego przyjazdu Klementyna nie spuszczała wzroku z zegara, odmierzającego ich wspólne sekundy. Kiedy wyjeżdżał i pozostawała jej tylko poduszka do pociechy, czas zdawał się zatrzymywać w miejscu.

- Tak - powiedziała, usiłując nie myśleć o najgorszym. Mogło chodzić o wszystko. Nawet o coś dobrego. Może o pracę? Albo o ślub? - Słucham panią.

- Niestety, mam dla pani złą wiadomość - powiedziała Carol.

Klementyna ścisnęła słuchawkę tak mocno, że krew odpłynęła jej z dłoni, a skóra zbieleła.

- Nie wiem, jak mam to przekazać, więc chyba powiem wprost - ciągnęła Carol. - Duke zmarł kilka godzin temu. Na zawał. On... - W tym momencie Carol wybuchnęła niepohamowanym płaczem, milknąc tylko w momentach, gdy musiała zaczerpnąć oddechu. Klementyna oderwała słuchawkę od ucha i położyła ją na kolanach. Wbiła wzrok w przeciwległą ścianę, w lewy dolny róg obrazu Jacksona, przedstawiającego biały

budynek szkoły wiejskiej. Siedziała w bezruchu, nie mrugając powiekami i nie oddychając.

- Co się stało? - zapytał Jackson. Słyszał dobiegające ze słuchawki łkanie. - Powiedz.

Powoli, spokojnie, ruchem charakterystycznym dla Brittany - morderczynie-psychopatki, którą zagrała w „Dzikim szale” - odwróciła do niego twarz i wzruszyła ramionami.

- Mój ojciec nie żyje.

Jackson popatrzył na nią przez chwilę, na jej dziwny uśmiech i szklane oczy, po czym wyjął jej z ręki słuchawkę. Kiedy kobieta po drugiej stronie uspokoiła się, zapytał o szczegóły.

Klementyna słyszała jego głos z daleka, jakby z tunelu, który go od niej dzielił. Wystarczyło wyciągnąć rękę i dotknąć Jacksona, a sama też by się tam znalazła. Ale ona oczywiście nie chciała. Zostanie tu, gdzie jest, bo to bezpieczne miejsce, i będzie patrzeć w róg obrazu, aż wzrok jej się zmąci, aż zaśnie.

Usłyszała trzask odkładanej słuchawki i poczuła na ramieniu dotyk palców Jacksona.

- Klementyno, tak mi...

- Óóóóóó - powiedziała. Wciąż miała wzrok utkwiony przed sobą, ale musiała bardzo się starać, żeby pozostać w izolacji od Jacksona, od telefonu, od życia, bo coś ją ciągnęło z powrotem. - Duke umarł...Duke umarł... Duke umarł... - Te słowa dźwięczały jej w głowie, a przed oczami przesuwała się twarz Duke'a - nie ta, którą widziała ostatnio, lecz ta, którą знаła jako dziecko, radosna i doskonała. Myślała, że przestała go kochać, a przynajmniej że wyrzuciła go z pamięci. Teraz jednak nie żył, a nienawiść jest zbędnym balastem, gdy nie ma jej przeciw komu zwrócić.

- Chcę teraz spać - powiedziała. Naciągnęła przykrycie pod szyję i położyła się po swojej stronie, odsuwając się od Jacksona. Ocean wciąż huczał, zegar tykał, a ulicą przemknął jakiś samochód. Świat się kręci, a tymczasem Duke nie żyje.

Jackson przywarł do niej całym ciałem i objął ją w pasie.

- Kocham cię - szepnął.

Klementynie, która mistrzowsko panowała nad swoim ciałem, udało się zmusić do zaśnięcia. Zadrzała tylko raz.

Rano Jackson zbudził się w pustej sypialni. Popędził na dół i wybiegł na taras, gdzie znalazł Klementynę, która siedziała w milczeniu owinięta w koc i zaczerwienionymi oczami patrzyła na morze.

- Czuję się taka samotna - powiedziała. Usiadł obok i wziął ją za rękę. - Kiedy miałam ojca - to nic, że złego - byłam czyjaś córeczką. Istniał ktoś, kto był ze mnie dumny.

- Twoja matka jest z ciebie dumna - powiedział Jackson. - Ija.

- Obudziłam się rano i przez mgnienie oka pomyślałam, że wszystko jest w porządku. A potem sobie przypomniałam. - Zadrżała i owinęła się mocniej kocem. - Ogarnęło mnie wrażenie, że mam w brzuchu ogromną dziurę, jakby wydarto ze mnie cały kawał życia. Był wolnym ptakiem, leniwym, nieszczerym, ale urzekającym. Nie mogę uwierzyć, że go nigdy więcej nie zobaczę.

- Wiem - szepnął Jackson.

- Nie powiedziałam mu mnóstwa rzeczy. Pozwoliłam, żebyśmy się rozstali w taki przykry sposób. Zawsze mi się wydawało, że kiedyś, gdy oboje się zestarzejemy i zmądrzejemy, spotkamy się znowu i powiemy sobie, że wszystko zostało wybaczone. Zakładałam, że mam kupę czasu.

- Wszyscy sądzą, że starczy nam czasu, żeby powiedzieć to, co chcemy. Odkładamy więc moment pojednania albo przebaczenia z dnia na dzień. Ciągłe powtarzamy: „Jutro zadzwonię. Jutro przeproszę”.

Umilkli na dłuższą chwilę, obserwując poranne słońce przesuwające się ponad linię horyzontu i barwiące purpurowe niebo cienką smugą żółci.

- Kiedy umarł mój ojciec - powiedział cicho Jackson - myślałem, że to moja wina. Co wieczór prosił mnie, żebym przyszedł przed snem do jego pokoju i pocałował go na dobranoc. Tego wieczora, kiedy został zastrzelony, tak fajnie grało mi się z kolegami na ulicy w futbol, że kiedy miałem iść spać, kompletnie o nim zapomniałem.

- Och, Jacksonie. - Oparła głowę na jego ramieniu.

- Byłem przekonany, że gdybym pocałował go na dobranoc albo powiedział, że go kocham, czego zawsze tak pragnął, ciągle by żył. Tak niewiele trzeba mu było do szczęścia, ale ja byłem zbyt zaabsorbowany własnymi sprawami, żeby zdobyć się na jakiś gest.

- Byłeś tylko dzieckiem.

- Wiem. Ale wciąż czuję się winny, że nie powiedziałem mu tylu rzeczy.

- Nie ma na to rady. Tak już musi zostać. Jackson wstał.

- Próbowalaś się pojednać najlepiej, jak umiałaś. Pozostaje ci mieć nadzieję, że on wiedział, co czułaś, nawet jeśli mu o tym nie powiedziałaś. I, kto wie, może on gdzieś tam jest i przygląda ci się z góry.

Pocałował ją w czubek głowy i wszedł do domu. Wiatr muskał twarz Klementyny i przemknęło jej przez myśl, że jest jak oddech, który osusza jej łzy.

* * *

Następnej niedzieli Klementyna poleciała do Phoenix na pogrzeb. Uroczystość była krótka, a uczestników niewielu - tylko Carol, jej rodzina i przyjaciele oraz Klementyna. Po zakończeniu przejechali z domu pogrzebowego na cmentarz, gdzie pastor wygłosił ostatnie słowo, a trumnę spuszczone do grobu w obecności stojących wokół osób. Klementyna rzuciła na nią czerwoną różę i cofnęła się, stając obok Carol.

- Tęsknił za panią - powiedziała tamta.

Klementyna otarła łzy i uśmiechnęła się do Carol, która była zupełnie inna niż się spodziewała. Zawsze wyobrażała sobie Duke'a ze szczupłymi, młodymi blond laskami - z postrzelonymi kobitkami, dla jakich rzucił dawno temu matkę. Ale Carol miała ciemne włosy, była w średnim wieku, lekko przy tuszy i była zaskakująco bezbarwna. Jej największymi atutami były ciepło i humor, czyli cechy, które, jak się Klementynie wydawało, Duke niezbyt cenił. Bez wątplenia, było wiele rzeczy związanych z Duke'm, których Klementyna nigdy nie pojmie.

- Nie musiała pani tego mówić - odparła. - Wiem, jak bardzo naruszałam reguły stylu życia, który on cenił, i pogodziłam się z tą myślą. Kochałam go mimo to.

- To, że nie chce się kogoś w swoim życiu, nie znaczy jeszcze, że można przestać go kochać.

Klementyna uśmiechnęła się. Poczwała zadowolenie, że gdy Duke odchodził, Carol była u jego boku.

- Wie pani, co on robił? - zapytała Carol. Klementyna pokręciła głową.

- Jak wchodził na ekrany pani nowy film, zaciągał mnie do kina trzy albo cztery razy. Gdy tylko pani nazwisko pojawiała się na ekranie w początkowych napisach, wstawał i krzyczał: „To moja córka!”.

- Nie. - Klementyna roześmiała się.

- To absolutna prawda. Oczywiście nikt mu nie wierzył. Był gburowaty i biedny, a pani jest piękną gwiazdą. Ale jego to nie obchodziło. Był z pani dumny, Klementyno. Nawet jeśli nie potrafił się do tego przyznać sam przed sobą, to jestem przekonana, że gdy patrzył na panią, myślał sobie: „Mój Boże, to śliczne stworzenie jest moją córką”. I to go uszczęśliwiało.

Klementyna uścisnęła rękę Carol, podeszła do grobu, który był już zasypany ziemią, i uklękła.

- Ciągłe jestem twoją córeczką - wyszeptała. Wzięła do ręki garść ziemi i włożyła do kieszeni.

* * *

Świat był czarny. Klementyna pociągnęła za rogi chustki, która zakrywała jej oczy, ale Jackson trzepnął ją po rękach.

- Przestań - powiedział. - Mówiłem, żebyś nie podglądała.

- Jestem zupełnie zdezorientowana - powiedziała i wciągnęła powietrze w nozdrza, usiłując wyrobić sobie jakieś pojęcie o tym, dokąd jadą. Parę godzin temu odebrali na lotnisku Kennedy'ego wynajęty samochód i jak tylko wsiedli, Jackson zasłonił jej oczy. Przez jakiś czas spała. Ale jechali teraz po wyboistej drodze i to ją zbudziło.

- Jak długo już jedziemy? - zapytała.

- Może godzinę, może pięć.

- To niesprawiedliwe.

- Życie jest niesprawiedliwe.

- Nie wygłupiaj się, Jacksonie. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

- I o to chodzi - odparł z uśmiechem. Był zaskoczony własnym podnieceniem. Planował to od tak dawna - właściwie już od piętnastu miesięcy - że spodziewał się, iż jego początkowy entuzjazm osłabnie. A jednak czuł się teraz jak dzieciak, który po raz pierwszy jedzie na wycieczkę do Disneylandu. Zerknął na Klementynę, która pociągała nosem, kręciła się i odwracała. Rozpierała go radość. Nic na świecie nie sprawiało mu takiej przyjemności jak dawanie jej szczęścia.

Urzeczywistnienie własnych zamierzeń kosztowało go niemal herkulesowy wysiłek. Najpierw musiały wpłynąć zyski ze sprzedaży jego dwóch ostatnich obrazów, potem trzeba było sfinalizować kontrakt z Mossier Gallery na Manhattanie, która zgodziła się zostać na prawach wyłączności pośrednikiem sprzedaży jego prac na Wschodnim Wybrzeżu, i wreszcie przygotować nader ważną listę gości na nowojorski wernisaż. Kiedy wreszcie wszystkie umowy zostały zawarte i posiadłość kupiona, Klementyna była zbyt zajęta końcowymi pracami nad swoim ostatnim filmem, by opuścić Los Angeles.

Wreszcie jednak wszystkie sprawy zostały załatwione. Nie będzie dalszej zwłoki. Zapewnił sobie pozycję, cieszy się powodzeniem. Kiedy go pytają, gdzie pracuje, odpowiada z dumą: „Jestem malarzem”. Klementyna ciągle więcej zarabia - i pewnie tak już zostanie - ale jego to nie martwi. Może teraz być dla niej równorzędnym partnerem.

Nadal jechali przez lasy New Hampshire, przez gęste zagajniki topolowo-brzozowe, które zaczynała już ogarniać jesienna pożoga. Rześki, popołudniowy wiaterek strącał wyschnięte liście na przednią szybę. Jackson nigdy w życiu nie widział piękniejszej okolicy. Mógł się obyć bez plaży, wielkiego miasta i wysp tropikalnych. Wystarczała mu do szczęścia Nowa Anglia jesienią.

Piętnaście kilometrów wcześniej zjechał z głównej autostrady na poboczną, żwirową drogę. Teraz skręcił gwałtownie w prawo na prywatną polną ścieżkę. Klementyna podniosła głowę, czując, że znów coś się zmieniło. Roześmiał się.

Zatrzymał się na końcu dróżki. Przed nim znajdowało się dziesięć hektarów gęstego lasu i falujących wzgórz, a na skraju posiadłości nawet strumyk. Wszystko to należało do niego. Cztery razy przylatywał, żeby obejrzeć teren i skonsultować się z architektem, ile drzew wolno mu zgodnie z prawem wyciąć, jakie są ograniczenia w wielkości budynku i jego zewnętrznym wyglądzie i gdzie najlepiej postawić dom. Ostatecznie postanowili usunąć trzysta metrów kwadratowych lasu na szczycie wzgórza, pozostawiając ze wszystkich stron drzewa, by tworzyły intymniejszą atmosferę, lecz zachowując fantastyczny widok na rozciągającą się za nimi dolinę. Kiedy Jackson stanął z architektem na skraju wzgórza, zrozumiał, że wreszcie jest w domu i przysięgł sobie, że pewnego dnia tu przeniesie Klementynę przez próg.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział.

- To znaczy gdzie?

Znów się roześmiał. Pędem okrąży! samochód, otworzył drzwi od strony Klementyny i pomógł jej wysiąść.

- Ładnie pachnie - powiedziała.

Poprowadzi! ją powoli między drzewami na szczyt wzgórza, gdzie miał stanąć dom. Upewnił się jeszcze raz, że wybrał najładniejszą perspektywę, i odsłonił jej oczy. Klementyna mrugnęła powiekami i rozejrzała się.

Odsunęła się od niego na kilka kroków i przesunęła dłonią po pniu brzozy. Pod jej stopami szeleściły opadłe liście.

- Nie rozumiem - powiedziała. Objął ją ramieniem.

- Jesteśmy w domu, Ciem - wyszeptał. - Cała ta ziemia należy do nas. Chcę tu zbudować nasz dom.

Klementyna widziała na razie tylko drzewa, niektóre zielone, inne żółte, a kilka zabarwionych czerwienią. Słyszała szemrzącą w pewnej odległości wodę i dźwięczny śpiew ptaków nad głową.

- Jest tu jakaś woda? - zapytała.

- Strumyk. Chodź. Pokażę ci.

Wziął ją za rękę i zaprowadził przez las w dół wzgórza, które w miarę zbliżania się do strumyka było coraz bardziej strome.

- Możemy tu zrobić ścieżkę, jeśli chcesz - powiedział, klucząc między drzewami.

- Nie. Podoba mi się tak, jak jest.

Wreszcie dotarli do stóp wzgórza, gdzie po gładkich, zielonych od glonów kamykach płynął strumyk, jeszcze p' :i po letnich upałach. Usiedli na brzegu, zapadając się w pierzynę liści.

Klementyna zamknęła oczy i poddała się kojącemu działaniu plusku wody, zmywającemu wszystkie zawiłości, rozczarowania i niepokoje będące nierozdzielną częścią jej codziennego życia w Los Angeles. Jackson wystawił twarz do słońca, którego rozproszone promienie przenikały przez gałęzie.

Przez pół godziny milczeli, a ciszę zakłócały tylko woda, ptaki i wiatr. Wreszcie Klementyna otworzyła oczy i oparła głowę o ramię Jacksona.

- To najpiękniejsze miejsce, jakie w życiu widziałam - powiedziała.

Pocałował ją w czoło.

- Miałem nadzieję, że ci się spodoba. Zawsze byłem zakochany w lasach. Plaże są wspaniałe, ale w takich miejscach jak to, jest jakieś idealne piękno, jakaś czystość.

- Mogłabym się tu zatracić - powiedziała, wrzucając do strumienia liść i obserwując, jak odpływa.

- Tylko w mojej obecności. Uśmiechnęła się,

- Chcę, żebyś był ze mną wszędzie.

Po pewnym czasie wspięli się z powrotem na szczyt wzgórza, na miejsce, gdzie miał stanąć dom. Jackson przedstawił Klementynie własną wizję ich gniazdka.

- Chciałbym, żeby tu była kuchnia z widokiem na dolinę. A tu dałbym aneks jadalny. Dzięki temu mielibyśmy przy śniadaniu słońce. A co myślisz o tym, żeby tam postawić duży kamienny kominek? - Wskazał na miejsce, w którym chciałby umieścić salon.

Klementyna spojrzała na niego. Snuł plany na przyszłość, a tymczasem ona nie była pewna, czy przeżyją ją wspólnie.

- Czy to znaczy, że chcesz, żebym się tu wprowadziła i z tobą zamieszkała? - zapytała.

Ujął jej dłoń.

- Nie tylko zamieszkała. Chcę, żebyś została moją żoną, Klementyno.

Znieruchomiała. Tak często słyszała te słowa w wyobraźni, że teraz nie była pewna, czy rzeczywiście padły. Spuściła wzrok na ich splecione dłonie, potem spojrzała mu w twarz i zrozumiała, że to się dzieje naprawdę.

- Powtórz to - poprosiła.

Roześmiał się i przyłożył dłoń do swego serca.

- Czy zostaniesz moją żoną, Klementyno? Przysięgam, że będę dobrym mężem. Ze będę ciężko pracował jako artysta. Może nie mam najpewniejszej przyszłości zawodowej, ale zrobię, co w mojej mocy, żebyśmy żyli godziwie. I obiecuję, że będę cię kochał tak mocno, jak jeszcze żaden mężczyzna nie kochał kobiety. I...

- I będziesz mi codziennie mówić, że jestem piękna - odpowiedziała. - Tak.

- Przynosić śniadanie do łóżka, masować plecy i kochać się ze mną co noc tak fantastycznie jak zawsze.

- Jakoś to przeżyję. Coś jeszcze? Chwyciła jego dłonie.

- I nigdy mnie nie porzucisz - wyszeptała. Przytulił ją mocno do siebie.

- Zbudujemy nasz dom razem. On będzie naszym schronieniem przed wielkim, złym światem. Kiedy go skończymy, weźmiemy piękny ślub i rozpoczniemy wspólne życie. Jeśli będziesz chciała, możesz kręcić filmy albo zacząć pracę na rzecz funduszu ofiar gwałtu. Ja otworzę tutaj pracownię, żebym nie musiał się z tobą rozstawać. Obiecuję, że już nigdy nie będziesz sama.

Oparła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy.

- Myślę, że gdy tu zamieszkał - powiedziała po dłuższym milczeniu - wreszcie zdobędę się na publiczne opowiedzenie o gwałcie. Cała sprawa przestanie być taka straszna, jeśli będę wiedziała, że po powrocie do domu zastanę ciebie.

- Zrób to. Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

- Wiem.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz? - zapytał. - Wyjdiesz za takiego pechowca jak ja?

Roześmiała się.

- Chyba tak. Nie mam nic lepszego do wyboru. Przytulił ją. Tak samo jak w chwili, gdy Artur po raz pierwszy do niej zadzwonił i poprosił o przyjazd do Nowego Jorku, Klementyna nie czuła wyraźnej radości, choć była zadowolona. Na pewno czuła ulgę. Zwykłą ulgę, że skończyło się oczekiwanie i domysły. Nie uważała się za osobę wyjątkową ani piękną z

tego powodu, że Jackson ją kocha. Czuła po prostu, że uśmiechnęło się do niej szczęście, że jej anioł stróż ją lubi i sprawił jej bezcenny podarunek.

Jackson pociągnął ją na ziemię i powoli zdjął z niej ubranie. Dotykał Klementyny, nie spuszczać z niej wzroku. Była nim urzeczona. To uczucie nie zniknęło od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła.

Kochali się w miejscu, gdzie miała stanąć ich kuchnia. Kiedy skończyli, do Klementyny dotarło, że jest szczęśliwa. Zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno go objęła.

- Chcesz się ze mną ożenić - powiedziała, wciąż niepewna, czy to prawda.

- Chcesz za mnie wyjść - zawtórował jej. Oparł się na łokciu. Z przyczepionymi do włosów i skóry liśćmi i gałązkami wyglądał jak leśny bożek.

- Kocham cię - powiedział. - Ale robi się zimno jak cholera, więc lepiej się ubierzmy.

Ze śmiechem włożyli ubrania, a potem Jackson wskazał jej miejsce, gdzie miały być pozostałe pokoje.

- Wpadłem na pomysł, żeby na ścianie w bibliotece powiesić, jeśli będziesz chciała, jeden obok drugiego, twój portret, Alex i Megan.

- To dobry pomysł - powiedziała.

- Myślisz, że Alex zgodzi się rozstać ze swoim? Ten portret na ścianie codziennie podsycy jej dumę.

Klementyna uśmiechnęła się.

- Myślę, że spodoba jej się pomysł zgromadzenia nas w jednym miejscu, nawet jeśli w prawdziwym życiu nie udaje nam się tego zrealizować. - Przy końcu zdania jej głos złagodniał na wspomnienie przyjaciółek.

- Mam nadzieję - powiedział Jackson. - Skoro nie mogę trafić na właściwy moment, żeby wręczyć Megan jej portret, mógłby przynajmniej wisieć tu, w godnym miejscu, zamiast obrastać kurzem w garderobie. Tym sposobem bez względu na to, jak się ułożą sprawy między wami, będziesz miała przy sobie chociaż kawałek Megan.

Klementyna jeszcze raz się do niego przytuliła. Miała ochotę popędzić do najbliższego telefonu i zadzwonić do przyjaciółek. Jakie znaczenie miało jej szczęście, jej zaręczyny, jeśli nie mogła o nich nikomu opowiedzieć? Dzięki Megan i Alex wszystkie jej sukcesy miały przez wiele lat podwójną wagę. Kiedy ich oczy się roziskrzyły, kiedy jej mówiły, jakie są z niej dumne i jakie szczęśliwe, czuła, że przeżywa moment chwały po raz drugi.

Teraz było inaczej. Zmieniły się. Zbyt wiele rzeczy się zdarzyło, by można było cofnąć czas. Alex ucieszy się z jej szczęścia, ale nie będzie chciała zdecydowanie wystąpić przeciwko Megan. A, ma się rozumieć, Klementyna też nie może do niej zadzwonić. Nie rozmawiała z Megan od pięciu miesięcy, od tamtego spotkania w jej domu. Miała dobre chęci. Setki razy wybierała sześć spośród siedmiu cyfr, ale nigdy nie wykręciła numeru do końca. Cóż mogłaby jej powiedzieć? „Przykro mi” - nie pasowało do sytuacji. W Megan nagromadziło się morze pretensji i Klementyna nie potrafi tego przezwyciężyć.

Najgorsze, że Megan nawet nie wie, iż Klementyna też cierpi. Jackson nie może zastąpić jej wszystkiego, nie może zająć miejsca Megan. Pozostała jej, co prawda, Alex, ale to nie to samo. Idealny krąg tworzą tylko we trójkę.

Klementyna próbowała zadowolić się strzępami wieści o Megan przekazywanymi przez Alex - o planach zamieszkania z Joeyem na angielskiej wsi, jeśli chodzi o ścisłość - w hrabstwie Berkshire, o radości z powodu ciąży, po twierdzonej wkrótce po ostatnim spotkaniu z Klementyną, i o rozpaczach, gdy miesiąc później poroniła. Klementyna chciała do niej zadzwonić, przekazać wyrazy współczucia, ale było jasne, że jej współczucie nic już dla Megan nie znaczy. Miejsce niezwyklej więzi, która przez tyle lat je łączyła, zajęła gorycz.

Zamiast więc biec do telefonu, Klementyna została w ramionach Jacksona, słuchając bicia jego serca. Pocieszała się nadzieją, że wystarczy jej jego miłość, oświadczyły i ich ukryty przed resztą świata dom. Objęła go mocno, usiłując bezskutecznie przekonać samą siebie, że Jackson wypełni pustkę, która powstała w jej życiu po odejściu Megan.

Rozdział 25

Alex zapukała do sypialni. Jako dziecko wpadała przez te drzwi setki razy, nigdy nie zawracając sobie głowy tak bezsensowną czynnością jak pukanie. Teraz jednak sporo się zmieniło. Widywały się z Megan rzadko i odnosiły się do siebie z pewną ostrożnością. Alex nie miała innego wyjścia. Poza tym była już dorosła, miała trzydzieści pięć lat, więc powtarzała sobie na okrągło, że powinna zacząć się zachowywać jak osoba dorosła.

- Już wstałaś, Meg? - zapytała.

- Tak, wejdz.

Megan siedziała w łóżku, trzymając na kolanach otwartą książkę. W miejscu jej brzucha na kołdrze rysowała się wypukłość.

- O, Boże - jęknęła Alex z udawanym przerażeniem. - Zważywszy, że zostały trzy miesiące, a twoje tempo wynosi pięć romansów na tydzień, mam obawy, że rozwiedziecie się z Joeyem, zanim dziecko przyjdzie na świat.

- Nie mów takich rzeczy - powiedziała Megan.

- Czemu nie? Żaden mężczyzna nie dorówna Brandonom, Ashleyom, czy jak tam zwał bohaterów tych powieści. Nie ma takiego, który byłby piękny, bohaterski i silny, a jednocześnie delikatny i wrażliwy.

- Joey taki jest - powiedziała Megan łagodnym tonem. Alex uśmiechnęła się i usiadła na skraju łóżka.

- Jak się czujesz znowu pod rodzinnym dachem? Ja bym się chyba zabiła, gdybym miała wrócić do siebie.

- Eee, nie jest tak źle. Od śmierci taty mama poświęca cały czas na akcje dobroczynne. To jej pozwala zapomnieć o pustce w tym wielkim domu. Zwykle służba się mną opiekuje.

- Tęsknisz za Joeyem?

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo. Ale to najlepsze wyjście. Nie byłam najprzyjemniejszą towarzyszką od czasu poronienia w ubiegłym roku.

- Nie wygłupiaj się. Joey cię kocha.

- Wiem, ale się zdenerwowałam, kiedy zaszłam w ciążę bez konsultacji z lekarzem. Oczywiście miał rację. Wszyscy mi mówili, że poronienie było znakiem od Boga, że za bardzo się śpieszę, ale wcale nie było mi przez to łatwiej pogodzić się z myślą o utracie kolejnego dziecka. Tym razem wiem, że wszystko pójdzie dobrze. - Pewnym ruchem poklepała sześciomiesięczną ciążę.

- Ja też tak myślę. Chodzisz co tydzień na kontrolę do lekarza, prawda?

- Tak.

- I wiem, że Joey zawsze zdawał sobie sprawę, jak bardzo chcesz mieć dziecko.

- Tak, to prawda - wyszeptała Megan, wpatrując się oczyma wyobraźni w obraz Joeya, jaki nosiła w sercu podczas jego nieobecności. Dzięki rozłące zobaczyła wyraźniej, że jest jedynym mężczyzną, w którym kocha absolutnie wszystko - jego wady i zalety, złe i dobre cechy. Nie ma o nim żadnych wyidealizowanych wyobrażeń i ta świadomość dodaje jej otuchy. Uśmiechała się na samą myśl o nim.

- Zawsze mnie rozumiał lepiej niż inni - powiedziała. - Po poronieniu byłam zdruzgotana. Kiedy poszłam do lekarza po ostatnim spotkaniu z tobą i Ciem, nie mogłam uwierzyć, że naprawdę jestem w ciąży. A kiedy już się przyzwyczaiłam do tej myśli, straciłam dziecko.

- Teraz wyglądasz zdrowiej.

- Czuję się silniejsza. Dokładnie zastosowałam się do wskazań lekarza. Odczekałam, aż miną trzy miesiące od poronienia i dopiero wtedy znów zaszłam w ciążę. Cały czas spędzam w łóżku - to mi pomaga. Gdyby Joey tu był, tylko by się o mnie denerwował. A tak, może zaplanować naszą przeprowadzkę do Anglii.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że naprawdę się na to decydujecie.

- Dlaczego? Ja też mam własne cele. Tyle że inne niż twoje.

Alex wstała i podeszła do okna, przesłoniętego tymi samymi koronkowymi firankami, które w nim wisały za ich szkolnych czasów. Miała wrażenie, że każde jej słowo budzi teraz złość Megan. Przebywanie z nią przypominało spacer przez pole minowe.

- Nie to miałam na myśli. Po prostu to odważna decyzja. Megan zagięła kartkę w książce, odłożyła ją, po czym spojrzała na Alex.

- Nieważne - powiedziała. - Opowiedz, co słyhać u ciebie. Jak tam praca?

Alex już otwierała usta, żeby udzielić swej tradycyjnej odpowiedzi: „Świetnie. Wszystko gra”, zmieniła jednak zdanie. Podeszła z powrotem do łóżka i usiadła.

- Teraz już się ułożyło i jest jak dawniej, ale przez jakiś czas przeżywałam piekło. Kiedy Brent mianował wiceprezesem Maxine, myślałam, że złożę wymówienie. To stanowisko było moim największym marzeniem.

- Wiem - powiedziała Megan.

- Nie wiesz - odparła Alex - bo ci nigdy nie mówiłam. Nie przypuszczałam, że cię to zainteresuje. Uczucia to twoja domena, ja miałam tylko ambicję.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś wrażliwa, wiele czujesz.

- Bo czułam. Ciągłe czuję. Kiedyś się nawet zakochałam. Megan usiadła prosto.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Alex wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. To szybko się skończyło, a potem nie chciałam, żebyś widziała, jak cierpię. Nie chciałam, żebyś pomyślała, że straciłam głowę albo że wycofałam się ze wszystkich swoich zamierzeń.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Potem Megan przesunęła się na brzeg łóżka.

- Pomóż mi wstać - powiedziała.

- Myślałam...

- Tylko na chwilę. Pomóż mi.

Alex wyciągnęła ją z łóżka i Megan poszła do łazienki. W chwilę później wróciła z nożyczkami do manikiuru w rękę.

- Pamiętasz? - zapytała z uśmiechem.

Alex roześmiała się i wyciągnęła dłoń, a Megan usiadła obok niej. Przekłuła najpierw jej palec, a potem swój.

- Teraz - powiedziała, kiedy przyłożyły swoje palce i wymieszały krew - nie będziemy już mieć tajemnic.

Alex spojrzała jej w oczy.

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

- Och, Alex - powiedziała Megan, obejmując ją. - Powiedz, że jesteś szczęśliwa. Przyrzeknij, że dasz sobie radę.

- Jestem szczęśliwa - powiedziała Alex, pomagając Megan wejść do łóżka. - Nie w taki sposób jak ty albo Klementyna, ale mnie to wystarcza. Rzeczywiście zostałam stworzona do robienia interesów. W tym jestem najlepsza. W domu towarzystwa dotrzymuje mi Nessy i dzięki mojej przyjaciółce Kate nie nudzę się. Poza tym mam znów ciebie i Klementynę. Nie jestem teraz związana z żadnym mężczyzną, ale nie tracę nadziei. A jeśli nic się pod tym względem nie zmieni, to też dobrze.

- Sama mogłabyś coś zmienić - powiedziała Megan. - Może gdybyś rzuciła tę pracę i poszukała jakiejś łatwiejszej, znalazłabyś kogoś.

Alex pokręciła głową.

- Mogłabym, ale rzecz w tym, że dla mnie praca jest najważniejsza. Jestem, jaka jestem. Pogodziłam się z tym. I mimo wszystko uwielbiam

swój tryb życia. Teraz wiem, że Brent miał rację, kiedy nie dał mi stanowiska wiceprezesa i powiedział, że będę szczęśliwsza na polu bitwy. Maxine dostaje kota, siedząc beczynn timer za biurkiem cały dzień. A ja pracuję. I żyję. Kate poradziła mi kiedyś, żebym przestała rozmyślać nad życiem i zaczęła żyć. Próbuję to robić.

- A ten mężczyzna, którego kochałaś? Czy jest jakaś szansa, że się zejdziecie?

- Nie. Ale to mnie już nie martwi. Mówię szczerą prawdę. Czas pomniejsza wszystkie tragedie. I - wierz lub nie - można być szczęśliwą bez mężczyzny, Żyje się inaczej, spokojnie, ale nie mniej autentycznie. Dobre przyjaciółki mogą wynagrodzić niemal wszystko.

Siedziały we dwie, trzymając się za ręce i delektując swoją milczącą obecnością, którą kiedyś uważały za rzecz oczywistą. W końcu wróciły do rozmowy o przeprowadzce Megan do Anglii.

- Kiedy jedziecie? - zapytała Alex.

- Kilka miesięcy po narodzinach dziecka. Pewnie na początku przyszłego roku. Joey poleci tam w następnym miesiącu i spróbuje nawiązać jakieś kontakty z uniwersytetami i szkołami w Londynie. Ale nawet jeśli nie dostanie pracy od razu, starczy nam na jakiś czas pieniędzy z mojego majątku powierniczego i ze sprzedaży domu.

- Jesteś pewna, że chcesz wszystko rzucić i jechać? Megan uśmiechnęła się.

- Nigdy w życiu nie byłam niczego tak pewna. Jest mi potrzebne jakieś miejsce, które byłoby tylko moje. Wiem, że trudno ci to zrozumieć, ale...

- Rozumiem - powiedziała Alex. - Ale będzie mi cię brakować.

- Tyle czasu spędzasz w Londynie, że pewnie będziesz się z nami spotykać częściej niż inni. Prócz tego musisz przecież przyjeżdżać w odwiedziny do swojej chrześniaczki.

- Ciągłe myślisz, że to będzie dziewczynka?

- Jestem o tym przekonana. T mam absolutną pewność, że tym razem nic się złego nie stanie. Nie dopuszczę do tego. Ona jest silna.

- Jak jej mama. - Alex wzięła głęboki oddech i doszła do wniosku, że powinna Megan przekazać nowinę. Jest teraz w stanie to przyjąć, a poza tym właśnie przypieczętowały zakaz ukrywania wszelkich tajemnic.

- Megan, muszę ci o czymś powiedzieć. Kle...

- Klementyna i Jackson pobierają się - skończyła za nią Megan.

- Skąd wiesz?

Megan wzruszyła ramionami.

- Od paru miesięcy widziałam, że na to się zanosi, bo jak tylko o nich wspominałam, zamieniałaś się w kłębek nerwów.

- Ico?

- Jak to, co? Chcesz, żebym ci powiedziała, że mnie to cieszy? Nie cieszy mnie. I wcale nie jestem zazdrosna. Gwiżdżę na to, co robi Jackson. Po prostu mnie to nie obchodzi.

- Gówno prawda.

- Możesz sobie mówić, co ci się podoba, Alex. Wykreśliłam ich oboje ze swojego życia. Przykro mi, jeśli cię to boli, ale nie mogę zmienić swoich uczuć. Klementyna też nigdy nie próbowała rozwiązać naszych problemów. Tyle czasu minęło, od kiedy się rozstałyśmy, a ona ani razu nie spróbowała się ze mną skontaktować. Po prostu sobie poszła, kręciła filmy i spędzała cały czas z Jacksonem. Nie zauważyłam, żeby się zmartwiła utratą tego, co nas wiązało.

- Czujesz się urażona.

- Nie - powiedziała Megan podniesionym głosem. Odwróciła głowę i naciągnęła pled pod szyję. - A nawet jeśli tak, to nie ma to znaczenia. Klementyna jest gwiazdą i kicha na wszystkich, którzy nie traktują jej jak bożyszczce. Ma ciebie i Jacksona i niczego więcej nie potrzebuje. Nie będę się przed nią płaszczyć.

- Wcale cię do tego nie namawiam. Ale gdybyś przestała przez chwilę uważać się nad sobą, dostrzegłabyś, że ona nie chce niczego ci narzucać. Klementyna nie jest tak bogata i sławna, jak ją malujesz. Czasem mam wrażenie, że nawet w obecności Jacksona czuje się bardziej samotna niż my.

Ona jest po prostu... Klementyną. Jedną z twoich najlepszych przyjaciółek. Jej się wydaje, że ty już nie chcesz jej widzieć. To dlatego nie występuje z inicjatywą.

- Bo nie chcę jej widzieć. Ani nie chcę o tym rozmawiać. Wszyscy chcą bez końca rozmawiać o Klementynie. Ale to ja będę miała dziecko. To ja przeprowadzam się do Anglii. Czy to nie jest zajmujące?

Alex westchnęła.

- Oczywiście, że jest. Zawsze mnie ciekawi, co robisz.

- Więc zamknij się i nie mów o niej. Nie chcę o tym słyszeć. Niech się pobierają. Jeśli to ci poprawi humor, to mam nadzieję, że będą razem szczęśliwi. Ale na tym koniec. Będę miała własne dziecko i zacznę nowe życie ze swoją rodziną. I raz na zawsze pozbędę się Klementyny.

Megan pochylała się właśnie nad krzakiem róży, odcinając przepiękny pączek w kolorze kości słoniowej, gdy dobiegł ją śmiech. Wyprostowała się i odwróciła, dostrzegając, jak jej córeczka unosi się w powietrzu, po czym wpada w silne ramiona ojca.

Podążyła kamienistą ścieżką ku tylnym drzwiom od strony kuchni i włożyła różę do wąskiego wazonu napełnionego wodą. Rozejrzała się po kuchni i po raz kolejny poczuła satysfakcję z efektów swojej pracy - brzoskwiniowej tapety w różę, miedzianych naczyń zwisających pod sufitem, suszonych kwiatów nad zlewem i odcisków umoczonej w farbie dłoni rocznej Ani na drzwiach lodówki. Była u siebie.

Na zewnątrz rozciągały się kilometry bujnie porośniętych wzgórz, zmoczonych rosą i deszczem. Ma rosarium do uprawiania, córeczkę, którą się opiekuje, dobrych przyjaciół mieszkających kilometr dalej przy tej samej drodze i męża dającego jej po prostu wszystko. Megan pochyliła się nad różą i wciągnęła w nozdrza jej zapach. Mimo tylu cierpień i tylu zgryzot przeżyłaby swoje życie jeszcze raz, byleby doczekać tej chwili.

Wyszła na dwór. Ania gaworzyła radośnie w ramionach Joeya, wpatrując się w niego z absolutnym uwielbieniem.

- Ona chyba się w tobie zadurzyła - powiedziała Megan.
- Jakoś to przeżyję.

Podeszli razem do ustawionej w rogu ogrodu markizy. Joey podał Anię Megan, która zaczęła usypiać córkę w rytm bujania.

- O której masz jutro pierwszą lekcję? - zapytała Megan cichutko, spoglądając na opadające powieki Ani.

- O dziesiątej. A potem o dwunastej przychodzi na lekcję nowy uczeń. Terrance Darby. Jak ci się podoba to typowo angielskie nazwisko?

Megan roześmiała się i wyciągnęła do niego wolną rękę.

- Jesteś tu szczęśliwy, Joey? Ścisnął jej dłoń i przysunął się bliżej.
- Pamiętasz, kiedy byłaś mała i wyobrażałaś sobie, jak kiedyś będzie wyglądać twoje życie? Otóż, z ręką na sercu, ja marzyłem właśnie o czymś takim. O domku na wsi, o muzyce, o pięknej żonie i o dziecku. Kiedy zacząłem dorastać, a nic z tych pragnień się nie spełniało, doszedłem do wniosku, że na zawsze pozostaną ukrytym w głębi serca marzeniem, o którym tylko ja będę wiedział. A jednak stało się inaczej. Czasem budzę się w nocy ze strachem, że to już nie istnieje. Że jestem z powrotem w Los Angeles, przez okno wciska się smog, a przy moim boku nikogo nie ma. Ale po chwili słyszę świerszcze i twój delikatny oddech i dziękuję Bogu za wszystko, co mam.

Megan przytuliła się do niego. Przez ich dolinę, oddaloną od Londynu o dwie godziny jazdy samochodem, płynęła wiosenna mgła. Kiedyś, zdaje się jako nastolatka, przyrzekła sobie, że będzie mieszkać w słońcu przez cały rok. Zabawne, że wylądowała właśnie tutaj, gdzie deszcz i mgła tworzą równie istotny element krajobrazu co w Sausalito. Wszyscy ostrzegali ją przed angielską wilgocią i przygnębiającą atmosferą. Co dziwne, lubiła chmury i mżawkę. W jej odczuciu mgła stanowiła jak gdyby szaniec obronny, chroniący jej doskonały świat.

Ta pogoda pasowała do jej trybu życia, do atmosfery ulotności, do poczucia zawieszenia we śnie, który jest zbyt piękny, by mógł być prawdziwy, i do obawy przed przebudzeniem.

- A ty? - zapytał Joey. - Jesteś szczęśliwa?

- Nawet sobie nie wyobrażałam, że można być tak szczęśliwym.

- Brakuje ci Alex?

- Tak. Ale zobaczymy się na jesieni, kiedy przyleci załatwiać interesy.

- Po ślubie Jacksona i Klementyny.

Megan zatrzymała stopami bujającą się markizę. Sam dźwięk ich imion wprowadzał zamęt w jej życie, jak jęki duchów przerywające ciszę o północy. Odwróciła głowę.

- Ciągłe czujesz się taka dotknięta? - zapytał Joey. Spojrzała na niego i westchnęła.

- Nie chodzi o ślub. Naprawdę. Tak długo go odkładali, czekając na przerwę w zdjęciach Klementyny i zakończenie budowy domu, że cieszy mnie, iż w końcu się pobierają. To z Klementyną mam problem. Ciągłe liczę, że uraza, którą do niej czuję, z czasem wygaśnie, ale ona tylko wzbiera.

- Może gdybyś stanęła z nią twarzą w twarz...

- A co mam jej powiedzieć? „Och, nawiasem mówiąc, nienawidzę cię za to, że jesteś piękna. Że opływałaś w sławę, miłość i sukcesy, gdy ja nie miałam nic”. Może być?

Joey wstał i podszedł do oparcia markizy. Pchnął ją delikatnie do przodu i przesunął się na bok.

- Ciężko pracowała na to, co ma - powiedział.

- Czyżby? - zapytała Megan, spoglądając na niego przez ramię. Wsunęła jasne, jedwabiste włosy Ani pod czapeczkę i pogładziła ją po policzku. - Wygrała konkurs na modelkę, przeniosła się do Nowego Jorku, została modelką, przeniosła się do Los Angeles, dostała wspaniałe role we

wspaniałych filmach i kupiła sobie dom na plaży. To jest twoim zdaniem ciężkie życie?

Joey wziął głęboki oddech i odparł, nie patrząc na Megan:

- Kiedy spoglądam Klementynie w oczy, zawsze widzę w nich niewiarygodny smutek, jakby miała wewnątrz mnóstwo blizn.

Megan milczała, przypomniawszy sobie o gwałcie.

- Ojciec ją zostawił - ciągnął Joey. - Wykorzystywał jej miłość, żeby wyłudzać pieniądze, a potem umarł, pozostawiając cały rozdział jej życia bez zakończenia. Matka była zbyt zaabsorbowana próbami uratowania swego drugiego małżeństwa, by się nią lepiej zajmować. Klementyna też straciła swoją miłość i nie sądzę, by łatwo jej było związać się z Jacksonem. I chociaż w końcu zdobyła sławę, wątpię, czy to takie przyjemne, jak sobie wymarzyła.

Znów pchnął markizę.

- Ty przynajmniej zawsze wiedziałaś, kim jesteś i czego chcesz - mówił dalej. - Nawet w najgorszych chwilach miałaś swój system przekonań i wartości, do których mogłaś się uciec. Klementyna musiała budować wszystko samodzielnie. Zawsze poszukiwała samej siebie.

- Ej, nie przesadzaj - powiedziała Megan. Jej podniesiony głos obudził Anię, więc zaczęła ją bujać, aż dziewczynka ponownie zamknęła oczy. - Nie przekonuje mnie wersja o walce i poszukiwaniu sensu życia. Ona wiedziała, czego chce. Sławy. Powodzenia. Dostała. A potem chciała Jacksona. Też go dostała. Czego może więcej chcieć?

Joey okrążył markizę, podszedł od przodu i wziął Anię z rąk Megan.

- Przyjaźni - powiedział, głaszcząc plecy śpiącej córeczki. - Takiej, która zawiązuje się w dzieciństwie i łączy na zawsze. Przyjaciele z dzieciństwa są wyjątkowi, Megan. Ty, Alex i Klementyna jesteście wyjątkowe. Znałaś Klementynę, gdy była takim samym dzieckiem jak inni. Widziałaś, jak płacze, śmieje się, osiąga sukcesy i przeżywa porażki. A Klementyna widziała ciebie. Zna twoje tajemnice i wie, co najbardziej cię rani. Zna ciebie, zna to dziecko, które w tobie mieszka. Czy to takie ważne, jak bardzo jest sławna albo ile ma pieniędzy? Czy to naprawdę ma znaczenie, że mężczyzna, którego kocha taką samą miłością jak my siebie, to Jackson? Ona wychodzi za mąż za parę miesięcy. Czy kiedy byłyście smarkate, nie o tym właśnie rozmawiałyście, nie do tego tęskniłyście? Czy w głębi serca nie tego dla niej pragniesz?

Megan przestała się bujać i zastygła w bezruchu, patrząc, jak Joey wraca do domu.

Właśnie miał wejść do kuchni, gdy zawołała jego imię. Odwrócił się.

- Czy mówiłam ci ostatnio, że cię kocham? - zapytała.
- Ostatnio nie.
- Kocham cię, Joey. Uśmiechnął się.
- Wiem.

RS

Epilog

Klementyna stała nieruchoma jak posąg, ze spuszczonego wzrokiem, a Jackson poczuł, że chwyta go w środku dławiący strach. Znów myśli o swoim ojcu. O bólu i o ryzyku, którego nie jest w stanie podjąć, nawet z nim. Na pewno zmieniła zdanie i nie da mu już kolejnej szansy.

Alex stała po lewej stronie. Przynajmniej ich przyjaźń była trwała. Klementyna skurczyła ramiona. Kiedy pastor poprosił ją o powtórzenie słów przysięgi, podniosła głowę. Spojrzała na Jacksona, a on poczuł ciepłą falę ulgi. W jej jasnych i pięknych oczach było zdecydowanie, pewność i miłość. Stanowczo i z przekonaniem złożyła małżeńskie przyrzeczenie swoim aksamitnym głosem, który pokochał jak żaden inny. Kiedy pieczętowali małżeństwo pocałunkiem, jej usta były miękkie i ufne. Wyczuł drgający w ich kącikach uśmiech, jak u rozbawionego dziecka.

Po zakończeniu uroczystości wybiegli ze śmiechem z kaplicy, nie mogąc się doczekać dalszego ciągu dnia, tańców, picia, zabawy i miodowego miesiąca, który wydawał się tak odległy. Podczas przyjmowania życzeń ona, jego żona, stała tuż obok, a rękaw jej atłasowej sukienki ocierał się o jego ramię. Witła gości z wyrazem twarzy tak pogodnym jak słońce w ten wrześniowy dzień. Objął ją w talii i po raz kolejny zaskoczyło go, że ich ciała pasują do siebie tak idealnie, że wypełniają nawzajem wszystkie swoje wklęsłości.

Goście przechodzili, zlewając się w smugę uśmiechniętych ust i ściskających ich dłonie ramion. Jacksona niewiele to obchodziło. Jak mogło być inaczej, skoro miał przy sobie kobietę swoich marzeń? Wniosła w jego świat tyle szczęścia, nadała każdemu aspektowi jego życia taki wymiar doskonałości, że często zapominał o przeszłości, pozostawiając ją za sobą jak dziecięcy kocyk bezpieczeństwa, który dorosłemu nie jest już potrzebny. Klementyna dała mu wszystko.

Rozmyślał o tym, rozmyślał o radości, która coraz częściej gościła w ich życiu, o wreszcie skończonym, pełnym rustykalnych mebli domu w New Hampshire, który czekał na ich przyjęcie jak otwarte matczyne ramiona, gdy nagle poczuł, że ona ściska jego rękę. Odwrócił się szybko i spostrzegł, że krew ucieka z jej twarzy. Pobiegnął za jej strwożonym spojrzeniem i z trudem wyrwał się ze stanu oszołomienia, w który wpadł, widząc, na kogo ona patrzy.

- Ona tu jest - powiedziała Klementyna, choć nie było to konieczne. Brzmienie jej aksamitnego głosu było zmaćcone nietypowym drżeniem. -

Nie mogę w to uwierzyć. - Szeroko otwartymi oczami powiodła za Megan, która zostawiła Joeya z dzieckiem, będącym zapewne ich córeczką, i ruszyła samotnie w kierunku kolejki gości. Żadne z nich nie dostrzegło jej podczas uroczystości, gdyż siedziała w tylnym rzędzie, ale właściwie nie widzieli wtedy nikogo oprócz siebie.

Alex uścisnęła drugą dłoń Klementyny, chcąc dodać jej otuchy, a Jackson przytulił ją do siebie, usiłując podtrzymać silnym ramieniem jej drżące ciało. Przybliżył wargi do jej ucha.

- Kocham cię - wyszeptał.

Zamarła na chwilę w bezruchu, po czym przeistoczyła się na jego oczach. Wyprostowała skulone ze strachu ramiona, a na jej ustach pojawił się znajomy uśmiech, który nie dawał spokojnie zasnąć żadnemu mężczyźnie. Zwróciła na niego oczy. Dostrzegł w nich wzbierające łzy.

- A ja ciebie - powiedziała, muskając dłonią jego szyję. Ponownie skupił uwagę na gościach, obserwując kątem oka, jak Megan podchodzi. Nie mógł się oprzeć zdumieniu nad jej urodą. Nie widzieli jej oboje od ponad trzech lat, od chwili, gdy całkowicie wyrzuciła Klementynę ze swojego życia. Wydawała się teraz delikatniejsza, bardziej kobieca i krucha. Dostrzegł jednak w jej oczach nową siłę, satysfakcję z udanego związku, pewność siebie, dzięki której patrzyła ludziom prosto w oczy zamiast lękliwie odwracać wzrok.

Jackson spojrzał na koniec kolejki w kierunku małej, jasnowłosej jak rodzice, dziewczynki śmiejącej się w ramionach Joeya. Dziecko, którego zawsze pragnęła. Może by w to nie uwierzyła, ale poczuł radość z jej szczęścia.

Miała za chwilę składać im życzenia. Poczul powracające gwałtowną falą poczucie winy za to, że ją zranił i porzucił, winy dawno zepchniętej w wymazane z pamięci zakamarki duszy.

W końcu stanęła przed nimi z podniesioną głową i zaciśniętymi dłońmi. Jackson, Klementyna i Alex bez słowa spojrzeli na Megan, najlepszą przyjaciółkę Klementyny. Skazała Klementynę na karę gorzkiego milczenia, karę gorszą niż bójka czy ostre słowa. Co noc Klementyna płakała w poduszkę, zrozpaczona, że nie potrafi nic zmienić, nie potrafi uśmierzyć cierpienia, którego we własnym mniemaniu była sprawczynią, nie potrafi odzyskać najdawniejszej i najdroższej przyjaciółki.

Megan wzięła głęboki oddech i zanim się odezwała, westchnęła. Spojrzała najpierw na Jacksona, potem na Alex i wreszcie na Klementynę.

- Moje gratulacje - powiedziała. - Wiem, jak bardzo tego pragnęliście.

Klementyna skinęła głową, a Jackson poczuł, że jej ciało drży.

- Chciałabym wam kogoś przedstawić - powiedziała Megan, machając ręką do Joeya. Kiedy stanął przy jej boku, odebrała mu Anię i podała ją Klementynie. Klementyna zawahała się, a gdy wreszcie wzięła dziecko na rękę, dłoń Megan pozostała na jej ramieniu. Spojrzały na siebie. W swoich oczach zobaczyły wspólne prace z techniki w szkole podstawowej, papierosy, desery lodowe, szeptane sekrety, zawody sercowe, pierwsze miłości, bale, opery mydlane, scenariusze, łzy i radości. Całą historię ich przyjaźni, przyjaźni wyjątkowej, która zawsze znajdzie sposób, żeby wybaczyć błędy, a nawet je zapomnieć. Więż, której nic nie zerwie, cokolwiek się stanie.

Alex zbliżyła się i objęła obie w talii.

Pochyliły głowy, zacieśniając wspólnie swój idealny krąg i podtrzymując się nawzajem.

- Klementyno - powiedziała Megan - przywitaj się ze swoją przyszłą chrześniaczką Anią.

KONIEC

RS